



BESTSELLER
„THE NEW YORK TIMES”

Kłamca, kłamca

LISA

JACKSON

AUTORKA 30 MILIONÓW
SPRZEDANYCH EGZEMPLARZY!

SKARPA
WAR
SZAW
SKA

LISA
JACKSON

Kłamca,
kłamca

Tłumaczenie: Agnieszka Kalus



Spis treści

Okladka

Strona tytułowa

Spis treści

Karta redakcyjna

Od autorki

PROLOG

CZĘŚĆ 1

ROZDZIAŁ 1

ROZDZIAŁ 2

ROZDZIAŁ 3

ROZDZIAŁ 4

ROZDZIAŁ 5

ROZDZIAŁ 6

ROZDZIAŁ 7

ROZDZIAŁ 8

ROZDZIAŁ 9

ROZDZIAŁ 10

CZĘŚĆ 2

ROZDZIAŁ 11

ROZDZIAŁ 12

ROZDZIAŁ 13

ROZDZIAŁ 14

ROZDZIAŁ 15

ROZDZIAŁ 16

ROZDZIAŁ 17

ROZDZIAŁ 18

ROZDZIAŁ 19

ROZDZIAŁ 20

ROZDZIAŁ 21

ROZDZIAŁ 22

ROZDZIAŁ 23

ROZDZIAŁ 24

ROZDZIAŁ 25

ROZDZIAŁ 26

ROZDZIAŁ 27

ROZDZIAŁ 28

ROZDZIAŁ 29

ROZDZIAŁ 30

ROZDZIAŁ 31

ROZDZIAŁ 32

ROZDZIAŁ 33

ROZDZIAŁ 34

ROZDZIAŁ 35

Tytuł oryginału:

LIAR, LIAR

Redakcja

Monika Orłowska

Tłumaczenie

Agnieszka Kalus

Korekta

Bożena Sigismund, Janusz Sigismund

Projekt graficzny okładki

Mariusz Banachowicz

Zdjęcia na okładce

© *Unsplash*

Skład i łamanie

Agnieszka Kielak

Copyright © 2018 by Lisa Jackson, LLC

First published by Kensington Publishing Corp. All rights reserved

Polish edition copyright © 2023 Agencja Wydawniczo-Reklamowa

Skarpa Warszawska Sp. z o. o.

Polish translation copyright © 2023 Agnieszka Kalus

Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w internecie

Wydanie pierwsze

ISBN 978-83-83292-01-4



Wydawca

Agencja Wydawniczo-Reklamowa

Skarpa Warszawska Sp. z o.o.

ul. Borowskiego 2 lok. 24

03-475 Warszawa

tel. 22 416 15 81

redakcja@skarpawarszawska.pl

www.skarpawarszawska.pl



Konwersja: [eLitera s.c.](#)

OD AUTORKI

Dla dobra tej historii zmieniłam nieco pojawiające się w niej miejsca oraz procedury policyjne.

PROLOG

San Francisco

Obecnie

Nie! Nie! Nie!

Przepychając się przez rosnący tłum, który stał w poprzek pnącej się w górę ulicy, Remmi zasłoniła oczy jedną ręką i przez gęstniejącą mgłę wpatrywała się w gzyms hotelu Montmort Tower.

– O Boże. – Wytężając wzrok, mniej więcej na wysokości dwudziestego piętra dostrzegła kobietę niebezpiecznie balansującą na gzymsie tyłem do otwartego okna pokoju hotelowego, w którym powiewały firany.

No, nie.

Po prostu nie!

Nie, kiedy Remmi była już tak blisko... tak cholernie blisko. Proszę, nie!

– Jezus, Maria i Józefie Świąty, ona skoczy! – wyszeptał wysoki mężczyzna. Był ubrany w grubą kurtkę i wełnianą czapkę, przy piersi miał opatulone w kombinezon roczne dziecko w nosidełku. Szybko wykonał znak krzyża na sobie i dziecku. Zaczerwieniony z zimna bobas zaczął marudzić, ale jego ojca pochłaniało co innego.

Zawyły syreny, wozy straży pożarnej i policji zatrzymały się pod hotelem, budowlą w stylu art déco z betonu i marmuru, która przetrwała trzęsienia ziemi, pożary, zamieszki i upływ czasu, gwiazdy rocka i polityków. Mieniła się w ostrych, upiornych światłach pojazdów służb ratunkowych. Ludzie rozmawiali ze sobą, uwijali się na odgrodzonym fragmencie stromej ulicy San Francisco.

Wysoko w górze stała kobieta o krótkich włosach w kolorze platynowego blondu, skraj różowej sukienki powiewał wokół jej kolan. Zachwiała się na dopasowanych kolorystycznie butach na obcasach, na co niektórzy gapie gwałtownie wciągnęli powietrze do płuc, a inni krzyknęli.

Nie rób tego!

Z sercem w gardle i dudniącym pulsem w uszach, Remmi przepchnęła się przez tłum powstrzymywany w miejscu przez policjantów i żółtą taśmę rozcią-

gniętą pospiesznie nad barierkami w kształcie litery A. Nadchodził zmrok, światła uliczne zapalały się w gęstniejącej mgle, mokra ulica błyszczała, znajdująca się w dole ulicy zatoka była ledwie widoczna. Większość ludzi stała z głowami odchyłonymi w tył, rozdziawionymi ustami i dłońmi przyciśniętymi do piersi, wpatrując się w wąski gzyms, na którym balansowała kobieta.

– To jest okropne. Okropne! – wyszeptwała kobieta we włóczkowej czapce i pikowanej kurtce. Wydawała się zahipnotyzowana, podobnie jak wszyscy inni, nie mogła oderwać oczu od tego, na co patrzyła. Ręką w rękawiczce trzymała piegowatego chłopca z potarganymi, brązowymi włosami wyzierającymi spod bejsbolówki.

– Przepuście mnie. – Remmi rozpychała się, żeby podejść do taśmy policyjnej. – No dalej.

Kobieta w rękawiczkach zauważyła:

– Wygląda jak Marilyn Monroe.

– Jaka Marilyn? – zapytał jej syn, chłopak około dwunastoletni. Miał słuchawki wetknięte w uszy i trądzik rywalizujący z meszkiem na jego szczęcie. On też patrzył w górę, tam gdzie stała kobieta.

– Taka królowa piękności... aktorka z lat pięćdziesiątych.

– Więc jest strasznie stara.

– Nie, nie... ona nie żyje. – Kobieta pokręciła głową, wciąż wpatrując się w górę. – Umarła dawno temu. Przedawkowała tabletki nasenne. Albo... albo coś. – Zmarszczyła czoło, gdy się nad tym zastanawiała.

– Więc to nie ona.

– Wiem.

– Tylko ktoś, kto wygląda jak ona. – Dzieciak nie odrywał oczu od gzymsu na wysokim pięttrze. – Naprawdę to zrobi? Wyląduje w tej fontannie?

Matka znów pokręciła głową.

– Mam nadzieję, że nie. Mam nadzieję, że ona nie... Boże drogi. – Ona też pospiesznie wykonała znak krzyża.

– Naśladowczyni? – zapytał mężczyzna w długim płaszczu, który przysłuchiwał się ich rozmowie.

– Ch-chyba. – Znowu matka chłopaka.

– Wiele ich było – prychnął mężczyzna, jakby życie kobiety nie miało żadnego znaczenia. Bezdzuszny gnojek.

– Ten strój. Cała Marilyn. – Kobieta powoli kiwała głową, wystające spod włóczkowej czapki siwiejące loki podskakiwały w górę i w dół. – Ale jedna naśla-

dowczyni... szczególnie. Była dość sławna. Jak jej było? – Pstryknęła palcami, rękawiczka stłumiła dźwięk. – Nazywała się... nazywała, oj, już prawie sobie przypomniałam... Jasny gwint, nie pamiętam. Nie ma znaczenia.

Didi. Nazywała się Didi Storm, pomyślała Remmi, jej serce zamarło w piersi. I miała znaczenie! Co się dzieje z tymi ludźmi? Zachowują się, jakby kobieta rozważająca popełnienie samobójstwa była sprawą drugoplanową!

Człowiek w płaszczu zrobił powątpiewającą minę.

– Naśladowczyni nieżyjącej kobiety... od dawna nieżyjącej. Zamierza skoczyć z Montmortu? To nie ma sensu.

– Czy samobójstwo kiedykolwiek ma sens? – odpowiedziała kobieta we włóczykowej czapce, ściągając usta.

– Przepraszam. Chciałem tylko powie...

Na górze kobieta zachwiała się na gzymsie, tłum zatchnęło. Strażacy zgromadzili się pod hotelem, ktoś w mundurze – sierżant, pomyślała Remmi – zwracał się do gapiów:

– Odsunąć się. Dajcie nam tu więcej miejsca.

Chłopak w czapce z daszkiem z logiem Giantów, na której skraplała się woda, zauważył:

– Rany. Wygląda na to, że ona naprawdę chce to zrobić.

– Och... o, nie. Przestań. Chodźmy, nie mogę na to patrzeć. – Matka pociągnęła syna przez powiększający się tłum przerażonych gapiów, a chłopak ze wzrokiem przyklejonym do kobiety na gzymsie niechętnie ruszył pomiędzy ludźmi trzymającymi w górze telefony, żeby nagrać tę potworną chwilę. Matka i syn zniknęli, wtopili się w rosnące zbiorowisko.

Remmi nie przysłuchiwała się dalszym spekulacjom. Z głośno walącym sercem, kierowana strachem, przepchnęła się do przodu, wyminęła ubranego w płaszcz przeciwdeszczowy biznesmena, który, podobnie jak wielu innych, filmował makabryczną scenę komórka. Ludzie wokół niej mamrotali coś pod nosem lub wstrzymywali oddech. Wszyscy byli jak zahipnotyzowani horrorem rozgrywającym się przed ich oczami. Zatrzymano ruch na ulicy, światła czekających aut rozświetlały mgłę, kierowcy wciskali klaksony, służby mundurowe wywrzaskiwały rozkazy. Ktoś gdzieś niskim głosem nucił starą piosenkę, którą Remmi знаła ze szkółki niedzielnej. Jak to leciało? Przypomniała sobie słowa:

Światelko małe mam,

Niech świeci dzisiaj nam.

Remmi skierowała wzrok w górę, zapominając na moment o piosence, skupiła spojrzenie na kobiecie balansującej wysoko nad nią, na zewnątrz budynku, który zaczęła już spowijać mgła. *Nie róbc tego*, błagała ją bezgłośnie, próbując wyminąć grupkę kobiet z parasolkami. Ze ściśniętym gardłem zerkała na gzyms. *Proszę, mamo, nie skacz!*

Ku przerażeniu Remmi, przyszła samobójczyni jakby ją usłyszała, poruszyła się gwałtownie, a jej wysoki obcas ześlizgnął się z występu w murze. Tłum zamarł, następnie krzyknął, gdy nagle znalazła się w powietrzu, wymachując rękami, jej włosy lśniły, wyglądały jak poruszająca się chmura w ciągu tych przeraźliwych kilku sekund lotu przez wieczorne powietrze.

Niech świeci, niech świeci, niech świeci...

CZĘŚĆ 1

ROZDZIAŁ 1

Las Vegas, Nevada

Dwadzieścia lat wcześniej

– Dasz radę – powiedziała do siebie Didi, jadąc specjalnie wyposażonym, stylowym cadillakiem przez miasto. Neonowe światła świeciły i mrugały, bo dzień przechodził w wieczór i Las Vegas stawało się snopem światła na zasnutej mrokiem pustyni.

Boże, kochała to miasto z jego gorącym, suchym powietrzem, gwarem i podnieceniem i, co najważniejsze, z blichtrzem i blaskiem wysokich budynków, które wznosiły się ku bezbrzeżnemu, usianemu gwiazdami niebu. Samo miasto było niemal surrealistyczne w kontraście ze spokojną, błogą i tajemniczą pustynią w nocy.

W zasadzie noc jeszcze nie zapadła, a ona nie miała czasu na myślenie o czymś innym niż jej misja, którą planowała przez większą część roku. W jej żyłach nieśmiało buzowała ekscytacja, z obawy aż zaschło jej w gardle.

– Uda ci się – stwierdziła, słowa znajomej mantry miały ukoić jej zszargane nerwy, odegnąć od niej strach. Dodała gazu, gdy dotarła na obrzeża miasta. Czula ucisk w piersi, palce lepiły jej się do kierownicy, przez głowę przelatywały miliony zwątpień.

Wolałaby opuścić dach samochodu, żeby ciepły wiatr Nevady owiewał jej twarz i włosy, ale nie chciała zniszczyć sobie makijażu ani fryzury i doprawdy, jadąc z bliźniakami, najlepiej było jechać z podniesionym dachem i tylko lekko uchylonymi szybami, przez które wlatywało świeże powietrze.

Wiozła dwoje niemowląt, były z tyłu, przypięte w fotelikach. Serce mocniej jej zabiło na myśl o najdroższych maluchach, sześciotygodniowym chłopcu i dziewczynce, które spały i cichutko posapywały, nie znając swojego losu.

– Och, dzieciątka – wyszeptwała, poczucie winy dręczyło jej duszę. To, co zaplanowała, nie mieściło się w głowie. Ale była zdesperowana. Wszystko skończy się dobrze. Nikomu nie stanie się krzywda.

Taką miała nadzieję.

Wbrew sobie skrzyżowała palce prawej ręki spoczywającej na kierownicy. A może popełniała błąd? Możliwe. Ale przecież nie był to jej pierwszy błąd ani nie piętnasty.

Przełknęła ślinę, przygotowywała się, walcząc z napływającymi do oczu gorącymi łzami. Musiała to zrobić, musiała; to była jej jedyna szansa, ich jedyna szansa na lepsze życie. Pociągając nosem, zamrugała, żeby łzy nie rozpuściły jej tuszu do rzęs. Musiała dobrze wyglądać, doskonale wręcz, żeby plan się powiódł. Nie jak smutny klaun z czarnymi strumykami spływającymi po policzkach.

Odruchowo wyprostowała ramiona, siedząc na miękkiej, białej skórce. *Dasz radę, Didi. Uda ci się.* Nieco mocniej wcisnęła stopę w bucie na wysokim obcasie w pedał gazu, a caddy od razu zareagował i wyrwał do przodu, opony ochoczo kręciły się na suchym, pokrytym pyłem asfalcie. *A jeśli coś pójdzie źle?*

– Nie pójdzie.

Nie może.

Żeby dopomóc szczęściu, odmówiła szybką modlitwę, czego nie robiła, odkąd strzepała z butów kurz z Missouri, kupiła bilet na autobus i ruszyła na zachód, kiedy była jeszcze nastolatką. Opuściła rodzinę i samego Boga w chmurze spalin wielkiego autobusu firmy Greyhound.

Dziś wieczorem wszystko się odmieni.

Mimo warkotu dużego silnika do jej uszu dobiegło ciche westchnienie, jedno z dzieci chyba coś śniło.

O Boże.

Wysunęła szczękę, opuściła osłonę przeciwsłoneczną, żeby słońce nie raziło jej w oczy, i przypomniała sobie, że już nie może się wycofać – plan wszedł w życie, koła się kręcą. Gdy Las Vegas zmieniło się w pas błyszczących świateł odbijających się w tylnym lusterku samochodu, wcisnęła przycisk zapalniczki, po czym zaczęła grzebać w torebce leżącej na drugim siedzeniu. Wyjęła lśniącą papierosnicę i wytrząsnęła z niej jedną sztukę Virginia Slim. Kilka machów nikotyny pomoże jej się uspokoić. Otworzyła boczną szybę i po zapaleniu papierosa trzymała rękę przy oknie – dzieci nie mogły zostać biernymi palaczami! Ostatnio sporo się o tym mówiło, a dopóki była ich matką... o, Jezu, jak długo jeszcze?... będą z nią bezpieczne.

Serio? Kogo próbujesz oszukać?

Z lusterka spojrzały na nią oczy pełne potępienia. Cały czas jechała na zachód, gdzie słońce chowało się za klify Red Rock Canyon. Papieros sprostął jej oczekiwaniom, więc włączyła w radiu stację grającą stare przeboje i usłyszała Beatleów śpiewających *Let It Be*.

Łup!

Głos Paula McCartneya zagłuszył łomot, gdy wjechała w dziurę, samochód się zakotłosał i w tyle cadillaca rozległ się głośny huk.

O rany.

Nie wolno mu było się popsuć. Nie teraz. Nie wtedy, gdy wreszcie zdobyła się na odwagę i zaczęła realizować swój plan. Bojąc się, że jeden z fotelików mógł się obluźować, że pas bezpieczeństwa zawiódł w starym aucie, zerknęła do tyłu. Wszystko wyglądało dobrze. Samochód jechał przed siebie, nie pękła opona, nie wygięła się oś. Dzieci wciąż były bezpiecznie zapięte w fotelikach.

Na razie.

– To nic takiego – powiedziała na głos. Może coś przesunęło się w bagażniku albo jakiś rekwizyt wypadł ze swojego miejsca w specjalnie przerobionej części bagażowej, którą kazała przygotować w tym dużym wozie, żeby korzystać z niej podczas występów. Boże, uwielbiała wyskakiwać z „pustego”, białego cadillaca w skąpym stroju... Cóż, te czasy już minęły, przynajmniej chwilowo, dopóki nie pozbędzie się tłuszczu i zwisającej skóry po ostatniej ciąży z bliźniakami. Jak na razie straciła sporo na wadze, ale jej ciało się zmieniło, skóra nie była tak napięta jak kiedyś, gdy była ponętną nastolatką, a dzisiaj musiała wbić się w cholernie ciasną bieliznę, żeby zmieścić się w strój, który teraz miała na sobie – ulubioną różową sukienkę w stylu Marilyn Monroe.

Szwy ozdobione klejnocikami mocno się opinały, ale warto było się pomóc. Didi wiedziała, że wygląda olśniewająco.

Wyłączyła radio i trzymała gaz do dechy, cały czas nasłuchując, czy znów pojawi się ten niepokojący hałas. Nie usłyszała niczego oprócz odgłosu silnika, szumu opon i łopotu powietrza wpadającego przez częściowo otwartą szybę. Jako że nic już nie hałasowało, uznała, że z samochodem jest wszystko w porządku, dzięki Bogu, więc ponownie włączyła radio, tym razem stację grającą obecne przeboje pop. Zgasła papierosa w popielniczkę, poprawiła okulary przeciwsłoneczne chroniące ją przed ostatnimi, ostrymi promieniami słońca zachodzącego za poszarpane szczyty gór, i powiedziała sobie, że jest gotowa.

Dziś wieczorem odmieni swój podły los.

Na zawsze.

Remmi praktycznie nie śmiała oddychać w ciasnej części bagażowej starego cadillaca matki. Pomasowała tył głowy, który najbardziej ucierpiał, kiedy siedząca za kierownicą Didi w coś uderzyła, a Remmi podskoczyła tak, że przywaliła głową w metalowy dach. Aua! Była zaskoczona, że matka jej nie usłyszała, nie za-

trzymała auta i nie odkryła najstarszej córki ukrytej w miejscu, gdzie Didi zwykle chowała rekwizyty do swojego występu, tej wydzielonej części wielkiego bagażnika białego cadillaca.

Na szczęście Remmi stłumiła okrzyk, chociaż guz pulsował bólem.

Teraz się pocila. Mocno. Kropelki potu spływały z jej czoła i brody, zbierały się na plecach. Miejsce, w którym się znajdowała, było bardzo ciasne. Klaustrofobiczne. Ale nie chciała myśleć o tym, jak łatwo mogła zostać tu uwięziona. Oczywiście w środku była zasuwka, ale mogła się zaciąć. Remmi wołała się nad tym nie zastanawiać, gdy ocierała krople potu z brody.

Przez ułamek sekundy, kiedy auto się rozpędzało, poczuła się tak, jakby Didi specjalnie zachowywała się lekkomyślnie, rozważyła nawet, czy nie krzyknąć, czy nie poinformować mamy, że się schowała, ale jakoś udało jej się powstrzymać. Didi zabije Remmi, jeśli odkryje, że nastolatka schowała się w samochodzie. Cóż, właściwie Remmi nie zamierzała podróżować na gapę. Chowala się. Przed mamą.

I przyniosło to przeciwny skutek.

I to jaki!

Remmi ostrożnie zajrzała przez małą szparę pomiędzy częścią bagażową a tylnym siedzeniem, mały wizjer, który kazała zainstalować Didi. Do jej nozdrzy dotarł zapach dymu papierosowego, usłyszała muzykę płynącą z radia. Bliźniaki, jej przyrodnie rodzeństwo, wreszcie się uciszyły i nie płakały, lecz Remmi ich nie widziała. Zresztą ze swojego punktu obserwacyjnego widziała niewiele oprócz tyłu głowy matki, blond perukę Didi w stylu Marilyn.

Po co jej kostium?

Remmi zaryzykowała szybkie zerknięcie w stronę tylnego lusterka i dostrzegła twarz mamy, okulary przeciwsłoneczne na grzbiecie nosa, wydęte usta pomalowane błyszczkiem, a nawet pieprzyk namalowany blisko kącika ust.

Och, mamó, co ty robisz?

Remmi z całych sił żałowała, że w ostatniej chwili postanowiła ukryć się w schowku bagażnika. Sądziła, że Didi pracuje, a Seneca, niania bliźniaków, poszła spać do swojego pokoju, gdy dzieci zasnęły we wspólnym łóżeczku. Remmi, której pokój był częścią przerobionego garażu na końcu domu, pomyślała, że jest bezpieczna i nikt do niej nie zajrzy, dopóki mama nie wróci po ostatnim występie, który zwykle miał miejsce około drugiej w nocy. Planowała, że wydostanie się przez okno pokoju z kluczykami, które wcześniej podwędziła z kuchennej szuflady, i zamierzała pojechać w noc rozpadającą się toyotą matki. Okna jej pokoju były wysoko w spadzistym suficie i mogła się do nich dostać, wchodząc na

zagłówek łóżka i gramoląc się do góry, z zewnątrz niemożliwe było wejście tą drogą bez drabiny.

Udało jej się.

Prześlizgnęła się przez wąską szczelinę, zawisła na palcach na parapecie, po czym powoli opadła na pylisty grunt poniżej. Nadal czuć było żar znad pustyni, słońce zaczynało zachodzić.

Wszystko po to, żeby spotkać się z chłopakiem.

Chłopakiem, który zapewne był niezłym ziółkiem. Albo kimś jeszcze gorszym. Ale coś w nim było – coś, co zwróciło jej uwagę i sprawiało, że szumiało jej w uszach, kiedy patrzył na nią tymi swoimi ciemnymi oczami. Nawet teraz gdy leżała w ciasnej przestrzeni, serce waliło jej w piersi, a w gardle zasychało na myśl o Noahu Scotcie. Starszy, o złej reputacji, zdecydowanie nie zostałby zaprobowany przez Didi. A przez to był jeszcze atrakcyjniejszy, uznała. Nie mogła się powstrzymać. Boże, ależ był seksowny. Marzyła o jego dłoniach na swym ciele i wyobrażała sobie, że jego pocałunki wprawiają je w drżenie, nawet w miejscach, o których nie sądziła, że mogą drżeć.

Przestań!

Nie mogła o nim myśleć – fantazjować na jego temat. Nie kiedy utknęła w caddillacu Didi jadącym Bóg wie gdzie.

Wcześniej, zaraz po obiedzie, zabrała kluczyki do toyoty, odczekała, aż Seneca zamknie drzwi pokoju, dała jej jeszcze dziesięć minut, po czym wymknęła się przez okno i zwinnie zeskoczyła na ziemię. Tylko siadła za kierownicą camry (ukradkiem nauczyła się prowadzić i dobrze jej szło, chociaż miała tylko piętnaście lat), kiedy zauważyła, że caddy mamy skręca na podjazd ich domu (znajdującego się w kiepskiej dzielnicy).

Cholera!

Zapadła się w wysłużony fotel kierowcy w toyocie, zerknęła ponad deską rozdzielczą i widziała, że Didi wjeżdża do garażu. W głowie policzyła do trzech, czekając, aż Didi wejdzie do domu. W chwili gdy matka była już w środku, Remmi wślizgnęła się przez otwarte drzwi garażu w nadziei, że zdoła się przedostać do swojego pokoju, jako że dzieliła ją od niego odległość kilku kroków przez krótki korytarz. Gdy Didi wyminie kuchnię, rozumowała Remmi, ona będzie mogła ci-chutko otworzyć drzwi i wejść do pokoju.

Nikt, zwłaszcza matka, nie wymyśliłby tego lepiej.

Tak sądziła.

Serce biło jej głośno, gdy wytężyła słuch z dłonią na klamce i usłyszała wyraźne stukanie obcasów Didi zmierzających w jej stronę.

Cholera!

Nie uciekała na zewnątrz, bo gdyby Didi postanowiła zamknąć drzwi na klucz, Remmi nie mogłaby wrócić do domu, więc cichutko odsunęła się od drzwi garażu i bezgłośnie otworzyła tylne drzwi potężnego auta. Bez namysłu wsiadła na tylne siedzenie caddy'ego i użyła sekretnej wajchy, którą zainstalowała Didi. Oparcie się rozłożyło i Remmi wcisnęła się w ciasną przestrzeń bagażową. Tak samo bez namysłu odszukała zasuwkę, oparcie wskoczyło na miejsce, w chwili gdy Didi wyszła z domu z fotelikiem dla niemowląt.

Remmi, zerkając przez wizjer, wstrzymała oddech i cicho się modliła: *Żeby tylko mnie nie znalazła, och, Boże, proszę, żeby tylko mnie...*

Tylne drzwi caddy'ego się otworzyły. Mamrocząc coś pod nosem, Didi zamontowała fotelik, chyba nie zauważyła, że coś tu nie gra. Szybko wróciła do domu. Remmi sięgnęła do zasuwki, ale nie miała szans na ucieczkę. Niecałą minutę po zamontowaniu pierwszego fotelika Didi pojawiła się ponownie z drugim. Kiedy oba znalazły się na swoim miejscu w samochodzie, Remmi znalazła się w pułapce.

Dopiero wtedy zauważyła, że Didi jest ubrana w swój ulubiony kostium Marilyn Monroe, różowy i błyszczący. Matka usiadła za kierownicą i wsadziła kluczyk do stacyjki. Potężny wóz obudził się do życia, a Didi bez słowa wycofała go z garażu.

Pięć sekund później wrzuciła bieg, dodała gazu i ruszyła w stronę pustyni. Z niemowlakami na tylnym siedzeniu i Remmi ukrytą w bagażniku, Didi gnała, jakby ścigał ją sam diabeł.

Dlaczego?

O co chodziło z tym przebraniem Marilyn?

Dokąd jechała?

Remmi nerwowo przygryzła dolną wargę.

Dokąd, do cholery, jechała?

– Sukinsyn! – Noah kopnął kamień tak mocno, że ten uderzył w wypaczoną ścianę stodoły, robiąc hałas, który sprawił, że śpiący na ganku pies zaszczekał, wyrwany ze snu. Roscoe, mieszanek owczarka z nie wiadomo czym, podniósł narkrapianą, kudłatą głowę, ziewnął, pomerdał krótkim ogonem, by znowu ułożyć się na starym dywaniku, który służył mu za posłanie, z nosem w splowiałej tkaninie i wzrokiem utkwionym w Noahu.

– Nic się nie dzieje – burknął Noah, ale to nie była prawda. Nie w dłuższej perspektywie. Noaha aż świerzbiło do bitki. Miał się spotkać z dziewczyną. Nie byle

jaką, ale taką, którą niedawno poznał nad jeziorem. Nie była w jego typie, wydawała się trochę nerdowata i młoda, ale była bystra i nie czuła się onieśmielona w jego towarzystwie. Córka jakiejś dziwnej tancerki, która przebierała się za znane postacie, pomyślał. Didi Storm. Owszem, tak nazywała się jej matka. Podobnie jak on, dziewczyna nie miała wspomnień związanych z prawdziwym ojcem, widział, że niedługo młoda stanie się olśniewającą piękną. Jej brązowe włosy przetykały pasma w odcieniu miedzianego złota – domyślał się, że powstały naturalnie z pomocą bezlitosnego słońca Nevady. Na długim i prostym nosie miała piegi, oczy natomiast były koloru pośredniego między zielenią a złotem, lśniły inteligencją i poczuciem humoru. Sprawdził ją i dawała tyle, ile sama mogła dostać. Wysoka i szczupła z małymi piersiami i lekko zaznaczonymi biodrami, zdawała się nie zwracać uwagi na to, że nie ma krągłości, jak niektóre dziewczyny, z którymi się zadawał.

W tym ta suka Mandi Preston, która, kiedy pływali w jeziorze, za punkt honoru postawiła sobie przyłgnięcie do niego swoimi wielkimi cyckami. Była kokietką, a jej obfity biust, przytrzymywany tylko przez skąpe czerwone bikini, ocierał się o jego nagą skórę pleców, wywołując natychmiastową reakcję; stanął mu pomimo zimnej wody. Próbował ukryć wzróżd, ale to było niemożliwe, więc Mandi od razu wiedziała, co udało jej się osiągnąć. Dla niej to była zabawa, ale ta dziewczyna go nie interesowała. Nigdy. Potargane blond włosy, szminka w kolorze gumy balonowej i piskliwy chichot sprawiały, że dla niego była zbyt... komercyjna? Jak lalunia z telewizji? Nie, chyba po prostu nieprawdziwa. Wiedział, że jest mądrzejsza, niż to okazuje; widywał przebliski inteligencji, więc drażniło go, że kryje się pod maską głupiego flirtu.

W przeciwieństwie do Remmi.

Mówiła, co ma na myśli, i nie przejmowała się, co sądzą inni. Widziała, co działo się w jeziorze, bo leżała na ręczniku i czytała. Ponad okładką książki przyglądała się, jak Mandi chlapała wodą i ocierała się o Noaha. Uniosła jedną brew i spojrzała mu w oczy, następnie pokręciła głową i zamknęła książkę. Podniosła ręcznik, klapki i małą lodówkę, on poczekał, aż cholerny kutas zacznie współpracować, i podreptał za nią na parking.

– Co? – zapytała, otwierając drzwi toyoty po przejściach, po czym wsiadła do nagrzanego słońcem samochodu.

– Nie wiem.

– Masz rację. Nie wiesz. – Wsadziła kluczyk do stacyjki.

– Masz prawko? – zapytał. Byłby zaskoczony, gdyby miała szesnaście lat.

– Nie twój interes. – Posłała mu chłodny uśmiech i uruchomiła silnik, następnie dodała gazu i wycofała tak szybko, że prawie go potrąciła – na wszelki wypadek odskoczył – a potem, nasunawszy okulary przeciwsłoneczne na długi nos, niemal skosiła tablicę z regulaminem kąpieliska. Zastanawiał się, czy zrobiła to specjalnie, żeby okazać swoje lekceważenie wszelkim przepisom.

A może tylko miał taką nadzieję.

Nieważne. Był nią zaintrygowany i dwa razy jeszcze widział ją nad jeziorem, udawała, że czyta, gdy rozłożył swój sprany ręcznik koło niej. Może naprawdę próbowała skupić się na lekturze, ale jej wzrok cały czas odrywał się od książki w miękkiej okładce, zaczytanej powieści Stephena Kinga, i wpatrywała się w lśniącą w ostrym słońcu wodę jeziora, po którym pływały motorówki, niektóre ciągnęły za sobą narciarzy wodnych, przecinały i burzyły przejrzystą wodę, tworzyły się za nimi spienione fale. Pływający trzymali się blisko brzegu, mamy z dziećmi i nastolatki trzymali się w grupach.

Remmi zwykle zjawiała się sama.

To mu się podobało.

Ona też mu się podobała.

I to go dziwiło.

W końcu była jeszcze nieletnia, a przynajmniej tak mu się wydawało. Na pewno nie miała szesnastu lat, chociaż prowadziła samochód. Była zostawiona sama sobie, pomagała przy niemowlakach, swoim rodzeństwie, pracowała w burgerowni i czekała na rozpoczęcie szkoły. Lubiła komputery, trochę była geekiem, gdy chodziło o sieć, której on w ogóle nie ogarniał.

Mimo to czuł z nią więź, jakby oboje byli podobnie niedostosowani. On nie ukończył szkoły średniej i szybko wyczerpały mu się dostępne opcje, pracował jako sprzętac na placach budowy, co nie dawało żadnych perspektyw. W domu było tak samo. Musiał coś zrobić ze swoim życiem. Ale nie tego wieczora.

Remmi.

W żylach poczuł żar i dał sobie mentalnego kopa, gdy zaczął sobie wyobrażać jej ciepłe usta i miękkie ciało. Cholera, co też mu przyszło do głowy?

Nic dobrego.

Ale nie aż tak złego.

Do licha, kto wie? Może nadawał temu zbyt wielkie znaczenie, ale mówcie, co chcecie, przecież zgodziła się z nim dzisiaj spotkać. W parku niedaleko obrzeży miasta. Zamierzali pojeździć rowerami po pustyni. Sami.

Mimo że dostał szlaban.

ROZDZIAŁ 2

Didi, prowadząc auto, miała ochotę na jeszcze jednego papierosa, ale się powstrzymała. Już złamała niepisane prawo, paląc przy bliźniakach w samochodzie, więc musiała poczekać. Zamiast tego sięgnęła do obszernego schowka, gdzie również trzymała rekwizyty, i z jedną ręką na kierownicy i jednym okiem na drodze, grzebała w środku, dopóki nie znalazła napoczętego opakowania miętówek. Wrzuciła dwie do ust, w nadziei, że podczas spotkania będzie miała świeży oddech.

Na samą myśl jej serce biło milion razy na minutę. Trzymając mocno kierownicę, wygłosiła w głowie mowę motywacyjną. „Dasz radę. Wiesz, że dasz. Tak będzie najlepiej. Dla ciebie. I dla dzieci. Dla każdego”. Ale aż musiała zamrużyć, bo w jej oczach pojawiły się niespodziewane łzy, które próbowała powstrzymać. Nie tylko nie chciała wyglądać na słabą w oczach swoich i jego, ale wołała też nie zniszczyć tak kunsztownie nałożonego makijażu.

Zerknęła na deskę rozdzielczą, żeby sprawdzić, która godzina. Nie mogła tego spięprzyć. Jej następny występ zaczynał się o dziesiątej, a ona obiecała, że się zjawi. I tak będzie. Nic nie może pójść źle. Po prostu nie może. Rozprostowała palce na kierownicy, czując, że są spięte mimo jej najlepszych intencji.

Od miesięcy przygotowywała się do tego wieczoru, odkąd położna powiedziała jej, że urodzi bliźniaki. Nie jedno dziecko, lecz dwoje. O Boże. Chciała zaproponować i przeciwstawić się Senecie, ale kobieta, w której płynęła jamajska krew, była utalentowaną położną i nianią. Wysoka, elegancka, z chytrymi, czujnymi oczami, Seneca umiała trzymać usta na kłódkę oraz pomagać przy ciąży i porodzie bez konieczności udawania się do szpitala pełnego personelu i odwiedzających, którzy wszędzie zajrzeli i mieli długie języki. Nie dałoby się kupić lekarzy, pielęgniarek, asystentek i innych osób za murami prywatnego szpitala – zbyt wielu ludzi musiałoby się o niej dowiedzieć – lecz Seneca, chociaż nie była tania na dłuższą metę, potrafiła milczeć jak grób. Jej dyskrecja wraz z umiejętnościami sprawiała, że była warta zachodu i wydatków, i chociaż Didi tak naprawdę nie mogła sobie pozwolić teraz na położną i nianię, niedługo to się miało zmienić.

Didi może i nie była celebrytką, choć powinna nią zostać, ale obecnie musiała filtrować ludzi, których do siebie dopuszczała, i dbać o bezpieczeństwo swoich sekretów. W przeciwnym razie jej plan mógł się na niej zemścić – a tego nie mogła ryzykować. Musiała myśleć o przyszłości. Nie tylko dla siebie, lecz także dla swoich dzieci. Ponownie szybko zerknęła na tylną kanapę, gdzie gaworzyły małeństwa. Adam i Ariel. Ścisnęło ją w gardle, więc skierowała wzrok na drogę, żeby nie przegapić swojego zjazdu z autostrady. W ciągu kilku minut wypatrzyła wijącą się boczną drogę wysypaną żużlem i jechała pomiędzy opuncjami i jukami, aż dojechała do rozciągającej się gdzie okiem sięgnąć Mojave. Gardło miała ściśnięte i suche jak piasek, który pryskał spod kół cadillaca, gdy wymijała rosnące tu drzewa, jadąc nierówną, ubitą drogą dla motocykli i pojazdów terenowych.

Jedno z dzieci zaczęło płakać.

– Nie teraz – westchnęła. – Proszę, nie teraz.

Żeby o tym nie myśleć, ponownie włączyła radio, ale nawet nie zauważyła, co leci. To nie miało znaczenia. Nerwy miała napięte, ale za godzinę, może wcześniej, ta część jej planu dobiegnie końca. A potem... A potem...? Faza druga. – Pomóż mi, Boże – wyszeptła i pomimo wcześniejszego postanowienia znowu wciśnęła zapalniczkę i odszukała w torbie papierosa.

Tylko jednego.

Brett Hedges trzymał nogę na gazie, jechał, jakby próbował prześcignąć cholerną lawinę. I rzeczywiście tak było. Przetaczała się przez niego burza emocji, napędzała go i ścigała, dreptała mu po piętach, z całej siły chciała go pożreć.

Co też Didi sobie, do cholery, myślała?

Podpuszczała go?

Drwiła z niego?

Groziła, że go wyda, wykorzystując do tego dziecko?

Przed oczami stanęła mu jej piękna twarz. Figlarne zielone oczy, pełne, wilgotne usta, wysokie kości policzkowe i niegrzeczny, kuszący uśmiech, który był w połowie niewinny, w połowie zmysłowy. Kuszyła go seksowną, stylową postawą i ciałem, drażniła się z nim, zarzuciła na niego przysłowiową przynętę i złapała go na haczyk.

Najgorsze w tym było to, że zapewne ponownie podda się jej urokowi, chociaż znał już konsekwencje.

Może...

Pył wznosił się za oponami mustanga, silnik ryczał, gdy tak pędził przez pustynię, a za nim zniżało się słońce, na horyzoncie lśniło Las Vegas, na ciemnym niebie zaczęły ukazywać się niezliczone gwiazdy. Jechał na jakieś głupie spotkanie, przy którym się upierała.

Powiedział jej, że przyjedzie do miasta, spotkają się w pokoju hotelowym w jednym z dużych kasyn, ale nie. Chciała się z nim widzieć na cholernej pustyni Mojave.

To nie miało sensu. Było niemalże szalone.

Ale przecież Didi była panikarą, więc jechał teraz po nierównym gruncie, którego nie da się nazwać drogą, pośrodku pieprzonej pustyni w Nevadzie. Czuł drętwienie karku, to uczucie zawsze było znakiem ostrzegawczym, który mówił mu, że zgadzając się na jej żądania, popełnia duży błąd, może kolosalny, zapierający dech w piersi błąd oceny.

Zerknął na siedzenie pasażera, gdzie leżała jego aktówka. W środku były pieniądze dla płatnego mordercy. Obok nich pistolet. Glock G-19. Z piętnastoma nabojami w magazynku.

Na wszelki wypadek.

Jego tylne zęby zazgrzytały o siebie, na szybie rozbiły się owady, a pył wypełniał mu nozdrza.

Cholera, cholera, cholera!

Walać pięścią w kierownicę, myślał o różnych scenariuszach, zawsze złych, w których pokazuje jej, gdzie jest jej miejsce. Na myśl o tym, że odpłaci się tej kłamliwej suce, która niecały rok wcześniej dawała mu swoje wilgotne usta i gorącą cipkę, kobiecie, która, jak się okazało, była równie szalona, co seksowna, równie przebiegła, co ponętna, której nigdy nie powinien był dotykać, a co dopiero z nią sypiać. Cholera, co za syf, a on się znajdował w samym jego środku.

Ale nie odpuści bez walki, pomyślał, słysząc pierwsze nawoływania samotnych kojotów, głośniejsze niż warkot silnika mustanga. W sfatygowanej aktówce miał małą niespodziankę dla Didi. Niektóre banknoty nie były prawdziwe, zamiast nich wioził niemal doskonale podróbki, czego ona nie będzie mogła wykryć, dopóki nie zbada każdego ze schludnie pospinyanych plików. Profesjonalnie przygotowanych. Zanim zrozumie swój błąd, będzie za późno. Nie będzie mogła polecieć z tym do glin, nie przyznając się do próby wymuszenia i sprzedaży niemowlęcia. Nie był pewien, jak to jest ujęte w przepisach prawa, ale to, na co się poważyła, przypominało handel ludźmi, nawet jeśli był ojcem dziecka.

Prawda? Może.

Czy to miało jakieś znaczenie? Nie.

Rezultat będzie taki, że zostanie pozbawiona możliwości manewru oraz pieniędzy. Na samo wyobrażenie aż się uśmiechnął. Didi dostanie to, na co zasłużyła, oszustka stanie się symbolem. Wszystko to miało ironiczny i satysfakcjonujący posmak, chociaż martwił się tym, że pomiędzy fałszywki powkładał prawdziwe pięćdziesiątki i setki. Konieczny wydatek w jego biznesie.

Żałował tylko, że nie może zmienić się w muchę siedzącą na ścianie, kiedy Didi odkryje, że to ona została okantowana.

Na tę myśl uśmiechnął się i po raz pierwszy, odkąd wynajął ten samochód w LA, zrobiło mu się miło, gdy poczuł na karku ciepło zachodzącego słońca.

W tyle cadillaca Remmi powstrzymywała wymioty. Samochód pędził, silnik warczał, a Didi nie zważała na to, że wjeżdża na kamienie i w dziury, które sprawiają, że auto podskakuje. W części bagażowej panował niemilosierny upał, powietrze stało w miejscu, a Remmi trzymała się uchwytów po obu stronach ciasnego przedziału, zamontowanych dla Didi, która ukrywała się w tej ciasnocie podczas swoich występów. Teraz pomagały Remmi chronić głowę i zaklinowane ciało, żeby nie uderzały w boki auta i sufit. Głowa wciąż bolała ją po pierwszym razie i nie mogła ryzykować, że Didi usłyszy podejrzany dźwięk, chociaż ten scenariusz wydawał się naciągany, jako że jechała teraz jak wystrzelona z procy do miejsca, które znała tylko ona. Im dłużej trwała ta podróż, tym gorzej Remmi się czuła i tym bardziej się bała. Była pewna, że Didi zabiera bliźniaki w jakieś nie-dobre dla nich miejsce.

A jeśli próbowała się jakoś pozbyć Ariel i Adama?

Remmi ścisnęło się serce, ale nie do końca w to wierzyła, ponieważ wyczuwała, że jej matka naprawdę kocha te niemowlęta, nawet jeśli nie miały ojca i Didi Storm, czyli Edwina Maria Hutchinson, znowu wcieliła się w rolę samotnej matki. Trwała przy Remmi mimo braku męża; z pewnością zrobiłaby to samo dla bliźniaków. A może nie? Czyż Didi nie posunęła się do nadzwyczajnych środków, żeby ukryć ciążę? Przez pierwsze miesiące nosiła ciasne pasy wyszczuplające, co w połączeniu z jej porannymi, popołudniowymi i wieczornymi mdłościami sprawiało, że rzadko gdzieś wychodziła, a gdy dzieci zaczęły rosnąć w jej łonie, zupełnie przestała pracować, powołując się na jakąś tajemniczą chorobę, po czym urodziła dzieci w domu z pomocą położnej Seneki i Remmi w roli jej asystentki. Przypominając sobie poród, Remmi poczuła jeszcze większe mdłości. Gdy oba noworodki zaczęły same oddychać, zapłakały i zostały obmyte, ich pępowiny zostały odcięte, łożysko i krew usunięte, Remmi rozkoszowała się cudem narodzin i stworzeniem doskonałych, małych ludzi, lecz podczas fazy parcia i samego porodu prawie zwymiotowała.

Didi szybko pokochała bliźniaki, chłopca i dziewczynkę, i nadała im imiona, Adam i Ariel, ale wciąż trzymała je w tajemnicy, radząc Remmi, by też nigdzie o nich nie wspominała. Chodziło o jakieś niewypowiedziane zagrożenie dotyczące złamania przepisów, chyba brak aktów urodzenia, więc Didi ostrzegła córkę, że mogą im dzieci „odebrać” i „oddać do rodziny zastępczej”, co prawdopodobnie było stekiem bzdur, lecz Remmi posłusznie trzymała język za zębami.

A teraz to. Sekret jechał przez pustynię w cadillacu ubrany w najbardziej efektowny kostium? To nie miało sensu. Remmi wiedziała, że coś jest nie w porządku, czuła, że nic dobrego z tego nie będzie. Ale jaki plan miała matka? Remmi nie wątpiła, że Didi jakiś miała, i prawie zapukała w panel oddzielający jej ciasną kryjówkę od tylnego siedzenia, ale powstrzymała się w ostatniej chwili. Gdyby Didi dowiedziała się, że jej najstarsza córka się ukryła i stała się częścią intrygi, którą uknuła, straciłaby nad sobą kontrolę i zapewne znowu by ją uderzyła, więc Remmi ugryzła się w język i próbowała nie zwracać uwagi na ból głowy wzmagający się pod wpływem piosenki słuchanej przez Didi, gitary i bębny dudniły w głośnikach zamontowanych w bagażniku.

Ale kiedy muzyka nie cichła, powietrze wypełniło się dymem papierosowym, a upał nie odpuszczał, Remmi o mały włos się nie poddała i nie załomotała pięścią w panel. Już miała to zrobić, kiedy Didi wyłączyła radio, samochód się zakoleśniał w ostrym skręcie, nadal podskakując na nierównej nawierzchni, i trochę zwolnił. Zaraz miało się rozpocząć to, co wymyśliła Didi.

Remmi z przejęcia przygryzła wargę. Didi była wyraźnie zdenerwowana. Nigdy nie paliła, chyba że okropnie się stresowała, poza tym nie robiła tego przy dzieciach. Dziewczyna nie wiedziała, co się dzieje, ale musiało to być bardzo, bardzo złe.

Może powinna się ujawnić?

A jeśli stanie się tu coś strasznego?

Uspokoila się myślą, że Didi nie naraziłaby dzieci, swojego przerobionego samochodu i samej siebie na ryzyko, ale co tak naprawdę ona wiedziała? Didi miała skłonność do teatralnej przesady i chociaż mogło zależeć jej na ocaleniu własnej skóry, ostatnio, od narodzin bliźniaków, zachowywała się dziwnie. Teraz znowu odpalała papierosa, co było pewną oznaką zdenerwowania. Tak, Didi paliła, ale nie jednego po drugim, a jej zacisnięte szczęki, drobne zmarszczki w kącikach pomalowanych błyszczkiem ust widoczne w lusterku świadczyły o powadze tej chwili.

Remmi zaczęło brakować powietrza, próbowała się uspokoić, wmawiała sobie, że wszystko będzie dobrze, że Didi dopisywało szczęście i zawsze lądowała na

czterech łapach. Miała nadzieję, że i tym razem tak się skończy.

Na grani z widokiem na pustynię Mojave czekał snajper.

Cierpliwie.

Sprawdzając celownik holograficzny swojego karabinu i upewniając się, że jest wymierzony w punkt, czuł na plecach zachodzące słońce. Remington spoczywał na niskim trójnogu i wycelowany był w pustynię, gdzie wśród nielicznych roślin krzyżowały się ślady motocykli, quadów i SUV-ów. Wieczór był gorący, dał się czuć jedynie lekki wiaterek.

Już prawie koniec.

Rzut oka na martwe ciało leżące twarzą w dół, plamiące piasek krwią, potwierdził fakt, że akcja trwa w najlepsze.

Odwrócił się tyłem, żeby jeszcze raz upewnić się, że nie ma tu skorpionów ani grzechotników powszechnie występujących na tej części pustyni. Zajrzał w zagłębienia i występy skalne wokół swojej kryjówki, ale było czysto. Zajmując pozycję, zignorował niewielką smugę krwi ciągnącą się ku niemu po stoku i nie nasłuchiwał dźwięków zapadającej nocy, owadów i wycia kojotów. Musiał się skupić, a gdy to się stało, w jego głowie pojawiła się piosenka.

Jak zawsze.

Ilekczo musiał się skoncentrować, do jego mózgu wsączały się modlitwy i rymowanki z młodości, rytm i melodie go uspokajały, choć niektórzy mogliby uznać to za hipokryzję lub herezję, a może i coś gorszego, skoro częścią jego planu działania były pieśni religijne i patriotyczne wierszyki. Miał to gdzieś. Musiał oczyścić umysł, skupić wzrok i uspokoić rękę. Nie wybrał tej mantry, ona wybierała jego, dzień za dniem, zmieniając się jak pory roku, niezmienna jak wschodzące słońce. Pewnego razu w głowie zabrzmiała mu modlitwa:

Ojcze nasz, któryś jest w niebie,

Święć się imię Twoje...

Innym razem pieśń, którą ledwie pamiętał z wakacyjnej szkółki biblijnej:

Jezus mnie kocha,

Dobrze o tym wiem,

Biblia o tym mówi,

Że On kocha mnie...

Dzisiaj jednak pojawiło się coś innego, prosty, wpadający w ucho refren, co było wręcz doskonałe:

Światelko małe mam, niech świeci dzisiaj nam.

Światelko małe mam...

Cała jego rodzina byłaby przerażona, wiedząc, że wykorzystywał te piosenki, powiedzonka i modlitwy do uspokojenia myśli, ale czy to miało jakieś znaczenie? Czasami nawet przywoływał jakąś modlitwę po łacinie, w martwym języku, którego musiał się uczyć pod wpływem ultrareligijnej babci, która została wychowana w religii rzymskokatolickiej, zanim odnalazła swoją wiarę. Mimo wstąpienia do sekty ewangelizatorów wciąż tkwiła w pułapce swoich katolickich korzeni, między innymi upodobania do łaciny. Babcia. Niech spoczywa w pokoju.

– *Requiescat in pace* – łagodnie powiedział na głos, nie w intencji martwego człowieka na dole, na pustyni, lecz w intencji kobiety o bladych ustach, kręconych włosach i skórze o kolorze i fakturze suszonej wołowiny, która albo groziła mu palcem, albo śmiała się pełną pierśią z szeroko otwartymi ustami, błyskając złotymi koronami w świetle ognia. Żaloszna, bogobojna i komiczna stara wiedźma. *Requiescat in pace* – powtórzył, po czym splunął na ziemię, odganiając pająka, który pospiesznie ukrył się pod pobliskim kamieniem.

Już niedługo.

Na sekundę zamknął oczy.

Nasłuchiwał.

Miał wrażenie, że słyszy zbliżający się samochód. Tak, oto on... i jeszcze jeden? Z przeciwnej strony? O, tak...

Nie mógł powstrzymać się od uśmiechu, otworzył oczy, rozejrzał się po pustyni, żeby namierzyć światła aut oraz unoszące się chmury pyłu.

Usłyszał wyraźny warkot silnika. Położył palec na spuście.

I wtedy zobaczył niewielki błysk światel samochodu nadjeżdżającego ze wschodu.

Jechał szybko.

W samą porę.

ROZDZIAŁ 3

– Mam cię. – Brett wbił wzrok w światła samochodu, dwa punkty niczym złote oczy na pustyni, które powoli zbliżały się do niego.

Kierowca samochodu jakby go usłyszał, bo pojazd zwolnił, koła przejechały po kępie kaktusów, pastelowy zderzak zalsnił w ostatnich promieniach zachodzącego słońca. Z pewnością to była Didi, nadjeżdżała swoim ogromnym cadillakiem kabrioletem, z którego korzystała podczas występów.

Oczywiście.

Musiała mieć wielkie wejście.

Zawsze. Nieważne, jak poważna była sytuacja. Ale może nie zdawała sobie sprawy z jej powagi. Ponownie zerknął na siedzenie pasażera. Zastanawiał się, czy da radę to zrobić. Zastraszenie jej będzie dość proste, ale czy naprawdę zdoła pociągnąć za spust?

Przypomniwał sobie ich pierwsze spotkanie, które miało miejsce dziesięć miesięcy temu. Wszystko zaczęło się od tego, że wysłał wiadomość do jej garderoby. Pojechał, żeby zobaczyć jej występ za radą kumpla. Chociaż kasyno było jednym ze starszych, nieco zapuszczonych lokali z lat pięćdziesiątych i mówiono, że zostało sprzedane i niedługo będzie zburzone, poczuł w tym miejscu powiew nostalgii. Zamówił podwójne martini, po czym, gdy przyniesiono mu drinka, zwrócił znudzony wzrok na scenę.

Kurtyna poszła w górę i, ku jego zaskoczeniu, występ od razu przykuł jego uwagę. Aż go zatkało, gdy po raz pierwszy zobaczył, jak się magicznie „pojawia”, w pozornie pustym, lśniącym, perłowo-białym cadillacu, którego lakier był tak błyszczący, że wyglądał jak mokry. Didi w cekinowej sukni z blond peruką i ustami w kolorze gumy balonowej tak bardzo przypominała Marilyn Monroe, że aż musiał spojrzeć na nią po raz drugi. Przyjrzeć się dokładnie. Rany, była wystrzałowa.

Siedział w pierwszym rzędzie, jego stolik niemalże dotykał sceny, mógłby przysiąc, że go zauważyła, że spojrzenia, które mu posyłała, były znaczące. Zinterpretował je jako prowokacyjne zaproszenie, więc w głowie pojawiły mu się różnego rodzaju erotyczne obrazy. Wypił trzy lub cztery kieliszki martini pod-

czas jej występu, nie odrywając wzroku od seksownej artystki, która tymczasem zmieniała kostiumy, wcielała się w inne celebrytki oraz śpiewała i występowała, roztaczając wokół siebie magiczny urok.

Brett był oczarowany. Idiotycznie, jak już wiedział. Wysłał jej wiadomość do garderoby przez kelnera, a następnie, kiedy pojawiła się w rajstopach i błyszczącej tunice z paskiem, bez makijażu scenicznego, wyglądając młodziej, bardziej niewinnie i nawet piękniej, postawił jej więcej niż kilka drinków. Została obdarzona świeżą urodą i niewiele trzeba było, żeby usłyszeć jej miękki, seksowny śmiech. Jej duże oczy lśniły. Może przez wypity alkohol? Kto wie? Rezultat był taki, że spędzili ponad tydzień ze sobą, głównie w jego apartamencie hotelowym ze wspaniałym widokiem na całe miasto. Stracił rozsądek dla tego, co w rzeczywistości okazało się zaledwie kilkoma nocami, ale wystarczyło, żeby uwikłać go na zawsze.

Z perspektywy czasu wyszło na jaw, że uwodzenie było częścią większego planu, który przerodził się w próbę wymuszenia. Prawdopodobnie od samego początku miała go na oku, a on był tak głupi, żeby sądzić, że udało mu się ją nabrać, podając zmyślane nazwisko i nieprawdziwe informacje o sobie. Wyglądało na to, że cały czas wiedziała, że nie jest tym, za kogo się podaje, że nawet dowód osobisty, który „beztrosko” zostawił w portfelu, jest fałszywy.

Jednej nocy w tamtym tygodniu, już nad ranem, poczuł, że ona wymyka się spod kołdry i na paluszkach podchodzi do biurka, na którym położył portfel. Przez zmrużone oczy patrzył, jak go otwiera i przegląda zawartość. W pokoju było raczej ciemno, jedyne źródła światła stanowiły mały cyfrowy wyświetlacz na telewizorze i podświetlany zegarek oraz łagodny blask wpadający przez okno, przesączaający się przez rozchylone żaluzje, neony Las Vegas wprowadzały w półmrok pomieszczenia niesamowity poblask. Spodziewał się, że wyjmie gotówkę lub jedną z jego kart kredytowych i wsunie je do swojej torebki. Ale się mylił. Przejrzała tylko wszystkie karty, nie wiedząc, jakie kwoty są do nich przypisane, żadnej nie zabrała ani ich nie sfotografowała. Cicho jak myszka odłożyła jego rzeczy na miejsce, poklepała jedynie jego portfel, jakby na szczęście lub w geście sympatii, po czym wróciła do łóżka.

Teraz już wiedział, ale w tych wczesnych godzinach porannych, kiedy wtuliła się w niego swoim sprężystym ciałem, dociskając gładki tyłek do jego krocza, ufał jej i doznał erekcji. Wtuliła się jeszcze bardziej, ocierała się o jego kutasa, wydając przy tym ciche pomruki, a on położył dłoń na jej niesamowitej piersi. Poczul twardej brodawkę, jęknął, po czym przygwoździł ją do łóżka i wbił się w jej jedwabistą, wilgotną intymność. Stosunek był namiętny i gwałtowny, nawet te-

raz, prowadząc, znając jej przebiegłość, nienawidząc siebie, poczuł poruszenie między nogami.

Po tamtej nocy, kiedy zostawiła jego portfel na biurku, ich romans kwitł jeszcze przez cztery czy pięć nocy, po czym on wyjechał z miasta, obiecując zadzwonić, by nigdy nie spełnić tej obietnicy. Uznał, że była przelotnym zauroczeniem. Niczym więcej. Częścią szalonego, erotycznego tygodnia jego życia, który będzie od czasu do czasu wspominał, uśmiechał się i zastanawiał, co też się z nią stało. Być może wyszuka ją przez Internet lub jakoś inaczej, może spróbuje ponownie się skontaktować, ale w to nie wierzył, bo w głębi serca miał świadomość, że wiąże się z nią kłopoty, z którymi nie chciał mieć do czynienia.

Przez większą część roku nie miał od niej żadnej wiadomości.

Aż do tego nieszczęsnego telefonu, kiedy dowiedział się, że jest tatą. I że znała jego prawdziwą tożsamość i to, że jego rodzina była nadziana.

Nigdy nie kupiła jego ściemy, że jest singlem, sprzedawcą w firmie sprzedającej zaawansowane technologie, który przyjeżdżał w tę okolicę w sprawach służbowych. Dał jej jasno do zrozumienia, że chce się zabawić i to wszystko, a ona zachowywała się tak, jakby to rozumiała – żadnych zobowiązań.

A potem, gdy upłynęły trzy czwarte roku, zrzuciła na niego bombę, że został ojcem chłopca, a ona dysponuje dowodem w postaci testu DNA.

Może.

Wszystko to śmierdziało mu próbą oszustwa.

Był pewny, że to pułapka. Od samego początku.

Ale koniec z tym.

Dziś to się skończy.

Teraz lub nigdy.

Didi wypatrzyła nadjeżdżający samochód, w ustach zrobiła jej się pustynia, taka sama, jak pod kołami auta. Dzieci. Jej dzieci. Czyżby popełniała wielki błąd?

– Dasz radę – powiedziała z determinacją. Tak, to był największy numer, jaki miała zrobić w życiu, więc tak, denerwowała się, ale już niedługo wszystko się skończy. Z głośno bijącym sercem wytłumaczyła sobie, że powinna czuć radość zamiast obawy, ale jeden z maluchów zaczął płakać, więc musiała stłumić ten dźwięk ze strachu, że z cholernej piersi pocieknie jej mleko i popłami sukienkę mimo bielizny, która niby gwarantowała, że przed tym zabezpiecza. Rany, jak to możliwe, że jej życie przybrało taki obrót, wszędzie tylko oszustwa i kłamstwa? Kiedyś była dziewczyną ze wsi z Missouri, przepełniał ją entuzjazm i nadzieja,

lecz Edwina Maria Hutchinson zmarła nagłą śmiercią, w chwili gdy skończyła osiemnaście lat, wsiadła w autobus, który wywiózł ją z miasteczka nazywanego przez nią domem, a dwa dni później wylądowała na słodkiej kalifornijskiej ziemi. W tej chwili Edie, jak na nią mówili i co nawet ochoczo wyhaftowała sobie na obcisłym sweterku cheerleaderki, umarła nagłą śmiercią i narodziła się Didi Storm.

Już jako osiemnastolatka wiedziała, że ma twarz anioła i ciało diablicy, była przekonana, że zgodnie ze swoim nowym nazwiskiem jak burza podbije przemysł rozrywkowy, co było jednym z powodów, dla których je wybrała. Didi Storm. Doskonale brzmiało, prawda? Jednakże, jak wiele innych, które wierzyły, że wszyscy tylko na nie czekają, bardzo się myliła i okrutnie rozczarowała. Nie, jej nazwisko nie stało się marką jak Meg Ryan, Demi Moore, Jeniffer Aniston, Julia Roberts i inne. Było mnóstwo kobiet, które stały się rozpoznawalne, a Didi była zdeterminowana, żeby zostać jedną z nich. Zaczynała na samym dole, przyjmowała małe rólki w operach mydlanych, nagrywała reklamy, robiła wszystko, żeby tylko znaleźć punkt zaczepienia do sławy. Ale nie wypaliło, wszystko poszło się walić, myślała gorzko, pędząc cadillakiem przez pustynię. Ponieważ głupio... głupio dała sobie zrobić dziecko i wszystkie jej marzenia obróciły się wniwecz, a raczej w stopy brudnych pieluch, zlewy pełne butelek do karmienia i długie, bezsenne noce spędzone z córeczką.

Gdyby nie była taka głupia i nie została nastoletnią matką, na pewno zostałaby kimś, wciąż była tego pewna. Zamiast tego pracowała jako kelnerka w podrzędnym barze, chodziła na castingi i kołysała cierpiące na kolkę niemowlę, gapiąc się w telewizor w kawalerce, którą wynajmowała w Sherman Oaks. Napiwki były spoko, przynajmniej nie musiała zniżać się do kupczenia ciałem lub występowania w filmach porno, przyjmując imię z co najmniej jedną literą X. Nie, jakoś sobie radziła. Nocami, chociaż była wykończona, oglądała niezliczone stare filmy i uczyła się naśladować gwiazdy srebrnego ekranu. Marilyn Monroe łącząca niewinność, powab seksualny i chropawy głos, szybko stała się jej ulubienicą, więc ćwiczyła każdy gest tej jasnowłosej seksbomby. Ale Didi nie poprzestała na Marilyn, ponieważ godzinami oglądała MTV i wyświetlane tam klipy. Nagrywała ulubione, następnie puszczała je w koło, studiowała ruchy w tańcu i style śpiewania podziwianych artystek. Najlepsza była Cher, ale Whitney Houston, Madonna i Joan Jett znajdowały się tuż za nią. Didi uwielbiała najbardziej ekstrawagancie, najbardziej niezależne gwiazdy pop i rocka, które ubierały się tak, jak chciały, we wspańiale, niesamowite kostiumy, były pyskate i wygadane – te kobiety naśladowała, gdy siedziała w domu uziemiona z chorowitym maleństwem.

Tak, wybierzcie sobie swoją truciznę, chłopcy, myślała, Didi potrafi wszystko. I tak leciały lata. Wszystko przez to, że wypła za dużo kiepskiej tequili i zapomniała o ostrożności. Skończyła jako matka z kacem, którego nigdy już się nie pozbyła, biorąc pod uwagę fakt, że tamtej nocy poczęła Remmi.

Córkę, która nie dała jej szansy znalezienia się na szczycie.

Ciąża była początkiem jej upadku.

Gdyby nie zaciążyła, kto wie, jak mocno zalśniłaby jej gwiazda. A tak to zaszyła tylko poprzez kąpanie się i odbijanie blasku znacznie większych celebrytek.

– Cholera – wymamrotała pod nosem i powiedziała sobie, że to dało jej nauczkę. Teraz wiedziała, jak wykorzystać dziecko, żeby dostać to, na czym jej zależało. Musiała tylko jeszcze przez chwilę trzymać nerwy na wodzy.

Zaczęła występować jako sobowtór, żeby mieć na jedzenie i czynsz, ale wciąż marzyła o karierze i miała nadzieję, że jej talent zostanie odkryty. To było tylko tymczasowe rozwiązanie, dopóki nie zostanie odkryta i wyniesiona na szczyty, ale teraz, prawie piętnaście lat później, gdy zaczynała siwieć, jej piersi traciły jędrność, a skóra nie była aż tak napięta jak dawniej, ona nadal występowała z tym samym programem w Mieście Grzechu.

Ale już niedługo.

Oj, nie.

Ten wieczór wszystko zmieni.

Zmrużyła oczy, żeby spojrzeć na zbliżający się samochód – mustang, jak jej się wydawało, pędził po suchej powierzchni. Z każdą sekundą coraz bliżej. Na tyle blisko, że mogła zobaczyć kierowcę, ciemną sylwetkę mężczyzny, któremu miała utrzyć nosa.

– Zaczyna się.

Zwolniła i zatrzymała się jakieś sześć metrów od mustanga. Jego światła rzucały złowieszczy, żółty blask w chmurze pyłu, który wzbily w powietrze oba samochody.

– Boże – wyszeptała, po czym odwróciła się do tyłu i zwróciła do marudzących niemowląt. – Przedstawienie się zaczyna. – Następnie, gdy dzieci zaczęły płakać, wyszła z auta i otworzyła tylne drzwi. – Cii, cii, cii, maleństwa – szeptała, rozpinając pas zabezpieczający jeden z fotelików. – Cichutko. Zaraz poznacie tatusia.

Co?

Tatusia? Czy to właśnie powiedziała Didi?

I co miała na myśli, mówiąc „przedstawienie”?

Remmi nie wierzyła własnym uszom. Czy jej matka naprawdę zabrała bliźniaki na środek cholernej pustyni, i to o zmroku, żeby poznały ojca? Nawet jak na przeginającą królową dramy Didi Storm to było za wiele.

I kim był ten facet?

Gdy drzwi samochodu zamknęły się z głośnym trzaskiem, Remmi przesunęła się, żeby lepiej widzieć przez szczelinę pomiędzy tylnymi siedzeniami, ale przez zakurzoną przednią szybę widziała tylko światła drugiego samochodu.

Didi nigdy nie wymieniła imienia ojca bliźniąt, chociaż Remmi ciągle ją o to pytała, podobnie jak o własnego ojca, ale aż do tej chwili Didi milczała jak głaz w kwestii ojcostwa swoich dzieci.

– Czasem lepiej nie wiedzieć – zapewniała. Była równie tajemnicza, gdy Remmi chciała wiedzieć, czy jej ojciec wiedział o jej istnieniu. Nigdy nikt nie zająknął się na jego temat, więc zakładała, że nie wie, iż ma córkę. Ze względu na Didi, która o mężczyznach jak mantrę powtarzała „Niech zgadują” i „Im mniej wiedzą, tym więcej będą chcieli wiedzieć. Każdy chce wywęszyć jakiś sekret”. W opinii Remmi Didi opanowała to do perfekcji. Życie Didi przypominało sekretny pamiętnik, na pewno nie było otwartą księgą, a i te sekretne zapiski zostały pozbawione kilku stron.

– Kobieta potrzebuje aury tajemniczości, żeby zainteresować sobą mężczyznę – poradziła kiedyś swojej najstarszej córce. – W przeciwnym razie będzie obwąchiwał każdą napaloną sukę, która się nawinie. Wiesz, o co mi chodzi? – Następnie znacząco puściła oko. Didi była w scenicznym kostiumie, swoim ulubionym lśniącym stroju Cher, samej siateczce z cekinami, głębokimi wycięciami i w obfitej czarnej peruce. Siedziała przy toalecie w „garderobie”, która była zaledwie większym schowkiem. W lustrze napotkała ciekawskie spojrzenie Remmi, gdy nakładała błyszczący na usta. – Rozumiesz?

– Jasne. – Remmi przytaknęła, bo wiedziała, że każda inna odpowiedź spotkałaby się ze złością matki.

– Pamiętaj o tym – rzuciła Didi, wstając i przyglądając się sobie w lustrze. Strzepnęła z ramienia jakiś paproch, następnie, zadowolona ze swojego wyglądu, dodała: – Czekał tutaj. Wrócę po pierwszym secie i zawiozę cię do domu. – Po tych słowach wyszła, zostawiając Remmi samą w małym pokoiku, gdzie ta, bawiąc się cennymi produktami do makijażu należącymi do matki, zauważyła, że wszystkie te teorie na temat życia, miłości i zwłaszcza mężczyzn tak naprawdę niewiele znaczą, ponieważ z całą pewnością nie zadziałały na Didi, czego dowodem były nieudane romanse, które przez chwilę rozpały wielki ogień, a potem dławiły się i szybko wypały. Przede wszystkim przez wybuchowy cha-

rakter Didi, ale także dlatego że, w ocenie Remmi, matka zawsze wybierała przegranych, nigdy porządnych facetów. Za każdym razem mężczyzna, o którym Didi mówiła, że to „ten jedyny”, po kilku miesiącach zyskiwał miano „chorego, pieprzonego drania”. Wszyscy nieodpowiedni.

Przemknęła jej myśl o Noahu i z bólem serca i większą przenikliwością, niż chciała, zaczęła się zastanawiać, czy jej pociąg do niego jest genetyczny, czy odziedziczyła po matce fascynację i słabość do nieodpowiednich dla siebie mężczyzn.

Nawet o tym nie myśl. Nie mogła teraz marzyć o Noahu ani niczym innym niż dramat rozgrywający się przed nią. Przez szparę widziała plecy matki poruszające się na tle świateł cadillaca. W butach na szpilkach, z blond peruką i w opiętej sukience szła przed siebie, niosąc w jednej ręce fotelik z niemowlęciem.

Co, do cholery, zamierzała zrobić?

W dusznym sekretnym schowku Remmi się pociła, a jej serce biło milion razy na minutę. Nawet ta odrobina powietrza wpadająca spomiędzy tylnych siedzeń, jako że Didi zostawiła otwarte drzwi, nie dawała chłodu ani nie koila jej niepokoję. Przygryzając wargę, Remmi zastanawiała się, czy ma dość odwagi, żeby wyjrzeć zza przegrody i zyskać lepszy widok na matkę i jej poczynania poza miejscem, które oświetlały przednie światła auta. Może nawet powinna wysiąść z cadillaca i zażądać odpowiedzi na pytanie, co matka robi z jednym z bliźniaków.

Cokolwiek to było, musiało być złe. Remmi to czuła.

Ale gdyby się ujawniła, Didi wpadłaby w szal. Dosłownie wyszłaby z siebie. A to, co knuła, trafiłby szlag. Nie, musiała pozostać w ukryciu. Tak było najbezpieczniej. Dla niej. I dla jej braciszka i siostrzyczki. O, Boże, taką miała nadzieję.

Ale gdy Didi coraz bardziej się oddalała, Remmi w duchu zmówiła modlitwę błagalną, żeby to, co robi matka, nie zmieniło się w katastrofę.

Chować się pod korcem?

Nie!

Niech świeci.

Chować się pod korcem?

Nie!

Niech świeci....

Zabójca bezgłośnie wyszeptał znajome słowa podnoszącej na duchu, głęboko zakorzenionej w mózgu piosenki, patrząc przez wizjer karabinu. Wszystko szło

doskonale, rozgrywało się dokładnie tak, jak go wcześniej poinformowano.

Cóż, wszystko poza tym martwym facetem.

Tego nie mógł przewidzieć.

W tej chwili nie przejmował się trupem. Zajmie się nim później. Teraz musiał się skupić.

Zobaczył, że oba samochody się zatrzymały, dzieliło je jakieś sześć metrów, stały zwrócone do siebie maskami. Skrzywił się, gdy rozpoznał kobietę, wydatne kształty w błyszczącej sukience i niedorzecznie wysokich szpilkach. Wysiadła już ze swojego klasycznego cadillaca, zostawiła otwarte drzwi, więc w środku zapaliło się słabe światło.

Wycelowwał w nią i spowolnił bicie swojego serca. Musiał zachować spokój i równowagę.

Odrobinę przesunął lufę. Widział, że pochyla się nad tylnym siedzeniem i wyjmuje fotelik dla niemowląt, wyglądał na ciężki, jakby w środku było dziecko. Następnie obeszła samochód i otworzyła drzwi naprzeciwko i wyjęła drugi fotelik. Ten też był ciężki.

Zwinnym ruchem zamknęła drzwi kopniakiem.

Z oddali, oprócz wycia samotnego kojota, usłyszał wysoki dźwięk silnika motocykla. Kierowca nie oszczędzał pojazdu. Kątem oka dostrzegł chmurę pyłu na końcu doliny. No nie. A potem jego uwagę przyciągnął błysk pojedynczego reflektora w ciemności.

Nie.

Nie teraz.

Nie pozwól, by cię wybił z rytmu. To tylko jakiś świr motocyklowy. To nie ma nic wspólnego z twoją robotą.

Ale kierowca mógł zostać świadkiem.

Podobnie jak martwy mężczyzna.

Jeszcze raz zerknął na nieproszonego gościa, którego musiał zabić.

Skup się.

Zajmiesz się sytuacją, gdy będzie stanowiła problem.

Na jego czole pojawiły się kropelki potu, powoli wypuścił powietrze z płuc.

Lekka bryza przyniosła odgłos cichego jęku, aż przeszedł go dreszcz. Ponownie zerknął na trupa. Nie ruszał się. Był cicho. To nie ten facet odetchnął pięć sekund temu. Przecież dostał strzał prosto w serce. Albo bardzo blisko niego. Nie żył. Na pewno.

Mimo to skóra zabójcy pokryła się gęsią skórką, gdy rozległ się ten niski, gar-
dłowy odgłos gdzieś na poziomie suchej ziemi, ale jego ciało się nie poruszyło.

Duch?

Ktoś jeszcze ukrywał się w zacienionej okolicy?

Przełknął strach i wpatrywał się w kaktusy, zarośla i skały sterczące z ziemi, ale nie zauważył żadnego ruchu. Z wysiłkiem skupił wzrok na scenie rozgrywającej się w dolinie poniżej.

Kropla potu spłynęła z jego czoła i dalej wzdłuż szczęki, ale ją zignorował. Otworzyły się drzwi kierowcy mustanga i ze środka wysiadł wysoki mężczyzna niosący coś, co przypominało aktówkę. Zostawił otwarte drzwi, w środku światło było przytłumione, ale nieruchome, i ruszył w stronę kobiety.

Zaczynamy.

Palec już trzymał na spuście.

Jeszcze nie.

Czekaj.

Najpierw musi dojść do wymiany. Pamiętaj. I nie traf w dziecko.

Spokojnie... spokojnie.

Niech świeci, niech świeci, niech świeci...

ROZDZIAŁ 4

Co za gówno!

Z glockiem za paskiem spodni Brett wyjął aktówkę z samochodu i zastanawiał się, dlaczego zgodził się z nią tu spotkać. O zmroku i na środku pustyni. Boże, to było takie typowe dla Didi. Powinien był skontaktować się ze swoimi prawnikami i pozwolić, żeby się zajęli koniecznymi ustaleniami w granicach prawa.

Ale wtedy nie mógłby się na niej zemścić, prawda? Nie. To wydawało się najlepszym rozwiązaniem, planem na powetowanie przynajmniej niektórych strat. Miał jedynie nadzieję, że uda mu się go zrealizować. I dostanie swojego syna. Jeśli tylko wszystko pójdzie zgodnie z planem. Potrafił kłamać, kiedy wymagała tego sytuacja, a w tej z pewnością musiałby mijać się z prawdą i robić uniki. Nigdy tego nie lubił. Zawsze czuł się wtedy niekomfortowo. Nie tak jak jego ojciec. Albo brat. Boże, gdyby Brett miał jaja i tupet swojego starszego brata, umiejętność przekonującego ściemniania, może nie skończyły w takim gównie. Oliver Hedges Jr, który mówił o sobie OH2, był bezwzględny, a nawet okrutny, gdy zaszła potrzeba. Jak jego stary przed wypadkiem. Miał tę szczególną umiejętność robienia tego, czego wymagała sytuacja, której brakowało Brettowi. Nie potrafił też tak jak brat brać na klatę odpowiedzialności i „niech się dzieje co chce”.

Po prostu nie był takim człowiekiem.

Dlatego znalazł się w takim położeniu.

Dał się złapać w uwodzicielską pułapkę Didi Storm.

Jego palce zacisnęły się na rączce aktówki.

Istniała niewielka szansa na to, że Didi nie przejrzała jego fałszywej tożsamości, kiedy się poznali. Ale nie, z pewnością wiedziała, kim jest, a to całe spotkanie, o którym sądził, że było jego inicjatywą, tak naprawdę wyszło od niej.

Ale co się stało, to się nie odstanie.

Trzeba to było naprawić.

I on to zrobi.

Teraz.

Obszedł samochód i wkroczył w obszar oświetlony światłami mustanga. Zbliżała się noc, niebo było ciemne, widać było jedynie poszarpane szczyty gór, nadal panował upał, powietrze było suche, a dźwięk jego kroków tłumiła warstwa pyłu. Oto była. Didi Storm w całej swojej glorii. Patrzył na kobietę, której kiedyś tak pożądał. Cholera, nadal wyglądała pięknie. Zbliżała się do niego niespiesznie w krzykliwych szpilkach i krótkiej, króciuteńkiej sukience, wciąż seksowna jak diabli i świadoma efektu, jaki wywiera na innych. Jej usta lśniły w znaczącym uśmiechu. Niosła dwa niemowlęce foteliki.

Dwa?

Co to znaczy?

Dodatkowy fotelik samochodowy? Albo...?

Rany boskie.

Czy to było dwoje dzieci?

Bliźniaki?

Poczuł ucisk w żołądku.

Były jego? Jej?

Przysłała mu profil DNA. Jeden. Nie dwa. Syna.

A teraz z całą pewnością niosła dwoje dzieci; słyszał, że jedno i drugie płacze. Stereo. Dobry Boże.

Co to za szaleństwo? Miał się z nią targować o dziecko... a może dzieci? Zatrzymał się przed swoim samochodem. Niech do niego podejdzie.

To wszystko może być tylko ściemną. Pamiętaj, z kim masz do czynienia.

– Brandon – powiedziała tym głębokim głosem Marilyn Monroe, który niegdyś uznawał za seksowny. Teraz brzmiał fałszywie. Niepewnie. Cóż, to dobrze. – Och, czekaj. To nie tak, prawda? Wcale nie nazywasz się Brandon. To był twój pseudonim, używałeś go, gdy podrywałeś niewinne dziewczyny.

Zacisnął zęby, poczuł glocka wbijającego mu się w plecy, powietrze zrobiło się gęste od napięcia. Pustynia w nocy. Gdzie niektórzy znajdowali swój wewnętrzny spokój pod bezbrzeżnym, pełnym gwiazd niebem.

– Ty nie byłaś niewinna – przypomniał. – Wrobiłaś mnie.

– Wet za wet.

– Co to jest, Didi? – zapytał, gdy się zbliżyła. Zrobił ruch ręką, wskazując dwa nosidełka. – Dwoje dzieci?

– Mhm. Tak wyszło. – Jej przebiegły uśmiech kota, który pożarł kanarka, sprawił, że miał ochotę ją udusić. – Chyba zapomniałam o tym wspomnieć. Bliźniaki. Dziewczynka i chłopiec.

– Żartujesz sobie. – Ale widział, że jest śmiertelnie poważna.

Pokręciła głową i wciąż patrzyła mu w oczy.

– Dwoje dzieci. Twoich.

– Skąd miałbym to wiedzieć?

– DNA nie kłamie. – Była tak cholernie pewna siebie. Taka z siebie zadowolona. Chciał ją udusić.

– Mogłaś coś powiedzieć.

– I pozbawić cię niespodzianki? – Zaśmiała się cicho, ale to był nerwowy śmiech, po raz pierwszy wyczuł jakieś poważniejsze zakłócenie. Coś tu się jeszcze działo, czuł to, wyczuwał w zapachu piasku pustyni, słyszał w ruchu skrzydeł nietoperzy latających nad nimi. Jego włoski na karku ostrzegawczo się uniosły, robił wszystko, żeby nie sięgnąć po pistolet naciskający na jego plecy.

Wzrok Didi spoczął na aktówce, którą trzymał w ręce.

Oczywiście.

– Mam je – rzucił i urwał. Żeby udowodnić dobre intencje, otworzył zamki i pokazał jej wnętrze aktówki. Po obu stronach leżały pliki dziesięcio- i dwudziestodolarówek. – Dwieście pięćdziesiąt tysięcy.

Odwróciła nosidelka, żeby pokazać mu twarzązki niemowląt. Były czerwone od płaczu, dzieci chyba się bały.

– Które? – zapytała i mimo determinacji okazywanej na zewnątrz chyba się nieco zawahała, w jej oczach lśniły łzy.

– Słucham?

– Które dziecko chcesz? – Jej głos się załamał, gdy wskazywała dzieci w fotelikach. – Adama czy Ariel?

Nie, nie, nie!

Cokolwiek robiła Didi, było to złe, tak cholernie złe. Należało ją powstrzymać. Remmi była tego pewna. *Ty to zrób. Nie ma tu nikogo innego.* Z przerażeniem patrzyła przez szparę między siedzeniami i przednią szybę na dramat rozgrywający się na pustyni, gdzie pomiędzy dwoma samochodami stali jej matka i jakiś facet. Nosidelka z dziećmi znajdowały się teraz na ziemi pomiędzy nimi, koło stóp mężczyzny leżała otwarta aktówka.

Na miłość boską, to wyglądało na jakąś wymianę.

Czyżby Didi sprzedawała dzieci? Ich ojcu? Nie, nie... coś tu nie grało, myślała panicznie Remmi. Nie sprzedawałaby... swoich własnych dzieci. A jeśli?

Czy niedawno nie powiedziała, że niedługo ich zła passa się odmieni? Gdy Remmi próbowała ją podpytać, stała się tajemnicza i tylko ze śmiechem odpowiedziała, że wygra ją na loterii. Dziewczyna uznała, że to kolejne fantazje Didi na temat cholernych losów, które, odkąd sięgała pamięcią, matka kupowała co tydzień.

Ale to...

Nie, nie robi tego. Nie może.

Więc co?

Wcisnęła blokadę zwalnającą przejście na tylne siedzenie. Nic się nie stało. Spróbowała ponownie, jej spocona dłoń się ślizgała. Ponownie nic.

– Dalej, dalej. – Zacisnęła zęby, szarpała tę cholerną blokadę, ale uświadomiła sobie, że nie wydobędzie się bez specjalnego klucza. Kiedy drzwi cadillaca były zamknięte, zamykała się też sekretna przegroda. Znowu poczuła panikę. Musiała to jakoś powstrzymać...

Ale znalazła się w pułapce.

– Chcesz, żebym wybrał? – zapytał Brett, patrząc na nosidełka. Dziewczynka, ubrana na różowo, pociągała nosem, gdy Didi się pochyliła i podała jej smoczek, podczas gdy chłopiec, ubrany na niebiesko, sam się uspokoił i mrugając, patrzył na matkę. – To jakieś szaleństwo.

– Płacisz za jedno – powiedziała, prostując się.

– Myślałem, że jest tylko jedno.

– Twój błąd. Jeśli chcesz drugie, płacisz kolejne dwieście pięćdziesiąt.

– Ty chciwa dziwko. Jesteś chora na łeb.

– Czyżby?

– Nie możesz sprzedać swoich dzieci.

– Oczywiście, że mogę. Jesteś ich cholernym ojcem. Możesz... możesz traktować mnie jak surogatkę, co nie?

– Według mnie jesteś czymś zupełnie innym.

– Nieważne – warknęła, chociaż wzdrygnęła się lekko. Następnie znowu przybrała profesjonalną postawę. – A więc, które chcesz? Adama? – Wskazała na niemowlę owinięte w niebieski kocyk. – A może Ariel? – Jej wypielęgnowany paznokieć przesunął się w stronę dziecka w różu i fiolecie. – Twój wybór.

– Nie będę... – Nie dokończył zdania. Trzymała go w szachu. Oboje o tym wiedzieli. Czuł, że drga mu jakiś mięsień w szczęcie, zastanawiał się, co się stanie, jeśli zabierze dwoje dzieci. Czy wezwie gliny? Oskarży go o porwanie? Ale co z pieniędzmi?

– A może to ja mam podjąć decyzję, skoro dla ciebie to za trudne?

– Chłopca – oświadczył, a ona potaknęła, jakby się tego spodziewała. – Powiedziałaś, że mam syna.

– I nie kłamałam.

– Ale nie wspomniałaś o dziewczynce.

– Rozmawialiśmy o jednym dziecku, prawda? Ale jeśli chcesz Ariel, możesz... ją mieć. – Didi głośno przełknęła ślinę, jakby słowa ją dusiły. – Ale będziesz musiał zapłacić jeszcze ćwierć miliona. – Przekrzywiła głowę w jedną stronę i czekała, wysunąwszy buńczucznie brodę, jej platynowe włosy lśniły w światłach samochodu.

– To niedorzeczne!

– Zapewne. Tak bywa. Masz teraz syna, jak chciał twój ojciec.

Gwałtownie podniósł głowę. Wiedziała o tym?

Jej uśmiech był zimny jak śmierć.

– No właśnie. Wiem o tobie wszystko, Brett. I o twojej rodzinie. Masz to, co chciałeś, ja też, więc wszystko dobrze się kończy.

Cholera, miał ochotę ją udusić, ale to mogło jeszcze poczekać. W ułamku sekundy przed oczami stanęło mu jej nagie ciało – tak namiętne, drżące z pożądania, tak wilgotne. Wszystko to było zasadzką?

To nie miało znaczenia. Nie teraz. Podał jej aktówkę, a ona przejrzała jej wartość, rozpięła obie gumki zabezpieczające i spojrzała na pliki gotówki, licząc w pamięci i sprawdzając, czy wszystko się zgadza.

– Jest tyle, ile trzeba.

Zmrużyła powieki i warknęła:

– Lepiej, żebyś mnie nie oszukał.

Prychnął, myśląc o swoim przekręcie.

Zacisnęła usta i wrzuciła do aktówki pliki z pieniędzmi, następnie posłała jedno, pełne żalu spojrzenie swojemu synowi, po czym podniosła nosidełko z delikatnie pastelowym zawiniątkiem.

– Daj znać, jak będziesz chciał Ariel – oznajmiła bez entuzjazmu. – Może się dogadamy.

– No jasne.

Wkurzony, podniósł fotelik z synem i wrócił do mustanga, podczas gdy ona zabrała do cadillaca jego córkę, jego cholerną córkę. Nigdy nie zobaczy dziewczynki, wie o tym. Didi mu na to nie pozwoli. Ale jest chciwa i rozrzutna. Zaraz przejrzy kasę, którą jej dał, i odkryje, że większość banknotów to fałszywki. Wróci do niego i zagrozi, że go wyda, ale nie będzie miała żadnych podstaw, bo będzie musiała przyznać się do sprzedania własnego dziecka.

Może udaloby im się jakoś dogadać.

Jak mi kaktus na dłoni wyrośnie.

Przy drzwiach mustanga znowu poczuł, że jest obserwowany, że coś ciemnego i złego czai się w cieniu, teraz jeszcze bardziej wyczuwalne, pomimo głośniejszego warkotu zbliżającego się motocykla. Był niedaleko. Zauważył światło motocykla podskakujące na nierównym terenie w odległości około czterystu metrów.

Szybko przypiął fotelik z dzieckiem do tylnego siedzenia.

No i proszę.

Miał syna.

I córkę, której być może nigdy już nie zobaczysz.

Serce Didi się ścisnęło, gdy odwróciła się w stronę cadillaca. To tylko na chwilę. Pamiętaj. *Niedługo odzyskasz swoje dziecko.* Oczy piekły ją od łez, ale trzymała postawę, żeby nie pokazać temu sukinsynowi, ile ją to kosztowało, jak ścisnęło się jej serce na myśl o tym, że oddaje jedno z niemowląt, choćby tylko na kilka dni.

A jeśli coś pójdzie źle?

– Nie pójdzie – wyszeptwała, dotarłszy do auta i otworzywszy drzwi. – Nie może. – Z wprawą zapięła fotelik na miejscu.

Ale kiedy uświadomi sobie, że został wykiwany...

Słodki Jezu...

– Będzie dobrze – powiedziała, położyła aktówkę na siedzeniu obok, wsiadła do samochodu i od razu drżącym palcem wcisnęła przycisk zapalniczki. Nie mogła myśleć o tym, co właśnie zrobiła, musiała myśleć tylko o przyszłości. Wkrótce jej plan się wypełni. – O, Boże, proszę – wyszeptwała. Tylko to mogła zrobić. Dla siebie. Dla dzieci. Wiedziała o tym. Tylko raz trafia się szansa na sukces, a skoro zawaliła, kiedy po raz pierwszy znalazła się w Hollywood wiele lat temu, to teraz bliźniaki, były jej szansą. Odpaliła silnik i wcisnęła pedał gazu. Nie chciała dawać

Brettowi sposobności do odkrycia oszustwa. Kręcąc kierownicą, ruszyła tą samą drogą, którą tu przyjechała, ale tuż przed nią znalazł się jakiś cholerny motocykl.

– Idiota! – warknęła, gdy przejechał obok, robiąc przy tym sztuczkę z jazdą na tylnym kole.

Że też Brett w ogóle brał pod uwagę zabranie drugiego dziecka. No właśnie. To się nigdy nie uda, poza tym, jak by to wyjaśniła? Niestety, daleko jej było do gwiazdy pierwszej klasy, ale przecież miała jakichś fanów i krążyły plotki o przyczynie jej urlopu, podejrzewano, że może być w ciąży. Udało jej się ukryć fakt, że urodziła bliźniaki, ale nie była w stanie zamaskować ciąży. Seneca i Remmi, jedyne osoby, które wiedziały, że urodziła dwójkę dzieci, będą trzymały gęby na kłódkę, więc nie ma problemu.

Prawie.

Zerknęła na aktówkę, którą tak beztriosko cisnęła na miejsce pasażera. Ćwierć miliona dolarów. Dość, by odmienić życie na zawsze. Usłyszała kliknięcie zapalniczki, znalazła papierosa, zapaliła go i mocno się zaciągnęła.

– No, kochanie – wyszeptała, wyobrażając sobie, jak zmieni się jej życie.

Na lepsze.

Tylko czekać, aż Brett uświadomi sobie, że został oszukany, że wystawiła go do wiatru. Sukinsyn wpadnie w szal, kiedy dotrze do niego, że jednak nie ma syna, bo zamieniła bliźniakom ubrania: Adam stał się Ariel, a córka została synem. Sądziła, że Brett sprawdzi, ale okazało się, że jest zbyt oszołomiony faktem, że spłodził dwoje dzieci, nie jedno.

– Dobrze ci tak – rzuciła, ponownie się zaciągając i czując, jak nikotyna krąży w jej krwiobiegu.

Dzięki temu, wiedząc, że ma syna, bo badanie DNA przeprowadzone było na dziecku płci męskiej, Brett powróci do źródła. Zmusi go do tego jego stary, a wtedy ona wycisnie z niego ile się da. Nie tylko mizerne dwieście pięćdziesiąt tysięcy. Dziedzic płci męskiej z całą pewnością był wart o wiele więcej dla tego chciwego, szowinistycznego staruszka.

W tylnym lusterku zobaczyła, że mustang rusza.

W drugą stronę.

– Dobrze.

Dojechała do miejsca, gdzie ubita ziemia przechodziła w żwir, i zwolniła przed zakrętem.

Trach!

W dolinie rozległ się głośny huk.

I jeszcze raz.

Traaach!

Co to?

Wystrzały? Gaźnik? Co?

Ponownie spojrzała w lusterko i po chwili rozległy się jeszcze dwa strzały, jeden po drugim, a potem...

Łup!

Zatrzęsa się ziemia.

Caddym zarzuciło, podwozie podskoczyło.

Spanikowana Didi wcisnęła hamulec. Tył długiego auta zniósł w bok.

W lusterku zobaczyła wielką kulę ognia wznoszącą się w niebo nad pustynią.

O Boże!

Noc stała się dniem.

Mustanga Bretta nigdzie nie było widać.

Ścisnęło jej się serce. Żołądek zmienił się w kamień. W mózgu rozkrzyczały się największe strachy. *Jego samochód eksplodował! On i wszystko w środku, w tym kochana Ariel, zginęli!*

– Nie! Nie! Nie! – krzyczała, wczepiła się rękami w kierownicę i wcisnęła pedał hamulca. Biały cadillac się zatrzymał. Wokół niej w powietrzu wirował pył. To nie mogło się stać. Odwróciła się, żeby spojrzeć przez tylną szybę. – Proszę, proszę... Och, Boże, proszę, nie. – Miała ściśnięte gardło, odczuwała niezmierny smutek. Nie jej dziecko. Nic złego nie mogło się zdarzyć jej kochanej Ariel. – Nie – jęknęła i zaczęła szlochać. Horror dobijał się do jej duszy, z oczu płynęły łzy, przez ułamek sekundy zastanawiała się, czy zawrócić i zbliżyć się do piekła...

I co? Co zrobisz?

Za parę minut zjawią się gliny, więc jak wyjaśnisz, co się tu stało? Poza tym, nie wiadomo...

– O, Boże. Drogi Boże... och, och. – Drżała, cała się trzęsała. Musiała coś zrobić, cokolwiek! Ale szalejący tam pożar oświetlający jałową część pustyni wyglądał, jakby wymknął się spod kontroli. Nikt nie mógł tego przeżyć.

– Wybacz mi – wyszeptała, po czym wcisnęła gaz i szybko ruszyła, rozpryskując żwir, z oczu płynęły jej łzy zmieszane z tuszem do rzęs, z tyłu samochodu doleciał dziwny hałas. Och, nie... żeby tylko nie złapać gumy, żeby tylko nie zgubić którejś z części samochodu. Zamrugała, próbowała coś zobaczyć. Gdyby został tu jakiś fragment jej auta... Czyżby usłyszała jęk? Nie, ten dźwięk wydostał się z jej gardła.

W ciemności nie dostrzegła żadnej oderwanej części, ale czy w ogóle byłaby w stanie ją dostrzec? Oczywiście, że nie. Chyba że odbiłby się od niej blask tego piekielnego ognia... O Boże, zrobiło jej się niedobrze.

Samochód się nie rozpada. Panikujesz, wymyśliłaś to sobie, tylko pogarszasz sytuację tą swoją głupią wyobraźnią. Przestań. Weź się w cholerną garść!

Prawa przednia opona najechała na jakiś kamień i coś – zapewne jakiś budył – zadrapał w bok auta. Usłyszała kolejne uderzenie. Kazała sobie jechać i przestać wymyślać, że jej porządny, starej roboty samochód traci części, i starać się nie myśleć o dziecku, które zostawiła z Brettem.

O Panie. Jej dziecko. Jej słodkie, malutkie dziecko.

– Ariel – wyszeptwała, szlochając i z trudem łapiąc oddech. Nie mogła powstrzymać napływu łez i drżenia. Jadąc, odczuwała przerażenie i nienawiść do samej siebie. Dlaczego to zrobiła? Dlaczego? Dla kilku wszawych dolców? Ćwierci miliona? A może, żeby wyrównać rachunki z kanciarzem, z którym zaszła w ciążę? Dlaczego? Jej dzieciątko... *nic nie było warte życia dziecka!*

Zapomniawszy o papierosie, znalazła nową mantrę i zaczęła ją recytować na głos, przede wszystkim po to, żeby zagłuszyć demony w swojej głowie.

– Nie myśl o tym. To nigdy się nie stało. Nie myśl o tym. To nigdy się nie stało. Nie myśl o tym...

Po prostu jedź, jedź, jedź. Och, słodki Jezu, nie. Nie myśl o tym, nie myśl o tym... O Boże, o Boże, Boże.

Waliło jej serce, wydawało jej się, że słyszy dochodzące z oddali pierwsze syreny. Zmierzwały w tę stronę? A może wydarzyła się jeszcze jakaś inna katastrofa?

Didi Storm nie mogła ryzykować.

Mimo poczucia winy nie mogła, nie chciała, by policja i cały świat dowiedział się, co zrobiła.

Mocniej wcisnęła stopę w pedał gazu, co wywołało natychmiastową reakcję dwustu koni mechanicznych ukrytych pod maską jej cennego samochodu, który wystrzelił w stronę żarzących się świateł Las Vegas.

ROZDZIAŁ 5

Coś tu było bardzo, bardzo nie tak.

Patrząc przez szparę między siedzeniami, Remmi widziała, jak mama wraca do samochodu. Dziewczyna przygryzła dolną wargę, w głowie miała gonitwę myśli.

Adam? Didi przyniosła Adama z powrotem?

Ale nie zabrała Ariel?

Zostawiła dziewczynkę w ubraniach brata u jej „taty”?

Tak jej się zdawało. Kiedy dokonano wymiany na aktówkę, Didi wróciła do samochodu, rzuciła aktówkę na przednie siedzenie pasażera, przypięła fotelik z dzieckiem do tylnego siedzenia, po czym wsiadła do auta i ruszyła. Szybko. Jakos udało jej się odpalić papierosa. *Co tu się stało? I co było w aktówce?*

Pieniądze.

Oczywiście.

Do Remmi zaczęła docierać prawda.

Matka sprzedawała swoje dziecko. Niemowlę przyszło na świat z ceną na głowie.

Remmi zrobiło się niedobrze, praktycznie nie zarejestrowała warkotu motocykla i matki mamroczącej słowo „idiota”.

Wymiana dziecka na gotówkę była nie do pomyślenia, nawet w wykonaniu Didi Storm.

Remmi uznała, że dłużej nie będzie się ukrywać; musiała się dowiedzieć, co się dzieje. Koniec ze snuciem domysłów. Może istniało jakieś wiarygodne, a nawet sensowne wytłumaczenie. Załomotała w tylne siedzenie, w chwili gdy eksplozja zakołysała autem, caddy zatrząsł się i zajęczał, przez tylną szybę widać było wybuch światła. Didi krzyknęła, wyrzuciła z siebie potok niezrozumiałych słów, po czym wbiła pedał gazu w podłogę, więc Remmi odrzuciło w tył, aż rąbnęła głową w sufit. Jęknęła, zamrugła, zawartość żołądka podeszła jej do gardła, gdy auto mknęło przez wyboisty kanion. Jedna opona wpadła w jakąś dziurę lub najechała na kamień. Remmi podrzuciło w ciasnym przedziale i uderzyła się w ramię.

Cholera!

Złapała się za poprzeczkę, która zabezpieczała rekwizyty, i trzymała się, jakby od tego zależało jej życie.

Wydarzyło się tu coś złego. Tyle wiedziała. Teraz Didi uciekała, ale co się stało z Ariel? I czym było to oślepiające światło, ta eksplozja, która przestraszyła Didi?

Tylko nie ten drugi samochód. Proszę, Boże, nie ten drugi samochód!

Ale co innego mogło wybuchnąć pośrodku Mojave?

Potem usłyszała głos matki, płaski, pozbawiony intonacji, w koło powtarzający to samo: „Nie myśl o tym. To nigdy się nie stało. Nie myśl o tym, to nigdy...”.

Serce Remmi zmieniło się w kamień.

Czego dopuściła się jej matka?

W oczach stanęły jej łzy, stłumiła szloch, który towarzyszył myśli o malutkiej siostrzyczce. Ariel. Kochany maluszek. Po raz pierwszy od lat Remmi zaczęła się modlić.

Proszę, bądź przy niewinnej Ariel. Proszę, Boże, proszę... Ocal ją.

Pif! Pif!

Co do cholery?

Strzały?

Niemożliwe!

Noah przyhamował i zawrócił. W powietrze wzbijała się chmura pyłu, która na chwilę zasłoniła gwiazdy i księżyc. Czy naprawdę słyszał strzały, a może to fajerwerki albo gaźnik? Czekał z głośno bijącym sercem. Widział dwa samochody stojące na pustyni maska w maskę oraz jakichś ludzi, którzy wyszli, żeby spotkać się w przestrzeni pomiędzy nimi, mężczyznę i kobietę. Domyślił się, że doszło tam do jakiejś wymiany narkotykowej, jako że na pustyni odbywało się wiele nielegalnych transakcji, mimo to w tym spotkaniu było coś surrealistycznego, jakby niewłaściwego. Kiedy wrzucił bieg i podjechał bliżej, większy samochód zawrócił i pojechał w stronę światła Vegas. Wtedy rozpoznał charakterystyczną sylwetkę caddy'ego, tym samym modelem, ogromną landarę, jeździła mama Remmi. Czyżby to była ona? Czy to naprawdę Didi we własnej osobie? Co, do cholery, tu robiła?

A te strzały?

Nie! Nie strzały.

Ale... Jezu... to co?

Z głośno bijącym sercem, przy dźwięku silnika motocykla, zerknął na przejeżdżający samochód.

Co, do licha, robiła tu Didi Storm i czy miało to coś wspólnego z tym, że Remmi się nie zjawiała? Lekko skrzył i kątem oka zobaczył jakiś ruch. Dostrzegł cień schodzący z góry.

Zamarł. Skupił się na poruszającym się kształcie... za dużym na kojota, za wysokim na pumę. To musiał być człowiek.

O rany.

Kolejny szybki ruch, potem błysk światła.

Co, do cholery?

Facet z całą pewnością strzelał. W cholerny samochód. Noah przelknął ślinę. Zwiększył obroty. Nie mógł pozwolić napastnikowi tak po prostu strzelać. Ruszył na tylnym kole i przyciągnął uwagę niedoszłego zamachowca. Pochylił się do przodu, koło twardo opadło na ziemię, następnie dodał gazu. Jechał zygzakiem przez pustynię, co na pewno zaskoczyło faceta.

Co robić?

Odciągać jego uwagę?

To było szaleństwo.

Ale myśl o tym, że Remmi, a przynajmniej jej walnięta matka, była w to jakoś zamieszana pobudziła go do działania. Dodał gazu i motocykl wyrwał się do przodu. Bliżej mustanga. Wiedział, że igra z ogniem, ale miał to gdzieś. Uznał, że wyprzedzi tego gnoja.

– Hej, jebany kutasie! – wrzasnął, przekrzykując wycie silnika. – Co tu, kurwa, robisz? – I dlaczego, do cholery, kierowca sportowego auta nie odjeżdżał? Czy został postrzelony?

Kolejna seria oddana w samochód, mustang był łatwym celem, zabójca zbliżał się równym krokiem przez pustynię.

– Ruszaj, idioto! – krzyczał Noah.

Rozbłyśki z lufy. Kolejna seria z karabinu.

Ratatatata...

– O, cholera!

JeBUUT! / BUUUM!

Pustynią wstrząsnęła potężna eksplozja.

– Nie!

Oślepiająca kula ognia wzbijała się w niebo. Motocykl Noaha zabuksował, przednie koło uniosło się nad ziemię. Z napiętymi mięśniami z całych sił starał się utrzymać kierownicę.

Pafl!

Kolejny strzał.

W ramieniu Noaha pojawił się przejmujący ból, a strzelec znowu wziął go na cel.

– Cholera! – Dodał gazu. Motocykl wyskoczył do przodu, pędził po pustyni, wzniecając kłęby pyłu.

Nie poddawaj się!

Jego ręka była bezużyteczna.

Pafl!

Tym razem kula trafiła motocykl, który się zachwiał, przednie koło dziko się zakółsało. Noah mocno się trzymał, ale i tak wyrwało go z miejsca i przeleciał w powietrzu.

Łup! Uderzył głową w ziemię, zaliczył twarde lądowanie.

– Ooooch. – Ból rozszedł się po całym ciele, poczuł, że z rany na ramieniu płynie krew, piekły go zadrapania na twarzy i dłoniach. Z całych sił próbował się ruszyć. Bezskutecznie. Wciągnął powietrze. Zakaszał, bo do gardła dostał mu się ostry pył. Przez sekundę świat szaleńczo wirował – płomienie zasłoniły gwiazdy na niebie, pogrążona w cieniu góra kołysała się, tańczyła przed jego oczami, ciemność powoli pochłaniała jego świadomość.

Wstawaj! Wstawaj, natychmiast!

Zamrugał. Starał się oczyścić umysł. Próbował się skupić. Splunął krwią. O Boże, wpakował się w tarapaty. Jakby patrząc przez zamgloną szybę, zobaczył kulę ognia, płonący sportowy samochód zmieniony w stos pogrzebowy, płomień sięgające smolistego nieba.

A co znajdowało się przed tym piekielnym ogniem?

Sylwetka człowieka.

Powoli zbliżała się do niego wysoka, szczupła postać strzelca z karabinem w jednej ręce, widział daszek jego czapki i chyba gęste wąsy nad kwadratową szczęką. A może nie.

Szedł po niego.

Dlaczego, do cholery, prowokował tego faceta? Co sobie myślał? Czy to wszystko miało coś wspólnego z Remmi? Pocąc się, napędzany strachem, próbował cofnąć się rakiem, wstać na nogi, żeby zmykać stąd, jakby gonilo go stado wściekłych psów, ale mięśnie nie chciały go słuchać.

Biegnij, cholera. Spierdzielaj stąd.

Zacisnął zęby. Z całej siły odsunął się od zbliżającej się postaci, po czym padł na ziemię.

Jego mózg krzyczał: *Biegnij!* Próbował się czołgać, odpychać, znaleźć jakąś kryjówkę, oddalić się od tego... zamachowcy, ale siły nie starczało mu nawet na poruszenie palcem. Ogarnęło go przerażenie, w jego żyłach płynęła adrenalina, ale cholerne mięśnie przestały działać. Odmówiły współpracy.

Napastnik się zbliżał.

Szedł powoli.

Nie spieszył się.

Cieszył się chwilą.

Mruczał pod nosem jakąś znaną melodię.

Panika ścisnęła Noaha za gardło. Nie mógł mówić ani krzyczeć, nic nie mógł zrobić. Co gorsza, ogarniała go ciemność, jego świadomość się kurczyła.

Nie mógł na to pozwolić. Musiał walczyć! Od tego zależało jego życie. Był tego pewien, tak jak był pewien, że ten mężczyzna zamierza go zabić.

Rusz się, cholera, Scott! Rusz swoją żalostną dupę. TERAZ!

Z nadludzkim wysiłkiem próbował stanąć na nogi.

Nic.

O cholera.

Spróbuj jeszcze raz!

Dalej nic.

Za późno!

Noah miał odruch wymiotny, splunął krwią.

Powoli, ze śmiertelną determinacją, ukryta w cieniu postać uniosła karabin na wysokość ramienia. Przez ułamek sekundy Noah widział jego twarz oświetloną płonącym stosem, który nigdy był fordem mustangiem.

Znam cię? – zastanawiał się.

Było coś jeszcze. Ta melodia, rozpoznawalna, chociaż zabójca fałszował. Coś, co słyszał, gdy był dzieckiem, kiedy babcia jeszcze żyła, coś, co śpiewała razem z psalmami ze swojej katolickiej młodości, coś, co zupełnie tu nie pasowało.

Ścisnął mu się żołądek, gdy znalazł się twarzą w twarz z zabójcą. Usta mężczyzny się poruszały, gdy spoglądał z góry na Noaha.

...Niech świeci, niech świeci, niech świeci...

Zabójca wycelował.

Klik!

Noah usłyszał dźwięk uderzającej iglicy, w chwili gdy pochłonęła go ciemność.

ROZDZIAŁ 6

Rozegraj to dobrze.

Remmi rozmasowała głowę i zerknęła przez szparę między tylnymi fotelami cadillaca. Zachowywała ciszę. Konfrontacja z Didi w tej chwili nie przyniosłaby niczego dobrego. Jej matka była teraz wrakiem człowieka, targały nią nerwy, paliła papierosa za papierosem i płakała, nieskazitelny makijaż spłynął wraz ze łzami w drodze powrotnej do domu, najpierw przez drogę, na którą wjechała z żuźlowej ścieżki wiodącej na pustynię, a potem przez miasto, gdzie po ulicach Las Vegas Strip snuły się tłumy ludzi, a od kolorowych neonów aż kręciło się w głowie. Gdy auto wjechało w boczną alejkę, Remmi rozpoznała okolicę, a Didi zaczęła brać się w garść. Kiedy zaparkowała, przez kilka minut ocierała twarz dłońmi i głośno pociągała nosem.

– Dasz radę – powiedziała do lusterka, a Remmi szybko cofnęła głowę, żeby matka nie zauważyła odbicia jej oczu. Po upływie kilku minut Didi odchrząknęła, wzięła aktówkę i nosidełko z dzieckiem, które jej zostało, i weszła do domu. Na szczęście nie zamknęła auta na klucz.

Remmi od razu zaczęła działać, wyszła z dusznego przedziału bagażowego i wydostała się do garażu. Kryjąc się za samochodem, nisko pochylona, nasłuchiwała stukania matczynych obcasów, było cicho, więc prześlizgnęła się przez boczne drzwi garażu, strasząc kota, który nurkował w śmietniku. Kot zasyczał, Remmi się wystraszyła, ale stłumiła okrzyk, po czym ostrożnie wspięła się przez otwarte okno do pokoju i spadła na łóżko.

Błyskawicznie się rozebrała, wrzuciła ubrania pod materac i wskoczyła w piżamę. Rozczochrała włosy, mając nadzieję, że wyglądają jak potargane od snu, po czym, słysząc Didi w salonie, postanowiła skonfrontować się z matką.

Remmi postanowiła, że nie przyzna się, iż wie, co się stało, będzie udawać, że przez cały ten czas spała. Ale zapyta, gdzie jest jej siostrzyczka.

Robiąc taką minę, żeby wyglądać na dopiero rozbudzoną, boso wyszła z pokoju i przemierzyła korytarz prowadzący do salonu z beżowym kominkiem z cegły sięgającym aż do spadzistego sufitu.

Chociaż Didi umyła twarz, wciąż była w stroju Marilyn Monroe i właśnie nalewała sobie martini z barku stojącego koło jej ulubionego fotela. Fotelik ze śpiącym dzieckiem stał na podłodze, a Remmi aż ścisnęło w sercu na myśl o siostrzyczce.

Didi z poczuciem winy spojrzała na ziewającą Remmi, która pojawiła się w salonie.

– Och, myślałam, że śpisz. – Pociągnęła łyk drinka, a Remmi zauważyła, że trzęsą jej się ręce.

– Spałam – skłamała. – Co tu robi Adam... i dlaczego ma śpioszki Ariel?

– Och, złapałam pierwsze lepsze z szuflady. Yy, wyszłam na chwilę, a gdy wróciłam, marudził, cały się upaskudził, więc musiałam szybko go przebrać. No i dostał różowe śpiochy. Nie po raz pierwszy. I pewnie nie ostatni. – Upiła duży łyk. – Wiesz, kochanie, jesteś jedną z niewielu osób, które potrafią rozróżnić bliźniaki.

– Przecież nie są identyczne – zauważyła Remmi.

– Wiem, wiem. Cóż, wszyscy wiemy, ale... są do siebie podobne i... i... – Jej głos się załamał. Szybko dopiła drinka, po czym odszukała błyszczącą torebkę i paczkę papierosów Virginia Slims, ale okazało się, że w środku nic nie zostało. Spojrzała na puste pudełko, po czym zgmiotła je w dłoń.

– Mamo? – zapytała Remmi z troską. – Wszystko w porządku?

– Tak. Nie... Oczywiście. – Didi poszła do kuchni, wrzuciła zgniecione opakowanie do kosza pod zlewem, następnie otworzyła szafkę nad lodówką i stając na palcach, wyjęła karton Virginia Slims, w którym miała nową, nieotwartą paczkę.

– Co się dzieje?

– Nic.

– Mam zanieść Adama do łóżeczka?

– Nie! – Didi wypuściła powietrze z płuc i pokręciła głową. – Zostaw go. Może... może spać w foteliku. Lubi to. – Córka nie spuszczała z niej oka, więc dodała: – Co? – Następnie postukała paczką papierosów w blat, zdjęła folię i wróciła do salonu. – Nic mu nie jest. Jak to mówią „nie budź dziecka, kiedy śpi”.

– Raczej „nie budź licha”, mamo. Nie budź licha, kiedy śpi.

– Czyżby? – Znalazła zapalniczkę i uchyliwszy okno koło drzwi wejściowych, wytrząsnęła papierosa i zapaliła.

Z dudniącym sercem Remmi postanowiła jeszcze trochę ją docisnąć, zmusić matkę do wyznania.

– Byłam w pokoju bliźniaków.

– No i?

– Oba łóżeczka są puste.

Didi tylko na nią patrzyła. Zaciągnęła się.

– Mamo, gdzie jest Ariel?

– O, rany – wyszeptła w chmurze dymu. – Słuchaj, ona... Jest u mojej przyjaciółki. Pamiętasz Trudie? – Zmusiła się do uśmiechu. – No wiesz, czasem potrzebuję wytchnienia od tego wszystkiego... – Gestem objęła cały pokój. Wszędzie pomiędzy krzesłami i stołami znajdowały się kosze z poskładanymi ubraniami, pieluchami i zabawkami.

– Masz mnie. I Senecę.

– Wiem, wiem – zgodziła się Didi, po czym nagle zgniotła papierosa w popielnicze na bocznym stoliku. Zasłoniła twarz dłońmi, polakierowane paznokcie odbijały światło lamp, a Remmi zauważyła, że ten, który zawsze malowała na inny kolor, dzisiaj jest czarny. Doskonale.

Didi westchnęła i opuściła ręce.

– Czasem trochę, a nawet bardzo przerasta mnie to wszystko, praca, brak męża czy chłopaka to za dużo jak na jedną kobietę. – Zniosła popielniczkę do kuchni i przetarła ją papierowym ręcznikiem. – Nie robię się młodsza, Remmi, a jestem samotną matką nastolatki i bliźniąt. Boże, nie mam jeszcze nawet trzydziestu pięciu lat, a czuję się tak staro. Staro. Powinnam balować, imprezować, korzystać z życia i... i... – Głos jej się załamał, padła na fotel stojący koło stolika, na którym wciąż leżała nieotwarta aktówka. Zerknęła na skórzaną teczkę i głośno przełknęła ślinę, zamrugnęła, jakby walczyła ze łzami.

– Mamo? – wyszeptła Remmi, ale Didi tylko zamachała rękami, żeby ją poWSTRZYMAĆ.

– Idź spać. Nie martw się bliźniakami, dobrze? Ja jestem za nie odpowiedzialna. Ja... ja o nie zadbam. Wszystkim się zajmę. – Jej uśmiech, blade bez szminki, nieco przygasł. – Przecież zawsze się zajmuję, kochanie.

– Pewnie. – Remmi poczuła się jak kanalia.

– No właśnie. – Didi zerknęła na telefon wiszący na ścianie nad blatem kuchennym.

– Możesz mi powiedzieć.

– Co mam ci powiedzieć?

Remmi wzruszyła ramionami.

– Cokolwiek, mamo. Wiesz o tym.

Przez chwilę Didi chyba zastanawiała się nad tą propozycją, wyglądała, jakby miała wyznać prawdę, ale jej wzrok znowu zawędrował w stronę telefonu i wzru-

szyla ramionami.

– Cóż, nie ma nic do opowiadania, nieprawdaż? – Z przyklejonym do twarzy uśmiechem spojrzała na córkę. Puściła do niej oko. – Idź już, kochanie. Za dużo się martwisz, wiesz? Wszystko jest w porządku. Naprawdę. – Znowu zerknęła na telefon. – I nie niepokój Seneki, dobrze? Musi wstawać do bliźniaków... – Jej głos ponownie ją zawiódł, więc odchrząknęła i dodała bardziej szorstko: – Musi wcześniej wstawać.

Odprawiła ją ruchem dłoni, więc Remmi uświadomiła sobie, że Didi nie chciała przyznać się do wymiany, której dokonała na pustyni.

Powinna była ją poprosić o wyjaśnienia, pomyślała Remmi, zażądać odpowiedzi, przyznać, że wie, co się stało, ale nie zrobiła tego. Położyła się w chłodnej posłocieli na łóżku, wbiła wzrok w sufit i pomyślała o Noahu i straconej szansie.

Nieważne. To nie ma żadnego znaczenia w sytuacji, gdy Ariel odeszła.

Łzy wypełniły jej oczy, przez cichy szum klimatyzatora dobiegało wycie odległych syren.

Didi chyba czekała na telefon.

Od kogo?

Od kogoś, z kim była wzmowie?

„Tatusia”, który dostał dziewczynkę przebraną za chłopca?

A może kogoś innego?

Remmi wątpiła w to, że kiedyś się dowie. Ledwie oddychała, nasłuchiwała dzwonek telefonu, ale w domu było cicho, słyszała jedynie cichy szum swojego własnego płytkiego oddechu.

Zbyt wiele tajemnic, pomyślała, zamykając oczy i wiedząc, że dzisiaj nie zaśnie. Wszyscy mamy zbyt wiele tajemnic.

Oliver Hedges Junior – OH2, jak wolał – stał przy oknie swojego apartamentu i patrzył na panoramę Las Vegas, światła miasta rozciągające się aż na pustynię. Boże, uwielbiał to miasto. Zwłaszcza dzisiaj. Uśmiechnął się i ujrzał swoje odbicie w szybie: wysoki, szczupły, z szerokimi ramionami, schludnie przyciętymi włosami, ledwie widocznym zarostem, w świeżej koszuli z rozpiętymi górnymi guzikami, w ciemnej marynarce Armaniego i pasujących do niej spodniach, z drinkiem w dłoni.

Okaz zdrowia i sukcesu.

Wszystko mu się układało.

Uniósł drinka, pozdrawiając swoje odbicie, kostki lodu zatańczyły w szklance.

– Za ciebie i wszystkich grających do tej samej bramki. – Następnie pociągnął długi łyk długiej dojrzejącej whisky.

Doskonała harmonia, tak to odczuwał, niczym muzykę sączącą się z głośników ukrytych w panelach sufitowych dziesięciu oszklonych pokoi w jego apartamencie w chmurach. Cóż, niech będzie, że niemal doskonała harmonia. Był jeszcze jeden niezłatwiony drobiazg.

Nalał sobie kolejnego drinka, nieco dłużej potrzymał alkohol na języku i wsłuchał się w płacz dziecka. Jego dziecka. Choć nie był to chłopiec, jak mu powiedziano, lecz dziewczynka. Hmm. To nieco komplikowało sprawę, stawało przed nim nowe wyzwania, ale będzie musiał się jakoś nagiąć. Podobnie jak zaakceptował wiele innych wybojów na swojej drodze życiowej, w tym ten, który nie niepokoił go za młodu, lecz okazał się problemem w późniejszym okresie: prostą prawdę, że jest bezpłodny, co potwierdziło kilku lekarzy, zapewniając go, że nigdy nie spłodzi dziecka. Cios. Ale ostatecznie zaakceptował ten fakt i znalazł rozwiązanie problemu, jako że okazało się, że jego młodszy brat jest bardzo żywotny i spłodzenie dziecka przychodzi mu wręcz zbyt łatwo.

Niektóre rzeczy w życiu były niewłaściwe. Zawahał się, czy użyć słowa „sprawiedliwe”, jako że nigdy dużo nie narzekał na swój los. Mimo to...

Zmarszczył brwi, zauważył zmianę w rozmażanym odbiciu, wyprostował ramiona i powiedział sobie, że wszystko jakoś się ułoży.

Zawsze się układało.

Przecież poczynił ważne zmiany w przeszłości. Z tego powodu jego ojciec spędzał resztę swojego życia w Fair Haven, domu opieki dla bardzo bogatych ludzi. Biedny tata. Przez ostatnie lata był praktycznie przykuty do łóżka, potrzebował pomocy od gromady pielęgniarek i asystentek w załatwianiu każdej potrzeby. Dawniej był tytanem przemysłu, teraz z sześćdziesięcioletnia została zaledwie zewnętrzna powłoka. Wszystko to przez nieszczęśliwy wypadek, któremu uległ na nartach w Heavenly Valley.

– Tym gorzej dla niego – mruknął OH2 z uśmiechem, kończąc whisky i czując lekki rausz po dwóch szklaneczkach. Odrywając wzrok od ciemności okalającej skraj miasta, zobaczył słaby, lecz mimo to rozpoznawalny błysk niebieskich i czerwonych świateł, gdy służby ratownicze, policja, straż pożarna i pogotowie wykonywali czynności w miejscu, gdzie na pustyni spłonął samochód.

Powodzenia, pomyślał sarkastycznie. Spróbujcie poskładać to wszystko do kupy.

Dziecko ponownie zapłakało, zerknął na drzwi sypialni, gdzie, jak zakładał, już się nim zajmowano. Przez sekundę zastanawiał się, czy nie wejść do sypialni, gdzie stała prowizoryczna kołyska, składana i przenośna, ale uznał, że lepiej nie.

Zamiast tego podszedł do baru, zanurzył szklaneczkę w wiaderku z małymi kostkami lodu, następnie nalał sobie whisky na dwa, może nawet trzy palce. Dość, żeby podtrzymać euforyczne uczucie, które towarzyszyło dobrze wykonanemu zadaniu.

Tylko to drugie dziecko. Chłopiec, jeśli można wierzyć historyjce Didi Storm, będzie problemem. Uśmiechnął się na tę myśl, dwuznaczne określenie, ponieważ, niestety, dzieci jego brata będą jedynymi dziedzicami majątku i mimo idealów poprawności politycznej głoszonych w tym kraju lepszy byłby chłopiec.

Oczywiście, jeszcze lepiej byłoby mieć własnego syna.

Ponieważ jednak potrafił się dostosować, syn jego brata, a nawet córka, musi wystarczyć. Da się jakoś uformować tę progeniturę, gdy się zacznie w dzieciństwie.

Skosztował szkockiej – chłodnej, bo lód zaczął się już topić, ale grzejącej jego gardło. Sączyl ją ze szklaneczki i zaczynał knuć kolejny ruch. Didi, ta chciwa suka, stanowiła problem. Główne zagrożenie. Dopóki będzie żyć, wiedząc, co zrobiła, będzie kręciła się wkoło niczym osa, której nie możesz dosięgnąć, ale wiesz, że gdy tylko się odwrócisz, wbije w ciebie swoje żądło. Wielokrotnie.

Ale jakoś się temu zaradzi.

Siedząc przy małym stoliku w kuchni, Didi patrzyła na pieniądze – dziesiątki, dwudziestki i pięćdziesiątki rozrzucone na porysowanym klonowym blacie, niektóre w nierównych plikach, wszystkie już rozpakowane i przeliczone. Całe dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów – tak, byłaś idiotką. Po bliższym zbadaniu, odkryła że jedynie jakieś dziesięć procent banknotów jest prawdziwe, pozostałe to cholerne fałszywki, bliskie doskonałości, ale podrobione. Z pewnością nie przeszłyby inspekcji żadnego kasjera w banku, który choć trochę przykłada się do swojej pracy. Nie przyjąłby ich nawet sprzedawca na rynku.

– Ty gnoju – powiedziała szeptem i zamknęła oczy.

Zrobiła z siebie kompletną idiotkę, cały czas sądząc, że jest tak cwana. A mała Ariel... Didi aż jęknęła na myśl o córeczce i ogniu... Co, do cholery, stało się na tej pustyni? Kto strzelał i dlaczego? Czy strzały spowodowały ten okropny pożar, czy ktoś zaczął się na Brett? Lub na nią? Westchnęła, plecami oparła się o tył krzesła i odgarnęła włosy z oczu. Jej platynowa peruka leżała tam, gdzie ją porzuciła, na starym fotelu bujanym, meblu, który zamierzała wymienić, kiedy... Spojrzała ponownie na pieniądze.

Kiedy staniesz się bogata?

Kiedy zrobisz największy przekręt w życiu?

Pogódź się z tym, Didi, to ty zostałaś oszukana, a teraz... a teraz...

Ponownie przyszło jej do głowy, że powinna zgłosić to na policję, powiedzieć, co wie, ale co by wtedy się z nią stało? Zostałaby aresztowana, a jej pozostałe dzieci... Nie, to się nie uda. Nigdy.

Brett ją wykiwał, potraktował jak idiotkę.

Wystawił ją do wiatru.

Podobnie jak ty jego.

Zgniotła kilka fałszywych pięćdziesiątek i podrzuciła je do góry, wleciały aż pod lampę, po czym wróciły na stos innych fałszywek. Jak mogła być tak durna?

Wiedziała, że jeszcze nie wszystko stracone. Wciąż miała syna Brettta Hedgesa, będzie mogła wymienić go na Ariel... jeśli... jeśli jej córka cudem ocalała. Zacisnęła powieki, nie chciała wierzyć w najgorsze. Może uda jej się zastawić kolejną zasadzkę, odzyskać Ariel i pieniądze, które jej się należały, lub... Lub co? Co dokładnie mogła zrobić, żeby to wszystko naprawić?

Chyba upadła na głowę, chcąc dokonać wymiany na pustyni, przebrać się za uwodzicielkę, pojechać tam swoim dużym samochodem – wszystko po to, żeby przypomnieć Brettowi to, z czego zrezygnował.

– Jakby w ogóle kiedykolwiek tego pragnął – zachnęła się i położyła głowę na złożonych ramionach, pozwalając ostatniemu papierosowi wypalić się bez jej udziału. Co robić? Usłyszała, że Adam zaczyna marudzić w foteliku, który została pośrodku salonu. Strasznie nabałaganiała w swoim życiu, bardziej, niż sądziła, że potrafi.

Spaliła za sobą mosty na Środkowym Zachodzie, potem w Hollywood, a teraz jeszcze tutaj, w Vegas. Jak przedstawiała się jej przyszłość? Niezbyt dobrze.

Boże drogi, była kretynką.

Nie, nie, nie jesteś kretynką. Nie pozwól, by to cię powstrzymało. To tylko komplikacja. Weź się w garść, otrzep się z kurzu i przemyśl tę... sytuację. Stanie się problemem dopiero wtedy, gdy tak ją zaczniesz postrzegać. Wciąż jesteś Didi Storm, wciąż seksowna jak diabli i mądrzejsza, niż sądzą. Nadal jesteś młoda, chociaż czujesz się starsza, niż wskazuje to twoja metryka, i wciąż masz asa w rękawie, prawda?

Uniosła głowę i popatrzyła na Adama, który spoglądał na nią dużymi, niewinnymi oczami. Był piękny, miał czuprynę niemal białych włosów, kryształowo błękitne oczy i nos jak guziczek. Patrząc na nią, pomachał małymi rączkami i się uśmiechnął, jego szeroki, bezzębny uśmiech wprost stopił jej serce.

– Och, mały – powiedziała, po czym rozpięła pasy i przytuliła syna. Gaworzył przy jej skórze, a ona zamknęła oczy. Nie mogła go oddać. I nigdy nie miała ta-

kiego zamiaru. Nie planowała też tego, że Brett zatrzyma ich córkę. Była pewna, że odzyska Ariel. Teraz oczywiście jej pewność została podkopana, a w jej sercu ziała dziura.

Musi być jakiś sposób. Myśl, Didi, myśl!

Dziecko ponownie zapłakało.

– No już – mruknęła uspokajająco i zaniósła je na prowizoryczny stolik do przebierania koło korytarza. Zdjęła z niego różowe śpioszki Ariel, po czym zmieniła mu pieluchę i założyła niebiesko-białą piżamę. Następnie zaczęła przygotowywać butelkę. Odstawiła dzieci od piersi, bo musiała. Nikt nie chciał oglądać seksownej tancerki z mlekiem wypływającym z piersi, ponadto musiała przygotować zarówno Adama, jak i Ariel na tymczasowe zamieszkanie z ojcem.

Adam przyssał się do smoczka, gdy usiadła z nim na wytartym fotelu bujanym, który kupiła w sklepie z używanymi rzeczami na obrzeżach miasta. Zatrzeszczał pod jej ciężarem, ale kołysała się, patrząc na swojego cudownego syna.

Jak mogłaby się z nim rozstać?

Zapewne równie łatwo jak z Ariel.

– Nie było łatwo – wyszeptała i powstrzymała kolejną falę łez. Co z nią było nie tak? Prawdopodobnie wciąż szalały w niej poporodowe hormony. Na pewno tak. Co jutro powie Remmi, kiedy stanie się jasne, że nie zamierza odebrać córki od swojej koleżanki Trudie? Remmi i tak jej nie uwierzyła. Spojrzenie, które jej posłała, wyrażało totalne niedowierzenie, jakby Remmi wiedziała, że matka ją bezczelnie okłamuje.

Ta cholerna dziewczyna była zbyt przemądrzała, co mogło nie wyjść jej na dobre.

Gdzieś to już słyszałaś. Czyż nie tak mówił twój ojciec? A co odpowiadała na to twoja matka? „Masz rację. Ale to nie wszystko. Jest zbyt przemądrzała i zbyt seksowna. To niebezpieczne, Frank. Rozumiesz? Te hormony szalejące u nastolatki wpędzą ją w najgorsze kłopoty – zapamiętaj moje słowa!”

Ostrzeżenia matki kierowane do ojca wciąż dzwoniły jej w uszach, chociaż słyszała je wygłaszane szeptem przed ponad piętnastu laty. Oczywiście okazały się prorocze.

Willi Maye Hutchinson nie tylko podejrzewała, że jej córka się puszcza, lecz wręcz miała co do tego pewność.

Było, minęło. Didi wygodniej rozparła się na fotelu i bujała się z synkiem. Gdy Adam wypił zawartość butelki, zapadł w sen, a ona zaczęła knuć swoje kolejne posunięcie.

Musiła oddzielić swoje emocje od tej sytuacji i wymyślić plan, coś, co pomoże jej i jej dzieciom.

Brett Hedges, żywy czy martwy, wciąż wisiał jej ćwierć miliona.

Ktoś będzie musiał jej zapłacić. Albo on, jeśli wciąż był wśród żywych, albo ten jego żaloszny ojciec.

A tym razem będzie go to kosztowało jeszcze więcej.

ROZDZIAŁ 7

Remmi, leżąc w łóżku, patrzyła na telefon leżący obok – w zasadzie bezprzewodową słuchawkę, którą zabrała z salonu. Minęły jakieś dwadzieścia cztery godziny od wydarzeń na pustyni, a ona nadal nie wiedziała, co robić.

Gdyby tylko zadzwonił Noah.

Gdzie się podziewał?

Co się stało?

Miała mu tak wiele do powiedzenia.

Przygryzła wargę i zastanawiała się, czy zadzwonić na policję. Ponownie. Po raz enty rozważała również, czy skonfrontować się z matką. Zerknęła na drzwi, gdy usłyszała charakterystyczne, szybkie kroki Didi w korytarzu. Matka cicho zastukała, po czym otworzyła drzwi. Jej błyszczące usta rozciągnęły się w promiennym, fałszywym uśmiechu.

– Kochanie, wychodzę. – Remmi już się tego domyśliła po gorączkowym sposobie, w jaki Didi poszła do swojego pokoju, gdzie pościagała ubrania z wieszaków, porozrzuciła drogie kostiumy w nogach swojego szerokiego łóżka po zlustrowaniu każdego z nich. Takie zachowanie powtarzało się przed każdym wieczornym występem lub ważną randką. Remmi, a czasem Seneca, miały odwiesić rozrzucone ubrania do szafy. – Zostań z Adamem, czekaj, aż wrócę – poleciła Didi, zajrzawszy do pokoju córki.

Remmi nie spała przez resztę nocy, w ciągu dnia przysypiała na chwilę; jej sny, gdy przychodziły, wypełniały głośnie wybuchy, płacz dzieci, a Remmi błąkała się zagubiona po pustyni.

– Ale nie idziesz do pracy? – zapytała, siadając na łóżku i opierając się o zagłówek.

– Nie... dzisiaj nie. To prywatne spotkanie. – Didi ponownie ubrała się w strój Marilyn. Miała inną sukienkę, obcisłą, czarną i wyciętą tak głęboko, że ukazywała rowek między piersiami. Założyła jednak tę samą perukę i nałożyła mocny makijaż. Iskra ekscytacji, która towarzyszyła jej poprzedniego wieczoru, ustąpiła

zmęczeniu i smutkowi, które odznaczały się na jej twarzy mimo wymuszonego uśmiechu.

– I wrócisz z Ariel? – Remmi wiedziała, że przypiera matkę do muru, ale nie potrafiła się powstrzymać. Nie miała odwagi wyznać prawdy, powiedzieć, że była tam na pustyni, kiedy rozpętało się piekło. Nie była w stanie się przyznać, że ukrywała się w cadillacu.

Ponieważ bała się reakcji matki.

Jesteś równie zła, co ona. Po prostu staw jej czoła, do cholery!

Próbowała raz i drugi, ale nie dała rady. Kończyło się to tym, że łądowała w swoim pokoju i obgryzała paznokcie.

Przez cały dzień Didi była zła jak osa, wywarkiwiała rozkazy do Seneki i córki. Seneca, wysoka położna, była przyzwyczajona do humorów i sekretów Didi i zatrzymywała swoje myśli dla siebie, robiła, co jej kazano, i niczego nie kwestionowała. To było bardzo dziwne. Jeśli zniknięcie Ariel ją zaskoczyło, nie dawała po sobie nic poznać i nie wypytywała Didi.

Może przez cały czas była w spisku.

Z Senecą nigdy nie było wiadomo. Była skryta, nie wypowiadała swoich opinii. Miała długie, ciemne, kręcone włosy, które luźno wiązała na karku, jej skóra miała odcień kawy mokki, a złote oczy płonęły inteligencją. Powiedziała, że jej mama pochodzi z Jamajki, że dorastała w Nowym Orleanie i rzeczywiście mówiła z lekkim akcentem, którego Remmi nie potrafiła umiejscowić. Cajuński? Wyspiarski? Remmi nie wiedziała. W zasadzie niewiele wiedziała o kobiecie, która spędzała większość dni i niektóre noce w jej domu. Seneca pomagała przy porodzie bliźniaków i nigdy nikomu nie powiedziała, że Didi powiła więcej niż jedno dziecko. Zawsze była cierpliwa i pewnego razu Didi tajemniczo stwierdziła, że Seneca „zgadza się na długą rozgrywkę”, cokolwiek miało to znaczyć.

Teraz Seneca nie wnikała w to, co zamierza zrobić Didi, tylko przygotowała Adama do spania.

To Remmi była niepokieszona. Całą noc martwiła się tym, co zaszło, w ciągu dnia oglądała wiadomości, próbując dowiedzieć się, co wie policja. Z przekazów telewizyjnych wynikało, że nic. Wciąż wydzwaniwała do domu Noaha. Nikt nie odbierał. Miała wrażenie, że odchodzi od zmysłów.

Poszła za matką do salonu.

– Wróć tak szybko, jak się da – zapewniła Didi, zabrała swoją kopertówkę ze stołu i aktówkę z szafki, na której leżała od poprzedniej nocy. Remmi kilka razy zakradała się nocą do salonu, żeby podejrzeć zdenerwowaną matkę. Widziała otwartą aktówkę i banknoty leżące na stole. Zdawało jej się, że jest tam kupa

forsy, ale Didi nie była zadowolona, Remmi słyszała, że mamrocze „sukinsyn” i „gnojek”, więc z pewnością nie była to suma, której zażądała Didi.

Za Adama.

Sprzedala Adama – tak było.

To dlatego przebrała go w ubrania Ariel, a córeczkę w niebieskie śpioszki brata. Nie pomyliła się co do ubranek. Nie, to była część jej chorego planu.

– To spotkanie poza miastem – wyjaśniła Didi. – Nie wrócę do jutra.

– Gdzie? – dopytywała Remmi.

– W prywatnej posiadłości. Nie w Las Vegas. Więc muszę tam dojechać. Ale będzie warto.

Wyszła już na korytarz, ale Remmi jeszcze zawołała za nią:

– Mamo?

– Tak, kochanie? – Zajrzała do pokoju i posłała córce rozbijający uśmiech.

– Dzieją się dziwne rzeczy. Wczoraj w nocy na pustyni był pożar. Ekspłodował jakiś samochód.

– Och, słyszałam. Mówili o tym w wiadomościach. – Didi w długich, czarnych rękawiczkach machnęła ręką, rozwiewając obawy córki.

– Zginął jakiś człowiek.

– Kochanie, zrozum, że codziennie dochodzi do takich okropnych rzeczy. – Westchnęła głośno. – Ale to nie ma nic wspólnego z nami i chociaż szkoda tego mężczyzny, nie możemy pozwolić, żeby złe rzeczy, jakie dzieją się na świecie, przejmowały nad nami kontrolę. Zawsze będą jakieś huragany, powodzie, pożary i inne tragedie... Albo ten problem roku dwutysięcznego, o którym tyle mówią, ten z komputerami, koniec świata dla niektórych, sama wiesz, jakbyśmy mieli wyparować na styku dwóch mileniów. Nie musisz się tym wszystkim przejmować. – Posłała jej promienny uśmiech w stylu Didi. – Musimy żyć własnym życiem. Nie martw się. Słuchaj, jak wrócę jutro, pojedziemy na zakupy, zrobimy sobie wychodne. – Wtedy się zawahała, jakby dotarło do niej, że coś może pójść źle. – Posłuchaj, nic złego się nie stanie, ale jeśli tak, jeśli nie wrócę do jutra wieczorem, do dziewiętnastej, to... Cóż, zostawiłam ci pieniądze, są w najwyższej szufladzie mojego biurka, jest tam też karteczka z nazwiskiem pewnej kobiety.

– Jakiej kobiety?

– Mojej przyjaciółki. Trudie. I jej numer telefonu. Jeśli z jakiegoś nieprzewidzianego powodu nie wrócę, zadzwoń do niej, a ona powie ci, co masz robić.

– Co? Nie! Mamo, o co tu chodzi?

Twarz Didi zmieniła się w kamień. Wyciągnęła ręce, ujęła córkę za ramię i ścisnęła je tak mocno, że nawet przez rękawiczki Remmi poczuła ostre paznokcie.

– Nie mam czasu na wyjaśnienia, Remmi. Rób, co ci powiedziałam.

– Ale...

Jej palce zacisnęły się jeszcze mocniej.

– Po prostu to zrób. Będzie dobrze. Nic nam się nie stanie. Odegraj swoją rolę.

– Mamo, nie sądzę...

– Dobrze – powiedziała matka, a Remmi odniosła wrażenie, że chce ją spoliczkować. Ale Didi nagle ją puściła i choć przez chwilę miała łzy w oczach, szybko je pokonała. – Nie myśl. Nie martw się. Na miłość boską, kochanie, zaufaj mi. Chociaż ten jeden raz.

I wtedy, zanim Remmi zdążyła poruszyć temat Ariel, Didi wyszła, rozległo się stukanie jej szpilek w holu, dźwięk otwieranych drzwi do garażu, zamykanie drzwi samochodu i warkot silnika cadillaca.

Seneca przyglądała się tej wymianie zdań szeroko otwartymi, pełnymi mądrości oczami.

– Najlepiej, jeśli zrobisz, co ci kazała.

– Ale... ale co z Ariel? Seneco, wiesz, co się z nią stało?

Czy w spojrzeniu kobiety pojawił się błysk zrozumienia?

– Według mnie nie powinnaś się tyle zamartwiać. Nic dobrego z tego nie przyjdzie.

– Dasz radę – powtarzała sobie Didi, jadąc ulicami Las Vegas. Panował duży ruch, piesi tłoczyli się na chodnikach, więc nie mogła wcisnąć gazu. Nie, musiała zachować spokój, chociaż wielki samochód, obecnie zakurzony, zwracał na siebie uwagę – coś, za czym tęskniła, ale co teraz nie było jej na rękę.

Była uzbrojona w plan, który nie był zły. Chociaż czuła się okropnie z tym, co wydarzyło się poprzedniego wieczoru, była zdeterminowana, żeby wszystko naprostować. Została oszukana. Koncertowo. I mimo ogromnej, bolesnej rany w piersi, zamierzała zadbać o to, żeby przynajmniej jej za to uczciwie zapłacono. Tak jak zostało to ustalone.

Nie była w stanie zasnąć przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny, nawiedzała ją obraz tego piekielnego wybuchu, dręczyły ją myśli o utraconej córce, a przy tym była wkurzona jak diabli. Odkryła, że złość tłumi jej smutek.

Musiała dostać to, co jej się należało. Chodziło o duże pieniądze. Potrzebowała ich. Jej występy do niczego nie prowadziły i, bądźmy szczerzy, nie robiła się młodsza. W Hollywood nikt nie walczył o kontakt do niej.

Tym razem nic nie zepsuje. Tym razem zamierzała udać się prosto do źródła pieniędzy. I nie zabrała Adama na wymianę. Przynajmniej na razie.

To, jeśli okaże się konieczne, załatwi się później.

Ścisnęło ją w sercu na myśl o oddaniu chłopca, ale przypomniała sobie, że to tylko tymczasowe rozwiązanie.

Och, tak? A co z Ariel? Hmm?

Niemal rozsypała się w środku, po czym wyprostowała plecy, dłonie w rękawczkach zacisnęła na dużej kierownicy.

– Zamknij się – wrzasnęła na ten cichy, dręczący ją głos w głowie. Nie mogła pozwolić sobie na dopuszczenie do siebie emocji. Nie teraz. Pora na żałobę i smutek przyjdzie... gdy przyjdzie. Na razie musi trzymać się nadziei i trwać w postanowieniu, że dostanie to, co jej się należy.

Dla rodziny.

Z zasznurowanymi ustami i palcami w rękawiczce zaciśniętymi na kierownicy wymijała cadillakiem samochodu, furgonetki, ciężarówki i autobusy w mieście, żeby dołączyć do płynnie posuwającego się rzędu pojazdów kierujących się na zachód, w stronę zachodzącego słońca. Jeszcze kilka godzin, tyle potrzebowała, pomyślała, znajdując okulary przeciwsłoneczne, replikę z lat sześćdziesiątych, i zakładając je na grzbiet nosa. Co z bezpieczeństwem? Na wypadek, gdyby weszła w paszczę lwa, ponownie zabrała ze sobą pistolet, chociaż miała nadzieję, że nie będzie musiała go użyć. Nigdy w życiu do nikogo nie strzelała.

– Zawsze musi być pierwszy raz – powiedziała sobie i zerknęła na swoje odbicie w lusterku. – Zawsze musi być pierwszy raz.

Noah otworzył zapuchnięte oko i zamrugał.

Dokąd go, do cholery, przywiało?

Pokój był mały, miał okno, a on leżał na łóżku. Nieznany łóżku ze świeżą pościelą i...

Cholera jasna, był w szpitalu. Wszechobecny zapach środków dezynfekujących był ledwie wyczuwalny.

Gdy oczyścił umysł z pajęczyn, rozejrzył się wkoło, nad jego głową popiskiwał jakiś czujnik, obok łóżka stała taca z pustym naczyniem na mocz z jednej strony i ze szklanką wody ze słomką z drugiej. Okno z podniesionymi do połowy role-

tami, duży parking ciągnący się w dole; jego sala musiała być na pierwszym, może drugim piętrze. Wytężył wzrok, by zobaczyć, co jest za oknem.

Nad miastem zapadał zmrok, włączały się latarnie, budynek miał kształt litery L, zauważył wejście do izby przyjęć, zapewne właśnie tamtędy się tutaj dostał. Szpital Elizabeth Park. Był tu już jako dziecko, kiedy złamał lewą rękę, gdy spadł z dachu szopy.

Co się, do diabła, stało?

Pustynia.

Motocykl.

Białe cadillac Didi Storm.

I eksplozja, która zakotłosała pustynią, potem szalejący pożar.

I... strzelec. No właśnie, wysoki mężczyzna z karabinem, którego od tyłu oświetlał ogień, celujący prosto w Noaha. Na to wspomnienie jego serce rozpoczęło galopadę, usłyszał, że czujnik wydaje dźwięki w szybszym tempie. Poruszył się na łóżku i poczuł ból z prawej strony ciała, następnie zauważył, że ma zabandażowaną rękę i klatkę piersiową.

Jak dawno się to zdarzyło? Nic nie pamiętał po tym, jak strzelec do niego podszedł. Czuł chropowatą suchość w gardle, próbował sięgnąć po szklankę stojącą na końcu tacy. Poczuł silny ból w ramieniu i zmarł.

Na dźwięk kroków i turkotu wózka zbliżających się do jego uchylonych drzwi ponownie zamknął oczy, zaczął płycej oddychać i czekał.

Ktoś wszedł do sali i krzątał się koło łóżka.

– Hej, witaj – powiedziała jakaś kobieta miękkim, kojącym tonem. – Obudziłeś się?

Nie poruszył się. Nawet nie drgnął. Nie dał znaku życia, nawet gdy włożyła mu termometr pod język i założyła opaskę ciśnieniomierza na rękę ani gdy ujęła i podniosła jego nadgarstek chłodną dłonią w rękawiczce.

– Halo – powtórzyła, tym razem bliżej ucha. – Słyszysz mnie?

Kiedy nie zareagował i udawał, że jej nie słyszy, poczekała, jakby spodziewała się, że uniesie powiekę lub kiwnie palcem. Nie zrobił tego, ale czuł jej obecność, gdy udało mu się uregulować oddech i sądząc po odgłosach z monitora, także bicie serca.

– Helen? – Kolejny żeński głos, niższy i bardziej szorstki. – Obudził się?

– Tak sądziłam, ale nie. Nie odpowiada. – Pauza. Jakby obie kobiety na niego patrzyły. Gapiły się na niego, jakby wiedziały, że udaje. Nadal oddychał normalnie, a przynajmniej tak mu się wydawało.

– Był już lekarz? – zapytała ta druga.

– Tak, wcześniej. – Ponownie Helen.

Noah wycężył słuch.

– Kolejne operacje?

Kolejne? Czy był operowany? Na co?

– Nie. Na razie nie. Tak przynajmniej twierdzi doktor Spears, ale jeszcze jest wcześniej. Spójrz na jego wskaźniki, Barb. Wszystko w normie.

– Hmm. Racja.

Poczuł, że ktoś staje bliżej niego, robił wszystko, co w jego mocy, żeby się nie poruszyć, kiedy usłyszał dźwięk pagera dochodzący z korytarza.

– Doktor Barrows? – Rozległ się spokojny kobiecy głos. – Proszę odebrać telefon. Doktor Phillip Barrows.

Druga kobieta, Barb z niższym głosem, stwierdziła:

– Wobec tego musimy czekać. – Poczuł na twarzy delikatny powiew, jakby mu się przyglądała z bliskiej odległości. Chciał przełknąć ślinę, ale nie zrobił tego. W końcu musiała się wyprostować, bo nie czuł już jej oddechu na twarzy. – I policzka też – dodała.

Co? Gliny? Czekają? Prawie wydał z siebie stłumiony okrzyk, ale jakoś się powstrzymał.

– Wciąż tu są? – zapytała Helen.

– Nie. Poszli po południu, ale niedługo wrócą, żeby porozmawiać z panem nieznanym – oświadczyła Barb, po czym wyjaśniła: – Próbują się dowiedzieć, kim jest.

– Ktoś musi za nim tęsknić.

Noah miał mętlik w głowie. Jak na razie nie wiedzieli, kim jest. To dobrze, pomyślał, bo gliny to zawsze kłopot.

– Dowiedzą się. Mój szwagier jest detektywem i twierdzi, że to tylko kwestia czasu. – Ponownie Barb. – Jeśli nie uda im się tego szybko ustalić, podadzą informację do wiadomości publicznej. Opublikują jego zdjęcie, by ktoś go rozpoznał.

Niedobrze. Absolutnie fatalnie. Zaczął się pocić.

– Chyba już to zrobili, prawda? Po tym jak na Mojave spłonęło auto?

O cholera.

– Sądzę, że niedługo ustalą, do kogo należało. Właściciel był w środku, siedział za kółkiem, rejestracja została niemal doszczętnie zniszczona. Tak słyszałam. –

Wyglądało na to, że Barb zna więcej szczegółów. – Policja chce się dowiedzieć, co na ten temat wie nasz Johnnie Doe.

Johnnie Doe? Jakby miał pięć lat? Mimowolnie Noah się najeżył, ale musiał się opanować i nadal udawać, że śpi.

– Niedługo się obudzi, nie uważasz? Nie minęły jeszcze nawet dwadzieścia cztery godziny – stwierdziła Helen.

Uzyskał odpowiedź na jedno pytanie, ale wciąż miał wiele innych. Bardzo wiele.

– Mam nadzieję. Był mocno poobijany po wypadku. Stłuczenia, popękane żebra, wstrząs mózgu. Na szczęście nie połamał żadnych kości.

– Na szczęście – prychnęła Helen. – Jeśli według ciebie kula w szyi to szczęście? Wątpię, że to był wypadek.

Został postrzelony? W szyję. I nie umarł?

Helen ciągnęła:

– Według mnie ktoś chciał go zdjąć z motocykla. Chyba nie myślisz, że jakiś myśliwy wyszedł na polowanie o zmierrzchu i pomylił z czymś chłopaka na motocyklu? Z dzikiem? Albo mulakiem? A może z cholernym kojotem? Był pijany? Motocykl hałasuje i nie brzmi jak żadne zwierzę. – Helen nie kupowała teorii o wypadku. – Moim zdaniem został postrzelony w szyję i wtedy stracił panowanie nad maszyną. Miał cholernie szczęście, że kula minęła tętnicę i żyłę szyjną.

– Nie wspominając o kręgosłupie.

– Amen.

– Właśnie to miałam na myśli, mówiąc, że miał szczęście – wyjaśniła Barb.

Wyczuł, że oddaliły się od łóżka, miały buty, które nie robiły prawie żadnego hałasu.

– Zajrzę do niego po przerwie... – powiedziała Helen, jej głos był mniej wyraźny, jakby już wyszła na korytarz znajdujący się za uchylonymi drzwiami.

– Dobrze.

Potem odezwała się Helen.

– Słyszałaś, że pytał o niego jakiś facet? Nie wyglądał mi na dziennikarza.

– Ten wysoki z wąsami? W typie kowboja?

Noah niemal się posikał. Spiął wszystkie mięśnie. Zabójca. To o nim mówiły. Oczyma wyobraźni widział, jak strzelec się do niego zbliża z długą bronią w ręce, jego wąsy oświetlał blask ognia.

Był tutaj? Kurwa mać!

– Właśnie ten – potwierdziła Helen, a on musiał wyteńczyć słuch, żeby ją usłyszeć, nawet odrobinę uniósł powiekę, żeby upewnić się, że został sam. Szybko się rozejrzał, nikogo nie zauważył, ale cienie w pobliżu drzwi świadczyły o tym, że pielęgniarki nie odeszły daleko. Zaryzykował i podciągnął się wyżej, żeby usłyszeć ich rozmowę, którą zagłuszało coraz szybsze bicie jego serca.

– Jak się przedstawił? – zapytała Barb.

– Właśnie o to chodzi. W sumie się nie przedstawił. Twierdził, że jest wujem dzieciaka, któremu ten ukraść motocykl i zniknął. Chciał go zidentyfikować, ale nie podał danych, które policja mogłaby sprawdzić w systemie i porównać ze zgłoszonymi zaginięciami czy coś w tym stylu. Wobec tego, gdy pytania stały się bardziej natarczywe, facet po prostu wstał i wyszedł. Zanim dotarł tu Ted z administracji. Jakaś śmierzcząca sprawa.

– Ale nagrała go kamera – zauważyła Barb.

– Nie za bardzo. Miał czapeczkę z daszkiem i okulary przeciwsłoneczne, dwunoiowy zarost i wąsy. Policja zabrała nagranie.

Cienie w korytarzu zniknęły, więc Noah nie słyszał już ich rozmowy. Wypuścił powietrze z płuc. Przeżył. Ledwo, ledwo. Ale zabójca najwyraźniej go szukał. Poczł uderzenie paniki, wyrzut adrenaliny, robił, co mógł, żeby się opanować, żeby ten cholerny monitor pracy serca go nie wydał. Zmusił się do położenia na poduszce i udawania, że śpi.

Musiał stąd wyjść. Szybko. Zanim gliny zaczną węszyć i zanim wróci zabójca. Poczekaj do nocy, kiedy w szpitalu jest cicho, i wtedy jakoś ucieknie. Nie tylko ze szpitala, lecz także z Vegas.

Znał to miasto, tutaj dorastał, a szpital znajdował się zaledwie niecałe dwa kilometry od domu jego starego. Nie miał połamanych nóg, więc mógł przejść ten kawałek, ukraść resztę pieniędzy, których potrzebował, i oddać się autostopem. Denver brzmiało dobrze. Albo Seattle. Może Anchorage. Lub... Meksyk. Z LA do San Diego, przez granicę do Tijuany i zniknąć, nikt nie znalazłby tam tego gringo.

Przez zmrużone powieki spojrzł ponownie przez okno i przez chwilę wspomniął Remmi, zastanowił się, co porabia. Następnie zamknął na nią swój umysł. Nieświadomie została z tym powiązana, przez swoją matkę, która była na pustyni zeszłego wieczoru. Na myśl o niej zacisnął szczęki tak mocno, że poczuł ból. Nawet jeśli o niczym nie wiedziała, była winna, bo tu mieszkała, a za sześć godzin Las Vegas i wszyscy mieszkańcy miasta będą dla niego martwi.

Kiedy plan A nie wypali, realizuj plan B.

Didi przypomniała sobie tę zasadę, pędząc przez pustynię, za nią pozostały światła Las Vegas. Jej celem było LA. Za jakieś pięć godzin, jeśli pojedzie zaplanowaną trasą po I-15 wiodącą przez pustynię i góry w okolice Los Angeles – a raczej nieco dalej na zachód od Malibu, do domu nad oceanem. Wszystko, co najlepsze, dla Olivera Hedgesa, tego starego dupka.

Kliknęła zapalniczką i gdy pojawił się żar, znalazła papierosy w torebce. Miała przed sobą kilka godzin jazdy, więc mogła palić, ile chciała i potrzebowała. Uchyliła szybę, odpaliła i trzymała papierosa Virginia Slims jedną ręką w rękawiczce, drugą pozostawiła na kierownicy.

Rozważyła zdjęcie rękawiczek – były nieco problematyczne – ale postanowiła, że będzie wcielać się w Marilyn Monroe, seksowną i uwodzicielską za kółkiem.

Zerknęła na aktówkę na siedzeniu obok, wypełnioną fałszywymi banknotami, bo oddzieliła te prawdziwe. Rzuci wszystkie te fałszywe pięćdziesiątki i dwudziestki w zarozumiałe, pyszałkowate gęby Hedgesów! Ponowny przyływ złości sprawił, że zacisnęła zęby na myśl o tym, jak została oszukana. Jeśli Brett zginął w tym ogniu, w pełni sobie na to zasłużył.

Ale nie Ariel... nie cudowna... Ból ścisnął jej serce.

– Przestań! – warknęła na siebie, po czym dodała gazu szpikulcem obcasa. Cadillac objechał wolno jadącą furgonetkę, która nie trzymała się swojego pasa, jakby kierowca był śpiący, pijany, naćpany albo nie potrafił jeździć. Nieważne. Śmignęła obok niego i przez upstrzoną owadami szybę spojrzała na nocne niebo, ciemne i rozgwieżdżone, droga przypominała wstążkę wijącą się przez pustynię w kierunku gór i poza nie.

Nie po raz pierwszy rozmyślała, czy nie powinna była zabrać Adama jako swój atut w negocjacjach ze starszkiem, ale uznała, że podjęła właściwą decyzję, zostawiając dziecko z Remmi. Lepiej się nie wychylać. Straciła już jedno dziecko przez swoją brawurę i nadmierną pewność siebie. Ścisnęło ją w gardle, gdy jej myśli znowu zboczyły ku Ariel, ale odciągnęła je od ciemnej otchłani żałoby i skierowała na to, co tu i teraz; jeszcze będzie czas na żalobę, poczucie winy i odchowanie. Teraz musiała się skupić na bieżącym zadaniu.

Oliver spał na pieniądzech – a raczej na akcjach – dziadek jej dzieci był obrzydliwie bogaty, zainwestował w początkującą firmę zajmującą się nowoczesnymi technologiami, która dostała wiatru w żagle i wciąż zwyżkowała. Pragnął mieć dziedzica. Dowiedziała się tego od wynajętego prywatnego detektywa, tego samego, którego zatrudniła, żeby sprawdził jej drugiego męża, magika, od którego nauczyła się wszystkich sztuczek i który posuwał swoją młodziutką asystentkę. Detektyw dostarczył jej zdjęcia, w kolorze i na błyszczącym papierze, z Leo w tyłu

kompromitujących pozycjach z apetyczną i zwinną asystentką; na jednym bardzo wyraźnym ujęciu asystentka, naga jak w dniu, gdy przyszła na świat, pochylała się nad tym samym pudłem, którego używał podczas występu do sztuczki z przepiłowywaniem kobiety.

Na to wspomnienie Didi z niesmakiem wypuściła dym, następnie gwałtownie zgasła papierosa w popielniczce. Nie ma czasu na myślenie o Leo „Kasparze Wielkim” Kasparianie. Jedyne, co doskonale mu wychodziło, to cudzołożenie.

– Ówok – mruknęła pod nosem.

Ruch był niewielki, opony jej auta szumiały na suchym asfalcie, silnik cadillaca delikatnie mruczał pod wielką maską. Przed sobą miała kilka czerwonych tylnych świateł, na przeciwnym pasie ruch był większy, światła jadących z lewej strony samochodów lśniły niczym wygłodniałe ślepia.

Rozparła się wygodniej, postanowiła, że zatrzyma się na stacji, gdy wjedzie na teren Kalifornii; tam sprawdzi makijaż i fryzurę, ponieważ, bez względu na wszystko, chciała wyglądać zjawiskowo dla tego starego przyka. Pokręciła głową, żeby pozbyć się sztywności karku, i odniosła wrażenie, że coś słyszy... jakby grzechotanie, nie od razu skojarzyła ten dźwięk, ale było to coś niezwykłego, coś niepasującego do tej sytuacji.

– Nie – wyszeptwała.

Po wczorajszej nocy sama dokonała przeglądu auta, ale znalazła jedynie kilka zadrapań od kaktusów, które potrafiła, jadąc praktycznie na ślepo przez pustynię, poza tym wszystko było w porządku. Żadnej złamanej osi, przebitej opony, nic. Ale jeśli teraz coś szwankowało...

To tylko jej nerwy, nic poza tym. Była przewrażliwiona. Na skraju. Kto by nie był? Miała przed sobą konfrontację z bogatym i, o ile jej było wiadomo, pozbawionym skrupułów starym człowiekiem, musiała dogadać się z nim co do wymiany. Zaczęły jej się pocić dłonie w rękawiczkach. Słyszała, że podupadł na zdrowiu, że uległ jakiemuś wypadkowi, ale w jej wyobraźni wciąż był w pełni władz umysłowych, więc mimo słabości ciała będzie dla niej godnym przeciwnikiem.

Znowu usłyszała ten dziwny dźwięk. I kliknięcie.

Zwolniła trochę. Co to było? Dochodziło z zewnątrz czy...?

Zerknęła w lusterko i prawie stanęło jej serce.

Patrzący na nią oczy ukryte w cieniu.

Didi krzyknęła.

Zimna lufa pistoletu dotknęła jej karku.

– Jedź – rozkazał szorstki, gardłowy głos.

Didi skręciła z drogi, przednie koło zahaczyło o pobocze, kawałki żużlu wzbily się w powietrze, gdy wyrównała, po czym wyprostowała koła wielkiego samochodu. Jej serce biło jak dzwon. W jej żyłach płynęła adrenalina napędzana paniką. Co to było, do cholery? Kim jest ten facet? O, Boże, zabije ją! Gdzieś na pustyni! Przez ułamek sekundy rozważała dodanie gazu, potem wciśnięcie hamulca, żeby pozbawić go równowagi lub spowodować wypadek, by ktoś ją znalazł. Pomógł jej.

– Nawet o tym nie myśl – warknął cicho, jakby czytał w jej myślach.

Jak się tu dostał? Czy przez całą drogę chował się na tylnym siedzeniu? Spociła się pod obcisłą sukienką, przełknęła strach i desperacko próbowała coś wymyślić, znaleźć sposób, żeby wybrnąć z tej kabały. Miała wrażenie, że tonie, gdy uświadomiła sobie, że mógł zacząć się w schowku bagażnika, tam, gdzie sama się chowała, trzymała rekwizyty i... Boże drogi, jakie znaczenie ma to, jak się tu dostał? Problemem było pozbycie się go, zanim... zanim...

– Jedź – powtórzył, zmrużył oczy i obmyślał kolejne posunięcie. – I nie przekraczaj dopuszczalnej prędkości.

Zrobiła, co kazał.

Dopóki siedziała za kółkiem, nie mógł jej zastrzelić, prawda? Ryzykowałby własne życie, gdyby nacisnął spust. Nie – potrzebował jej. Na razie. Dopóki nie postanowi się zatrzymać. Jeśli tak, będzie musiała zrobić coś drastycznego. Na przykład w coś wjechać. Zerknęła na wskaźnik paliwa. Pół baku. Co się stanie, gdy skończy się benzyna i auto zatrzyma się samo?

Przerażenie zmroziło jej krew w żyłach.

Pomiędzy teraz i wtedy musi coś wymyślić. Musi. Waliło jej serce, ręce trzęsły się na kierownicy, w środku rękawiczki spływały potem, płytko oddychała, miała mętlik w głowie.

Miała pistolet. W torebce. Gdyby tylko mogła go w niego wycelować. Może powie, że musi się zatrzymać przy toaletach lub na stacji, żeby skorzystać z łazienki... Była jednak przekonana, że on nigdy się na to nie zgodzi. Ale gdyby powiedziała, że musi zapalić, a zamiast papierosów wyjęłaby pistolet, czy udałoby jej się do niego strzelić, zanim on naciśnie spust?

Musiała spróbować.

Nie mogła pozwolić, by ot tak ją zamordował.

Musiała go jakoś wykiwać.

Ale zimny dotyk lufy na szyi przypominał jej, jak szybko kończy jej się czas.

ROZDZIAŁ 8

Ostatnia pielęgniarka została wezwana do sali w głębi korytarza, była godzina druga czterdzieści pięć w nocy, więc Noah po cichu wyszedł ze swojego pokoju. Zakradł się do korytarza naprzeciwko i ujrzał znak kierujący do wyjścia, następnie ominął windy i wybrał schody, na paluszkach zszedł na dół. Czekał wiele godzin, sądził, że policja na pewno wróci i o coś go oskarży, ale zadziałał jego numer z udawaniem, że śpi i nie odzyskał jeszcze przytomności, ilekroć przychodziły pielęgniarki.

Odczekał do chwili, gdy w szpitalu zrobiło się cicho, światła przygasły, parking widoczny z okna opustoszał, a pod zapalonymi latarniami zostało zaledwie kilka aut. Znalazł swoje ubrania w małej szafce stojącej pomiędzy łazienką a drzwiami na korytarz. Ubrał się w nie, odczuwając ból w całym ciele, zwłaszcza w szyi, przez którą przeszła cholerna kula, i w ramieniu, na które zapewne upadł, gdy katapultowało go z motocykla.

Od momentu, gdy się ocknął, zrozumiał, gdzie jest i co zdarzyło się poprzedniej nocy, usilnie próbował ułożyć sobie w głowie to, co zaszło na pustyni, ale w jego pamięci ostały się tylko częściowe kadry z wydarzeń, więc za nic w świecie nie potrafił złożyć w całość tego, co tam widział.

Miał nadzieję, że luki w pamięci są wynikiem znieczulenia i że w końcu przypomni sobie wszystko, co tam zaszło. Nie było to nic dobrego. Im więcej o tym myślał, tym bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że Didi Storm była jakoś w to zamieszana.

A Remmi?

Gdzie ona była?

Czy coś wiedziała?

Pytania tłukły mu się po głowie, ale je ignorował, zmuszał się do skupienia na ucieczce ze szpitala Elizabeth Park. Wyszedł przez drzwi na klatkę schodową na parterze. O ile mu było wiadomo, nikt go nie rozpoznał, ale to nie potrwa długo. Jak tylko jego zdjęcie trafi do mediów, rozpoznają go przyjaciele i znajomi ze szkoły i z pracy, w dwóch barach i na stacji benzynowej. Jeśli chciał uciekać, musiał to zrobić teraz.

Poczuł ukłucie niepokoju, gdy minął donicę ze sztucznymi paprociami i ruszył w stronę głównego wyjścia. Postawił kołnierz, bo był pewien, że nagrywają go szpitalne kamery. No trudno. Musiał się stąd wydostać. Zanim wróci zabójca.

Przemknął przez rozsuwane drzwi prowadzące do izby przyjęć, kiedy pracownica recepcji odwróciła wzrok i skupiła się na rozmowie telefonicznej i jakichś papierach rozrzuconych na blacie. Gdy znalazł się na zewnątrz, ruszył truchtem. Miał sprawne nogi, nie było z nimi problemu, ale bolały go ręce i szyja. Domyślał się, że w jego krwiobiegu znajdują się środki znieczulające pozostałe po operacji, ale niedługo przestaną działać. Wtedy będzie musiał poradzić sobie z bólem, na razie jednak się tym nie przejmował.

Opuścił szpital i ruszył w stronę centrum miasta, na Las Vegas Boulevard, który znajdował się po przeciwnej stronie niż jego dom. Ale jeśli uchwyciły go jakieś szpitalne kamery na parking, wszystkim będzie się wydawać, że poszedł na południe. Gdy znalazł się poza ich zasięgiem, zawrócił i skierował się w stronę domu. Kiedy tam dotrze, ukradnie resztę gotówki zachomikowanej przez starszka, pod warunkiem, że ten jeszcze się nie kapnął, że Noah się do niej dobrał, następnie ruszy autostopem na południe. Najpierw do LA, potem San Diego, a następnie przekroczy granicę.

Uznał, że uda mu się tego dokonać bez niczyjej pomocy.

W zasadzie od kilku lat wszystko robił sam.

Szczelniej opatulił się kurtką, przemknął pochylony przez opuszczony parking, kierując się na północ, ale zauważył jadący radiowóz. Skręcił w boczną ulicę i przylgnął do muru niewielkiego centrum handlowego. Z dudniącym sercem, modląc się, żeby gliny nie skrzyły w tę uliczkę oświetloną zamontowanymi na górze lampami, wstrzymał oddech i nagle usłyszał jakieś parsknięcie.

– Hej, chłopcze – odezwał się charczący głos. – Co tu robisz?

Powoli odwrócił głowę, ból przeszył jego szyję, i zobaczył żyłastego faceta z brodą i oczami płonącymi głęboko w czaszce.

– Nic – odpowiedział.

– Masz pieniądze?

– Nie... nie, dopiero wyszedłem ze szpitala. – Noah się pocił. Auto policyjne zwolniło, mijając boczną ulicę. Przełknął ślinę.

– Prochy? Piguły? Masz je ze szpitala?

– Nie! – syknął. – Ciii.

– Hej, przestań mnie uciszać.

Radiowóz przejechał, nie skręcił.

– Zwiąłeś? – zapytał facet i podszedł bliżej. – Szukają cię gliny? – W ciemności jego oczy załśniły na myśl o możliwej nagrodzie.

– Po prostu unikam kłopotów – odparł Noah.

– Trochę na to za późno – powiedział facet, a Noah w ciemności dostrzegł srebrny błysk w jego dłoni. Jakiś nóż.

– Odpierdol się ode mnie – warknął Noah.

– Pokaż, co masz w kieszeniach. Wywróć je na lewą stronę.

– Nic – odparł Noah. – Nic nie mam. – Gdy facet się zamachnął, zrobił unik, następnie wbił kolano w łędźwie napastnika. Od lat ćwiczył się w unikaniu ataków Baxtera, a ten śmierzący wodą gość nie był dla niego godnym przeciwnikiem. Dołożył mu kopniaka, drań upadł, wypuścił nóż z mięsistych palców. Noah podniósł broń, zatknął ją za pasek, po czym ruszył biegiem, przeciął ulicę i wypadł na parking, z którego znowu skierował się na północ. Facet, o ile już się pozbierał, nie ruszył za nim w pościg.

Biegł przez noc, aż poczuł palenie w płucach i musiał zwolnić, żeby złapać oddech i pozbierać myśli. Ike będzie w domu przynajmniej do szóstej trzydzieści rano. O tej porze wyjdzie najpierw na kawę i dymek z członkami ekipy, a potem uda się na plac budowy, gdzie firma Peterson and Jones Construction wznosiła kolejny budynek wpasowany w krajobraz Las Vegas. Wtedy Noah zrobi kolejny ruch.

Nie zastanawiał się nad tym, co zamierza ukraść. Dla niego była to bardziej „pożyczka” czy wręcz zapłata za wszystkie razy i uderzenia, które zebrał, wymierzone dłonią, pięścią, a nawet pasem. To się skończyło kilka lat temu, gdy Noah wystrzelił piętnaście centymetrów w górę i przybrał prawie dwadzieścia kilogramów w formie mięśni w pierwszej klasie liceum. Skutecznie stawiał się starszemu mężczyźnie, z czym Ike nie mógł się pogodzić. Ale dopóki Noah miał pracę i „dokładał się do budżetu rodziny”, Ike dawał mu spokój. Wobec czego uznał, że ojczym ma u niego dług.

Kiedy zbliżył się do domu, w środku było nie tylko ciemno, lecz budynek wyglądał na opuszczony. Nie było nawet psa. Noah wszedł przez okno, żeby nikogo nie zbudzić, i ostrożnie przemierzył korytarz, prawie nie oddychał, ale w domu było pusto.

Czyżby go szukali?

Czy został zidentyfikowany i gliny wezwały ich na przesłuchanie?

Czy doszło do jakiegoś wypadku?

A może po prostu się spakowali i wyjechali, żeby umknąć przed wierzycielami, którzy wydzwaniali dniem i nocą?

A może znaleźli ich zabójca? Nie – siedzieliby i czekali, gdyby tak się stało. Prawda?

Stał w ciemnym, wąskim korytarzu i zastanawiał się, gdzie się podziiali, a stary dom skrzypiał wokół niego. Powinien poczekać.

Na zabójcę, który cię szuka?

– Pieprzyć to – mruknął pod nosem i wszedł do nory Ike'a. Częściowo spodziewał się, że Ike na niego czeka z żądzą mordu na twarzy, a na biurku leżą dwie foliowe torby. Tutaj także było pusto, a kiedy wsadził rękę do przewodu, znalazł pieniądze tam, gdzie je zostawił. Tym razem zabrał resztę gotówki i zostawił narkotyki.

Rozważał zabranie auta, ale uznał, że to zbyt ryzykowne. Do obrony miał nóż sprężynowy, więc wyszedł na główną drogę, gdzie panował umiarkowany ruch, i wyciągnął kciuk w górę. Poczul ukłucie żalu na myśl o matce. Będzie się zamartwiać. Musi do niej zadzwonić. Jednak na wspomnienie Ike'a Baxtera poczuł jedynie zew wolności i ulgę, że nie jest już pod pantoflem tego starego ropucha.

Przejechało kilka aut, zatrzymał się dopiero jakiś mężczyzna w starym pick-upie i włączył światła awaryjne. Noah podbiegł do czekającego auta i zauważył, że drzwi mają inny kolor niż reszta samochodu. Gdy stanął z boku pojazdu, kierowca, z wyglądu rolnik, pochylił się i otworzył drzwi.

– Dokąd jedziesz? – zapytał.

– Na zachód.

– To bardzo pojemne pojęcie. – Farmer w okularach, z trzydniowym zarostem i w czapeczce z logo Raidersów zmierzył go wzrokiem przy głośnym warkocie silnika. – A konkretniej?

– Do LA. – Noah powiedział pierwsze, co przyszło mu do głowy.

Pauza.

– Co ci się stało w szyję?

– Wypadek samochodowy. To dlatego łapię stopa. Dopiero wyszedłem ze szpitala.

W oczach rolnika pojawiła się podejrzliwość.

– Chyba nie zaszkodziłoby ci jeszcze kilka dni w szpitalu.

– Możliwe. Ale wie pan, to strasznie droga impreza.

– Racja.

– Dopiero mnie wypuścili.

– W środku nocy?

– Dzisiaj po południu. – Rany, czy to jakaś zgaduj-zgadula? Już miał się wycofać. – Jeśli nie chce mnie pan podwieźć...

– Och, matko, wskakuj. – Mocniej pchnął drzwi, po czym wyprostował się za kółkiem. – Po prostu się upewniam. Takie czasy, że trzeba zachować ostrożność.

Noah zastanowił się przez chwilę i uznał, że gość jest w porządku, więc usiadł na popękany sztuczny obicie fotela pasażera, po czym zamknął za sobą drzwi.

– Wczoraj w nocy coś złego wydarzyło się na Mojave. Słyszałeś o tym? – Zerknął na Noaha, po czym spojrzął w boczne lustro i wyjechał na drogę. – Zapnij pas – polecił. – Chyba nie chcesz dostać mandatu. Do dupy ten przepis.

Noah zrobił, co mu kazano, z wysiłku rozboleło go ramię, ale przełożył pas przez pierś. W pick-upie było ciepło, pachniało tabaką i kurzem, nawiew był tak głośny, że prawie zagłuszał muzykę, jakąś melodię w stylu country, sączącą się z głośników.

– No więc zeszłej nocy coś wydarzyło się na pustyni. Spłonęło auto, kogoś zabili, znaleziono wrak motocykla, wszędzie była policja. – Jakby w końcu dodał dwa do dwóch, rzucił spojrzenie swojemu pasażerowi, ale Noah udawał niewiniątko.

– Coś tam słyszałem w szpitalu – powiedział, ściągając brwi, jakby się namyślał. – Mam jeszcze mętlik w głowie, ale gdy pan tak mówi, przypominam sobie, że podśledzałem pielęgniarki rozmawiające o jakimś wybuchu czy czymś takim.

– No właśnie. – Mężczyzna przytaknął. – O to chodzi.

– Ale niezbyt uważałem. Miałem operację na ramię. Spadłem z drabiny. – Boże, miał nadzieję, że stary pierdziel kupi jego historyjkę. – Po narkozie wszystko mi się mieszało. Nie wiem, co podśledzałem, a co mi się przyśniło. – Posłał mężczyźnie znaczący uśmiech.

– O tak, to cholera... ta substancja potrafi poprzestawiać w mózgu, przecież wiem. – Rolnik pokiwał głową, a Noah trochę się rozluźnił. Facet za kierownicą poprawił czapkę. – Jadę do Barstow, możesz się tam ze mną zabrać, a potem będziesz musiał znaleźć sobie podwózkę do LA. Nie powinno być trudno. Wszyscy jadą do Los Angeles, jeśli wiesz, co mam na myśli.

– Brzmi świetnie. Dziękuję.

– Chcesz kawy? – Wskazał srebrny termos stojący pomiędzy siedzeniami. – Ale uwaga, bo jest silna. Odmiana Pięć Gromu albo podobne gów... yy, coś podobnego. Żona zaparała. Zawsze się boi, że przysnę za kółkiem.

– Dzięki, nie trzeba – skłamał Noah. Po raz pierwszy poczuł głód i pragnienie, ale pomyślał, że najlepiej odczekać do Barstow czy gdzie tam miał pożegnać się

z kierowcą.

– Nazywam się Tuck – powiedział facet. – Ned Tucker, ale mówią na mnie Tuck.

Noah spanikował na chwilę, po czym odparł:

– Riley Blackstone. – Połączył imię i nazwisko dwóch różnych nauczycieli.

– Miło cię poznać. Za tobą długi dzień. Możesz się przespać, jak chcesz. Obudzę cię, gdy będziemy dojeżdżać do Barstow.

Bosko. Noah oparł głowę o zagłówek i zamknął oczy, ale nie zamierzał spać, wsłuchiwał się w szum opon na asfalcie, rozpoznał piosenkę Gartha Brooksa płynącą z głośników. Nie wiedział, gdzie, do licha, jest Barstow, ale brzmiało dobrze. Jak na razie. Gdy nadejdzie świt, zastanowi się nad dalszymi posunięciami.

Na razie, adios Ike Baxter, żegnaj Coro Sue, sajonara Las Vegas.

A co z Remmi Storm? Co by jej powiedział?

Czuł żal tylko w stosunku do niej, do tej intrygującej dziewczyny, która w nosie miała popularność i trzymała się na uboczu podobnie jak on. Mądra dziewczyna. I ładna, choć nie piękna. Pyskata, ale nie zarozumiała. Wyrzał przez szybę. Tak, chciałby móc lepiej ją poznać, chociaż szczerze mówiąc, była dla niego za młoda.

Pora odpuścić.

Co by jej powiedział, gdyby miał taką możliwość?

Dobranoc. Szkoda, że chociaż raz nie mógł zaprosić jej na randkę i powiedzieć „dobranoc”, żałował, że zeszły wieczór tak się potoczył.

Nie wyszło z tego nic dobrego.

Dwa dni.

Didi nie było już od dwóch cholernych dni.

W domu panowała przyjemna temperatura, ale Remmi czuła przenikający ją chłód, włączyła kominek gazowy i przyglądała się migoczącym płomieniom, huśtając się na sfatygowanym fotelu bujanym z dzieckiem na kolanach. Chciała, żeby braciszek zasnął. Adam był marudny, nie chciał pić z butelki, którą mu podawała, patrzył tylko na nią i żuł smoczek, jakby wiedział, że coś jest nie w porządku. Oczywiście miał rację. Didi nie wróciła. Ani wczoraj, jak obiecała, ani dzisiaj. Więc kiedy wróci? Co się stało? Remmi patrzyła na płomień i miała dziwne i nie mile wrażenie, że może nigdy już nie zobaczyć matki.

Na tę myśl gula w jej gardle rosła, a ona przełykała ją i walczyła ze łzami. Fatalnie się czuła, jej niepokój zmieniał się w strach, gołą stopą odepchnęła się od dy-

wanu, by wprawić fotel w ruch. Uśmiechnęła się do niemowlęcia, mając nadzieję, że to je pocieszy, chociaż w środku cały czas czuła strach. Co się stało z Didi? Wyjechała na jakąś misję, ale...

Proszę, proszę, niech wejdzie przez drzwi, Remmi modliła się bezgłośnie od kilku godzin, ale jak na razie nie uzyskała żadnej odpowiedzi na swojej prośbie. Bóg nie słuchał.

Seneca także zniknęła. Remmi do niej zadzwoniła. Siedem razy wczoraj i dziś sięć razy dzisiaj. Seneca nie odbierała ani nie oddzwaniała do spanikowanej Remmi. Dziewczyna nakarmiła Adama z zapasowej butelki i patrzyła na zegarek. Mama powiedziała, że wróci w ciągu dwunastu godzin. Albo kłamała, albo coś ją zatrzymało, albo...

Nawet o tym nie myśl; nie myśl tak! Remmi próbowała się kontrolować, gdy zegar w kuchni odliczał sekundy jej życia; Didi nic się nie stało. Jest okej. Coś ją zatrzymało, a może... odwróciło jej uwagę. Ale wróci. Zawsze wracała.

I zawsze dzwoniła. Prawda? Więc dlaczego teraz nie dzwoni?

Remmi popatrzyła na telefon; chciała, żeby rozległ się sygnał.

Ale w domu było cicho, słyszać było tylko tykanie zegara, skrzywienie bujanego fotela, postukiwanie okien, bo rozszalała się pustynna burza i wiatr hulał w jałowej okolicy, oraz coraz szybsze bicie jej serca.

Czy Didi zaplanowała, że porzuci swoją najstarszą córkę, zostawi Remmi z dzieckiem już na zawsze? Nie, Remmi w to nie wierzyła, nie mogła w to uwierzyć mimo nieprzewidywalnego zachowania Didi.

Ale kłamała, prawda?

Na temat spotkania na pustyni.

Na temat Ariel i Trudie.

I tak wielu innych rzeczy.

Przez całe twoje życie Didi naginała prawdę tak, jak jej pasowało. Weźmy, na przykład to, że nigdy nie powiedziała ci nic o ojcu. Albo swojej rodzinie. Słyszałaś od niej kłamstwo za kłamstwem.

Jak możesz jej ufać? Jak?

– Oj, zamknij się! – powiedziała Remmi, czym wystraszyła Adama. Wypuścił smoczek z buzi, skrzywił się i zaczął płakać. – Och, kochanie, nie, nie, nie – wyszeptała, wstała i zaczęła go kołysać w rytm kroków. Chodziła z nim przed kominkiem. – Już dobrze. Wszystko będzie dobrze. – Pocałowała pokryty meszkiem czubek jego głowy.

Co powinna zrobić?

Zadzwoń na policję?

Nie. Jeszcze nie. Didi by ją zabiła, gdyby się dowiedziała... Cóż, jeśli kiedykolwiek wróci. Poza tym odebraliby jej Adama i umieściliby ją w jakiejś rodzinie zastępczej, z dała od jej braciszka. Nie, dziękuję.

Zadzwoń do Noaha?

Co by to dało? Przecież już próbowała kilka razy i nigdy nie udało jej się uzyskać połączenia. Gdyby chciał z nią porozmawiać, mógł zadzwonić lub przyjechać. Widocznie nie był nią zainteresowany, zapewne nigdy nie był.

Poczuła, że pęka jej serce, ale zignorowała ból. Ledwie go знаła. Poza tym był frajerem. W przeciwnym razie sprawdziliby, dlaczego nie przyszła na spotkanie.

Chyba że myśli, że specjalnie wystawiłaś go do wiatru...

Po raz milionowy Remmi zerknęła na ogień. Popatrzyła na płomień. Pomyślała o gwałtownym pożarze na pustyni. I o strzałach. Ktoś tam umarł zeszłego wieczoru, była tego pewna. *Umarł! Nagłą śmiercią.* Didi zamieniła dzieci, była co do tego pewna, i osoba, która znajdowała się w aucie, mężczyzna, do którego Didi zwracała się jako do „tatusia” bliźniaków, miał dostać chłopca. Nie dziewczynkę. To dlatego bliźniaki miały zamienione ubrania. Tak musiało być. Remmi była niemal tego pewna – że Didi specjalnie zamieniła dzieci, żeby wykiwać „tatusia” i zapewne kazać mu zapłacić więcej za syna. Ale facet ją oszukał, zagrał jej na nosie, podobnie jak ona jemu i zostawił jej aktówkę pełną fałszywych, beużytecznych banknotów.

I umarł za to.

Ktoś go zabił w tym samochodzie. Zamordował go – albo celowo, albo przez pomyłkę, i odebrał życie dziecku, które miało być Adamem.

Och. Nie.

Tak bardzo pograżyła się we własnym smutku, oplakiwaniu siebie i matki, martwieniu się o to, kiedy wróci Didi, że zupełnie zignorowała przerażający fakt, że morderstwo, do którego doszło na pustyni, miało coś wspólnego z Adamem. Spojrzała na dziecko w swoich ramionach, niewinne niemowlę, bliźniaka bez siostry.

– O Boże, nie – wyszeptwała na myśl o tym, co może się stać z maleństwem, jeśli naprawdę znajduje się w centrum tej afery i być może jest celem. – Och, kochanie, nie pozwolę... – Nie skończyła myśli, bo zadzwonił telefon, więc rzuciła się, żeby go odebrać.

Wreszcie Didi się odezwała. Jej serce wypełniło poczucie ulgi. Prawie się rozplakała.

– Mama! – Zerwała słuchawkę ze ściany, ale w ostatniej chwili ugryzła się w język, opanowała się i nie powiedziała ani słowa.

– Didi? – zapytał szorstki, poirytowany głos. – Didi? Jesteś tam? – Mężczyzna się zawahał, a Remmi skojarzyła, kto to taki. Harold Rimes, szef matki z klubu. – Co, do cholery, się dzieje? Gdzie jesteś? Wczoraj wieczorem okej, powiedziałaś, że jesteś chora, i spoko, Tanya pokazała swój numer, zastąpiła cię, ale co zamierzasz zrobić dzisiaj? – Pauza. – Jesteś tam? Do cholery, spodziewam się dzisiaj tłumów. Lepiej przyjdź, Didi. Jeśli zależy ci na robocie, ale wydaje mi się, że masz ją gdzieś. – Przeciągle westchnął, a kiedy odezwał się ponownie, mówił bardziej ugodowym tonem. – Tanya to nie ty, a stali klienci spodziewają się, coś... sama wiesz... – Znowu zamilkł. – Chryste Panie! Masz przyjść, Didi! – Wkurzył się i rozłączył.

Wstrząśnięta Remmi z dzieckiem na ręku powoli odwiesiła słuchawkę.

Didi nie zadzwoniła nawet do Harolda, żeby uprzedzić go o swojej nieobecności. Niedobrze. Bardzo niedobrze.

Ponownie spojrzała na niemowlę, Adam zaczął gaworzyć do niej i patrzył niewinnymi, niebieskimi oczami. Prawie się rozplakała.

– No i tak – podsumowała. Włożyła go do fotelika, do walizki spakowała swoje i jego ubrania, znalazła butelki z wodą i mieszankę dla niemowląt, duże pudełko pieluch, jakieś przekąski i napoje, po czym zaniósła wszystko włącznie z bratem do toyoty.

Pieniądze.

Potrzebowała pieniędzy.

I karty kredytowej.

Napędzana tą myślą, wbiegła z powrotem do domu, udała się do swojego pokoju, gdzie w słoiku trzymała zaoszczędzone napiwki z baru Biggie's Burgers, w którym pracowała kilka godzin w tygodniu. Wsadziła słoik do plecaka. Za mało. Ale wiedziała, gdzie szukać. Bez chwili wahania, nie słuchając cienkiego głosiku, który mówił, że przekracza niewidzialną linię, zza której nie ma powrotu, udała się do pokoju matki, gdzie w garderobie znalazła zamknięte na klucz pudełko. Szybko namierzyła kluczyk w przegródce na kolczyki na toaletce Didi i otworzyła pudełko, w którym Didi trzymała pieniądze z napiwków oraz cenną biżuterię. Gdy kluczyk przekręcił się w zamku i szkatułka się otworzyła, Remmi gwałtownie wciągnęła powietrze. Jasny gwint! Znalazła żyłę złota! Mnóstwo pieniędzy o większych nominałach niż miała w swoim słoiku z napiwkami.

Uznała, że to prawdziwe banknoty, które kanciarz powtykał pomiędzy fałszywki. Didi oddzieliła te podrobione. Remmi miała taką nadzieję. Na dnie szka-

tułki znalazła karty kredytowe oraz diamentowe kolczyki matki i krzykliwą broszkę, która według Didi zrobiona była z prawdziwych rubinów i szmaragdów. Może. W tej chwili Remmi nie miała czasu, żeby zastanawiać się nad jej wartością. W szkatułce był też mały notes na spirali z nazwiskami, ale większość z nich została już wykreślona i wymazana. Mogły się jednak przydać. Remmi postanowiła, że go zabierze. Zamknęła pudełko, wsadziła kluczyk do kieszeni i zaniósła całość do toyoty.

Pomyślała o komputerze. Chciałaby go zabrać, ale monitor był nieporęczny, a modem i tak nie mógł działać bez połączenia telefonicznego. Całość była zbyt duża, więc chociaż uwielbiała ten kupiony z drugiej ręki sprzęt i łączenie się z siecią, nie miała na niego miejsca.

Dowód. Musisz mieć dokument tożsamości. Twoje uśmiechnięte zdjęcie na legitymacji szkolnej nie wystarczy.

Siadła za kierownicą i powiedziała sobie, że kiedy dotrze do celu – a nie miała pojęcia, dokąd ma jechać – popyta i znajdzie jakiś sposób na wyrobienie dowodu, stwierdzającego, że ma dość lat, żeby prowadzić samochód. Zerknęła na swoje odbicie w lusterku. Wyglądała na piętnaście lat, ani o rok więcej.

– Młodzieńcza twarz. – Tak zawsze o niej mówili. Cóż, młodzieńcza twarz się nie nadaje. – Poczekaj chwilę – powiedziała przez ramię do niemowlaka w foteliku, po czym pobiegła do domu, w garderobie Didi odszukała walizkę wypełnioną kostiumami matki, jej sukniami, stanikami, pończochami, rękawiczkami i perukami. Zabrała ją do łazienki. Pod lustrem otoczonym żarówkami znalazła dwie kosmetyczki i wypełniła je produktami do makijażu. A także pędzlami, gąbkami i aplikatorami. Zabrała tusz do rzęs, podkład, róż, cienie do powiek, eyeliner – całą kobiecą amunicję znajdującą się w arsenale Didi. Remmi zabrała ją wraz z walizką do samochodu.

Tymczasem dziecko już się rozplakało.

Zignorowała je i przekręciła kluczyk w stacyjce. Silnik toyoty odpalił. Wyjeżdżając z podjazdu, kazała sobie zwolnić, uspokoić się i nie zwracać na siebie uwagi. Ostatnie, czego potrzebowała, to przyciągnąć spojrzenie policjanta nadzorującego ruch.

Dokąd jechać? – zapytała siebie, wjeżdżając na główną drogę. Na wschód? Do Teksasu? Amarillo? Dallas? Na zachód do LA? Nikogo tam nie знаła, a przecież będzie musiała się z kimś skontaktować, prawda? Na południu leżał Meksyk, ale czy uda jej się przejechać za granicę? Jej hiszpański wystarczał na potrzeby szkolne, ale daleko jej było do płynności. Jakich dokumentów będzie potrzebować?

A gdy już tam dojedziesz, to czy uda ci się wrócić do Stanów?

Odsunęła od siebie pomysł wyjazdu do Meksyku, oddalała się od centrum, gdzie był największy ruch. Dłonie lepiły się jej do kierownicy, tętno waliło w bębenkach uszu, miała mętlik w głowie. Włączyła radio, gdy dojechała do miejsca, gdzie musiała dokonać wyboru. Wschód czy zachód? Śpiewał Chris Isaak, знаła tę piosenkę, *San Francisco Days*.

Leciała w głośnikach, gdy pojawił się przed nią wielki zielony znak drogowy oznajmiający, że San Francisco znajduje się wiele kilometrów stąd. Daleko, ale czy wystarczająco daleko? Policzyła w głowie, że dotarcie tam zajmie jej całą noc. No i co? Musiała oddalić się od Las Vegas, poza tym potrzebowała czasu do namysłu i do stworzenia jakiegoś planu.

Teraz kiedy wyszła z domu i oddaliła się od telefonu, to jak Didi ją znajdzie? Przełknęła ślinę. Istniały telefony komórkowe – cyfrowe urządzenia stawały się coraz bardziej popularne. Każdego roku wraz z postępem technologii komórki robiły się mniejsze, chudsze i bardziej poręczne. Z pewnością były powiewem przyszłości. Remmi to wiedziała, ale Didi ich nie rozumiała.

– Komu potrzebny kontakt ze światem przez cały, cholerny, czas? – powtarzała, ilekroć Remmi wspominała, że ktoś ze szkoły miał taki aparat.

Pewnego razu, kiedy Didi siedziała przy toalecie i zmywała wacikiem i jakimś płynem grubą warstwę podkładu, wbiła wzrok w swoje odbicie i powiedziała:

– Wiesz co, tak sobie myślę, że stały dostęp do telefonu w szkole średniej to przepis na katastrofę.

– Ale są teraz całkiem małe, takie z zamykaną klapką, wyglądają jak ostryga – oponowała Remmi, a jej matka tylko się roześmiała.

– Co? Po co?

– Żeby je zamknąć. Wtedy mieszczą się w torebce i kieszeni.

– I trzeba za nie płacić oddzielny rachunek, a tego nie chcemy. Płacimy już za telefon. Uwierz mi, to nam wystarczy.

Remmi oparła się odzianym w dżinsy biodrem o blat koło umywalki.

– Ale gdybym miała taki telefon, mogłabyś zawsze do mnie zadzwonić i...

– Do ciebie? – zapytała zdziwiona, zerknęła na córkę, zmrużyła oczy, jakby dopiero uświadomiła sobie, że Remmi ma własny rozum, działający niezależnie od opinii głoszonych przez matkę. – Uważasz, że potrzebujesz telefonu? – Pokręciła głową i wyjęła chusteczkę z pudełka na blacie. – Nie ma mowy. Wiem, gdzie przebywasz. – Wytarła podkład z opuszek palców. – Przynajmniej staram się wiedzieć. – Wyrzuciła brudną chusteczkę do pełnego kosza na śmieci pod bla-

tem, znowu spojrzała w lustro i zmarszczyła brwi. Jej spojrzenie spotkało się ze wzrokiem córki i, jakby uznając wysuniętą szczękę Remmi za przejaw buntu, dodała: – Żadnych telefonów komórkowych. Nie w tym domu. Wystarczy komputer. – Pauza. – Zrozumiano?

– Zrozumiano – powtórzyła Remmi, ale w duchu uznała, że jej matka jest uparta jak osioł, zatwardziała w swoich poglądach i na dodatek jest wredną suką. Nie rozumiała nowoczesnych technologii i nie chciała ich poznać. Didi uwielbiała taplać się w przeszłości, nosić sentymentalne ubrania i udawać, że jest królową piękności z lat pięćdziesiątych lub sześćdziesiątych. Żyła w świecie ułudy. A na dodatek, zapewne przez ciche posłuszeństwo Remmi w szkole i w domu, sądziła, że ma całkowitą kontrolę nad życiem córki. Myliła się. Remmi miała dość robienia tego, co chciała Didi, zmęczyła ją rola „dobrej dziewczynki”, która zawsze zachowuje się odpowiedzialnie, robi, co jej każą, jest wzorową uczennicą stworzoną do pobierania stypendium w co najmniej lokalnym college'u.

Tego samego wieczoru, gdy odbyły rozmowę o telefonie komórkowym, Remmi zrobiła zwrot w swoim życiu, a dokładniej – całkiem zmieniła tor. Przestała robić, co kazała jej mama, a wszystko zaczęło się od tego, że weszła do Internetu i korzystając z karty kredytowej matki, „surfowała” za pomocą starego komputera, który wyblagała u Didi mimo jej obaw, że dziewczyna uzależni się od elektroniki i „Bóg wie czego”. Poza tym Remmi zaczęła w tajemnicy korzystać z toyoty matki w środku nocy, kiedy Didi wracała już z pracy i szła spać. Od tamtej chwili Remmi zabierała auto, kiedy tylko mogła, zawsze uzupełniała paliwo i beczelnie zastanawiała się, czy Didi kiedykolwiek przejrzy na oczy.

Jeśli Didi zauważyła zmianę postawy córki, nigdy o tym nie wspomniała, a Remmi uważała, żeby nie pogorszyć ocen, ponieważ szczerze wierzyła, że jej wyniki w szkole są biletem, który zabierze ją z Las Vegas daleko od matki, po mimo nadziei, które żywiła Didi.

Jej nadzieje stały w sprzeczności z nadziejami córki.

Didi upierała się, że żadna z jej córek nie wyprowadzi się z domu przed osiemnastką i nie popełni błędów, które ona popełniła, lecz Remmi uważała, że Didi bardziej zależy na stacjonarnej opiekunce do dzieci; dowiedziała się, że matka jest w ciąży z bliźniakami tego samego wieczoru, gdy rozmawiały o życiu Remmi po ukończeniu liceum.

– Zostaniesz ze mną i dziećmi. Będziesz mieszkać w tym domu, nie będziesz wydawała na czynsz i rachunki, więc odłożysz pieniądze. W Las Vegas też są dobre szkoły – stwierdziła, jakby jej decyzja była ostateczną, nie rozumiejąc, że w ciągu ostatnich kilku miesięcy Remmi pragnęła wyrwać się spod skrzydeł

matki. Kiedy urodziły się dzieci, zrobiło się jeszcze gorzej. Chociaż Remmi kochała swoje rodzeństwo, nie była gotowa im matkować ani nawet służyć za darmową opiekunkę.

Zerknęła na tylne siedzenie.

Kupi sobie telefon komórkowy, żeby móc zadzwonić do domu i zostawić wiadomość, a także by ponownie spróbować skontaktować się z Senecą.

A z Noahem? Czy z nim też będziesz chciała się zdzwonić?

– Nie – powiedziała na głos i zaskoczyła samą siebie, samochód wyrwał do przodu, bo nieświadomie depnęła na gaz, zamiast jechać stałą prędkością dziewięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Zwolniła. Ale była pewna, że nigdy więcej nie skontaktuje się z Noahem Scottem.

Wszystko się zmieniło. Jej życie wybuchło na pustyni dwa dni temu, wtedy gdy kula ognia pochłonęła ten drugi samochód. Obecnie była matką, ojcem, opiekunką, a także przyrodnią siostrą małego chłopca jadącego w foteliku na tylnym siedzeniu tego gruchota.

Zacisnąwszy dłonie na kierownicy, patrzyła przed siebie, w miejsce, gdzie światła jej samochodu oświetlały asfalt. Drogą jechało wiele pojazdów, a ona wraz z nieznanymi w innych autach poruszała się czerwoną rzeką przez góry, prosto w ciemną noc. Pozostali, ci w pick-upach, sedanach, furgonetkach, SUV-ach, jak przypuszczała, znali cel podróży, podczas gdy ona jechała na ślepo przez noc i zmierzała ku nieprzeniknionej, ponurej przyszłości.

ROZDZIAŁ 9

OH2 patrzył na mężczyznę w szpitalnym łóżku. Parę lat temu przekroczył sześćdziesiątkę, ale wyglądał na bardzo starego z rurkami wystającymi z ciała, mleczno-błądą skórą i w pogniecionej piżamie. Koło łóżka stał elektryczny wózek inwalidzki z zagłówkiem, dowód na to, że Oliver Hedges wciąż może się poruszać z pomocą pielęgniarek i oczywiście wózka, elektrycznego cudu, najlepszego, jaki dało się kupić. Mimo to wyglądał żałośnie, daleko mu było do krzepkiego atlety uprawiającego zjazdy na nartach z miejsc dostępnych z helikoptera, nurkowanie głębinowe, wspinaczkę górską, którym był jeszcze niedawno. Czterdzieści lat wcześniej sądził, że może zostać olimpijczykiem, biathlonistą, dzięki sprawności w jeździe przełajowej na nartach i doskonałej celności w strzelaniu do tarczy. Wypadł jednak z kadry za sprawą dziesięcioletniego syna norweskich imigrantów, który był kilka centymetrów wyższy, nieco szybszy na nartach i trochę celniej strzelał. Strata szansy na wyjazd na igrzyska olimpijskie była jedną z nielicznych porażek Olivera Hedgesa w życiu. I bolesną lekcją, której nigdy nie zapomniał.

A jak wygląda teraz.

Została z niego tylko powłoka.

Co za cholerny pech.

W opinii swojego pierwotnego syna staruszek leżący w pokoju 124 w domu opieki Fair Haven zasłużył na cały ten ból i psychiczne cierpienie, którego doświadczał – im większe były jego męczarnie, tym lepiej.

Na OH2 patrzyły niebieskie oczy. Oczy milczące. Oskarżycielskie. Ojciec nigdy nie odezwał się ani słowem do pierwotnego, ale OH2 słyszał, że potrafi mówić, artykułuje swoje potrzeby wobec opiekunów. No i dobrze.

– Jak się czujesz? – zapytał, wiedząc, że nie otrzyma odpowiedzi. Ojciec przebywał w tym zakładzie od ponad roku, od wypadku, który sprawił, że stracił zdolność poruszania rękami i nogami na skutek „posiniaczenia” kręgosłupa; lekarze mieli nadzieję, że się wygoi.

OH2 wiedział, że nie ma na to żadnych szans. Chociaż rdzeń nie został przezwany, został uszkodzony podczas nieszczęśliwego wypadku na nartach. Oczy-

wiecie na horyzoncie pojawiło się kilka nowych metod leczenia, ale wszystkie były eksperymentalne lub, według OH2, co najmniej podejrzane. Mężczyzna w łóżku był w zbyt poważnym stanie. Nie, ten przestronny pokój z własną siłownią i prywatnym fizjoterapeutą, pracujący tylko dla niego dietetyk i trener osobisty nie wystarczyli, żeby postawić go znowu na nogi. Wobec czego utknął w tym mieszkaniu, bo miał tu też niewielką kuchnię, pokój dzienny, fotel z podnóżkiem i małą, skórzaną sofę. Nie było tak źle, z okna rozciągał się widok na wewnętrzny ogród, w którym rosły kwitnące kaktusy i mrozoodporne trawy, sukulenty, a nawet drzewo. Ale to była złocona klatka, której nigdy nie opuści.

Szkoda, że stary dureń nie umarł po tym upadku, ponieważ życie było dla niego torturą. Cóż, kto pod kim dołki kopie, sam w nie wpada, Staruszk.

W głowie echem odbijała mu się rada usłyszana od ojca: kiedy się nawarzyło piwa, trzeba je wypić.

No więc pij, ty żaloszna karykaturo człowieka.

Aż się uśmiechnął na tę myśl, podczas gdy mężczyzna w łóżku leżał zupełnie nieruchomo. Kto by pomyślał, że zmieni się w takie coś? Oliver Hedges kiedyś był tytanem przemysłu nowych technologii. Ale nie dzięki wiedzy czy umiejętnościom; był tylko inżynierem, któremu poszczęściło się na tyle, że dostał wygrywającą kartę, więc gdy zainwestował, ostatecznie stał się właścicielem 51 procent firmy startupowej, zapewniając tak potrzebny kapitał interesowi wartemu teraz setki milionów.

Kiedyś zdobył tytuł Przedsiębiorcy Roku, grywał w golfa z zawodowcami, gwiazdami filmowymi i politykami, raz nawet z wiceprezydentem kraju. Uznany za humanistę ze względu na datki na różne organizacje charytatywne, Oliver Hedges był jednocześnie kłamiwym skurczybykiem, który zamierzał wydziedziczyć swojego pierworodnego syna.

A teraz drogi tatuś leżał i miał za swoje. Bóg znalazł sposób na ukaranie starego pierdziela.

– Marilee przesyła pozdrowienia.

Na wspomnienie drugiej żony czy ojca błysnęły gniewem. Marilee, o trzydzieści dwa lata młodsza od męża, rozwiodła się z nim zaraz po wypadku i niczym w filmie obyczajowym poślubiła jego najstarszego syna. Oczywiście, takie było zrzędzenie losu. OH2 zapoznał ich ze sobą, gdy sam umawiał się z Marilee McIver. Ale gdy był na ostatnim roku Stanforda, ojciec odbił mu partnerkę.

Przepełniało go poczucie satysfakcji, gdy patrzył na staruszkę cierpiącego w złotej klatce, obsługiwanego przez armię prywatnych pielęgniarek i pomocników, którzy potrafili trzymać gęby na kłódkę.

Boże, fatalnie wyglądał.

Wychudzony cień człowieka, który chyba już stracił wolę życia. A mimo to... Czyżby ruszył jednym palcem, a może to tylko zamrugano światło? Popołudniowy blask słońca oświetlał ogród i rosnące tam drzewo, wsączał się przez na wpół przymknięte żaluzje, rzucając na łóżko cień przypominający OH2 więzienne paski ze starych, czarno-białych filmów. Musiało mu się przywidzieć, ale chwila... Zrobił to ponownie. Leciutkie poruszenie na lśniącej białej pościeli.

To go zaskoczyło, gwałtownie poderwał głowę i ponownie spojrzał w oczy ojcu. Jezu. Czy on się naprawdę uśmiechał? Usta się nie poruszyły w świeżo ogolonej twarzy, ale w niebieskich oczach pojawił się wyraźny błysk, złośliwe iskrzenie, które wskazywało, że jeszcze się nie poddał.

A może to tylko wyobraźnia Juniora? Jego poczucie winy? Zaczął się pocić w doskonale skrojonym garniturze, chociaż wilgotność i temperatura w pokoju były ustawione na dwadzieścia jeden stopni.

Przyglądał się starcowi. Żadnych więcej ruchów. Dobrze.

Wstrząśnięty postanowił zakończyć tę wizytę. Odchrząknął i bez grama serdeczności powiedział:

– Dbaj o siebie, tato.

Ku jego zaskoczeniu, z gardła starszego mężczyzny wydobył się bulgot, a jego wzrok przesunął się z OH2 na drzwi, gdzie pojawiła się pielęgniarka, wysoka kobieta, której wcześniej tu nie widział. Na jej plakietce widniało imię SHAWNA. Bezgłośnie i błyskawicznie podeszła do łóżka, a OH2 ruszył do wyjścia. Odbębnił obowiązkową wizytę i poczuł przypływ mocy. Obejrzał się przez ramię i wydawało mu się, że widzi, jak ojciec unosi rękę, żeby mu pomachać, ale to było niemożliwe, kiedy zamrugnął, ręka leżała na swoim miejscu, na skraju narzuty.

Tracił grunt pod nogami.

Poprawił węzeł krawata, bo nagle wydał mu się zbyt ciasny, ale z każdym krokiem stawianym na wykładzinie dywanowej przypominał sobie, że jego ojciec w zasadzie jest dotknięty porażeniem czterokończynowym. Nie musiał się martwić. Wszystko było w porządku.

Idąc jasnym korytarzem z oknami wychodzącymi na ogród i pustynny krajobraz, poczuł potrzebę zrobienia czegoś. Na razie jednak nie wiedział, co miałyby to być. Ominął kobietę pochyloną nad chodnikiem, ledwie obdarzając ją spojrzeniem, chociaż ona powiedziała „dzień dobry”. Nie miał na to czasu. Przeszedł obok recepcji i dotarł do wyjścia, wprowadził kod, żeby otworzyć drzwi tego drogiego więzienia, móc wyjść i znowu zacząć oddychać. Gdy szklane drzwi się roz-

sunęły, pozwalając mu opuścić budynek, założył okulary przeciwsłoneczne i wyszedł na bezlitosny upał Nevady.

Miał równie skwaszony nastrój, jak w chwili, gdy wjeżdżał na parking Fair Haven. Jeśli sądził, że wizyta u ojca przywróci mu poczucie kontroli, mocno się mylił. Kręcąc głową, zmusił się do tymczasowego niemyślenia o staruszkach. Miał coś ważnego na liście do zrobienia. Jego najnowszy „projekt” związany z zabezpieczeniem sobie dziedzica zmienił się w osobiste piekło, przynajmniej tak wynikało z telefonu, który odebrał tuż przed przyjazdem tutaj na wcześniej zaplanowaną cotygodniową wizytę. Przeszedł przez parking do swojego mercedesa, otworzył auto, wszedł do nagrzanego wnętrza i uderzył pięścią w kierownicę.

– Sukinsyn – wyrzucił z siebie z frustracją.

Być może sam sobie wymyślił problem z zabezpieczeniem sobie dziecka płci męskiej. Miał dziewczynkę i to powinno mu wystarczyć. W obecnych czasach płeć nie miała aż tak dużego znaczenia.

Może dla świata nie.

Ale dla niego miała.

Chciał syna, do cholery. Takiego, który byłby jak najbardziej do niego podobny w sensie biologicznym. Czy to było aż tak trudne? Skoro już taki ktoś istniał?

Za właściwą cenę.

Włożył kluczyk do stacyjki i go przekręcił. Sportowe auto ożyło, wycofał tak szybko, że niemal uderzył w tył niedorzecznie długiego pick-upa zaparkowanego w rzędzie za nim. Ominął go zaledwie o kilka centymetrów, ale to wystarczyło.

Wrzucił pierwszy bieg i wduśił pedał gazu, zastanawiał się przy tym, czy zufał niewłaściwej osobie, czy podjął złą decyzję, ale wątpliwości nie mogły teraz niczego zmienić. Musieli przemyśleć projekt. Uchylił szybę, do czasu aż zadziała klimatyzacja i dojechawszy na koniec długiej, ogrodzonej alei należącej do ośrodka, ruszył w stronę centrum miasta.

W ciągu dwudziestu minut był już w swoim apartamencie, ale wciąż czuł napięcie, nawet rozciągający się z okien widok nie przynosił mu ukojenia. Zdjął krawat i ze złością wyrzwał przez okno. Jak wszystko mogło się tak skomplikować? Drugie nieudane podejście do zdobycia syna – jego syna. Głośno przeklął, po czym zamachnął się pięścią, żałując, że nie ma tu czegoś, a raczej kogoś, kogo mógłby uderzyć.

Nagle w jego mózgu pojawił się obraz ojca i w wyobraźni zobaczył go w szpitalnym łóżku, jak odrzuca pościel i wstaje niczym Łazarz, w pełni ubrany w drogi garnitur, białą koszulę i kontrastujący krawat.

– Przestań – mruknął, w chwili gdy drzwi jego gabinetu się otworzyły i rozpoznał znajomą, ale nieproszoną postać. – Żeby tak spieprzyć sprawę! – rzucił oskarżenie i cieszył się, że oprócz siebie ma jeszcze kogoś do obwiniania.

– Komplikacje – padła odpowiedź, której nie mógł zaakceptować.

– Trzeba było się przygotować na każdą sytuację, na wszelkie „komplikacje” – wycedził spokojnie, próbując udawać opanowanego. – A ty sobie wracasz z pustymi rękami.

– To się więcej nie zdarzy.

– Oczywiście, że nie. – OH2 miał ochotę wybuchnąć. – Ponieważ nie będzie kolejnego razu. – Był wściekły, cedził słowa. Jak mogło się nie udać coś tak prostego jak porwanie dziecka?

– Zajmę się tym. – Głos był spokojny i pewny, tak jak kroki gościa skierowane do barku, by nalać sobie drinka.

Co za cholerna arogancja.

– Tobie też? – padło od strony barku.

OH2 zawahał się, zastanowił, do cholery! Za nim kilka parszywych dni.

– Och, pieprzyć to. Tak, pewnie. – Drink mógł pomóc. Coś musiało. To... ta porażka, tak być nie może. Nigdy. Usłyszał grzechotanie kostek lodu i cichy gulgot nalewanego alkoholu.

Chwilę potem podano mu niską szklanekę.

OH2 szybko ją złapał i chociaż widział, że gość unosi swoją szklaneczkę, on nie odwzajemnił toastu, tylko pociągnął długi łyk zimnej, kojącej szkockiej. Łatwo spłynęła do jego gardła, przydymiony aromat whisky dotarł do jego nozdrzy. Na chwilę zamknął oczy i umysł na dom wariatów, jakim stało się jego życie. Tak, drink rzeczywiście pomógł mu ukoić napięte mięśnie i skołatanę nerwy, ale nie rozwiąże jego problemu.

– Musimy coś zrobić. – Otworzył oczy i zobaczył, że jego gość patrzy przez okna na panoramę miasta, nieba i pustyni.

– Wiem. Rozumiem.

– Naprawdę? Bo nie wydaje się, że cokolwiek „rozumiesz”? – Kolejny chłodny łyk. – Nie powinniśmy znaleźć się w tej sytuacji.

– To tylko drobna komplikacja.

– Poważna – sprostował OH2. – Poważna komplikacja. – Dopił resztkę alkoholu, wypełnił usta lodem i rozgryzając małą kostkę, wyminął gościa i podszedł do baru, gdzie podniósł niezakręconą butelkę i nalał sobie drinka na trzy palce.

Sączył whisky powoli, niespiesznie rozkoszował się smakiem. Musiał pomyśleć, coś zaplanować, żeby...

Zamrugał.

Nagle zakręciło mu się w głowie.

Poruszał szyją, żeby dojść do siebie, ale poczuł się jeszcze gorzej.

Co, do cholery?

Świat wirował, stawał do góry nogami. Ugięły się pod nim kolana, upuścił resztkę drinka, kostki lodu potoczyły się po dywanie. Palce zacisnął na krawędzi baru, ale nie był w stanie utrzymać równowagi i upadł w tył na biurko, rozrzucając papiery i strącając telefon.

Stoczył się na podłogę. Uderzył się w głowę. Mocno.

Lup!

Ból eksplodował za jego oczami.

Zamrugał, wciąż nic nie rozumiał. Biurko, regały i szerokie okna krążyły wokół niego, próbował się podnieść, ale nie był w stanie poruszyć kończynami, nie mógł nawet uklęknąć. Czuł mdłości.

Na chwilę odzyskał jasność umysłu i przypomniał sobie, że przecież nie jest sam.

– Na... miłość boską... Pomóż mi... – rozkazał chrapliwym głosem. Pocił się i rzucił, próbował nie zwymiotować, nie był w stanie się skupić. Jego serce wybijało szaleńczy, dziki rytm, pracowało tak szybko, że bał się, że zaraz wybuchnie.

To podsunęło mu podejrzenie, że został otruty.

Drink, którego tak łapczywie wypił, musiał zostać czymś doprawiony.

Czym? Jezu.

Obraz zaczął się mu rozplýwać przed oczami, widział słuchawkę telefonu leżącą na podłodze. Wyciągnął rękę, chciał ją podnieść, ale bezradnie patrzył, jak zostaje odsunięta błyszczącym czubkiem buta.

– Nie dzisiaj. – Dobiegł go głos wyzuty z emocji. – A w zasadzie już nigdy.

Umrę... ta... ta kreatura mnie zabije!

Jego ciałem wstrząsnęły konwulsje, padł na plecy, nie kontrolował swoich mięśni, widział tylko usta gościa rozciągające się w powolnym uśmiechu.

ROZDZIAŁ 10

Podróż Remmi została szybko przerwana.

Przekłęty czujnik temperatury w toyocie zaświecił się na czerwono, a Adam obudził się z płaczem. Śmiertelnie zmęczona, potwornie zdenerwowana dziewczyna znajdowała się jakieś sto pięćdziesiąt kilometrów od Las Vegas, gdy wypatrzyła złote logo motelu Star Vista zamontowane na takiej wysokości, że widać je było z autostrady. Zjechała z drogi i, zdenerwowana na potęgę, wjechała na krostropaty asfalt i posypany żwirem parking przylegający do parterowego budynku w kształcie litery L.

Zamknęła Adama w samochodzie i zabrawszy banknoty, które, miała nadzieję, były prawdziwe, wcisnęła dzwonek znajdujący się przy zamkniętych szklanych drzwiach. Czekwała, studiując listę oferowanych usług wywieszoną na podświetlanej tablicy pod złotym znakiem: telewizja kablowa, basen, usługi telefoniczne oraz 24-godzinna obsługa, jakby to był pięciogwiazdkowy hotel.

Zastanawiała się nad tym, odmierzając upływające minuty, kilka razy wcisnęła dzwonek, zanim w drzwiach za biurkiem stanął niski mężczyzna z wianuszkiem siwych włosów wokół tysego czubka głowy. Marszcząc brwi za okularami, włączył silniejsze lampy, świetlówki ożywały jedna po drugiej i zalały chodnik przed wejściem wodnistym blaskiem jak nie z tej ziemi. Spojrzał na nią uważnie, po czym, widocznie uspokojony, że nie zamierza dokonać napadu ani go zamordować, otworzył drzwi, które się rozsunęły, ale zablokował wejście swoim ciałem.

– Tak? – zapytał szorstko. – W czym mogę pomóc?

– Chciałabym pokój. Na dzisiaj.

Spojrzał na nią oceniająco, zerknął ponad jej ramieniem na niemal pusty parking i zatrzymał wzrok na starej toyocie.

– Ktoś jest z tobą? – zapytał sceptycznie.

– Tylko mój syn.

Uniósł krzaczaste brwi ponad rogową oprawkę okularów.

– Masz dziecko?

– Owszem. – Zacisnęła usta i patrzyła na niego wyzywająco, tylko czekając, aż zacznie powątpiewać.

– Jesteś za młoda na dzieciaka.

– Tak słyszałam. – W środku się trzęsła, ale nie ustępowała.

– Nie wątpię.

– Ma pan pokój? – Nie rezygnowała. – Widziałam napis „wolne pokoje”.

– Ile masz lat?

– Osiemnaście – skłamała gładko.

Spojrzał na nią z niedowierzaniem.

– Masz dowód?

Oho.

– Będzie potrzebny, jeśli zapłacę gotówką? – Prawie zadrżała pod jego czujnym wzrokiem i już sądziła, że wszystko stracone, gdy usłyszała płacz Adama dochodzący z samochodu. – Mam też karty kredytowe. Visę. Mastercard. I inne. Dziecko musi odpocząć w ciepłym miejscu. Pokój musi być czysty.

– Och, o to się nie musisz martwić... – zaczął, po czym zamilkł, a ona niecierpliwie czekała na jego decyzję.

A jeśli nie pozwoli jej się tu zatrzymać na noc? Co ma zrobić z autem? A z dzieckiem?

– Proszę pana, jeśli nie ma wolnych pokoi... – zablefowała. – Pojadę dalej i...

– Nie ma takiej potrzeby – przerwał jej. Jego chciwość była silniejsza niż wątpliwości. Nie był w stanie oprzeć się pokusie zgarnięcia pieniędzy za nocleg. Otworzył drzwi trochę szerzej. – Dobrze. Wejdz i się zamelduj. Szybko. – A gdy przeszła obok niego, dodał: – Nie chcę żadnych kłopotów.

– Ja... nie będzie żadnych.

– Mam nadzieję. Dziecko nie może płakać. Są tu inni goście.

Nie za wielu, pomyślała Remmi, pamiętając pustawy parking.

Nie przejmując się jej wiekiem, odebrał od niej gotówkę, a ona zameldowała się jako Didi Storm, żywiąc nadzieję, że ten facet nie widział występu jej matki. Wszystkie karty kredytowe były wystawione na Didi, więc nie miała innego wyjścia, jak posługiwać się jej imieniem. Chociaż martwiła się, że facet z każdej strony obejrzy banknoty, nie zrobił tego, tylko włożył je od razu do kasy i podał jej klucz do pokoju 116.

– Prosto wzdłuż ganku – wyjaśnił. – Maszyna do lodu jest za rogiem. A także napoje i przekąski.

– Dzięki. – Odebrała klucz, chciała jak najszybciej wydostać się z ciasnego lobby z zdeptanym, poplamionym dywanem i smrodem starych papierosów i kawy. Podjechała na miejsce parkingowe przed drzwiami, wyjęła Adama, jego torbę z pieluchami oraz swoją małą walizkę i zaniósła wszystko do pokoju, skromnie urządzonej klitki z zapadniętym łóżkiem, toaletką, na której stał telewizor i zasłaniał lustro, oraz dwoma stolikami nocnymi. Na blacie koło zlewu, który znajdował się koło małej toalety z prysznicem, o miejsce walczyły dzbanki na kawę i najmniejsza mikrofalówka, jaką Remmi kiedykolwiek widziała. Nie był to Ritz, ale było tu wystarczająco czysto i bezpiecznie, by mogła zatrzymać się na jedną noc.

Zgodnie z reklamą w pokoju był telefon, a także instrukcja, jak zadzwonić „na miasto”, a nawet jak wykonać połączenie na większą odległość. Nie traciła czasu, dwa razy sprawdziła, czy zamknęła bagażnik toyoty, żeby na pewno nikt nie ukradł kostiumów i kosztowności matki; następnie zamknęła drzwi pokoju, założyła łańcuch i sprawdziła zasuwy na oknach, po czym wyjęła Adama z fotelika.

– Przepraszam, mały – powiedziała, zmieniając mu pieluchę, a potem przygotowała mu mieszankę do jedzenia, korzystając z wody z kranu podgrzanej w mikrofalówce. Daleko jej było do ideału, ale musiała wystarczyć, i gdy trzymała brata w ramionach, patrząc na bąbelki tworzące się w butelce, gdy pił, martwiła się nadchodzącymi dniami.

Po kilku godzinach snu znowu będzie musiała przebrać i nakarmić brata, później ruszą do San Francisco lub na jego przedmieścia, gdzie znajdzie pokój do wynajęcia, potem kupi telefon komórkowy i zostawi wiadomość dla Didi. Ale co dalej? Ma szukać pracy? Kto wtedy zajmie się Adamem? Pieniądze, które zabrała Didi, kiedy się skończą.

Jesteś mądrą dziewczyną, coś wymyślisz. Prawda?

– Naczytała się książek, ale nie ma ani za grosz zdrowego rozsądku – podśmiała się jej matka, ale Remmi wiedziała, że to nie jest prawda.

A jeśli Didi nigdy nie zadzwoni ani jej nie znajdzie? Co wtedy? Z jej oczu popłynęły łzy, chodziła pomiędzy łazienką a drzwiami, trzymając dziecko, dopóki chłopiec nie zasnął, wtedy odłożyła go na łóżko. Nie wkładała pizamy, wyłączyła tylko światło i w półmroku patrzyła na sufit. Światło z latarni na zewnątrz przenikało przez cienkie rolety, słychać było hałas dochodzący z autostrady.

Co robić?

Była taka samotna.

Dziecko cicho westchnęło, przypominając jej, że się myliła. Przygarnęła je bliżej siebie, czuła jego oddech na szyi. Przypomniała sobie imiona osób, które mo-

gły jej pomoc: Didi i Seneca zniknęły bez śladu, więc się nie liczyły. Potem był Harold Rimes, szef matki w klubie, z lubieżnym spojrzeniem i oddechem zawsze śmierdzącym alkoholem. Didi ostrzegała Remmi przed nim, ilekroć dziewczyna czekała na matkę w garderobie.

– Unikaj dzisiaj Harolda – powiedziała pewnego razu, marszcząc czoło, na które naciągała perukę Cher. Następnie poprawiła jej położenie na głowie i wygładziła długie, czarne kosmyki włosów wokół twarzy. – Trochę go dzisiaj wszędzie za dużo i czasem... czasem nie potrafi trzymać rąk przy sobie, jeśli wiesz, co mam na myśli. – Spojrzała na Remmi w lustrze. – Nie zrozum mnie źle, to dobry facet, nieco szorstki, ale... Cóż, po prostu uważaj na niego. – Przyjrzała się swojemu odbiciu, wstała i obejrzała swoje ciało w cekinowym cielistym trykocie. – Harold czasami zachowuje się nieodpowiedzialnie. – Podeszła do toaletki, przełożyła włosy na jedno ramię i rzuciła do tyłu: – Zamknij się na klucz.

Remmi rozumiała i od tamtego czasu zawsze używała zasuwki, gdy zostawała sama w garderobie, poza tym starała się unikać tego nieprzewidywalnego faceta, który, jako że dawał pracę Didi, miał nad nią pewną władzę. Lubił i wyrażał to w pełnym zadowolenia uśmiechu, który pojawiał się na jego ustach, gdy Didi godziła się na zaproponowane przez niego zmiany w swoim programie, piosenkach lub kostiumach. Remmi nauczyła się w młodym wieku, że Harold Rimes lubi władzę. Wystarczająco często wchodziła przez otwarte drzwi do jego biura, gdzie zawsze pochylał się nad księgami, wyciągami i rachunkami zalegającymi na jego biurku, na którym dużo miejsca zajmowały monitor komputera i popielniczka, z której wysypywały się niedopałki papierosów. Na ścianach wisiały poroża zwierząt, które „upolował”. Obok licencji na prowadzenie biznesu i nagrody od lokalnego koła klubu Rotary wisiały rogi jelenia, łosia i antylopy. W barku stało kilka butelek, a na półkach szeroki wybór książek, od poradników, poprzez zaczytaną kopię Biblii i sztuki Szekspira po powieści Aldousa Huxleya, Raya Bradbury’ego i Stephena Kinga. Kiedyś zakradła się do jego zatęchłego biura i wyjęła z półki *Bastion* Kinga, ale gdy następnym razem w szerokim korytarzu za sceną natknęła się na Rimesa, mężczyzna powiedział:

– Hej, Remmi. Wiem, że zabrałaś książkę.

Otworzyła usta, żeby zaprzeczyć, a gdy on zbliżył się o krok, ona się cofnęła. Był dużym i sprawnym mężczyzną, regularnie ćwiczył w siłowni. Miał szeroko rozstawione oczy, którymi ją przewiercał, brązowe, krótko obcięte włosy i nie próbował ukryć faktu, że zaczął łysieć. Przyglądał się jej przez chwilę, jego wzrok mierzył ją od góry do dołu, aż czuła dreszcze, po czym znowu popatrzył jej w oczy. Czuła pot zbierający się na jej plecach pod wpływem pożądlivości w jego spojrzeniu, w piersi łomotało jej serce. Uświadomiła sobie wtedy, że po raz

pierwszy nie myśli o niej jak o dziecku, lecz jak o dziewczynie zmieniającej się w kobietę, z długimi nogami i piersiami, których nie miała jeszcze osiemnaście miesięcy wcześniej. Zaszło jej w gardle, gdy zmrużył oczy, niemal widziała, jak obracają się trybiki w jego głowie.

O Boże, dlaczego się zakradłam i zwinęłam mu tę książkę?

– Ja... nie chciałam... ja nie...

Ale wiedział przecież, że ją zabrała. Wiele rzeczy można było powiedzieć o Haroldzie Rimesie, ale nie że był głupi. Wobec tego przestała kłamać i buńczucznie wysunęła brodę.

– Lubię Stephena Kinga – odparła tylko, co musiało go zaskoczyć.

– Tak? Aha. – Ponownie zmierzył ją wzrokiem, ale tym razem bez podtekstu seksualnego. – Ja też. – Pauza. Zastanawiał się, co z nią zrobić. W końcu rzucił: – Słuchaj, po prostu oddaj mi książkę, jak skończysz czytać. Dobrze? I koniec z zakradaniem się do mojego biura. To strefa zakazana. Jeśli sądzisz, że mam coś, co chciałabyś przeczytać, zwyczajnie poproś. Jeśli zabierzesz coś, co nie należy do ciebie, każę twojej matce za to zapłacić. Zrozumiano?

Owszem. Zostawiła książkę przed drzwiami, gdy ją skończyła, i nigdy więcej nie weszła do jego biura z pumą ze szklanymi oczami.

Teraz, w godzinie desperacji, zadekowana w pokoju sieci Star Vista Motel, nie zadzwoni do Harolda, który, jak wiedziała, czasami pożyczał Didi pieniądze.

Nie będzie też próbowała namierzyć żadnego z jej dwóch ojczymów, chociaż obaj stanowili dla niej namiastkę ojca. Pierwszym był Ned Crenshaw, jeździec na rodeo, który wiele nauczył Remmi o koniach i jak naprawiać rzeczy na swoim małym ranczo, ale małżeństwo przetrwało mniej niż pięć lat, a on, jak przypuszczała, wyprowadził się do Montany. A może do Kolorado? Od bardzo dawna nie miała od niego żadnych wieści. Drugi, Leo Kasparian, magik, obecnie był mężem swojej dużo młodszej asystentki. Zerwanie Leo z Didi przebiegło w sposób gwałtowny. Nie, Kaspar Wielki zniknął już z jej życia i nie można było na nim polegać. Pomyślała o własnym ojcu, wielkiej tajemnicy Didi, której równać się mogło jedynie urodzenie przez nią bliźniaków, więc również odrzuciła ten pomysł. Nigdy go nie widziała, być może nawet nie miał pojęcia o jej istnieniu.

Remmi miała kilku przyjaciół, do których mogła zadzwonić, ich rodzice być może by ją przygarnęli, ale nie z dzieckiem, poza tym zadawaliby za dużo pytań, na które nie chciała odpowiadać. Nie chciała patrzeć w zatroskane oczy czyjejs matki i wywlekać na wierzch swoje brudy, po czym wylądować w pogotowiu opiekuńczym. Nie, proszę pana. To samo tyczyło się przyjaciół Didi, niewielu, jakich miała. Trudnie Jakaśtam, pachnąca zbyt mocnymi perfumami i papierosami,

ekstrawagancka kobieta, którą Remmi widziała tylko raz w życiu. Mogła zadzwonić do Philippe, przyjaciela mamy, przystojnego, czarnoskórego faceta, który niesamowicie naśladował Dianę Ross. Didi darzyła go miłością połączoną z nienawiścią, ponieważ w przeszłości ubiegali się o te same role. Wobec tego Remmi uznała, że lepiej do niego nie dzwonić i nie pytać, czy wie, gdzie podziewa się jej matka. Co miałby począć z piętnastolatką i niemowlęciem? Nic i tyle.

Wobec czego zostawał Noah Scott, chłopak, którego ledwie знаła. Na samą myśl o nim bolało ją serce, więc postanowiła, że nigdy więcej nie chce widzieć jego twarzy. Może tak było najlepiej.

Westchnęła.

– Zatem mamy tylko siebie – powiedziała do śpiącego dziecka. – Ale przypomniała sobie, że ma krewnych ze strony matki mieszkających gdzieś w Missouri. O ile było jej wiadomo, jej dziadkowie nadal żyli, chociaż nigdy ich nie poznała. Znała ich imiona, Frank i Willa Maye Hutchinson, i z tego, co od czasu do czasu mówiła Didi, poskładała, że są właścicielami farmy w południowej części stanu. Didi, ochrzczona imieniem Edwina, była ich środkowym dzieckiem, jej starsza siostra miała na imię... Vera, o właśnie. Była mężatką i zapewne miała własne dzieci, kuzynów Remmi, których ona nigdy nie poznała, bo mieszkali w Kalifornii, pomyślała. To samo było z bratem Didi – Billym, czyli chyba Williamem, chociaż Remmi nie miała co do tego pewności. Didi nigdy nie opowiadała jej o swojej rodzinie. Miało się wrażenie, że zrobili jej coś okropnego, coś niewybaczalnego, ale znając matkę, która zapewne była równie wielką histeryczką jako Edwina, zło, które ją spotkało, musiało zostać wyolbrzymione przez te wszystkie lata. Jakkolwiek było, Remmi nie zamierzała jechać na Środkowy Zachód i szukać krewnych, którzy być może nie mieli pojęcia o jej istnieniu. Remmi dokonała szybkich obliczeń i uznała, że matka zaszła w ciążę niedługo po przeprowadzce do Kalifornii, prawdopodobnie z kimś, kto obiecał, że uczyni z niej drugą Demi Moore, Julię Roberts lub Cameron Diaz albo jakąś inną gwiazdę, co oczywiście okazało się ściemą. Didi albo mu nie powiedziała, że zostanie ojcem, albo on zasugerował, żeby usunęła ciążę. Być może był wpływowym człowiekiem, przynajmniej w wyobraźni Remmi, więc Didi, która niedawno wyjechała ze wsi, nie miała odwagi ani pieniędzy, żeby mu się przeciwstawić, ze strachu, że utraci szansę na zostanie hollywoodzką gwiazdą filmową.

– O rany – szepnęła w ciemności i mocniej przytuliła dziecko. – Żyjemy w świecie pełnym krzywd. – Po raz pierwszy pozwoliła, żeby po jej policzkach popłynęły długo powstrzymywane łzy. Jak do tego doszło? Co miała zrobić? Jak zadba o siebie, a co dopiero o kilkumiesięczne dziecko? Gdzie, do cholery, była ich matka?

– Mamo – wychlipała przez łzy, na co Adam się poruszył i zapłakał cicho.

To nie ma sensu. Użalanie się nad sobą jej nie pomoże i na pewno nie pomoże jej braciszkowi. Od matki nauczyła się, jak o sobie zadbać i jak się dostosować. Remmi wiedziała, że jest równie przebiegła, co Didi, może nawet bardziej, więc będnie musiała to wykorzystać z korzyścią dla siebie.

Jakoś.

Jakkolwiek bądź.

W końcu usnęła i obudził ją brat, który wiercił się koło niej i zaczął płakać. Zaspiana odnalazła to, czego potrzebowała do przygotowania butelki, po czym z burczącym brzuchem wyszła na zewnątrz, weszła za róg i wrzuciła kilka dolarów do automatu, żeby kupić jakiś napój i przekąskę, następnie wypła colę i zjadła na śniadanie dwa opakowania małych, lukrowanych pączków. Włączyła telewizor i przejrzała żalosne menu, aż znalazła stację informacyjną z Las Vegas. Kanał źle odbierał i nie było na nim nic ciekawego, żadnej informacji na temat zniknięcia Didi i wybuchu na pustyni.

– Już nie jesteśmy newsem – powiedziała bratu i zastanowiła się, co począć z toyotą. Musiała oddać ją do naprawy, nie dojedzie daleko z przegrzewającym się silnikiem, tyle wiedziała o samochodach, ale dokąd miała się udać? Mogłaby sprawdzić w książce telefonicznej leżącej koło telefonu. Albo znaleźć komputer i zalogować się do Internetu, podając numer konta mamy, co z pewnością przyspieszyłby cały proces.

Chociaż wciąż było wcześnie, przed szóstą rano, podniosła słuchawkę i postępując według instrukcji, po raz ostatni wybrała numer Seneki. Telefon zadzwonił raz, dwa, trzy razy. Już miała się rozłączyć, gdy usłyszała zaspany głos po drugiej stronie linii.

– Halo?

Remmi poczuła ulgę.

– Seneca? – zapytała, chociaż rozpoznała głos położnej. – O, Boże, gdzie byłaś? Tu Remmi.

– Remmi? O, dzięki Bogu! Odchodziłam od zmysłów. Gdzie jesteś? I gdzie Adam?

– On... jest ze mną – powiedziała, walcząc ze łzami, tym razem ulgi. Zerknęła na dziecko, które też na nią patrzyło. – Jesteśmy w cuchnącym motelu przy międzystanowej. Star Vista, jakieś dziewięćdziesiąt, może sto kilometrów od Las Vegas, w drodze do San Francisco.

– Wiem gdzie.

– Dzięki Bogu. Mama nie wróciła, a ja spanikowałam i... i... – mówiła coraz szybciej, chciała wszystko wyjaśnić, cieszyła się, że w końcu z kimś, kimkolwiek, się połączyła. Seneca będzie wiedziała, co robić. – A potem zepsuł mi się samochód, no może nie do końca, ale zaczął się przegrzewać, więc śmiertelnie się wystraszyłam, no i Adam płakał wniebogłosy, więc...

– Hej, hej, hej, hej. Spokojnie. Powoli, dobrze? Zrób głęboki wdech i potem mi opowiedz – doradziła Seneca cierpliwym, spokojnym głosem z obcym akcentem.

Remmi posłuchała. Wyjaśniła, że czekała i w końcu postanowiła wyjechać, bo bała się, że opieka społeczna odbierze jej dziecko, gdy rozejdzie się wieść, że Didi ich porzuciła, i trafi do rodziny zastępczej. Powiedziała Senecie o telefonie od szefa Didi, spakowaniu rzeczy i wyruszeniu na zachód, o tym, że nie wiedziała, co robić, i wylądowała w tym parszywym motelu, kiedy toyota zaczęła się przegrzewać.

Nigdy jednak nie przyznała się, że wie, co wydarzyło się na pustyni dzień przed zniknięciem Didi, pominęła też część o zabraniu ubrań, pieniędzy i kart kredytowych matki. Seneca, jak się okazało, o nic z tego wszystkiego nie pytała. Powiedziała tylko:

– Czekał na mnie. Zaraz ruszam. Zajmiemy się samochodem.

Trzy godziny później swoim fordem escortem przyjechała do Star Vista. W białej, zwiewnej sukience związanej w pasie szerokim, plecionym paskiem i dużych okularach przeciwsłonecznych jak zawsze wyglądała egzotycznie. Włosy miała splecione w warkoczyki i związane w ciasny kok, wykazała się zmysłem organizacyjnym i szybko znalazła serwis, który miał odholować niedomagającą toyotę z powrotem do Las Vegas, po czym odwiozła Remmi i jej brata do domu. Remmi jednak, chociaż właśnie została „uratowana”, nie posiadała się ze złości. Gdzie, do cholery, podziewała się Seneca? Opierając się plecami o drzwi pasażera, Remmi patrzyła na wyższą kobietę i domagała się odpowiedzi na pytanie, dlaczego wcześniej nie dało się z nią skontaktować.

– Nie wiedziałam, co robić. Do kogo zadzwonić. Nie mogłam dodzwonić się do ciebie, miałam Adama, przez co kierownik nie chciał nam wynająć pokoju, był niemiły i okropny i...

– Ciii. – Seneca położyła palec na ustach, kierownicę trzymała jedną ręką. – Wiem, skarbie, jest mi strasznie przykro – uspokajała ją, kręcąc głową i kierując się na wschód. Opuściła zasłonę przeciwsłoneczną, bo słońce już mocno przygrzewało, upał się wzmacniał, asfalt przed nimi falował. – Naprawdę przepraszam. Mój błąd. Nie wiedziałam, że słuchawka nie leży na widelkach. Kiedy to odkry-

łam, odłożyłam ją i dzisiaj rano zadzwoniłaś. Dzięki Bogu! – Posłała Remmi smutny uśmiech. – Przyjechałabym wcześniej. Wiesz o tym.

– Tak – przyznała Remmi bez entuzjazmu. Nie była tego pewna. W tej chwili niczego nie była pewna.

– Och, Remmi. Cały czas do was dzwoniłam. Zostawiłam kilka wiadomości na sekretarce. Przekonasz się. Możesz sprawdzić, kiedy wrócimy.

– No, nie. – Dziewczyna nerwowo się uśmiechnęła. – Wierzę ci. – Nie miała powodu, żeby nie ufać Seneci, ale wszystko teraz wydawało jej się wywrócone do góry nogami, nie wiedziała, komu może ufać. Wobec czego skłamała. – W porządku – powiedziała, nadając swojemu głosowi lekkość, chociaż wcale jej nie czuła. – Teraz jesteśmy razem. Ty, ja i Adam.

– Tak. I odnajdziemy twoją mamę.

– Zadzwonisz na policję?

Pauza, chwila zawahania, po czym Seneca rozprostowała palce na kierownicy.

– Tak, jeśli będzie trzeba. Ale najpierw, jak sądzę, biorąc wszystko pod uwagę...

Na przykład wymianę dziecka na pieniądze.

– Spróbujemy same ją odnaleźć. Znam prywatnego detektywa. Jest bardzo dobry i... dyskretny. Sądzę, hm, że twoja mama wołałaby ten sposób. Jak myślisz?

– Chyba tak. Ale jeśli nie uda mu się jej namierzyć...

– Wówczas z pewnością zwrócimy się do władz – uspokoiła ją. – Będziemy musiały.

– A... co z Ariel i pieniędzmi?

– Może uda nam się odnaleźć także twoją siostrę. Jeśli chodzi o pieniądze i to, w jaki sposób mama je dostała, cóż, będziemy musiały wszystko opowiedzieć i niech się dzieje co chce.

Remmi pomyślała o nocy w bagażniku wielkiego auta Didi i o tym, co wtedy widziała. Co powinna o tym powiedzieć na policji? Czy jej uwierzą? Czy nie uznają, że zmyśla?

– Dobrze – zgodziła się. Myślała, że poczuje się lepiej, mając nowy plan, ale tak nie było.

– Znajdziemy ją – zapewniła Seneca, ale nie spojrzała ponownie na Remmi.

Boże, proszę. Przez zakurzoną przednią szybę Remmi patrzyła na błękitne niebo i zanikającą smugę kondensacyjną, ciągnącą się za samolotem. Zastanowiła się, czy jeszcze kiedyś zobaczy Didi, po czym zamknęła swoje serce na tę zdradziecką myśl i trochę się rozluźniła na widok małego budynku w zaułku, który nazywała domem, odkąd sięgała pamięcią.

Otworzyła drzwi, dokładnie w chwili gdy Seneca zaparkowała na podjeździe, i pobiegła do domu, który oczywiście stał nieruchomo i niewzruszenie. Nie będąc w pełni przekonana do faktu, że Didi nie wróciła, przebiegła przez wszystkie pomieszczenia i dotarła do garażu, który stał pusty, tylko na cementowej podłodze odznaczała się tłusta plama w miejscu, gdzie z cadillaca wyciekał olej. Serce jej pękło. Nie uświadamiała sobie, że jechała tu z nadzieją na pojawienie się matki.

Ależ jesteś głupa! Didi się zmyła. To oczywiste.

Nie chciała w to uwierzyć.

Seneca zajęła się Adamem i rozpakowała rzeczy, w tym czasie Remmi zadekowała się w swoim pokoju i rzuciła się na łóżko; włożyła głowę pod poduszkę i wreszcie się rozplakała. Wiedziała, że to szaleństwo, że płacz nie zda się na nic, ale nie potrafiła przestać. Gdzie była mama? Co się stało i dlaczego, Boże, dlaczego nie może mieć normalnej matki, która wyszłaby za jej ojca i miała z nim jeszcze kilkoro dzieci? Takiej, która zajmowałaby się domem, została nauczycielką lub kelnerką, a nie jakąś durną artystką naśladowującą gwiazdy? Dlaczego matka nie mogła siedzieć na tyłku i zajmować się dziećmi?

Nie usłyszała otwierających się drzwi do pokoju, ale kiedy podniosła głowę, w wejściu zobaczyła Senecę ze zmarszczonym czołem i smutkiem w niemal czarnych oczach. Nie zapytała głupio: *Wszystko w porządku?*, ponieważ na pierwszy rzut oka widać było, że nie jest w porządku.

– Zrobię obiad – powiedziała spokojnie, aż Remmi zapragnęła do niej doskoczyć, wstrząsnąć nią i zapytać, jak może być taka pogodna, taka wyzuta z emocji, taka poukładana, skoro wszystko się rozpada w cholerę. Ale zamiast tego odwróciła się do Seneki tyłem, odtrącając ją, jakby to ona stała za tą zgubną i fatalną w skutkach wymianą na pustyni albo była winna tego, że Didi następnego dnia po odkryciu, że została wykiwana, pojechała na pustynię w złości, jakby Seneca – zawsze spokojna, cierpliwa i opanowana, „wyważona”, jak nazywała ją Didi – mogła jakoś zapobiec horrorowi ostatnich dni.

To było oczywiście niedorzeczne. Seneca nie była niczemu winna. Cała wina leżała po stronie Didi. I mimo że trudno było mieszkać pod jednym dachem z Didi Storm, Remmi za nią tęskniła i zamartwiała się, że coś okropnego się jej przydarzyło.

Próbując powstrzymać łzy, Remmi otarła nos i położyła się na plecach, poduszkę przygarnęła do piersi i próbowała nie myśleć, co stało się z matką. Naturalnie to nie było możliwe i w końcu usnęła ze zmęczenia.

Kiedy się obudziła, w domu było cicho.

Zbyt cicho.

Przetarła oczy i sprawdziła zegarek stojący przy łóżku. Prawie północ. Przespała dwanaście godzin. Ziewając, przeciągnęła się, poszła do łazienki, skorzystała z toalety i opryskała twarz wodą. Zerknęła na prysznic, ale się wstrzymała. Najpierw musiała się upewnić, że wszystko jest w porządku. Cóż, w takim porządku jak wczoraj wieczorem.

Na bosaka przeszła przez dom, ale wszędzie było cicho jak makiem zasiał. W salonie i kuchni było pusto, sypialnia matki nietknięta, pokój dzieci w stanie, w jakim go zostawiła, Adama nie było w łóżeczku.

Z każdym krokiem niepokoila się coraz bardziej, a gdy dotarła do pokoju, z którego korzystała Seneca, gdy zostawała na noc, okazało się, że nikt nie spał w łóżku.

– Nie – wyszeptała. – Nie, nie, nie! Seneca? – zawołała głośniejszym głosem, przebiegając przez puste pokoje. – Seneca! Jesteś tu? – Oczywiście, że jej nie było, a kiedy Remmi wyszła na zewnątrz, żeby sprawdzić podjazd, odkryła, że przed domem nie ma zielonego hatchbacka opiekunki.

Remmi próbowała wmawiać sobie, że wszystko jest w porządku. Że Seneca po prostu musiała coś załatwić, pojechać do sklepu spożywczego, wykupić receptę, kupić pieluchy, cokolwiek, i nie chcąc budzić Remmi, zabrała dziecko ze sobą i... i... To bez sensu. Nieważne, jak bardzo próbowała znaleźć punkt zaczepienia, czuła się przez wszystkich porzucona.

Rozejrzała się za jakimś liścikiem, ale niczego nie znalazła. Jedynie zupe, która zgęstniała w rondelku na kuchence. Podeszła do telefonu, wybrała numer Seneki, ale zanim włączyła się automatyczna sekretarka położnej, w głębi serca wiedziała, że nikt nie odbierze.

Wtedy zauważyła mrugające światelko na swojej sekretarce. Włączyła przycisk i odsłuchiwała kilka wiadomości od Seneki, z każdą kolejną jej głos stawał się coraz bardziej nerwowy.

– Remmi? Didi? Proszę oddzwoncie.

Trzy wiadomości, coraz bardziej paniczne.

A więc jednak nie skłamała.

A skąd wiesz? Przecież nagrania nie mają daty ani godziny.

Czekała ze ściśniętym żołądkiem.

Przez dwa dni.

Nic.

Tylko kolejne trzy telefony od szefa Didi. Remmi ponownie pomyślała, żeby zawiadomić policję. Przeszła się nawet do domu Seneki, ale nie była zaskoczona, że kobieta, Adam oraz samochód zniknęli. Udała się do domu Noaha i zamierzała zapukać do drzwi, ale kiedy zauważyła przed wejściem radiowóz z włączonym kogutem, szybko się oddaliła.

Jedyną dobrą wiadomością było to, że Seneca zostawiła jej wszystkie rzeczy, które pośpiesznie zapakowała do toyoty tego wieczoru, gdy uciekła do motelu. Miała pieniądze, karty kredytowe i zapasy. No i samochód, który powrócił z naprawy, a zaprzyjaźniony z Senecą mechanik wyjaśnił, że szwankował miernik temperatury i został już przez niego wymieniony. Zostawił auto, powiedział, że „rachunek został już uregulowany”, po czym odjechał ze współpracownikiem, który drugim autem przyjechał pod dom Remmi.

Uznała to za dobry znak.

Zniechęcona, lecz płonąca cichym, tłącym się gniewem, na nowo spakowała się do toyoty, tym razem włącznie z komputerem, bo nie musiała zabierać fotelika dla niemowląt, i ze swoim skromnym dobytkiem, kartami kredytowymi Didi oraz pieniędzmi w kieszeni wyjechała z Las Vegas.

CZEŚĆ 2

ROZDZIAŁ 11

San Francisco

Obecnie

Walcząc z mdłościami, Remmi patrzyła na tę przerażającą scenę, miała wrażenie, że noc bierze ją w kleszcze. Świat się kołysał, słyszała spanikowane głosy, ale wydawało jej się, że dochodzą z oddali. Krzyki tłumu, nawoływanie, *łup, łup* śmigieł helikoptera, który zawisł nad budynkiem, klaksony pojazdów. Ludzie pchali się i przeciskali, niektórzy chcieli odsunąć się od tego krwawego, okropnego widoku, gdzie doszło do przerwania kruchej warstwy oddzielającej życie od śmierci, inni próbowali się dostać bliżej.

Remmi również przeszła bliżej, zerknęła przez ramię jakiegoś mężczyzny i spojrzała na wygięte ciało kobiety, zauważyła, że o kilka centymetrów ominęła fontannę, jej peruka się przesunęła, a pod marszczoną suknią zbiera się ciemna kałuża.

– O, Boże – wyszeptała, gdy policjantka kazała się wszystkim odsunąć. Remmi została potrącona i poleciała do tyłu; następnie łokciami utorowała sobie drogę z dala od budynku Montmort Tower, teraz skąpanego w światłach wozów straży pożarnej, karet i radiowozów. Jakiś mężczyzna, zapewne policjant, rozkazywał: „Odsunąć się. Zrobić miejsce. Cofnąć się. Pozwólcie nam wykonywać naszą pracę”.

Klikały migawki telefonów i aparatów, słyhać było echo kroków, tępy odgłos podeksycytowanych głosów dudnił jej w głowie.

Czy naprawdę była świadkiem samobójstwa swojej matki? Po tych wszystkich latach, kiedy nie wiedziała, co stało się z Didi, wszystko zostało sprowadzone do ostatniego, desperackiego i efektownego skoku?

Och, proszę, nie.

Oddaliła się, jej buty ślizgały się na stromym, mokrym chodniku, czuła lód w środku. Nie zwracając uwagi, dokąd idzie, dołączyła do tłumu przechodzącego przez ulicę, niektórzy ludzie rozmawiali podnieconymi głosami, inni milczeli, przeżywszy szok, jeden mężczyzna miał na głowie czerwono-białą czapkę mikołaja. Wszystko wydawało się surrealistycznie niezgrane i niepasujące do siebie.

Kiedy w końcu znowu spojrzała na tabliczkę z nazwą ulicy, okazało się, że znajduje się kilka przecznic od miejsca, w którym powinna być, czyli krytego parkingu, na którym zostawiła samochód. Drżąc, zastanawiała się, czy da radę prowadzić; ale gdy trochę przejaśniło jej się w głowie, uznała, że nie ma innego wyjścia.

Może to nie była Didi. Zapewne to nie ona. Jest mnóstwo sobowtórów Marilyn Monroe, nawet w tym mieście. Nie panikuj. Zachowaj spokój. Didi prawdopodobnie nadal żyje.

Ruszyła w stronę parkingu, oddychała głębiej, bo musiała podejść pod górkę. Kątem oka zauważyła jakiś ruch i przez chwilę wydawało jej się, że ktoś za nią idzie. Zerknęła przez ramię, ale nikt nie zaczął się w cieniu, mimo to wyczuwała na sobie czyjś wzrok.

Tylko ci się wydaje!

Odsuwając od siebie głupią paranoję, poczuła, że serce bije jej szybciej i z niepokojem mrowi ją skóra.

Nikt cię nie śledzi. Nigdy nikt za tobą nie chodził. Na miłość boską, Remmi, weź się w garść.

Po prostu spanikowałaś ze względu na tę niedawno wydaną demaskatorską książkę na temat zniknięcia Didi, która wzbudziła zainteresowanie tą sprawą.

Książka... Niedawno pojawiła się w księgarniach i w Internecie. Remmi nie rozumiała, dlaczego ktoś w ogóle chciał wydać książkę o mało znaczącej celebrytce, ale książka była dostępna i, co zaskakujące, ludzie interesowali się tajemnicą otaczającą zniknięcie kobiety. Didi Storm teraz zyskiwała rozgłos, którego tak bardzo pragnęła, dwadzieścia lat po tym, jak wyszła z domu, nie oglądając się za siebie.

Czy umarła tamtej nocy?

Została uprowadzona?

A może uznała, że nie chce brać na siebie odpowiedzialności za nastolatkę i niemowlę?

Remmi nie wiedziała, chociaż zadawała sobie te pytania miliony razy. Inne pytania nie pozwalały jej spać po nocach, wbijały się w jej mózg małymi, ostrymi szponami.

Dlaczego zniknęła Seneca?

Do czego położnej/opiekunce potrzebny był Adam?

Czy wiedziała, gdzie jest Didi, i oddała jej chłopca?

Czy obie z Didi coś knuły?

Dlaczego...

– Przestań! – powiedziała na głos i przestraszyła zarówno siebie, jak i kobietę truchtającą w przeciwnym kierunku. Z telefonem w ręce, słuchawkami w uszach i wzrokiem rzucającym pioruny, kobieta wyminęła Remmi szerokim łukiem i pomknęła dalej, nie zwalniając ani na chwilę.

Remmi patrzyła, jak znika za rogiem, następnie szybko rozejrzała się po stromo wznoszącym się chodniku i ulicy za sobą. Nikt nie wyglądał podejrzanie. Nikt nie skrył się w drzwiach, żeby pozostać niezauważonym. Nikt jej nie śledził.

Znowu ruszyła szybkim krokiem pod górkę. Musiała pomyśleć, zastanowić się, rozważyć, czy powinna udać się na policję. Na tę myśl poczuła, że w środku się kurczy. Jej kontakty z policją nie były wzorowe. Bynajmniej.

Przypomniała sobie, jak w końcu poszła na policję trzy dni po tym, jak opuściła ją Seneca. Siedziała w domu. Czekwała. Miała nadzieję. Modliła się. Ale nikt nie wrócił. Ani matka, ani Seneca, ani jej rodzeństwo. Była sama. Załamała się i ponownie zadzwoniła do Noaha i tym razem telefon odebrał jego ojczym.

– Nie ma go! – warknął Ike Baxter. – Jeśli go znajdziesz, powiedz mu, że szukam tego złodziejskiego patałacha. A jak go znajdę, to niech ma się na baczności. Dostanie to, na co zasłużył ten kłamliwy kutas. – Następnie rzucił słuchawką.

Remmi nigdy więcej tam nie zadzwoniła.

W notesie matki znalazła różne adresy i numery telefonów, zadzwoniła pod ten opisany literami M&T – mama i tata, jak się domyśliła, ale okazało się, że jest wyłączony, poza tym, co miałyby powiedzieć dziadkom, których nigdy nie widziała na oczy? „Cześć, jestem waszą nigdy niewidzianą wnuczką”. Co by to dało? Miałyby się przeprowadzić do jakiejś miejscowości leżącej kilkaset kilometrów od Vegas i zamieszkać z nieznajomymi? Ludźmi, którzy zmusiliby ją, żeby poszła do nowej szkoły i starała się zaprzyjaźnić z dziećmi, które znały się od urodzenia? Za nic w świecie.

Na chwilę powróciła do swojego pierwotnego planu wyjazdu do San Francisco, ale zrezygnowała z niego i, nienawidząc samej siebie, poszła na komisariat, gdzie przyjął ją detektyw Bud Kendrick, który nie wierzył w jej szalone opowieści o matce – w sumie nie mogła go o to winić. Jeśli miałyby być szczerą ze sobą, przemilczała parę kwestii, chociaż przyznała się do tego, co widziała na pustyni przez szczelinę między tylnymi siedzeniami w cadillacu.

Kendrick, wysoki mężczyzna z szopą brązowych jak kawa włosów, krzaczącymi brwiami i nosem, który wyglądał, jakby kiedyś był złamany, miał sylwetkę sportowca oraz tabliczkę na ścianie z napisem, że w szkole średniej w Idaho był zawodnikiem ligi. W jego schludnym biurze ekran komputera zajmował większość miejsca na biurku. Detektyw patrzył na nią chłodnym, wyrachowanym

spojrzeniem, podczas gdy jego partnerka, Lucretia Davis, czarnoskóra kobieta po trzydziestce w wąskiej spódniczce i wyprasowanej bluzce, trzymała się koło drzwi, jakby podejrzewała, że Remmi spróbuje uciec, i przysłuchiwała się pytaniom Kendricka. Z jakiejś przyczyny od samego początku uwziął się na Remmi. A może był jednym z tych nieustannie rozgniewanych mężczyzn, jak Harold Rimes, pracodawca jej matki, tych mających zawsze muchy w nosie, które z wiekiem robią się coraz większe. Niezależnie od powodu, Kendrick chyba sądził, że Remmi wie więcej, niż mówi, co rzeczywiście było prawdą.

– Słyszałaś strzały i wybuch i widziałas „kulę ognia” z kryjówki w bagażniku specjalnie przebudowanego cadillaca? To właśnie próbujesz powiedzieć?

– Tak. – Już to wyjaśniła, nie widziała powodu, żeby do tego wracać. – Zmęczona i zadręczająca się do upadłego, spojrzała z wyrzutem na policjanta. – Wie pan, że to miało miejsce. Była tam policja i straż pożarna. Słyszałam syreny. Więc proszę mi powiedzieć, czy znaleźli dziecko? Albo... – Ścisnęło ją w gardle. – Albo ciało niemowlęcia. – Na samą myśl bolało ją serce.

– Nie było ciała dziecka – wtrąciła Davis, a Remmi po raz pierwszy od kilku dni poczuła iskierkę nadziei. Może Ariel przeżyła. Ale jak? I gdzie teraz jest?

– Byłaś w samochodzie matki? – znowu Kendrick.

– Tak! Może mnie pan pytać milion razy i zawsze odpowiem to samo. Ponieważ to prawda. – Ta część rzeczywiście się zgadzała. Mimo to jeszcze raz opowiedziała swoją historię, powtórzyła, że schowała się w bagażniku dużego samochodu i z przerażeniem zobaczyła, że Didi spotyka się z kierowcą innego auta i wymienia fotelik z dzieckiem na aktówkę pełną pieniędzy, która okazała się wypełniona fałszywkami. Opowiedziała mu, jak Didi, czując się oszukana, dokądś pojechała, ale Remmi nie miała pojęcia dokąd ani jak daleko. – Powiedziała mi tylko, że jest umówiona w „prywatnej rezydencji”.

– Czyjej? – zapytał Kendrick.

– Mówiłam, że nie wiem. Tego mi nie zdradziła.

– I nie powiedziała, jak to daleko?

– Nie, tylko że to za miastem, nie w Las Vegas i że wróci rano i pojedziemy na zakupy.

Zauważyła ruch w drzwiach, gdy detektyw Davis wyszła z biura i ruszyła korytarzem, ledwie słychać było odgłos jej kroków. Widocznie uznała, że Remmi nie zaryzykuje ucieczki. W końcu. Ale to oznaczało, że Remmi jest skazana na tego bezwzględnego, niedowierzającego starszego z partnerów w tym duecie. Super.

– I nie wróciła ani nie zadzwoniła?

– Nie.

– I zostawiła cię z kilkumiesięcznym dzieckiem, po tym, jak drugie próbowała sprzedać.

– Tak! – Remmi się najeżyła, słysząc ton jego głosu. Niemal zerwała się z plastikowego krzesła, które jej wskazali, żeby usiadła, ale zmusiła się do pozostania na miejscu. – Ona... ona sprawiała wrażenie, że chce odebrać Ariel.

– Po tym, jak stwierdziła, że zapłacono jej fałszywymi banknotami?

– Nie... Mam wrażenie... – Jakie miała wrażenie? – Nie wiem.

– Teraz ci wierzę – prychnął.

Powrócił odgłos kroków i na szczęście zjawiła się Davis, postawiła na biurku puszkę coli i kanapkę w opakowaniu.

– Proszę – zwróciła się do Remmi. – Z serem i szynką. Nie najsmaczniejsza, ale uwierz, to najlepsze, co mamy w automacie. – Następnie posłała Kendrickowi znaczące spojrzenie i gestem głowy wyprosiła go na zewnątrz. Krzesło Kendricka zatrzęszczało, gdy niezadowolony mężczyzna wstawał od biurka i wyszedł z partnerką na korytarz, gdzie przy uchylonych drzwiach odbyli gorączkową, lecz prowadzoną ściszym głosem dyskusję. Remmi otworzyła colę. Rozpakowując kanapkę, wytężyła słuch, ale docierały do niej tylko fragmenty rozmowy zagłuszanej szeleszczeniem papieru.

Głos Davis: Wyluzuj. Bud... to tylko dziecko.

Odpowiedź: Nieważne... kłamie. Mogę się założyć o swoją emeryturę.

Davis odpowiedziała cicho, ale Remmi usłyszała: ...wystraszona i na pewno jej matka... przebiegła krętaczka. Wszystkim w mieście wisi pieniądze...

– O co, do cholery chodzi z tą sprzedażą dziecka? Jezu Chryste, to się w głowie nie mieści. – Następnie, jakby zorientował się, że mogła go usłyszeć, zaczął mówić ciszej. Remmi miała ochotę podejść do drzwi, ale nie odważyła się, więc z głośno bijącym sercem nadstawiała ucha. – ...prawdopodobnie nie żyje... Nie ma ciała... wie więcej, niż mówi...

– ...daj jej chwilę. Ma piętnaście lat. Pamiętasz, jaki byłeś w jej wieku?

– Do diabła.

– No właśnie... nie naciskaj za bardzo. Tak tylko mówię.

Remmi ugryzła kanapkę, ale kęs złożony z sera, majonezu i szynki utknął jej w gardle, nie była w stanie popchnąć go colą. Nie powinna była tu przychodzić. Nie wierzyli jej. Może ją aresztują za... za co? Za ukrywanie dowodów? Okłamywanie policji? Może nawet sądzą, że pomagała w tym przestępstwie. I o kim mówili, że nie żyje? O Ariel? Ojcu dzieci? Może o Didi?

Szumiało jej w głowie, gdy usłyszała głos Kendricka:

– ...muszę zapalić.

– Kto nie musi? – padła odpowiedź, po czym do pokoju weszła detektyw Davis. Sama.

– Będzie dobrze – pocieszyła ją z uprzejmym uśmiechem, który jednak nie obejmował jej oczu.

Uśmiech jest fałszywy. Wie, że nie będzie dobrze. Nigdy już nie będzie okej.

Davis oparła szczupłe biodra o brzeg biurka Kendricka.

– Masz jakąś bliską osobę, do której moglibyśmy zadzwonić? Ten numer, który nam dałaś, do Seneki Williams, nie odpowiada. Został zdezaktywowany. Masz jakichś krewnych?

Serce Remmi zmieniło się w lód. Seneca związała? Zostawiła ją na dobre? Nerwowo oblizowała usta. Musiała podać jakieś nazwisko. Kogoś. Kogokolwiek. W przeciwnym razie zajmie się nią opieka społeczna, czy jak to się nazywa, i umieszczą ją w rodzinie zastępczej u obcych ludzi.

– Może twój ojciec?

Znowu to.

– Mówiłam już, że nie wiem, kim jest. Nigdy nie wiedziałam. Wiem, że to brzmi głupio, ale to najszczerza prawda. Mama nigdy mi nie powiedziała. I może... – Przelknęła ślinę i wyszeptowała to, czego zawsze się obawiała najbardziej: – Może nie wiedziała, kto to był.

Remmi zawsze podejrzewała, że jej matka chętnie wskakiwała mężczyznom do łóżka, więc zachodziło duże prawdopodobieństwo, że miała więcej niż jednego kochanka w tamtym czasie, więc...

– Okej – skwitowała Davis, nie okazując żadnych emocji ani nie oceniając. – To może jakaś ciocia albo wujek? Starszy kuzyn?

Remmi się pociła, miała mokre dłonie, gdy rozważała swoje możliwości. Ostatecznie uznała, że najlepiej wyznaczyć prawdę.

– Wiem jedynie, że mama pochodzi z Missouri. Tak mi powiedziała. Nie wiem dokładnie skąd. Nigdy tego nie zdradziła. Jakby to był jakiś wielki, zły sekret, jakby coś złego ją tam spotkało. Sama nie wiem. – Remmi myślała na głos. – Ale chyba kilka razy wspomniała St. Louis i to, że wychowywała się na farmie. Znała się na tych sprawach. Na przykład na „układaniu stogów” siana, tak mówiła, i „karmieniu świń pomyjami”. Mówiła o takich rzeczach, których nie robi się w mieście.

Davis skinęła głową, robiąc notatki.

– Coś jeszcze?

– I że była cheerleaderką w szkole średniej. Kiedyś, dawno temu, znalazłam jej stary mundurek. Czerwony z białym swetrem. Drużyna nazywała się Titans. Miała na imię Edwina, ale na swetrze wyszyto „Edie”. – Spojrzała w zaciekawe oczy Davis. – Nigdy nie słyszałam, żeby ktokolwiek nazywał ją tymi imionami. Zawsze wołano na nią Didi.

– A drugie imię?

– Nigdy go nie używała, ale wiem, że na drugie ma Maria. Edwina Maria Hutchinson... ale występowała jako Didi Storm, nawet gdy wychodziła za mąż.

– Jak nazywali się jej mężowie?

– Leo Kasparian, magik, Kaspar Wielki, był drugim mężem – powiedziała Remmi, a Davis uniosła brwi. – Pierwszym Ned Crenshaw. Wyprowadził się do Montany lub Kolorado. Był kowbojem. Facetem od koni. Ranczerem – dodała i nie czuła się z tym dobrze. Zawsze lubiła Neda. Był dla niej miły, nauczył ją dużo o koniach i jeździć konno oraz jak cieszyć się zachodem słońca. Nawet jak trzymać i strzelać ze strzelby, mówiąc jej, że nauczył się tego na ranczu w Wyoming. Był wymagającym ojczymem, kazał jej wykonywać „obowiązki domowe”. Ale był też przyzwoity, zwykle nie bywał narwany, ale gdy się wkurzył, złość tliła się w nim długo i przeważnie była ukierunkowana na kokieteryjną żonę. Remmi sądziła, że raz czy dwa między Nedom a Didi mogło dojść do rękoczynów, ale nie wiedziała na pewno. Pamiętała, że nazwał Didi „chorą na łeb”, tuż przed tym, gdy złożyła pozew o rozwód.

– Mama rozwiodła się z oboma – dorzuciła. Remmi nigdy za bardzo nie lubiła Leo, ale pokazał jej kilka sztuczek, które według niej mogły jej się kiedyś przydać. Leo zawsze dbał tylko o Leo. Pewnego razu Didi powiedziała: „Leo z taką samą łatwością wbilby ci nóż pod żebra, co wyznał ci miłość. Zrobiłby to jednocześnie, w ogóle się nad tym nie zastanawiając”.

Davis notowała, gdy Remmi podawała jej szczątkowe informacje o życiu matki sprzed czasu, gdy Didi wylądowała w południowej Kalifornii, a potem w Las Vegas.

– Mama mówiła o St. Louis „tam na północy”, więc zapewne pochodziła z jakiejś miejscowości leżącej na południe od tego miasta. Nigdy nie powiedziała skąd. Jakby po wyprowadzce na zachód nie chciała mieć nic wspólnego z rodzicami. – Wzruszyła ramionami i próbowała sobie jeszcze coś przypomnieć.

– Znasz ich imiona? – zapytała policjantka.

– Fran i Willa Maye Hutchinson. Mama miała siostrę Verę i brata... Billy’ego. Służył lub nadal służy w wojsku. Podśledzałam, jak mama opowiadała o nim Se-

nece, ale dowiedziałam się tylko, że był myśliwym, który poszedł do wojska zaraz po szkole. Nigdy go nie widziałam.

– Nie masz żadnego kontaktu do nich?

– Nie mam.

– Nie dostawałaś prezentów na urodziny czy kartek na święta?

Remmi tylko popatrzyła na detektyw.

– No dobrze. – Davis w końcu odpuściła. Wyrwała kartkę z nazwiskami. – Spróbuję się z nimi skontaktować i przekonamy się, co uda nam się zrobić. Musisz jeszcze tu posiedzieć, ponieważ... – Jej ton stał się smutniejszy. – Wiesz, że muszę porozmawiać z kimś z opieki społecznej. Jesteś nieletnia.

Remmi zapadła się głębiej w krzesło i chociaż miała ochotę płakać, załamać się i szlochać, nie zrobiła tego. Oczy ją piekły, ale były suche, serce jej ciążyło, gdy usłyszała, że wraca Kendrick, otaczał go smród niedawno wypalonego papierosa. Wiedziała już, że życie, jakie wiodła dotychczas, naprawdę i nieodwracalnie się skończyło.

Zadali jej jeszcze z milion pytań o Didi – co stało się na pustyni, o bliźnięta, Senecę, pracę matki w klubie Harolda Rimesa – i w końcu pokazali jej zdjęcie Noaha.

Miała wrażenie, że jej serce zrywa się z uwięzi i spada.

– Wiesz, kto to? – zapytał Kendrick, gdy wpatrywała się w fotografię. Przypomniała sobie krótką, nerwową rozmowę z jego ojcem, podczas której Ike Baxter zamierzał „dać mu to, na co zasłużył”. Żeby ukryć zmieszanie, skrzywiła się i pokręciła głową.

– Wygląda znajomo, ale... Nie, nie znam go.

– Jesteś pewna? Przyjrzyj się dokładnie – naciskał Kendrick, mrużąc oczy, jakby próbował czytać jej w myślach.

– Kim... Kim on jest?

Davis ponownie się uśmiechnęła, ale i tym razem uśmiech wydawał się wymuszony.

– Nie wiemy, ale był na pustyni tamtej nocy. Nie miał przy sobie żadnego dokumentu. Został zabrany do szpitala.

– Nic mu nie jest?

– Ależ jest! – przerwał Kendrick, jego usta wygięły się w podkówkę. – Został postrzelony w szyję i rozbił motocykl.

Postrzelony? W szyję? Remmi prawie krzyknęła, ale udało jej się zdusić tę reakcję. Poczowała jednak, że krew odpływa jej z twarzy. Przełknęła ślinę i przypo-

mniała sobie, że słyszała silnik motocykla na pustyni, gdy Didi wracała z wymiany. *Paf, paf, paf* – głośne strzały z karabinu. Strzelano do Noaha? Co on tam robił? Nie mogła pozbierać myśli, zacisnęła dłonie w pięści, jej paznokcie wbiły się w ciało. Ktoś próbował go zabić? Kto? Dlaczego? Ale, co ważniejsze, przeżył. Tak powiedzieli, że przeżył. Nie było z nim dobrze, ale nie zginął.

– ...więc domyślam się, że jego obrażenia nie były aż tak poważne jak sądzili lekarze, ponieważ z jakiegoś powodu, gdy odzyskał przytomność, ale zanim zdążyliśmy z nim porozmawiać, postanowił dać nogę ze szpitala – mówił Kendrick. –

Po prostu wyszedł sobie ze szpitala Elizabeth Park w środku cholernej nocy i zniknął.

Poczuła ulgę, z trudem rozprostowała palce.

– Jak wiesz, są tam kamery i jedna z nich nagrała jego ucieczkę, ale... – Wskażała dłonią na sufit. – Potem zniknął.

Davis zgromiła go wzrokiem.

– Co? – zdziwił się Kendrick. – Nie mówię niczego, o czym już powszechnie nie wiadomo. Jego zdjęcie ukaże się jutro w gazetach i w wiadomościach telewizyjnych. Poprosimy ludzi o pomoc. Pomyślałem więc, że zacznę od niej.

Kąciuki ust policjantki ani drgnęły i Davis skupiła uwagę na Remmi.

– Jesteś pewna, że go nie znasz? – zapytała łagodnie.

– Jak najbardziej.

Od tej chwili Remmi nigdy nie zmieniła swojej historii. Nie miała pojęcia, co Noah robił na pustyni tamtej nocy, jak wyłudował w szpitalu ani kto chciał go zabić.

Ike Baxter.

Nagle przypomniała sobie tego człowieka. Ale gdyby zastrzelił pasierba, nie odgrażałby się do telefonu, rozmawiając z nieznaną dziewczyną, prawda? Wówczas udawałby, że jest przejęty i że się martwi?

Policja zatrzymała Remmi i zasypywała ją pytaniami, dopóki nie zjawiała się smukła kobieta z brzydkimi blond włosami i lekką wadą zgryzu, panna Evelyn Connors z opieki społecznej, w zadbanym, granatowym kostiumie i butach, które Didi nazywała rozsądnymi, oraz w nieskazitelnej białej bluzce z małym, srebrnym krzyżykiem zwisającym z cienkiego łańcuszka na jej długiej szyi. Panna Evelyn, jak chciała być nazywana, zjawiała się z szerokim uśmiechem i „chwaląc Pana”, bo szczęśliwie udało im się namierzyć ciotkę Remmi. Co więcej, ciocia Vera i jej mąż, Milo, chcieli przygarnąć porzuconą córkę siostry Very i stać się dla niej rodziną zastępczą.

– Wprost doskonale – ucieszyła się panna Evelyn i złożyła ze sobą długie palce obu rąk, jak do modlitwy.

Jak się okazało, wcale nie tak „doskonale”, pomyślała Remmi schodząc z mskiej ulicy na znajdujący się w pobliżu hotelu butikowego kryty parking, na którym zostawiła swoje dziesięcioletnie subaru outback. Nie chciała jednak myśleć teraz o tych latach, szczególnie ponurym okresie swojego życia, który spędziła pod pantoflem nadmiernie religijnej ciotki Very przy chłodnym braku zainteresowania ze strony wujka Mila i w towarzystwie dwóch napalonych, rzucających niewybrednymi żartami kuzynów, obdarzających ją lubieżnymi spojrzeniami.

Wzdrygnęła się na samą myśl, po czym usiadła za kierownicą (od dawna jeździła legalnie, bo zdobyła prawo jazdy, będąc pod opieką wujostwa) i kazała sobie o nich zapomnieć. Gdyby tylko tak się dało. Teraz bowiem będzie musiała znowu odnowić z nimi znajomość, ale samo ich wspomnienie przyprawiało ją o zgaę.

– Nie, dzięki – mruknęła pod nosem i wyjechała na pagórkowate, pokryte deszczem ulice. Nic dziwnego, że Didi Storm nigdy o nich nie mówiła. Włączyła się w sznur aut i skierowała się na Bryant Street, gdzie znajdował się gmach policji imienia Thomasa J. Cahilla, w którym zajmowano się przypadkami samobójstw i zabójstw.

ROZDZIAŁ 12

– Didi Storm? – zapytał detektyw Jorge Martinez, siadając na fotelu pasażera w fordzie crown victoria, jednym z sedanów na wyposażeniu policji. – Kim, do cholery, jest ta Didi Storm?

Dani Settler, partnerka Martineza, siedziała już za kierownicą i przekręcała kluczyk. Czekala, aż mundurowy odsunie blokadę, żeby mogli wyjechać z miejsca, które zajęli trzy godziny wcześniej pod budynkiem Montmort Tower, tuż po tym, jak nieznaną denatką wykonała skok z dziewiętnastego piętra.

Settler zadrżała w środku na wspomnienie kobiety, która stanęła na zewnętrznym parapecie o zmroku i zabiła się po krótkim locie w dół.

– Ofiara wyglądała tak jak ona.

Zerkając na budynek, Martinez dopytał:

– Ale kto to jest?

– Pytasz poważnie? – Dani wróciła do teraźniejszości i spojrzała na partnera takim wzrokiem, jakby właśnie wyrosły mu rogi. – Gdzie ty się podziewałeś?

– Miałem wakacje – przypomniał jej. Mierzył zaledwie sto siedemdziesiąt centymetrów, więc nie był tak wysoki jak Dani, ale składał się głównie z mięśni i służył w wydziale od dwudziestu lat swojego czterdziestosześcioletniego życia. Był ojcem rodziny, miał żonę i troje dzieci, które obecnie przysparzały mu nowych siwych włosów rozsianych pomiędzy czarnymi, krótko przyciętymi kosmykami.

– Cóż, mimo to... Chyba siedziałeś pod jakimś cholernym kamieniem.

Zamknął drzwi forda.

– Byłem w Cabo. Wiesz o tym.

Wiedziała.

– Szkoda, że już wróciłem – narzekał. – Nienawidzę powrotów do tego gówna.

– Przestań, Martinez, wiesz, że to kochasz.

– Skoro tak twierdzisz. Ale tam osiadę na emeryturze. Kupię sobie domek z widokiem na ocean, będę popijał margarity na plaży i łowił ryby, gdy najdzie mnie ochota.

Tu mi kaktus wyrośnie, pomyślała, ale uznała, że nie ma sensu mu się sprzeciwiać. Gdy policjant pokazał im, że mogą jechać, Settler włączyła się do ruchu. Światła miasta przebijały się przez nisko wiszące listopadowe chmury, ulice były mokre i lśniące, na witrynach sklepowych świeciły już świąteczne lampki i dekoracje, bo święta zbliżały się szybkim krokiem.

Martinez i Settler zmierzali na komisariat. Większość dnia spędzili w pokoju hotelowym, z którego wyskoczyła ofiara, zameldowana tam pod nazwiskiem D. Storm.

– Skoro tak twierdzisz, że to nasza samobójczyni. – Martinez wrócił do tematu. – Didi jaka?

– Storm. – Szybko odbiła w lewo, w stronę komisariatu. – Didi Storm jest obecnie wszędzie, chyba nawet stała się jednym z najczęściej wyszukiwanych haseł w Internecie.

– Dlaczego? Kim ona jest?

– Kiedyś była sobowtorem gwiazd.

– Sądziłem, że robią to faceci – stwierdził Martinez, wycierając parę z szyby od strony pasażera. – Wiesz, o czym mówię, o tych gościach ze sztucznymi cyckami, w perukach i z makijażem. Nigdy nie rozkminiłem, jak ukrywają swoje klejnoty. To musi być trudne.

– W sumie masz rację. Nie jest łatwo być kobietą – powiedziała z przekąsem.

Prychnął, ale jego usta częściowo przykryte kozią bródką drgnęły.

– Zwłaszcza facetowi.

– Nie bądź seksistą. – Skierowała nawiew na przednią szybę. – Kobiety też mogą naśladować inne kobiety, a Didi Storm miała własny show w Vegas lata temu. Nie była artystką klasy A, ale nieźle sobie radziła, a potem zniknęła.

– Skąd wiesz?

– Bo jak mówiłam, wszędzie jej teraz pełno. Nie w sensie dosłownym, oczywiście, ale wyszła książka opowiadająca o jej życiu, która próbuje odpowiedzieć na pytanie, co się z nią stało, czy wciąż żyje i tak dalej. Wraz z książką pojawiły się artykuły w sieci i w gazetach. Szum medialny. – Następnie opowiedziała mu o nietypowej sprawie, plotkach, że w grę wchodziła sprzedaż dzieci, wybuchy na pustyni i zaginięcie Didi Storm.

– Okej.

– Mam egzemplarz. – Nie odrywając oczu od drogi, sięgnęła za fotel pasażera i ze swojej otwartej torebki wyjęła książkę w twardej oprawie zatytułowaną *Nie jestem sobą: nieopowiedziana historia Didi Storm*. Na okładce było zbliżenie twarzy

Didi, jedna strona wyglądała jak Marilyn Monroe, jej doskonale rysy zostały przecięte na pół za sprawą grafika, a druga strona przedstawiała nieumalowaną podobiznę Didi Storm.

– Czytałaś już?

Włączywszy kierunkowskaz, potaknęła.

– Aha. Skończyłam wczoraj wieczorem.

– Dobra?

– Ciekawa, a teraz...

– Tak. Dziwne, co nie? Wychodzi książka, a potem... hmm. – Podrapał się po brodzie. – Kiedy zobaczyłem ofiarę, przez chwilę myślałem, że to cholerna Marilyn Monroe...

– Która nie żyje od ponad pięćdziesięciu lat.

– Mimo to przynajmniej wiedziałem, kim była. A ta Didi Storm? – Pokręcił głową i wzruszył ramionami. – I na pewno nie kupiłbym żadnej książki o niej.

– Nie kupiłbyś żadnej książki, jeśli nie dotyczyłaby łowienia ryb.

– Cóż, racja. Może.

– Żadne „może”. Ale inni ludzie, na przykład ja, przeczytają ją, bo ta sprawa jest ciekawa. I to nie wszystko, mówi się, że powstanie o niej film dla telewizji.

– Skąd wiesz?

– Bo kiedy ty zajmowałeś się załatwianiem spraw z technikami, ja sprawdziłam Internet w telefonie.

W końcu poczuł się zaintrygowany, ściągnął brwi.

– Więc dlaczego wyskoczyła teraz? Skoro nagle stała się sławna, to dlaczego...

– To nie ona – odparła. Przed nimi jechał cały sznur pojazdów, więc przejechała dwa pasy i ostro skręciła, żeby uniknąć tłoku na drodze. Ulica była wąska i stroma, po obu stronach parkowały samochody, za nimi w nisko wiszące chmury wbijały się drapacze chmur.

– Wydawało mi się, że powiedziałaś, że to ona. Poza tym miała perukę.

Ofiara nie tylko miała na sobie strój w stylu vintage i krótką platynową perukę, lecz wewnątrz tej ostatniej było wyraźnie napisane „Didi Storm”. Jednak w pokoju hotelowym nie było żadnych dokumentów, tylko mała walizka z piżamą i kosmetykami do makijażu. Nie znaleźli torebki ani portfela, chociaż recepcjonista zarzekął się, że widział prawo jazdy wystawione w Kalifornii, a przynajmniej tak mu się wydawało, ale gdy go przycisnęli, nie był w stanie przypomnieć sobie imienia na dokumencie, okazało się też, że nie zrobił jego kopii. Przypomniał so-

bie tylko, że był zajęty, kiedy się meldowała, był zestresowany, a prawo jazdy wyglądało w porządku.

– Powiedziała, że wygląda jak ona. – Wjechał na przeciwny pas, objechała furgonetkę zajmującą dwa miejsca parkingowe. Ruch dzisiaj był jeszcze gorszy niż zazwyczaj. – Ile lat, według ciebie, miała ofiara? – zapytała.

– Czterdzieści, może czterdzieści pięć.

– Didi byłaby teraz po pięćdziesiątce. To nie ona, no chyba że odkryła cholerne źródło wiecznej młodości.

– Niektórzy dobrze się starzeją.

– Nie aż tak dobrze.

– Skąd wiesz? Była ładna... nawet taka połamana – wyznał, marszcząc czoło na wspomnienie ciała. – Obecnie można zrobić sobie operacje plastyczne czy zastrzyki. Botoks czy jak mu tam. Dziesięć lat to nie tak dużo. Niektórzy wyglądają dwadzieścia lat młodziej, niż sobie liczą.

– Dobrze. Założysz się o ten domek, który kupisz na emeryturze w Cabo?

– Jasne.

– Spoko. Niedługo dostaniemy odciski palców. Sprawdzimy, czy ofiara znajduje się w systemie.

– A jeśli to ta Didi Storm?

Zwolniła przed czerwonym, czekając, aż przez ulicę przejdą piesi w płaszczach, kapturach i pod parasolami. W tle trzeszczało policyjne radio.

– Jeśli to Didi, nie twierdzą, że to ona, to dlaczego wyskoczyła? Dlaczego miałyby się teraz zabić, skoro wyszła o niej książka, a zawsze zależała jej na sławie? – Nie potrafiła wyobrazić sobie takiej desperacji lub tak okropnego życia, żeby jedynym wyjściem było wyskoczenie z wieżowca.

– Może nie chciała skakać.

– W takim sensie, że coś nie poszło podczas popisu kaskaderskiego?

– Może. – Wzruszył ramionami.

– To by pasowało. Z tego, co czytałam, wynika, że była efekciarska, niewielu rzeczy się bała.

– Wiesz to z książki?

– Czytałam pomiędzy linijkami – odparła, podkreślając szybkość wycieraczek, bo mżawka zmieniła się w ulewę, a jadący pod górę tramwaj wypakowany ludźmi mozolnie pokonywał swoją trasę. – Zainteresowała mnie, więc poczytałam o niej w sieci.

– No i?

– Pasowałby do niej taki reklamowy pokaz kaskaderski, ale to... Sama nie wiem. Kto stanąłby na parapecie dwadzieścia pięter nad ziemią po to tylko, by ściągnąć na siebie uwagę? Była ekstrawagancka, zawsze grała pod publiczność. Sądząc po tym, co wyczytałam, nie zabiłaby się po cichu, łykając jakieś pigułki; wszystko robiła z rozmachem. – Pokręciła głową. – A jednocześnie miała instynkt samozachowawczy. Była typem wojowniczką.

– Dużo o niej wiesz.

– Przez wiele lat o niej nie myślałam, ale potem kupiłam tę książkę i trochę porzebrałam...

– I plask. Spadła ci pod nogi.

Skrzywiła się.

– Nie musisz być taki obrazowy.

– Mówię, jak jest.

– Ale nie sądzę, że to ona.

– Tylko ktoś, kto wciela się w zaginioną artystkę, która wcielała się w innych, po czym skacze, żeby... Nie wiem, Dani, to nie ma sensu.

– Zgadzam się – przyznała.

– Dlaczego w ogóle zniknęła?

– Dobre pytanie. Tego roku urodziła dziecko, tyle wiadomo, ale krążyły plotki, że było dwoje dzieci, chłopiec i dziewczynka, jedno i drugie zaginęło. Czytałam o tej sprawie wiele lat temu, kiedy byłam nastolatką. Wtedy pisano o niej w każdej gazecie, więc kilka dni temu, gdy zaczęłam czytać książkę, wróciłam do niektórych artykułów. – Dani Settler fascynowała się przestępstwami i przestępcami, odkąd wkroczyła w okres nastoletni i została ofiarą porywacza, której udało się wyrwać z rąk okrutnego oprawcy. Kiedy nieco otrząsnęła się z traumy, postanowiła, że zostanie policjantką, i pochłaniała wszystkie książki o prawdziwych przestępstwach, które wpadły jej w ręce. Nigdy nie zrezygnowała ze swojego celu i po studiach oraz zdobyciu tytułu magistra zatrudniła się w policji w San Francisco.

Włączyło się zielone światło, więc dodała gazu i o mały włos nie potrafiła biegnąć, który wbiegł na przejście na czerwonym. Ona i kierowca auta obok w ostatniej chwili dali po hamulcach.

– Jasny gwint! – Martinez złapał się za deskę rozdzielczą, gdy napięły się ich pasy.

– Głupi ma szczęście – mruknęła, ostrożnie dodając gazu. Gdy skręciła na parking przed komisariatem, Martinez powiedział:

– Dzisiaj twoja kolej – przypominając jej o trwającej umowie dotyczącej późnego lunchu. Ilekroć praca niespodziewanie się przeciągała, jedno z nich przynosiło kanapki z ich ulubionych delikatesów. Miał rację, dzisiaj była jej kolej. – Rostbef z dodatkową porcją chrzanu i żeby nie zapomnieli o piklach. Czasem zapominają.

– Naprawdę? W tym deszczu? Spodziewasz się, że wyjdę?

– Naprawdę. Owszem.

Zaparkowała, po czym rzuciła mu kluczyki.

– Kawa też?

– Z dwiema łyżeczkami cukru.

– Wiem. Przyjęłam. Zajmij się samochodem.

Gdy on przejął służbowego forda, policjantka udała się, w coraz większym deszczu, dwie przecznice dalej do Sammy's Deli, gdzie kupiła dwie kanapki i posłuchała lokalnych plotek dochodzących znad małych stolików przy oknie. Czekać na zamówienie, słyszała fragmenty rozmów – dwie kobiety rozprawiły o swoich nastoletnich córkach, jacyś mężczyźni dyskutowali o przyszłości San Francisco Giants, a czteroosobowa grupa wymieniała się uwagami na temat samobójczyni z Montmort Tower, ale nie padło nazwisko Didi Storm.

Zanim wróciła na posterunek, z płaszcza kapiała jej woda, a biała torba z lunchem zaczynała się rozpadać. Powiesiła płaszcz na wieszaku koło biurka. Woda skapywała na podłogę, zauważyła spojrzenie jednego ze starszych detektywów, Teda Vance'a, dziesięć lat od niej starszego, który zawsze gotów był dzielić się swoją rozległą wiedzą zdobytą podczas lat pracy. Jednocześnie był pedantem, który dąsał się na każde odstępstwo od protokołu lub etykiety i nie bał się okazywać swojego niezadowolenia. Mała kałuża wody zbierająca się na podłodze na pewno już go uwierała.

– Zajmiesz się tym? – zapytał, patrząc na nią ponad oprawkami okularów.

– Tak.

– Ktoś się może poślizgnąć.

– Dzięki za ostrzeżenie. – Nie udało jej się powstrzymać od sarkazmu, ale naprawdę nikt nie musiał jej zaglądać przez ramię i wskazywać błędów.

– Nie ma za co. – Vance się uśmiechnął, a jego ciemne oczy błysnęły. Wiedział, że ją wkurzył. – Ponownie.

Ze swojej strony posłała mu krzywy uśmiech. Nie potrzebowała tego. Była wystarczająco poirytowana długim dniem i brakiem jedzenia. Jedną torebkę i kubek z kawą postawiła na biurku Martineza, po czym usiadła na swoim krześle i wgrzyła się w kanapkę z indykiem. Jedząc, sprawdziła pocztę elektroniczną i poszukała raportów o samobójczyni, o której nadal myślała jak o kimś niezidentyfikowanym.

Nie była przekonana do nazywania jej Didi Storm, mimo słów hotelowego recepcjonisty i nazwiska wypisanego wewnątrz peruki. Trzeba było także zastanowić się, czy to rzeczywiście samobójstwo. Według słów świadków tak to wyglądało, ale za wcześnie było na ostateczny werdykt. Policja przeglądała nagrania z ostatnich sekund życia kobiety. Wszystko wskazywało na to, że była sama w pokoju, stanęła na zewnętrznym parapecie, poczekala, aż zbierze się tłum, po czym zrobiła krok do przodu i spadła, zanim wezwani na miejsce ratownicy zdążyli wdrzeć się do jej pokoju i pokoi obok, żeby w jakiś sposób ją zabezpieczyć, na przykład rozkładając na dole dmuchany materac. Mimo to Settler nie była przekonana do oczywistych rozwiązań. Musiała się upewnić, że nikt nie pomógł nieznanemu / Didi Storm w podjęciu decyzji o skoku z wieżowca.

Zadzwoiła na policję w Las Vegas i dowiedziała się, że detektyw, który zajmował się sprawą zaginięcia Didi Storm, pięć lat temu przeszedł na emeryturę. Settler poinformowano, że oddzwoni do niej jego partnerka, starsza detektyw Lucretia Davis. Davis partnerowała przy tej sprawie, więc Settler zostawiła swój numer, zajęła się z powrotem lunchem i uporała się z połową kanapki, kiedy zauważyła Demetriusa Browna, mundurowego, kierującego się pomiędzy boksami do jej biurka. Krok za nim szła jakaś kobieta, na oko po trzydziestce. Miała niecałe metr siedemdziesiąt wzrostu, brązowe włosy związane w kucyk, zielone oczy, które ogarniały od razu całe pomieszczenie, była ubrana w wąskie dżinsy, wysokie buty, gruby sweter i kurtkę z rozpiętym paskiem. Była spięta, zaciskała usta i starała się nadążyć za wysokim i szczupłym Brownem, stawiającym długie kroki niczym zawodowy bejsbolista, którym był w przeszłości.

Jej spojrzenie padło na Dani, zanim zostały sobie przedstawione, z jej miny dało się wyczytać, że ma jakiś interes.

– Ma pani gościa – powiedział Brown, wskazując kobietę. – Pani Storm. – Następnie przedstawił detektyw Settler. – To jej pani szuka – wyjaśnił. Ponownie spojrzał na Dani, jego brwi lekko się uniosły, co było znakiem, że powinna mieć się na baczności, i bezgłośnie przekazał, że ta kobieta może nie być tym, za kogo się podaje.

Pani Storm? Dani poczuła się zaintrygowana.

– Pani Storm twierdzi, że może być córką naszej NN z wczoraj.

Kobieta dodała:

– Tej rzekomej samobójczyni. Jestem Remmi Storm. Moją matką jest... Didi Storm.

ROZDZIAŁ 13

– Jeszcze nie zidentyfikowaliśmy ofiary – przyznała Settler i zmieniała się w słuch. Jeśli Remmi Storm, szczupła i pewna siebie nawet w tych okolicznościach, miała informacje o samobójcy, tym lepiej dla nich.

– Domyśliłam się, gdy on... – Remmi ruchem głowy wskazała Browna – nazwał ją NN. Może uda mi się pomóc. Byłam tam. Widziałam, jak to się stało. – Remmi lekko pobladała. – Ale, tak jak mówiłam, wydaje mi się... Sądzę, że to może być moja matka.

– Była tam pani? – zapytała Dani, jeszcze bardziej zaintrygowana. – Żeby się z nią spotkać?

– Nie. To jest właśnie najdziwniejsze... Cóż, prawie najdziwniejsze. Znalazłam się tam zupełnym przypadkiem.

– Mieszka pani lub pracuje w okolicy?

– Tak. Przeprowadziłam się tutaj jakieś dziesięć lat temu – odpowiedziała. – Pracuję głównie z domu.

– Jako? – dopytywała Settler.

Remmi się zawahała.

– Pracuję dla Grety Emerson w jej domu. Jestem jej asystentką.

– Czyli?

– Jest wdową i właścicielką dużego domu w pobliżu Mount Sutro. Pomagam jej w jego utrzymaniu i prowadzę księgowość. Wynajmuje pokoje, a także inne nieruchomości w mieście, więc zbieram czynsz, płacę rachunki i dbam o to, żeby otrzymywała właściwą opiekę.

– Od jak dawna pani tam pracuje?

– Od pięciu, nie, prawie sześciu lat. Wcześniej wykonywałam pracę biurową, zajmowałam się ubezpieczeniami, księgowością, obsługą techniczną. – Podawała swoją wizytówkę z adresem domu, mailem i kilkoma numerami telefonów.

– A więc znalazła się pani koło hotelu Montmort, ponieważ... – zapytała Settler, wkładając do kieszeni wizytówkę.

– Dowiedziałam się, że agentka autora książki o Didi pracuje w tym mieście, przecnicę lub dwie od Montmort. Chciałam z nią porozmawiać, zapytać o osobę, która wyszukała tyle rzeczy o mojej matce. Byłam w drodze do jej biura.

– To zdarzyło się po siedemnastej.

– Zamierzałam ją zaskoczyć, gdy będzie wychodziła, bo wcześniej zadzwoniłam, ale nie chciała się ze mną spotkać. Po drodze to odciągnęło moją uwagę – wyjaśniła Remmi i zrobiła głębszy wdech. – Moja matka i ja nie utrzymujemy ze sobą kontaktu. To znaczy, nie miałam od niej żadnych wiadomości od dwudziestu lat, nie wiem, czy jeszcze żyje, a wczoraj... – Pokręciła głową. – Trudno w to wszystko uwierzyć.

– Może zacnie pani od początku – zaproponowała Dani. – Usiądźmy. – Wskażała krzesło stojące przy bocznej krawędzi biurka, a Remmi je zajęła. – Napije się pani czegoś? Wody? Kawy? Coli?

– Nie, dziękuję. Proszę sobie nie robić kłopotu. – Ale wyglądała, jakby właśnie zaraz miała narobić im kłopotów. Mocno pobladła, odkąd zjawiła się przy biurku Dani.

Ponownie odetchnęła głęboko i zebrała się w sobie.

– Wiele lat temu moja mama Didi pracowała w Las Vegas, miała tam własny show, śpiewała, wykorzystywała sztuczki magiczne, tego rodzaju rzeczy. A także idealnie naśladowała Marilyn Monroe.

Settler słuchała i robiła notatki, chociaż znała większość tej historii. Po prostu chciała usłyszeć wersję tej kobiety. Nie wątpiła, że to jest Remmi Storm, bo widziała jej zdjęcia z okresu nastoletniego i to była ta sama kobieta.

– To wszystko wydarzyło się dwadzieścia lat temu. – Spojrzała w oczy detektywa. – Ale chyba już pani o tym wie.

– Owszem. Czytałam też książkę.

– Aha. – Remmi zatrzepotała powiekami.

– Rozumiem że nie do końca się to pani podoba.

Skrzywiła się.

– Nikt nie przeprowadził ze mną wywiadu do tej książki i sądzę, że to dziwne. Rozumiem, że przez cały czas ludzie się zastanawiali i czasami czytałam gdzieś w sieci o mamie. A wie pani, że ona ma teraz fanclub i fanpage na Facebooku?

– Nie dotarliśmy jeszcze do tych informacji.

– Cóż, to prawda. No więc pojawiały się czasem artykuły o niej, nic poważnego, a potem nagle wyszła ta książka... A ona stała się sławniejsza niż kiedy...

kiedy występowała. Próbowałam skontaktować się z „autorką” przez jej stronę internetową i profil na Facebooku, ale wszystko wydaje się nieautentyczne.

– Nieautentyczne?

– Jakby autorka występowała pod pseudonimem. To chyba nazywa się ghostwriter. Maryanne Osgood. Nie ma takiej osoby, a przynajmniej ja nie mogę znaleźć jej zdjęcia ani żadnej wzmianki na jej temat, poza fotografią zamieszczoną na tylnej okładce książki i innej, która znalazła się na jej stronie internetowej, gdzie pozuje z dwoma francuskimi buldożkami. Sama strona jest bardzo skromna. Niczego nie można się z niej dowiedzieć. Autorka twierdzi, że pochodzi z Kalifornii, ale biorąc pod uwagę rozmiar stanu, niewiele nam to mówi. Poza tym pisze, że mieszka z mężem i dwoma psami, które i tak można zobaczyć na zdjęciu. – Zastanowiła się przez chwilę, po czym dodała: – Wobec tego, kiedy się dowiedziałam, że agentka, która ją reprezentuje, mieszka w San Francisco, poszłam się z nią spotkać. Tak jak wspomniałam, chciałam ją zaskoczyć. Po drodze przechodziłam obok Montmort Tower...

– To ogromny zbieg okoliczności – zauważyła Settler, odchylając się na krzesło.

– Też tak pomyślałam. – Przelknęła ślinę. – Agencja znajduje się trzy budynki dalej i, jako że ilekroć dzwoniłam, przełączałam się na pocztę głosową i nikt nie odpowiadał na moje maile, postanowiłam tam pójść. Byłam w drodze i zobaczyłam zbierający się tłum... a potem widziałam, jak skacze.

– Jezu – wyszeptał Brown, który wciąż stał w pobliżu.

Settler ciągnęła temat.

– I sądzi pani, że to pani matka?

– Nie jestem pewna. To podobne do Didi, żeby zrobić wielką sensację i odejść z hukiem, ale nie po tak długim czasie w ukryciu. Poza tym Didi wcześniej kokietałyby tłum bardziej, niż zrobiła to ofiara. Więc nie sądzę, że to moja mama, i nie chcę tak myśleć. – Wyprostowała szczupłe ramiona. – Ale chcę ją zobaczyć. I wtedy... wtedy będę wiedziała na pewno.

– Po tak długim czasie?

– Tak. – Remmi Storm była tego bardziej pewna niż wszystkiego, co do tej pory powiedziała.

– Zna pani nazwę tej agencji?

– Reliant Agency. Jennifer Reliant jest właścicielką, ale moim zdaniem to jakaś firma krzak – przyznała. – Zarówno książka, jak i niewielkie wydawnictwo wydają się szemrane. Dodatkowo w Internecie nie ma zbyt wielu informacji na te-

mat Jennifer Reliant ani jej agencji. Wygląda na to, że stoi za tym tylko ta jedna osoba.

– Czyli nie jest pani pewna, że firma istnieje?

– Czyli muszę porozmawiać z prawdziwą osobą lub otrzymać odpowiedzi na swoje pytania, choćby z jakiejś poczty głosowej, choć z niej pewnie niewiele się dowiem.

Brown zwlekał z odejściem. Odezwała się jego komórka, więc Dani na niego spojrzała.

– Już się tym zajmuję – powiedziała, a on zrozumiał aluzję, odebrał telefon i się oddalił.

Gdy odszedł, Remmi wsadziła rękę do kieszeni płaszcza i wyjęła dwa zdjęcia, stare i wyblakłe, które następnie podała Dani.

– To pani matka?

– Tak, oba zostały zrobione jakiś rok przed tym, jak zniknęła – wyjaśniła, a w tonie jej głosu można było wyczuć zgorzknienie. Settler nigdy wcześniej nie widziała tych fotografii. W książce zamieszczono kilka czarno-białych ujęć, ale nie były to te same zdjęcia. Oglądała też podobiznę Didi Storm w Internecie, ale te fotki były inne, bardziej prywatne.

– Kiedy pani z nią rozmawiała po raz ostatni?

– Tego wieczora, gdy wyjechała.

– Dwadzieścia lat temu?

– Powiedziała, że wróci rano.

– Ale już nigdy nie wróciła?

Kobieta pokręciła głową, aż zakołysał się jej kucyk, i mocniej zacisnęła usta.

– Po prostu zniknęła.

Dani domyślała się, że kobieta siedząca sztywno po drugiej stronie biurka ma trzydzieści kilka lat. Skoro tak, musiała być nastolatką, kiedy jej matka zniknęła.

Settler przyjrzała się fotografiom. Na jednej był sobowtór Marilyn Monroe, na drugiej kobieta mniej więcej trzydziestopięcioletnia z ciemniejszymi włosami i lżejszym makijażem. Miała regularne rysy i zalotnie uśmiechała się do fotografa, unosząc do połowy pełny kieliszek martini.

Czy kobieta ze zdjęcia mogła być niezidentyfikowaną samobójczynią leżącą w kostnicy z połamanym ciałem po upadku z prawie dwudziestego piętra na twardy chodnik? Dani widziała niezaprzeczone podobieństwo, ale nie sądziła, żeby to była ona.

– A zatem lata pozostałe do uzyskania pełnoletności spędziła pani z ojcem?

Kobieta szybko zaprzeczyła ruchem głowy.

– Ależ nie. Nie miał z tym nic wspólnego. – Jej zachowanie sugerowało, że ojciec stanowi temat tabu. Settler na razie nie wnikała. Z własnego doświadczenia wiedziała, jak skomplikowane mogą być układy rodzinne. Sama miała macochę i kilkoro przyrodniego rodzeństwa. Ale jeśli to było ważne w sprawie, stosunek Remmi i Didi do starego, drogiego ojczulka będzie musiał zostać zbadany pod mikroskopem. Zwłaszcza jeśli się okaże, że denatka jest zaginioną Didi Storm.

Co w dalszym ciągu wydawało jej się mało prawdopodobne, pomimo podobieństwa osoby na fotografiach do ofiary.

– To co się wtedy stało? Musiała być pani nastolatką, kiedy matka zaginęła.

Przez chwilę Settler sądziła, że Remmi Storm będzie chciała ją okłamać.

– Zamieszkałam z ciotką. Siostrą mamy Verą i jej rodziną. Zanim się do niej wprowadziłam, nigdy wcześniej jej nie widziałam – dodała Remmi. – Nie znałam nikogo z rodziny. O ile mi wiadomo, matka i jej rodzice nigdy nie byli blisko i nigdy ze sobą nie rozmawiali. Z Verą także nie utrzymywała żadnych stosunków. Ale skoro byłam niepełnoletnia, opieka społeczna odnalazła Verę i jej męża, Mila. Zgodzili się mnie przyjąć, ale mieszkalam z nimi tylko przez kilka lat.

– Co z resztą rodziny?

– Nic. Moi dziadkowie nadal mieszkali w Missouri, w miejscowości o nazwie Anderstown, o czym dowiedziałam się od ciotki. Poinformowała mnie, że umarli kilka lat temu. Mam też wujka Billy’go. Chyba był w wojsku i zapewne już zakończył służbę. Ale tak naprawdę nie mam pojęcia. Nigdy mnie to nie interesowało. To byli dla mnie obcy ludzie.

Do tej pory historia Remmi zgadzała się z tym, co Settler już wiedziała. Uznała, że zatrzyma dla siebie informacje na temat Didi Storm i pozwoli wygadać się jej córce, żeby przekonać się, czy jej opowieść odbiega od znanych faktów. Jak na razie Remmi Storm nie kłamała. Kiedy Settler zapytała ją o dziecko, o przyrodnie rodzeństwo, Remmi ją poprawiła i powiedziała, że tak naprawdę było dwoje dzieci, chłopiec i dziewczynka, którzy niedługo skończą dwadzieścia jeden lat. Jeśli przeżyli, staną się pełnoletni. Rozmowa na temat brata i siostry wyraźnie ją smuciła. Twierdziła, że jedno z bliźniąt, dziewczynka o imieniu Ariel, zostało z ojcem na pustyni. On, co prawda, sądził, że zabiera chłopca, za którego zapłacił ćwierć miliona dolarów. Chociaż, jak się później okazało, zapłacił głównie podrobionymi banknotami. Chłopiec został z Remmi, a następnie został wykradziony przez Senecę Williams, położną, która także zniknęła. Remmi obawiała się, że dziewczynka umarła na pustyni, kiedy samochód, którym przyjechał jej ojciec, wyleciał w powietrze.

– Nie wiem dokładnie, co stało się tamtej nocy – przyznała. – Słyszałam strzały, widziałam eksplozję. Później od policji dowiedziałam się, że był tam pewien chłopak na motocyklu. Noah Scott. Został także postrzelony. Zanim jednak zdolali go przesłuchać, uciekł ze szpitala. Jak to się wszystko łączy? Nie mam pojęcia.

– Gdzie jest teraz Noah Scott? – zapytała Settler.

– Nie wiem.

– Zaginęło wówczas mnóstwo ludzi.

– Istotnie – zgodziła się Remmi. – A teraz... – Zamilkła na chwilę, po czym głośno westchnęła. – Zanim przejdziemy dalej, wydaje mi się, że powinniśmy się dowiedzieć, czy ofiara jest moją matką. W przeciwnym razie to wszystko nie ma sensu.

– Mam zdjęcia.

– Chcę zobaczyć ciało. – Remmi wyraźnie się spięła. Zacisnęła szczęki. Błysk determinacji w jej oczach nie pozostawiał wątpliwości, że nie da się jej zbyć i że podejrzewa, iż Settler, a może policja w ogóle, zechce zrobić ją w konia.

– Jest pani pewna?

– Jak najbardziej.

– Muszę być z panią szczerą. To nie będzie łatwe. Ciało nie jest w najlepszym stanie.

– Rozumiem. Byłam tam i rzuciłam na nią okiem, zanim policjanci odsunęli tłum. Zakładam, że musicie wiedzieć, czy ta kobieta to Didi. I że zdaje sobie pani sprawę z tego, że jestem w stanie rozpoznać własną matkę.

Albo i nie. Settler znalazła kilka zdjęć zrobionych na miejscu zdarzenia, zanim ciało samobójczyni zostało zbadane przez medyków. Jej falbaniasta różowa sukienka pomarszczyła się wokół talii. Kobieta miała przekrzywioną platynową perukę, jej ręce i nogi leżały pod dziwnymi kątami. Pod ciałem zbierała się kałuża krwi. Jedna strona jej ślicznej twarzy pozostała w nienaruszonym stanie. Ta druga została roztrzaskana pod wpływem zderzenia z podłożem, Settler podała Remmi dwa najmniej makabryczne ujęcia.

Remmi gwałtownie wciągnęła powietrze i wyraźnie się wzdrygnęła. Zbladła jak ściana, ale zacisnęła zęby i zmusiła się do przyjrzenia się zdjęciom.

– Dlaczego ludzie to robią? – wyszeptała. Po czym dodała: – Nie wiem. Nie widzę na tych zdjęciach.

– A ubrania? Czy ta sukienka była częścią kostiumu, kiedy naśladowała Marilyn Monroe?

– Rzeczywiście tak wygląda, ale na pewno istnieją dziesiątki, może nawet setki takich sukienek.

– A peruka?

– Co mam o niej powiedzieć? To peruka z krótkimi blond włosami. Mama miała takich kilka.

– Podpisywała je?

– Tak sędzę.

Dani podała jej inne zdjęcie, na którym widniało wnętrze peruki z imieniem i nazwiskiem Didi Storm wykaligrafowanym charakterystycznym, zaokrąglonym charakterem pisma.

Remmi popatrzyła na fotografię. Przełknęła ślinę.

– To jej podpis. Oznaczała wszystkie swoje rzeczy niezmywalnym markerem. I śmiała się, mówiąc mi, że kiedy zostanie sławna, wszystkie jej rzeczy z podpisami będą warte fortunę. – Odchrząknęła i dodała: – Ktoś jednak mógł ją kupić na eBayu lub w jakimś sklepie z pamiątkami. Zanim odeszła, sprzedawała niektóre swoje rzeczy. Ubrania, które przestała nosić, gdy odświeżała swoją garderobę. Sprzedawała rzeczy lub zastawiała je w lombardzie, kiedy potrzebowała pieniędzy, co niestety zdarzało się dość często. – Zaciśnęła usta, patrząc na zdjęcie peruki. – Macie ją tutaj?

– Tak, jeśli jeszcze jej nie ma w magazynie dowodów, niedługo się tam znajdzie. Jak tylko technicy z nią skończą. Podobnie ubrania i rzeczy osobistego użytku.

– Chciałabym je zobaczyć.

– Oczywiście – obiecała Settler. – Obejrzy je pani, kiedy tylko do mnie dotrą. – Przecież nikomu to nie zaszkodzi?

– Chciałabym się przekonać, czy naprawdę należały do niej – powiedziała Remmi. – Znam jej podpis i wygląda na autentyczny, i... – Pokręciła głową, jakby chciała pozbyć się natrętnych myśli. Następnie oddała zdjęcia i spojrzała Settler prosto w oczy. – Dlaczego ktoś miałby to zrobić?

– Przebrać się za Marilyn Monroe i skoczyć?

– Przebrać się za moją mamę naśladującą Marilyn Monroe. Nie tylko ubrania wyglądają jak te z garderoby mojej mamy. Proszę spojrzeć na jej lewą rękę. – Wskazała na zdjęcie. – Na palcu serdecznym znajduje się pierścionek należący do mojej mamy i, co więcej, paznokieć pomalowany jest na czarno. To był jej znak rozpoznawczy. Nie Marilyn Monroe, a przynajmniej tak mi się wydaje. Jeśli mama kiedykolwiek malowała wszystkie paznokcie na czarno, na przykład na

Halloween, ten palec malowała na pomarańczowo lub czerwono. Ten paznokieć miał zawsze inny kolor. – Powoli wypuściła powietrze z płuc i dodała: – Naprawdę muszę ją zobaczyć. Tę kobietę, która skoczyła. Dla siebie. Muszę wiedzieć, czy to na pewno moja mama. Zerknęła na Settler. – Dam radę – stwierdziła bez emocji, a detektyw zastanowiła się, co jeszcze ta kobieta widziała, że może mieć taką pewność, że da radę obejrzeć połamane ciało, które może należeć do jej matki.

Dani potaknęła, ale wzięła telefon, bo nagle przestała wierzyć Remmi i zamierzała ją sprawdzić. Kto wie, co to za świruska? Choć jej instynkt od początku podpowiadał, żeby jej wierzyć. A w sprawie matki? Settler faktycznie nie wierzyła, że martwa kobieta to Didi Storm, więc pora się o tym przekonać.

Stawką był domek w Cabo. Marzenie ściętej głowy.

ROZDZIAŁ 14

– To nie jest moja matka. – Remmi poczuła ulgę, odwracając się od ciała leżącego na wózku. Większość krwi z ran na ciele została usunięta, a twarz pozostała nie-
tknięta z jednej strony, co wystarczyło, by mogła stwierdzić, że kobieta leżąca pod prześcieradłem nie jest jej matką. – To nie Didi.

Wyszła na korytarz i odetchnęła głęboko, ale nadal czuła się tak, jakby zapach śmierci przylgnał do jej nozdrzy. To wszystko było wytworem jej wyobraźni, powiedziała sobie, kobieta nie była martwa na tyle długo, aby z ciała unosił się charakterystyczny zapach. Poza tym ciało leżało w zimnej kostnicy. To wszystko już ją przytłaczało. Razem z detektyw Settler i jej partnerem Martinezem wyszła z kostnicy. Jej żołądek wykonał salto. Rozejrzała się wokół, oceniając rosnące tu krzewy, ale nie zwymiotowała. Jedynie podparła się ręką o chłodną ścianę budynku i stanęła na chwilę w mżącym deszczu.

– Dobrze się pani czuje? – zapytała Settler.

Remmi się wyprostowała.

– Oczywiście, że nie. – Co za głupie pytanie. Kiedy szok związany z widokiem martwej kobiety minął, w jej umyśle pojawiło się mnóstwo wątpliwości. – Ta kobieta tam – wskazała palcem drzwi budynku – nie jest moją matką. Ale była ubrana w sukienkę Didi i jej perukę. Kim ona jest? Dlaczego skoczyła z tego cholernego parapetu? Co ma wspólnego z mamą? – zapytała. Pytania wręcz z niej wpływały. – To musi być jakoś związane z książką, prawda? To nie może być zbieg okoliczności. – Deszcz moczył jej twarz i włosy, ale zupełnie się nim nie przejmowała. Nie potrafiła sobie wyobrazić, dlaczego ktoś miałby przebrać się za Marilyn Monroe, wykorzystując sukienkę Didi i jej perukę, stanąć na gzymsie i skoczyć z ogromnej wysokości na ziemię.

– Nie wiemy.

– Musi być jakiś powód, dla którego to wszystko się teraz dzieje – stwierdziła Remmi, ocierając rękawem deszcz z twarzy. – Ktoś za tym stoi.

– Domyśla się pani kto? – zapytała detektyw Settler.

– Zapewne ktoś związany z tą cholerną książką – zauważyła Remmi. – Tak jak powiedziałam, widzę tu zbyt wiele zbiegów okoliczności. – Oczywiście, że miała

pewne podejrzenia, ale nie miała dowodu. Wobec tego nic o nich nie wspomiała. Dopóki nie dowie się więcej, nie zdradzi swoich podejrzeń niepodpar- tych dowodami.

Pożegnała się z detektywami i przeszła w deszczu trzy przecznice do swojego samochodu. Założyła kaptur płaszcz a i powiedziała sobie, że jutro, choćby się waliło i paliło, porozmawia z agentką Maryanne Osgood i dowie się, kim naprawdę jest autorka książki. Tyle na początek. Być może zaprowadzi ją to doni- kąd, ale musiała coś zrobić. Usłyszała za sobą kroki, obejrzała się w tył i za zas- łoną deszczu zobaczyła kilka osób. Ciemne, rozmyte deszczem kształty podąża- jące za nią. Mężczyźni lub kobiety, nie potrafiła powiedzieć; wszyscy byli ubrani na czarno, szaro lub granatowo w parki i płaszcze.

To jest miasto, takie rzeczy się zdarzają. Nic się nie dzieje, to tylko inni przechodnie.

Mimo wszystko poczuła dreszcz na plecach, który nie miał nic wspólnego z zimną pogodą. Przyspieszyła kroku, ponownie oglądając się za siebie i uświa- damiając sobie, że została za nią już tylko jedna wysoka postać. Była przekonana, że to mężczyzna. Na dodatek też przyspieszał kroku.

To nic takiego. Nic. Spiesz się, bo pada.

Mimo wszystko przebiegła truchtem pozostałe pół przecznicy do miejsca, gdzie zaparkowała swój samochód. Pilotem otworzyła drzwi i wsiadła za kierow- nicę, po czym zatrzasnęła drzwi za sobą. W chwili gdy drzwi subaru się zamknęły, wcisnęła przycisk zamka centralnego i wypuściła powietrze z płuc.

Przestań zachowywać się jak paranoiczka.

Ignorując swoją własną radę, uruchomiła subaru, wcisnęła pedał gazu i wyje- chała z parkingu, w momencie gdy ulicą przejeżdżała ciężarówka, która ostrze- gawczo zatrąbiła. Ominąwszy ją o włos, popędziła w dół ulicy. Dodała gazu. Jedną oponą wjechała w kałużę. Z dudniącym sercem wyrównała koła.

– Nic się nie dzieje, nic się nie dzieje – powtarzała sobie, ale nie spuszczała oka z lusterka, gdy włączyła się do ruchu. Nie byłaby w stanie stwierdzić, czy ktoś ją śledzi, ale czuła się bezpieczniej pomiędzy innymi samochodami, autobusami, ciężarówkami i furgonetkami, niż gdyby miała pieszo przemierzać ulice miasta.

Zamiast jechać prostą drogą, Remmi krążyła po mieście. Przejechała nawet przez Golden Gate Park, po czym wreszcie wjechała na wzgórze prowadzące do jej domu w pobliżu Mount Sutro. Raz czy dwa była przekonana, że jedzie za nią czarny lub ciemnoszary SUV, ale nie miała stuprocentowej pewności, ponieważ auto trzymało się z tyłu, a potem zniknęło.

Z głośno bijącym sercem gwałtownie skręciła w lewo, wjechała w boczną uliczkę, po czym wycofała i ruszyła w przeciwną stronę. Nie pojechał za nią ża-

den SUV ani inny pojazd. Westchnęła. Skąd u niej taka paranoja? Stąd, że kobieta, która wyglądała jak jej mama, wykonała samobójczy skok i zginęła na jej oczach. To ją wytrąciło z równowagi. Tak, to było niepokojące. Ale z pewnością nie oznaczało, że ktoś za nią jeździ.

To tylko jakiś dziwny zbieg okoliczności?

Próbując uspokoić oddech, co chwilę spoglądała w lusterko, żeby mieć pewność, że nikt jej nie śledzi. Jechała w górę stromej, wijącej się drogi do dwupiętrowego domu w stylu American Craftsman, wzniesionego na szczycie wzgórza.

– Wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej – wyszeptwała, wjeżdżając w wąski, boczny podjazd i przed wyjściem z samochodu zaciągając hamulec ręczny. Następnie wbiegła po szerokich schodach na ganek, gdzie pozostały pojedyncze pędy dawniej bujnie rosnącego powoju zdobiącego barierkę. Jej stopy załomotały na deskach podłogowych prowadzących do dwuskrzydłowych drzwi z witrażowymi okienkami. Używając własnego klucza, by wejść do obszernego holu wielkiego domu, który został zbudowany trzy lata po historycznym trzęsieniu ziemi z 1906 roku. Od tamtego czasu przeżył kilka innych, w tym silne wstrząsy w 1989.

– Halo? – zawołał żeński głos z wnętrza, a do nosa Remmi dotarł lawendowy zapach potpourri. – Remmi? – Znajomy odgłos elektrycznego wózka inwalidzkiego Greta stanowił tło dla zadziwiająco silnego głosu kobiety po dziewięćdziesiątce. – Czy to ty?

– Wróciłam. – Odwiesiła płaszcz na wieszaku w korytarzu naprzeciw szerokiej klatki schodowej, która prowadziła na wyższe piętra, podczas gdy Turtles, nieduży kot z szylkretowym futrem, kręcił ósemki pomiędzy jej stopami. – Ja ciebie też witam – powiedziała, schylając się i głaszcząc nakrapianą główkę. Turtles był jednym z trzech niewychodzących kotów Greta i zawsze jako pierwszy witał przybyłych.

Siedząc na elektrycznym wózku, Greta Emerson przejechała pod zwieńczonym łukiem wejściem do jadalni, przemknęła przez stary perski dywan, który przykrywał drewniane podłogi holu od ponad pół wieku.

– Słyszałam! – Zatrzymała wózek w holu. – O mój Boże, czy ta kobieta, która wyskoczyła z Montmort Tower, to Didi? – Jej oczy błyszczały za pozbawionymi oprawek okularami. Chmurka niebieskawych włosów obficie spryskanych lakierem nie poruszyła się, kiedy Greta uniosła głowę. – Oglądałam lokalne wiadomości i powiedzieli, że kobieta, która wyskoczyła, była ubrana jak Marilyn Monroe, więc od razu pomyślałam o twojej matce. – Greta przez lata z różnych fragmentów ułożyła sobie historię Remmi. Częściowo dzięki temu, co opowiedziała jej Remmi, ale także za sprawą wielkiej ciekawości, wielu wolnych godzin w ciągu

dnia oraz umiejętności komputerowych, które posiadało niewiele osób w jej wieku. Istniała niewielka szansa, że Greta wiedziała więcej o zniknięciu Didi, a przynajmniej lepiej znała teorie otaczające to, co się stało z aktoreczką z Las Vegas, niż sama Remmi. Remmi podejrzewała, chociaż Greta nigdy tego nie potwierdziła, że jej pracodawczyni jest członkinią grup facebookowych i forów internetowych poświęconych nierozwiązanym zagadkom i Didi Storm. Greta Emerson była inteligentną kobietą, która przeciwstawiła się zasadom wyznawanym przez jej pokolenie i została prawniczką. Była też aktywną zwolenniczką FDR, Jacka Kennedy'ego i praw człowieka, i nie bała się wygłaszać swoich opinii. Uwielbiała Agathę Christie i wierzyła w wiele teorii konspiracyjnych. A przy tym żarliwie interesowała się matką Remmi i zagadką jej zaginięcia.

Teraz Greta wyjaśniła:

– Dziennikarka, ale nie prowadząca wiadomości, nadawała spod budynku, stojąc koło fontanny. Powiedziała, że ciało nie zostało jeszcze zidentyfikowane, lecz kobieta była przebrana za Marilyn Monroe, wyglądała jak jej sobowtór.

– To prawda.

– Byłaś w tej okolicy, tak?

Remmi potwierdziła.

– Rany boskie, chyba nie widziałaś...?

– Obawiam się, że tak.

– O, nie. O, nie. – Miała już gotowe kolejne pytanie.

Remmi odpowiedziała na nie, zanim staruszka je wypowiedziała.

– To nie była mama. To dlatego się spóźniłam. Udałam się na komisariat. Uparłam się, żeby pokazali mi ciało.

Greta pokręciła głową.

– Nie wierzę.

– Nie było łatwo. Ta biedna kobieta. Dlaczego? Po prostu nie potrafię zrozumieć, dlaczego ktoś miałby zrobić to, co... ona zrobiła.

Greta gestem dłoni poprosiła Remmi, żeby zbliżyła się do jej wózka.

– Dobrze się czujesz?

Remi usiadła na jednym z dwóch kwiatowych foteli uszaków stojących w pobliżu dużego, prawie nigdy nieużywanego kominka z szerokim gzymsem, na którym stały ramki ze zdjęciami Grety i jej rodziny.

– Nie, chyba nie – przyznała, starając się wyrzucić z głowy niepokojący widok martwej kobiety. – Ale dojdę do siebie.

– Może napijesz się gorącej herbaty?

– To na początek.

Greta uniosła brwi. Jej jasne oczy zalśniły.

– Mam whiskey.

– Dzięki, w porządku.

Nie dowierając jej, Greta podjechała do przenośnego baru. Znalazła tam zakurzoną butelkę burbona i naląła im po drinku.

– Proszę – powiedziała, trzymając szklanki z przelewającym się płynem i podjeżdżając do fotela Remmi. – Opowiedz mi wszystko, niczego nie pomijaj. – Podała szklaneczkę młodszej kobiecie, stuknęła swoją szklanką o brzeg jej szkła, po czym upiła długi łyk. – Aaah. Świetne. Mam tego więcej – rozmarzyła się, wzdychając z zadowoleniem.

Remmi sączyła drinka wolniej. Dojrzały burbon palił ją w gardło, gdy opowiadała o tym, jak ujrzała kobietę na gzymsie, jak usłyszała ludzi zastanawiających się, czy to może być jej matka, jak z przerażeniem zobaczyła, że kobieta skacze. O tym, że potem postanowiła udać się na posterunek policji i opowiedzieć swoją historię detektyw Danielle Settler. Jak upierała się, żeby pójść do kostnicy.

– A najdziwniejsze jest to... – wprawiła w ruch obrotowy bursztynowy płyn w szklance – że ofiara była ubrana w rzeczy należące do Didi. Wiem na pewno, ponieważ Didi je podpisywała. A na peruce znajdował się jej podpis. Poza tym ta kobieta, kimkolwiek jest, chciała, by ludzie sądzili, że jest Didi, nie Marilyn czy kimś innym, ponieważ zrobiła wszystko, co robiła moja mama. Włącznie z lakierem do paznokci na palcu serdecznym lewej ręki. Miała na nim inny kolor niż na pozostałych. To był znak rozpoznawczy Didi.

– Ale dlaczego? – Greta pogrążyła się w myślach, wpatrując się w pustą szklaneczkę.

– Nie wiem.

– Czy to ma coś wspólnego z tą książką? *Nie jestem sobą*, dobry Boże, co za głupi tytuł.

Remmi prawie się roześmiała.

– Sądzę, że to musi mieć coś wspólnego z tą publikacją. Bo dlaczego stało się to teraz?

Staruszka ściągnęła usta i ponownie podjechała do barku.

– Jeszcze jednego? – zapytała, spoglądając na otwartą planszę do tryktraka leżącą na pobliskim stoliku, ale wyjątkowo nie zaproponowała rozgrywki.

Remmi pokręciła głową. Alkohol rozgrzewał jej pusty żołądek. Gdy Greta naląła sobie kolejną porcję, zaczęła zadawać nurtujące ją pytania, a Remmi odpo-

wiała na nie najlepiej jak umiała.

– Czy istnieje możliwość, że ta kobieta nie skoczyła? Że ktoś jej w tym pomógł? – zapytała Greta.

– Masz na myśli, że ktoś ją zepchnął?

– Tak, zarówno w sensie fizycznym, jak i psychicznym.

– Podejrzewam, że nie dowiemy się tego, dopóki nie zostanie zidentyfikowana. Policja powinna móc stwierdzić, czy została zepchnięta. Według mnie nic na to nie wskazywało. Ale była mgła. Poza tym wisiały za nią zasłony i... – Oczyma wyobraźni ponownie zobaczyła ten przerażający skok. Wzdrygnęła się na wspomnienie głuchego łomotu, gdy ciało uderzyło w mokry asfalt. Zauważyła, że Greta się jej przygląda, więc dodała: – Mnóstwo osób robiło zdjęcia telefonami. Poza tym w hotelu wszędzie są kamery. Na razie jest za wcześnie, żeby stwierdzić coś na pewno. – Remmi zadrżała na samą myśl i uznała, że jednak napije się jeszcze jednego drinka. Wstała i przy barku nalała sobie porcję, z której od razu pociągnęła duży łyk.

– To wszystko jest takie dziwaczne – stwierdziła Greta.

A co w moim życiu nie jest?

Greta dodała:

– Musimy jak najwięcej dowiedzieć się o tej kobiecie. Z kim była związana? Kto mógł skorzystać na jej śmierci lub rozgłosie, który wywołała książka na jej temat.

– Wiem, ale nie dotarłam do biura agentki. – Dopija drinka i po raz pierwszy zauważyła dwoje złotych oczu spoglądających na nią zza poduszki leżącej na sofie. Ghost. Nieśmiały, szary kot Grety z długim ogonem, o którym mówiła, że to kot rosyjski niebieski, zawsze gdzieś się chował. – Jutro pójde tam ponownie – przyrzekła, wpatrując się w ostatnią kroplę płynu na dnie szklanki.

– Tak, jutro. – Greta także dokończyła drinka. – Postaram się coś o niej znaleźć. – Gdy Remmi udała się w stronę schodów, Greta ją zatrzymała. – Poczekaj chwilę. Chodź ze mną. – Ruszyła przez jadalnię i pokój kredensowy. Remmi po drodze złapała swój płaszcz i kroczyła za nią przez dużą kuchnię, mijając stary blok rzeźniczy pełniący rolę wyspy kuchennej. Następnie skręciła w korytarz, który ciągnął się pod schodami i prowadził do prywatnych apartamentów Grety: niewielkiego pokoju, gabinetu, sypialni i łazienki. Greta przejeżdżała już przez oszklone drzwi prowadzące do gabinetu. Zdjęła książkę leżącą na skraju dużego biurka. Pokój był wielki i przypominał bibliotekę. Od podłogi do sufitu ciągnęły się regały z książkami, a duże okno wychodziło na zarośnięte podwórze. Podając Remmi *Nie jestem sobą*, Greta rzuciła:

– Proszę, domyślam się, że dla zasady jej nie kupiłaś. Ale musisz ją przeczytać.

– Zamierzałam pójść jutro do księgarni.

– Oszczędziłam ci zachodu. – Greta postukała wypięłgnowanym paznokciem w okładkę. – Może tobie uda się odgadnąć, kto za tym stoi, bez konieczności zdobywania sądowego nakazu. – Roześmiała się i zerknęła na duże, oprawione zdjęcie poważnie wyglądającego mężczyzny, stojące na biurku, które niegdyś do niego należało. Był to sędzia Duncan Emerson, jej zmarły mąż, „miłość mojego życia, aczkolwiek nie moja bratnia dusza, cokolwiek ta bzdura miałaby znaczyć”. Turtles poszedł za nimi do gabinetu, podniósł główkę i wskoczył staruszcze na kolana.

– O, jesteś – ucieszyła się Greta i z radością pogłaskała go po grzbiecie. Kot usadowił się wygodnie i głośno zamruczał.

Remmi podziękowała za książkę. Następnie przeszła przez sypialnię Greta z widokiem na tylny ogród, żeby obejść klatkę schodową i wyjść na korytarz. Dwie drogi prowadziły do jej pokoju na najwyższym piętrze. Mogła użyć tylnych schodów dawniej przeznaczonych dla służby lub skorzystać z krętej zewnętrznej klatki schodowej zamontowanej na wypadek pożaru. W starym domostwie nie było windy, jedynie skrzypiąca winda do transportu dań z kuchni, której nikt nie używał w tym wieku. Minęła równie nieużywane pokoje gościnne na pierwszym piętrze i wspięła się po schodach do pokoju, który zajmowała przez prawie pięć lat.

Położyła na ławie otrzymaną od Greta książkę. Następnie zbliżyła się do okien, żeby wyrzec przez mokrą szybę liczącą sobie ponad sto lat. Widok z drugiego piętra był niesamowity. Na wschodzie rozciągała się zatoka i migoczący światłami półwysep. Widać było też Pacyfik ciągnący się aż za ciemny horyzont. Ta ogromna stara posiadłość była dla niej domem, którego nie miała, odkąd dwadzieścia lat wcześniej opuściła Las Vegas. W międzyczasie mieszkała w wielu miejscach, głównie spelunach. Od czasu do czasu miała współlokatora, ale po latach spędzonych u ciotki i wuja wolała mieszkać sama.

ROZDZIAŁ 15

Remmi usiadła na kanapie i zaczęła wspominać czas, kiedy mieszkała z rodziną Gibbsów. Nienawidziła tego z całego serca.

Od samego początku ciotka Vera zmuszała ją do uczestnictwa w cotygodniowym czytaniu Biblii, które odbywało się w środowe wieczory, a także do chodzenia na msze w niedziele, podczas których musiała wysłuchiwać najnudniejszych w świecie kazań.

Pewnego razu Remmi popełniła błąd i zasugerowała, że wolałaby raczej uczęszczać do kościoła bezwyznaniowego, na co ciotka Vera prawie wyszła z siebie. Kiedy Remmi stwierdziła, że to przecież wszędzie jest jeden i ten sam Bóg, ciotka niemiłosiernie ją zbeształa i kazała trzymać się rodziny, wiary i małego kościoła, w którym wilebny Weber, „nasz przyjaciel”, odprawiał nabożeństwa.

Przypomniała sobie coś jeszcze. Było późne lato i ciotka Vera nalegała, aby Remmi nauczyła się tego, co nazywała podstawami. Oznaczało to przygotowanie Remmi do prowadzenia domu, czym sama się zajmowała, jakby wciąż były lata pięćdziesiąte. Remmi wcale się to nie podobało.

Jednego wyjątkowo gorącego popołudnia ciotka zaczęła zaprawiać brzoskwinie. Stała przy piecu, jak zawsze, i ochoczo dzieliła się swoimi mądrościami.

– Twoja matka – powiedziała – była hedonistką. Interesowało ją tylko to, co sprawiało jej przyjemność lub w czym dobrze wyglądała. Nigdy nie myślała o niczym i nikim oprócz siebie.

– To nieprawda – zaoponowała Remmi. Siedziała na rozklekotanym stołku w kącie kuchni i przygotowywała nalepki na słoiki. Przy okazji zerknęła za okno na bezchmurne niebo. Z kąta rozciągał się widok na podjazd, czyli dwie równoległe linie betonu prowadzące do zapadającego się garażu, w którym wujek Milo trzymał stary sportowy samochód znajdujący się w stanie rozkładu i leżący na popękanej cementowej podłodze.

Podczas gdy Remmi próbowała nie marzyć o znalezieniu swojej matki i ucieczce z tego miejsca, ciotka Vera pocila się nad kotłem w ciapki zajmującym największy palnik na kuchence, z którego unosiła się para. Na zewnątrz temperatura sięgała trzydziestu pięciu stopni. Nie było ani odrobiny wiatru. Trawnik

zbrązował, żółtła trawy spłwiała od kalifornijskiego słońca. Suche jak pieprz krzaki i drzewa rosnące wzdłuż podjazdu już straciły liście. Zbyt mały klimatyzator ponownie się zepsuł i ciotka Vera czekała, raczej niecierpliwie, aż wujek Milo wróci ze swojej ostatniej podróży biznesowej i go naprawi.

– Mamie na mnie zależy – ciągnęła Remmi, ocierając pot zbierający się na jej czole. Jedna kropelka spadła na etykietkę, nad którą właśnie pracowała, i rozmazała słowa napisane czarnym markerem. Nastolatka zgniotła nalepkę w ręce i zacisnęła pięść. – I na dzieciach. Kocha je. Naprawdę! Wróci. Coś musiało się jej przydarzyć. – Ale minął już ponad rok odkąd Didi wyjechała z Las Vegas w stanie wzburzenia.

– Och, skarbie.... – Ciotka Vera spojrzała na nią przeciągle ponad ramieniem. – Może powinnaś pogodzić się z faktem, że ona nie...

– Wróci – upierała się Remmi, powstrzymując łzy. Nie rozplacze się przy ciotce. Nie pozwoli sobie na to. I ani przez chwilę nie będzie myślała, że Didi umarła. Ta potworna myśl często przenikała do jej głowy, ale dziewczyna ją ignorowała. Nie chciała jej uprawomocnić. Nawet nocą, kiedy myśli stawały się ciemniejsze, pojawiały się złe przeczucia, niosąc ze sobą koszmary. Sny miała mroczne i brutalne. Śniły jej się eksplozje wstrząsające cichą pustynią, kule ognia sięgające rozgwieżdżonego nieba, krew sącząca się przez przestrzelone siedzenie białego cadillaca, dziecko płaczące gdzieś w ciemności i głośno szlochające, podczas gdy Remmi nogi miała ciężkie jak ołów i nie mogła go znaleźć.

Na razie udało jej się upchnąć smutek i obawy gdzieś głęboko w sercu. Przyrzekła sobie, że nigdy ich nie ujawni. Nawet wtedy, kiedy z krzykiem budziła się zlaną potem po tych potwornych koszmarach.

– Ona wróci – powtórzyła uparcie.

Ciotka Vera westchnęła nad buchającym parą słoikiem.

– Możliwe – zgodziła się, chociaż w jej głosie brakowało przekonania. – Mam jednak na myśli to, że Edwina nigdy nie wzniosła się ponad to, co materialne, to, co tu i teraz. Niezależnie od tego, czy to akceptujesz czy nie, twoja mama była narcyzem z głową w chmurach. Gdzie była, kiedy nasza mama zachorowała na raka? Hmm. I kiedy tata próbował związać koniec z końcem, gdy groziła mu utrata farmy? Czy Edi się zainteresowała? Nie. Nie zamierzała porzucić swojego dzikiego, celebryckiego życia, nieprawdaż? – Zamilkła, żeby zdmuchnąć grzywkę opadającą jej na oczy i wytrzeć kroplę potu spływającą z czoła na brodę. – A twój wujek nie był wiele lepszy. Oczywiście go nie znasz, ale wujek Billy był taki jak Edie. W liceum ciągle imprezował, a gdy skończył szkołę, od razu się zaciągnął do wojska. Uciekł od rodziny. Kiedy miał przepustkę, rzadko wracał do domu,

uwierz mi. Wrócił dopiero wtedy, gdy został postrzelony w Iraku i w biodrze utknął mu odłamek. Wówczas zainteresował się rodziną. A przynajmniej tym, co zostało z farmy. To prawie zabiło mamę. – Prychnęła, po czym dodała: – Edie i Billy nie mieli ani krzty rozsądku i ani odrobiny życia duchowego!

Remmi od razu zaczęła bronić Didi.

– Mama chodzi do kościoła w Boże Narodzenie i Wielkanoc. I kilka razy poszła do wróżki.

– O mój Boże. – Vera się skrzywiła. A na łańcuszku na szyi miała srebrny krzyżyk. Lśnił na jej dekolcie. Jej skóra błyszczała od potu. Była ubrana w bluzkę bez rękawów i szorty. Blond włosy spięła w krótki kucyk. Na stopy włożyła klapki.

Remmi wcześniej zaproponowała, żeby poczekały na chłodniejszy dzień. Vera jednak warknęła i przypomniała jej, że brzoskwinie są już „gotowe” i nie może ryzykować, że się zepsują.

– Nie marnuj, a nie będziesz w potrzebie – wygłosiła swoją mądrość i zaczęła wekowanie.

Remmi jej pomagała. Obrala dziesiątki brzoskwiń. Ciotka Vera zajmowała się kąpielą wodną, napełnianiem słoików syropem i połówkami owoców, które następnie wkładała do dużego kotła. Chyba do niej dotarło, jak zabrzmiała, bo gdy tylko wstawiła słoiki do wrzątku, odwróciła się do Remmi.

– Nie powinnam być taka krytyczna. To niesamowite, jak ci się to udało. No wiesz. Miałaś dobre oceny i pracę, mając za jedynego rodzica Edwinę i jej... nietypowy styl życia. Nawet gdy pojawiły się dzieci. Zdołałaś otrzymać stypendium i nie wpakować się w kłopoty.

To miały być przeprosiny, ale Remmi nie wiedziała, jak na nie odpowiedzieć. Zanim cokolwiek wymamrotała, na przykład „w porządku” czy „wiem, że ty i mama się nie dogadywałyście”, przez otwarte okno do środka wdarł się głośny warkot silnika. Na podjazd wjechał zakurzony stary jeep z wielkimi oponami. Wrangler z otwartą paką przywiózł sześciu roześmianych i rozgadanych nastoletnich chłopaków. Jej kuzyni, Jensen i Harley, stali w tyle, trzymając się po-przecznego wspornika.

– O rany – wyszeptała Vera, gdy jej synowie zaskoczyli z paki. W chwili gdy ich nagie stopy zetknęły się z ziemią, kierowca wrzucił tylny bieg, opony zabuksowały, silnik zaryczał, po czym jeep wyjechał na ulicę i szybko się oddalił.

Jensen i Harley bez koszulek, z dzinsami zwisającymi nisko na biodrach, wbiegli do domu. Wokół nich unosił się zapach wypalonych papierosów i wypitego piwa. Jasnowłosy Jensen był szczupły i wysoki. Delikatny meszek zaczynał wygrywać z trądzikiem na jego twarzy. Młodszy o półtora roku Harley zarażał

swoją energią. Miał nieujarzmione, kręcone brązowe włosy, nieco zbyt duży nos, który być może w przyszłości mógł dopasować się do jego twarzy, i głęboko osadzone wiewiórcze oczy, które sprawiały, że zawsze wyglądał tak, jakby coś ukrywał. Co zresztą było prawdą. Nastolatkwowie próbowali ukryć, że pili alkohol, więc szybko przeszli przez kuchnię, ale Jensen szedł zygzakiem, a Harley wpadł na szafkę i zachichotał. Następnie wyszedł za bratem na krótki korytarz prowadzący do ich wspólnego pokoju, który dzielili, odkąd Remmi się do nich wprowadziła. Harley deptał Jensenowi po piętach i szybko zamknął drzwi.

– Wy dwaj, wychodzić stamtąd! – wrzasnęła Vera. Nadal trzymała szczypce, których używała do przestawiania słoików w gorącej wodzie. – Słyszycie mnie? – Ale oczywiście oni już jej nie słyszeli, ponieważ zza drzwi pokoju dobiegała głośna muzyka heavymetalowa. – Czekaj tylko, aż wróci ich ojciec – powiedziała, cedząc słowa przez zaciśnięte usta. – Obedrze ich ze skóry!

W tej chwili włączył się alarm, wobec czego posłała ostatnie, niechętnie spojrzenie w stronę korytarza. Rozprostowała ramiona i skupiła uwagę na słoikach w kąpielni wodnej.

– Nie ujdzie im to płazem – mruknęła pod nosem, sięgając szczypcami do koła. Wierzchem dłoni dotknęła przy tym krawędzi gorącego garnka.

– Aua, Boże drogi. Auć, auć. – Wciągnęła powietrze przez zęby, upuściła szczypce, które zanurzyły się we wrzącej wodzie. Drugą ręką ujęła poparzoną dłoń. – Na miłość Świętego Piotra, Remmi, natychmiast wyjmij te słoiki. Z tysiąc razy widziałas, jak to robię. – Zanim Remmi zdołała coś odpowiedzieć, Vera podeszła do lodówki, otworzyła drzwi zamrażarki i wyjęła tackę z lodem.

Krzywiąc się z bólu, zdołała wyjąć kilka kostek z plastikowej tacki. Wpadły do zlewu, więc chwyciła je i przyłożyła do poparzonej skóry.

– Chyba nie wiem jak... – broniła się Remmi, ale już zerwała się na nogi.

– Po prostu je wyjmij. Pospiesz się. Bo będą do niczego. – Oczy Very wypełniły się łzami. Remi nie wiedziała, czy to łzy bólu czy frustracji, że cała jej dzisiejsza praca obróci się wniwecz, jeśli siostrzenica nie weźmie się w garść.

Najszybciej jak umiała, Remmi znalazła drewnianą łyżkę. Wyłowiła szczypce z wrzącej wody i owinąwszy je ściereczką, jeden po drugim wyjmowała słoiki, starając się żadnego nie upuścić i nie rozbić.

– Pospiesz się – ponaglała ją Vera.

Wtedy otworzyły się drzwi i rozległ się ogłuszający riff gitarowy, po czym drzwi znowu się zamknęły i pojawił się Jensen.

– Głodny jestem – wymamrotał i podszedł do lodówki. Wtedy po raz pierwszy jego spojrzenie padło na matkę. – Wszystko dobrze?

– A czy wyglądam dobrze? – warknęła. – Nie.

Otworzył lodówkę, zajrzał do środka i odwróciwszy się przez ramię, zapytał:

– Co się stało?

– Sparzyłam się. Głupio się stało.

– Dlaczego nie włożyłaś rękawiczek?

– Przecież powiedziałam, że się głupio stało. Och, na miłość boską, bo nie sądziłam, że się poparzę. – Przewróciła oczami i mocniej ujęła śliskie kostki lodu, podczas gdy Jensen, pozornie nieprzejęty obrażeniami Very, nadal grzebał w wyładowanej lodówce. Gdy Remmi skończyła wyjmowanie słoików w stanie nienaruszonym, chłopak wyszukał sobie jakąś wędlinę i słoiki z musztardą i majonezem, po czym zabrał z blatu pół bochenka chleba. Nożem, który znalazł w zlewie, nakroił chleba na trzy kanapki. Rozsmarował musztardę i majonez na wszystkich sześciu kromkach, następnie na grubej warstwie dodatków położył kilka plasterków kiełbasy bolońskiej.

– Bo nie zjesz obiadu. – Vera wrzuciła do zlewu topiący się lód.

Nie ma na to szans. Remmi zatrzymała tę myśl dla siebie. Ciotka Vera mogła narzekać na swojego męża i synów, ile chciała, i to było w porządku, ale gdy Remmi ośmieliła się z nią zgodzić, Vera gasiła ją z pasją i szybkością grzechotnika. Remmi nauczyła się trzymać język za zębami, ale to ją zabijało, ponieważ była przyzwyczajona do tego, by mówić, co myśli.

– Będziecie mieli z bratem kłopoty. – Vera zwróciła się do Jensena.

– A to dlaczego?

– Mielicie wrócić do domu dwie godziny temu. Poza tym mieliście iść popływać, prawda?

– Byliśmy.

– Aha, pływaliście w alkoholu i papierosach. – Dosłownie wypluła te słowa, jakby one same były skażone.

– To nieprawda.

– A zatem... zatem w trawce.

– W trawce? – Na twarzy Jensena pojawił się uśmiech.

– W maryśce. Nie wiem, jak tam teraz nazywacie marihuanę. Czy też skrety.

– Ależ mam, jesteś taka... – Wzruszył ramionami i złożył kromki kanapek. Żółta musztarda obficie wypłynęła bokami. – Melodramatyczna. Uspokój się. Wyluzuj.

– Chyba sobie żartujesz?! – Jakoś udało jej się krzyknąć przez zaciśnięte zęby, gdy Jensen z trzema kanapkami w jednej ręce wyszedł na korytarz i uciekł do

swojego pokoju. – To niesprawiedliwe – jęknęła Vera, rzucając siostrzenicy wrogie spojrzenie. – Niesprawiedliwe.

I chyba miała rację, pomyślała teraz Remmi. Ale co w życiu było sprawiedliwe? Cały ten kit, który rodzice wciskają swoim dzieciom o „sprawiedliwości”, nie przekłada się na dorosłe życie, o czym każdy w końcu się przekonuje. Remmi cieszyła się, że uciekła z większością, jeśli nie wszystkimi pieniędzmi, które zaoszczędziła i ukryła. Odkąd wyprowadziła się od Gibbsów i zaczęła studia, zajmowała byle jakie mieszkania. Tak samo w pierwszych latach po szkole. Czasami miała współlokatorów, ale zwykle wynajmowała je sama. Nienawidziła się tłumaczyć i mówić o swojej przeszłości. Gdy mijały tygodnie, miesiące i lata bez żadnej wiadomości od Didi, jej nadzieje na ponowne zobaczenie matki uschły i umarły. Aż do teraz. Ożyły tutaj, w San Francisco. Dziwne. Wszystkie stare uczucia porzucenia, strachu, złości znowu wydostały się na powierzchnię. Chciała je od siebie odsunąć. Przynajmniej na razie. Odkąd na nowo wybuchło zainteresowanie sprawą Didi, potrzebowała chłodnej głowy, żeby móc dowiedzieć się, co stało się z matką, czy wciąż żyje, czy może umarła. By rozwiązać zagadkę, która przylgnęła do niej jak całun.

Rozejrzała się po mieszkaniu, które teraz było jej domem i z którego roztaczał się fantastyczny widok. Zimą bywało tu chłodno, a latem gorąco, ale to było najmiłsze miejsce, jakie kiedykolwiek zamieszkiwała. Wszystko to dzięki Grecie Emerson.

Remmi poznała Gretę wiele lat temu, gdy pracowała jako księgową w małej firmie. Greta była jej klientką. W tamtych czasach Remmi nadal chodziła do college’u. Przez lata zbliżyły się z Gretą, co było trochę dziwne. Ale Remmi wytłumaczyła to sobie faktem, że Greta nie miała rodziny, jako że nigdy nie doczekała się dzieci i wnuków. Jakiś czas potem, gdy Remmi ukończyła studia, biuro rachunkowe, w którym pracowała, zmieniło właściciela. A sędzia, jak Greta nazywała swojego męża, zmarł po latach walki z chorobą serca. Wówczas starszuszka uznała, że nie chce zajmować się utrzymaniem domu i nieruchomości na wynajem, które były w jej posiadaniu. Wobec tego zatrudniła Remmi jako swoją osobistą asystentkę. Greta nie chciała zawracać sobie głowy szukaniem ludzi do prowadzenia domu i zajmowania się ogrodem, więc zaproponowała Remmi pracę. Wypłacała jej pensję oraz dawała dach nad głową. Obowiązki Remmi zwiększyły się, gdy Greta doznała wylewu. Wówczas musiała znaleźć dla niej opiekunki i kierowcę, by starszuszka nigdy nie zostawała sama w swoim ukochanym domu. Ten układ pasował obu kobietom. I wszystko dobrze się układało, dopóki nie ukazała się książka i nie doszło do tego samobójstwa.

To było bez precedensu.

I co z tą książką? Dlaczego jej publikację i autorkę otaczała taka tajemnica? Czy autorka desperacko pragnęła pozostać anonimowa i ukrywać się za pseudonimem? A może był to jakiś chwyt reklamowy wymyślony przez wydawcę, żeby podbić zainteresowanie starą, nierozwiązaną sprawą? A ten zbieg okoliczności, że kobieta wyskoczyła z budynku, w chwili gdy przechodziła tamtędy Remmi?

Zmusi się do przeczytania książki dziś wieczorem. Greta ma rację, mogą w niej być odpowiedzi, jakieś wskazówki co do tożsamości osoby, która ją napisała. A może dowie się, dlaczego ta osoba poczuła przymus odgrzebania dwudziestoletniej tajemnicy? Dlaczego ktoś miałby udawać, że jest Didi, a nawet zameldować się w hotelu pod nazwiskiem D. Storm, a potem się zabić?

Zastanawiała się, czy pójście na policję było dobrym rozwiązaniem. Prawdopodobnie nie, ale musiała wiedzieć, czy to jej matka wykonała samobójczy skok.

To nie Didi skoczyła.

A przynajmniej nie dzisiaj w San Francisco z gzymsu Montmort Tower. Ale to wciąż nie dawało odpowiedzi na pytanie, gdzie jest. Czy żyje? Czy umarła? Remmi przejrzała skromną zawartość małej lodówki i zdecydowała, że na kolację zje ser i krakersy. Zaniosiła talerz do salonu, nalała sobie kieliszek wina i usiadła na kanapie z książką zatytułowaną *Nie jestem sobą: nieopowiedziana historia Didi Storm*.

ROZDZIAŁ 16

Deszcz skapywał z kaptura kurtki i spływał po twarzy Dani Settler, kiedy przebiegała dwie ostatnie przecznice do swojego mieszkania, które składało się z jednej sypialni na pierwszym piętrze budynku wzniesionego w połowie XX wieku. Latarnie rozświetlały chodnik, okna domów emanowały ciepłym światłem, w niektórych nawet pojawiły się już świąteczne lampki.

Ciężko oddychała, otwierając frontowe drzwi, ale gdy znalazła się w środku, i tak wybrała schody. Brała po dwa stopnie naraz i utrzymywała szybkie tempo, aż stanęła na swoim piętrze. Energicznie podeszła do drzwi mieszkania.

Gdy weszła do środka, powitał ją głośny skowyt i pełen entuzjazmu mały mops.

– Hej, powoli. Ja też cię kocham, Earl. – Gdy piesek zaskamlał, kręcąc się w koło, niespiesznie zapewniła go, że jest „dobrym pieskiem” i go wygłaskała, po czym nasypała mu jedzenie. Kiedy pochłonął suchą karmę z miseczki, zdjęła smycz wiszącą na haczyku i związała ją razem z obrozą we wzór panterki na jego szerokiej piersi. – Teraz wyglądasz super – stwierdziła i wyszli na szybki spacer po okolicy. Skierowali się do małego parku oddalonego o kilkaset metrów, co było wystarczającą odległością, by pies zażył dawki ruchu, a ona mogła ochłonąć po biegu.

– Chodźmy – powtarzała przy każdej latarni, drzewie i hydrancie, które koniecznie musiał obwąchać lub oznaczyć poprzez podniesienie tylnej łapy. Zazwyczaj uwielbiała tę część swojego repertuaru ćwiczeń, kiedy zaczynała normalnie oddychać, a Earl truchtał przy jej nodze. To ją uspokajało po długim dniu, w którym mierzyła się ze śmiercią, papierologią, kłamiącymi świadkami i współpracownikami na miarę Teda Vance’a. Dzisiaj jednak ze względu na nową sprawę samobójstwa nie była w stanie zostawić pracy w biurze, gdzie powinna była zostać.

No cóż, tak naprawdę chyba nigdy jej się to nie udawało. Każdą komórką swojego ciała była detektywem.

Przyznaj to, Dani, jesteś pracoholiczką, mieszkającą z psem, zamiast z mężem i statystycznie przypadającymi na rodzinę dwojgiem i połową dziecka.

Od studiów nie miała nawet stałego chłopaka... Może nigdy nie będzie go miała? Ta myśl ją nieco przygnębiała, ale Dani nie miała nic przeciwko życiu z Earlem. Przynajmniej nie musiała podnosić z podłogi jego bokserek ani myć umywalki z resztek jego zarostu. Zastanawiała się, czy jej nieumiejętność życia w stałym związku wynika z faktu, że została porwana przez prawdziwego świra, kiedy miała dwanaście lat. Każdego dnia obawiała się o swoje życie i zaciekle walczyła z zabójcą. Może to doświadczenie uformowało ją w osobę, która unikała poważnych związków. A może stało się to za sprawą jej ojca, Trávisa, który wówczas był singlem, ale później ożenił się z Shannon i miał z nią kilkoro dzieci. Dani zawsze chciała mieć rodzeństwo, ale rodzina ją zawiodła, bo zamiast przygarnąć ją do siebie, jeszcze bardziej się od niej zdystansowała. Gdy miała piętnaście lat, interesowała się przede wszystkim sobą, nie ciekawił jej dwulatek ani noworodek.

Nigdy nie wyszła za mąż i zrywała każdy związek, zanim miał szansę zmienić się coś poważniejszego. Naturalnie wiedziała, w czym rzecz. Uczęszczała na zajęcia z psychologii na studiach, więc mogła się sama zdiagnozować i zrozumieć, że ma problem z zaufaniem. Wielkie mi mecyje. Odkąd została uprowadzona, chciała zostać policjantką i skupiała się na pracy w służbach porządkowych. Zainteresowanie psychologią było tylko tymczasowe i skończyło się po drugim roku studiów.

I oto teraz mieszkała z mopsem, który dosłownie wskoczył do jej życia i do jej serca.

– Jest dobrze – powiedziała na głos. Z jej ust unosiła się para. Spojrzała w dół na Earla, który właśnie szykował się do biegu w górę szerokich schodów w ich kamienicy. Wyrwał do przodu i podskakiwał na każdym stopniu. Musiała przyspieszyć, żeby za nim nadążyć. Pościg trwał na samą górę, wzdłuż krótkiego korytarza. Aż wreszcie znaleźli się za drzwiami mieszkania. Earl z przyklapniętymi czarnymi uszkami wciąż biegał, dopominając się o nagrodę. Znalazłszy się w środku, zdjęła mokre buty do biegania, przetała ręcznikami psa, dała mu ciasteczko, po czym rozebrała się i weszła pod gorący prysznic.

Dziesięć minut później, widząc przylepiony do zaparowanej szyby nos mopsa, wytarła się ręcznikiem i włożyła piżamę, bowiem miała nadzieję, że na ten dzień skończyła z pracą. Jako detektyw nigdy nie mogła być tego pewna, bo wiele przestępstw, którymi się zajmowała, popełniano i odkrywano w środku nocy.

Chociaż próbowała nie myśleć o pracy, sprawa samobójstwa wciąż do niej wracała. Dlaczego ofiara znajdowała się w Montmort Tower i była ubrana jak Marilyn Monroe, a raczej, jak twierdziła Remmi Storm, jak jej matka? I dlaczego skoczyła?

Przynajmniej poznała odpowiedź na pytanie, kim była samobójczyni. To nie była Didi Storm. Tuż przed wyjściem z pracy udało się dokonać identyfikacji odcisków palców. W bazie policyjnej ofiara widniała jako Karen Upgarde, czterdziestosiemioletka z Seattle. Kelnerka i barmanka, która nigdy w życiu nie przebierała się za sobowtóra, a przynajmniej nikt o tym nie wiedział. Upgarde była rozwiedziona, nie miała dzieci ani rodzeństwa. I na koncie miała dwa zatrzymania za jazdę pod wpływem alkoholu.

Martinez porozmawiał z biurem szeryfa hrabstwa King i przesłał mailem informację o tej sprawie. Jakiś nieszczęsny oficer z wydziału szeryfa został wysłany do bliskich, aby poinformować o jej śmierci. W tym przypadku to była jej matka, osiemdziesięcioletnia kobieta, która mieszkała w domu opieki w Kirkland w stanie Waszyngton.

Settler szybko zebrała dane na temat ofiary, ale na pierwszy rzut oka Karen Upgarde w żaden sposób nie była związana z Didi Storm ani żadną bliską jej osobą. Jedynym powodem, dla którego jej dane znajdowały się w bazie policyjnej, były jej wcześniejsze wykroczenia. Zdjęto jej odciski palców i umieszczono je w ogólnokrajowej bazie. Upgarde dwa razy próbowała popełnić samobójstwo, za każdym razem podczas krótkotrwałego małżeństwa. Zawsze sięgała po tabletki, po czym poddawano ją płukaniu żołądka. Mąż znajdował ją w chwili, gdy traciła przytomność. Pracowała jako kelnerka. Uwielbiała drinki i karaoke. Znana była z tego, że nosiła ekstrawaganckie ubrania, chociaż nigdy nie przebierała się za celebrytów, przynajmniej na pierwszy rzut oka. Dani stwierdziła, że jutro pogrzebie w jej w życiu głębiej i postara się lepiej poznać ofiarę. Według bazy policyjnej ostatnio jechała pod wpływem jedenaście lat temu. Od tamtej pory nic na nią nie mieli. Nie wchodziła w konflikt z prawem.

Jak na razie.

Wciąż mieli dużo czasu, pomyślała Settler, odgrzewając resztki taco, które kiedyś kupiła na ulubionym stoisku z jedzeniem znajdującym się pomiędzy jej mieszkaniem a stacją. Odezwał się brzęczyk mikrofalówki, więc ostrożnie zanośła parujący talerz z małej kuchni do wąskiego salonu, gdzie czekał już Earl. Merdał ogonem w oczekiwaniu na przynajmniej jeden kęs.

– Obzartuch. – Zaśmiała się, siadając w ulubionym fotelu, kupionym jeszcze na studiach w sklepie z używanymi meblami. Podniosła pilota do telewizora, żeby włączyć wiadomości. Jej mieszkanie było małe, ale funkcjonalne, umeblowane rzeczami z drugiej ręki, jako że czynsz w mieście był niebotyczny, a Settler oszczędzała na własne mieszkanie, które, jak stwierdziła, będzie mogła sobie kupić dopiero wtedy, gdy jakiś nieznaną, bogaty krewny zapisze jej małą, a jeszcze

lepiej dużą fortunę. Prawie parząc usta o stopiony ser, jednym okiem zerkała w telewizor i pałaszowała lekko rozmokłą tortillę.

Earl zaszczekał głośno. Nie odrywał wypukłych oczu od jej talerza.

– Jak skończę, dobra? Będziesz mógł wylizać talerz!

Miała tego mopsa od ponad dwóch lat. Pewnego jesienno wieczoru uprawiała jogging i niemal wpadła na pulchnego, małego psa z zakręconym ogonkiem. Potknęła się, ale nie upadła. Następnie, bojąc się, że pies wpadnie na ulicę, wzięła go na ręce, a on polizał ją w twarz, jakby już byli najlepszymi przyjaciółmi. Próbowwała znaleźć jego właścicieli. Pukała od drzwi do drzwi, sprawdzała u miejscowych weterynarzy i w towarzystwie opieki nad zwierzętami, dawała ogłoszenia w sieci, schronisku, na policji, w każdym miejscu, które przychodziło jej do głowy. Ale nikt się po niego nie zgłosił. Mops nie miał numerku ani chipa. Był sierotą, która zadomowiła się wygodnie w jej mieszkaniu i szybko odnalazła drogę do jej serca. Teraz nawet z nią spał. Kiedyś zarzekała się, że nigdy nie będzie miała psa, że to zbyt wielka odpowiedzialność. Na własne oczy widziała, ile to kosztuje wysiłku, jako że jej macocha hodowała psy, które zostawały opiekunami osób niepełnosprawnych.

Niemniej Earl był teraz jej psem.

Skończyły się ogólnokrajowe wiadomości i zaczęły wiadomości lokalne. Wtedy zadzwonił jej telefon. Podniosła go i sprawdziła ekran. Policja z Las Vegas. Odebrała i okazało się, że dzwoni do niej detektyw Lucretia Davis.

– Przepraszam, że dzwonię tak późno – zaczęła Davis zaraz po tym, gdy się przedstawiła. – Ale wyjeżdżam z miasta, a widziałam, że potrzebuje pani informacji na temat Didi Storm i jej zaginięcia.

– Wszystkiego, co macie.

– Okej. Ta sprawa jest stara i zamknięta. Bardzo bym chciała, gdyby w końcu została rozwiązana, jako że pracowałam nad nią z detektywem Kendrickiem, który przeszedł kilka lat temu na emeryturę. Poprosiłam już, żeby przyniesiono teczki z archiwum. Kiedy wrócę za parę dni, wyślę pani wszystko, czego potrzebujecie. Większość informacji znajduje się w archiwum komputerowym, bo wtedy już przestawiliśmy się na używanie komputerów. Wobec czego jeszcze dzisiaj wieczorem prześlę wszystko, co mam w formie cyfrowej.

– Byłoby świetnie. – Dani odstawiła talerz na podłogę, a Earl zaczął zlizywać resztki. Ona natomiast wyjęła z najbliższej szuflady notes i długopis.

– Ta cała sprawa nas sparaliżowała. Panował totalny bałagan. Tak to się przedstawiało. Dzień lub dwa przed zgłoszeniem jej zaginięcia na pustyni wybuchł pożar i doszło do eksplozji. Proszę sobie wyobrazić, że ogień bił wysoko w niebo.

Nigdy czegoś takiego nie widziałam. Kiedy straż ugasiła to piekło, znaleźliśmy wypalony wrak samochodu. To był mustang. W środku było ciało. Ofiarą był mężczyzna. Prawdopodobnie miał ponad sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu. Nie udało nam się dopasować do niego żadnych kart dentystycznych, więc nigdy nie został zidentyfikowany. Nie pasował też do żadnych zgłoszonych zaginięć. Sprawdziliśmy samochód i okazało się, że został wynajęty w niewielkiej agencji w Victorville. Wypożyczalnia była firmą rodzinną, ale nie pamiętam jej nazwy. Będzie w aktach. Wypożyczył go Brandon Hall. Miał prawo jazdy wystawione w Kalifornii i kartę kredytową Visa, jeśli dobrze pamiętam. Nic jednak nie wskazywało na to, żeby istniał naprawdę. W wypożyczalni w tamtym czasie nie mieli jeszcze kamer.

– Dziwna sprawa.

– A i owszem, nawet jak na tamte czasy. Może właśnie z tego powodu wybrał tamtą wypożyczalnię.

Settler zanotowała to sobie.

– Odkryliśmy też, gdzie wynajął pokój tutaj w Las Vegas. Kilka miesięcy wcześniej mieszkał w hotelu, który znajdował się w pobliżu Strip. Brandon Hall zameldował się tam, używając dowodu tożsamości na to samo nazwisko. Spędził tam kilka tygodni. I właśnie tam, o ile nam wiadomo, mógł się spotykać z Didi. Dowód tożsamości był fałszywy, nic nam to nie dało. W hotelu mieli kamery, ale mężczyzna cały czas odwracał głowę bądź nosił czapkę z daszkiem i okulary przeciwsłoneczne, co nie jest tam niczym nadzwyczajnym, więc nikt nie wszczął alarmu.

– Celowo ukrywał swoją tożsamość?

– Tak założyliśmy. Adres, który podał, znajdował się gdzieś w Los Angeles. I był tym samym adresem, który widniał na fałszywym prawie jazdy. Kiedy sprawdziliśmy, okazało się, że nigdy nie mieszkał tam ktoś taki jak Brandon Hall. A zdjęcie na dokumencie, tak jak wspomniałam, nie pasowało do żadnej zaginionej osoby. Ślepy zaułek. Ale cała ta sprawa była złożona ze ślepych zaułków. Jeżeli ciało w samochodzie należało do tego Brandona Halla, nie byliśmy w stanie tego potwierdzić.

Settler zapisała nazwisko w notesie, podczas gdy Davis nadal opowiadała. Straciwszy zainteresowanie, Earl poszedł do kuchni, gdzie stała jego miseczka z wodą.

– I to była tajemnica numer jeden – powiedziała Davis.

– Czyli było ich więcej.

– Największą była ta dotycząca Didi. Według jej dzieciaka, Didi wyjechała następnego wieczoru lub dwa dni później. Minęło już sporo czasu i nie pamiętam szczegółów, ale córka zeznała, że matka chciała się z kimś rozprawić, gdyż uważała, że została oszukana. Chodziło o jakąś dużą sprawę.

– Słyszałam o tym – przyznała Settler. – Dzisiaj rozmawiałam z Remmi Storm.

– A więc opowiedziała pani o wymianie dziecka na pieniądze?

– I o zamianie niemowląt, dziewczynki na chłopaka.

– No właśnie, o to chodzi. Narodziny bliźniąt nigdzie nie zostały zarejestrowane. Zgłosiła tylko jedno dziecko, chłopca Adama. Został zarejestrowany przez Didi Storm i jej asystentkę, kobietę, która prawdopodobnie była położną i nazywała się Seneca Williams. Nigdzie nie zarejestrowano drugiego dziecka. Nie znaleźliśmy na jego temat absolutnie nic. Żadnego noworodka o imieniu Ariel. Pani Williams również zniknęła. Jakiś dzień czy dwa po zaginięciu Didi. Według Remmi Storm, Seneca Williams zabrała ze sobą drugie dziecko, chłopca Adama. Ale uznawaliśmy to za wątpliwe, ponieważ wiadomo nam tylko o jednym noworodku. Czy Didi naprawdę urodziła bliźniaki? Czy zabrała jedno dziecko ze sobą tej pierwszej nocy? Jeśli tak, to co się z nim stało? I o co chodzi z tą Senecą Williams? Co się stało z nią? Nie było jej w naszych bazach. Nie znaleźliśmy wystawionego na to nazwisko prawa jazdy ani numeru ubezpieczenia społecznego. Czy znajdowała się w kraju nielegalnie, a może posługiwała się fałszywym nazwiskiem? Świadkowie twierdzili, że ją widzieli, ale nie mogliśmy odnaleźć nikogo, kto był z nią blisko, więc kto wie?

– W spalonym samochodzie nie znaleźliście śladów obecności dziecka?

– Nic nie wskazywało na to, że tam było, co rzuca cień na tę całą historię opowiedzianą przez Remmi. Kendrick zarzucił to dziewczynie, ale Remmi Storm upierała się przy swojej wersji. Twierdziła, że wie, co się stało. A przynajmniej widziała większość ze swojej kryjówki w specjalnie przerobionym bagażniku cadillaca należącego do Didi, przestrzeni znajdującej się pomiędzy bagażnikiem a tylnym siedzeniem. Didi przechowywała tam rekwizyty potrzebne do swoich występów. Didi była tancerką rewiową, która wcielała się w inne postaci, śpiewała, tańczyła i pokazywała sztuczki magiczne. Nigdy jej nie widziałam na scenie, nigdy jej nie poznałam. Nie miałam w ogóle pojęcia o jej istnieniu, dopóki nie zgłosiła się do nas Remmi i nie złożyła zeznań.

– Nie wierzyliście jej? Remmi?

Davis zamilkła na chwilę. Settler usłyszała charakterystyczne kliknięcie zapalniczki, następnie wciągnęła powietrze, co wskazywało na to, że kobieta zapalała papierosa.

– Nie do końca. Pamiętam, że krążyliśmy wokół tej sprawy, próbując stwierdzić, co wydarzyło się naprawdę, a co nie. Mogliśmy mieć jednego świadka, chłopaka, który jeździł motocyklem po pustyni tamtego wieczora i został postrzelony. Ale wyszedł ze szpitala, zanim zdołaliśmy go przesłuchać. Nazywał się Scott jakiś tam! Albo jakoś podobnie... Nie, Scott to było jego nazwisko. On też rozplynął się w powietrzu. Nigdy go nie znaleźliśmy.

– Został postrzelony? – Tego Settler nie wiedziała, więc zanotowała jego nazwisko i wzięła je w kółko, żeby pamiętać, że Scott był jeszcze jednym świadkiem. Wtedy do pokoju wrócił Earl, spojrział na nią i przekrzywił głowę.

– Miał szczęście, że przeżył. Wielkie szczęście. Wydaje nam się, że został postrzelony prosto w szyję.

Uwaga Dani poszybowała w górę. To była poważna sprawa.

– Przez kogo?

– Dobre pytanie. Bez odpowiedzi. Sądzymy, że osoba, która go postrzeliła, strzeliła także do mustanga i spowodowała pożar baku paliwa, co z kolei doprowadziło do wybuchu. Na to wskazują łuski. Wszystko znajduje się w raporcie. – W miarę mówienia w jej głosie pojawiało się coraz więcej frustracji. – Do dzisiaj nie jesteśmy pewni, co naprawdę wydarzyło się tamtej nocy i kim był prawdziwy cel. Facet w samochodzie? Dzieciak na motocyklu? Didi? A może nawet ktoś wiedział, że Remmi kryje się w bagażniku. Ale według niej cadillac Didi wyszedł z tego bez szwanku. Nie miał żadnych dziur po kulach, czego oczywiście nie możemy potwierdzić, jako że nikt oprócz Remmi nie widział samochodu po tamtej nocy. To mniej więcej wszystko, co pamiętam o tej sprawie. Kiedy córka Didi przyszła zgłosić zaginięcie matki, wysłuchaliśmy tego, co miała do powiedzenia. Nigdy jednak nie byliśmy w stanie połączyć wszystkich kropek. Nie wiedzieliśmy, ile w jej historii jest prawdy, a ile rzeczy postanowiła zatrzymać dla siebie. Zarówno Kendrick, jak i ja, mieliśmy przeczucie, że wie więcej, niż mówi. Ale nie potrafiliśmy sprawić, żeby się otworzyła. Dodatkowo była nieletnia, a jej matka zaginęła. Opieka społeczna umieściła ją w jakiejś rodzinie. Zamieszkała z ciotką, chyba w Kalifornii, chociaż Remmi wcześniej nigdy jej nie poznała. – Kolejne głośne zaciągnięcie się papierosem i Davis kontynuowała swoją opowieść: – Sprawdziliśmy wszystkich znajomych Didi, do których zdołaliśmy dotrzeć. Kilka przyjaciółek, ludzi, z którymi pracowała, jej szefa, który powiedział, że Didi sugerowała, że niedługo będzie przy forsie. Że dostanie dużo pieniędzy, a kiedy to się stanie, będzie mogła porzucić tę robotę. A przynajmniej tyle wyczytał pomiędzy słowami. Wysnułam z tego wniosek, że ich relacja wcale nie była taka dobra.

– Byli ze sobą?

– Powiedział, że nie, ale według mnie to taki osobnik, który kłamie na zawołanie. Przynajmniej takie odniosłam wrażenie.

Z chłodnego tonu głosu Davis Settler wywnioskowała, co kobieta myśli o tym facecie.

– Da się go znaleźć?

– W tym samym klubie. Adres będzie w raporcie.

– Zbadaliście jej związki z mężczyznami?

– Miała ich wiele. Mężczyznom podobało się to, co widzieli. I wszystko wskazuje na to, że oni jej się też podobali, chociaż nie potrafiła utrzymać żadnego związku. Według ludzi, którzy ją znali, oba jej małżeństwa okazały się burzliwe. Mieliśmy nadzieję, że znajdziemy ojca dziecka lub dzieci, ale okazała się płonna. Dwaj byli mężowie wydawali się niezwiązani ze sprawą, ale nie wiadomo na pewno. No więc ostatecznie śledztwo zostało zamknięte. Zamrożone na kość.

– Aż do teraz.

– Może aż do teraz. To się dopiero okaże. Tak jak powiedziałam, ciało mężczyzny w samochodzie nigdy nie zostało zidentyfikowane. Do dzisiaj nie wiemy, kim był. Zaginęły cztery osoby lub pięć, w zależności od tego, czy wierzy się w istnienie bliźniaków: Didi Storm, Seneca Williams, chłopak od Scottów i przynajmniej jedno dziecko, Adam Storm. A co jeszcze dziwniejsze, a przynajmniej dodaje sprawie niesamowitości, to fakt, że według córki Didi pojechała tym rzucającym się w oczy samochodem. Jego także nigdy nie odnaleziono. Cadillac z lat pięćdziesiątych to potężna maszyna jak na obecne standardy. Trudno byłoby nie zauważyć takiego pojazdu.

– Lub się go pozbyć. – Settler myślała na głos.

– No właśnie – zgodziła się jej rozmówczyni. Następnie kończąc rozmowę, dodała: – No więc, jeśli nie ma pani żadnych pytań, będę lecieć. Muszę jeszcze wykonać kilka telefonów, zanim zacznę się pakować, ale prześlę, co mogę, dzisiaj wieczorem. I wydobędę z archiwum wszystkie dowody. Kiedy wrócę, odezwę się znowu.

– Brzmi dobrze – odparła Settler, po czym się rozłączyła. A Earl uznał to za znak, że może wskoczyć jej na kolana. – Twardy orzech do zgryzienia – westchnęła, drapiąc go po uszach. – Ale rozwiążemy tę sprawę, prawda? – Mops ponownie przekrzywił głowę. – No dobrze, ja ją rozwiążę. – Podniosła talerz i w połowie drogi do kuchni usłyszała piknięcie telefonu sygnalizujące, że dostała nowego maila. Jedno spojrzenie wystarczyło, by się przekonać, że obietnica detektyw Davis nie była bez pokrycia, ponieważ kobieta już przesyłała jej pliki prosto

z Las Vegas. Z ich wielkości wywnioskowała, że będzie miała co czytać przez cały wieczór.

Trzy godziny po rozpoczęciu lektury otrzymanej od Greta książki pod tytułem *Nie jestem sobą* Remmi zatrzasnęła tom i wstała z kanapy. Dużo faktów się zgadzało. Mogły zostać skopiowane z Internetu. Ale ta część książki, która dotyczyła czasów poprzedzających o jakieś dziesięć lat zniknięcie Didi, jej wcześniejsza historia, była napisana raczej pobieżnie. Czas, gdy Didi nazywała się Edwina Hutchinson i mieszkała w Anderstown w Missouri w małej rolniczej społeczności położonej piętnaście kilometrów w od trasy międzystanowej 44, mniej więcej w połowie drogi pomiędzy Saint Louis i Springfield, został opisany skrótowo. Chociaż autorka wypełniła pewne luki, w tym nazwę szkoły, która nazywała się szkołą średnią w Anderstown i szczyciła się drużyną Terrific Titans. Szkolnymi kolorami były szkarłatny i biały. W pewnym sensie dla Remmi nie były to nowe informacje. Po prostu nigdy nie zagłębiła się wystarczająco w historię matki z czasów, zanim ta stała się Didi Storm. Przebywanie pod jednym dachem z Gibbsami zabiło w niej wszelką ciekawość.

Ale teraz uzbrojona w szczegóły na temat młodości Didi, Remmi zabrała książkę do drugiej sypialni przerobionej na gabinet. Pod oknem, co prawda, stała kanapa, ale nigdy nie była używana. W kącie pokoju Remmi postawiła biurko i otoczyła je książkami i księgami rachunkowymi oraz przyborami biurowymi leżącymi w koszykach i pudełkach na otwartych półkach. Miała tam też komputer z dużym monitorem. Obecnie ekran zasłaniał Romeo, duży kot rasy maine coon, jeszcze jeden pupil Greta. Rozsiadł się przed monitorem, długim, lekko drgającym ogonem zasłonił klawiaturę i patrząc na Remmi, nastroszył uszy.

– A tobie się wydaje, że kim jesteś? – spytała retorycznie, bo doskonale wiedziała, kim jest: głową domu. Nie miał zamiaru się przesunąć. Jedyne przeciągnął się i ziewnął, ukazując różowy język i ostre zęby. – A jasne, rozumiem. Ale posze-fuj sobie gdzie indziej, dobrze? – Zaniosła go na legowisko przy oknie i położyła na wypłowiałej poduszce. – Twój własny, prywatny widok na miasto i... – Słowa zamarzy jej w gardle. Gdy spojrzała w dół na ulicę, zobaczyła stojący pod najbliższą latarnią ciemny pojazd, jakiegoś SUV-a.

Poczula ucisk w sercu. Znała samochody, które zwykle parkowały w tej okolicy, i ten do nich nie należał. Zgasiła za sobą światło i wyjrzała, próbując sprawdzić, czy ktoś siedzi w środku. Ale nie była w stanie zajrzeć do zaciemionego wnętrza.

Masz paranoję. Dlaczego sądzisz, że ktoś cię śledzi?

Mimo wszystko na jej rękach pojawiła się gęsia skórka.

Dom jest bezpieczny, przypomniała sobie. Nikt nie może wejść bez klucza. A jednak podeszła do zewnętrznych drzwi prowadzących na przerobione schody pożarowe i sprawdziła zamek.

Zamknięty.

Kot poszedł za nią krótkim korytarzem obok jej sypialni i cicho, ostrzegawczo prychnął, sprawiając, że podniosły się włoski na jej karku.

– Wszystko dobrze, Romeo – wyszeptała. W odpowiedzi kot popatrzył na drzwi i zasyczał. Następnie szybko schował ogon pod siebie i pobiegł w stronę głównych schodów.

Remmi sprawdziła także tamten zamek, po czym wróciła do gabinetu i ponownie wyjrzała przez okno na ulicę.

Ciemny SUV już odjechał.

Wydawało się jej, że słyszy melodię tej samej starej piosenki, którą usłyszała przy Montmort Tower, gdy tamta kobieta wyskoczyła z okna.

Światelko małe mam,

Niech świeci dzisiaj nam.

Zmroziło jej krew.

Skąd dochodziła?

Ale nie, już jej nie słyszała. Piosenka musiała pojawić się nieoczekiwanie w jej głowie. Jako wspomnienie. Przyczepiła się do niej, chociaż wcale o niej nie myślała.

Patrząc przez okno na ciemną, spokojną noc i widząc swoje własne, blade i zniekształcone odbicie, wciąż powtarzała tę melodię. Refren nieustannie kołał się jej po głowie.

ROZDZIAŁ 17

Następnego dnia rano Remmi wstała, rozsunęła rolety i wyrzała na zewnątrz. Nie było SUV-a. Miejsce, na którym stał wcześniej czarny pojazd, teraz było puste. Suchy chodnik ukazywał zarys samochodu, który wcześniej tam parkował. Ale mógł to być ktokolwiek. Patrzyła przez okno. Czy Kierowca powrócił?

– Przestań – powiedziała na głos. Nie chciała pozwolić na to, żeby zawiązały się nerwy. Miała zbyt wiele do zrobienia.

Dzień był pochmurny i ciemny. Nie niósł obietnicy błękitnego nieba, chociaż na chwilę przestało padać. Remmi przyglądała się kilku łódkom żeglującym po zatoce. Samochody już korkowały mosty, gdy kobieta się przeciągała i powtarzała sobie, że to będzie lepszy dzień.

Musiał być.

Kiepsko spała, śniła o kobietach ubranych w jaskrawe stroje, krzykliwe niczym klauny wersje Didi w przesadzonym makijażu i poszarpanych, cekinowych sukniach. Leciały po niebie i szeptały: „Nie jestem sobą, nie jestem sobą”. Jednak nigdy nie spadały na ziemię. Zamiast tego wszystkie te kobiety, przebrane za różne bohaterki z repertuaru Didi, unosiły się, robiły piruety, opadały, wznosiły się w powietrzu ponad zatoką i mostem Golden Gate. Didi jako Cher, Madonna czy Marilyn Monroe wirowała nad najwyższymi budynkami. A potem zaczęły śpiewać tę piosenkę, którą Remmi pamiętała z dzieciństwa. Śpiewały ją wysokim sopranem należącym do Didi, coraz głośniej i głośniej. Ich usta szeroko się otwierały, jakby były marionetkami.

Niech świeci! Niech świeci! Niech świeci!

Obudziła się przerażona. Jej serce biło w tempie miliona uderzeń na minutę. Sen się oddalił, gdy uświadomiła sobie, że znajduje się we własnej sypialni, jest rano, a ona wciąż nie wie, czy jej mama żyje, czy też umarła.

– Kawy – wyszeptwała, przeciągając się. Wyszła z łóżka, otworzyła drzwi. I wtedy do pokoju wbiegł Romeo, aż podskoczyła ze strachu. – Dużo kawy – do dała oschle.

Wciąż myśląc o swoim śnie, kolejne trzydzieści minut spędziła biorąc prysznic, ubierając się w dzinsy i sweter, czesząc włosy w luźny kok. Nigdy nie przeje-

mowała się makijażem, wobec czego pociągnęła tylko usta błyszczkiem i pomalowała rzęsy. Wzięła pożyczoną od Greta książkę i zeszła na dół do głównej kuchni, gdzie w szklanym dzbanku już parzyła się kawa, wypełniając powietrze ciepłym aromatem arabiki.

Greta też już wstała. Ubrała się w spodnie, sweter i kamizelkę. Miała także makijaż i kolczyki. Siedziała z otwartym iPadem i rozwiązywała krzyżówkę z „New York Timesa”, co było stałym punktem jej porannej rutyny.

– Dzień dobry – przywitała się, nie podnosząc głowy, zajęta wklikiwaniem odpowiedzi.

– Dobry. – Remi położyła książkę na stole obok iPada Greta. Wtedy zauważyła, że dzbanek już się wypełnił ciemnym naparem. – Kawy?

– Oczywiście.

Remmi naląła go do dwóch kubków, a tymczasem Beverly, jedna z trzech kobiet, które zajmowały się domem i potrzebami Greta, wyszła ze znajdującej się na dole pralni i zdjęła z blatu kilka mokrych ręczników.

– Czy chce pani coś jeszcze dzisiaj wyprać?

– Prześcieradła? – zapytała Greta.

– Już się wyprały, teraz się suszą – odparła Beverly. – Założyłam świeże. – Była wysoka i zwinna, przekroczyła już pięćdziesiątkę, często się uśmiechała, miała ciemne oczy, rudawe, krótko obcięte włosy, które zaczęły lekko siwieć. – Następne idą ręczniki. Zatem mowa o praniu *numero dos!* – Uniosła dwa palce, dumna z siebie, ponieważ próbowała nauczyć się hiszpańskiego.

Greta dostosowała się do niej i odpowiedziała:

– *Gracias.*

– *De nada* – rzuciła, kierując się do wyjścia, ale Remmi ją zatrzymała.

– Zaczekaj. Wiecie może, czy któryś z sąsiadów ma nowy samochód?

Wzruszając ramionami, Beverly odparła:

– Nie mam pojęcia. – Pokręciła głową i dodała: – Czemu pytasz?

– Po prostu jestem ciekawa. Widziałam czarnego albo granatowego SUV-a zaparkowanego przed naszym domem. Nigdy wcześniej tu nie stał.

– Może przyjechał w gości? – poddała Greta. – Do sąsiadów. Albo do dzieciaków Olsenów tam na rogu. – Palcem wskazała kuchenne okno znajdujące się nad zlewem. – Ich dzieci są teraz na studiach. No wiem, trudno uwierzyć. Gdy chodziły do liceum, zawsze przyjeżdżały tu różne samochody. Czasami stały przez całą noc. Co wkurzało niektórych mieszkańców uważających, że parking należy do nich. Teraz ich średnia córka studiuje na uniwersytecie stanowym i często

wpada niezapowiedziana. Gdzieś tutaj mieszka jej chłopak, którego nie akceptują jej rodzice. Dziewczyna ma do niego tylko trzy godziny jazdy. W sumie chyba mniej, gdy nie ma się jeszcze dwudziestu jeden lat i spieszy się na spotkanie z chłopakiem.

Z dołu dobiegł sygnał alarmu.

– Lepiej pójde, nie chcę, żeby powstały zagniecenia – wyjaśniła Beverly, po czym zniknęła w korytarzu prowadzącym na schody do piwnicy, w której stały pralka i suszarka.

– Przeczytałaś? – zapytała Greta, poklepując okładkę *Nie jestem sobą*. Remmi podała jej jeden z kubków. Upiła łyk. – Ach, o wiele lepiej. – Z uśmiechem wpisała dwa ostatnie słowa do krzyżówki, po czym zerknęła na Remmi.

– Tak, skończyłam.

– Odpowiada prawdzie?

– Zgadza się z tym, co usłyszałam od ciotki Very, choć niewiele mi opowiadała. Jeśli mogła tego uniknąć, nie wypowiadała się na temat mamy, a ja nie naciskałam. Nie lubiłam z nią rozmawiać. O ile mi wiadomo, nigdy się nie dogadywały, nie było między nimi siostrzanej miłości.

– Też odniosłam takie wrażenie.

– Chyba nigdy nie wykroczyły poza etap rywalizacji. I cóż... W zasadzie Vera nie za bardzo lubiła mamę.

„Nie lubiła” nie do końca oddawało uczucia Very do jej młodszej siostry. Choć nigdy tego nie powiedziała, szczerze nienawidziła Didi. Remmi uświadomiła sobie, że ciotka żywiła urazę w stosunku do pogodniejszej, ładniejszej i popularniejszej siostry. Vera siebie określała jako tę „odpowiedzialną” lub „dobrą dziewczynę”, co często powtarzała, kiedy siostrzenica pytała ją o rodzinę. Vera miała doskonałe oceny, dzięki czemu dostała stypendium. Poza tym była pierwszą osobą w rodzinie, która ukończyła studia, mimo że w wieku dwudziestu lat poślubiła Mila i miała z nim dwoje dzieci. Tymczasem Edwina, Edie lub Didi, załęży, kogo się zapytało, związała z Missouri i przeniosła się do Kalifornii, ani razu nie oglądając się za siebie. A Billy zaciągnął się do wojska.

Gdzieś po drodze ciotka Vera znalazła religię i poświęciła swoje życie Bogu i Kościołowi.

Remmi pragnęła jedynie zapomnieć te dwa lata, które spędziła jako niechciany członek rodziny Gibbsów, ale fragmenty jej żałosnego życia od czasu do czasu powracały, nawet po tylu latach. To, jak ciotka Vera upierała się przy tym, aby nawrócić na chrześcijaństwo całą swoją rodzinę. Kiedy jej mąż Milo był w mieście, ciągnęła go do kościoła razem z Jensenem i Harleyem. O ile jednak

wuj jakoś był w stanie przecierpieć długie kazania, a być może nawet zbliżyć się do Boga, Remmi tego nie potrafiła, podobnie jak jej synowie, dwa diabły wcielone, które uwielbiały „imprezować” i zawsze próbowały przystawiać się do Remmi.

Nie mogła się doczekać, kiedy opuści niewielki domek w Walnut Creek. W chwili gdy skończyła osiemnaście lat, znalazła się za drzwiami. Jej szybkie i ostateczne odejście od tamtej rodziny było możliwe dzięki stypendiom, grantom, pożyczkom studenckim i pieniądзом, które zaoszczędziła, pracując w burgerowni, gdy chodziła do liceum. Wszyscy w rodzinie Gibbsów wiedzieli, że odkłada pieniądze. Nie mieli jednak pojęcia, że jej oszczędności zostały poważnie zasilone resztą z kwoty pochodzącej z pliku, który Didi zostawiła w Las Vegas po spotkaniu na pustyni.

Remmi zdołała ukryć pieniądze i była na tyle przezorna, że rozdzieliła je na dwie skrytki. W ten sposób ryzykowała podwójnie, że zostaną znalezione, ale jednocześnie zabezpieczała sobie drugą połowę, na wypadek gdyby Gibbsowie je odkryli. Gdyby rzeczywiście je znaleźli, byłiby przekonani, że mają jej cały skarbiec. Chociaż w duchu modliła się, żeby jej sekretna skrytka z nieuczciwie zdobytymi pieniędzmi nie została naruszona.

Połowę pieniędzy wsadziła do koperty, którą ukryła pod podszewką swojej walizki na kółkach, za kieszonką wypełnioną tamponami, żeby mieć pewność, że nikt w niej nie będzie grzebał. I tak też było. Drugą część wsadziła do szarej koperty, którą przykleiła taśmą do tylnej ścianki ciężkiego kredensu stojącego na ganku za domem. Stary mebel był używany do przechowywania narzędzi, puszek z farbą, nawet kafelków na wymianę, więc rzadko do niego zagładano, jeśli w ogóle. Kurz oblepiał wszystko na jego półkach. Kąty zasnuwały pajęczyny.

Wiedziała jednak, że jej kuzyni mają lepsze ręczki i będą szukać. Wobec tego umieściła kilka banknotów w bardziej oczywistych miejscach. Między innymi w swojej torebce i w szufladzie z bielizną. I oczywiście z czasem pieniądze – prawie sto pięćdziesiąt dolarów – zniknęły, zostały ukradzione. Bez wątpienia przez Jensena i/lub Harleya. Na myśl, że ci dwaj obleśni chłopcy obmacywali jej majtki, żołądek wywracał jej się do góry nogami. Ale przynajmniej sądzili, że są nad nią górą.

No i dobrze.

Wiedzieli, że pracuje i że ma jakieś swoje pieniądze, chociaż otworzyła w banku konto bieżące i oszczędnościowe. Miała jednak nadzieję, że pomyśla, że trzyma gotówkę tylko w tych dwóch oczywistych miejscach. Wpadła w szal, kiedy zniknęło jej dwadzieścia dolarów, i oświadczyła, że od tego momentu będzie

trzymała wszystkie pieniądze na koncie. Tę scenę odegrała w takim samym stopniu dla ciotki Very i wujka Miła, jak dla ich synów. Miała nadzieję, że oni również uznają, że trzyma pieniądze w jednym miejscu. Pomimo powierzchownej religijności, Vera nie miała żadnych skrupułów związanych z „pożyczaniem” od Remmi. Albo naprawdę wierzyła, że odłoży pieniądze na miejsce, albo, co bardziej prawdopodobne, tłumaczyła to sobie należnym wynagrodzeniem za opiekę nad dzieckiem swojej zaginionej siostry. Była dewotką i bogobojną kobietą, co nie zmieniało faktu, że w jej duszy mieszkała odrobina chciwości oraz spore pokłady urazy. Podobały jej się ładne rzeczy i chociaż Milo zarabiał na rodzinę, wciąż musiała od czasu do czasu żyć oszczędnie, a nie była w stanie podjąć codziennej pracy, skoro na głowie miała dom, dzieci, nastolatkę Didi i obowiązki w kościele. Nie, nie, nie, praca poza domem nie wchodziła w grę przy jej przeladowanym rozkładzie dnia.

A więc Remmi ukryła pieniądze, a potem prawie dostała wylewu, kiedy wuj Milo powrócił z cotygodniowej podróży służbowej i postanowił naprawić kilka gontów na dachu. Ciotka Vera przekonała go, by pomalował okap dachowy, skoro już zabrał się do roboty, wobec czego otworzył szafkę na ganku, żeby wyjąć z niej farbę. I wtedy znalazł się zaledwie kilka centymetrów od jej niespełna pięciu tysięcy dolarów.

Serce Remmi podskoczyło do gardła, spocily się jej dłonie, ale udawała brak zainteresowania i nadal wносиła zakupy z samochodu dla ciotki Very, która również kręciła się koło szafki.

– Na pewno gdzieś tu mam puszkę tej farby – powtarzał Milo, przedstawiając różne opakowania, patrząc na ich etykiety, a także podważając wieczka za pomocą śrubokrętu, żeby sprawdzić ich kolor. – Tu ją wstawiłem. – Milo podrapał się po trzydniowym zarostie na brodzie. Był wysoki i szczupły, nieco podstarzały od lat pracy na farmie swojego ojca w Missouri. Miał bystre, głęboko osadzone oczy, nad którymi rosły krzaczaste brwi. Włosy nosił obcięte na języka. Po domu ubierał się w stare dżinsy, buty kowbojskie i koszulki z krótkim rękawem. Gdy wyjeżdżał, wkładał eleganckie spodnie i sportową marynarkę, jako że sprzedawał sprzęt rolniczy na całym zachodzie Stanów Zjednoczonych, głównie w stanach leżących wzdłuż Pacyfiku, ale czasami także w Idaho, Montanie, a nawet na Alasce.

Gapiąc się na szafkę z farbami, Vera bawiła się swoim krzyżykiem.

– A może spadła z półki i gdzieś się potoczyła?

– A co, było trzęsienie ziemi, kiedy wyjechałem? – warknął.

– Nie, ale...

– Może te cholerne dzieciaki się tutaj bawiły. – Wyprostował się i rozejrzał wokół ganku, podczas gdy Remmi próbowała ukryć panikę. Prawdopodobnie została ujęta wraz z kuzynami w wyrażeniu „te cholerne dzieciaki”. Starając się nie okazywać zainteresowania, minęła ciotkę i wujka, którzy z powagą przyglądali się szafce. Zaczęła ponownie oddychać, kiedy wreszcie udało im się znaleźć tę konkretną puszkę farby. Jak się okazało, schowała się za jakąś większą puszką. Wtedy wujostwo przestało interesować się szafką.

Było blisko.

Nocą przed swoimi osiemnastymi urodzinami Remmi cichcem wyszła ze „swojego” pokoju i odkleiła szarą kopertę z tylnej ścianki szafki, ale odniosła wrażenie, że koperta jest cieńsza, więc w ciemności zajrzała do środka. Prawie stanęła jej serce, gdy włożyła do niej rękę i nic nie znalazła. Pusto. Ukradli jej pieniądze. *Do licha!* Oczy zapiekły ją od łez i poczuła gorzkie rozczarowanie, które szybko zmieniło się wściekłość. Pięć tysięcy dolarów poszło w cholerę.

Zrobiło jej się niedobrze, więc wyszła przez siatkowe drzwi na podwórko. Spojrzała na księżyc, na którego tle przeleciał prawie niewidoczny nietoperz. Usłyszała cichy szelest jego skrzydeł zagłuszany odgłosem przejeżdżającego pociągu. Wykluczyła możliwość, że mogłaby tu zostać choć chwilę dłużej. Wciąż miała pieniądze, które ukryła w walizce. Jakoś da radę. Będzie tylko musiała przemyśleć swoje plany i zacisnąć pasa.

Kto ją okradł? Ciepły wiatr targał jej włosy, a jej przypomniało się zdarzenie sprzed kilku tygodni. Jakiś miesiąc temu, kiedy Jensen skończył szesnaście lat, zamontował sobie nowe opony w starym samochodzie, który kupił mu wujek Milo. I jakoś udało mu się wyposażyć go w „wypasiony” sprzęt grający z głośnikami, które było słyhać dwie przecznice dalej. Pamiętała, że jego ojciec zapytał go, skąd miał pieniądze na sprzęt, opony i felgi. Jensen bez zająknięcia powiedział, że pracował w winiarni u kolegi ojca i dostał kasę na czarno, a poza tym udało mu się kupić wszystko po świetnej cenie. Wujek Milo nie kwestionował jego wersji.

Ale podczas tej rozmowy wzrok Jensena kilkakrotnie powędrował w stronę Remmi, co sugerowało, że chłopak kłamie. Wtedy Remmi sądziła, że po prostu unika badawczego spojrzenia ojca. Teraz uświadomiła sobie, że Jensen cicho triumfował, wiedząc, że ukryła pieniądze, i ciesząc się, że ją przechytrzył.

– Kutas – wyszeptwała przez zaciśnięte zęby. Wtedy ponownie przeleciał nad nią nietoperz. Zacisnęła dłonie w pięści. Miała ochotę złapać Jensena za grubą szyję i zetrzeć mu z twarzy kpiący uśmiezek. Kłamliwy złodziej!

Robiła, co mogła, żeby nie pobiec do pokoju, który dzielił z Harleyem. Bo i tak by skłamał. Nikt by jej nie uwierzył. Nawet mając pod nosem lśniące nowe koła zamontowane do starego rzęcha. Poza tym zadawali jej mnóstwo różnych pytań, chcąc się dowiedzieć, jak weszła w posiadanie tych pieniędzy i czy ma więcej. Jensen natomiast wyszedłby z tego obronną ręką i tylko by się z niej śmiał w duchu. Przyszło jej do głowy, żeby porysować mu ten cholerny samochód, pościąg ogromne opony. Nie chciała jednak robić niczego, co mogłoby zaszkodzić jej w ucieczce. Wobec tego powoli policzyła do dziesięciu, wsłuchując się w lot nietoperza, następnie doliczyła do dwudziestu, trzydziestu, aż skończyła na siedemdziesięciu pięciu.

Jensen nie był wart pakowania się w kłopoty.

Dzięki pieniądzom, które zostały jej w walizce i na koncie, wyprowadziła się z domu Gibbsów i nigdy tam nie wróciła. Zostawiła im list, w którym wyjaśniła, że już jest dorosła i wyjeżdża, i że poinformuje ciotkę Verę, kiedy gdzieś osiadzie na stałe. To było kłamstwo, jak się okazało. Nigdy więcej się z nimi nie skontaktowała.

Pewnego razu podsłuchiwała, jak Vera w rozmowie ze swoją przyjaciółką, Rebecca, żoną pastora, mówi:

– Remmi jest niewdzięczną dziewczuchą.

Tego dnia Vera miała zły humor, a Remmi nie postarała się wystarczająco, robiąc pranie. Ciotka na nią nakrzyczała, a Remmi odgryzła się, rzucając: „Och, spadaj”, co nie poprawiło jej notowań u tej rodziny.

Innym razem, przypomniała sobie, ciotka Vera zwierzała się Rebecce, że jej siostrzenica jest nieszczęsną zagubioną owieczką, na co dziewczyna aż się zagołowała, bo porównała się ze swoimi okropnymi kuzynami, z zainteresowań i aspiracji młodocianymi przestępcami, którzy ledwo przechodzili z klasy do klasy. Niemniej Vera, mówiąc ściszym głosem, niczym konspiratorka, dodała wrednie:

– No wiesz, co mogę powiedzieć? Ta jej matka, Edwina. A raczej Didi Storm. – Remmi była wtedy w innym pokoju, ale oczyma wyobraźni widziała, jak Vera pokazuje cudzysłów przy imieniu jej matki. Była wkurzona. Miała zamiar wyjść z pokoju, żeby się z nią skonfrontować. Ale zanim ochłonęła, usłyszała dalsze słowa Very: – Doskonale wiesz, że Edie była rozwiązłą kobietą, niech Bóg ma jej duszę w opiece. I oczywiście niedaleko pada jabłko od jabłoni.

Jabłko, czyli Remmi, która wtedy jeszcze nawet nie zaczęła umawiać się z chłopakami. To podniosło jej ciśnienie. Zacisnęła dłonie w pięści.

– Na całe szczęście, moi rodzice nigdy się o tym nie dowiedzieli. Ale oczywiście jestem pewna, że coś tam podejrzewali. Przecież miała dziecko, nie mając męża. Nigdy nie powiedziała, kim był. To niemal zabiło mamusię i tatusia. To byli bogobojni chrześcijanie. Byliby zdruzgotani, absolutnie zdruzgotani, gdyby wiedzieli o choćby połowie rzeczy, które wyczyniała Edie, kiedy wyprowadziła się do Kalifornii i do Vegas. W końcu nie bez powodu nazywają je Miastem Grzechu. No wiesz, przyciągało Edie jak ćmę do ognia.

– Święta z ciebie kobieta, że ją przygarnęłaś – odpowiedziała Rebecca.

– No cóż. Do tego zobowiązuje chrześcijańskie wychowanie. Zrobiłabyś to samo.

Remmi ruszyła właśnie w stronę kuchni, kiedy usłyszała, że siatkowe drzwi uderzają w futrynę, a następnie rozległ się głos wuja Mila.

– Cześć, witaj, ślicznotko.

– Ojej, Milo. Nie spodziewałam się ciebie przed piątkiem – zawołała zaskoczona Vera.

– W try miga dobiłem targu. Wszystko poszło jak po maśle. W Boise sprzedałem trzy kombajny i pięć, wyobraź sobie, aż pięć traktorów. – Był podekscytowany. A kiedy Remmi przestała podsłuchiwać i weszła do kuchni, podniósł akurat swoją żonę, stojąc obok stołu, na którym znajdowały się otwarta Biblia i plany lekcji, a także solniczka, pieprzniczka i serwetnik. Rebecca, którą Remmi nazywała panią Weber, nadal siedziała ze szklanką mrożonej herbaty w jednej ręce i ze zdziwieniem patrzyła, jak wujek Milo z powrotem stawia żonę na podłodze. Vera z zaróżowionymi policzkami powachlowała się ręką. Wuj nawet uśmiechnął się do Remmi, co zdarzało się rzadko, a następnie oświadczył:

– Będzie z tego duża premia. – Przekrzywiając głowę, dodał: – Wiesz co? Idź się wystroić. Pójdziemy dzisiaj na kolację. Tylko ty i ja. Remmi może zająć się chłopcami.

No jasne, przecież nigdy nie robili tego, co im kazała.

Przez chwilę ciotka Vera wyglądała jak nastolatka.

– Świetnie! – zgodziła się, a pani Weber podniosła swoją dużą torbę i wsadziła do niej plany lekcji.

– Bawcie się dobrze – życzyła im i pospiesznie wyszła.

Przez to Remmi nie była w stanie opowiedzieć o swoim wychowaniu i stanąć w obronie matki, wobec czego odpuściła, ale nigdy nie zapomniała tej rozmowy.

Nigdy.

ROZDZIAŁ 18

– No więc co mamy na Karen Upgarde? – zapytała Settler, siedząc za kierownicą jednego ze służbowych samochodów i wraz Martinezem zmierzając do Montmort Tower. Poranek był szary i ponury, chmury wisiały tak nisko, że spowijały wyższe budynki. Najwyższe piętra hotelu zdawały się w nich znikać. Zaparkowali na ulicy, bo parkingowy nie wiedział, co ma zrobić z policyjnym pojazdem, a zarząd hotelu nie chciał żadnych oznak obecności policji na swoim terenie. Martinez znalazł miejsce w odległości jednej przecznicy i zostawił tam crown vica.

– Nic poza tym, co wiedzieliśmy wczoraj – odpowiedział, wysiadając. Zimne powietrze od razu przeniknęło przez płaszcz Dani. Przedzierając się przez tłum przechodniów spieszących w przeciwnym kierunku, w pobliżu Montmort natknęli się na kawiarnię. Chociaż był dopiero początek listopada, okna od ulicy zostały udekorowane lampkami świątecznymi. W środku niewielkiego lokalu pachniało kawą. Settler i Martinez stanęli na końcu kolejki wijącej się wokół niewielkich stolików, przy których stali bywalcy popijali z filiżanek parującą kawę, czytając coś w swoich urządzeniach elektronicznych. Pewien starszy mężczyzna miał jednak prawdziwą gazetę, podczas gdy w rogu przy laptopie pracował przedstawiciel pokolenia milenialsów z koczkiem i w okularach w grubej oprawie. W tle słychać było świąteczne piosenki, brzdęk sztućców oraz syk ekspresu. Kolejka osób, które chciały coś zamówić, posuwała się szybko, więc po chwili policjanci siedzieli już przy stoliku w głębi, w pobliżu korytarza prowadzącego do łazienek. Martinez, jak zawsze, usiadł tyłem do ściany, żeby mieć na oku frontową witrynę i szklane drzwi.

Settler również widziała drzwi wejściowe i duże okna, lecz miała także przed sobą widok na korytarz prowadzący w głąb pomieszczenia.

– Kiedy dostaniemy badania toksykologiczne?

– Dzisiaj odbędzie się autopsja. Trochę ich pogoniłem – odparł. – Ze względu na interes publiczny.

– Szybko.

– Aha. – Na śniadanie zamówił rogała z jajkiem, szynką i maziowatym serem. Popijał go kawą ze śmietanką i cukrem, podczas gdy ona zamówiła latte na chudym mleku z artystycznie wymalowanym mostem Golden Gate na piance.

– Możemy przyspieszyć badania toksykologiczne?

Spojrzał na nią i szybko pokręcił głową.

– Potrzeba na to czasu.

– Wiem, ale chciałabym już wiedzieć, co miała we krwi. – Postukała palcami po stoliku, żałując, że nie może bardziej pospieszyć dochodzenia.

– Dowiemy się. I dostaniemy wstępne wyniki, przynajmniej na zawartość alkoholu.

Za mało, ale musiała powściągnąć swoją niecierpliwość. To zawsze było dla niej dużym wyzwaniem.

– Jest coś z hrabstwa King?

– Jeszcze nie. Wyślą nam zdjęcia i raporty. Mają jej laptop. Sprawdzają jej konta w mediach społecznościowych, Facebooka, Snapchata i inne. Nie znaleźli jeszcze jej telefonu. Zapewne miała go przy sobie. Namierzyli jednak rachunek za komórkę, nie posiadała telefonu stacjonarnego. Już skontaktowali się z operatorem, więc w ciągu tygodnia powinniśmy dostać jej bilingi. Może szybciej. Dowiemy się, z kim się komunikowała – zwracał się do Settler, lecz cały czas rozglądał się po restauracji, a zwłaszcza patrzył na drzwi, które otwierały się i zamykały, wpuszczając klientów. Ci zaś rozcierali zimne ręce i tym częściej spoglądali na szklaną witrynę z wypiekami, im bardziej zbliżali się do baristy.

Martinez, kiedy jeszcze był mundurowym, został raz postrzelony. Zdarzyło się to podczas rabunku w sklepie spożywczym, dostał kulkę w brzuch i spędził tydzień w szpitalu, a potem jeszcze kilka tygodni dochodził do siebie. Na szczęście stracił tylko część śledziony i dużo krwi. Podobnie jak prawie każdy w policji, wszędzie węszył niebezpieczeństwo.

– Mam nadzieję, że uda mi się przyspieszyć – wyznała Settler, sącząc ze swojego kubka gorącą, mleczną kawę, która rozgrzewała ją od środka. – Będę naciśkać.

– Każda sprawa wymaga pośpiechu.

– Wiem, ale mam przyjaciółkę na wysokim stołku. Liczę, że mi pomoże. Chciałabym się dowiedzieć, czy Upgarde kupiła ubrania i perukę w sieci. Może istnieje jakaś karta kredytowa lub debetowa, która wskaże nam kierunek.

– Każdy może kupić te śmieci, to jest memorabilia celebryckie. Są w Internecie, na eBayu, na Craigslist, gdzie nie spojrzysz.

– Tak, ale zwykle ludzie nie wkładają takich „śmieci”, chcąc skoczyć z dziewiętnastego piętra.

– Przekonajmy się, co może działać twoja przyjaciółka – powiedział Martinez. To była automatyczna odpowiedź. Martinez bowiem twierdził, że im bardziej się naciska, tym mocniej ludzie odpierają nacisk, i w niektórych przypadkach, jak podejrzewała, miał rację. Ale nie teraz. Jej przyjaciółka i była partnerka, Rosamie Ugali, zrobi wszystko, co w jej mocy.

Zmieniła więc temat.

– Rozmawiałam z detektyw Davis z Las Vegas. Razem ze swoim partnerem, który zdążył już przejść na emeryturę, pracowała nad sprawą zaginięcia Didi Storm.

– Sądzisz, że Storm jest z tym związana?

– Jej córka prawie mnie wczoraj przekonała. No i przecież kobieta zameldowała się jako D. Storm.

– A i owszem.

– Tak, owszem. – Była przekonana, że istnieje jakiś związek. – Z pewnością. Używała nazwiska Didi Storm jako swojego alter ego, przynajmniej w tym czasie, gdy mieszkała w hotelu. Bardzo dokładnie odtworzyła wygląd Didi, wkładając jej ubrania, łącznie z tym, że w charakterystyczny sposób pomalowała paznokcie. Więc знаła tę kobietę na wylot. I o to chodzi. Niewiele osób ją znało. Ani dwadzieścia lat temu, ani z pewnością nie teraz. Jej córka ma rację. Ukazała się nowa książka. I w sieci powstał fanklub Didi Storm. Wczoraj wieczorem sprawdziłam fanpage na Facebooku i Twittera. Jej „fani” cały czas mówią o tym, że Karen Upgarde była ubrana tak, jak ona. Kogo to w ogóle obchodzi? Kobieta w najlepszym razie była naśladowczynią drugiej klasy, no i minęło już dwadzieścia lat.

– Ale jej zniknięcie owiane jest tajemnicą.

– Powtarzam, to stało się całe pokolenie temu. I tak, z pełnym przekonaniem twierdzą, że to samobójstwo ma coś wspólnego z Didi Storm. Nie wiem jeszcze co. Kiedy sprawdzimy komputer i telefon Upgarde, może znajdziemy jakieś odpowiedzi. – Następnie opowiedziała Martinezowi o rozmowie z Davis, o wybuchu, niezidentyfikowanym mężczyźnie w spalonym samochodzie i bliźniakach. Potaknął, skończył swoje śniadanie i otarł usta, strącając kilka okruchów, które utkwily mu w bródce.

– Dlaczego tutaj? Po co Upgarde miałyby wybrać San Francisco, a nie Las Vegas? Ze względu na to, że mieszka tu jej córka? – zapytał.

Dopła swoje latte.

– Zapytam Remmi o jej zdanie. Chodź, idziemy. – Odsunęła krzesło od stolika, a Martinez poszedł w jej ślady.

Zamierzali ponownie przesłuchać pracowników hotelu, rozejrzeć się po pokoju, który Upgarde wynajęła jako D. Storm, dowiedzieć się, kto zajmował pokoje na tym samym piętrze, obejrzeć nagrania z hotelowych kamer i upewnić się, że zostaną przesłane do policyjnych techników. Już zwrócili się z apelem do społeczeństwa, by dostarczono im zdjęcia i nagrania skoku. Prośba została wystosowana przez rzecznika policji. Settler spodziewała się, że będą dziesiątki, jeśli nie setki, takich zdjęć i filmów. Miała tylko nadzieję, że ludzie oddadzą je policji, zamiast sprzedać tabloidom i innym szemranym mediom informacyjnym, które zechcą za nie zapłacić. Ale wiedziała już, że chciwość ludzka nie zna granic.

W kuchni dużego domu Greta Remmi podgrzewała bajgla w tosterze, podczas gdy Greta popijała kawę.

– Pamiętaj, dzisiaj powinniśmy zapalić lampki świąteczne.

Greta potaknęła.

– Dużo roboty. Zwykle trzeba do tego dwóch osób.

– Wiem. Zadzwoń do mnie, jeśli się nie zjawią, dobrze? Odezwę się do nich. Montaż Oświetlenia Świątecznego Krisa Kringle'a to nierzetelna firma. W zeszłym roku zjawili się dopiero w połowie grudnia.

– Nikomu nie uśmiecha się wspinanie na dach.

– Winiśz ich za to?

– Nie, ale mikołaj i renifery parkują przy kominie od pięćdziesięciu lat i dopóki będę żyła, dzieci w okolicy będą mogły się nimi cieszyć. Duncan zawsze przy nich obstawał, a ja kontynuuję tę tradycję.

– Wiem, wiem. – Remmi słyszała tę samą historię każdego roku, odkąd się tu wprowadziła. – Ale napisz lub zadzwoń, jeśli nie przyjadą, dobrze?

Zanim Greta zdołała odpowiedzieć, w drzwiach prowadzących na tylny korytarz pojawiła się, lekko zmachana, Beverly. Zajrzała i powiedziała:

– Przyniosę gazetę. Chyba już przywieźli. – Zanim ktokolwiek zdążył odpowiedzieć, wybiegła na zewnątrz na frontowe schody. Remmi usłyszała, jak otwiera i zamyka drzwi. W tej chwili toster dał znać, że jej kanapka jest już gotowa. Uważając, żeby nie poparzyć palców, przełożyła bajgla na talerz. Wtedy wróciła Beverly.

– Proszę bardzo! – Beverly położyła złożoną gazetę na stole obok Greta. Na dole znowu rozległ się brzęczyk suszarki. – Obowiązki wzywają – rzuciła, po

czym zwróciła się do Grety. – Czy zastanawiałaś się nad naprawieniem windy kuchennej? Nie potykałabym się, niosąc pranie na górę.

– Nie jest zepsuta – stwierdziła starsza kobieta.

– Słucham? To dlaczego jej nie używamy? – zapytała Beverly.

– W sumie nie pamiętam. – Greta się zamyśliła. – Bo trzeszczy. I nie jestem przekonana, czy liny są wystarczająco mocne. Poza tym musi być brudna i zarosnięta pajęczynami, kurzem, pajakami, myszami, a może nawet szczurami. – Lekko się wzdrygnęła. Ale, jako że Beverly nadal na nią patrzyła, dodała: – Podejrzewałam, że dałaby radę przewieźć coś niezbyt ciężkiego. Z tym że chyba musiałabyś ją najpierw wyczyścić, zanim wypróbujesz.

– Tak zrobię – obiecała Beverly. I wtedy znowu zabrzączała suszarka. – Zaraz wracam z praniem. Mamy dziś dzień jajka w mundurku, sí?

– Sí. I muffina, yy, *mollette* – powiedziała Greta. – A może to *magdalena*? Mylą mi się, ale tak poproszę. – Trzymała się niezmiennego rytmu dnia. Nie jadła, dopóki nie wypila dwóch filiżanek kawy i nie skończyła swojej krzyżówki. Trzy razy w tygodniu jadła jajko w mundurku i muffina, w pozostałe dni owsiankę z owocami. Nigdy się to nie zmieniało, nawet w święta.

– *Bueno*. – Beverly znowu wyszła, prawie potykając się o Turtlesa, który przytruchtał po wyłożonej kafelkami podłodze i wszedł pod stół, żeby pocierać się nakrapianym grzbietem o nogę Grety.

– Nie zrobiła zbyt dużych postępów – zauważyła Greta. Remmi rozsmarowywała masło orzechowe na jednej połowie bajgla, a Greta otworzyła gazetę.

– Kto?

– Beverly. Jej hiszpański nie wystarczy, żeby jechać do Tijuany. A przecież uczy się od miesięcy. Jeśli mówi poważnie, powinna zapisać się na jakieś lekcje... – Zamilkła na chwilę, a potem dodała: – Aha.

– Słucham?

– Chyba powinnaś na to spojrzeć.

Remmi odłożyła bajgla na talerzyk i odwróciła się, żeby rzucić okiem na pierwszą stronę rozłożonej na stole gazety. Już pierwszy nagłówek przykuł jej uwagę.

Samobójczyni zidentyfikowana.

Skoczyła w stroju ikony z lat pięćdziesiątych.

Ze ściśniętym gardłem przeczytała pobieżnie artykuł dotyczący tożsamości tej kobiety.

– Kim jest Karen Upgarde? – zapytała, czytając ponownie, tym razem uważnie, tych kilka akapitów.

– Z pewnością jej nie znam.

– Nigdy o niej nie słyszałam.

– Na pewno wkrótce dowiemy się o niej o wiele więcej – zauważyła Greta. – Wszyscy będą o niej mówić, przynajmniej przez najbliższych kilka dni, aż wyda się coś jeszcze potworniejszego, sensacyjnego lub wybuchnie jakiś skandal.

Remmi próbowała czytać pomiędzy wierszami, ale artykuł był krótki, rzeczowy i nie podawał zbyt wielu szczegółów.

– Policja do mnie nie zadzwoniła.

– A po co mieliby dzwonić?

– Ponieważ jestem w to zamieszana. Didi jest moją matką. A ta kobieta była ubrana jak ona, a nie jak jakaś „ikona z lat pięćdziesiątych”, czyli Marilyn Monroe, na miłość boską.

– Już im powiedziałaś, że ofiara nie jest twoją matką. Ale podejrzewam, że i tak zadzwonią. Żeby sprawdzić, czy widzisz między nimi jakiś związek. – Zamyśliła się na chwilę. – Jestem zaskoczona, że nie widziałaś tego rano w Internecie.

– Jeszcze nie włączałam komputera, a telefon łąduje się na górze. Właśnie miałam to zrobić. – Remmi przeczytała artykuł po raz trzeci i zmarszczyła brwi. – Jedyne, co podają, to jej wiek. I że pochodzi z okolic Seattle, jest rozwiedziona, nie ma dzieci. Jej najbliższą osobą jest matka. Mogę ją zabrać? – Nie czekając na odpowiedź, wzięła gazetę i ruszyła w stronę schodów.

– Tylko zostaw dla mnie krzyżówkę – odparła Greta. – Och, Remmi, twoje śniadanie...

Remmi zignorowała burczący brzuch i wbiegła po tylnych schodach tak szybko, że gdy dotarła do swojego mieszkania, czuła, jak mocno bije jej serce. Zdjęła telefon z ładowarki, uspokoiła oddech, po czym wybrała numer detektywa Settler, który już zdążyła zapamiętać. Ale po drugiej stronie odezwał się sygnał poczty głosowej. Rozłączyła się. Miała ochotę rzucić telefonem o ścianę. Po co w ogóle jest policja, skoro nie można się dodzwonić, gdy człowiek ich potrzebuje?

Przestań. Zwolnij. Przecież znasz gliny. Już wcześniej miałaś z nimi do czynienia.

Już spokojniejsza ponownie wybrała numer. A gdy znowu przełączyła się na pocztę głosową, zostawiła wiadomość: „Tu Remmi Storm. Proszę do mnie odzwonić”. Następnie zostawiła swój numer i się rozłączyła. Będzie czekać. Na razie. Najpierw musi poszukać informacji na temat Karen Upgarde, potem odwiedzić Jennifer Reliant, tę cholerną agentkę Maryanne Osgoode, i dowiedzieć się, kim naprawdę jest autorka.

Jak na razie wszystkie telefony Settler do agentki Maryanne Osgoode pozostały bez odpowiedzi, niczego też nie dowiedziała się w małym wydawnictwie, które wydało *Nie jestem sobą*. W tej chwili nadal przebywała w pokoju hotelowym Montmort, w którym prowadziła przesłuchania. Czekala, aż oddzwoni do niej redaktor Stumptown Press, niewielkiego wydawnictwa z siedzibą w Portland w Oregonie. Rzeczony redaktor przez kilka dni „będzie znajdował się poza biurem”, co wydawało się mocno podejrzanym, biorąc pod uwagę fakt, że książka o Didi Storm zyskiwała coraz większą popularność i z pewnością była największym bestsellerem Stumptown.

Jeśli chodzi o przesłuchania personelu hotelowego, większość z nich niczego nie wniosła.

Ale nie wszystkie.

Spędziwszy prawie trzy godziny na rozmowach z pracownikami i gośćmi, Settler i Martinez nie dowiedzieli się wiele więcej niż dzień wcześniej. Detektywi ponownie obejrżeli pokój zajmowany przez Upgarde jako D. Storm i zauważyli, że znajdują się tam drzwi prowadzące do sąsiednich pokoi. Oba wejścia, jak zostało zaprotokołowane, były zamknięte na klucz. W obecności szefa ochrony przejrżeli nagrania z kamer z zewnętrznego holu, wind i korytarzy. Porozmawiali z obsługą pokojową, sprzątaczkami, pracownikami recepcji, ale nikt z nich nie miał wiele do czynienia z Karen Upgarde vel D. Storm. Coś interesującego pojawiło się jednak, kiedy udało im się przepytac jednego z dozorców pracujących na nocnej zmianie.

Al Benson, tęgim mężczyzną z cienkim wąsikiem, powiedział im:

– Widziałem faceta, którego nie rozpoznałem. Korzystał ze służbowej windy. To było gdzieś koło trzeciej w nocy, może o trzeciej piętnaście. Tej nocy, kiedy wyskoczyła ta kobieta. No więc wsiadałem na dziesiątym piętrze i powiedziałem do niego „cześć”. On jakoś tak dziwnie szybko odpowiedział, po czym wcisnął guzik czternastego i wysiadł. Ja pojechałem dalej, na dwudzieste pierwsze piętro. Najdziwniejsze jednak było to, że winda zatrzymała się na dziewiętnastym. Otworzyła się, ale nikt nie wsiadł. Myślę, że pierwotnie zamierzał tu wysiąść, ale potem postanowił pojechać na czternaste. A może ktoś chciał zjechać z dziewiętnastego, ale za długo czekał, więc poszedł schodami?

Settler poczuła delikatne mrowienie na karku, sygnał ostrzegawczy od swojej intuicji.

– Czyli nie znał go pan?

– Wydaje mi się, że nigdy wcześniej go nie widziałem. Miał okulary z przyciemnianymi szklami i czapkę z daszkiem. I taki, mniej więcej, trzydniowy zarost. Co prawda, to powinno było zwrócić moją uwagę. – Wzruszył ramionami. – Ale chyba bardziej skupiałem się na komórce. Zadzwonił do mnie pracownik parkingu, bo miał problem z elektronicznym zamknięciem bramy. – Al zmarszczył czoło i podrapał się po brodzie. – Ale im dłużej o tym myślę, tym bardziej jestem przekonany, że nie miał plakietki. No wiecie, takiej jak ta! – Pokazał swój identyfikator przypięty do kieszonki koszuli. – Ale czasami ludzie o nich zapominają. Powinniśmy je nosić, choć zdarza się, ktoś jej nie przypnie. Poza tym, nie raz goście korzystają z windy służbowej. Przecież nie jest zamykana na klucz, więc to żaden problem? – Jego wzrok zaszedł mgłą. – Chyba nie sądzicie, że to ma coś wspólnego ze śmiercią tej biednej dziewczyny z dziewiętnastego? Przecież to było samobójstwo, prawda? Sama skoczyła.

– Bierzymy pod uwagę różne scenariusze – odparła Settler. Miała jednak wrażenie, że pojawia się pęknięcie w tym, co początkowo wydawało się otwartą, a następnie zamkniętą sprawą samobójstwa. Obecnie uchyliły się drzwi prowadzące do sprawy o zabójstwo.

– Przypomina sobie pan coś jeszcze na temat tamtego faceta?

– Chciałbym – odparł. Próbowali go jeszcze wypytywać, ale Al powiedział im już wszystko, co pamiętał. Ponownie sprawdzili nagrania, skupiając się na podanym przez niego czasie. Ale pomiędzy trzecią i czwartą w nocy nikt nie kręcił się po dziewiętnastym piętrze. Chociaż kiedy przeglądali nagranie ze służbowej windy, przekonali się, że Al wszystko dokładnie zapamiętał. I mieli czarno-biały wizerunek mężczyzny, który wcisnął przycisk na panelu windy, gdy wsiadł do niej na wewnętrznym parkingu, a kiedy dołączył do niego Al Benson, natychmiast wcisnął inny przycisk. Na nagraniu nie byli w stanie odczytać numerów, ale facet szybko się zmył na czternastym piętrze.

Przejrzeni nagranie ze schodów i jakiś czas później zobaczyli tego samego mężczyznę na klatce schodowej. Twarz nadal miał zakrytą daszkiem czapki i zbiegał w dół. Wyszedł na parking i potem już się nie pojawiał.

Nie widzieli go na żadnym innym nagraniu z dziewiętnastego piętra, chociaż niestety w tygodniu poprzedzającym tragedię kamera pracowała tam tylko sporadycznie, więc zachodziło prawdopodobieństwo, że ktoś wśliznął się do pokoju D. Storm i nie został uchwycony na nagraniu.

Zbieg okoliczności? Pech?

A może ktoś celowo wyłączał kamerę?

Ale jak? Czy był to ktoś z wewnątrz? Czy brał w tym udział jakiś pracownik hotelu?

A może wszystkie te hipotezy były zbyt naciągane? Może Karen Upgarde, która znana było z ekscentrycznych strojów, wpadła na szalony pomysł, aby wyskoczyć z budynku jako celebrytka, na przykład Marilyn Monroe?

No ale był też manikiur. Ten cholerny znak rozpoznawczy Didi Storm.

Dani patrzyła na zdjęcie mężczyzny, który uciekł z windy na czternastym piętrze. *Kim jesteś?* – zastanawiała się. *W jaki sposób jesteś w to zamieszany?* Tak czy inaczej zamierzała się tego dowiedzieć.

ROZDZIAŁ 19

Agencja Reliant nie istniała. A przynajmniej nie miała tradycyjnego biura w budynku, do którego prowadzą drzwi i ograniczają je cztery ściany. Lokal w budynku był tak naprawdę skrytką pocztową znajdującą się w filii pocztowej. Remmi podejrzewała, że telefon, na który nagrała kilka wiadomości po znalezieniu numeru w sieci, nigdy nie był odbierany. Cała ta agencja to był jakiś przekręt.

– Ktoś musi stąd odbierać pocztę – powiedziała do dwudziestokilkuletniego pracownika stojącego za ladą.

– Nie mogę udzielać informacji na temat naszych klientów – odpowiedział z wyższością urzędnik, napawając się władzą. Był szczupłym mężczyzną z wąskimi ramionami i biodrami oraz niezbyt udaną bródką w stylu Lincolna.

– Ktoś opłaca tę skrytkę – zauważyła, wskazując właściwy numer. – Albo przesyłacie korespondencję dalej. Ktoś jednak musi za to płacić.

– Skrytką zarejestrowana jest na Agencję Reliant – odparł. – To wszystko, co mogę pani powiedzieć. W czym mogę pomóc? – Spojrzał ponad jej ramieniem na kobietę w różowym płaszczu i rękawiczkach, która w jednej ręce trzymała trzy paczki, drugą bowiem miała zajęta smyczą, na której końcu był miniaturowy pudel. – Mogę przeprosić? – rzucił do Remmi, podczas gdy kobieta przepchnęła się obok niej i zrzuciła paczki na ladę koło wagi.

– Chcę je ubezpieczyć. I muszą dotrzeć do adresata przed końcem tygodnia – oświadczyła.

Wyczuwając, że nie otrzyma więcej informacji od urzędnika, Remmi wyszła z budynku i znalazła się na ulicy. W pobliżu, wystając ponad inne budowle i sięgając szarego nieba, wznosił się hotel Montmort Tower. Odliczyła do dziewiętnastego piętra i przyjrzała się oknu i gzymsowi, z którego skoczyła Karen Upgarde.

Jako Didi Storm.

Dlaczego?

Spojrzała na teren otaczający hotel. Rośliny w donicach zostały już udekorowane girlandami i światełkami. Samochody, furgonetki i taksówki podjeżdżały na zakręcający podjazd, objeżdżały fontannę i wysadzały lub odbierały gości. Na

tym chodniku tuż obok oświetlonej, bulgoczącej fontanny Karen Upgarde straciła życie.

Remmi poczuła, że robi jej się zimno, gdy przypomniała sobie ten dramatyczny skok i ciało leżące na ziemi.

Samobójczy skok byłby ekstrawaganckim, trafiającym na pierwsze strony gazet sposobem na odebranie sobie życia, typowym dla jej matki. Tylko że Didi nigdy nie miała takich skłonności. Nieważne, jak trudne czasy nadchodziły, Didi zawsze szukała wyjścia z każdej opresji. *Jeśli plan A nie działa, przejdź do planu B.*

Zakończenie swojego życia nie było żadnym planem.

Ale czy Didi wciąż mogła żyć? Czy przez dwadzieścia lat nigdy nie spróbowałyby się skontaktować z Remmi? To samo lodowate poczucie opuszczenia, które odczuwała, będąc nastolatką, wzięło w posiadanie jej serce. Prawie się pogodziła z faktem, że matka nie żyje, że to, co zaplanowała dla ojca bliźniaków, nie wypaliło, a ona zniknęła bez śladu. Jakie to dziwne, że właśnie teraz zjawił się duch Didi. Najpierw ta cholerna książka – *Nie jestem sobą*, a teraz to. Jakaś nieznaną osobą, przebrana w ubrania Didi, żeby wyglądać tak jak ona, skacze i się zabija. Gdyby Remmi była bogobojną osobą, mogłaby pomyśleć, że to jakiś znak. Jej ciotka z pewnością uznałaby, że to Bóg do niej przemówił... Może jednak Szatan? Zatrzymała się na chwilę, żeby spojrzeć na fontannę i drzwi prowadzące do hotelu, gdzie ludzie zajmowali się swoimi sprawami, nie poświęcając ani sekundy tragedii, która rozegrała się zaledwie kilka kroków od tego miejsca.

– Przepraszam! – krzyknęła jakaś kobieta w kozakach do kolan i w długim płaszczu, po czym szybko obeszła Remmi. Trzymała parasolkę i spojrzała na nią zaniepokojona. Mężczyzna w garniturze i w płaszczu z postawionym kołnierzem, chroniącym przed deszczem, poszedł w ślady tamtej kobiety i dopiero wtedy Remmi zauważyła, że stoi na samym środku chodnika i pogrążona w myślach, wstrzymuje ruch pieszy. Pospiesznie ruszyła w stronę parkingu, na którym zostawiła samochód. Tego samego, z którego skorzystała już wcześniej.

Przez resztę dnia czekała na telefon od detektyw Settler, załatwiała różne sprawy i zajrzała do dwóch nieruchomości należących do Grety. Pierwsza znajdowała się w Sausalito za mostem Golden Gate. Jadąc po moście wysoko nad nurtem wody łączącym zatokę San Francisco z Pacyfikiem, myślała o swoim przyrodnim rodzeństwie i zastanawiała się, czy żyje i gdzie może się podziwiać. Wiele lat temu zarejestrowała się na kilku stronach internetowych, których celem było łączenie ludzi tęskniących za swoimi bliskimi, ale jak na razie nie otrzymała żadnych odpowiedzi, co wcale jej nie dziwiło. Wiedziała, że szansa na zna-

leżenie Ariel i Adama jest prawie równa zeru. Jeśli w ogóle żyją, prawdopodobnie nie mają żadnego pojęcia o swojej prawdziwej rodzinie.

Pomiędzy przesłami mostu ujrzała wyspę Alcatraz ze sławnym więzieniem i latarnią morską. Do skalistego brzegu właśnie przybijał prom. Zazwyczaj przejazdka mostem podnosiła ją na duchu, czuła się w pewien sposób wyzwolona, opuszczając miasto. Ale nie dzisiaj. Pogoda była równie ponura jak jej nastrój. Więc kiedy zatrzymała się przy domu zajmowanym przez trzy rodziny, dużym, starym budynku, który został przebudowany na trzy przestronne apartamenty z widokiem na wodę, nie mogła pozbyć się uczucia, że wisi nad nią fatum, które towarzyszyło jej od ostatnich kilku dni. W schowku znalazła batonik, rozpakowała go i zjadła lekko zwietrzałą mieszankę płatków owsianych, orzechów ziemnych, czekolady i Bóg wie czego jeszcze, zanim wjechała na krótki podjazd przed domem na wynajem.

Nieruchomość była w dobrym stanie, ale jedna z najemczyń zgłosiła zacieki wody w łazience, więc Remmi spotkała się z matką samotnie wychowującą dzieci, która tam mieszkała. Sprawdziła i rzeczywiście, na suficie w łazience było widać mokrą plamę. Obiecała, że przyśle fachowca, który to naprawi. Druga nieruchomość mieściła sześć mieszkań. Był to budynek w kształcie pudełka na buty z trzema mieszkaniami na górze i trzema na dole. Mieścił się w Berkeley, w pobliżu uniwersytetu, na którym Remmi kiedyś studiowała. (Na dowód czego miała pożyczkę, którą wciąż spłacała, bo stypendia nie pokryły całego czesnego).

Jeden z najemców przestał płacić czynsz. Kiedy zjawiła się w jego mieszkaniu, okazało się, że drzwi nie zostały zamknięte na klucz. Mieszkanie było puste i śmierdziało brudem. W każdym pokoju zostały jakieś śmieci. Hydraulika najwyraźniej nie działała, bo zlewy, wannę i toaletę wypełniały odpady. Remmi był całkowicie zde gustowana.

– Ty to na pewno nie dostaniesz zwrotu kaucji – mruknęła ponuro, jakby były najemca mógł ją usłyszeć. Na razie zamknęła cały ten bałagan. Mieszkający po sąsiedzku lokator nie otworzył drzwi, więc Remmi zadzwoniła do fachowca, z którego usług korzystała, i wyjaśniła sytuację. Kiedy zgodził się posprzątać, zdezynfekować i odmalować mieszkanie oraz wykonać niezbędną naprawę w Sausalito, przetarła ręce chusteczkami odkażającymi, których zapas trzymała w samochodzie. Wycofała subaru z podjazdu i włączyła się w ruch zmierzający w stronę Oakland i mostu nad zatoką, żeby wrócić do miasta.

Detektyw Settler zadzwoniła do niej, gdy dotarła na zachodni brzeg zatoki. Remmi odebrała na urządzeniu głośnomówiącym, aby móc trzymać obie ręce na kierownicy, gdy zjeżdżała z drogi szybkiego ruchu.

– Dostałam od pani wiadomość – zaczęła Settler. – Zakładam, że już pani wie, że ofiara została zidentyfikowana.

– Wszędzie o tym mówią.

– Czy coś pani wiadomo o tym, żeby pani matka знаła się z Karen Upgarde?

– Nie – zaprzeczyła Remmi. Słabo słyszała Settler. Zagłuszał ją dźwięk silnika, szum opon i odgłosy przejeżdżających obok samochodów. – Nigdy wcześniej o niej nie słyszałam. Poza tym dzisiaj udałam się do agencji Reliant. Ona nie istnieje. Przynajmniej nie w takiej formie, jakiej można by się było spodziewać. To tylko skrzynka pocztowa.

– Tak, my też to sprawdziliśmy, ale szukamy już właściciela.

– Jennifer Reliant.

– Może. – Settler nie była przekonana. – Czy kiedykolwiek odezwała się do pani autorka? Ta Osgoode?

– Nie.

– Aha.

– Mówiłam, że to jakiś przekręt. – Remmi jechała za furgonetką dostawczą, zjeżdżającą ze stromego wzgórza. Mając nadzieję, że uda jej się wyprzedzić tę dymiącą zawalidrogę, obejrzała się przez ramię. Samochody na drugim pasie posuwały się zderzak przy zderzaku i miały zapalone światła, bo już zaczynało robić się ciemno.

– A więc kto napisał tę książkę? Kto wiedziałby o tych wszystkich rzeczach? Niektóre szczegóły były dość dokładne.

– Każdy mógł się dowiedzieć, jak przypuszczam – stwierdziła Remmi. Ale ona również się zastanawiała, skąd autorka pozyskała swoje informacje. – Musiałyby porozmawiać z ludźmi w Missouri, którzy znali mamę.

– Z kimś z Anderstown.

– Tak przypuszczam. Lub z okolic. Poza tym przecież mowa o okresie sprzed pięćdziesięciu lat.

– A pani ciotka? Czy według pani ktoś z nią rozmawiał, żeby dostać te informacje?

– Może. – Sama już się zastanawiała, czy ciotka Vera nie jest w to jakoś zamieszana. Nie wzgardziłaby okazją do opowiedzenia o swojej sławniejszej siostrze pozbawionej kręgosłupa moralnego. Na przeciwległym pasie pojawiła się przerwa między pojazdami, więc wcisnęła się w nią swoim subaru. Po chwili usłyszała impertynenckie trąbienie. Kierująca czerwoną toyotą właśnie podniosła wzrok znad telefonu i uświadomiła sobie, że Remmi się przed nią wpycha. *Kto*

przysypia, ten traci, pomyślała Remmi. Szybko skinęła głową w stronę blondynki. W odpowiedzi jeszcze raz usłyszała trąbienie klaksonu i zobaczyła środkowy palec.

Jakże mi przykro.

– Rozmawiała z nią pani? – zapytała Settler.

– Z Verą? Od dłuższego czasu nie. – A dokładniej mówiąc, odkąd skończyłam osiemnaście lat.

– Ma pani jej numer telefonu i adres?

– Nie wiem, czy są aktualne, ale prześlę je, gdy wrócę do domu – obiecała Remmi i się rozłączyła. Pomyślała o notesie z adresami, który zabrała, gdy opuszczała Las Vegas. Były tam nazwiska i numery zapisane ręką matki, jej mocnym, okrągłym piśmem. Może powinna oddać go policji? Przez lata Remmi zadzwoniła na każdy numer w tym notesie i dodzwoniła się do mniej więcej połowy ludzi w nim wymienionych. Wątpiła, aby te telefony wciąż były aktualne, ponieważ obecnie wszyscy komunikowali się głównie przez komórki. Mimo wszystko policja może znalazłaby w tym notesie coś, co mogło okazać się przydatne w sprawie Didi. Remmi miała taką paranoję na punkcie kontaktów z policją, że nigdy nie zaufała żadnemu oficerowi. A teraz zaczęła pokładać nadzieję w tym, że detektyw Settler pomoże odnaleźć jej zaginioną matkę i rodzeństwo. Jakie były na to szanse?

– Mniej więcej zerowe – zgasiła swój zapal, po czym odebrała telefon od Grety, która prosiła, żeby wykupić jej kilka recept i zrobić zakupy spożywcze. Znowu zaczęło padać. Wycieraczki rozgarniały zimne krople z szyby, gdy podjechała do sklepu w pobliżu apteki w Clayton. Poszczęściło się jej, gdy znalazła wolne miejsce parkingowe.

Wysiadając z auta, zauważyła jakiegoś ciemnego SUV-a przejeżdżającego pobliską ulicą. Ponownie pomyślała o pojeździe, który parkował na ulicy przed domem Grety poprzedniej nocy. Ten wyglądał identycznie. Zniknął jednak za wzgórzem, zanim zdołała odczytać numery na kalifornijskiej tablicy rejestracyjnej. Poczula delikatny dreszcz niepokoju. Ale szybko go zignorowała.

W tej okolicy muszą ich być setki, może nawet tysiące. Szybkim krokiem dotarła do jasno oświetlonego sklepu i przeszła przez automatycznie rozsuwane drzwi. W środku było dużo ludzi. Wyglądało na to, że nikomu się nie spieszyło. Idąc pomiędzy alejkami, zatrzymała się przed postawionym w poprzek wózkiem, blokującym przejście. Jego właściciel deliberował, jaki produkt kupić, i totalnie nie zwracał uwagi na to, że ktoś mógłby się spieszyć. Udało jej się jednak dość szybko kupić dwie gotowe sałatki z tuńczykiem na stoisku z delikatesami.

Utknęła w aptece, niecierpliwie czekała w kolejce, ponieważ wszyscy farmaceuci przy stoisku z lekami na receptę obsługiwali innych klientów. Ci natomiast długo wypytywali o swoje leki lub próbowali się dowiedzieć o możliwość zaszczepienia się przeciwko grypie. Minęła prawie godzina, kiedy ruszyła z torbami do auta. Padał ulewny deszcz, wiatr szarpał połami jej płaszcz, gdy brodząc w kałużach, dotarła do samochodu. Szyby zaparowały. Prawie nic nie było widać. Wycieraczki z trudem radziły sobie z deszczem, gdy tyłem wyjeżdżała z parkingu. Było tu tak tłoczno, że aż dwa samochody czaiły się na zwalniane przez nią miejsce. Objechała białego chevroleta impalę, który czekał, aż wyjedzie. Ale zanim wrzuciła bieg, mini cooper wyprzedził impalę i zajął już zwolnione przez nią miejsce, na co kobieta za kierownicą impali zatrąbiła klaksonem i zaczęła wygrażać pięścią.

Te nieprzyjemne sceny nie poprawiły humoru Remmi, która włączyła się do ruchu na ulicy. W radiu Burl Ives śpiewał *A Holly Jolly Christmas*. Nienawidziła tej piosenki, więc zmieniła stację. Usłyszała:

Rockin' around the Christmas tree

At the Christmas party hop...

Wyłączyła radio. Ale słowa piosenki wciąż tłukły się jej po głowie. *Fuj!*

– Po prostu jesteś grinchem – zarzuciła sobie i zaparowała przednią szybę. Skręciła w ulicę Stanyan. Wtedy zerknęła w lusterko. Zaciśnęła palce na kierownicy. Przez chwilę miała wrażenie, że widziała ciemnego SUV-a jadącego kilka samochodów za nią.

Nie bądź paranoiczką.

Ale paranoja od mniej więcej tygodnia była jej drugim imieniem. I chociaż nie spuszczała oka z lusterka, niemal taranując po drodze jakiegoś starego volkswagena, więcej nie ujrzała tamtego pojazdu.

Po raz pierwszy w życiu zastanawiała się, czy ciotka Vera nie miała jednak racji. Może Szatan zawsze czai się gdzieś w pobliżu?

ROZDZIAŁ 20

Settler wstała i przeciągnęła się, aż strzeliło jej w plecach. W wydziale było spokojniej niż wcześniej w ciągu dnia. Wielu pracowników zakończyło już na dzisiaj pracę. Od kilku godzin siedziała przy biurku. Na lunch zjadła tylko kalifornijską kanapkę, w skład której wchodziło głównie awokado, pomidory i kielki. Popiła ją colą. Jadła, gapiąc się na monitor komputera i starając się dokonać przełomu w sprawie. Nie odkryła żadnych powiązań pomiędzy Didi Storm i Karen Upgarde, poza tym, co oczywiste – Upgarde była ubrana w elementy garderoby należące do Didi Storm i wykonała taki sam makijaż. Wydawca książki dotychczas nie odpowiedział również na pytanie dotyczące autorki *Nie jestem sobą*. Nie podziałały nawet zawołowane groźby, że pomagają ukrywać się zabójcy i utrudniają dochodzenie. Stumptown Press wciąż nie raczyło odpowiedzieć. Spodziewała się, że wkrótce zadzwoni ktoś wyżej postawiony, zapewne jakiś prawnik.

Chociaż udało jej się namierzyć kilka osób związanych z Didi, zastanawiała się, czy nie kręci się w miejscu. Zachodziła możliwość, że skok Upgarde nie miał wiele wspólnego z Didi Storm, poza peruką, która kiedyś do niej należała.

Unosząc ręce nad głowę i robiąc skłony, zauważyła Teda Vance'a. Przechodził w pobliżu, niosąc jakieś raporty. Jak zwykle ubrany był w nieskazitelny garnitur, białą koszulę i krawat. Jako jedyny w wydziale zadawał sobie ten trud. Spojrzał na nią ponad oprawkami swoich okularów i na szczęście nie skomentował ani słowem, jedynie zacisnąwszy usta, emanował dezaprobatą.

Nic nowego.

Wróciła na krzesło, gdzie pokręciwszy głową, żeby rozluźnić mięśnie szyi, z powrotem zabrała się do pracy. Namierzyła kilka osób związanych z Didi. Pierwszy mąż, Ned Crenshaw, wraz z żoną mieszkał na ranczu w pobliżu Sacramento, o dwie godziny drogi stąd. Jej drugi mąż, Leo „Kaspar Wielki” Kasparian, rozwiódł się z drugą żoną, przeprowadził się do Reno, gdzie obecnie występował ze swoimi sztuczkami w jednym z kasyn. Reno znajdowało się w odległości czterech godzin jazdy. Harold Rimes, który niegdyś zatrudniał Didi, obecnie mieszkał w Lake Tahoe na wschód od linii stanowej, więc wciąż jeszcze w Nevadzie, gdzie hazard był legalny. Rimes miał tam klub, chyba nawet bardziej dochodowy

niż ten, który lata temu posiadał w Las Vegas. Wszyscy oni znajdowali się niezbyt daleko od San Francisco.

Zastanawiała się, czy któryś z tych mężczyzn znał Karen Upgarde. Jak dotąd nie znalazła żadnych powiązań. Ale nie dostała jeszcze bilingów z telefonu Upgarde, a technicy dopiero zabrali się do jej komputera, więc znajdują powiązania, o ile coś rzeczywiście łączyło ją z ludźmi z życia Didi Storm.

– Dobrze – powiedziała do siebie.

Usłyszała, że ktoś się zbliża, i zobaczyła, że to Martinez.

– Właśnie wysłałem ci zdjęcie, musisz je zobaczyć – powiedział.

– Okej. – Weszła na swoje konto pocztowe i ujrziała nową wiadomość od partnera. Kliknęła na załącznik i na ekranie pojawiło się niewyraźne zdjęcie.

– O tutaj, widzisz? – zapytał Martinez, stając obok Settler przy jej biurku. Wskazał coś na monitorze komputera. Obraz ukazywał niewyraźny zarys okna, z którego Upgarde wyszła na gzyms hotelu Montmort Tower. Okno było otwarte, widać było zasłonę i Karen chwiejącą się na parapecie. Zobaczyła też ciemny cień za cienkim materiałem. Czy to załamanie światła? A może stał tam jakiś człowiek, który znajdował się poza polem ostrości obiektywu aparatu?

– Widzę. Chyba. Czy mogą to jakoś wyostrzyć w laboratorium? – Użyła myszki, żeby powiększyć zdjęcie, ale stało się jeszcze mniej wyraźne i rozpikselowane.

– Pracują nad tym – odparł – ale chyba niewiele można zrobić. To fotografia z telefonu jakiegoś gapia.

– Trudno stwierdzić, czy w tym pokoju ktoś jest. – Poruszyła myszką, przyglądając się zdjęciu pod różnymi kątami. Po czym znowu zmniejszyła fotografię do oryginalnej wielkości. – Szlag. – Zerknęła na Martinezę. – Są jakieś inne ujęcia?

– Nic lepszego nie mamy. A przynajmniej nic takiego nam nie przysłali. Rzecznik zaapelował do społeczeństwa przez lokalne stacje telewizyjne, więc dostaliśmy również mnóstwo nagrań. Sortują je w laboratorium.

Ponownie próbowała powiększyć zdjęcie, ale nie była pewna, co tam widzi.

– Na żadnym nagraniu nie ma osoby wchodzącej lub wychodzącej z jej pokoju czy też pokoi sąsiadujących z tym, który wynajęła.

– Ale kamera nie działała dobrze – przypomniał jej Martinez.

– Wiem. Ale jakie są szanse, że ktoś wszedł do jej pokoju, zmusił ją do skoku albo w jakiś sposób jej dopomógł, po czym wyszedł, nie nagrywając się na kamerę, zanim na miejsce dotarli ratownicy i personel hotelowy?

– Moim zdaniem to możliwe – stwierdził Martinez, prostując się i bezwiednie głaszcząc po bródce.

– No tak.

Zadzwoiła jej komórka, więc zerknęła na wyświetlacz: Biuro Szeryfa Hrabstwa King.

– Muszę odebrać – rzuciła. Mogła oddzwaniać jej była partnerka Rosamie Ugali. Dani wcześniej nagrała jej wiadomość na poczcie. Zamieniła się miejscami z Martinezem, który przejął od niej myszkę i próbował wyostrzyć zdjęcie, podczas gdy ona odsunęła się o kilka kroków.

– Sprawdziłam twoją ofiarę, Karen Upgarde – zaczęła Rosamie, gdy się przywitały. – Większość dostałaś już mailem. Upgarde wcześniej kilka razy próbowała popełnić samobójstwo. Rozmawiałam z jej byłym mężem, który znajdował się w Seattle, kiedy skoczyła. Wydawał się zdruzgotany. Rozmawiałam też z jej matką, która powiedziała „od dawna się tego spodziewałam”, gdy usłyszała, co się stało z jej córką.

– Okej.

– Karen nigdy nie była stabilna psychicznie, tak określił ją jej były. Miała okresy euforii i depresji. Prawdopodobnie coś jej dolegało, ale nigdy nie zostało to zdiagnozowane. Matka, Irene, stwierdziła, że jest wdzięczna za to, że Karen nie zabrała nikogo ze sobą. A kiedy ją o to zapytałam, nie chciała się rozwodzić na ten temat. Ale wniosek był taki, że Karen nie była w pełni władz umysłowych. Obecnie nie miała żadnego chłopaka ani współlokatora. Z nikim się nie przyjaźniła. Jej szef powiedział, że była „sprawną” kelnerką. Nie tyle przyjazną, co zaradną. Nie zadawała się z innymi osobami, które zatrudnia. Pracowała w tej restauracji od czterech lat, wcześniej kelnerowała w barze, który zakończył działalność.

– Piła?

– Nic o tym nie wiadomo. W domu nie ma butelek. Nie znaleźliśmy narkotyków ani listu pożegnalnego. Nic. Jej mieszkanie było trochę zabałaganione, ale widziałam o wiele gorsze. Przeszukałam je pod kątem memorabiliów po celebrytach i ubrań, ale niczego takiego nie znalazłam. Ale też nie znalazłam niczego, co należałoby przed nią do kogoś innego. Nie ubierała się konserwatywnie. Była dość wyzywająca jak na kobietę w jej wieku. Chodziła na karaoke do lokalnego klubu blisko domu. Ale nie znaleźliśmy niczego, co rzucałoby się w oczy. Żadnych peruk. Pytałaś, czy posiadała coś podpisanego nazwiskiem Didi Storm. Nic. Nada. Nie posiadała nawet zdjęcia tej kobiety, więc nie wygląda na to, żeby miała obsesję na jej punkcie.

– A zatem żadnych związków?

– Na razie żadnych nie znaleźliśmy. Porozmawialiśmy też z ludźmi z baru karaoke oraz z barmanem. Ma na imię Chuck. Stwierdził, że była lepsza niż większość bywalców, umiała śpiewać i sprawiało jej to przyjemność, ale zwykle przychodziła sama.

– Żadnych przyjaciół?

– O żadnych nie wiem. Nazwał ją samotniczką. I zauważył, że na scenie wychodziła ze swojej skorupy, ale to wszystko. Piła dietetyczne napoje, czasami wodę gazowaną. Zwykle dietetyczną colę czy coś takiego, żadnego alkoholu.

– Czy chodziła na spotkania AA?

– Tak sądzimy. Nie wiemy na pewno. Dość poważnie podchodzą zarówno do alkoholizmu, jak i anonimowości. To bardzo dyskretna organizacja. Na tym to wszystko polega.

– Ale ludzie gadają. Nawet ludzie, którzy chodzą na takie spotkania. – Martinez wstał, więc Settler z powrotem zajęła swoje miejsce. Uniosła palec, sygnalizując mu, że chce z nim porozmawiać, wobec czego oparł się biodrem o skraj jej biurka i przysłuchiwał końcówce rozmowy.

– Dowiedziałam się jednej ciekawej rzeczy. Jakies dwa tygodnie temu do lokalu przyszedł facet – dodała Rosamie. – Barman go nie znał, nie był to stały bywalec. Według Chucka facet zamówił piwo i siedział nad nim, oglądając występ. Wtedy na scenie była Upgarde. Śpiewała jakiś numer Madonny, chyba swój ulubiony *Papa Don't Preach*, a potem jeszcze jakies inne, ale nie pamiętała tytułów. Zawsze śpiewała piosenki z szybkim beatem. Nie przepadała za balladami, jak inni występujący. No więc Chuck zauważył tego gościa, ponieważ kiedy schodziła ze sceny, facet kilkakrotnie podchodził do jej stolika i z nią rozmawiał. Chuckowi wydawało się, że chciała się go pozbyć. Ale gdy tylko wyszła, ten facet także się ulotnił. Nie czekał na rachunek, tylko zostawił pieniądze i zniknął.

– Spieszył się, żeby pójść za nią?

– Może. Facet nie korzystał z żadnej karty, płacił gotówką. Chuck jest przekonany, że nigdy wcześniej ani później go nie widział. Nie był w stanie podać dokładnego opisu, pamiętał tylko, że facet był mocno po czterdziestce, może tuż po pięćdziesiątce. Ubrany tak jak wszyscy inni, w ciemną bluzę i džinsy. Miał kurtkę z kapturem. Jedyną dziwną rzeczą, która rzuciła mu się w oczy, było to, że gościu miał okulary z przyciemnianymi szklami, a w barze jest dość ciemno. I pomimo kaptura przy kurtce na głowie miał czapkę z daszkiem Marinersów. Wobec czego nie jesteśmy w stanie wyeliminować nikogo z miasta.

– Są jakies nagrania z baru z tamtej nocy?

– Mają kamery, ale obraz nadpisuje się po czterdziestu ośmiu godzinach, a to było kilka tygodni temu.

Szlag. Co z tymi kamerami w tej sprawie? – pomyślała, zerkając na monitor komputera, gdzie wciąż widniała fotografia złej jakości. Albo nie działały, albo nagranie zostało skasowane, albo zdjęcie wyszło niewyraźnie.

– Prześlij mi mailem dane tego Chucka. I kontakt do niego – poprosiła byłą partnerkę.

– Jasna sprawa.

Rozmawiały jeszcze przez jakieś dziesięć minut. Settler zapytała o bliźniaczki Rosamie, które teraz miały sześć lat.

– ...a zachowują się jak trzynastolatki, nie uwierzysz, jak szybko rosną. – Następnie Rosamie obiecała, że da jej znać, gdy dowie się jeszcze czegoś o ofierze, i zakończyła rozmowę. Settler odwróciła się do Martineza.

– Czy jesteś w stanie stwierdzić, że na zdjęciu jest czapka Marinersów?

Roześmiał się.

– Nie jestem nawet w stanie stwierdzić, czy tam jest jakaś osoba, a co dopiero określić typ nakrycia głowy.

– Wiem, ale... – Zmrużyła oczy i popatrzyła na fotografię. Jej partner miał rację, nie była w stanie stwierdzić, czy patrzy na mężczyznę, kobietę, cień, ducha, a może w ogóle na nic. – Dziesięć do jednego, że jest tam jakaś osoba. Musimy jeszcze raz sprawdzić wszystkich ludzi z tego piętra.

– Już przydzieliłem to młodej.

– Komu?

– Minie Camp.

– W porządku. – Mina Camp była nowa w wydziale. Niedawno skończyła studia, ale była pełna zapału, szybka i świetnie znała się na komputerach.

– Co powiedziała twoja przyjaciółka z Seattle?

– Że za mało wiemy o Upgarde. Jeszcze. I że jest niezidentyfikowany mężczyzna, którego musimy namierzyć.

– Ten w czapeczce Marinersów?

– Tak. – Settler streściła Martinezowi rozmowę. I wtedy przyszedł mail od Ugali, która przesłała dane barmana, jego numer telefonu i miejsce pracy: Buford's Bar and Grill, Chuck Buford, właściciel.

Snajper załadował swój sprzęt do samochodu. Wcześniej wyczyścił i naoliwił broń, karabin długodystansowy, gdyby musiał strzelać z daleka, i pistolet do ro-

boty z bliska. Następnie upewnił się, że ma dość amunicji. Teraz umieścił broń i dodatkowe magazynki w odpowiednich skrzynkach z tyłu SUV-a.

Miał tu jeszcze coś do zrobienia, więc zostanie dzień lub dwa dłużej, ale dobrze by było wyjechać wreszcie z tego zapchlonego, parszywego motelu w Oakland i znowu zabrać się do pracy. Usiadł za kółkiem, wykonał okrężne ruchy ramionami, żeby pozbyć się napięcia, i odpalił forda. Silnik zareagował już za pierwszym razem. Dobry znak.

Musiał zachować ostrożność, myślał, wycofując z parkingu i spoglądając na jasno oświetloną recepcję, gdzie za ladą pracowała młoda, zaledwie dwudziestoletnia dziewczyna, która w tej chwili rozmawiała z meldującą się kobietą z walizką na kółkach.

Deszczowym świtem nikt inny nie przesiadywał na ganku, nikt też nie wyszedł na dymka. A zatem nikt nie będzie mógł poświadczyć, o której przyszedł i wyszedł. Wiedział też, że ten podrzędny motel ma tylko jedną kamerę bezpieczeństwa, która działa, kiedy chce, co można było złożyć na karb jego wysiłków, kiedy się tu zatrzymywał. Znał się na technologii i był na bieżąco z najnowszymi urządzeniami zabezpieczającymi. To wszystko mu się przydawało. Ale to była jego ostatnia noc w motelu Bayside, czyli Koło Zatoki, który nie miał nic wspólnego z morzem. Nigdy nie zatrzymywał się zbyt długo w jednym miejscu. Nie chciał, żeby ktoś mu się dobrze przyjrzał, żeby go zapamiętał, potrafił go wskazać, a nawet dłużej o nim myślał. Musiał być pozbawionym treści duchem. Przy najmniej wtedy, kiedy pracował. Wróci tutaj po robocie, żeby posprzątać, odczekać, aż opadnie euforia, którą odczuwał po zabijaniu, może na chwilę się zdrzemnie, a potem zajmie się kolejną sprawą, wymelduje się z Bayside na dobre. I nigdy nie wróci. Było dość tanich hoteli, by nigdy nie musiał dwa razy mieszkać w tym samym miejscu.

Wyjechał z parkingu i zagwizdał pod nosem, bo w jego mózgu znowu pojawiły się piosenki znane z dzieciństwa, zasiane tam przez jego drogą, starą babcie. Piosenka „o małym światelku”, jak ją nazywał, była jedną z jego ulubionych. I bardzo szybko wydobywał ją ze swojej szarej masy. Czuł lekką ekscytację. Dobrze było znowu pracować. Przepelniała go radość na myśl, że zajmie się starymi, niedokończonymi wątkami.

Przejechał przez most i włączył GPS, który umieścił pod zderzakiem subaru należącego do Remmi Storm. Kilka sekund później na ekranie pojawiła się mrużąca czerwona kropka, która wskazała mu jej dokładne położenie. Nie tylko on wiedział, gdzie jest, lecz jeszcze ktoś inny. Ta pluskwa działała z aplikacją, do której dostęp mógł mieć więcej niż jeden użytkownik.

Uśmiechnął się do siebie. Czyż technologia nie jest wspaniała?

ROZDZIAŁ 21

Chcąc zyskać pewność, że nikt jej nie śledzi w drodze do domu, Remmi szybko zjechała z głównej drogi i przejechała przez wąskie uliczki, na których gęsto parkowały samochody. Przez cały czas rozglądała się za ogonem, ale nie zobaczyła ciemnego pojazdu jadącego za jej subaru.

– Chyba naoglądałaś się za dużo horrorów – powiedziała sobie. Była w mieście, swoim mieście, a nie na jakiejś odizolowanej, prywatnej, szutrowej drodze, wijącej się głęboko przez las i prowadzącej do nawiedzonego domu, cmentarza lub innego straszego miejsca. Przejechała obok Szkoły Medycznej San Francisco, po czym z powrotem wyjechała na główną ulicę i wjechała na wzgórze, gdzie stał dom. Zaparkowała w stałym miejscu na podjeździe i po raz ostatni oglądając się przez ramię, obrzuciła spojrzeniem mokrą ulicę. Ale tym razem także nie zobaczyła niczego niezwykłego ani podejrzanego. Nigdzie nie czaił się ciemny pojazd.

Dobrze.

Weź się w garść.

Zamknęła samochód. Obładowana siatkami z zakupami wbiegła po frontowych schodach.

Gdy dotarła do drzwi, włączyło się światło na ganku.

– Widziałam, że przyjechałaś. – Jade, wieczorna opiekunka Grety, zamknęła drzwi za Remmi. – Pomyślałam, że przyda ci się dodatkowa ręka.

– Żeby tylko jedna.

– Mam dwie. – Drobna i zwinna Jade dobijała pięćdziesiątki. Była w połowie Azjatką i szczyła się tym, że ma czarny pas w karate i taekwondo. I rzeczywiście jej wygląd to potwierdzał. Była twarda, zbita, krzepka. Czarne włosy wiązała w schludny kok. Nosila spodnie do jogi i tunikę, w których wyglądała równie dobrze jak kobieta o połowę od niej młodsza. Remmi wierzyła w osiągnięcia Jade, chociaż nigdy nie widziała pokazu jej umiejętności w sztukach walki.

– Daj, wezmę je – nalegała Jade i zanim Remmi zdołała zaprotestować, zabrała od niej wilgotne siatki, dzięki czemu Remmi mogła odwiesić płaszcz.

Zawsze czujny Turtles zauważył, że wróciła do domu, i podbiegł, żeby się przywitać.

– O, jesteś – powiedziała, czując się nieco lepiej, gdy już znalazła się w ciepłym domu pachnącym lawendowym potpourri Greta i czymś, co Jade gotowała w kuchni. Potrawa pachniała cebulą i czosnkiem.

– Wołowina po mongolsku – rzuciła Jade, jakby czytała w myślach Remmi.

Zaburczało jej w brzuchu, gdy pochyliła się nad Turtlesem, który aż podniósł dwie przednie łapki, domagając się pieścizot.

– Greta jest w swoim pokoju. – Jade ruszyła rażnym krokiem do kuchni, musiała obejść schody. – Wydaje mi się, że chciała z tobą porozmawiać.

– Jasne.

Remmi zastała Gretę ubraną tak samo jak rano, ale ze świeżą warstwą szminki. Siedziała w swoim ulubionym fotelu do czytania, stopy oparła na starej otomanie. Podniosła głowę, gdy usłyszała kroki.

– Tak mi się wydawało, że przyszedł – powiedziała, lekko zmieniając pozycję i krzywiąc się z bólu. Odłożyła książkę, egzemplarz *Nie jestem sobą*, obok pudełka z chusteczkami stojącego na stole. – Walić ten reumatyzm. – Z westchnieniem poprawiła poduszkę, którą miała za plecami, po czym dodała: – Starzenie się jest przereklamowane. – Powtarzała to Remmi co najmniej raz w miesiącu. – No dobra. To teraz powiedz mi, czego dzisiaj się dowiedziałaś? – zapytała, skupiając swoją uwagę ponownie na młodszej kobiecie. Zawsze cieszyła się na nowe wiadomości. Ten wieczór nie należał do wyjątków.

– Mamy coś do zrobienia. – Remmi zaczęła opowiadać o naprawach niezbędnych w obu budynkach, które dzisiaj odwiedziła, w Sausalito i Berkeley. Greta tylko machnęła niecierpliwie ręką.

– Nie o tym, na miłość boską. Przecież cię znam i wiem, że się tym zajmiesz. Chcę wiedzieć, czego dowiedziałaś się o tej Upgarde. Proszę, siadaj. – Wskazała róg starego łóżka z czterema narożnymi słupkami. Remmi jednak wybrała ławkę przy oknie wykuszowym.

– Nie sądzę, żeby mama знаła Karen Upgarde. A przynajmniej ja nic na ten temat nie pamiętam. Zanim wyjechałam rano, przez kilka godzin próbowałam znaleźć coś na jej temat w sieci. Przeszukałam Internet wzdłuż i wszerz i niczego nie znalazłam.

– Aha. – Greta skrzywiła się z rozczarowaniem. W tej chwili do pokoju w końcu wszedł Turtles, skoczył na otomanę i zwinął się w kulkę przy stopach Greta.

Remmi wyjaśniła, że agencja Reliant to tylko skrytka w punkcie pocztowym. Greta prychnęła.

– A policja? Na pewno coś wiedzą.

– Jeśli dowiedzieli się czegoś więcej, to ze mną się tym nie podzielili. Raczej nie jestem na ich liście osób do powiadamiania. Wydaje mi się, że zamierzają odszukać ciotkę Verę, żeby sprawdzić fakty podane w książce i dowiedzieć się, czy udzieliła do niej wywiadu.

– Albo czy za tym stoi, włącznie z książką – zasugerowała Greta. Remmi już wcześniej zwierzała się starszej kobiecie, więc jej opinia na temat ciotki Very została odpowiednio pokolorowana przez historię młodszej pracownicy. Chociaż Remmi z początku niechętnie opowiadała o swojej rodzinie, stopniowo otwierała się przed starszą kobietą. Głównie przez to, że Greta była ciekawska i ciągle delikatnie ją o coś wypytywała.

– Też o tym myślałam – przyznała Remmi. Ciotka była właśnie taką osobą, która mogłaby chcieć zarobić na zniknięciu swojej siostry.

– A oprócz niej?

– Nie wiem. Może ktoś z Anderstown? Któraś z przyjaciółek Didi, a raczej Edie? A może ktoś, kto jej nie lubił? Jakiś krewny, którego nie znam? Albo ktoś, komu zaufała? – Brała pod uwagę Senecę, Leo Kaspariana, Neda Crenshawa i kilku innych mężczyzn, którzy pojawiali się i znikali z życia Didi. Mężczyzn, z którymi się umawiała, ale za których nigdy nie wyszła za mąż. Poza tym był też jeszcze ten tajemniczy ktoś. Ojciec bliźniąt. A może to była jakaś przypadkowa osoba? Ktoś jej nieznan?

– To frustrujące – przyznała Greta.

– Zgadzam się.

Zadzwoił telefon, Remmi wyjęła go z kieszeni džinsów i zerknęła na numer. Nie znała go, już miała się rozłączyć, ale uznała, że to może być coś ważnego.

– Halo? – odebrała.

– Czy dodzwoniłem się do Remmi Storm? – zapytał poważny męski głos.

– Tak.

– To dobrze – ucieszył się. Głos zaczął jej się z czymś kojarzyć, ale nie mogła połączyć go z twarzą.

– Kto mówi?

– Harold – odparł. – Pamiętasz mnie?

Harold Rimes. Szef matki. Spięła się.

– Skąd masz mój numer?

– To nic trudnego. – Nie odpowiedział, a ona zastanawiała się, czy to on może być człowiekiem z czarnego SUV-a, który prawdopodobnie ją śledził.

– Wiesz, gdzie podziewa się ta twoja matka? – zapytał. – Didi?

– Nie.

Nigdy nie lubiła Rimesa i to się nie zmieniło.

– Wciąż wisi mi pieniądze. Ponad dwadzieścia patyków, więc z odsetkami będzie pewnie dwa razy tyle.

– Dlaczego teraz do mnie dzwonisz?

– Bo tyle się teraz dzieje wokół tej sprawy. Wyszła książka. Wszędzie ją teraz widuję. A poza tym zyskuje coraz większy rozgłos dzięki tej kobiecie, która się zabiła w przebraniu Didi czy też Marilyn. W sieci aż wrze. Wiedziałaś o tym? Ktoś się nieźle na tym obławia i założył się, że to Didi.

– A więc sądzisz, że moja matka żyje? – zapytała.

– Oczywiście, że tak!

Kątem oka Remmi zauważyła, że Greta podnosi głowę.

– Miałaś od niej jakieś wieści?

– Nie, ale ona jest zbyt uparta, żeby umrzeć – stwierdził, a ponieważ Remmi nie od razu odpowiedziała, dodał: – Nieprawdaz?

– Nie wiem – wyznała. – Nie widziałam jej ani nie miałam od niej żadnych wiadomości, odkąd zniknęła w Las Vegas.

– Poważnie?

– Poważnie.

– Jaja sobie robisz?

– A ty ją widziałeś? Kontaktowała się z tobą? – zapytała ponownie.

Roześmiał się szyderczo.

– Gdyby się kontaktowała, nie marnowałbym czasu na ciebie, Remmi – odparł, a sposób, w jaki wymówił jej imię, sprawił, że poczuła gęsią skórę. – Ale ona nie będzie mnie szukała. Wiesz, co mam na myśli? Pamiętaj, dwadzieścia kawałków. Ale uwierz mi, żeby zabić tę kobietę, potrzeba czegoś więcej niż kula ognia na cholernej pustyni. Jest jak kot. Z jedną tylko różnicą: zamiast dziewięciu żyć ona ma dziewięćdziesiąt dziewięć.

– Słuchaj, jeśli masz jakieś informacje...

– Nie, to ja ciebie pytam, czy ty masz jakieś informacje. Jeśli robisz mnie w konia i wiesz, gdzie ona jest, powiedz jej, że chcę swoją kasę z powrotem. I będę jej szukał, aż znajdę.

Spodziewała się, że i ją będzie próbował zastraszyć, ale wtedy się rozłączył. Remmi, bardziej zła niż wystraszona, wetknęła telefon z powrotem do kieszeni.

– Kto to był? – zapytała Greta.

– Stary szef Didi. Istny pasożyt. Chciał wiedzieć, czy się orientuję, gdzie przebywa, i czy miałam z nią jakiś kontakt.

– Tego się domyśliłam.

Remmi streściła jej całą rozmowę i powiedziała, co sądzi o Haroldzie Rimesie.

– Sądzisz, że jest niebezpieczny? – zapytała Greta.

Remmi się skrzywiła.

– Zawsze odnosiłam wrażenie, że bardziej szczeka, niż gryzie. To jeden z tych facetów, którzy lubią rozpychać się łokciami i zastraszać, ale tak naprawdę w środku są tchórzami. – Przypomniała sobie ten incydent w klubie, kiedy została złapana na „pożyczeniu” sobie powieści Stephena Kinga, i poczuła się podobnie, jak wtedy, gdy jego oślizgłe spojrzenie wędrowało po jej ciele. – Ale nie sądzę, że może nam zaszkodzić.

– Skoro tak mówisz. – Greta nie była przekonana, ale Remmi zdołała skierować rozmowę z dala od tej pijawki, szefa Didi.

– A co tutaj się działo?

– Nic wstrząsającego ani nawet ciekawego. – Greta wyjaśniła, że firma, którą wynajęła do zawieszenia świątecznych światełek, skończy pracę jutro, a bardziej prawdopodobne, że pojutrze. – To rzeczywiście ekscytujące. – Zmarszczyła brwi i zapytała Remmi, czy chce zjeść z nią kolację. – Będzie wołowina po mongolsku.

– Słyszałam, pięknie pachnie, ale nie dzisiaj. – Była wykończona i nie miała ochoty odpowiadać na niekończące się pytania Grety. – Do zobaczenia jutro. – Wychodząc, wyjęła z kieszeni płaszcza pogniecioną kanapkę, po czym ruszyła na górę, prawie potykając się o Ghosta, który schował się pod jednym z przednóżków. Kot zaszczał, ukazując ostre jak igły kły, położył uszy na głowie, po czym zbiegł po schodach i zniknął jej z oczu.

– Przyjemniaczek – mruknęła, po czym głośniejsz dodana: – Mnie też miło cię widzieć, Ghost. – Następnie przemierzyła pozostałe schody wiodące na jej piętro, po drodze rozwijając kanapkę. Ponownie zaburczało jej w brzuchu, jako że minęło już kilka godzin, odkąd zjadła batonika. Ugryzła kęs kanapki, po czym odłożyła ją na talerz i odkorkowała butelkę chardonnay, którą znalazła w lodówce. Zjawił się Romeo i wskoczył na blat, jakby był właścicielem tego miejsca. – Zostaw to – ostrzegła, bo spojrzał z zainteresowaniem na kanapkę. Dzisiaj nie miała zamiaru się z nim dzielić. – Słyszysz?

Kot usiadł na skraju blatu, opuścił długi ogon, który lekko drżał, kiedy zwierzak wpatrywał się w jej kolację. Nie ufała mu ani przez chwilę.

Zabrała talerz i kieliszek do salonu, usiadła w swoim ulubionym fotelu, znalazła pilota i włączyła telewizor, żeby obejrzeć wiadomości. Miała nadzieję, że przekażą więcej informacji o Karen Upgarde, ale zawiodła się, bo prezenter właśnie zapowiadał pogodę, miała przyjść burza, a potem były już tylko wiadomości sportowe. Seahawks byli faworytami w niedzielnym meczu przeciw 49ers na miejskim stadionie Levi's.

Pomiędzy kęsami żytniego chleba z tuńczykiem i piklami przełączała kanały, ale nie znalazła niczego na temat kobiety, która skoczyła z dziewiętnastego piętra hotelu Montmort Tower.

To już przestarzałe informacje.

Podobnie jak rano włączyła iPada, ale znowu nie znalazła niczego nowego. Umyła naczynia, włożyła piżamę i jeszcze przez godzinę siedziała przy komputerze, próbując znaleźć cokolwiek na temat ludzi, których Didi wpisała do swojego notesu. Ale do niczego się nie dokopała.

Mamrocząc pod nosem, patrzyła, jak Romeo zwija się w kulkę na jej kanapie. Przeciągnęła się. Było za wcześnie, żeby iść do łóżka, a telewizja jej nie interesowała. Może poczyta książkę, którą już zaczynała trzy albo cztery razy, kryminał, w który nie mogła się wciągnąć. Wstając, zerknęła przez okno. Zakłuło ją serce. Ciemny SUV ponownie parkował na tym samym miejscu, co wczoraj wieczorem.

Wrócił?

Była pewna, że ten facet ją śledził.

Wyłączyła światło, żeby nie być widoczna. Następnie ponownie wyjrzała przez okno. Czy ktoś jest na siedzeniu kierowcy?

Może. Stąd nie widziała. Z sercem w gardle postanowiła, że musi się dowiedzieć, kto jest właścicielem tego samochodu i dlaczego nagle zaczął parkować tuż przed domem. Zejdzie na dół i zrobi zdjęcie tablicy rejestracyjnej pojazdu. Jeśli należy do kogoś mieszkającego w okolicy albo gościa, to nic złego się nie stanie. A przynajmniej zaspokoi swoją ciekawość.

Ponownie się ubrała. Wzięła z kuchni torebkę i wyjęła z niej latarkę, którą zawsze nosiła przy sobie, a także pilota do subaru. Z szafy w sypialni wyjęła krótką kurtkę. Wsadziwszy wszystko do jej kieszeni, ruszyła w stronę zewnętrznych schodów, tych, które zostały przerobione z dawnych schodów przeciwpożarowych. Pilota do samochodu może użyć w razie niebezpieczeństwa. Migotanie światel i odgłos wydawany przez auto mogą wystraszyć osobę, która zamierzała ją skrzywdzić, lub zaalarmować sąsiadów, że znajduje się w niebezpieczeń-

stwie. Latarka była na tyle silna, by na chwilę oślepić napastnika. A jeśli wciśnie odpowiedni guzik, świecąc mu w twarz, uwolni ostre metalowe krawędzie wokół żaróweczki, którymi może pokaleczyć napastnika, gdyby ten niespodziewanie znalazł się w bliskiej odległości od niej.

Oczywiście miała nadzieję, że nic takiego się nie zdarzy. Ponownie przypomniała sobie, że za bardzo panikuje. Że, tak jak wspominała Greta, to prawdopodobnie sąsiad zmienił samochód lub wynajął jakiś z wypożyczalni. Albo przyjechał do niego jakiś gość. Może dzieciaki wróciły z college'u?

Brzmi dobrze, pomyślała. Jej puls poszybował.

Zrobi zdjęcie tablicy rejestracyjnej SUV-a i dowie się, do kogo należy.

Miała nadzieję, że zrobi to cichaczem. Że nie dojdzie do konfrontacji. Ruszyła przez swoją małą kuchnię i w duchu zmówiła szybką modlitwę.

Zabójca rozpoczął akcję.

Karabin wystarczy. Czule pogłaskał lufę, po czym ruszył wzdłuż ścieżki, uważając, żeby nie narobić hałasu. W domu świeciły się światła, sprawdził drogę.

Spokojnie.

Żadnego ruchu.

Dobrze.

Musiał jedynie czekać na właściwą chwilę. Jakiś pies szczekał zbyt blisko jak na jego gust, ale zmusił się, żeby nie reagować. Żeby się uspokoić, odetchnął głęboko chłodnym nocnym powietrzem. Na ułamek sekundy zamknął oczy.

I już był gotowy. Każdy mięsień miał napięty.

Czas działać.

Założył na nos noktowizor, który wcześniej miał na czubku głowy, i voilà... Ciemna noc stała się pozbawionym kolorów dniem.

Doskonale.

W głowie odezwała mu się znajoma melodia z dzieciństwa.

Założywszy kaptur na głowę, Remmi wyjrzała przez okno znajdujące się w wychodzących na tył domu drzwiach jej kuchni. Nic. Żadne licho nie czało się na schodach. Duch Didi nie krył się za drzwiami przy porośniętej powojami ścianie. Tylko ciemność z tej strony domu. Ściskając latarkę, wyszła na dwór i zaczęła schodzić po schodach.

Deszcz padał równym tempem. Listopadowe powietrze było chłodne. Nisko wiszące chmury tłumiły światło latarni. Na razie nieźle. Nie... Czekał.

Właśnie zesła na pierwsze półpiętro, gdy poczuła wibracje. Zamarła, próbowała coś zobaczyć w deszczu, próbowała coś usłyszeć poprzez nieustanne kapanie i bulgotanie wody płynącej z rynien.

Jaki hałas.

Czyżby kroki?

Ścisnęło ją w gardle.

Głuchy odgłos. Potem kolejny. I wibracje. Jedno po drugim. Już nie miała wątpliwości. Ktoś wchodził po schodach. Napięła wszystkie mięśnie, gdy zerknęła w dół i pomiędzy stopniami na półpiętrze pod sobą zobaczyła ciemną postać.

Na chwilę spanikowała. Chciała uciekać na górę, wrócić do mieszkania, gdzie była bezpieczna. Mogła zamknąć drzwi na zasuwę. A gdyby się dobijał, zadzwoniłaby na 911 i zaalarmowała Jade i Gretę. To byłoby rozsądne posunięcie. Ale wtedy nie dowiedziałyby się, kto to. Do licha. Włączyła latarkę. Ostry snop światła oświetlił klatkę schodową. Skierowała go w dół na twarz patrzącego w górę mężczyzny.

– Jezu! – wykrzyknął, zasłaniając ręką czoło i oczy.

– Kim jesteś? – zapytała z walącym sercem. Mężczyzna się zatrzymał. – I co tutaj robisz?

– Co to, do cholery, jest? Wyłącz to!

W tej chwili go rozpoznała.

Głos zamarł jej w gardle. Nie była w stanie oddychać. Wstrząśnięta, z sercem, które chciało, wyrwać się z jej piersi, patrzyła na twarz Noaha Scotta.

Chłopaka z Las Vegas. Który się za nią wstawił i prawie zginął na pustyni.

Chłopaka, który nawiedzał ją w snach przez cholerne dwie dekady.

Miała wrażenie, że czas stanął w miejscu. Usta miała suche jak wiór. W oczach zapiekły ją łzy, choć nie rozumiała, co je spowodowało. Nie padły żadne słowa, chociaż w jej głowie pojawiło się tysiąc pytań. Gdzieś niezbyt daleko ktoś odpalił samochód.

– Na miłość boską, Remmi. Chcesz mi wypalić oczy? Wyłącz to cholerne coś!

– Noah – wyszeptała, wciąż nie dowierzając. Wokół niej padał deszcz.

– Tak, Remmi, to ja – odparł. Miał niższy głos, niż zapamiętała. – Możesz to zrobić? Bo mnie oślepisz.

– Ale dlaczego? – pytała, nadal nie wierząc, że go widzi. – Co tutaj robisz?

Odwrócił głowę, żeby nie patrzeć w snop światła i wtedy to zobaczyła. Miał bliźnię na dole szyi, ślad po kuli, która prawie odebrała mu życie. Westchnął i ruszył na górę.

– Przyjechałem do ciebie.

ROZDZIAŁ 22

Noah się skrzywił. Szlag, ależ ostre było to światło.

– Do mnie? – powtórzyła Remmi, tonem, który przywodził na myśl wspomnienia gorących letnich nocy sprzed dwudziestu lat. Przez chwilę wyglądała na oszołomioną. Nie był pewien, czy mu uwierzyła. – Przyjechałeś do mnie? Żartujesz sobie? Po tak długim czasie?

– Tak. Moglibyśmy zejść z deszczu? I wyłączyć to cholerne światło.

– Chcesz wejść do środka? Oszalałeś? Przecież nawet cię nie znam!

– Oczywiście, że znasz. – Deszcz kapał mu za kołnierz. A ona wciąż nie wyłączała tego okropnego, przyprawiającego go o ból, światła. Zamknął oczy, by na chwilę się od niego odgrodzić. Usłyszał, że ktoś zapuszcza silnik i gdzieś blisko rusza samochód.

– Minęło dwadzieścia lat, Noah – rzuciła przez zaciśnięte gardło. – Nie, nie zejdziemy z deszczu. Zresztą co, do cholery, tutaj robisz?

To z pewnością była ta sama dziewczyna, którą zapamiętał, laska z jajami, bystra ładna dziewczyna, pyskata i ocytana, zawsze gotowa do nowych wyzwań. Uznał, że niewiele się zmieniła.

– Widziałem cię w telewizji – wyjaśnił. Oczywiście mógłby do niej podejść, światło przecież go nie paraliżowało, ale nie chciał jej jeszcze bardziej wystraszyć. – Stałaś w tłumie pod Montmort, kiedy skoczyła ta kobieta.

– No i?

– Już wcześniej zacząłem cię szukać. Wtedy dopiero co dowiedziałem się, że mieszkasz w San Francisco. A potem, jak na potwierdzenie, zobaczyłem cię w telewizji.

– I co, sądzisz, że ci uwierzę? – prychnęła.

– To prawda, na miłość boską. I możesz już to wreszcie wyłączyć?

Zawahala się. Mruknęła coś pod nosem, ale wyłączyła latarkę. Na klatce schodowej natychmiast zrobiło się zupełnie ciemno. Przez kilka sekund, dopóki jego wzrok się nie przyzwyczaił, absolutnie nic nie widział.

– Nie podoba mi się to, że mnie stalkowałeś – rzuciła.

– Słucham? Jak to stalkowałem? Przecież nie...

– Mogłeś użyć dzwonka na dole – wytłumaczyła, przerywając mu. – No wiesz, tak jak normalny człowiek? Poza tym, skąd w ogóle wiedziałeś, że tu jestem? I że mieszkam na drugim piętrze?

– Widziałem, że włącza się światło.

– No właśnie – zachnęła się. – Tak jak mówię: stalker.

Uniósł rękę. Powoli zaczynał już widzieć i przekonał się, jaka jest zła i wystraszona. Nie miał zamiaru jej przestraszyć.

– Wiem, że w tym domu mieszkają też inni ludzie. – Już miała coś powiedzieć, oskarżyć go, ale nie dopuścił jej do głosu. – Tak, sprawdziłem to. Nadała się jeszcze bardziej. I nadal trzymała w ręce latarkę, tak jakby to była broń. Ścisnęła ją jedną ręką, gotowa uderzyć. – Nie chciałem ich niepokoić.

– Chociaż wcale nie jest późno i świecą się inne światła. Tak robią normalni ludzie.

– Dobrze, następnym razem zrobię to normalnie. Chociaż jeżeli chodzi o nas, trudno mówić o normalności – powiedział z przekąsem, patrząc na nią. Po jego twarzy spływały lodowate krople.

– Nas – powtórzyła. Widział, że stojąc na wyższym stopniu, patrzy na niego ze złością. – Zjawiasz się jak grom z jasnego nieba, bo zobaczyłeś mnie w telewizji po upływie dwudziestu lat.

Źrenice Noaha wróciły do normalnej wielkości. Znowu widział przytłumione deszczem światła miasta.

– Nie chciałem cię przestraszyć.

– Wobec tego mogłeś skorzystać z frontowych drzwi.

– Dobrze, już dobrze. Mam zejść na dół i zadzwonić?

Nie podobała jej się kpina w jego głosie.

– Może.

– A tymczasem tak tu sobie mokniemy – zauważył.

– Do diabła. – Głęboko westchnęła i ruszyła z powrotem na górę. – No dobra, wchodź. – Dotarliszy na szczyt schodów, otworzyła drzwi i weszła do środka. Noah szedł kilka kroków za nią. – Zamknij za sobą – rozkazała. – Dzieją się tu dzisiaj dziwne rzeczy.

– Na przykład ja? – zapytał.

– Bardzo możliwe.

Jej buty do biegania pozostawiły mokre ślady na kuchennej podłodze. Zaprowadziła go do małego salonu z dużymi oknami z panoramicznym widokiem na zatokę. Pokój był przytulny. Architektonicznie datował się na poprzedni wiek. Wypełniały go meble, które widziały już lepsze czasy, i wzorzysty dywan, który zakrywał większą część porysowanej drewnianej podłogi. Przy jednej ścianie stał regał zastawiony książkami w miękkiej i w twardej oprawie, kilkoma drobiazgami i stosem magazynów. Na kanapie leżał włączony iPad, a na stole pozostałości po kanapce.

– Może powinieneś zacząć od początku? – zaproponowała. A on zauważył, że nie odłożyła latarki z ostrą metalową obramówką. – Od kilku dni mnie śledzisz, prawie dostałam przez ciebie zawału – oskarżyła go i zacisnęła usta w cienką linię. Oczywiście miała tak zielone, jak zapamiętał. Teraz je zmrużyła i patrzyła na niego ze złością. Zdjęła kurtkę, woda z niej kapła na dywan. Nie zwróciła na to uwagi. Szarpała się z jednym rękawem, ponieważ nadal nie odkładała swojej broni.

– O czym ty mówisz?

– Widziałam cię.

– Jak cię śledzę?

– Tak, twojego SUV-a. – Uwolniła się wreszcie od kurtki i rzuciła ją na oparcie fotela. On rozpiął swoją. – Wczoraj. Zeszłej nocy parkowałeś przed domem i... – Zamilkła, widząc jego minę. – No co? – zapytała, tracąc impet. – To był jakiś ciemny explorer albo pathfinder, albo tahoe. Jeździłeś za mną wczoraj, kiedy...

– To nie ja. Jeżdżę srebrnym pick-upem.

Zmarszczyła brwi, podeszła do okna, wyjrzała na ulicę i aż ją zatkało.

– Ale przecież tu stał. – Spojrzawszy ponownie na ulicę przed domem, przemknęła przez pokój i krótki korytarz. Pospieszył za nią. Stała przy oknie w sypialni i wbijała wzrok w ciemność. Pokój był mały, dominowały w nim łóżko i toaletka, która pamiętała lepsze czasy. Wszystkie obrazy na ścianie przedstawiały czarno-białe krajobrazy miast, nie było tam nic osobistego.

– Stał tutaj – rzuciła, stojąc po drugiej stronie łóżka. – Dokładnie tutaj. – Wskazała palcem i postukała w szybę. – Już odjechał, ale widziałam go niecałe dziesięć minut temu.

Stanął za nią i wyjrzał przez jej ramię, zobaczył puste miejsce przy krawężniku.

– Masz na myśli tego SUV-a.

– Tego, który za mną jeździł! Twierdzisz, że nie należy do ciebie?

Położył dłonie na jej ramionach. Poczul, że się wzdryga. Odwrócił ją lekko, żeby spojrziała na chodnik nieco poniżej wzgórza.

– Mój stoi tam. – Wskazał ponad jej ramieniem, prawie dotykając jej ucha. – Ten pick-up chevy silverado cztery na cztery.

Zobaczyła przód auta i przednią szybę dzięki światłu z latarni ulicznej.

– Tamten?

– Tak.

Przekręciła szyję i ponownie spojrziała na ulicę przed domem.

– Stał tutaj – powtórzyła, patrząc w puste miejsca. – Zeszłej nocy i ponownie kilka minut temu. To dlatego wyszłam z mieszkania.

– Żeby skonfrontować się z tym facetem? Oślepić go?

– Mów, co chcesz. – Ani trochę nie śmieszył ją jego żart. Uniosła latarkę. – Można jej także użyć jako pałki.

– Jestem tego świadom. Ale pojazd, który widziałaś, nie należał do mnie.

– Wobec tego do kogo?

Nadal trzymał dłoń na jej ramieniu, poczuł ciepło jej ciała pod swetrem. Wtem, jakby uświadomiła sobie, że wciąż jej dotyka, spięła się i odsunęła od niego.

– Nie wiem, może należy do...

– Sąsiadów. Do jakiegoś ich przyjaciela, który czasami wpada z wizytą? Albo do kogoś, kto mieszka w pobliżu? Słyszałam różne teorie. Nie mam pojęcia, czy trzymają się kupy. Ale, jeśli nawet, jeśli nawet ten SUV należy do któregoś z sąsiadów lub ich przyjaciół, to dlaczego mnie śledził? – Odwróciła się w jego stronę. Jej twarz znajdowała się zaledwie kilka centymetrów od niego, czuł promieniujące od niej ciepło ciała.

– Jesteś pewna, że...

– Tak!

– Sam już nie wiem, Remmi – przyznał.

Przez chwilę patrzyła na niego wyzywająco, potem ciężko westchnęła.

– Do licha. Czyżbym traciła zmysły? Czy to wszystko sobie wymyśliłam? Przez to, co się stało? Bo kobieta, która wygląda jak Didi, skoczyła z okna?

– Nie sądzę, żebyś była psychiczna.

– Chodź – mruknęła, przechodząc do drugiego pokoju.

Usiadła w rogu wytartej kanapy, po czym wskazała wypłowiwały fotel i zaprosiła go:

– Może siądziesz i opowiesz mi, dlaczego tu przyjechałeś? Opowiadaj wszystko. Dlaczego zjawiłeś się teraz?

– Ponieważ – zaczął – mam przeczucie, że to znowu się zaczyna.

– Co?

– To, w co wplątaliśmy się tamtej nocy na pustyni.

Z jej miny domyślił się, że uważa podobnie.

– Ze względu na to nagłe zainteresowanie Didi Storm?

– Częściowo tak – przyznał i wtedy zza kanapy wyszedł duży kudłaty kot. Bez wysiłku skoczył na poduszki, a następnie na oparcie. Gdy się rozsiadł, wbił złote, nieruchome oczy w Noaha.

– To jest Romeo – przedstawiła kota. Noah zdjął kurtkę i zawiesił ją na tym samym oparciu, na którym ona zostawiła swoją. Pochyliwszy się do przodu, Remmi wzięła obie kurtki i szybkim ruchem rzuciła je na ławkę stojącą koło regału. – Przepraszam za sierść. Ten gościu to jeden z kotów mojej gospodyni. Ma trzy i mogą chodzić po całym domu. Romeo lubi przychodzić do mnie, gdy tu jestem. – Bezwiednie głaskała dużą głowę zwierzęcia, podczas gdy Noah usiadł na fotelu. Skórzanym, którego nie trzymała się sierść.

– Więc jest to kot obronny?

Kącik jej ust uniósł się w sposób, który uznał za intrygujący i seksowny. Tego się nie spodziewał.

– Ten tutaj? – Ponownie pogłaskała kota. – Nie za bardzo. – Postanowiła wrócić do tematu ich rozmowy. – Mówiłeś, dlaczego się tu dzisiaj zjawiłeś. Skoro nie chodzi tylko o Didi, to o co jeszcze chodzi?

– Chciałem cię znowu zobaczyć.

Roześmiała się.

– Tak, pewnie.

– Naprawdę. Zobaczyłem nagranie tłumy otaczającego budynek. I byłem przekonany, że ujrzałem tam ciebie. Nie mogłem w to uwierzyć i chciałem ponownie się z tobą zobaczyć.

– Dlaczego zajęło ci to tyle czasu?

– Ponieważ uciekałem, przynajmniej na początku. Byłem przerażonym dzieckiem. Ktoś próbował mnie zabić tamtej nocy na pustyni. I do tej pory nie wiem kto. Pamiętam, że się zbliżał, miał karabin, od tyłu oświetlał go ogień. Odniosłem wrażenie, że skądś go znam. Ale potem wszystko ogarnęła ciemność, a ja ocknąłem się w szpitalu, gdzie podsłuchałem, jak pielęgniarki mówią, że ktoś przyszedł mnie odwiedzić. Jakiś facet, który się nie wylegitymował. Poza tym

chciała mnie też przesłuchać policja. To wszystko zapowiadało kłopoty. Wobec tego uciekłem tak szybko, jak potrafiłem. Ukradłem forszę ojczymowi i autostopem pojechałem do LA. – Tutaj zamilkł, a ona na niego patrzyła.

Powoli pokręciła głową.

– Po czym następuje szybki przeskok i jesteś tutaj w moim salonie. Co się, do cholery, wydarzyło przez te lata?

– Dużo. Zaciągnąłem się do wojska. Pewnie nie uwierzysz, ale zostałem żandarmem wojskowym. – Ujrzał błysk w jej oku. – Tak, wiem. Chłopak, który zawsze miał gdzieś autorytety.

Ponownie jej usta drgnęły, jakby tłumiała uśmiech. Prawdopodobnie przypominała sobie jego dawne zatargi z prawem.

– Tak czy owak, zwolniłem się dwa lata temu. Nie wytrzymałem pełnych dwudziestu lat, żeby zgarnąć ładną emeryturę. Ale miałem już dość. Cały czas oglądałem się przez ramię. Zawsze myślałem, że ktoś, nie wiem kto, może być tym sukinsynem, który wysadził samochód i mnie postrzelił. Zostawił mnie na pewną śmierć, potem próbował dokończyć robotę, jestem pewien, że dlatego zjawił się w szpitalu. Wobec tego uciekałem przez długi czas. Ale miałem już dosyć.

Przysłuchiwała się, wciąż pieszcząc kota, kudłata bestia usiadła jej na kolanach. Noahowi wydawało się, że Remmi mu nie wierzy. Przynajmniej nie do końca. Kiedy podniosła wzrok, w jej oczach wciąż dostrzegał powątpiewanie.

– Więc po co przyjechałeś do San Francisco?

– Przez tę książkę. Agentka jest stąd, więc pomyślałem, że to będzie mój punkt startowy.

Chciała coś powiedzieć, ale się rozmyśliła. Zamiast tego rzuciła:

– Nigdy nie wróciłeś do Las Vegas?

– Nie, ty wyjechałaś, Ike i mama się rozstali. Mieszka teraz w pobliżu Reno, w sumie bliżej Carson City. Na parkingu dla przyczep. Mówi, że rzuciła picie. – Wzruszył ramionami. – Kto wie, czy to prawda? Ale mówi składnie i jakoś sobie radzi. Jeśli chodzi o Ike'a, to nie wiem, gdzie się podziewa, i w ogóle mnie to nie obchodzi. – Noah spojrzął jej w oczy. – To żałosny, wredny skurwysyn.

– Żadnych utraconych miłości?

– Nie było czego tracić.

– A co z twoją mamą? – zapytała.

– Już ci powiedziałem.

– Widujesz się z nią?

Pokręcił głową i wyjaśnił:

– Kiedy wyszedłem z wojska, odkryłem, że kłamała. Mój ojciec nigdy nie siedział w więzieniu. Po prostu nie chciał żony i dziecka w wieku osiemnastu lat. Spotkałem się z nim. Sprzedaje ubezpieczenia w Boise. Ma żonę i troje dorosłych dzieci, jedno wciąż na studiach, jest dziadkiem.

– Utrzymujesz z nim kontakt?

– To za dużo powiedziane. Po prostu się znamy. Nie mamy bliższych stosunków. Zarzuciłem kłamstwo Corze Sue, a ona odpowiedziała, że według niej najlepiej było, żebym sądził, że ojciec gnije w więzieniu. Ale według mnie tak było łatwiej dla niej. – Wzruszył ramionami. – Raz w miesiącu rozmawiam z matką. I mniej więcej równie często z facetem, o którym teraz myślę, że jest moim ojcem. To obcy człowiek. Jego dzieci, moje przyrodnie rodzeństwo, to też obcy ludzie. Możemy sobie co najwyżej wysłać kartki na święta. Ale raczej do tego nie dojdzie. Przynajmniej nie w najbliższej przyszłości.

– A ja chciałabym zobaczyć się z matką, gdyby była taka możliwość.

– Po tym, co ci zrobiła? A także twojemu bratu i siostrze?

– Tak, z całą stanowczością, ponieważ chcę wiedzieć, co się stało, dlaczego mnie opuściła. I gdzie są bliźniaki.

– A potem?

– Nie wiem – przyznała. – Nigdy nie zapuszczam się myślami tak daleko. Chyba chciałabym, abyśmy mogły zacząć wszystko na nowo.

Noah w zamyśleniu drapał się w podbródek. Jego palce szorowały po dwuniciowym zaroście.

– Czasami po prostu nie wychodzi. Tak to już jest.

Zapadła między nimi cisza. Ten temat już się wyczerpał.

– A ty, Noah, co robisz? No wiesz, jak zarabiasz na życie?

– Jestem prywatnym detektywem. Zdobyłem licencję, jak tylko pożegnałem się z wojskiem.

Przestała głaskać kota.

– Mówisz serio?

– Tak.

– Gdzie mieszkasz?

– W LA. Niedawno zakończyłem śledztwo, nie zacząłem jeszcze następnego, więc pomyślałem, że zajmę się własną sprawą. Dla siebie. – Wytrzymał jej spojrzenie i w końcu dotarł do najważniejszej kwestii. – Może też dla ciebie. Uznałem, że chciałbym się dowiedzieć, co się stało z twoją matką. Sprawa, w którą była zamieszana wtedy na pustyni, prawie kosztowała mnie życie.

Uniosła jedną brew.

– Ja też tam byłam.

– Ty?

– W cadillacu Didi. W specjalnej przestrzeni bagażowej. Zamierzałam wyknąć się z domu, żeby się z tobą spotkać, pamiętasz? – zapytała.

Widział w mediach wzmianki, że córka Didi twierdzi, iż doszło do sprzedaży dziecka, i że wraz z matką była tamtej nocy na pustyni. Wiedział o Didi, pamiętał, że widział jej dużego białego cadillaca. Opowieść Remmi była niepełna, pochodziła z ust zestresowanej nastolatki. Poza tym nie było żadnego dowodu na to, że dziecko splonęło w pożarze samochodu na pustyni Mojave. Doszło tam do morderstwa, wiedział, że jakiś mężczyzna został zastrzelony i spalony w mustangu. Ponadto ktoś próbował zabić także jego. Bezwiednie dotknął blizny na szyi.

Remmi ciągnęła:

– Tamtej nocy Didi wróciła do domu wcześniej, niż się spodziewałam, więc musiałam się schować. Weszłam do bagażnika cadillaca, nie wiedząc, jakie matka ma plany. Chciałam stamtąd wyjść najszybciej, jak się da, ale ona nieświadomie zabrała mnie ze sobą. Przez szparę między tylnymi siedzeniami widziałam, że wiezie bliźniaki na pustynię. Wiesz już o tym wszystkim, prawda? Masz świadomość, że oddała jedno z dzieci jakiemuś facetowi, który niby miał być ich ojcem. Wzięła za to pieniądze. – Nieco zbladła na to wspomnienie i posmutniała.

– Tak, czytałem o tym w gazecie.

Prawda była taka, że pochłaniał każdą informację, którą udało mu się znaleźć na temat Didi Storm, wybuchu i polowania na mordercę. Owszem, wtedy dał nogę, ale jego życiową misją stało się odnalezienie typa, który za tym stał, i postawienie go przed sądem.

– A ty skąd się tam wzięłaś? – zapytała.

– Buntowałem się przeciw Ike’owi, Corze Sue i całemu cholernemu światu. Ike narzucał mi swoją wolę, wobec tego bez pozwolenia zabrałem jego motocykl. Byłem wkurzony. Ty nie zjawiałaś się na spotkaniu, więc byłem rozczarowany i wściekły. Skończyło się na tym, że znalazłem się w złym miejscu o złej porze.

– Podobnie jak ja. – Spojrzała na niego. – Zakładam, że przeczytałeś książkę?

– O Didi? Tak.

– Wydaje mi się, że autorka nie istnieje. Nie byłam w stanie się z nią skontaktować. Agencja to tylko skrytka pocztowa i poczta głosowa. Też to sprawdziłam.

Tym razem to on się uśmiechnął.

- I wtedy wkraczam ja.
- Co masz na myśli?
- Już z nią rozmawiałem.
- Z kim? Z Maryanne Osgoode? – zapytała, zaskoczona. – To prawdziwa osoba?
- To pseudonim.
- Wiedziałam, że to nazwisko jest fałszywe! – Zerwała się na nogi. Wystraszony kot skoczył na oparcie kanapy, wygiął grzbiet i z wyrzutem spojrzął na Noha. – Autorka to żywa osoba? Gdzie mieszka?
- W Sacramento – odparł.
- Gdzie znalazłeś tę informację?
- W Internecie można znaleźć dużo rzeczy, jeśli się wie, jak pokonać kilka przeszkód. A mój człowiek od informatyki... – Uniósł rękę i lekko ją przekrzywił. – Zna się na robocie hakerskiej. Dowiedziałem się, że ta Maryanne pojechała nawet do Las Vegas i przeprowadziła wywiad ze starym szefem Didi.
- Haroldem Rimesem? – Ścisnęło ją w żołądku. – Zabawne. Nie uznał za stosowne, żeby mi o tym powiedzieć, kiedy zadzwonił. Co za menda.
- Dzwonił do ciebie?
- O tak, dzisiaj. Twierdził, że Didi wisi mu pieniądze i że chce je odzyskać. Próbował mnie zastraszyć.
- Przyjemniaczek – powiedział z przekąsem.
- A z ciotką Verą, Verą Gibbs? Czy z nią też rozmawiała? Z kimś musiała, żeby uzyskać wszystkie te stare informacje na jej temat, gdy była dzieckiem w Missourii.
- Tak, ona też udzieliła wywiadu – potwierdził. – I uwaga, niespodzianka. Maryanne Osgoode tak naprawdę nazywa się Gertrude Crenshaw. – Odczekał chwilę, patrząc, jak Remmi łączy kropki.
- Trudie? – wyszeptała oszołomiona. – Moja matka miała przyjaciółkę... i... – Ściągnęła brwi. – Crenshaw? Tak jak Ned Crenshaw?
- Aha. Biografka twojej mamy wyszła za jednego z byłych mężów Didi. – Pownowicie odczekał chwilę, by dotarła do niej ta nowina, a następnie dodał: – A więc można powiedzieć, że ta Maryanne Osgoode miała dość dobre źródła informacji.
- Tak sądzę. Ale myślałam, że Ned mieszka w Montanie albo...
- W Boulder w Kolorado. Mieszkał tam. Przeprowadził się kilka lat temu, teraz można go znaleźć w Sacramento.

– Rozmawiałeś z nim?

– Jeszcze nie. Wszystkiego dowiedziałem się od...

– Od swojego przyjaciela hakera – dokończyła, wstając. Podniosła obie kurtki i rzuciła mu jedną. – Jedziemy.

– Teraz?

– Tak, teraz. Minęło już zbyt dużo czasu. Sacramento, gdzie to jest? Jakies dwie godziny drogi stąd, może półtorej, jeśli dociśniemy? – zapytała, zerkając na zegarek elektroniczny stojący na półce między książkami. Naprawdę było dopiero wpół do ósmej? Było już tak ciemno. – Dojedziemy tam na dziesiątą, może nawet wpół do dziesiątej, jeśli będziemy mieć farta. Ja prowadzę.

– Ja prowadzę – nalegał, klepiąc się po kieszeniach džinsów, a następnie kurtki. – Czekaj chwilę, chyba wypadł mi portfel. Nie ma go.

Sięgnęła do kieszeni. Ku jego zaskoczeniu wyjęła z niej należący do niego skórzany portfel. Złapał go w locie.

– Ale, czekaj... – zaczął, po czym zrozumiał. – Przegrzebałaś mi kieszenie?

Posłała mu cwany uśmiech.

– Kaspar Wielki był moim ojczymem. Jednym z nich.

– Ten magik – stwierdził, uświadamiając sobie, że nie wie jeszcze wielu rzeczy o Remmi Storm. – Jak to zrobiłaś?

– Nigdy nie wyjawiam swoich sekretów – odparła i po raz pierwszy tego wieczoru dostrzegł w niej nastolatkę, która lubiła się z nim przekomarzać i flirtować.

– Okej, więc dlaczego?

– Musiałam cię sprawdzić i przekonać się, że jesteś uczciwy. – Spoważniała. – Jak już mówiłam, tak naprawdę przecież cię nie znam.

– Udało mi się zaliczyć ten test?

– Na tróję, czyli wystarczająco.

Co oznaczało, że nie przyłapała go na żadnym oczywistym kłamstwie.

Jak na razie.

– Kiedy miałaś czas, żeby to sprawdzić?

– Stałeś za mną, prawda? W sypialni.

– Szybka jesteś.

– Tak. I dobra. Chodźmy. – Zdjęła torbę z krzesła. – Ja będę prowadzić. – Spojrzała mu w oczy, jakby spodziewała się, że będzie oponował. Uniósł ręce w pojedynczym geście. – I zabieram ze sobą latarkę.

Nie protestował.

Nie musiał.

Miał pistolet.

ROZDZIAŁ 23

– Nie powinniśmy byli się w to mieszać. To był błąd od samego początku. – Ned Crenshaw nakładał widłami siano do żłobu i rozmawiał ze swoją żoną. Znajdowali się w stajni, a on karmił konie. Frontowa część budynku była oświetlona, ale od tyłu nadal było ciemno, ponieważ przekręcił tylko jeden włącznik. Dziś wieczorem zamierzał szybko uwinąć się z robotą, ponieważ w telewizji leciał ważny mecz, a on przegapił już pierwszą połowę.

Nova, jego ulubiona gniada klacz z mądrymi oczami, stała w swoim boksie i przyglądała się każdemu jego ruchowi. Późną wiosną miała się ożrebić, więc jej ciało było nieco cięższe niż zwykle. Jej sierść lśniła pod światłami stajni. Nova niecierpliwie zarżała na jego widok, bo zjawił się z jedzeniem później niż zwykle.

– Hej, no już masz, masz – powiedział klaczy, podczas gdy inne konie: łaciata Frida w następnym boksie i wałach maści jeleniej w głębi stajni spoglądały na niego wyczekująco, strosząc uszy i prychnając, by zwrócić na siebie jego uwagę. W stajni miał miejsce na osiem koni. Po obu stronach wzdłuż ścian ciągnęły się cztery boksy. Pośrodku znajdowało się wybetonowane przejście. Obecnie posiadał te trzy oraz małe stado bydła i kury. No i jednego psa, mieszankę labradora, pitbulla i prawdopodobnie owczarka, który w tej chwili biegał po lesie o wielkości dwudziestu hektarów i czekał jak opętany.

Prawdopodobnie wyczuwał zapach królika, skunksa czy coś w tym stylu, ale trochę się tym przejął. W okolicy mieszkały kojoty, sześć tygodni temu Bob Hanson, który mieszkał na wzgórzu, zauważył pumę.

– Za dużo się martwisz – stwierdziła Trudie.

– Może. Lepiej zawołajmy Coppera.

– Właśnie o tym mówię. Robi to, co należy do psa. Ale wróćmy do książki. – Siedziała na stosie worków z ziarnem i przyglądała się, jak jej mąż karmi konie. Na ziemi leżał rozcięty snopek siana, większość już powędrowała do końskich boksów. Obok leżał drugi.

Książka.

– Same przez nią kłopoty, zwłaszcza odkąd zabiła się ta kobieta w San Francisco. O co, do cholery, chodzi, Trudie?

– To nie ma nic wspólnego z nami.

Dołożył siana do żłobu. Nova parsknęła z zadowoleniem, gdy w powietrzu za-wirowały drobinki kurzu i źdźbła siana. Rany, ten pies naprawdę dawał czadu.

– Jezus Maria – powiedział, wyglądając przez jedno z otwartych okien. – A jeśli Copper zadarł z jeżozwierzem albo kojotem lub skunksem?

– Kiedy ostatnio widziałeś tu jeżozwierza?

– Racja, ale oboje widzujemy tu mnóstwo kojotów.

– No tak. Ale Copper potrafi o siebie zadbać. Jest mądry i niezły z niego twar-dziel, tak jak z ciebie.

Przewrócił oczami i rzucił resztkę siana do żłobu Novy. Zęby wideł uderzyły w betonową podłogę.

Trudi była jednym z kilku powodów, dla których zostawił swoją pierwszą żonę, Didi Storm, chociaż nie zdradził Didi i nie związał się z Trudie, dopóki się nie rozwiódł. Jedynie fantazjował na temat wyższej, szczuplejszej i pewniej stą-pającej po ziemi przyjaciółki swojej żony. Didi wyszła za magika, zanim Trudie w ogóle przeprowadziła się do Neda. W międzyczasie Trudie zmieniła obcisłe su-kienki na jeszcze bardziej obcisłe dzinsy. Pozbyła się nadmiaru kiczowatej biżu-terii i nosiła zwykłą złotą obrączkę, a także przefarbowała włosy na cieplejszy, miodowy odcień blondu, pozbywszy się niemal białej platyny, którą nosiła w Las Vegas. Stonowała nawet swój makijaż, chociaż wciąż potrzebowała prawie całej godziny, żeby się umalować. A on ją kochał.

Ale głównym powodem, dla którego porzucił swoją pierwszą żonę, było to, że Didi była walnięta. Piękna i seksowna jak cholera, ale zimna jak kamień świru-ska. Wariatka. Nie potrafił zliczyć, ile rzeczy, od popielniczek po patelnie i książki poleciało w jego stronę, kiedy Didi się zdenerwowała. A niech to!

Odszedł o niej, nie oglądając się za siebie, choć czuł ukłucie żalu na myśl o jej córce Remmi. Lubił ją, ale nie miał do niej żadnych praw, więc musiał zostawić ją z szaloną matką. Kiedy niedawno usłyszał o kobiecie, która wyskoczyła z hotelu, Ned prawie uwierzył, że to Didi popełniła samobójstwo w San Francisco.

A on i Trudie po uszy byli umoczeni w tej cholernej książce. Wielki błąd. Nie-ważne, ile pieniędzy im zapłacono. Jak dotąd wcale nie było ich aż tak dużo, ale sprzedaż rosła, a Trudie aż zacierała na to ręce.

Nova niecierpliwie zarżała.

– Dobrze, rozumiem... wstrzymaj konia... – Usłyszał, co mówi, i zobaczył tłu-miony uśmiech Trudie, więc się poprawił: – Poczekaj chwilę, Nova, już do ciebie idę. Ach, te kobiety w ciąży.

Jego żona aż zachichotała, chociaż sama nigdy, o ile mu było wiadomo, w ciąży nie była.

Pies wciąż ujadał, ale teraz w bliższej odległości. Nad dorzucił kolejną porcję siana do żłobu, po czym podszedł do otwartych drzwi i głośno zagwizdał, aż Diego, wałach o jasnej sierści, zarżał głośno.

– Copper! Do domu!

– Wróci, jak będzie chciał – uspokoiła go Trudie.

– Wiem, ale zwykle nie biega o tak późnej porze.

– Ty też nie. My też nie. To twoja wina – zauważyła i miała rację. Zjedli kolację w mieście. Panował duży ruch, więc dwugodzinna wycieczka do Kate’s Steak House przeciągnęła się do ponad trzech godzin. Tymczasem zapadła ciemność, ale przynajmniej przestało padać, a po deszczu pozostało świeże powietrze.

Ned zawsze lubił ten czas z końmi, gdy wykonywał znajomą robotę, z którą zapoznał się, gdy miał osiem lub dziewięć lat. Karmienie inwentarza w ciepłej stajni, zawsze pachnącej kurzem, sianem, naoliwioną skórą i końmi sprawiało mu przyjemność. Jednakże przez ostatnie kilka dni był spięty i zmartwiony. I nie potrzebował psychologa, by wiedzieć dlaczego.

To wszystko przez tę cholerną książkę.

– Chodź, Copper! Przestań szczeekać! – wrzasnęła znowu, ale z większą zajadłością niż zazwyczaj. Z tylnej kieszeni spodni wyjął sekator i przeciął sznury w ostatnim snopku, a następnie, odłożywszy sekator na miejsce, wrócił do karmienia.

Trudie nie kiwnęła palcem, żeby pomóc mu w obowiązkach, ale taki mieli układ. On zajmował się tym, co poza domem: żywym inwentarzem, budynkami stojącymi na posesji i domem od zewnątrz, czyli naprawami dachu, malowaniem, grabieniem, koszeniem, czyszczeniem rynien. Ona zajmowała się tym, co w środku domu. Ale była świetną gospodynią i nigdy nie czepiała się go o brudne ubrania czy o to, że zostawia rzeczy nie na swoich miejscach. Wspólnie gotowali, ale tylko dlatego, że on był od niej lepszy. Było to coś, co oboje rozumieli, i nigdy nie rozmawiali na ten temat. Oboje byli szczęśliwi, a przynajmniej on był szczęśliwy. Natomiast Trudie stwierdziła, że też jest szczęśliwa, dopóki nie wpadła na ten głupi pomysł z książką. To przyszło niespodziewanie, spadło na niego jak grom z jasnego nieba. Nie dało się jej od tego odwieść. Wiedział o tym, ale próbował.

– Chciałbym, żeby to wszystko już się skończyło – powiedział, mając na myśli książkę. A ona wiedziała, o czym mówi. – Nigdy nie powinniśmy byli się w to

mieszać. Wszystko, co ma związek z Didi, zawsze zmienia się w katastrofę. – Spojrzał na nią. – Wiem z własnego doświadczenia.

– Wiem, ale już nieco za późno na gorzkie żale.

– To zaszło za daleko. – Rzucił siano do kolejnego żłobu. – Ta kobieta nie żyje.

– Sama skoczyła – powiedziała Trudie. A potem dodała: – To nie ma nic wspólnego z nami.

– Mam nadzieję, że masz rację.

– Mam.

Zrobił sobie przerwę, oparł się na widłach.

– Więc dlaczego to zrobiła? Nawet gdyby chciała odebrać sobie życie. Okej, jasne, nie ma problemu, o ile nikogo przy tym nie zabierasz. Ale po co robić z tego taki show?

– Niektórzy ludzie po prostu tacy są. Didi taka była.

Nabrał widłami siana, wrzucił je do ostatniego boksu, gdzie stał Diego, który pokręcił łbem, zagrzechotała uździenica, a jego czarna grzywa załśniła na niebiesko pod jarzeniówką.

– To mi się nie podoba. Zbyt wiele zbiegów okoliczności związanych z publikacją książki.

– Wiem, kochanie – odparła i w jej głosie pojawiła się odrobina współczucia. – Teraz już nic z tym nie zrobimy. I szczerze mówiąc, wcześniej też nie mogliśmy nic zrobić, prawda? – Zeszła z worków i podeszła do niego. – Odpuść, kowboju – poradziła najseksowniejszym głosem, gdy odwieszał widły na haku koło drzwi. – Skończyliśmy tutaj? – Zarzuciła mu ramiona na szyję i przyłgnęła do niego biodrami. Na jej ustach pojawił się uśmiech. – Bo mam wobec ciebie pewne plany.

– Wydaje ci się, że swoim ciałem możesz wyłączyć u mnie funkcję myślenia, prawda?

– Wiem, że mogę to zrobić. – Spojrzała mu w oczy. I tym sposobem zmieniła jego mózg w papkę, do takiego stopnia, że jedyną rzeczą, o której potrafił myśleć, był seks. Zawsze wiedziała, jak bez słowa przekazać mu, że jest gotowa. I aby to udowodnić, pocałowała go w usta tak mocno, że jego serce natychmiast przyspieszyło. Ned poczuł, że i jego kutas wykazuje żywe zainteresowanie. Potrafiła mu zawrócić w głowie.

Nieustannie.

Po tych wszystkich latach.

– Dobrze, dobrze, już rozumiem. – Nie wypuszczając jej z ramion, poprowadził ją na ten sam stos worków z owsem, który przed chwilą opuściła.

– Co? – Zachichotała i błysnęła oczami. Głos miała niski, brwi zalotnie uniesione. – Tutaj? Na oczach wszystkich?

– Wszystkich? – zapytał, wpatrując się w jej dekolt widoczny dzięki rozpiętym guzikom bluzki.

– Po pierwsze, Nova. – Trudie się z nim drażniła, ale on obejrzał się przez ramię i spojrzał na rząd boksów. Zauważył, że wałach przestał jeść, położył uszy na głowie, cofnął się, parskając i kręcąc dużym łbem. Ned zaczął się śmiać, już miał powiedzieć koniowi, co sądzi o jego pruderii, gdy coś go tknęło. Coś się nie zgadzało. Czyżby dzisiaj była pełnia? Najpierw pies, a teraz Diego... i Frida też. Odwróciły łby, ignorując jedzenie. Nova nerwowo zarżała, wzdrygnęła się i rozszerzyła chrapy. Ned zamarł.

Trudie nadal chichotała i całowała go w szyję, podczas gdy Copper wciąż ujadł. Tym razem jeszcze bliżej. *Jakby na alarm.*

Ned miał przeczucie zbliżającego się niebezpieczeństwa. Uniosły się włoski na jego karku.

– Ciii.

– Dlaczego? – zapytała ze śmiechem. Zawsze uwielbiał ten cudowny dźwięk. Położył palec na jej ustach, a ona zaczęła go kąsać.

– Nie – wyszeptał, co ją powstrzymało. I wtedy usłyszał skrzywienie starych zawiasów. Dochodziło z przesuwanych drzwi znajdujących się w tylnej części stajni.

Cholera. Co to za nieproszony gość? Złodziej? Czego?

– Konie nie...

Położył całą dłoń na jej ustach i spojrzał na nią poważnie. Wszystkie mięśnie w jego ciele się spięły.

Zrozumiała i zrobiła wielkie oczy. Czy to odgłos kroków? Czy ktoś naprawdę znajdował się z nimi w stajni? Próbował zobaczyć lub usłyszeć coś, co mogłoby go zaniepokoić. Odjął dłoń od jej ust, pozostawiając tam tylko jeden palec. Tłumaczył sobie, że ostatnio był spięty i zdenerwowany. Ale przez całe swoje życie zajmował się zwierzętami i wiedział, że konie są wystraszone. Coś je wystraszyło. Może coś równie nieistotnego jak szczur, który wlaź w słomę. Ale nie wyglądało na to. Wszystkie przestały żuć i trzy pary końskich oczu wpatrywały się w tył budynku. Wszystkie skupiały się na zacienionym miejscu, gdzie pod ścianą stał sprzęt, w tym stary traktor marki John Deere.

Widział tylko zarys maszyn. Trudie, wciąż w pozycji półleżącej na workach z paszą, nie odrywała od niego oczu. Powoli zdjął palec z jej ust.

Z oczami okrągłymi ze strachu, bezgłośnie powiedziała: „Nie strasz mnie”.

Z miną, która nie pozostawiała wątpliwości, że powinna potraktować go poważnie, Ned wyszeptał:

– Telefon. – Przyłożył dłoń do ucha, prostując kciuk i najmniejszy palec, a podkurczając środkowe palce, aby bezgłośnie przekazać jej, że trzeba zadzwonić. W tym przypadku chciał zadzwonić na policję.

Pokręciła głową i poruszając ustami, ale nie wydając dźwięku, odparła:

– W domu.

Tak jak jego. Przypomnił sobie, że obie komórki ładują się na biurku. I wtedy wyraźnie to usłyszał. Z całą pewnością były to kroki na betonie. W środku stajni. Ale intruz jeszcze nie wyszedł z cienia, wciąż krył się na tyłach. Ned włączył tylko jedno światło, kiedy wchodził do budynku.

Kto, do cholery, wszedł na ich prywatny teren?

Nikt, kto by miał dobre intencje.

Może to był tylko jakiś dzieciak? Ned nie sądził. Czy powinien krzyknąć do tej osoby, zażądać, żeby się ujawniła?

Coś mu mówiło, że to byłby poważny błąd.

Stajnia była otwarta, w oknach nie było szyb. W środku nie było niczego wartościowego, co można by ukraść. Może oprócz koni? Ale wtedy taka osoba potrzebowałaby wozu z przyczepą...

Kolejny krok.

Nie mógł ryzykować. Nie mógł narażać Trudie.

Zasygnalizował jej, że ma wstać.

– Ned...

Przerwał jej skinieniem głowy. Ned mógł włączyć światło z tyłu budynku, ale jeśli intruz miał broń... Nie, lepiej, żeby były równe szanse.

Ujął dłoń Trudie i pomógł jej wstać. Drugą ręką zdjął widły z haka i zerkając na zaciemniony tył stajni, pociągnął żonę do drzwi, gdzie przekreślił włącznik.

W stajni zrobiło się zupełnie ciemno.

Konie parskały, słychać było stąpanie ich kopyt, a ten cholerny pies bez przerwy szczekał, wciąż podnosił alarm. Na chwilę Ned przyciągnął Trudie do siebie i wyszeptał jej do ucha:

– Uciekaj. – Skierował ją do wyjścia. – Do domu. Zamknij się na klucz. Zadzwoń na dziewięćset jedenaście.

– A co z tobą? – wyszeptała w odpowiedzi.

– Wróć zaraz po tobie. Nie zamykaj na zasuwę, dopóki nie wrócę. I wyjmij broń.

– Słucham?

– Wyjmij pistolet ze skrzynki. Amunicja znajduje się tuż obok w szafce.

– Wiem, gdzie jest!

– Najpierw zadzwoń po gliny.

– Nie...

– Po prostu to zrób! Biegnij! Nie zatrzymuj się!

Zrobiła, co jej kazał, wyskoczyła przez drzwi. Do stajni wpadł podmuch nocnego powietrza. Biegła najszybciej jak umiała, długimi susami szybko zmniejszała odległość od domu, cały czas biegła najkrótszą drogą.

Nie, nie, nie. Jeśli napastnik ma broń i chce jej zrobić krzywdę to...

Ned zatrzasnął za sobą drzwi, mając nadzieję, że zatrzyma tego, kto znajduje się w stajni. Pobiegł za Trudie, ruszył sprintem, trzymając widły niczym średnio-wieczną lancę. Przez cały czas powtarzał sobie, że jest głupi, że niczego nie usłyszał, że nie było powodu do takiej reakcji. Niepotrzebnie wystraszył Trudie.

Ale coś się nie zgadzało. Coś go wciąż niepokoiło.

Ten cholerny pies nie przestawał ujadać.

Jezu.

Trzask!

Trudie w połowie drogi do otwartych drzwi się potknęła.

Nie! O, Boże, nie!

Upadła. Zwaliła się na trawę.

Nie, nie, nie! To nie może się dziać. Nie Trudie. Nie jego Trudie!

Trzask!

Pif! Ugięły się pod nim nogi, padł na kolana, zanim jeszcze poczuł ból po pierwszej kuli. Próbował się czołgać na bolących kolanach, żeby dotrzeć do leżącej żony.

Tył jej białej bluzki zmienił kolor, pojawiła się na nim ciemna, przerażająca plama. Trudie leżała nieruchomo, twarz miała odwróconą na bok, w kąciku perfekcyjnych ust pojawiła się krew. *Nie, nie, do cholery, nieeee!*

Pif!

Znowu wystrzał. Tym razem o wiele bliżej.

Jego ciało podskoczyło, znowu zadzwoniło mu w uszach. Poczul, jak powietrze opuszcza jego płuca. Miał świadomość zapachu świeżej krwi, która przesycała

chłodne nocne powietrze. Pies Copper nadal szczeakał, ale chyba ukrywał się w krzakach w pobliżu domu. Ned ledwie go słyszał, miał wrażenie, że popękały mu bębenki. Wydawało mu się, że płynie do góry nogami i... i... zaczyna tracić przytomność. Czy to samochód, czy usłyszał silnik samochodu, chociaż huk wystrzału wciąż mu dzwonił w mózgu?

O Panie, jego uszy i jego nogi... Wszystko go bolało... A jego żona, piękna, zmysłowa Trudie leżała nieruchomo na trawie przed nim. Od tylnych drzwi domu dzieliło ją zaledwie trzydzieści metrów. Dotarł do niej na kolanach.

– Trudie – wyszeptał załamującym się głosem. – Nie odchodź... nie odchodź. – Ale w głębi serca wiedział, że już odeszła.

Kroki.

Wyczuł ciężkie stąpanie, przekręcił głowę, żeby spojrzeć przez ramię. Nie zwracał uwagi na trawę laskoczącą go w nos, zapach wilgotnej ziemi oraz mentolowy aromat drzewa eukaliptusowego, którego Trudie nie pozwoliła wyciąć. Takie myśli przychodziły mu do głowy i zaraz znikaly.

Wydawało mu się, że dostrzegł jakiś ruch w cieniu.

Wyteżył wzrok. Jego serce z wysiłkiem pompowało krew. Palce zaciskał na trzonku widel, jakby to była jego lina ratunkowa.

Udało mu się skupić wzrok, leżał bez ruchu i wówczas dostrzegł potwora, górujący nad nim cień bez twarzy, który powoli się do niego zbliżał.

Żeby przekonać się, czy nie żyjesz.

Teraz napastnik znajdował się wystarczająco blisko, by dostrzegł nawet zaokrąglone czubki skórzanych butów zabójcy i lufę karabinu, która była tak blisko, tak cholernie blisko, że czuł zapach prochu. Lufa celowała prosto w jego serce. Udawał martwego i miał nadzieję, że ciemność ukryje ruch jego lewej ręki, częściowo zasłoniętej za jego ciałem. Wyjmował nią z kieszeni sekator do przecinania drutów. Wyślizgnął mu się z palców i spadł na ziemię.

– Niech świeci, Crenshaw – powiedział zagadkowo zabójca i wycelował. – Niech świeci.

Ned nigdy nie poddawał się bez walki.

Daj mi siłę; ten skurwysyn zabił Trudie!

Rzucił się w przód, lewą ręką złapał lufę, pozbawiając zabójcę równowagi. Prawą ręką z całej siły zamachnął się widłami, które zatoczyły łuk w powietrzu i opadły na zaskoczoną twarz zabójcy.

– Co, do...

Ciach! Ciach-ciach!

– Pierdooolonyyy chuju! Jebany.... – Potok słów przerwał krzyk bólu, ponieważ Ned znowu się zamachnął. Zęby wideł przeszły ubranie i zadrapały gołą skórę.

Ciach! Ciach!

Ostre metalowe kolce ponownie poszły w ruch, odbiły się lekko, po czym zahaczyły o pierś napastnika, rozerwały ubranie i skórę na torsie na głębokość żeber.

– Aaaaa! Jebany chuju! Zapłacisz za to – wrzasnął mężczyzna, odskakując. Gwałtownie szarpnął i wyrwał lufę ze spoconych i zakrwawionych palców Neda.

Ned, tracąc siły, ponownie się zamachnął, ale zabójca złapał jego broń za drążek w miejscu, gdzie metal łączył się ze styliskiem. Trzymał go mocno dłońią w rękawiczce. Z całej siły pociągnął i wykręcił widły, odbierając je Nedowi.

Z furią rzucił narzędzie w stronę domu.

Ned przetoczył się na bok i poczuł obezwładniający ból w całym ciele. Palcami przebierał w trawie, podczas gdy zabójca znowu brał go na cel. Czubkiem palca wskazującego dotknął metalu, zgarnął dłońią sekator. Lufa karabinu celowała prosto w jego pierś. Ale Ned rzucił się do przodu i skoczył na napastnika. Oстрыm końcem sekatora przebił jego dżinsy, ciało i mięśnie uda. Ned miał nadzieję, że uda mu się uszkodzić tętnicę udową.

Intruz wrzasnął, wydał siebie kolejny, satysfakcjonujący, pierwotny ryk.

– Aaaaaaaa!

Ned nie puszczał sekatora. Zaparł się z całej siły i przekręcił, chociaż przez rozdarty materiał tryskała krew.

– Ty głupi dupku! – Zabójca kopniakiem próbował odepchnąć Neda. Dało się słyszeć pękające zebro. Ned wypuścił swoją prowizoryczną broń i padł. Tym razem nie na kolana, lecz płasko na brzuch.

Zabójca wystrzelił.

Piiiiif!

Tak głośno! Tak, cholernie głośno!

Strzał był ogłuszający.

Kolejny huk.

Pa!

Nedem ponownie szarpnęło.

Ból rozlał się po całym jego ciele.

Na ciepłej skórze poczuł krew.

Uszła z niego siła, świat zawirował.

Miał wrażenie, że oddala się od swojego zdjętego bólem ciała. Zobaczył siebie na trawie. Swoje ciało leżące pod groteskowym kątem. Krew tryskającą przez koszulę. Rękę wyciągniętą do przodu, zaledwie o kilka centymetrów od nieruchomej Trudie. Chciał jej dotknąć po raz ostatni. Próbował mocniej wyciągnąć rękę, ale nic się nie ruszyło, nie drgnął nawet jeden palec.

Lup. Twardy czubek buta wylądował na jego żebrach. Przewrócił go na plecy. Poczul ból w każdym centymetrze ciała. Promieniował z miejsca, w które został kopnięty. Gwałtownie wrócił na ziemię. Już nie unosił się w górze. Wrócił do swojego zmaltretowanego, zakrwawionego ciała. Mimo obezwładniającego bólu próbował się skupić. Wszystko rozmazywało mu się przed oczami. Patrzył na nocne niebo. Usiłował wyostrzyć wzrok.

Gwiazdy. Widział gwiazdy.

Zamrugął i rozpoznał sierp księżycy, który wyglądał jak blady uśmiech Kota z Cheshire.

Na pierwszym planie, pochylając się nad nim, jakby chciał sprawdzić, czy Ned żyje, znajdował się zabójca. Jego twarz krwawiła, była poobijana i podrapana od uderzeń widłami. Ale wciąż dało się go rozpoznać.

– Zdychaj! – powiedział i splunął krwią w twarz Neda. – Zdychaj powoli. Poczuj to. Trudie już nie żyje.

Ned poczuł jakąś ciepłą ciecz płynącą po jego twarzy i już wiedział, w tej chwili zyskał pewność.

Trudie. Kochana Trudie. Cośmy najlepszego zrobili?

I wtedy cały świat Neda Crenshawa stał się czarny.

ROZDZIAŁ 24

– To gdzieś tutaj. O właśnie tutaj. Z lewej – powiedział Noah, wskazując przez przednią szybę subaru lukę w drewnianym płocie.

Remmi zwolniła, żeby skręcić w dróżkę. Światła samochodu podświetliły rząd dębów rosnących wzdłuż podjazdu.

Mocno zaciskała palce na kierownicy, jej knykcie zrobiły się białe, ponieważ przez całą drogę czuła niepokój, którego nie potrafiła wytłumaczyć. Gdyby udało jej się porozmawiać z Nedom i Trudie i dowiedzieć się, co wiedzieli o Didi, może zdołałyby wyjaśnić kilka niewiadomych związanych z przeszłością.

Deszcz, który padał w San Francisco, ustał, kiedy wyjechali poza półwysep. Przez Oakland jechali bardzo wolno, ale w końcu ruch na drodze stał się mniejszy i Remmi mogła dodać gazu. Niebo zrobiło się bezchmurne, więc nic nie zasłaniało księżycy i tysiąca migoczących gwiazd.

W drodze rozmawiali z Noahem o tajemnicy otaczającej Didi, o tym, jak wpłynęła na życie ich obojga, i zastanawiali się, jak doszło do tego, że Gertrude Melborn, niegdyś najlepsza przyjaciółka Didi, została drugą panią Nedową Crenshaw, zanim przyjęła pseudonim Maryanne Osgoode.

Remmi zamierzała się tego dowiedzieć.

Podjazd lekko się wznosił i kończył się szerokim parkingiem wysypanym żwirem. Otaczało go kilka budynków gospodarczych. Niski dom w stylu wiejskim dominował nad wzgórzem. Garaż łączący się z domem był zadaszoną wiatą i parkowały przed nim dwa pojazdy, wysłużony pick-up z otwartym tyłem i czerwony sedan.

Głośno biło jej serce na myśl o ponownym spotkaniu z Nedom, jedynym pozytywnym, chociaż przelotnym, męskim autorytetem w jej życiu. A Trudie? Niegdyś najlepsza przyjaciółka Didi? Kobieta, która teoretycznie miała zajmować się Ariel tamtej nocy, chociaż Didi najzwyczajniej w świecie kłamała. Mimo to Trudie wiedziała o bliźniakach, nawet napisała o nich w swojej książce. Chociaż zrobiła to nie bezpośrednio, lecz w części, gdzie przytoczyła zeznania Remmi, która przekazała policji, że miała przyrodnią siostrzyczkę i braciszka.

Remmi miała milion pytań zarówno do Neda, jak i do Trudie. Miała też nadzieję, że wreszcie otrzyma jakieś odpowiedzi.

Nieważne, czy spodoba jej się to, co usłyszy.

– Czas zaczynać – powiedziała, parkując za czerwonym samochodem i wyłączając silnik. Odetchnęła głęboko, po czym wyszła z subaru i ruszyła po wysypanej żwirze ścieżce ku zadaszonemu wejściu do domu. Gdzieś zaciekle czekał pies. Wydawało jej się, że zza domu lub gdzieś dalej dochodzi odgłos ruszającego auta.

Znajdowała się przy frontowym ganku, kiedy przez wiatę samochodową przebiegł pies o sierści w kolorze karmelu, mieszanka labradora z czymś bardziej kudłatym. Wskoczył na ganek i zaczął na nich ujadać.

– Hej, piesku – zagadał do niego Noah, ale zwierzak tylko się cofnął i znowu przebiegł przez wiatę. Powtórzył to jeszcze raz i już więcej nie wrócił. Wciąż jednak robił mnóstwo hałasu.

Remmi przycisnęła dzwonek. Noah rozejrzał się za psem. Doszli do porozumienia, że ona poprowadzi tę rozmowę. To była jej chwila.

Nikt jednak nie otwierał.

Ponownie wcisnęła dzwonek.

Nasłuchiwała oznak życia w środku, ale nie słyszała żadnych kroków, zwłaszcza że zza domu dochodziło szaleńcze szczekanie.

W budynku panowała cisza.

– Muszą nas słyszeć – stwierdził Noah. – Ich pies robi tyle zamieszania, że obudziłby zmarłego, i to w trzech sąsiednich hrabstwach...

Remmi ponownie zadzwoniła, ale miała złe przeczucia. Noah podszedł, wyciągnął rękę i załomotał w drzwi.

Dalej nic, oprócz odgłosów nocy: szumu wiatru, szelestu suchych liści wiszących na gałęziach pobliskich drzew i warkotu samochodów dochodzącego z od dali. Pies wciąż ujadał.

– Muszą być w domu. Są ich auta – zauważyła, mając nadzieję, że za chwilę ktoś zacznie krzyczeć na labradora, żeby się zamknął. Ale tak się nie stało. Próbowała sobie wytłumaczyć, że Ned i Trudie mogą mieć inne pojazdy albo że mogli zabrać się gdzieś z przyjaciółmi i wyjechać. Zaczynała jednak mieć coraz gorsze przeczucia.

Bardzo złe przeczucia.

Noah złapał za klamkę i drzwi się otworzyły.

– Halo? – zawołał głośno do środka, ale nikt się nie odezwał.

Remmi poczuła, jak włoski na jej karku zaczynają się podnosić.

– Halo? – zawołał Noah jeszcze głośniejsze.

Nic.

Żadnych oznak życia w domu.

Zajrzała do środka, gdzie paliły się światła, oświetlając miodowe deski parkietu w salonie. Dostrzegła włączony telewizor, wyciszony i nastawiony na mecz. Wisiał nad kominkiem wbudowanym w ścianę z cegieł wznoszącą się aż po sam poprzecinany belkami sufit. Meble stały wokół dywanu, w taki sposób, aby można było z nich oglądać telewizję lub kominek. Wszystkie fotele były puste. Odniosła wrażenie, że w tym domu nikogo nie ma.

Nie było sensu tak stać na ganku.

– Wchodzę.

– Czekał. – Zatrzymał ją. A po chwili dodał: – Słyszysz to?

– Pies. Tak, wiem... – Ale pojawił się jeszcze inny odgłos. Oprócz szczekania psa i szumu wiatru usłyszała cichy, ledwie słyszalny jęk, który zdawał się dochodzić z tego samego miejsca, gdzie ujadał pies.

– To na zewnątrz. – Noah nagle zrobił się poważny. Kierując się w stronę wiaty, wyjął z kieszeni pistolet. – Zostań tutaj.

– Masz broń? – wyszeptała zaskoczona.

Potaknął.

– Była w moim aucie. – Zatrzymał się przy swoim silverado, żeby „wyjąć suchą kurtkę”, zanim wyjechali spod jej domu. – Poczekaj.

Już ruszył, skręcił za róg domu. Pochylił się nisko i ukrył za krzakami, które rosły wokół trawnika.

Nie było takiej możliwości, żeby Remmi została na miejscu. Wyjęła latarkę z kieszeni kurtki i szła zaledwie krok za Noahem, który właśnie przeszedł przez ciemną wiatę. Następnie, gdy wyszedł na tylne podwórze, gwałtownie wciągnął powietrze przez zęby i wyszeptał:

– Co, do cholery? – A potem rzucił przez ramię. – Zadzwoni na dziewięćset jedenaście.

– Słucham?

Ale on już puścił się biegiem. Odblokowując telefon, Remmi zobaczyła ciała rozciągnięte na trawie, która sięgała od domu do budynku będącego chyba stajnią. Uniosła dłoń do ust.

– O Boże.

– Zadzwoń natychmiast – rozkazał, dobiegając do leżącej kobiety.

Remmi drżącymi palcami już wybierała numer.

– Wracaj do auta i zamknij drzwi. – Noah pochylał się nad kobietą, podczas gdy pies żałośnie wyl w krzakach.

Żadna z dwóch leżących osób nie ruszyła się ani o centymetr. Na trawie, na ich ubraniach, dosłownie wszędzie, była krew. Remmi wydawało się, że zaraz wymiotuje. W ciemności nie rozpoznawała tej pary, ale to musieli być... O Boże. O Boże. Ned i Trudie? Rany...

– Dziewięćset jedenaście, słucham? – W telefonie odezwał się żeński głos, przerywając jej paniczne rozmyślenia. – W czym mogę służyć?

– Potrzebujemy pomocy! Mamy tu dwoje rannych. Poważnie rannych. Prześlijcie karetkę. Słyszysz mnie pani? Chodzi o karetkę i ratowników medycznych!

– Proszę się przedstawić i podać adres.

– O tak, dobrze. Nazywam się Remmi Storm i... i... O Boże. Yy... jesteśmy u Neda Crenshawa, jakieś siedem czy osiem kilometrów za Sacramento. – Podyktowała adres i przekazała, że dwoje ludzi nie żyje. Lub że są umierający. – Kiedy operatorka powiedziała jej, żeby się nie rozłączała i że już łączy z policją, Remmi, trzymając telefon przy uchu, na trzęsących się nogach podeszła bliżej ofiar.

– Nie zbliżaj się. To miejsce przestępstwa – warknął Noah, a oficer na linii powiedział coś, czego Remmi nie zrozumiała. Jego słowa wraz z wyciem psa były tylko niewyraźnym dźwiękiem w kurczącym się, okropnym świetle. Zwróciła wzrok na nieruchome, leżące blisko siebie ciała. Znajdowały się na ziemi, gdzie doszło do ataku. Niemal pękło jej serce.

– Chyba kazałem ci iść do samochodu? – zapytał, a ona aż się wzdrygnęła. – Ten, kto to zrobił, wciąż tu może być.

Remmi nie mogła tego znieść. Musiała wiedzieć na pewno. Włączyła latarkę i oświetliła zakrwawione podwórce. Potwierdziły się jej najgorsze obawy, gdy zobaczyła najpierw twarz Neda z zamkniętymi oczami, pobitym i posiniaczonym ciałem i ubraniami nasiąkniętym krwią.

W pobliżu leżała Trudie z głową przekreśloną w bok, więc widziała jej błądny profil. Oczy patrzyły w jeden punkt, twarz miała białą jak duch. Przez bluzkę przesiąkła krew, tworząc dużą, ciemną, powiększającą się wciąż plamę. Noah zobaczył, że Remmi patrzy na ciało. Właśnie sprawdzał puls, nasłuchiwał, czy oddycha, w drugiej ręce wciąż trzymając broń. Pokręcił głową.

– Nie żyje – wyszeptał, a ona usłyszała jakieś dźwięki dobiegające ze słuchawki. Nie zarejestrowała nawet, kiedy odsunęła dłoń od ucha.

Niedowierzanie ścisnęło ją za gardło. Pamiętała śmiech Trudie, gdy ta rozmawiała z jej matką. Neda mówiącego jej, żeby zaufała żywiołowemu rumakowi na piaszczystym padoku.

– Wyłącz ją – rozkazał Noah, przywołując ją do rzeczywistości. – Remmi, słyszysz mnie? Wyłącz tę cholerną latarkę. Zabójca może siedzieć w stajni albo gdzieś w okolicy. Jezu, nie rób z nas jeszcze łatwiejszego celu.

Zgasiła latarkę.

Sądziła, że już się przygotowała, ale gdy znowu spojrzała na nieruchome ciało Trudie Melborn, wiedziała już, że to nieprawda. Miała wrażenie, że gdzieś z oddali mówi do niej jakaś kobieta.

Operatorka numeru alarmowego pytała ją o coś przez telefon.

– Tak, jestem.

– Policjant jest w drodze, powinien być za trzy minuty.

Remmi zarejestrowała, że Noah na kolanach przesunął się do drugiego ciała. Ned. Leżał nieruchomo. Tak blisko swojej żony. Ale się nie ruszał.

Proszę, niech on żyje... Ale było tyle krwi. Zbyt wiele. Zbierała się pod ciałami, paliała ich ubrania i płynęła pomiędzy źdźbłami trawy w kierunku dużego budynku na tyłach, skąd, teraz to usłyszała, dobiegało rżenie koni.

Pies w końcu przestał szczekać i skamlał, leżąc wśród drzew koło płotu otaczającego posiadłość.

Rozejrzała się wokół. Dlaczego smuga krwi prowadziła za stajnię? Najwyraźniej Ned i Trudie upadli tutaj, gdzie leżeli, gdzie zebrało się jej najwięcej. Chyba że jedno z nich, a może oboje zostali postrzeleni gdzieś dalej, uciekali, potem znowu dostali i w końcu upadli na ziemię? A może to krew kogoś innego? Usłyszała pierwszą syrenę w oddali, a potem w ciągu kilku sekund drugi, niższy sygnał niesiony przez nocne powietrze.

– Jeszcze żyje – stwierdził Noah. W jego głosie pojawił się cień nadziei i ponownie udało mu się przywrócić ją do teraźniejszości. Spojrzała w dół. I spotkała się z nim spojrzeniem. – Ale ledwie. To on jęczał, ale...

– Przestał. – Serce Remmi zrobiło się tak ciężkie, jakby było wyciosane z kamienia. Twarz Neda, podobnie jak twarz jego żony, była pozbawiona koloru. Nie widać było żadnego ruchu. Remmi poczuła łzy w oczach i próbowała je powstrzymać. Ignorując ostrzeżenie Noaha, żeby nie zanieczyszczać miejsca zbrodni, zrobiła kilka kroków do przodu i uklękła, ujmując dłoń Neda.

– Zostań z nami – wyszeptwała. – Nieważne, co się stało. Nie odchodź. – Jego dłoń była wciąż ciepła i umazana krwią.

– Remmi – warknął Noah, ale ona splotła swoje palce z palcami Neda. To był ten mężczyzna, który kiedyś pokazał jej, jak naładować strzelbę, jak osiodłać konia i jak na nim jeździć, opowiadał świńskie żarty i zarzekał się, że potrafi zrobić najlepsze chili na północ od Teksasu. Pewnie miał rację. A teraz...

– Nie odchodź, Ned – wyszeptwała. – Zostań tutaj.

Syreny się zbliżyły. Zobaczyła za domem mrugające światła, służby ratunkowe były w drodze, ale wciąż jeszcze daleko. Modliła się w duchu, żeby udało im się dotrzeć na czas, żeby ocalić życie Neda Crenshawa.

Ale się porobiło!

Settler spojrzała na miejsce zbrodni na farmie Crenshawa, teraz oświetlonej reflektorami oraz żarówką znajdującą się z tyłu domu, którą włączyli od środka. Ofiary zidentyfikowane jako Ned Crenshaw i jego żona Gertrude, „Trudie”, zostały już stąd zabrane. Ona do kostnicy hrabstwa, on do najbliższego szpitala. Jego życie wisiało na włosku, ale Settler miała nadzieję, że niebiosa pomogą zachować go przy życiu, żeby mógł opowiedzieć, co się tu wydarzyło. Opowiedzieć jej. Zamierzała wyruszyć do szpitala, w chwili gdy tutaj skończą. I przedrze się przez biurokratyczne zapory, którymi będą próbowali odgradzić od niej ofiarę.

Settler nie musiała być Sherlockiem Holmesem, żeby wiedzieć, że ta rzeź była jakoś powiązana z Didi Storm. Zapewnili ją o tym ludzie, którzy odnaleźli ciała, Remmi Storm i Noah cholerny Scott, jeden z niezliczonej liczby ludzi, którzy dwadzieścia lat temu zniknęli z Las Vegas. Jak się okazało, niedługo po zakończeniu służby wojskowej Scott stał się cholernym prywatnym detektywem w Los Angeles.

Tylko tego jej brakowało.

Już ich pouczyła, że ten atak jest sprawą policji, i ostrzegła, że policja się nim zajmie. Przypomniała im także, że mogą niechcący spieprzyć dochodzenie i zniszczyć dowody, ale sądząc po ich reakcjach, uznała, że już to wcześniej słyszeli, być może wiele razy, i najprawdopodobniej w przeszłości ignorowali takie ostrzeżenie.

Teraz też to zrobią.

Wyczytała to w ich spojrzeniach.

Super, po prostu super.

Teraz Storm i Scott znajdowali się w oddzielnych radiowozach. Przesłuchiwali ich różni oficerowie, którzy spisywali ich wstępne zeznania. Settler nie sądziła, żeby któreś z nich oddało strzał. Nie, wierzyła w ich opowieść, że przyjechali tutaj, kiedy odkryli, że Trudie Melborn była nie tylko panią Nedową Crenshaw, ale

także fikcyjną Maryanne Osgoode. Mimo to istniało pewne prawdopodobieństwo, że widzieli więcej, niż jej mówili, lub w jakiś sposób, nawet niezamierzony, byli w to zamieszani.

Już zanieczyścili miejsce zbrodni. Być może niechcący, być może celowo. Settler obstawiała jednak, że niechcący, jako że Remmi Storm wydawała się wstrząśnięta. Ale nie Noah Scott. Z tym że on spędził dużo czasu w wojsku. Przebywał w różnych strefach działań wojennych. Już to wszystko widział.

– Ślady krwi ciągnęły się aż do drogi dojazdowej na tyłach posiadłości Crenshawów, do miejsca, gdzie styka się z ziemią federalną – poinformował ją Martinez. – Technicy pobierali próbki z ziemi i próbują dopasować je do ofiar. Mają też bieżniki opon.

– Znalezli jakieś ślady?

– Nawet zbyt wiele. Wygląda na to, że jest to miejsce, gdzie zbierają się dzieciaki. Pełno tam rozbitych butelek po piwie, kondomów, toreb z McDonalda i Burger Kinga, i całej reszty.

– Popijali big maca piwem Coors Light.

– Budem – poprawił. – Wygląda na to, że wolą buda.

– Okej.

– A tu masz coś jeszcze?

– Nie za bardzo, ale jest ciemno. Dopiero rozstawili światła i wszystko przeczesują. Ich szefowa, Anna Lee, chyba ją znasz, jest wkurzona i mówi, że całe miejsce zostało zanieczyszczone przez Scota i Storm, którzy próbowali ratować ofiary.

– A co mieli robić? Stać na podjeździe i czekać?

– Anna wołałaby, żeby w ogóle trzymali się z daleka. Najlepiej, jakby zaparkowali na drodze. Albo w innym hrabstwie.

Anna Lee była dokładna i dobra w swojej pracy, szybko się jednak denerwowała, jeżeli ktoś coś namieszał albo utrudnił jej działanie. Wszyscy o tym wiedzieli.

– Jaka szkoda. Jest jak jest.

– Nienawidzę tego powiedzenia. Jest chyba nawet gorsze niż: „Kto pod kim dołki kopie, sam w nie wpada”.

Nie, to jest gorsze – pomyślała Settler, rozglądając się po tylnym podwórzu Crenshawów. Zauważyła taśmę policyjną, która odgradzała miejsce, gdzie doszło do zabójstwa, a także to, co, jak zakładali, było drogą ucieczki rannego zabójcy. To działało na ich korzyść. Jednak fakt, że morderstwo popełniono tutaj, a nie w ich

jurysdykcji, wręcz przeciwnie. Ale detektyw przydzielony do tej sprawy, Brian Ladlow, znał się na swojej robocie i nie postrzegał Settler i Martinezę jako wrogów, którzy mu się do niej wtrącają.

Właśnie się do nich zbliżał. Był to duży mężczyzna, który przez jeden sezon grał zawodowo w futbol, zanim na stałe wyeliminowała go kontuzja kostki. Był o trzydzieści centymetrów wyższy od Settler i prawdopodobnie dwa razy od niej cięższy. Wszystko w jego wyglądzie, od krótko obciętych włosów po idealnie wyprasowane ubranie, świadczyło o wydajności, profesjonalizmie i zamiłowaniu do konkretów.

– Dowiedzieliście się czegoś od świadków? – zapytała, wskazując brodą dwa radiowozy, w których Remmi Storm i Noah Scott składali wstępne zeznania.

– Na razie nic. – Jego głos był głęboki i szorstki od nałogu tytoniowego, sądząc po paczce papierosów wystającej z kieszeni koszuli i lekkim zapachu dymu, którego nie był w stanie zamaskować miętówkami. – Tylko to, czego się spodziewaliście. Ich zeznania się zgadzają. Są czyści.

– Ale jakoś zamieszani – przypomniała mu Settler.

– W sprawę tej kobiety, która skoczyła z Montmort? Słyszałem o tym, ale muszę wam powiedzieć, że nie mam pojęcia jak. Ten facet, Crenshaw, jak długo był mężem Didi Storm? Dwie minuty? Według mnie, dziwniejsze jest to, że ci tam – wskazał w stronę radiowozów – zjawiają się tutaj kilka minut po ataku.

Znaleźli łuski po nabojach w pobliżu ofiar i kilka nieco dalej, obok dużego eukaliptusa rosnącego na podwórku pomiędzy stajnią a domem. Wyglądało na to, że Crenshaw i jego żona byli w stajni i wyszli stamtąd, najprawdopodobniej z widłami, które teraz leżały porzucone gdzieś w krzakach otaczających dom. Ich długi, drewniany trzonek wymazany był krwią. Czyżby zabójca ukrywał się za drzewem i zaskoczył ich, kiedy wyszli ze stajni? A może ścigał ofiary od budynku, po czym wykorzystał drzewo jako zasłonę i oddał strzał?

Wciąż tego nie wiedzieli.

– Rzeczywiście zjawili się cholernie szybko po strzelaninie – zauważył Ladlow, prawą ręką sięgając do kieszeni koszuli i wyciągając papierosa. – Spory zbieg okoliczności, jeśli można im wierzyć.

Settler potaknęła.

– Szczęście dla Crenshawów, że dotarli właśnie wtedy.

– Nie do końca. Ona nie żyje. A on niedługo umrze, jeżeli to już się nie stało. – Ladlow obracał papierosa w palcach, wciąż go nie zapalił.

– Miejmy nadzieję, że nie – rzuciła Settler. – Chcę usłyszeć, co ma do powiedzenia.

– To tak jak ja. – Ladlow popatrzył na zakrwawioną ziemię i przez chwilę przyglądał się pracującym technikom. – Co za sprawa. Podwójne morderstwo.

– Jeszcze nie. – Ladlow zaczynał ją irytować, przekreślając Crenshawa, podczas gdy Settler uważała, że rozmowa z ranczerem będzie kluczem do tego śledztwa. Jasne, mogli przeanalizować billingi telefoniczne, dane komputerowe, konta mailowe i inne rzeczy, ale potrzeba na to czasu i nie da się tym wypełnić wszystkich luk. Miała nadzieję, że Ned Crenshaw, jeśli i kiedy odzyska przytomność, będzie mógł uzupełnić brakujące elementy układanki, które łączyły ten atak z samobójczynią z Montmort. I tak, również z tym, co stało się z Didi Storm.

Kątem oka zauważyła, że światło palące się w jednym z radiowozów zamrugało i z auta wysiadła Remmi Storm, trzaskając za sobą drzwiami, i wciąż rozmawia z oficerem, który ją przesłuchiwał. Teraz czekała na Noaha Scotta.

Co było między nimi?

Kiedy niedawno rozmawiała z Remmi, odniosła wrażenie, że kobieta go nie widziała, odkąd opuściła Las Vegas. Postanowiła to sprawdzić, jeśli policjant, który ją przesłuchiwał, nie wydobyl od niej satysfakcjonującej odpowiedzi.

Noah Scott nadal był przesłuchiwany w drugim samochodzie. To mogło zająć jeszcze chwilę. W związku z jego osobą pojawiało się więcej pytań, zarówno w tej sprawie, jak i tej drugiej, kiedy uciekł ze szpitala w Las Vegas, będąc nastolatkiem. Po raz pierwszy policja mogła go przesłuchać na temat tego, co się wtedy stało na pustyni, sprawdzić, czy był w stanie zidentyfikować niedoszłego zabójcę, który postrzelił go w szyję i zostawił na pewną śmierć. A być może nawet mężczyznę, który umarł w mustangu. A nawet czy był świadkiem sprzedaży dziecka czy cokolwiek się tam odbywało.

Powiadomiono już policję w Las Vegas. Będą chcieli z nim porozmawiać, podobnie jak z panią Storm, o ich udziale w tej bardzo starej i bardzo zamkniętej sprawie.

Jak na razie wydawało się, że ci dwoje współpracują. Instynkt Settler podpowiadał jej, że żadne z nich nie było mordercą. Wiedziała jednak, że czasami ten, który jest najmniej podejrzany, okazywał się bezwzględny zabójcą – najnudniejszy facet, który zajmował się głównie koszeniem trawnika, wyprowadzaniem psa i pomocą sąsiadom w naprawie płotu. Za codzienną maską kryła się twarz potwora. Ile razy słyszała wstrząsające zeznania ludzi, którzy znali zabójcę – mężczyznę, który mieszkał w sąsiedztwie. Ludzie zwykle określali go jako „niezwykle fajnego faceta”, który „przez większość czasu trzymał się na uboczu, ale zachowywał się przyjaźnie”. Albo mówili: „nie wierzę w to, wydawał się taki normalny”. Oczywiście bywali szaleńcy, którzy dokonywali wielu zabójstw. Zabójca

więc był tym, którego każdy kojarzył jako „trochę walniętego” lub „dziwnego” czy „samotnika”. Była to taka osoba, o której zawsze ktoś powiedział: „od samego początku coś mi w nim nie pasowało”. Ale równie często zabójcą okazywał się facet z sąsiedztwa, którego wszyscy najmniej podejrzewali o skłonność do przemocy.

Settler jeszcze raz rozejrzała się po miejscu, gdzie doszło do przestępstwa. Wszędzie na trawie była krew. Sam dom był nieskazitelny, do momentu gdy się zjawili i zaczęli omiatać go w poszukiwaniu odcisków palców i innych dowodów. Była też stajnia z trzema końmi oraz stodoła, w której trzymano około dwudziestu sztuk bydła. Ludzie z opieki nad zwierzętami będą musieli sprawdzić, czy zwierzęta nie ucierpiały. Sąsiad Joe Pastiche, którego już przesłuchali, gdyż zjawił się na miejscu z ciekawości i uświadomiwszy sobie, co się stało, był zszokowany i przerażony, ale zaoferował, że sprawdzi, co z inwentarzem i z psem. Opieka nad zwierzętami rozważy, czy nie zatrudnić go do zajęcia się gospodarstwem, ale najpierw muszą go sprawdzić i przekonać się, że jest czysty i nie miał nic wspólnego z atakiem.

Dobrze.

Patrzyła, jak technicy robią zdjęcia ziemi podzielonej na sektory mające usystematyzować poszukiwania najmniejszych śladów i dowodów. Krew, jeśli choć część pochodziła od zabójcy, a nie ofiar, byłaby najlepszym dowodem. O ile napastnik znajdował się w systemie, a jeśli nie... No cóż, trzeba będzie zacząć od początku. Najbardziej jednak Settler chciała przesłuchać Neda Crenshawa, jeśli kiedykolwiek odzyska przytomność. Pojedzie do szpitala, jak tylko tu skończy. Już teraz zleciła porównanie kul wyjętych z ciała pani Crenshaw z tymi, które wyjęto z Noaha Scotta dwadzieścia lat wcześniej, oraz z tą jedną, którą znaleziono na pustyni w doszczętnie spalonym ciele wyjętym z wynajętego mustanga.

Być może te dwie sprawy były jakoś połączone, a ona znajdzie wyjaśnienie tego, co się stało, oraz powód, dla którego Karen Upgarde skoczyła, a Didi Storm zniknęła.

Wszystko się popieprzyło.

Na całego.

Snajper w pośpiechu opuścił posiadłość Crenshawa, niemal z piskiem opon. Wcześniej zostawił samochód na drodze dojazdowej przodem do kierunku, w którym będzie odjeżdżał, żeby móc szybko zniknąć. Ale to chyba jedyna część jego planu, która potoczyła się tak, jak zamierzał. Z rany na nodze krwawił jak zarzynana świnia. Wiedział, że zostawił za sobą smugę krwi. To nie powinno było się stać.

Podszedł zbyt blisko, chciał zadrwić z tego złamasa.

Przejrzał się w lusterku, kiedy wyjechał z Sacramento, i nie spodobało mu się to, co zobaczył. Jego oblicze kojarzyło się z przemocą. Wyglądał tak, jakby zaliczył dziesięć rund z cholernym niedźwiedziem grizzly i przegrał. Jak, do licha, miał to zakryć? Założyć maskę? Ten cholerny skurwysyn, Ned Crenshaw!

Prowadził, uważając, żeby nie przekraczać ograniczenia prędkości, i jeszcze raz przemyślał swój plan, po czym uznał, że nie docenił Crenshawa. Zabójca powinien przewidzieć, że kowboj nie umrze jak zwykły człowiek. Był durniem, że podszedł do niego tak blisko, żeby sobie z niego zadrwić. Do cholery, wydawało mu się, że wie, co robi. Strzelaj z daleka. Celuj w serce lub głowę i spadaj. To była jego mocna strona. Był dobry, bardzo dobry na długie dystanse – najlepszy, potwarzał sobie. Właśnie dlatego został wynajęty. Wtedy, kiedy się to zaczęło, wiele lat temu. A dzisiaj wszystko spieprzył. Miał pistolet tutaj w explorerze, leżał w skrzynce, a on go nawet nie zabrał ze sobą na robotę. Ostatecznie wszystko spieprzył i tylko siebie mógł o to winić.

Uderzył dłonią w kierownicę. Dlaczego, do cholery, zrobił się taki niechlujny? Dlaczego, do cholery, pozwolił, żeby zawaładnęły nim emocje? Dlaczego, do cholery, dopuścił do tego, że Ned Crenshaw uderzył go w twarz widłami i sekatorem w udo?

Ponieważ chciałeś triumfować. Czyżbyś nie wiedział, że дума kroczy przed upadkiem? Usłyszał te słowa, jakby wypowiedziała je do niego babcia. Jakby jej przeklęty duch zasiadł na miejscu pasażera i palił pall malla, tego czarnego, z którym się zawsze kryła. Wiesz, że дума jest grzechem jednym z siedmiu, podobnie jak morderstwo. Ale wiem, że w tej kwestii cię nie przekonam. Widziałam, jaki byłeś, nawet mając dziesięć albo i osiem lat, jak uwielbiałeś polować i zabijać. Dlaczego według ciebie tak bardzo starałam się, żebyś znalazł Pana? Pamiętasz jeszcze łacinę? Pamiętasz, że trzeba odpokutować grzechy? Bóg cię dopadnie, chłopcze, wiesz, że tak się stanie.

Ale nie dzisiaj. Już o to zadbał.

Wypuścił powietrze z płuc, próbował się uspokoić, chociaż zakrzwawił już cały samochód. Pojawiły się światła Oakland, jarzyły się przed nim, odbierając blask gwiazdom. A do niego dotarło, że przeżył. Wyliże się z tego i zakończy robotę. Po prostu musiał się skupić.

Mimo późnej godziny na drodze było dużo samochodów, widział ich czerwone, tylne światła. Jechał równym tempem, nie mógł ryzykować, że zostanie zatrzymany przez policję. Nie teraz. Miał przy sobie zestaw pierwszej pomocy i użyje go najlepiej jak potrafi w obskurnym, małym motelu. Miał wrażenie, że krew z nogi wypływa wolniej, i to było w porządku. Cholernie dobrze. Nie uszko-

dził żadnej tętnicy. Cudownie, w przeciwnym razie znalazłby się w znacznie gorszym położeniu niż teraz. Byłby zmuszony udać się na pogotowie i byłoby po nim.

Zjechał do swojego motelu. A kiedy wreszcie wjechał na podziurawiony, stary asfalt Baysider, okolice recepcji wciąż były mocno oświetlone. Młody recepcjonista był sam, bawił się telefonem i nie zwracał najmniejszej uwagi na to, kto przychodził i wychodził. Dobrze.

Zaparkowawszy na zwykłym miejscu, zabrał torbę, w której miał wszystkie najważniejsze rzeczy do opatrywania ran, oparzeń, ugryzień owadów i tym podobnych. Znalazł klucz do pokoju i wszedł do środka. Starał się nie zostawiać nigdzie śladów krwi. Stojąc w drzwiach do pokoju, wcisnął przycisk pilota do auta. Tak, na zakurzonej cementowej drodze zostawił czerwone kropki. Ale przecież wyjedzie stąd, zanim wstanie dzień.

Zamknął za sobą drzwi i poszedł do łazienki, gdzie zdjął spodnie i ujrzął brzydką ranę w nodze. Była głęboka, wciąż lekko krwawiła i prawdopodobnie wymagała założenia kilku szwów. Ale nie dzisiaj.

Crenshaw, ty dupku!

To twoja głupia wina. Dlaczego musiałeś podchodzić tak blisko i się drażnić? Przecież leżał. Miałaś szczęście, bo udało ci się szybko wybiec ze stajni i ukryć się za drzewem, skąd mogłeś strzelić do jego żony. Crenshaw sam by się wykrawił. Albo ty mogłeś oddać jeszcze jeden strzał zza eukaliptusa. Ale musiałeś się zgrywać. Musiałeś pokazać, kto jest górą.

Miał nadzieję, że przyłapie ich w stajni, ale go usłyszeli.

Ten cholerny pies.

O mało sobie nie odszczekał tego durnego łba.

Powinieneś był strzelić w głowę. To był twój pierwszy błąd. Jeden z wielu. Musiałeś podejść blisko, nieprawdaż? Tak jak wcześniej, z tym chłopakiem na pustyni. Strzał z oddali już cię nie satysfakcjonował. Co się z tobą dzieje?

– Nic – powiedział głośniej, niż zamierzał, a następnie zacisnął zęby i postanowił, że nie będzie słuchał głosu w swojej głowie czy też ducha babci albo jakiegoś innego niechcianego oskarżyciela. Miał robotę do wykonania. Za pomocą niewielu środków.

W zapinanej na suwak torbie odszukał paczkę aseptycznych opatrunków, maść z antybiotykiem, duże sterylne waciki, bandaż. I plaster. Nie była to taka sama jakość, jak na szpitalnym oddziale ratunkowym, ale musiała wystarczyć. Na dzisiaj.

Umył ręce ciepłą wodą, używając mydła z podajnika, a następnie rozdarł sterylną papierową kopertkę, żeby wyjąć opatrunek. Obmył ranę ciepłą wodą i anty-

septycznymi chusteczkami. Mógł wreszcie zobaczyć, jak głęboko wbiło się ostrze. Przebiło mięsień aż do kości, do cholernej kości udowej.

– Co za gnój – wymamrotał, ponownie źle życząc Crenshawowi. Następnie skupił się na aplikacji maści z antybiotykiem i zabezpieczeniu rany kompresem z dwóch największych opatrunków. Miał nadzieję, że krew nie przesiąknie. Gdy skończył, sprawdził funkcjonalność opatrunku.

Wszystko się trzymało, mógł chodzić i zginać nogę bez większego wysiłku. A gdyby ból stał się jeszcze silniejszy, w razie potrzeby miał tabletki. Wiedział jednak, że te specyfiki go otepiają. A on potrzebował świetnego refleksu. Nie wziął również aspiryny znajdującej się w zestawie. Nie mógł ryzykować, że jeszcze bardziej rozrzedzi krew.

Ponownie sprawdził, jak mu się chodzi. Bolało jak cholera. Ale nieraz odczuwał większy ból. Jeśli nie będzie się za bardzo nadwyręzał, jakoś wytrzyma.

Jak, do cholery, zamierzał zrobić to, co zaplanował?

Coś będzie musiał wymyślić. Wcześniej jednak miał jeszcze sporo do zrobienia. Najpierw klatka piersiowa. Zdjął koszulę i zobaczył cztery duże, równo rozstawione zadrapania ciągnące się przez całą pierś. Skóra była rozorana wyżej i głębiej po lewej stronie. Bezlitosne zęby widel przecięły skórę i mięśnie i wbiły się głęboko w ciało. Przynajmniej te rany już nie krwawiły. Oczyszczył je najlepiej, jak potrafił, i zabandażował, gdzie trzeba było, a następnie spojrzął na swoją twarz w lustrze.

Brzydkie rany.

Siniaki i głębokie zadrapania.

Jedno nozdrze rozerwane. Nad nim spuchnięte oko. Miał nadzieję, że rana jest powierzchowna. Ale nie mógł być tego pewny, bo nie był w stanie otworzyć powieki.

Ten złamas nieźle mu przyłożył. Poruszanie się w ciągu dnia będzie problemem. Nie zdoła zakryć tych obrażeń. Od tej chwili będzie musiał działać jedynie w nocy, a następnie wymyślić jakiś logiczny wypadek, żeby wyjaśnić, co mu się stało, kiedy w końcu stanie twarzą w twarz z ludźmi.

Bieżąca sprawa daleka była od zakończenia.

Nadal musiał rozprawić się z Remmi Storm.

Poczuł, że leniwy, zimny uśmiech rozciąga jego usta, gdy uświadomił sobie, że wreszcie dopełni się zemsta.

Wreszcie się odegra.

Nie mógł się doczekać, kiedy zabije Remmi.

ROZDZIAŁ 25

Trudie nie żyje. Nie żyje!

A Ned... Prawdopodobnie też z tego nie wyjdzie.

Remmi było niedobrze, gdy wraz z Noahem wyjeżdżała ze szpitala, gdzie jej były ojczym znajdował się o krok od śmierci. A przynajmniej takie odniosła wrażenie po zachowaniu personelu, który go nie odstępował. Oczywiście nie pozwolili im go odwiedzić. Przeszedł już pierwszy zabieg ratujący życie, czekały go kolejne, po czym zawiozą go na oddział intensywnej terapii. I prawdopodobnie postawią przy nim policjanta.

– Wszystko dobrze? – zapytał Noah, kiedy wyszli z jasno oświetlonego szpitala i znaleźli się na parkingu koło subaru.

– Nie – odparła. Nigdy nie będzie. Po tym, co zobaczyła, Neda i Trudie, dwie osoby niegdyś bliskie jej mace, postrzelone i zalane krwią na trawniku własnego domu. Trudie dostała w plecy. Ned natomiast został ciężko pobity, nawet nie otworzył oczu. Czy Remmi mogła czuć się dobrze? Absolutnie nie. Już wcześniej nie czuła się dobrze, więc tym bardziej teraz.

Patrzyła przed siebie i czuła zimno przenikające ją do szpiku kości, chociaż w aucie włączone było ogrzewanie. Noah prowadził. Po przesłuchaniach, które odbyły się na komisariacie, nie miała siły, żeby oponować. Rozdzielono ich, z rancza na komisariat zostali zawiezieni w oddzielnych radiowozach. Tam przesłuchano ich dokładniej, każdego w oddzielnym pokoju w obecności detektywów z Sacramento i San Francisco. Cała ta procedura zajęła wiele godzin, po czym zawieziono ich, tym razem jednym samochodem, z powrotem na ranczo Crenshawa, żeby Remmi mogła zabrać subaru. Wciąż pracowali tam technicy, a policjanci strzegli dostępu do miejsca przestępstwa, podczas gdy na końcu podjazdu kręciła się ekipa telewizyjna, która przyjechała dwiema furgonetkami. Reporterka i kamerzysta próbowali ich zatrzymać, kiedy wsiadali do wozu, ale Noah wyrwał jej kluczyki z ręki, pokręcił głową, wyminął reporterkę z jasnymi włosami i wyjechał na główną drogę. Remmi z wdzięcznością przyjęła fakt, że docisnął gaz do dechy. W żadnym wypadku nie chciała omawiać tego z mediami.

Jednakże nalegała, żeby pojechali do szpitala, a Noah się zgodził. Kiedy nie wypuszczono ich do rannego i nie udzielano żadnych informacji na jego temat, opuścili szpital. Noah podjechał do burgerowni, gdzie kupili hamburgery i frytki, zanim o pierwszej w nocy zamknięto lokal.

Zatem teraz to on siedział za kółkiem, gdy jechali ponad ciemnymi wodami zatoki. Na wzgórzu na półwyspie światła San Francisco lśniły niczym klejnoty.

Wcześniej próbowali rozmawiać, omówić to, co się stało. Ale kilka godzin intensywnych przesłuchań dało im w kość i nie mieli ochoty na rozmowy. Odkąd wyjechali ze szpitala, każde z nich pograżyło się we własnych, niepokojących myślach i zastanawiało, dlaczego to wszystko się wydarzyło.

Chociaż była zmęczona, nie mogła opędzić się od pytań: Dlaczego zabito Neda i Trudie? Czy to ze względu na książkę? Na pewno tak, prawda? Nie można było zignorować faktu, że to zbiegło się w czasie. A co z książką? Dlaczego Trudie postanowiła ją napisać, a przynajmniej opublikować ją w tej chwili? Prawdopodobnie napisanie jej zajęło rok albo dłużej. Kto jej pomógł? I jak to się stało, że Ned i Trudie, pierwszy mąż jej matki i jej najlepsza przyjaciółka, zeszedli się z sobą? A Noah? Dlaczego zjawiał się teraz, w samym środku całego zamieszania?

Ponownie na niego zerknęła. Był poważny, jego profil, podobnie jak wnętrze samochodu, oświetlały reflektory przejeżdżających pojazdów. Na chwilę zamknęła oczy i pomyślała, jak zmieniło się jej życie w ciągu kilku dni, odkąd Karen Ugarde postanowiła skoczyć z okna.

Od tego momentu jej życie wywróciło się do góry nogami. Och, kogo próbowała oszukać? Jej życie zawsze było niespokojne.

Dotarli do domu, Noah zostawił samochód na jej zwykłym miejscu parkingowym. Z przyzwyczajenia rozejrzała się po ulicy. Nie było niepasującego tu SUV-a. Silverado Noaha stało, gdzie je zostawił. Nie świeciły się światełka świąteczne na dachu domu, przez co Greta z pewnością będzie niezadowolona, jako że dach sąsiada już był rozświetlony sznurem świateł, a ona lubiła witać święta jako pierwsza.

Remmi ruszyła przed Noahem. Weszli na zewnętrzną klatkę schodową, gdzie po raz pierwszy się spotkali niecałe osiem godzin temu. Czy naprawdę minęło tak niewiele czasu? Miała wrażenie, że upłynęła cała wieczność. Wtedy nie miała pewności, czy powinna wpuścić Noaha do swojego domu, bała się tego najścia, ale teraz wydawało jej się to naturalne.

Czy mu ufała?

Oczywiście nie do końca. W dalszym ciągu ledwie go znała, ale przynajmniej większość tego, co jej opowiedział, została potwierdzona przez policję i wyda-

wała się prawdą.

Zabawne, jak czas wszystko zmienia.

Znalazłszy się w domu, Noah rozwinął opakowanie z burgerami, frytkami i dodatkami i położył je na ławie. Remmi znalazła napoczętą butelkę wina i bez pytania rozlała resztę chardonnay do dwóch kieliszków.

– Skosztujesz? – zapytała, podając mu jeden z nich.

Jego uśmiech nie obejmował jego oczu, ale próbował zażartować:

– Wolę merlota do podwójnego burgera z mięsem, ale wypiję naparsteczek.

Uśmiechnęła się półgębkiem i wtedy przyszedł Romeo.

– Nie dla ciebie – zwróciła się do kota, gdy zaczęli jeść. Romeo zajął swoje zwykłe miejsce na oparciu kanapy i tylko lekko machał ogonem.

Jedzenie pomogło. Chociaż była potwornie zmęczona i przygnębiona, poczuła przypływ energii, gdy skończyła burgera i napiła się wina.

– Mylisz się – stwierdziła.

– W jakiej kwestii?

Unosząc kieliszek oznajmiła:

– Według mnie doskonale pasuje do mięsa, jeśli mi nie wierzysz, sprawdź w Google.

Roześmiał się po raz pierwszy odkąd ponownie się zobaczyli, a ten dźwięk ją dotknął i prawie doprowadził do łez, gdy dotarło do niej, w jak niedorzecznej sytuacji się znaleźli.

– Boże, co się dzieje? – zapytała, bo ponownie uderzyło ją, jak sekwencja zdarzeń doprowadziła ich do tego punktu.

– Dowiemy się.

– Jesteś pewien? Po takim czasie? Skoro jakiś szaleniiec biega na wolności i kosi ludzi karabinem?

– Szaleniiec powiązany z Didi. Tak, znajdziemy go. – Ugryzł kęs burgera i go przeżuwał.

– Jak możesz być taki pewien?

– Sam się ujawni, zawsze to robią.

– Czyżby? – zwątpiła. – Więc jak to możliwe, że minęło aż dwadzieścia lat?

– Nikt go nie szukał.

– Policja szukała.

– Dawno temu i, tak jak powiedziałem, sam się ujawni. Może zrobił to już dzisiaj. – Kolejny kęs i łyk wina. – To dość odważne posunięcie, zabicie autorki

książki i próba zamordowania jej męża, który, tak się składa, był pierwszym mężem Didi. Ale, o ile jest coś, czego nie wiemy na temat Crenshawów, na przykład, że wiszą bandytom dużo pieniędzy, wygląda to na zabójstwo związane z publikacją książki.

– Lub śmiercią Karen Upgarde.

– Jednym i drugim – zgodził się.

– Jak, twoim zdaniem, wiąże się to z Karen Upgarde?

– Pytanie za milion dolarów. Tego musimy się dowiedzieć. Ta osoba od komputerów, o której ci mówiłem, już nad tym pracuje. Wysłałem do niej wiadomość, zanim wyszliśmy ze szpitala.

– Jest środek nocy.

– Nie obowiązują jej godziny urzędowania.

– Sprytnie.

– Bardzo. – Skończył jeść frytki.

– Więc może się dostać do danych bankowych, billingów i jej maili? Umie zrobić to, co hakerzy w telewizji?

Lekko się uśmiechnął.

– Czyżby sugerowała pani, że poprosiłem o coś nielegalnego?

– Nigdy. – Oboje wiedzieli, że to beczelne kłamstwo. Ona była zdesperowana, żeby poznać prawdę, poznać los swojej matki i bliźniaków. Zostawić za sobą całą tę tajemnicę z przeszłości. – Po prostu chcę się dowiedzieć, co się stało z Didi. I co się wydarzyło po tym, jak wyszła z domu. Czy facet w spalonym samochodzie naprawdę był ojcem bliźniąt? I kim on był? – Czuła, że jej długo wstrzymywany gniew płonie coraz goręcej.

– Nie wiem.

– Co się stało z Ariel? Widziałam, jak mama oddaje siostrę temu mężczyźnie. Przynęła, że to ojciec bliźniąt, ale policja twierdzi, że nie znaleźli żadnych dowodów na obecność dziecka w spalonym samochodzie. Wobec tego, czy ona żyje? Gdzie? Jak jej się udało przeżyć? – Remmi nie umiała zatrzymać potoku pytań, które ją uwierały. – I co, do cholery, stało się z Senecą i Adamem? Dlaczego go zabrała? Żeby oddać go Didi? – Wyszczyła resztę wina i odstawiła kieliszek na ławę. – Mam wrażenie, że im więcej się dowiadujemy, tym mniej wiemy.

– Czasami tak to właśnie działa – przyznał. – Sprawa wydaje się coraz bardziej zagmatwana, zanim ostatecznie się wyjaśni.

– Minęło już dwadzieścia lat, do cholery. Jak bardziej może się to zagmatwać? Mam już dość życia z tą niepewnością. Może nigdy się nie dowiem? A teraz... Te-

raz tyle zaczęło się dziać: książka, samobójstwo, morderstwo... Musi być jakiś powód, Noah. A my zamierzaliśmy go poznać, rozmawiając z Nedom i Trudie.

– Może – przerwał jej.

– Nie może. To ona była Maryanne Osgoode.

– Nie wiesz, czy została zabita z powodu książki.

– Ale to dobry trop. Zamordowano ją, zanim ktokolwiek miał szansę z nią porozmawiać.

– Żeby ją uciszyć – odpowiedział.

– Właśnie!

– Ale książka już wyszła. Mleko już się rozlało.

– Może miała jeszcze coś w notatkach? Coś, o czym nie wiedziała, że jest niebezpieczne. Albo zamierzała napisać drugą część, a może promować książkę i wtedy to by się wydało. Sama nie wiem. – Westchnęła i wstała. Nie była w stanie usiedzieć ani minuty dłużej. – No i jeszcze forsa. Co z wynagrodzeniem, które dostała za książkę? To musi być jakoś związane z pieniędzmi. Jeśli Trudie jako Maryanne Osgoode jest autorką książki, to ktoś jej za nią zapłacił, prawda?

Potaknął.

– Ale o jakiej sumie mówimy? Na pewno niewielkiej. To małe wydawnictwo z Oregonu, o którym nikt nigdy nie słyszał.

– Ale książka dobrze się sprzedaje. Sporo się wokół niej dzieje. Wszystko to jest dziwne, wiem, ale niektórzy ludzie interesują się takimi prawdziwymi zagadkami, być może nawet przestępstwami. No nie wiem. Musi chodzić o pieniądze.

Ponownie potaknął i rozważył jej słowa.

– I co stanie się po jej śmierci, tak jak teraz? – ciągnęła Remmi. – Kto dostanie tantiemy, które przyniesie książka?

– Prawdopodobnie Ned.

– A jeśli i on umrze?

– Jej spadkobiercy, jak przypuszczam. Albo kto inny, jeśli tak zapisano w umowie z wydawcą.

Remmi kręciła się po pokoju. Chodziła z jednego końca salonu na drugi, od okien do regału i do łukowatego przejścia prowadzącego na wewnętrzne schody.

– O ile mi wiadomo, ona nie ma żadnych spadkobierców, jeśli Ned nie przeżyje. Wydaje mi się, że nie miała dzieci, ale podejrzewam, że może mieć jakąś siostrę lub brata, może nawet jej rodzice jeszcze żyją.

– A zatem twierdzisz, że zabójcy zależało na tantiemach z książki?

– No nie wiem. Może. Po prostu myślę na głos.

– Chyba za bardzo wyprzedzasz fakty – zauważył, po czym zgniótł opakowania i włożył je z powrotem do torby, którą dostali w burgerowni. – Opowiedz mi, co wiesz o związku Neda i Trudie.

– Niewiele mam do powiedzenia. – Zatrzymała się koło regału. – Nigdy nie sądziłam, że mogą się sobą interesować ani że próbowali się dorobić na mojej matce. – Po prostu nie umiała sobie tego wyobrazić.

– Wygląda na to, że jednak.

– Wiem, ale dlaczego? Z tego, co widziałam, wnioskuję, że dobrze sobie radzili. – Dom był czysty, zanim weszła policja. Mieli nowe meble w stylu retro, który właśnie wrócił do mody. Posiadali ziemię i konie, dwa starsze samochody, a w garażu, jak się później dowiedziała, stało zaledwie kilkuletnie porsche w świetnym stanie.

– Pozory mogą mylić. Znasz stare powiedzenie: Zastaw się, a postaw się?

– Raczej nie wzięli tego pod zastaw – zauważyła.

– Ale mogli lubić się postawić. – Uśmiechnął się ponownie, co dogłębnie ją poruszyło, a jej serce wykonało zdradziecki skok i przypomniało jej, jaka była w nim zadurzona. Ale to było w innej epoce, upomniała się. Teraz był inny. Był mężczyzną. Poturbowanym przez życie. Mimo to nadal uważała, że ma wrodzoną zmysłowość, prawdopodobnie dlatego, że był nieświadomy własnej seksualności. Czy to w ogóle możliwe? Spojrzała na zarost ciemniejący na jego silnej szczęce, zmarszczki koło głęboko osadzonych oczu, które lśniły inteligencją, gdy w zamyśleniu wpatrywał się gdzieś przed siebie.

– Sądzisz, że Trudie lub Ned albo oni oboje współpracowali z Didi? – zapytał, ściągając ją na ziemię.

– Nie wiem. Trochę rzeczy w książce na temat jej dzieciństwa mogli poznać dzięki temu, że byli jej kiedyś bliscy, ale nie, mama nie chciałaby mieć nic wspólnego z Nedem. Była wkurzona, kiedy odszedł, i nigdy się nie pogodzili. Ona już taka jest. Jak się na kimś sparzy, nigdy nie wybacza.

– Co by powiedziała na to, że Trudie wyszła za Neda?

– O rany! To by się jej nie podobało. Uznałaby to za zdradę ze strony ich obojga. – Oparła się o regał i spojrzała na półkę, gdzie trzymała kilka ulubionych zdjęć. Znajdował się tam portret Didi. Czarno-białe zdjęcie przedstawiało jej zbliżenie en face. Portret dominował nad mniejszymi fotografiami.

Właśnie to zdjęcie zostało użyte na okładce *Nie jestem sobą*.

A niech to. Na powierzchnię wydostał się stary ból, poczucie desperacji i opuszczenia. Zaciśnęła usta i próbowała je zwalczyć, nadal patrząc na fotografię

Boże, drogi, mammo. Gdzie ty jesteś?

Pograżyła się w myślach i nie zarejestrowała, kiedy Noah wstał z krzesła i zbliżył się do niej. Objął ją w pasie, a ona się spięła. Następnie przyciągnął ją bliżej siebie i poczuła jego oddech na swojej szyi.

– Odpuść – powiedział. – Idź spać.

– Nie mogę – zaprotestowała. – Wygląda na to, że mam gościa.

– Gość może o siebie zadbać.

– Mówię o Romeo.

Zaśmiał się.

– Położę się na kanapie.

Zastanowiła się nad tym.

– Nie masz dokąd pójść?

– Właśnie wróciliśmy z miejsca, gdzie doszło do potwornego zabójstwa. Zginęli ludzie, których znałaś.

– I co, sugerujesz, że potrzebuję ochroniarza? – Zaśmiała się cicho. – Przecież mam kota obronnego i latarkę z gwarancją, że rozedrze napastnika na strzępy, jeśli prawidłowo jej użyję.

– Okej, przekonałaś mnie.

– Mam taką nadzieję.

Czekała na ripostę, ale nagle wypuścił ją ze swoich silnych ramion.

– Co to jest? – zapytał, podnosząc małe zdjęcie w ramce, które częściowo zasłaniało duże ujęcie twarzy Didi.

– Ach, to. – Remmi spojrzała na fotkę. – To jedyna fotografia bliźniaków, jaką mam.

Noah przyglądał się zdjęciu.

– No dobrze, to Didi, rozpoznaję ją, trzyma jedno z dzieci. – Wskazał na matkę Remmi, która stała pod markizą osłaniającą taras ich domu w Las Vegas.

– Ja zrobiłam to zdjęcie. Niedługo po tym, jak urodziły się dzieci. – Didi w okularach przeciwsłonecznych, spodniach i koszulce, jeszcze nie zrzucawszy wszystkich kilogramów po ciąży, trzymała na ręce syna.

– Trzyma Adama.

– Powiedziałaś, że bliźniaki, ale jest tutaj tylko jedno dziecko – zauważył. – A, już widzę. Tam w drzwiach na taras.

– Aha. Seneca niosła Ariel, ale wciąż była w domu. Nie załapała, że robię zdjęcie, a ja nie zauważyłam, że znalazła się w kadrze, bo tak bardzo koncentrowałam się na mamie. Didi bardzo zależało na tym, żeby nie wyszło na jaw, że ma dwoje dzieci. Przyznała się do jednego, ale nie chciałyby, żeby ktokolwiek – ani publiczność, ani jej szef, dosłownie nikt – wiedział, że było też drugie. Wtedy nie rozumiałam, o co jej chodzi. Ale zapewne planowała oddanie jednego dziecka od chwili, gdy się urodziły.

– Może nawet wcześniej.

– Tak, to możliwe, że odkąd odkryła, że będzie miała bliźniaki. Nie była z tego zadowolona, ale jakoś się z tym pogodziła.

– A więc to Seneca? – Podeszedł do lampy wiszącej nad stołem, jakby chciał dokładnie się przyjrzeć kobiecie.

– Tak. Czemu pytasz?

Noah patrzył na fotografię ze ściągniętymi brwiami.

– Masz jakieś inne jej zdjęcia?

Remi pokręciła głową.

– W ogóle nie mam wielu zdjęć. – Wskazała na regał. – Jest tyle, ile widzisz. Te przypadkiem znalazły się między rzeczami Didi, które zgarnęłam tamtej nocy. Po co ci one?

– Już ją gdzieś widziałem!

– Ostatnio?

– Nie. – Zmrużył oczy. – Wtedy. Z ojczymem. Ale nie wydaje mi się, żeby tak miała na imię. – Zerknął na Remmi. – Miała taki egzotyczny wygląd. Była u nas w domu. Mamy wtedy nie było. Ta kobieta razem z Ikiem poszła do jego warsztatu i rozmawiała o motocyklu. Nie, o... motorynce.

– Masz na myśli skuter?

– W zasadzie tak. Ike miał taki. A ona o niego pytała. To była tylko rozmowa. Było jeszcze coś. – Zastanowił się przez chwilę, wpatrując się w zdjęcie. – Chciała, żeby naprawił coś, czego zwykle nie naprawiał, a on powiedział, że da radę to zrobić. – Noah pokręcił głową. – Przypomnę sobie w końcu, ale jestem pewien, że Ike nie zwracał się do niej imieniem Seneca.

– A jakim? – zapytała Remmi.

– Teraz nie pamiętam – odparł, przybliżając zdjęcie do twarzy. – Tak jakby... Shelly, Shirley lub coś w tym stylu. – Zamknął oczy. – Boże, mam to na końcu języka, ale nie mogę sobie przypomnieć – powiedział, patrząc na fotografię.

Shelly lub Shirley.

Ziewnęła i nagle poczuła się potwornie zmęczona.

– Idź spać – rozkazał, a ona tym razem nie oponowała, gdy pokierował ją w stronę sypialni.

Settler nie mogła zasnąć. Nie mogła się wyłączyć. Do drugiej w nocy była w szpitalu, potem wróciła do domu, wyszła z Earlem na spacer i nawet zdołała zrobić krótką przebieżkę. Powinna być wykończona o czwartej, ale wciąż czuła się narkęcona.

Kto zaatakował Neda Crenshawa i jego żonę?

Przyczyną była ta cholerna książka, prawda?

Jak to szło, gdy próbowano udowodnić znowę w wyborach prezydenckich? Podążaj za pieniędzmi?

Wydział już nad tym pracował, technicy także starali się rozpracować ślady krwi znalezione na miejscu. Jutro mogą mieć trafienia. Będą w stanie określić, ile rannych ofiar i / lub napastników znajdowało się na miejscu przestępstwa. Telefon, karty kredytowe i dane komputerowe mogą połączyć Crenshawów z zabójcą Trudie Crenshaw. Łuski i inne ślady być może powiążą tę sprawę z morderstwem na pustyni, a może nie. Ten sam zabójca mógł użyć różnych rodzajów broni.

Może też znajdą coś interesującego w wynikach toksykologicznych Karen Upgarde. Wątpiła w to. Na takie rzeczy, jak badanie DNA, potrzeba czasu, ale laboratorium potrafiło czynić cuda przy właściwej motywacji.

Wypiła smoothie z banana, truskawek, szpinaku i jogurtu, co było jej typowym szybkim śniadaniem, ale, do cholery, było na to za wcześnie. O wiele za wcześnie. Po smoothie padła na łóżko. Earl zaskamlał, więc się poddała.

– Wskakuj – rzuciła. A psu nie potrzeba było dalszej zachęty, żeby wskoczyć na łóżko, polizać ją po twarzy i zakopać się pod kołdrą.

Wpatrując się w sufit, Settler próbowała ponownie połączyć rozsypane kawałki.

Noah Scott wrócił, twierdząc, że chce rozprawić się ze swoją przeszłością i odszukać Remmi Storm. Prawda? Nie wiedziała. Przypisała to do kategorii „może”.

Zerknęła na książkę leżącą na stoliku nocnym. Przerwane zdjęcie na okładce nie przypominało Karen Upgarde, więc dlaczego ta kobieta skoczyła? A może została zepchnięta? Wciąż mnóstwo pytań bez odpowiedzi. Rozmazane zdjęcie pokoju hotelowego nie dostarczyło pożądanых odpowiedzi. Kto mógłby zachęcić kobietę do skoku z dziewiętnastego piętra?

Przez myśl jej przeszło, że mogła to być sama Didi Storm.

Bo kto jeszcze skorzystałby na reklamie? Ale czy podstarzała, poślednia artystka zadawałaby sobie tyle trudu po tym, jak ukrywała się przez dwadzieścia lat? Czy popchnęłaby niestabilną psychicznie kobietę do samobójstwa? Z jakiego powodu? Dla rozgłosu? Żeby znowu mówiono o Didi? Żeby na nowo rozpocząć karierę, która od samego początku nie była zbyt imponująca? Dla kilku docłów? A może dla kilkuset tysięcy docłów?

Settler przewróciła się na bok. Opatuliła się kołdrą i słuchała deszczu, który znowu zaczął padać i uderzać w szyby.

To się po prostu nie kleiło.

Nie jestem sobą było dość szczegółową książką o Didi, ale fragmenty dotyczące Los Angeles i Las Vegas były znane wszystkim jej przyjaciołom, współpracownikom i ludziom, z którymi zetknęła się w życiu. Na jej temat pojawiło się kilka artykułów w gazetach i magazynach. Nie ogólnonarodowych, ale wciąż były dostępne.

Co jednak z okresem dorastania? Kto by miał na ten temat jakieś wiadomości, oprócz rodziny i bliskich przyjaciół z Środkowego Zachodu? Jej rodzice nie żyli, ale Settler zamierzała porozmawiać z Verą Gibbs i Billym Hutchinsonem, siostrą i bratem Didi, jeśli uda jej się ich namierzyć. Może rzucą na tę sprawę trochę światła?

Ponadto był jeszcze ojciec Remmi, tajemniczy mężczyzna bez nazwiska. I ojciec Noaha Scotta. Scott twierdził, że matka powiedziała mu, że ojciec siedzi w więzieniu, ale to nie była prawda. Mężczyzna opuścił Corę Sue i syna i założył inną rodzinę. No i oczywiście ojciec bliźniąt Didi (jeśli w ogóle istniały), który prawdopodobnie zginął w pożarze na Mojave tamtej nocy dwadzieścia lat temu. Mnóstwo tatusiów w tej sprawie. Mnóstwo zaginionych ludzi, w tym sama Didi i jej nowo narodzone dzieci.

A teraz jeszcze dwie ofiary, Karen Upgarde i Trudie Crenshaw.

Jak na razie.

Poprosiła o informacje na temat każdej osoby, o której wspomniała Remmi Storm. Miała je dostać, jak tylko przyjdzie do pracy. Zatem jutro będzie czekało na nią mnóstwo informacji. Może uda jej się znaleźć jakieś odpowiedzi. Być może nawet złapać zabójcę.

W końcu gdzieś około piątej nad ranem odplynęła w sen z ostatnią myślą, że powinna zadzwonić do swojego ojca i przebaczyć mu, że odnalazł szczęście z kobietą, która nie była jej matką. Powinna spróbować odnowić ich niegdyś zażyłą relację. Czy byli w stanie odbudować mosty, które z takim zapalem burzyli?

Miała taką nadzieję.

Subaru się nie ruszyło w ciągu ostatnich dwóch godzin.

Według należącego do snajpera nadajnika GPS, który rejestrował informacje nawet przez okres dwóch tygodni, Remmi Storm wróciła do domu po spędzeniu wielu godzin w posiadłości Crenshawa w Sacramento. Zjawiała się tam chwilę po tym, gdy skończył robotę. Żałował tylko, że nie mógł zostać tam dłużej. Od razu mógłby ją tam załatwić. Świetnie by się złożyło. Jednak ze względu na tego złamaś Crenshawa i obrażenia, które mu zadał, snajper był zmuszony się stamtąd ulotnić.

Ale zostawiłeś tam swoje DNA! I co teraz? Jeśli gliniarze nie są totalnymi idiotami, będą mieli dowód na twoją obecność w tamtym miejscu.

Musiał to zakończyć.

Jak najszybciej.

Dziś w nocy?

Przed świtem?

Nie. Nie miał żadnego zabezpieczenia. I musiał dać sobie choć chwilę na dojście do siebie. Czuł się tak, jakby został przepuszczony przez maszynkę do mięsa. A jutro może się czuć niewiele lepiej. Wobec tego zażyje jakieś dostępne bez recepty leki przeciwbólowe, ale nic zbyt silnego, co mogłoby wyeliminować go z gry. Jak trudne może być zabicie kobiety?

Jutro wieczorem. Pod osłoną nocy.

Zajmie się nią.

Na dobre.

ROZDZIAŁ 26

– Zgadnij, kto był kompletnie splukany? – Martinez przywitał Settler zagadką, gdy następnego dnia rano odwieszała płaszcz na wieszak w komisariacie.

– Ty? – zapytała. Była nieprzytomna z powodu przerywanego snu. W końcu udało jej się zasnąć, ale po upływie godziny zadzwonił alarm. Miała wrażenie, że jej powieki są z papieru ściernego, i zabiłaby za kubek kawy. Martinez, a niech go szlag, wyglądał, jakby przespał całe osiem godzin i był gotowy do przebiegnięcia maratonu.

– Oprócz mnie – odparł i błysnął białymi zębami w diabelskim uśmiechu.

– Niech zgadnę. Dostałeś wyciągi bankowe Karen Upgarde?

– To prawda i, o rany, ta laska była zadłużona po uszy.

– Opowiesz mi, kiedy napiję się kawy. A teraz sprawdzę maile i zwykłą pocztę. Chcę zobaczyć, co już przyszło. – Ruszyła w stronę swojego biurka. Vance, który jak zawsze wyglądał, jakby właśnie zszedł z okładki „GQ”, posłał jej niechętnie spojrzenie. Cały cholerny wydział sprawiał, że czuła się wygnieciona jak Columbo, detektyw ze starego serialu telewizyjnego. Zawibrował jej telefon, więc spojrzała na ekran i rozpoznała numer najbardziej upierdliwego dziennikarza z lokalnej stacji. Nie odebrała. Przez cały czas dzwoniło do niej z mediów i jak dotąd odsyłała wszystkich do rzecznika prasowego policji. Zadzwoniła już do szpitala w Sacramento. Ned Crenshaw wciąż żył i wciąż był nieprzytomny. Próbowowała też dodzwonić się do detektywa Ladlowa w Sacramento, ale nie odebrał, więc zostawiła wiadomość, prosząc o najnowsze wieści.

W wydziale było już gwarно, dzwoniły telefony, stukwały klawisze komputerów, słychać było ściszone rozmowy, a oprócz tego szum centralnego ogrzewania, tłoczącego ciepłe powietrze w kolejny ponury dzień typowy dla San Francisco.

Obudziła się późno, zabrała Earla na spacer i skontaktowała się z sąsiadką, której dziesięcioletnia córka zawsze zaglądała do Earla, kiedy Settler pracowała do późna, tak jak wczoraj. Addie pragnęła mieć własnego szczeniaka. Samotnie wychowująca ją matka miała nadzieję, że zajmowanie się mopssem sąsiadki wybije dziewczynce z głowy chęć posiadania własnego psa. Okazało się, że zadzia-

łało to wręcz przeciwnie. Addie błagała matkę o szczeniaka w prezencie świątecznym.

– Będę potrzebowała pomocy Addie przy tym gościu – powiedziała Dani, a Earl kręcił się w koło i próbował podskoczyć, kiedy zobaczył Addie, która, ubrana w mundurek prywatnej szkoły, wyłoniła się zza matki stojącej w drzwiach do mieszkania.

– Nie ma problemu.

– Uwielbiam go. – Addie już klęczała i poświęcała psu całą swoją uwagę, podczas gdy Earl kręcił się w koło i lizał ją po twarzy, co bardzo rozśmieszało dziewczynkę.

– Mam przerąbane – westchnęła jej matka, a Settler pomyślała, że ma rację. Czy jej się to podoba, czy nie, i tak Addie będzie miała swojego szczeniaka, jeśli nie na te święta, to już niedługo.

Settler usiadła na krześle przy biurku, poruszyła głową, żeby rozluźnić kark, i zaczęła przeglądać maile. Znalazła w nich raporty, ale wciąż jeszcze nie dotarł ten z autopsji Upgarde. Miała już wyciągi bankowe, billingi i informacje pozyskane z jej komputera. Martinez nie żartował. Karty kredytowe Upgarde były zadłużone na maksa. Na koncie bieżącym praktycznie nic nie miała. A na jej poczcie znalazło się wiele ponagających wiadomości z banków. Jednak w ciągu dwóch miesięcy kobieta wpłaciła na konto dwa razy po pięć tysięcy dolarów. Większość tej sumy poszła na spłatę rachunków, wśród których znajdowała się opłata za dom spokojnej starości, gdzie przebywała jej matka Irene.

– A więc skąd wzięłaś pieniądze, Karen? – zapytała Settler. I za co? A w zasadzie od kogo? Czy coś sprzedała, na przykład samochód, albo spieniężyła coś cennego? Na przykład obligacje albo... Może kogoś szantażowała? Czy ktoś jej zapłacił? Postanowiła, że sprawdzi wyciągi bankowe Neda i Trudie Crenshawów, żeby przekonać się, czy wypłacali jakieś większe sumy w ostatnich kilku miesiącach.

Zawibrowała jej komórka, więc odebrała.

– Detektyw Danielle Settler.

– Witam, tu Chuck Buford. – Chropowaty, niski głos. – Wczoraj zostawiła mi pani wiadomość. A może przedwczoraj?

Buford. Facet, który prowadzi bar karaoke, gdzie występowała Karen.

– Wszystko już opowiedziałem tej policjantce, Ugali czy jakoś tak. Wszystko, co wiedziałem na temat Karen. Po prostu była miłą laską, która lubiła śpiewać. Nie miała przyjaciół, tylko matkę, która niedomagała i kosztowała ją mnóstwo

forsy. Jeśli o mnie chodzi, to powiem tak, że to, co się stało, jest cholernie bez sensu.

– To prawda – zgodziła się Settler. – Czy ma pan jakieś przypuszczenia, dlaczego chciałaby odebrać sobie życie?

– Nie... Nie było jej lekko, ale cóż, nie aż tak źle, żeby ze sobą kończyć.

– Piła?

– Tutaj nie. Przynajmniej nie w mojej obecności. A raczej bym wiedział, bo często zjawiała się wtedy, kiedy miałem zmiany.

– Brała narkotyki?

– Hej, a skąd ja mam o tym wiedzieć?

– Zioło jest legalne.

– Tak, tak, wiem, ale naprawdę nie mam pojęcia. Gdybym miał zgadywać, powiedziałbym, że nie.

– Wspomniał pan, że była odludkiem.

– To prawda.

– Raz wyszła z jakimś facetem.

– O, nie, nie. Z nikim nie wychodziła. Nie było tak, jak pani mówi. Według mnie ten facet poszedł za nią. Zapłacił za swoje piwo, w chwili gdy wyszła i ruszył zaraz za nią. Ale to wszystko, co wiem na ten temat. Według mnie ona go nie знаła, ale mogą się mylić. Wie pani, nie mam pojęcia, co stało się z Karen. I nie wiem, z kim się zadawała.

Zadała mu jeszcze kilka pytań, ale nie uzyskała żadnych odpowiedzi, oprócz tego, że facet miał czapkę z daszkiem i ciemne okulary, i interesowała go tylko Karen.

Martinez, który chyba jej pożałował, zjawił się w ciągu godziny z podwójnym espresso z najbliższej kawiarni. Przyjęła je z wdzięcznością.

– Jestem twoją dłużniczką – powiedziała, gdy usiadł koło jej biurka.

– Spójrz, co przyszło z laboratorium.

Upiła łyk z papierowego kubka z czerwono-zieloną nazwą kawiarni.

– Co?

– Wczesny prezent gwiazdkowy. Sprawdź maila.

Zwróciła się do komputera, podczas gdy Martinez zaglądał jej przez ramię. Zobaczyła nową wiadomość, kliknęła na nią i otworzyła dwa pierwsze załączniki. Pojawiło się to samo zdjęcie hotelowego okna, ale było wyraźniejsze, ciemna po-

stać wyglądała znacznie ostrzej. Z całą pewnością była to jakaś osoba i stała tuż za firanką.

– A więc był z nią ktoś?

– Tak.

Drugie zdjęcie przedstawiało to samo okno pod nieco innym kątem, ale z całą pewnością ktoś tam stał.

– To nadeszło dopiero wczoraj – wyjaśnił Martinez.

– Na pewno nikogo nie da się rozpoznać na tym zdjęciu.

– Zgadzam się, ale to zdecydowanie wygląda jak czapka Marinersów...

– Bingo – pochwaliła go i zapomniała o swoim espresso, próbując powiększyć ostatnią osobę, która widziała Karen Upgarde żywą. Znowu czuła delikatne mrowienie w tyle głowy, ekscytację związaną z poznawaniem prawdy i potencjalnego zabójcy.

– W laboratorium porównują to zdjęcie z nagraniem faceta w windzie, który jak dotąd nie został zidentyfikowany – dodał. – Tego, który natknął się na dozorcę w nocy i ulotnił się z windy na następnym piętrze.

– Niech laboratorium przysła nam to nagranie, przekazemy je stacjom telewizyjnym, być może ktoś go rozpozna. Odkąd to wszystko się zaczęło, cały czas dzwonią do mnie dziennikarze.

– Jestem o krok przed tobą – pochwalił się.

– Jak zawsze – rzuciła i w nagrodę ujrzała jego szeroki uśmiech. Ponownie napiła się z kolorowego, papierowego kubka i rozkoszowała się chwilą satysfakcji. Miała wrażenie, przynajmniej w tym momencie, że w końcu robią jakieś postępy. Nie mogła się powstrzymać od myślenia, że jeśli uda im się zidentyfikować osobę na zdjęciach, znajdą nic łączącą mordercę z Trudie Crenshaw, czyli Maryanne Osgoode, i możliwe, że zbliżą się do rozwiązania zagadki zniknięcia Didi Storm i jej niemowląt. Settler skontaktowała się z hrabstwem Clark i stanem Nevada w nadziei, że znajdzie akty urodzenia bliźniąt, ale jak dotąd nie otrzymała od nich odpowiedzi. Według Remmi Storm oraz książki, Didi i pomagająca jej położna zarejestrowały narodziny syna, chociaż Didi urodziła także córkę. W dokumentach znajdowały się jedynie dane Adama Bretta Storma. Nic na temat dziewczynki urodzonej tego samego dnia. Żadnej Ariel Storm.

Patrzyła przez chwilę na tę informację i zastanawiała się nad imionami dzieci. Ariel i Adam. Oba imiona zaczynające się na literę A. Typowe dla bliźniąt. Czy dziewczynka miała drugie imię? I dlaczego Adam Brett... A.B. Storm?

Większość przedpołudnia spędziła rozmawiając z ludźmi, którzy znali Upparde, i udało się jej potwierdzić wszystko, co przesłała jej Ugali. Były mąż, współpracownicy i killkoro przyjaciół – wszyscy zgadzali się, że Karen przechodziła trudny okres, ale nic nie wskazywało na to, że zamierza się zabić. To samo wynikało z jej kont w mediach społecznościowych, z których korzystała rzadko. Dotyczyły głównie jej zainteresowań muzycznych, nowych albumów ulubionych artystów, jakichś modnych diet i zabawnych filmików z kotami, chociaż sama nie miała żadnych zwierząt. Należała do facebookowego fanklubu Didi Storm, a gdy Settler przeglądała posty, znalazła takie, które odnosiły się do tego, że Karen naśladowała Didi w czasie samobójczego skoku. Komentarze miały różnorodny wydźwięk, od smutnych i miłych po złośliwe.

RIP. Emotikon w kształcie serca. Trzydzieści dwa lajki.

Wspaniały hołd dla Didi podczas twojego ostatniego występu. Spoczywaj w pokoju. Emotka posyłająca buziaka. Pięćdziesiąt sześć lajków. Cztery kciuki w dół.

Za kogo ty się uważasz? Po co ją naśladujesz? Żadnych emotikonów, ale piętnaście lajków.

Wstydź się za to, że próbujesz przyćmić Didi i Marilyn. Byłaś przegrana za życia i jesteś przegrana po śmierci. Zero emotikonów, dwadzieścia siedem lajków.

Jesteś brzydka. W ogóle nie jesteś do niej podobna. Emotikon z kciukiem w dół.

I tak dalej i tak dalej. Settler, stwierdziła, że każde komuś sprawdzić ludzi, którzy zostawili te komentarze, ale odniosła wrażenie, że są to zwykłe wpisy typowe dla członków tej grupy.

Remmi spała niespokojnie. Jej sen nawiedzały obrazy Neda i Trudie na przesiąkniętym krwią trawniku. Zasnęła po trzeciej, a teraz aż jęknęła, gdy zerknęła na zegarek. Dziewięć trzydzieści. Dawno minęła pora jej pobudki. Z trudem zeszła z łóżka, poszła w koszulce, którą zakładała do spania, do salonu i znalazła tam Noaha siedzącego na jednym końcu kanapy z laptopem otwartym na ławie i Romeo zwiniętym u jego boku.

– Zdrajca – powiedziała, ziewając, ale śpiący kot nawet nie otworzył oka.

– Dzień dobry, słoneczko. – Noah zerknął na nią z uśmiechem, uświadamiając jej, że ma nieuczesane włosy i w sumie jest rozebrana.

– Takie niezbyt pogodne – odparła, przeciągając się i zastanawiając, dlaczego nie poczuła irytacji na jego widok. – Wcześniej wstałeś.

– Lata ćwiczeń w wojsku – rzucił, posyłając jej uśmiech. Wciąż miał wilgotne włosy, ale znikł cień zarostu na jego policzkach. Ubrał się nawet w czyste dzinsy

i koszulkę, na którą narzucił niezapiętą koszulę flanelową z podwiniętymi rękawami. Czy naprawdę wziął prysznic, ogolił się i ubrał, a ona cały czas spała?

– W kuchni jest kawa – oznajmił.

– A więc widzę, że się rozgościłeś.

– To prawda – potwierdził z uśmiechem.

– No dobrze. Super.

– Rzeczywiście super, jesteś szczęściarą.

– Zabawne, bo nie czuję się aż taka szczęśliwa.

– Wobec tego musisz zmienić nastawienie. – Spojrzał na nią i po raz pierwszy tego ranka tak naprawdę ją zobaczył.

– Wezmę to pod rozwagę. Może. – Jej wzrok padł na kubek z parującą kawą stojący na stoliku. Zrobił kawę? To znacząco poprawiło jej nastrój.

Poszła do kuchni i naląła sobie gorącego płynu z dzbanka.

– Co robisz? – zapytała go.

– Skończyła się nam śmietanka.

Nam, pomyślała, obracając to słowo w myślach i popijając kawę. Gdy przechodziła koło salonu, ponownie się odezwał.

– Pytałaś, co robię?

Zatrzymała się.

– No i?

– Zbieram informacje. Przeglądam to, co przesłała mi Emma.

– Kim jest Emma?

– Moim specem od komputerów. Emma Yardley. Mówiłem ci o niej.

– Ale nie podałeś imienia – stwierdziła, patrząc na kota. Romeo w końcu otworzył oczy, przeciągnął się, wyciągając łapy i pokazując pazury. – Masz coś ważnego?

– Nie wiem, być może. Właśnie to przeglądam.

Rozważała czy usiąść koło niego i spróbować spojrzeć na to, co tak pilnie studiował, ale przypomniała sobie, jak wygląda, i rzuciła:

– Opowiesz mi za piętnaście minut? Idę się ubrać.

– Okej – zgodził się i jeśli spodziewała się przynajmniej jakiegoś najsztubtelniejszego potwierdzenia tego, że usłyszał, że za chwilę będzie naga, musiała się rozczarować. Nie odrywał wzroku od komputera i szybko coś pisał, ignorując ledwie tknięty kubek z kawą. To, co tam odkrył, z pewnością przykuwało całą jego uwagę.

Zabrała dzinsy sweter, stanik, majtki i skarpetki, po czym poszła do łazienki, gdzie przeszło jej przez myśl, żeby zamknąć za sobą drzwi, zawahała się, po czym przekręciła zamek i puściła wodę. Rozbierając się z koszuli nocnej, poczuła się nieco dziwnie. W drugim pokoju był Noah Scott, zjawił się po tak długim czasie i siedział na jej kanapie, podczas gdy ona całkowicie naga wchodziła pod parujący natrysk. Namydliła się i zaczęła snuć nedorzeczną fantazję. Wyobraziła sobie, że Noah wpada do łazienki, para się rozstępuje, a on, zupełnie nagi, odsuwa zasłonę prysznica i przez kolejną godzinę całuje ją w szyję, namydla jej piersi, chlapie wodą na jej sutki, po czym ją podnosi...

Zabroniła sobie tak myśleć.

– Co ty sobie wyobrażasz? – zbeształa się, przykręcając kurek i splukując ciało chłodniejszym strumieniem. Przecież on wciąż był dla niej praktycznie obcą osobą.

– Pamiętaj o tym – nakazała sobie, wycierając się i ubierając. Starła parę z łustra. Uczesała włosy i związała je w kucyk. Usta pomalowała błyszczącym, nałożyła tusz do rzęs i była gotowa. W mniej niż piętnaście minut.

Wyszła z łazienki i zobaczyła Ghosta schodzącego po schodach.

– Ciekawość cię wreszcie zabije – przypomniała mu, gdy jego ogon zniknął na półpiętrze.

– Słucham? – zapytał Noah.

– Mówię do kota. Ghost nie jest zbyt przyjazny.

– Taki szary?

– Właśnie ten.

– Wydawał się fajny – odpowiedział. – Od razu wskoczył na kanapę i zaczął łąpać mnie za palce, gdy pisałem na klawiaturze.

– Niemożliwe, chyba żartujesz?

– Oczywiście, że żartuję – odparł ze śmiechem. – Dotarł na szczyt schodów. Tylko raz na mnie spojrział, po czym zrobił w tył zwrot.

Ona też się uśmiechnęła.

– To bardziej do niego podobne. A więc co masz?

– Jeszcze nic, ale Emma mówi, że wysłała mi coś ważnego. Właśnie pisze do mnie maila.

– Wobec tego zaraz wracam.

Zbiegła na dół, minęła puste pierwsze piętro i wpadła do kuchni, gdzie przy stole zastała Gretę, która właśnie kończyła rozwiązywać krzyżówkę. Naczynia po

śniadaniu stały już w zlewie. Kobieta, ubrana w różową kamizelkę, biały golf, spodnie i perły pasujące do kolczyków, powiedziała:

– No, dzień dobry! – I odsunęła iPada. – A więc dzisiejsza – rzuciła, wskazując na ekran, gdzie wciąż wyświetlała się krzyżówka. – To poważna sprawa. Trudny orzech do zgryzienia. – Potem dodała: – Miałam nadzieję, że zejdziesz dzisiaj rano. Boże drogi, widziałam w wiadomościach, że zamordowano żonę Neda Crenshawa, a on sam jest ranny. – Pokręciła głową. – Był pierwszym mężem Didi, prawda?

Oczywiście Greta pamiętała imię Neda. Znała na pamięć całą tę cholerną książkę. Nie było takiej możliwości, żeby Remmi udało się uniknąć rozmowy ze starszą panią. Poza tym winna była jej prawdę.

– Znaleźliśmy ciało i zadzwoniliśmy na policję. Noah i ja.

– Noah?

– Noah Scott.

– Ten chłopak... Ten sam, który był na motocyklu tamtej nocy na pustyni, tak? O rany... – Aż jej się zaświeciły oczy.

– Tak, jest teraz na górze.

– Doprawdy? No i oczywiście już nie jest chłopcem. – Brwi Grety uniosły się ponad oprawki okularów. – Zamierzasz przyprowadzić go na dół i nas sobie przedstawić?

– Teraz nie, może później. Zobaczymy.

– Ale skąd się tutaj wziął? Czyżby zjawił się tak zniecka? Sądziłam, że zagiął.

– Tak było.

– Więc... Co się dzieje?

Remmi nie miała czasu na długie wyjaśnienia, wobec tego, nie wchodząc w szczegóły, szybko streściła starszej kobiecie wydarzenia z poprzedniego dnia. Opowiedziała, co robiła, począwszy od odkrycia, że Trudie Melborn była żoną Neda, a także autorką *Nie jestem sobą*. Wyjaśniła, że udała się do Sacramento w nadziei, że dowie się więcej o samej książce oraz że uda jej się wyciągnąć z Trudie, czy kontaktowała się z Didi lub wie, co się z nią stało. Chciała dociec, jak pozyskała wszystkie informacje na temat Didi, które zamieściła w książce. Opowiedziała też, jak znaleźli Neda i Trudie z ranami postrzałowymi. Trudie już martwą, a Neda, który został odwieziony do szpitala w Sacramento, w poważnym stanie.

– A niech to! – wykrzyknęła Greta. Bezwiednie podniosła dłoń do szyi i zaciśnęła ją na perłach. – Po prostu nie wierzę. Przecież naraziliście się na niebezpieczeństwo!

– Nie sądzę – odparła Remmi, nieco naciągając prawdę, bo dobrze pamiętała poważną minę Noaha, jego skupione spojrzenie, gdy trzymał pistolet gotowy do strzału, na wypadek gdyby zobaczył zabójcę. Wciąż słyszała wściekle szczekającego psa gdzieś w ciemności. Czy byli w niebezpieczeństwie? Możliwe, ale nie widziała powodu, aby obciążać tym Gretę. – No więc wróciliśmy późno do domu.

– Jak się czujesz?

– Dobrze. Wiadomo, że to jest przygnębiające i wczoraj nie czułam się najlepiej. Przez wiele godzin wyjaśnialiśmy wszystko policji. Ale teraz już jest w porządku. – To było kolejne małe kłamstewko, jako że wydarzeń poprzedniej nocy nie dało się podsumować słowem „przygnębiające”. Na dowód miała swoje własne koszmary, ale ponownie nie chciała obciążać nimi starszej kobiety.

– Biedny Ned. Wyjdzie z tego? – Greta wciąż wyglądała na przejętą, ale wreszcie przestała wykręcać naszyjnik.

– Nie wiem. Chyba ma pięćdziesiąt procent szans. Pokładam nadzieję w tym, że jest twardzielem, no wiesz, prawdziwym kowbojem, ale został postrzelony i, no cóż, sama nie wiem. – Poczula wszechogarniający smutek na tę myśl. Odwróciła się do lodówki. – Przyszłam na dół, żeby pożyczyć trochę śmietanki do kawy.

Greta ruchem dłoni wskazała lodówkę.

– Bierz, co chcesz. – Westchnęła, gdy Remmi otworzyła drzwi lodówki i wyjęła mały karton śmietanki. – Kiedy ty ścigałaś przestępców, tutaj największą atrakcją było to, że dzisiaj wreszcie zawieszą świąteczne światełka. – Pokazała na okno, gdzie, czekając na zawieszenie, na silnym wietrze kołysał się sznur lampek. Widać było drabinę oraz tors jakiegoś mężczyzny, który próbował przymocować światełka. – Okropny dzień na tę robotę – zauważyła Greta – ale właściciel firmy obiecał mi, że dzisiaj przetestują je po raz pierwszy i że efekt będzie spektakularny, nawet jeśli zajmie im to cały dzień. – Zamilkła na chwilę i ponownie pokręciła głową. – Ale po tym, co mi powiedziałaś, to wszystko wydaje się takie nieważne, takie blahe. – Jakby chcąc zaakcentować jej wypowiedź, sznur lampek zastukał w szybę, a mężczyzna na zewnątrz głośno przeklął.

Uwagę Remmi przyciągnął jakiś dziwny hałas, po czym usłyszała kroki dochodzące z piwnicy i do kuchni wkroczył Turtles. Otarł się o jej nogi, a kilka sekund później pojawiła się Beverly z zarumienią twarzą i rozczochranymi rudymi włosami. Widząc Remmi, przywitała się:

– *Hola. Buenos días.*

– Dzień dobry – odpowiedziała Remmi. W tej samej chwili hałas ustał, a Beverly wyszła na korytarz.

– Co to było?

– Kuchenna winda. Jade i Beverly wysprzątały ją i okazało się, że wciąż działa. – Greta sama wyglądała na zaskoczoną. – A teraz się nią bawią. Wciągają wszystko na górę i opuszczają na dół. Beverly jest bardzo dumna z siebie.

– Oczywiście, że jestem dumna! – krzyknęła Beverly z korytarza. – I to nie zabawa. To ciężka praca. Rany, jak tam było brudno!

– Nikt jej nie używał od dwudziestu lat – wyszeptła Greta. W tym czasie nakrapiany kot wskoczył jej na kolana, a ona automatycznie zaczęła głaskać go po głowie.

– Jestem przekonana, że to ułatwi mi pracę – powiedziała Beverly. – No chyba że znasz jakiś inny sposób, żeby postawić pralkę i suszarkę na parterze. Tak byłoby najlepiej.

Greta prychnęła.

– Nie oddam na to toalety – rzuciła pod nosem.

Remmi ruszyła w stronę tylnych schodów, niosąc śmietankę. Po drodze wymięła Beverly, która otworzyła drzwi windy i wyjmowała z niej kosz czystych ścierek kuchennych.

– Tak jest najlepiej – zakomunikowała. – *El majore*. Tak się to chyba mówi?

– Tak jakby – zawołała Greta z kuchni. – *Buen trabajo*. Dobra robota.

Na drugim piętrze Remmi zastała Noaha wciąż zajętego przy komputerze.

– Jest coś? – zapytała z kuchni, gdzie odgrzała sobie kawę w mikrofalówce i do dała do niej śmietanki.

– Kilka rzeczy.

– Opowiadaj. – Trzymając kubek w obu dłoniach, usiadła obok niego na kanapie na miejscu Romea, które można było rozpoznać po długiej sierści pozostawionej przez kota. Turtles wskoczył teraz na regał, skąd rozglądał się po salonie, jak cesarz.

– Okej. Poprosiłem Emmę, żeby przejrzała stare zgłoszenia i dowiedziała się, czy w czasie gdy doszło do wybuchu na pustyni wpłynęło zawiadomienie o jeszcze jakichś zaginięciach w Las Vegas.

– To policja wcześniej tego nie zrobiła?

– Tak, zrobiła, próbując zidentyfikować faceta w mustangu, ale niczego nie znalazła.

– A wy kogoś znaleźliście? – Nie mogła w to uwierzyć. Czy to możliwe, że w końcu będzie można zidentyfikować tego mężczyznę?

– Nieco poszerzyłem zakres poszukiwań. To wszystko.

– Bardziej niż policja? – Naprawdę trudno jej było w to uwierzyć.

– Tak.

– No i?

– Są pewne możliwości. Emma wciąż sprawdza, czy których z nich został później odnaleziony – wyjaśnił. – Ale znalazła jeszcze coś nieco ciekawszego.

– Czyli?

– Billingi telefoniczne Gertrude Crenshaw.

Trudie. Remmi poczuła, że jej serce przyspiesza. Niepokoiło ją coś w tonie jego głosu.

– Tylko patrz. Te numery są identyczne. – Wskazał na ekran, gdzie wyświetlała się lista połączeń przychodzących z różnych numerów telefonów i pokazał jej kilka takich samych. – Emma próbowała ustalić, kto jest posiadaczem tego numeru, ale bez powodzenia. Wydaje się, że to jakiś jednorazowy telefon. No wiesz, taki na kartę, którego nie da się namierzyć.

– Rozumiem.

– No więc jest ich sporo. – Skrolował kolejne strony. – Wszystkie połączenia z tym numerem miały miejsce mniej więcej rok, może półtora roku temu.

– Co to znaczy?

– Domyślam się, że w tamtym czasie Trudie szukała informacji do książki. Te telefony łączyły się w okolicach Las Vegas. Ten tutaj bliżej nas należy do Harolda Grimesa, a ten – wskazał na inny – do Leo Kaspariana. Wygląda na to, że z nimi rozmawiała, sprawdzała fakty, żeby zamieścić je w książce. Ona do nich dzwoni, a potem oni oddzwaniają, a ona dzwoni do nich ponownie. Można się tego domyślić po długości rozmów.

– Rozumiem.

– Spójrz na ten. – Wskazał kolejny ciąg cyfr. – Rozmowa trwa mniej niż pół minuty. Jakby ktoś wybrał zły numer. Albo połączył się przypadkiem.

– No i co z tego?

– Otóż to, że niemal natychmiast ktoś ponownie dzwoni na ten numer, ale tym razem z telefonu na kartę, który już znamy. Widzisz?

Porównała numery.

– Tak.

– A co, jeśli ta osoba naprawdę popełniła głupi błąd? Zadzwoiła ze swojej komórki, a potem, uświadomiwszy sobie pomyłkę, rozłączyła się i ponownie zadzwoniła z telefonu na kartę, żeby pozostać anonimową.

– Albo naprawdę telefon połączył się, będąc w kieszeni.

– Możliwe. Albo po prostu mamy tutaj zbieg okoliczności, że w prawie tej samej chwili ktoś zadzwonił z telefonu na kartę.

– No, tak też może być... Do kogo należy ten numer?

– Do Jensena Gibbsa.

– Jensena – powtórzyła zszokowana. Przed oczami stanął jej gburowaty kuzyn. – Ale co on mógłby mieć wspólnego z Trudie i książką? Przecież nic nie wiedział o Didi.

– Może nie, ale wciąż mieszka z twoją ciotką i wujem. Sprawdziłem to. Pracuje w firmie holowniczej. Jest kierowcą... Mógł dzwonić do Trudie, ale jak przypuszczam, mogło być też tak, że ładował komórkę, zostawił ją na blacie w kuchni albo gdzieś w jakimś łatwo dostępnym miejscu, a potem ktoś, na przykład twoja ciotka, jako że ona wie najwięcej o twojej matce, przypadkowo wzięła zły telefon. Gdy uświadomiła sobie błąd, szybko się rozłączyła i przełączyła na taki, którego nie da się wykryć. – Ponownie przeskrołował numery, a w głowie Remmi pojawiły się różne scenariusze. – No i mamy jeszcze coś – dodał. – Nie ma ani jednej rozmowy telefonicznej pomiędzy Trudie i Verą. Specjalnie to sprawdziłem. Emma ma numer telefonu Very. Czy nie sądzisz, że szukając informacji do książki, Trudie nie chciałaby zaczerpnąć wiedzy od siostry Didi, jedynej osoby, która знаła ją w okresie dorastania?

Remmi odstawiła kubek z kawą.

– Oczywiście, że tak. A Vera byłaby niezwykle chętna do rozmowy o swojej siostrze. Nienawidziła Didi.

– Więc może chętnie przytuliłaby parę dorców za jej historię? Trudie kilka razy dzwoniła do Anderstown w Missouri. Ale rozmowy były krótkie i przeprowadzone z różnymi ludźmi. Nic nie rzuca się w oczy. Możliwe, że Trudie uzyskała informacje także od Billy'ego, brata Didi.

– Nawet nie wiem, gdzie on mieszka. Chyba nigdy go nie spotkałam.

Noah spojrzał jej prosto w oczy.

– I jeszcze jedna informacja. W domu Gibbsów panuje ścisk. Mieszkają tam nie tylko twoja ciotka i wujek, ale także ich najstarszy syn Jensen i stary, dobry wujek Billy.

– Wujek Billy? Naprawdę? – Była zaskoczona. – I wszyscy są w tym umoczeni?

– Coś tam śmierdzi. Jestem o tym przekonany.

– Jedziemy – powiedziała, zrywając się na nogi i już myśląc o tym, co odkryje.

– Czekaj chwilę. – Złapał ją za nadgarstek, po czym odwrócił przodem do siebie. Mocno trzymał jej rękę. – Zwolnij. Wczoraj wieczorem zamordowano Trudie, pamiętasz? Crenshaw może się nie wylizać. Któraś z tych osób może być zabójcą.

– A ty sądzisz, że to Vera? – Pomyślała o swojej ciotce i jej wierze w Boga. – Ona mnie wychowywała, Noah, przez kilka lat po zniknięciu Didi. Gdyby chciała mnie zabić, miała mnóstwo możliwości. Nie boję się jej. Ale cholernie chciałabym się przekonać, co ma na swoją obronę?

– A co z innymi?

Jensenem i wujem, którego nigdy nie poznała.

Spojrzała wymownie na swoją rękę, którą wciąż mocno trzymał.

– Chcę znać odpowiedzi, a ty nie?

Puścił ją i powiedział tylko:

– Ja prowadzę.

ROZDZIAŁ 27

Wydawca zapadł się pod ziemię.

Ale przynajmniej zadzwonił prawnik ze Stumptown Press w Portland, porozmawiał z Settler i obiecał, że prześle jej mailem kopię umowy wydawniczej na książkę *Nie jestem sobą*. Był powściągliwy w słowach i zadufany w sobie, ale w końcu, w obliczu groźby wezwania do stawiennictwa i za zgodą wydawcy, prawnik przesłał umowę na konto pocztowe Settler.

– Zawsze to jakiś początek – powiedziała do Martineza, gdy wsiadali do służbowego crown vica. Settler usiadła za kierownicą, a Martinez posłał jej swój niepowtarzalny uśmiech i odpowiedział:

– Może w końcu znajdziemy tego skurwysyna?

Właściwie mieli znacznie więcej niż początek. Chociaż analiza krwi zajmie kilka tygodni, więc będą musieli poczekać na listę psychotropów, które mogły znajdować się w organizmie Karen Upgarde, przebadano już dowody znalezione w hotelu. We włóknach i kurzu zebranych z podłogi pokoju hotelowego Upgarde odkryto ślady rozłupanej tabletki Rophynolu. Nikt, kto znał Karen, nie przypuszczał, żeby mogła z własnej woli zażyć tabletkę gwałtu, jak powszechnie nazywano ten lek. Mógł zostać dosypany do tego, co piła. Czas odpowie, gdy zakończą analizę krwi.

Ponadto mieli zdjęcia cieni w pokoju. Po obróbce drugiego z nich okazało się, że w chwili gdy Karen „skoczyła”, w pokoju na pewno znajdowała się inna osoba. Kwestią czasu pozostawało to, kiedy złapią tego skurwiela.

A jeszcze lepsze było to, że odkryli coś ważnego w billingach telefonicznych: mniej więcej rok temu Jensen Gibbs, idiotycznie, a może przez przypadek, zadzwonił do Karen Upgarde, po czym się rozłączył. A kilka sekund później zadzwonił do niej telefon na kartę. W wydziale próbowali zidentyfikować numer i osobę, która go nabyła w sklepie.

Jennifer Reliant, agentka biograficznej książki o Didi Storm, skontaktowała się z policją i miała się z nimi spotkać, gdy tylko skończą z Robbem Quade'em, łączącym boyem hotelowym, który nieco zmienił swoją wersję od czasu pierwszego przesłuchania.

Ned Crenshaw wciąż nie odzyskał przytomności i według lekarki, z którą rozmawiała wcześniej, nie było żadnych podstaw do tego, by zakładać, że niedługo się wybudzi. Detektyw Ladlow z Sacramento powtórzył słowa lekarki, ale obiecał, że zadzwoni do Settler, w chwili gdy dowie się o jakiegokolwiek zmianie w stanie zdrowia Neda Crenshawa.

Gdy Martinez wsiadł do crown vica, zamknął za sobą drzwi i zapiął pasy, Settler wyjechała z parkingu na spotkanie z ponurym porankiem w San Francisco. Niebo było srebrzyste i chociaż jeszcze nie padało, w powietrzu było tyle wilgoci, że musiała od czasu do czasu używać wycieraczek. Jechali z powrotem do Montmort, żeby przesłuchać Quade'a, jako że widocznie odezwało się jego sumienie i teraz boy twierdził, że posiada więcej informacji na temat osoby, którą wpuścił do pokoju sąsiadującego z pokojem Karen Upgarde i połączonego z nim drzwiami.

Zatrzymała się na czerwonym świetle i zabębniła palcami o kierownicę, gdy piesi, niektórzy z parasolkami, inni z torbami na zakupy, a jeszcze inni rozmawiający przez telefon, przesuwali się w obu kierunkach. Wieżowce otaczające ulicę wbijały się w zaciągnięte chmurami niebo, podczas gdy Settler walczyła ze swoją niecierpliwością.

Zbliżali się do przełomu w sprawie Upgarde. Czują to i trudno jej było siedzieć beczynn timer w pierwszym samochodzie na czerwonym świetle. Gdy włączyło się zielone, miała już nadepnąć na gaz, kiedy młody biznesmen z powiewającymi połami płaszcza, niosący obudowę komputera, wyskoczył im przed maskę i po-pędził na przeciwległy chodnik. Samochód za nią zdążył już ruszyć, następnie zahamował i zatrąbił. Serce Settler zabiło nieco szybciej.

– Domyślałem się, że jest spóźniony na zebranie – zakpił Martinez.

– Mógł się spóźnić jeszcze bardziej.

– Remmi? – zdziwiła się ciotka Vera po drugiej stronie siatkowych drzwi. Wyglądała tak, jakby miała zemdleć na widok swojej siostrzenicy stojącej na progu tego samego domu, w którym Remmi spędziła sporą część swoich nieszczęsnych lat nastoletnich. Dom był teraz w kolorze metalicznej szarości, co idealnie pasowało do porannego nieba. Luźna deska na jednym stopniu schodów została naprawiona, ale podwórze pozostało zaniedbane. Wrona skubała kępy trawy, wszędzie wały się suche liście i orzechy włoskie wciąż w przerośniętych, zielonych skórkach.

Nawet przez zniszczone drzwi z siatki Remmi widziała, że Vera się zestarzała, podobnie jak dom. Jej myszowate blond włosy teraz zaczynały siwieć, powieki trochę opadły, pojawiło się więcej zmarszczek wokół ust, a talię miała nieco szerszą niż kiedyś. Była ubrana w dżinsy i koszulkę z długim rękawem. Zmusiła się do uśmiechu.

– Co za niespodzianka! – powiedziała. Sięgając dłonią do cienkiego, złotego łańcuszka z małym krzyżykiem, który wciąż nosiła na szyi.

Remmi nie traciła czasu na uprzejmości.

– Chcę porozmawiać z tobą o książce.

Vera przeniosła wzrok z Remmi na Noaha.

– Książce? – powtórzyła, jakby nie wiedziała, o czym mowa.

– O mamie. *Nie jestem sobą.*

Ciotka wzdrygnęła się, po czym powoli wciągnęła powietrze, jakby próbując się pozbierać.

– Didi – powiedziała beznamiętnie. – Zawsze ta Didi.

– To jest Noah Scott – przedstawiła go Remmi.

Vera się spięła. Najwyraźniej знаła to nazwisko.

Poranną ciszę przerwał odgłos silnika samochodu. Vera zerknęła na niewielką ciężarówkę holowniczą, która wjechała na podjazd, przeganiając wronę. Ta, głośno kracząc, załopotała skrzydłami i przysiadła na gałęzi orzecha.

Jensen Gibbs zgasił silnik i otworzywszy drzwi, wyskoczył z kabiny. On też był tęszy, niż zapamiętała. Jego blond włosy się przeredziły. Z kącika ust zwiślał mu papieros.

Zauważył Remmi i ironicznie się uśmiechnął.

– Ja pier... – zaczął, ale ujrzał ostrzegawcze spojrzenie swojej matki stojącej za drzwiami. – Nigdy nie sądziłem, że jeszcze kiedyś cię zobaczę. – Tym razem naprawdę się uśmiechnął i rzucił papierosa w trawę. Zgasił go butem, po czym ruszył po popękany beton chodnika. – A co to jest? Jakieś cholerne spotkanie rodzinne czy co?

– Nie wyrażaj się! – warknęła jego matka.

– Powiedziałem „cholerne”. Ja pierdołę, dziewczyno, co ty tutaj robisz? – Chyba rzeczywiście ucieszył się na jej widok.

– Chciałam porozmawiać z Verą o książce.

– O tej o twojej matce? – zapytał, wchodząc po schodach. – Czytałem ją. Całkiem dobra.

– Naprawdę czytałeś?

– No tak. Chciałem dowiedzieć się czegoś na temat tej „tajemniczej” ciotki, która zniknęła. – Śmierdziało od niego dymem, gdy wszedł na ganek. Na powitanie objął Remmi, a następnie wyciągnął rękę do Noaha. – Jensen Gibbs.

Noah się przedstawił, a Jensen zmrużył oczy.

– O tobie też było w książce. Wejdźcie. Mamo, czemu tak stoisz w drzwiach?

– Właśnie wychodziłam do kościoła.

– Przecież miałaś doglądać Monty’ego. Nie ma mowy. – Wszedł do środka i przytrzymał dla gości siatkowe drzwi. Vera niechętnie się cofnęła. – Monty to mój syn – wyjaśnił Jensen.

– Masz dziecko? – Remmi była zaskoczona.

– Pewnie, że mam. Nie powiedziałaś im? – zapytał matkę, gdy Remmi i Noah weszli za nim do salonu. Pochód zamykała Vera. W pokoju stały te same wysłużone meble i obrazy przedstawiające Jezusa, które zapamiętała Remmi. Chociaż teraz razem oprócz wizerunków Jezusa na półce nad kominkiem znajdowało się kilka zdjęć uśmiechniętego, łysiego niemowlaka. Koło fotela ustawionego naprzeciw telewizora stał kosz wypełniony zabawkami. – Gdzie jest Monty? – zapytał Jensen matkę. Śpi? – Ale zanim odpowiedziała, gestem zaprosił Remmi, by poszła za nim.

– Tylko go nie obudź – syknęła Vera. – Długo marudził i niedawno zasnął. – Pospieszyła za Remmi i synem na korytarz.

Żołądek Remmi podskoczył jej do gardła, gdy zajrzała do pokoju, gdzie spędziła smutne lata licealne. Ściany pomalowano na kolor niebieski, usunięto łóżko, plakaty ze ścian i okropny dywan, który został zastąpiony wykładziną i łóżeczkiem z karuzelką z postaciami z Disneya. W łóżeczku smacznie spał około dziewięciomiesięczny niemowlak. Miał niewiele jasnych włosów i leżał na plecach w szarych śpioszkiach z niebieskim napisem *Kocham babcię*.

– Jest najlepszy – entuzjasmował się Jensen, wyprowadzając ich z powrotem na korytarz. – Już zaczyna stawać na nogi. Pewnie niedługo będzie chodził. Przygotowuje się do tego.

– Jest rozkoszny – zgodziła się Remmi. Chociaż nigdy w życiu by nie pomyślała, że opryskliwy nastolatek Jensen kiedyś zmieni się w czulego ojca. Jakie były na to szanse? A mimo to teraz wydawał się zupełnie inną osobą. Remmi trudno było uwierzyć, że chłopak, który ją poniżał i naśmiewał się z niej w liceum, i który, była tego pewna, ukradł pieniądze, które schowała za kredensem na ganku za domem, wyrósł na zupełnie nową wersję samego siebie. Ale upłynęło

dużo czasu, a Jensen musiał dojrzeć. Prawdopodobnie w dużej mierze za sprawą narodzin Monty'ego. Zapewne ukształtowało go ojcostwo.

Jensen opowiadał, jaki to cudowny dzieciak, i wyznał, że chociaż nigdy nie ożenił się z mamą Monty'ego i zdążył się z nią już rozstać, pozostawali ze sobą w „dobrej komitywie”.

Gdy wrócili do salonu, zapytał Remmi i Noaha:

– Przynieść wam piwo albo colę? Wydaje mi się, że mamy tylko dietetyczną, bo mama taką pije.

– Nie, dziękuję – odpowiedział Noah, a Remmi pokręciła głową.

Vera ciężko siadła w swoim ulubionym fotelu i wyglądała, jakby miała zaraz dostać apopleksji.

– Raczej nie zostaną długo – powiedziała, podczas gdy jej syn zniknął w kuchni i wrócił z otwartą puszką piwa.

– Nie zajmie nam to wiele czasu. Mamy tylko kilka pytań – uściśliła Remmi.

– Tak, już mówiłaś. Chodzi o książkę? – zapytał Jensen. – No to dawajcie. – Ponownie wskazał gestem, żeby wszyscy usiedli. Sam wybrał krzesło z jadalni, odwrócił je oparciem do przodu i siadł na nim okrakiem. Remmi zajęła miejsce na skraju tej samej kanapy, którą pamiętała z czasów liceum. Noah stanął przy kominku.

Vera wyglądała i zachowywała się jak ktoś winny. Jej syn wręcz przeciwnie.

– A gdzie jest Harley? – zapytała Remmi.

Vera przestała się kołysać.

– Na Alasce. Pracuje na kutrze rybackim.

– Prawdopodobnie już tam zostanie – dodał Jensen. – Uwielbia polowania i łowienie ryb. Sami wiecie, wszędzie tam jest mnóstwo przestrzeni. I znalazł sobie dziewczynę. Zaczyna nawet przebąkiwać o małżeństwie. Jeszcze jej nie poznałem. Zastanawiam się, czy w ogóle do tego dojdzie.

– Oczywiście, że tak, kiedy się pobiorą – rzuciła Vera. Posyłając Jensenowi pełne wyrzutu spojrzenie, które, jak Remmi podejrzewała, miała dla niego w zanadrzu, jako że jej syn stał się samotnym ojcem i nigdy nie zamierzał stanąć przed ołtarzem. Jensen jak zawsze wydawał się całkowicie odporny na aluzje matki.

– A Milo? – drążyła Remmi.

Vera pospieszyła z odpowiedzią.

– Nie ma go, pracuje.

– Jest w drodze – wyjaśnił jej syn. – Ma wrócić do domu za kilka dni. – Uśmiechnął się, rozciągając usta pod ryżawym zarostem. – Nie mogę się doczekać. Tata i ja zabieramy Monty’ego na jego pierwszy rajd monster trucków.

Vera westchnęła z udręką. Po raz pierwszy Remmi zgodziła się z ciotką. Nie potrafiła sobie wyobrazić kilkumiesięcznego dziecka na wydarzeniu, w którym biorą udział ogromne pojazdy na wielkich kołach z niemiłosiernie głośnymi silnikami.

– Powiedziałam, że się nim zaopiekuję – przypomniała Vera. – Monty nie musi jechać z wami.

Jensen machnął tylko ręką.

– Zapomnij. I tak dość przy nim robisz. – Pociągnął duży łyk z puszki, po czym dodał: – Mama go pilnuje, gdy pracuję w firmie holowniczej, a czasem wieczorami, kiedy mam zajęcia w college’u.

Jensen. Praca. College. Ojcostwo. Trudno to było sobie wyobrazić.

– Billy też tu mieszka, prawda? – zapytała Remmi.

Vera aż się wyprostowała.

– Billy?

– Twój brat. Wujek, którego nigdy nie poznałam. Wiemy, że tutaj mieszka.

– Tam w garażu – wtrącił Jensen i pokazał kciukiem w stronę tylnej części domu. – Razem z ojcem zbudowali tam taką kawalerską norę. Jest super. Wujek ma cholernie wielki telewizor z płaskim ekranem. Świetne miejsce na wyluzowanie, wypicie kilku browarów i pooglądanie meczu Ninersów.

– Tylko tymczasowo – szybko dodała Vera i posłała synowi posępne spojrzenie. – Bill właśnie dochodzi do siebie po rozstaniu i... problemach finansowych.

– Zbankrutował – wyjaśnił Jensen. – Żadna nowina. To już drugi albo trzeci raz, co nie? – zapytał matkę.

– To wina tej kobiety – warknęła Vera. – Dopóki Bill nie stanie na nogi, zgodziliśmy się z Milem, że może tu zostać.

– Pracuje teraz? – rzuciła Remmi.

Odpowiedział Jensen.

– Tak. W mieście w sklepie z artykułami wędkarskimi. Ale ma teraz kilkudniowy urlop.

Remmi chłonęła te informacje.

– A wiecie, gdzie jest wujek Milo w tej chwili? – zapytała.

– Oczywiście, że tak! – Vera zareagowała tak, jakby Remmi ją o coś oskarżała. – Przede wszystkim działa według planu, który jest powtarzalny. Jedyne zmiany przypadają w dni świąteczne i czasami latem. W tym tygodniu przebywa w Montanie. – W pośpiechu zeszła z bujanego fotela i pędem udała się do kuchni. Minęła otwarte wejście zwieńczone łukiem i zatrzymała się koło kalendarza wiszącego na ścianie obok tylnych drzwi. Mamrocząc coś pod nosem, zbliżyła twarz do ściany, a następnie z parapetu nad zlewem zdjęła okulary do czytania i założyła je na czubek nosa. – Tak, w zachodniej Montanie i w Idaho.

– Nadal sprzedaje sprzęt rolniczy? – zapytała Remmi.

– A czy papież jest katolikiem? – odpowiedział Jensen, kończąc piwo i zgniatając puszkę potężną dłonią. – A to zaskoczenie, co nie? O ile mi wiadomo, nigdy nie pracował na farmie. – Rzucił puszką przez ramię i trafił do kosza na śmieci. – Znowu za trzy punkty!

Z kuchni odezwała się Vera:

– Milo zna się na rolnictwie jak nikt inny. Dorastał na farmie, długo zanim się urodziłeś, Jensen. Pracował u swojego ojca, nim poszedł do wojska.

– Czyli w Anderstown w stanie Missouri? – upewnił się Noah.

– W pobliżu. Rodzina Mila mieszkała na południe od miasta. Moi rodzice mieli dom na zachód od Anderstown. – Odłożyła okulary i wróciła do salonu. Zatrzymała się, żeby podnieść czerwony klocek i wrzucić go do przepelnionego kosza z zabawkami. – Nie wiem, co to ma wspólnego ze sprawą. – Spojrzała potępiająco na Remmi. – Wiesz, jak twój wuj zarabia na życie. Mieszkałaś z nami. Daliśmy ci dach nad głową, kiedy ta latawica, twoja matka, wypięła się na ciebie.

Remmi poczuła się urażona tymi słowami. Ale ujrzała złość, może nawet ból w oczach ciotki, to samo uczucie, które zawsze czaiło się pod powierzchnią, ilekroć pojawiło się imię Didi. Oczywiście Remmi rozumiała, co ciotka Vera sądzi o swojej młodszej siostrze. Słyszała to wiele razy. Vera postrzegала siebie jako odpowiedzialną córkę swoich rodziców, podczas gdy Didi, która była troszkę ładniejsza i bardziej seksowna, i o wiele bardziej hedonistyczna, opuściła rodziców i Anderstown, żeby podążać za sławą i fortuną pod jasnymi światłami Hollywood. A potem wszystko to zmieniło się w smutną, tandetną opowieść o kolejnej poszukiwawczej sławy, która nigdy nie spełniła swoich marzeń.

– Co się, do cholery, dzieje? – zapytał Buzz O'Day, wychodząc z ciężarówki i wkładając kask na głowę. Po żuźlu przeszedł na plac budowy. Wiatr się wzmaczał. W powietrzu wirował piasek i pył. Słońce już zaczęło zachodzić. Nevada zimą.

Na tym polegał kłopot z tym miejscem. W ciągu dnia było dość ciepło, ale wieczorem zimno jak diabli. Wręcz mroźnie. Ale potrafił poradzić sobie z pogodą. Marwiło go co innego.

Ostatnia noc w domu była koszmarna. Jego nastoletnia córka wymknęła się, żeby spotkać się z chłopakiem, i wróciła o cholerniej piątej rano. Wygnieciona. Z bluzką na lewą stronę. Wyglądała, jakby przez całą noc się gziła. Czy w ogóle miała pojęcie o prezerwatywach? Czy to on powinien im je wręczyć? Żona O'Daya podłamała się całą tą sprawą i liczyła na jego pomoc. Na miłość boską! To oczywiste, że w ciągu dnia w pracy nie potrzebował żadnych cholernych problemów. Ale wyglądało na to, że ich nie uniknie.

– Natknęliśmy się na coś – wyjaśnił Ramon Valdez, jego asystent. – To coś dużego.

– Dużego jak głaz, jak słoń, jak kasyno? Jak dużego?

– Chyba sam musisz zobaczyć.

– Po prostu mi opowiedz. Nie trzymaj mnie w napięciu, na miłość boską. Nie jestem dzisiaj w nastroju, Ramon. – Miał dość melodramatów, po tym, jak przyłapał córkę wkradającą się z powrotem, podczas gdy ten złamas, jej chłopak, odjeżdżał sprzed domu. Boże, co to była za scena! Żona nie mogła przestać płakać, podobnie jak córka.

Tak to właśnie wygląda, jak się mieszka z dwiema kobietami, pomyślał, przechodząc przez prowizoryczny płot otaczający wykop. Z robotą i tak już byli w tyle, nie potrzebował dalszej obsuwy. Na tym placu budowy znajdującym się kilka kilometrów za granicami Las Vegas powstawało nowe osiedle na trzysta domów zbudowanych według „unikalnych” projektów, dwa kluby pole golfowe, spa i trzy restauracje. Dokładnie to, czego potrzebowało Las Vegas.

Jeśli w ogóle kiedykolwiek ruszą z miejsca. Jak na razie wykop stał pusty. Operator koparki zastygł nad tablicą rozdzielczą. Nieruchoma łyżka koparki wypełniona była ziemią, która powoli przesypywała się pomiędzy zębami.

O'Day już się spocił, gdy dotarł do krawędzi wykopu, gdzie maszyny zdarły wierzchnią warstwę ziemi i w głębokiej dziurze odsłoniły świeżą glebę.

– Co to jest, do cholery? – zapytał, mrużąc oczy, bo słońce odbijało się od czegoś, co wyglądało jak metalowy zderzak dużego samochodu.

– Według mnie to cadillac z pięćdziesiątego siódmego roku – wyjaśnił Ramon.

– Caddy? I od razu wiesz z którego roku?

Ramon wzruszył ramionami.

– Interesuję się klasycznymi samochodami.

– Na rany Chrystusa, w nosie mam, co to jest. Interesuje mnie, co to, do cholery, tu robi.

– Nie mam pojęcia.

– Wyjmijcie to z wykopu! – Wystawił kciuk i machnął nim w tył ponad ramieniem, wskazując, że mają wydobyć auto. Klasyczne czy nie, musiało stąd zniknąć.

– Jest jeszcze jeden problem. Wydaje mi się, że nie możemy tego zrobić.

Po raz pierwszy O'Day zauważył, że młodszy mężczyzna jest przygnębiony, marszczył ciemne brwi, a kąciki jego ust wyginały się w dół.

– Kurwa, czemu nie?

– Ponieważ zszedłem na dół i zgarnąłem ziemię z przedniej szyby. Samochód nie jest pusty.

W jednej chwili złość opuściła O'Daya. O... cholera.

– Słucham?

– Za kółkiem siedzi kierowca – wyjaśnił. – Prawdopodobnie kobieta. Trudno powiedzieć po tym, co zostało z ubrań. To tylko... tylko szkielet.

Głośno westchnął, zdjął kask i podrapał się po krótko ostrzyżonej głowie.

– Okej. Dzwoń na policję.

– Już to zrobiłem. Są w drodze.

– Ta cholerna budowa będzie zamknięta nie wiadomo jak długo.

Ramon wzruszył ramionami i posłał mu spojrzenie wyrażające pytanie: No i co zrobisz?

– Lepiej sam rzucę okiem.

Tylko tego mu brakowało. I to dzisiaj. W zasadzie nigdy nie było na to właściwej pory. Wzdrygając się, zapiął kask na głowie i zszedł na dół po stromym piaszczystym zboczku, aż dotarł na sam dół wykopu, gdzie pod grubą warstwą ziemi znajdowało się auto. Tak jak mówił Ramon, przednia szyba była z grubsza oczyszczona. Zerknął przez nią i omal nie wyskoczył ze skóry. Mocno zabiło mu serce, chociaż spodziewał się tego, co tam zobaczył.

Ale co innego naprawdę zobaczyć szkielet z resztkami włosów wystającymi spod przekrzywionej peruki w kolorze blond. Jej oblicze było okropne. Makabryczne. Czarne oczodoły ziały w upiornej czaszce. Proste zęby, niektóre z wypełnieniami i odrobiną złota, osadzone były w odrażającej, mrozącej krew w żyłach jamie o kształcie uśmiechu. Dekolt, część kręgosłupa i żeber miały szarobiałą kolor i widniały pod czarną, cekinową sukienką. Kości jej dłoni okrywały rękawiczki, które zaciskały się na dużej kierownicy.

Poczuł dreszcz, gdy nad wykopem zaszemrał wiatr, rozsypując wokół niego drobny pył. Przypomniała mu się każda historia o duchach, którą słyszał, będąc dzieckiem. Zmarli powstawali w nich z grobu. Przez ułamek sekundy wyobraził sobie, że te odziane w rękawiczki i pozbawione ciała palce wyciągają się, by pogłaskać go po policzku.

A potem zauważył nosidełko. Fotelik dla dziecka przypięty do tylnego siedzenia. O... nie. W głębi pojazdu było bardzo ciemno. Potrzebowałby latarki albo musiałby zetrzeć więcej ziemi z okien, żeby być pewnym.

– Jezus, Maria i Józefie Święty – wyszeptał, cofając się i czując przerażającą zimno obejmujące całe jego ciało. Co, do cholery, ta kobieta robiła tu za kierownicą, wyglądając tak, jakby wybrała się na niedzielną przejażdżkę z dzieckiem?

Zaschło mu w gardle. I na chwilę ścisnęło go w żołądku, aż się wystraszył, że dostanie torsji. Wrócił na górę, pocąc się mimo panującego wokół zimna. Robił, co mógł, żeby zachować twarz.

– Powiedz wszystkim, żeby odsunęli się od wykopu – rozkazał Ramonowi. – Yy... my... hm... możemy równie dobrze zarządzić przerwę dla ekipy. – Był wstrząśnięty, nie było co do tego żadnych wątpliwości i chociaż minęła dopiero ósma rano, zamierzał wrócić do biura, otworzyć dolną szufladę i wyjąć stamtąd butelkę jacka. Musiał się napić. Ale to będzie musiało poczekać. Był tu kierownikiem i musiał zachować zimną krew. Wobec tego podciągnął spodnie i powiedział:

– Dopóki gliny nie skończą tego, co będą tu, do cholery robili, niewiele możemy zdziałać.

– Może im to zająć dłuższą chwilę – stwierdził Ramon, w chwili gdy O'Day usłyszał dźwięk pierwszej syreny dochodzący z oddali.

– Miejmy nadzieję, że nie.

Czekał. Większość ekipy otoczyła wykop. Wtedy zjawił się pierwszy radiowóz. Zastępca szeryfa rzucił okiem z samochodu i zadzwonił na komisariat. W ciągu godziny na budowie aż roilo się od policjantów. Na płocie zawisła taśma policyjna, a za bramą parkowały furgonetki stacji informacyjnych.

– No i elegancko – mruknął pod nosem. – Wprost wspaniale.

Zjawiło się dwóch detektywów. Przewodziła im wysoka Afroamerykanka w eleganckich okularach przeciwsłonecznych, która emanowała profesjonalizmem.

– Pokaż mi – rzuciła do zastępcy szeryfa, który przyprowadził ją do wykopu.

Policjanci obejrzelili sobie ciało za kierownicą, niczego nie dotykając. Kobieta wraz ze swoim partnerem omówili sytuację i zadzwonili gdzieś, zanim wyszli

z dziury. A O'Day zastanawiał się, jak to możliwe, że wchodziła na górę i w dół wykopu, zupełnie się nie pocąc.

Zimna ryba, przyszło mu do głowy, gdy podeszła do niego i zapytała go o podstawowe informacje. Co to za budowa? Kto odkrył samochód? Kiedy? Proste pytania, na które odpowiadali razem z Ramonem. Policjantka ze swoim partnerem mieli już odjechać i pozostawić budowę w rękach ekipy technicznej, ale O'Day podążył za nią do samochodu.

– Jak długo będziemy musieli wstrzymać prace?

– Tyle, ile trzeba – odpowiedziała.

– Muszę trzymać się planu.

– A ja mam sprawę morderstwa. – Uśmiechnęła się do niego cierpliwie. Ale uśmiech chyba nie sięgał jej oczu. O'Day nie był pewien ze względu na jej lustrzane szkła okularów. Jedyne, co w nich widział, to swoją zniekształconą twarz.

– Bylibyśmy wdzięczni, gdybyście mogli to przyspieszyć.

– Tak zrobimy. Ale musimy być dokładni. Rozumie pan?

– Oczywiście. – Nie miał problemu z glinami. Kilku gości w jego drużynie kręglarskiej pracowało w policji w Las Vegas. Teraz już byli emerytami. – Proszę mi powiedzieć jeszcze jedną rzecz. W samochodzie była tylko jedna osoba, prawda? Pytam, bo widziałem fotelik dla dziecka na tylnym siedzeniu, ale nie zauważyłem żadnego dziecka. – Boże, modlił się o to, żeby dziecko tam nie umarło.

– Według mnie było tylko jedno ciało. Ale wie pan, nie mogę rozmawiać o sprawie.

– Jasne, jasne, ale sądzi pani... Chodzi mi o to, czy ta kobieta za kierownicą została zakopana żywcem? – Musiał o to zapytać, musiał wiedzieć.

Policjantka położyła dłoń na klamce samochodu, sygnalizując, że pragnie zakończyć tę rozmowę, ale zawahała się i mruknęła:

– Dwadzieścia lat, cholera jasna. – A do O'Daya rzuciła: – Nie sądzę. – Posłała mu zimny uśmiech. – Wydaje się, że w tyle czaszki tkwi kula, więc według mnie już nie żyła, kiedy wsadzono ją do samochodu, a przynajmniej zanim auto wjechało do wykopu. Ale to wszystko, co mogę panu teraz powiedzieć.

– Czekajcie chwilę. – Układał sobie te informacje w głowie. Przecież jego żona i córka niedawno czytały taką książkę... o kobiecie, która tu zaginęła. Czy po raz ostatni nie była widziana w jakimś udziwnionym cadillacu? Co, do licha? Sporo ostatnio o niej mówiono. A teraz od razu zjawily się media. Spojrzał w lustrzane okulary i podsumował: – A więc twierdzi pani, że właśnie wykopaliliśmy pieprzoną Didi Storm?

ROZDZIAŁ 28

Vera walczyła ze sobą. To było oczywiste. Znowu zaczęła się kołysać, odpychała się od dywanu czubkiem tenisówki.

– Nie przeczytałam tej książki, chociaż Jensen wydał na nią pieniądze. Niepotrzebnie. Nie potrafię sobie wyobrazić, dlaczego książka na temat Didi w ogóle została wydana. Była jeszcze jedną z tych pozbawionych moralności kobiet, które się puszczają i nigdy nie stają się sławne.

Remmi miała ochotę zaoponować, ale ugryzła się w język, kiedy spotkała się spojrzeniem z Noahem i odczytała jego niewypowiedziany komunikat: *Pozwól jej mówić.*

– Zaginęła... Ile to już? – Podniosła rękę. – Dwadzieścia lat temu i wciąż tutaj jest, nieprawdaż? – Wskazała na dywan i powiedziała: – Tutaj, w tym pokoju, razem z nami. Jest niczym smrodek, którego nie można się pozbyć, cokolwiek byśmy robili.

– Może to ty nie chciałaś się jej pozbyć? – zauważyła Remmi i dostrzegła wyraz totalnego zaskoczenia na twarzy kuzyna.

Vera pokręciła głową.

– Zaufaj mi. Gdybym mogła, najchętniej już nigdy w życiu nie chciałabym usłyszeć jej imienia.

Remmi nie mogła jej tego odpuścić.

– Nawet gdybyś mogła na niej zarobić?

– Chyba sobie żartujesz? – Aż się wzdrygnęła.

– O czym ty mówisz? – zapytał Jensen. Ale w jego oczach już pojawił się błysk.

– Wiemy, że kontaktowała się pani z Trudie Crenshaw – wyjaśnił Noah.

– Jaką Trudie? Czekaście, tą kobietą, która niedawno została zabita? – Vera próbowała wyglądać na niewinną, ale nie do końca jej się to udawało. – Niedawno słyszałam o tym w wiadomościach. Była osobą, która napisała tę książkę, tak?

– Czekał chwilę – wtrącił Jensen. – To nie ma sensu. – Otworzył szufladę małego stolika i wyjął egzemplarz *Nie jestem sobą*. – Napisała ją...

– Maryanne Osgoode – dokończyła zdanie Remmi. – To jest pseudonim. – Nie zrozumiał tego słowa, więc wyjaśniła: – Ksywa.

– Och. Dlaczego?

– Chodzi o anonimowość – wtrącił się Noah. – Ale nie wyszło. Autorka nie żyje, została zamordowana.

Jensen spojrział najpierw na Remmi, potem na Noaha, a następnie z powrotem na nią.

– Co macie na myśli, mówiąc, że została zamordowana? Zabili ją?

Jensen poczynił postępy, ale wciąż daleko mu było do mózgowca.

– Gertrude Melborn Crenshaw była najlepszą przyjaciółką mojej matki. A później wyszła za pierwszego męża mamy, Neda Crenshawa – wyjaśniła Remmi.

– Czekał... – Jensen wolno przetwarzał informacje.

– Zostali zaatakowani na swoim ranchu w pobliżu Sacramento wczoraj wieczorem. Ona nie żyje. Ned znajduje się na intensywnej terapii w stanie krytycznym – dodała Remmi.

– Ja pierdolę, dlaczego? – zapytał Jensen i wbił wzrok w swoją matkę.

– Mieliśmy nadzieję, że wy nam powiecie – wyjaśnił Noah.

– Ja? – zdziwił się Jensen, nie potrafiąc ukryć niedowierzania. W tym momencie z korytarza dobiegło gaworzenie dziecka. – Niby jak?

– Chodzi o twój telefon – ciągnął Noah.

– Słucham? – Jensen spojrział na Noaha, nic nie rozumiejąc.

– Ktoś mógł skorzystać z niego przez pomyłkę. Na przykład kiedy się ładował.

Kuzyn Remmi ściągnął brwi, a jego wzrok powędrował ponad fotelem na ładowarki do telefonów wetknięte do pobliskiego kontaktu.

– Co masz na myśli? – zapytał.

W tym momencie wtrąciła się Vera.

– To niedorzeczne! Jensen z całą pewnością nigdy nie słyszał o Trudie Crenshaw. A ja nigdy jej nie spotkałam. Ani jej męża. Nawet wtedy, kiedy Didi była jego żoną. – Gwałtownie się zerwała na nogi i zwróciła do Remmi. – Nawet nie wiem, po co tutaj przyjechałaś. Szukasz wiatru w polu. Próbujesz mnie ukarać, ponieważ nie pozwalałam ci się szlajać, jak robiła to twoja matka. – Nakręcała się coraz bardziej. – Posłuchaj, miałaś szczęście, że cię wychowywałam w wieku, kiedy formuje się osobowość, jak byłaś nastolatką. To ja. – Uderzyła się ręką w pierś, aż zakotłosał się krzyżyk. – To ja oszczędziłam ci życia w grzechu i rozwiązłości.

– Mamo, przestań – uspokajał ją zakłopotany Jensen.

Remmi miała dość.

– W jaki sposób? Za pomocą swojej pseudoreligijności? Twojego świętoszkowatego nastawienia?

– Wstydź się! – wybuchła Vera. – Wstydź się, Remmi! Kto dał ci dach nad głową? Kto dla ciebie gotował i sprzątał? Kto zadbał, abyś odnalazła Pana? A czy dostaliśmy choć grosz za nasze poświęcenie, a chociażby „dziękuję” od ciebie za to, że cię przygarnęliśmy, gdy nie miałaś nikogo? Nie!

Niemal dławiła się jadem, który sączył się do jej żył przez lata, aż w końcu znalazł ujście.

– Ktoś pomógł Trudie napisać tę książkę – zauważyła Remmi spokojnie. – Ktoś, kto znał moją matkę na wylot. Ktoś, kto z nią dorastał.

– Nie ja. Nigdy nie chciałam wracać myślami do Didi.

– Kiedy tutaj mieszkałam, przez cały czas o niej wspominałaś – wytknęła jej Remmi. – Tylko po to, żeby mi powiedzieć, jaka była okropna. Nigdy nie przegapiłaś okazji, żeby ją poniżyć.

– Nieprawda!

– Tak, mamo. Tak było – wtrącił szybko Jensen. – Nadal to robisz. Zawsze jej nienawidziłaś.

– To nie była nienawiść. – Vera energicznie pokręciła głową. – Nie, nie, nie.

– A więc jak to nazwiesz? – dopytywał jej syn.

To pytanie zbiło Verę z tropu.

– Nie znałaś Didi. Nie rozumiesz, co ja czułam. To ja byłam odpowiedzialna. To ja dostawałam dobre oceny. Nie kłamałam, nie paliłam, nie piłam, nie brałam narkotyków, nie szlajałam się ani nic. Mama i tata mogli na mnie polegać, ale Edie... Tak właśnie nazywaliśmy wtedy Edwinę, zanim przyjęła to beznadziejne imię!... Edie brała wszystko, czego chciała, robiła, co chciała, nie przejmując się tym, kogo raniła. Mamę, tatę, mnie, Billy’ego, jego i swoich najlepszych przyjaciół. Była wręcz okropna!

Vera zebrała się w sobie, jej twarz wyrażała obrzydzenie.

– Edi kradła chłopaków innych dziewczyn. I w ogóle nie przywiązywała do tego wagi. Nieważne, że to był chłopak jej najlepszej koleżanki. A przy tym była tak bardzo lubiana. Jeśli chodzi o chłopców, to wiadomo, że wszyscy kochali zabawną Łatwą Edie. Ale jeśli chodzi o dziewczyny? Dlaczego, do licha, była tak popularna wśród dziewczyn, kiedy przez cały czas wbijała im nóż w plecy, wykradała im chłopaków i robiła... robiła niemoralne rzeczy... – Vera spojrzała prosto

na swoją siostrzenicę. – Pora, żebyś wreszcie zdjęła te swoje różowe okulary i ujrzała matkę taką, jaką naprawdę była. Zepsuta, okropną dziewczynę. Wcielenie zła.

– Wow. – Jensen tylko patrzył na swoją matkę.

Oczy Very lśniły powstrzymywaną nienawiścią i zazdrością.

– No dobrze, a więc to powiedziałam. Nie, nie lubiłam jej. Ona jest jak Jezabel.

– Była – poprawił Noah – a nie „jest”. – Popatrzył surowo na Verę. – Wie pani, co się z nią stało? Czy wciąż żyje?

Remmi się nie poruszyła, wstrzymała oddech. Przez chwilę miała wrażenie, że z niewielkiego salonu uszło całe powietrze.

Verze chyba zabrakło słów, więc Remmi wyszeptała:

– Ona nie żyje, prawda?

– Nie wiem – odparła Vera, dochodząc do siebie. Z mniejszym żarem dodała: – Naprawdę nie wiem. Chyba można tak założyć, skoro przez cały ten czas z nikim się nie skontaktowała. Raczej nie żyje. – Powoli wypuściła powietrze z płuc, jakby próbowała odzyskać spokój. – Nie powinnaś za bardzo żałować, jeśli nie żyje, Remmi, ponieważ nie była dobrym człowiekiem. Sądzę, że już o tym wiesz. Nie mnie osądzać, oczywiście, zostawiam to Panu, ale no cóż, w sumie... To już nie ma znaczenia.

– Ma duże znaczenie – zaproponowała Remmi, nie będąc w stanie usiedzieć na miejscu i słuchać na temat Didi.

Dziecko już nie gaworzyło, lecz zaczęło płakać. Jensen od razu zerwał się na nogi i ruszył do pokoju. Remmi jeszcze nie skończyła.

– I nie kłam, że jej nie osądzasz. Osądzałaś ją w każdej chwili jej życia. Podobnie jak osądzasz wszystkich innych.

– Nie robię tego!

– Co ma pani wspólnego z książką? – zapytał Noah, próbując nakierować rozmowę na najważniejszy temat.

– Nic... Niczego nie wiem.

– Daj spokój! – Remmi wstała z kanapy i w dwóch krokach przemierzyła spłowiwały dywan, po drodze kopiąc plastikowy kawałek układanki. – Rozmawiałaś z Trudie, przekazywałaś jej informacje na temat mamy i...

Vera aż się zatchnęła i pokręciła głową. Ona też wstała. Najwidoczniej była zdeterminowana, by nie ustąpić ani o krok, nie chciała kulić się w fotelu. Bujany fotel się zakołysał, gdy do pokoju wrócił Jensen, niosąc syna. Dziecko zanosilo się płaczem, więc powiedział głośno:

– Potrzebujemy butelki.

– Jest w lodówce – warknęła Vera, po czym zwróciła się do Remmi. – Już ci powiedziałam, że nawet nie znałam tej kobiety. Tej Trudie. Nigdy jej nie spotkałam.

– A ty, Jensen? – zapytał Noah. – Nieco ponad rok temu ktoś zadzwonił z twojej komórki do Trudie.

Przez pozbawione drzwi wejście do kuchni Remmi widziała, jak Jensen otwiera lodówkę, trzymając płaczące dziecko na biodrze. Zwinnie wstawił butelkę z mieszanką do mikrofalówki.

– Nawet nie wiem, o kim rozmawiacie – rzucił przez ramię.

Noah nie odpuszczał.

– Chodzi o to, że mamy billingi telefoniczne. Jestem pewien, że policja także. Wygląda na to, że ty lub ktoś, kto miał dostęp do twojego telefonu, zadzwonił do Trudie Crenshaw i zaraz się rozłączył, kiedy uświadomił sobie, że skorzystał ze złego aparatu. Potem zadzwonił jeszcze raz z telefonu na kartę. Takiego, który prawdopodobnie nie zostanie wykryty.

– Prawdopodobnie – powtórzyła Vera, gdy Jensen wrócił i usiadł w fotelu. Mężczyzna sprawdził temperaturę mleka, wykupując odrobinę na nadgarstek, a potem, upewniwszy się, że nie jest za gorące, dał smoczek dziecku.

– Są sposoby, aby namierzyć telefony na kartę. Na przykład dzięki temu, gdzie zostały nabyte – wytłumaczył Noah, a Remmi domyśliła się, że blefuje. – Policja wie, jak to zrobić.

Vera kręciła głową, podczas gdy Jensen, trzymając dziecko z butelką, spojrział na nią z fotela.

– Mamo? Wiesz, że kłamstwo jest grzechem? – zapytał.

– Ja nigdy...

– Tak nam przekazał Jezus, prawda? Czyż nie to zawsze powtarzasz? Dziesięć przykazań, psalmy i Księga Przysłów. – Patrzył na nią wyzywająco. Kiedy otworzyła usta, powiedział łagodnie: – Bóg i Jezus na ciebie patrzą.

I w tym momencie Remmi uświadomiła sobie, że czekał tyle lat, żeby rzucić matce w twarz jej własne przestrogi. Z przyjemnością patrzył, jak się wiję. Wracił ten dawny Jensen.

– Księga Przysłów, rozdział dwunasty, wers dwudziesty drugi: „Wstrętne dla Pana są usta kłamliwe” – wyrecytowała Vera, jakby te słowa wydarło jej prosto z duszy.

– Tak, mamo, właśnie tak. Bóg nie lubi kłamców.

Ku zaskoczeniu Remmi po policzku Very popłynęła łza, najwyraźniej opuszczała ją gniew.

– To po prostu było niesprawiedliwe – zaskrzeczała. – Edie miała tak wiele, a ja, my byliśmy tymi dobrymi i mieliśmy tak mało.

W szczerce Noaha zaczął drgać jakiś mięsień.

– A więc, jaką to miało dla pani wartość? – zapytał.

Vera zamknęła oczy.

– Jezu, mamgo, powiedz mi, że to się nie dzieje – westchnął jej syn. Wstał tak nagle, że dziecko znowu się rozpląkało w jego ramionach. – Powiedz mi, że nie jesteś największą hipokrytką na tej planecie. Że nie miałaś nic wspólnego z zastrzeleniem tych ludzi. – Jego twarz wyrażała przerażenie i chociaż Monty znowu zaczął płakać, Jensen w ogóle nie zwracał na niego uwagi.

– Oczywiście, że nie. – Vera podeszła do frontowych drzwi i objęła się ramionami. – Nic nie wiem na ten temat. Ale... ale pieniądze. – Zastanawiała się nad swoją odpowiedzią, a Jensen czekał. W końcu wyznała: – Rzeczywiście, dostałam trochę pieniędzy. Dwadzieścia pięć tysięcy dolarów może wydawać się dużą sumą. Ale tak naprawdę to nie jest dużo, skoro książka się tak dobrze sprzedaje. Dostałam jałmużnę za cały ten trud. – Westchnęła i pokręciła głową.

Czy to była oznaka żalu?

A może tylko udawała?

– I tyle? Dostała pani dwadzieścia pięć kawałków? – upewnił się Noah.

Vera spuściła wzrok.

– Miałam umowę z Nedom i Trudie.

– A teraz gdy Trudie nie żyje – cisnął Noah – co się stanie z tantiemami za książkę?

– Nie mam pojęcia. Domyślam się, że odziedziczą je jej krewni.

– A jeśli nie ma żadnych? Co się stanie, jeśli Ned umrze? – nie odpuszczał.

Nieprzekonująco wzruszyła ramionami i zmieniła temat.

– To okropne, biedna kobieta. Powiedziałam wam wszystko, co wiem. Tak, pomagałam Trudie. Tak, opowiedziałam jej wszystko o życiu Didi, o jej dorastaniu w Missouri. Trochę o rywalizacji z rodzeństwem i tyle. Uważam, że Edie była mi to winna. – Spojrzała w oczy Remmi. – Dostałam za to za mało. Wszystkie pieniądze świata nie wynagrodzą mi bólu, na który Edwina naraziła naszą rodzinę.

– Zabiła ją pani? – zapytał Noah.

Uniosła dłoń do gardła.

– O, matko, nie. Oczywiście, że nie. Zniknęła z mojego życia, już wam mówiłam. Nie mam pojęcia, co się z nią stało. A teraz proszę, wyjdźcie. Powiedziałam wszystko, co wiem.

* * *

Dzieciak wyglądał na przerażonego. Miał zaledwie dziewiętnaście lat i był ubrany w nieskazitelny uniform boya hotelowego z Montmort Tower. Siedział przy stole w pustym pokoju konferencyjnym, popijając wodę z plastikowego kubka. Spociło mu się czoło i bez przerwy oblizywał usta, odpowiadając na pytania Settler.

Nazwał się Robb Quade i był chudym dziewiętnastolatkiem, który uczęszczał zaocznie do college'u. Teraz był błąd jak ściana. Ręce drżały mu na kubku. Jego duże oczy zrobiły się jeszcze większe. Żrenice rozszerzyły się ze strachu.

Tak, przyjął pieniądze za to, że wpuścił faceta do pokoju obok Karen Upgarde w dniu jej śmierci.

Nie, nie znał tego człowieka. Nie wiedział, że gość zamierza otworzyć drzwi łączące pokoje lub że zrobi to kobieta w sąsiednim apartamencie. Teraz nawet nie był w stanie w to uwierzyć.

Tak, skłamał policji, gdy po raz pierwszy go przesłuchiowano, ponieważ bał się, że straci pracę, bał się, że policja może go aresztować za współudział w przestępstwie, chociaż, jak się zarzekał, nie miał pojęcia, co się wydarzy. A teraz, o Boże, ta kobieta skoczyła. Był świadkiem jej upadku.

Dlaczego postanowił teraz się ujawnić?

Ponieważ wiedziało o tym kilka osób, więc uznał, że najlepiej będzie samemu się przyznać.

– Czy potrzebuję prawnika? – zapytał. Wyglądał tak, jakby miał się zaraz załamać i rozpłakać.

– To zależy, czy sądzi pan, że go potrzebuje? – odbiła pytanie Settler.

– Nie, mówię wszystko, co wiem – zarzekał się, mrugając. – Byłem głupi i nie powinienem był tego zrobić. Przez to stracę pracę i nawet nie dostanę referencji. Ale przysięgam, że nie miałem pojęcia, że ten facet zrobi... Cóż, cokolwiek zamierzał zrobić. – Miał taki wyraz twarzy, jakby z całych sił powstrzymywał łzy.

– Czy to ten człowiek? – zapytała Dani. Pokazali mu wydrukowane kadry z kamer w windzie, które dostali po zeznaniu Ala Bensona, dozorca Montmort.

Quade popatrzył na zdjęcie i głośno przelknął ślinę.

– To ten sam facet, ale był ubrany trochę inaczej. Tak, miał okulary przeciwsłoneczne, wyglądają na te same, ale miał dłuższe włosy. Miałem wtedy wrażenie, że wyglądają na nieprawdziwe. Nie pytajcie, skąd wiedziałem, po prostu tak mi to przyszło do głowy. Były zbyt jasne albo coś w ten deseń. I miał czapkę z daszkiem z logo Marinersów. Pamiętam, ponieważ pochodzę z Seattle i jestem kibicem. – Ponownie przełknął. – No to mam przerąbane.

– Jak pan sądzi, do czego był mu potrzebny ten pokój?

– Nie powiedział, a ja nie pytałem. Domyślałem się, że może przyjdzie do niego prostytutka i chciał mieć trochę prywatności, albo – wzruszył ramionami, unosząc swoje wątle ramiona – chodziło o coś innego?

– Dał mu pan jakiś limit czasu?

– Tak, tak. Dwie godziny.

– Pięćdziesiąt doliczając za godzinę? – zdziwił się Martinez.

Quade zrobił żalostną minę.

– Tak, zrobiłem to za stówę. O, Jezu, jestem takim durniem!

Nie oponowała. Rzeczywiście był durniem. Zadali mu więcej pytań, ale nie uzyskali żadnych nowych informacji.

– Jeśli przypomni sobie pan coś jeszcze, proszę dać nam znać – podsumowała, zamykając przesłuchanie.

Ruszyli do samochodu, właśnie przeszli przez szklane drzwi prowadzące do Montmort, kiedy zawibrował jej telefon. Odebrała, nie rozpoznając numeru.

– Detektyw Settler.

Na dworze dał zimny wiatr. Szybko ujęła drugą ręką poły płaszcza przy szyi.

– Hej, dzień dobry. Tu Leo Kasparian. – *Ulotny Kaspar Wielki*. Mocniej przycisnęła telefon do ucha, drugą ręką znalazła kluczyki w kieszeni płaszcza i rzuciła je Martinezowi. Zwinnie złapał je w locie.

– Chciałam z panem porozmawiać – powiedziała.

– Tak, dostałem pani wiadomość i uznałem, że musi mieć coś wspólnego z Didi. Wszędzie o niej teraz mówią. Wygląda na to, że wstała z martwych. Jeśli rozumie pani, co mam na myśli.

– Czy ona nie żyje? Wie pan coś na ten temat? – Settler i Martinez wymijali innych pieszych, pochylając głowy w obronie przed wiatrem. Dani wolną ręką musiała osłaniać drugie ucho, żeby słyszeć Kaspariana.

– To tylko taka figura retoryczna, ponieważ nikt jej nie widział od lat. To niepodobne do Didi ukrywać się gdzieś pod kamieniem. Zupełnie nie w jej stylu. No

więc jeśli nigdzie nie szpanuje, to domyślam się, że nie żyje. I szkoda tej Upgarde. Co według was się tam stało?

Zignorowała jego pytanie i gdy dotarli do samochodu, usiadła na miejscu pasażera, podczas gdy Martinez dostosowywał miejsce kierowcy.

– Nie znał jej pan?

– Nigdy wcześniej o niej nie słyszałem. Didi i ja, no cóż... Nie rozstaliśmy się w zgodzie. Jeśli wie pani, co mam na myśli.

– Rozumiem.

– Poślubiłem kogoś innego i też nie wypaliło. A teraz występuję w kasynie w Reno. Powinna pani kiedyś zobaczyć mój show.

– Słyszał pan o Trudie Crenshaw?

– Jaka szkoda. Ale Ned z tego wyjdzie? Facet jest w porządku. Po prostu zadarł z Didi, podobnie jak ja. Trudno mieć mu to za złe.

– Mamy nadzieję, że wyzdrowieje. Pana numer telefonu kilka razy pojawił się wśród numerów wybieranych przez Trudie. Mniej więcej rok temu. Zapewne kiedy zbierała materiały do książki.

– O tak, oczywiście rozmawiałem z nią. Nawet kilka razy się spotkaliśmy. Pisała książkę i potrzebowała informacji o tym roku, który spędziłem razem z Didi, gdy wspólnie występowaliśmy. I cóż? To były dobre czasy, dopóki się nie zepsuły.

Zadała mu jeszcze kilka pytań o Trudie i Neda. Miała wrażenie, że wyczerpała już to źródło informacji. A on ponownie się zarzekł, że nigdy nie spotkał Karen Upgarde. Nigdy o niej nie słyszał i miał solidne alibi na dzień, kiedy skoczyła. Zaczął się rozpraszać, rozmawiał z ludźmi wokół siebie, a kiedy Settler próbowała skupić na sobie jego uwagę, przyznał, że właśnie trwa próba. W budynku znajduje się właściciel klubu, kilka kelnerek i dźwiękowiec.

– Jeszcze tylko kilka pytań – zapewniła go Dani. Martinez zjechał ze wzgórza. Właśnie zbliżali się do nabrzeża w Embarcadero i mostu nad zatoką łączącego San Francisco i Oakland, rozciągniętego nad wzburzonymi wodami zatoki. Na powierzchni formowały się białe czapy, zwiastując nadchodzący sztorm.

Dani zapytała:

– A więc, co pan wie na temat zniknięcia Didi?

– Nic.

– Wiedział pan, że miała bliźniaki?

– Nie. I to chyba nie zostało udowodnione, prawda? Krążyły plotki, że urodziła dziecko, ale nie powiedziała nikomu, kim jest jego ojciec. To jej typowe zagranie. Nigdy nie wyjawiała swojej starszej córce, kim był jej ojciec. Zawsze mnie to drę-

czyło i jestem przekonany, że i Remmi musiała się nad tym zastanawiać. Chociaż Didi była ekstrawagancka i ekspresyjna, kiedy tylko tego chciała, potrafiła trzymać gębę na kłódkę.

– Zatem nie wie pan, z kim się spotykała w czasie, gdy poczęto te dzieci?

– Nie. – Zapadła cisza. – Cóż, był taki jeden facet. Słyszałem o nim od Grimesa. Harolda, zna go pani? Oboje dla niego pracowaliśmy. Jak on się nazywał?... Przechwalała się nim, że to niby jakaś szycha. Niech pomyślę... Pamiętam, ponieważ jego imię brzmiało tak samo jak imię jakiegoś ważniaka z telewizji. Na przykład, na przykład... nie. Może jak ktoś, kto prowadził teleturniej, który wtedy leciał? Albo jakiejś ikony telewizyjnej? Jeśli wie pani, co mam na myśli. Nie Downs... Nie Trebek.... Nie. Ale wie pani, sądzę, że na nazwisko miał Hall. Tak właśnie tak, Brandon Hall. Cholera, jak na to wpadłem?

Settler zerknęła na Martinezę.

– Hall. Jest pan pewien?

– Jak cholera – powiedział Kasparian. – Tak.

Brandon Hall. Facet, który wynajął mustanga spalonego na pustyni? Niezidentyfikowane ciało. Zadała Kasparianowi jeszcze kilka pytań, a potem powiedziała mu, że będzie musiał złożyć oficjalne zeznania w obecności policjanta z Reno. Marudząc, że Didi wciąż narusza jego cholerny spokój, niechętnie się zgodził.

– Jeszcze dzisiaj pójde na komisariat – obiecał, po czym się rozłączył. Jednak facet miał reputację śliskiego jak węgorz, więc Settler zadzwoniła na komisariat w Reno i zawczasu zawiadomiła dyżurnego. Obiecali, że go namierzą, gdyby się nie pojawił.

Opowiedziała wszystko Martinezowi, gdy znalazł miejsce do zaparkowania w pobliżu Fisherman's Wharf. Było południe, więc zamówili rybę z frytkami w restauracji z widokiem na molo i oglądali lądujące mewy i lwy morskie wylegujące się na dokach.

Jedząc smażonego halibuta i grube, słone frytki, rozmawiali o sprawie, gdy znowu rozdzwonił się telefon Settler. Z ekranu dowiedziała się, że dzwonią z policji z Las Vegas.

– Detektyw Settler – odebrała.

– Tu Lucretia Davis. Od razu przejdę do sedna, dobrze? Dzisiaj rano na placu budowy znaleziono starego białego cadillaca zakopanego na pustyni. Tablica rejestracyjna wskazuje, że należał do Didi Storm. – Davis mówiła ponurym tonem. Settler czekała na dalsze informacje, ale mimo to doznała lekkiego szoku, gdy to usłyszała. – Wygląda na to, że za kółkiem siedziała Didi.

– W samochodzie?

– Tak. Z ciała został tylko szkielet. Ale z tyłu czaszki, w miejscu, gdzie kiedyś znajdował się jej mózg, jest dziura, która wygląda na otwór wlotowy po kuli. Wobec tego podejrzewam, że rozwiązaliśmy jedną zagadkę: Didi Storm z pewnością została zamordowana.

ROZDZIAŁ 29

– Co zrobiłeś? – zapytała Remmi, gdy odjeżdżali z domu w Walnut Creek, w którym spędziła lata nastoletnie. Ona prowadziła, jechała w stronę autostrady, kiedy Noah spuścił bombę i powiedział, że zostawił pluskwę w domu ciotki Very.

– To bardzo mała kamera. Nagrywa też audio.

– W domu ciotki Very?

– Tak, zostawiłem ją na półce na kominku, kiedy ty, Vera i Jensen poszliście zobaczyć dziecko. Położyłem ją pomiędzy zdjęciem Monty’ego i Jezusem. Jest skierowana na środek pokoju z panoramicznym widokiem.

– Czy to legalne?

Wzruszając ramionami, odparł:

– Nagrania nie będziemy mogli wykorzystać w sądzie. Jestem zwykłym obywatelem, podobnie jak ty. Nie jesteśmy w policji, zatem informacje, które zbierzemy, nie mogą zostać użyte jako dowody. Ale możemy je wykorzystać, żeby prowadzić śledczych na odpowiedni trop.

– A jeśli ją znajdzie?

– To możliwe. Ale jest ukryta w okularach przeciwsłonecznych. Nie sterczą z nich żadne kable. Mówiłem ci, że jest mała, ale skuteczna.

– A jeśli znajdzie okulary?

– Prawdopodobnie pomyśli, że my albo ktoś inny je tam zostawił. W domu mieszka kilkoro ludzi i prawdopodobnie przyjmują też jakichś gości, więc czemu nie?

– Przebiegłe.

– Bardzo, ale konieczne.

– Masz rację – zgodziła się, bo miała wrażenie, że ciotka Vera jeszcze coś ukrywa. Wie więcej, niż mówi. Połączenie z telefonu komórkowego Jensena na telefon Karen Upgarde było wystarczająco obciążające.

– Zatrzymajmy się więc w jakiejś kawiarni, gdzieś, gdzie mają wi-fi, i przekonajmy się, czego się dowiemy. Obrazy i dźwięk pojawią się na moim telefonie i zostaną również nagrane.

– Jest do tego jakaś aplikacja?

– Co najmniej jedna. Będziemy mogli zobaczyć i usłyszeć, cokolwiek dzieje się w salonie i częściowo w jadalni, która prowadzi do kuchni, a być może nawet na korytarzu.

Przestała już się przejmować legalnością tego procederu, jeśli dzięki temu sprawa się zakończy.

– Znajdź jakąś czynną przez cały dzień jadalnię lub kawiarnię z wi-fi i tam się udamy.

– Już szukam. – Noah stuknął w klawisze. – Mam jakąś. Bellwether Cafe. Reklamują się, że parzą „nowatorską kawę”, cokolwiek to znaczy, oraz wino i piwo od szesnastej. Ale co lepsze, darmowe, szybkie wi-fi. – Podał jej adres, a Remmi, widząc, że jedzie w złym kierunku, znalazła miejsce, żeby szybko zawrócić, choć przy okazji jedną oponą zahaczyła o krawężnik. Potem ruszyła na południe i wkrótce dotarła do kawiarni. Był to budynek w kształcie litery A, który pamiętała ze szkoły średniej. Wtedy działała tam burgerownia i lody na wynos z niewielką liczbą miejsc siedzących. Teraz lokal został przebudowany w stylu industrialnym, wewnątrz dominował czarny i srebrny winyl kojarzący się z erą kosmiczną, chromowane wykończenia, lada z nierdzewnej stali, rury biegnące na zewnątrz oraz zapach świeżo mielonej kawy przenikający się ze słodkim aromatem świeżo pieczonych ciast.

Stoliki stały na betonowej podłodze i tylko kilka z nich było zajętych. Dwie kobiety głośno rozmawiały przy stole w pobliżu lady, podczas gdy jakiś dwudziestolatek z brodą i krótko ostrzyżonymi, czarnymi włosami gapił się w otwarty laptop. Oglądając jakieś wideo, zapomniał o kawie. Patrząc na ekran, żuł splaszczony patyczek do jej mieszkania.

W tle leciały instrumentalne wersje klasycznych piosenek rockowych, ale ledwie je było słychać, ponieważ zagłuszały je rozmowy, stukanie kubków i syk ekspresu do kawy.

Znaleźli łóżę w kącie w tyle restauracji. I podczas gdy Noah rozstawiał swój sprzęt, łączył telefon i laptop z internetem, ona zamówiła dla nich po kubku kawy.

– Czy coś jeszcze? – zapytała, kiedy wróciła z kubkami, a on uniósł głowę.

– Może – powiedział, a kiedy ich spojrzenia się spotkały, poczuła nieoczekiwany przyływ ciepła. – Niech się zastanowię.

Podawała mu kubek, a potem zamówiła jeszcze dwie bułeczki. Barista położył je na talerzu, który ona przyniosła do stolika, i usiadła.

– Pomyślałam, że skoro chcemy tu posiedzieć, to lepiej, żebyśmy coś zamówili – wyjaśniła.

– Dobry pomysł. – Zadzwoił jego telefon. Szybko go odebrał. – Emma – bezgłośnie poruszył ustami, po czym słuchał z coraz poważniejszą miną. – Kiedy? – zapytał nerwowo. – Nie, nie słyszałem... Kiedy?... bez niczyjego udziału... Tak, nic na to nie wskazuje. Ale mam na myśli, że w szpitalu...

Szpital? O, nie. Ned!

– Okej, tak dzięki. – Rozłączył się, a z Remmi uszła cała energia.

– Ned umarł – stwierdziła, a on potaknął.

– Przed chwilą.

Zamknęła oczy. Powiedziała sobie, że przecież spodziewała się tej informacji, że nikt nie jest w stanie przeżyć takiego ataku. Ale głęboko w sercu miała nadzieję na cud. Spodziewała się, że jeśli ktoś jest w stanie się z tego wylizać, to jest to dzielny kowboj. Jemu udałoby się pokonać wszelkie przeciwności... ale jednak nie. Poczwała, że Noah kładzie jej rękę na plecach i przyciąga ją bliżej.

– Przykro mi – wyszeptał. Poczwała jego oddech we włosach. – Naprawdę. – Pocałował ją delikatnie nad skronią, ona o mało co nie rozpadła się na milion kawałków.

– Nie widziałam go ani nie kontaktowałam się z nim od lat – wyszeptała. – Ale mimo wszystko...

– Wiem, że to był jedyny facet, którego wtedy podziwiałaś. – Uścisnął ją, a ona poddała się jego dotykowi.

Osaczył ją kalejdoskop wspomnień – przed jej oczami pojawiały się krótkie, kolorowe kadry przedstawiające szczęśliwe lata z tym delikatnym kowbojem. Przypomniała sobie zapachy koni i kurzu. Ciepło jego dłoni, gdy pomagał jej wsiąść na siodło, gdy pokazywał jej, jak celować ze strzelby i jak uspokoić przestraszoną, źrebiącą się klacz.

– Był dobrym człowiekiem – powiedziała. – Zasłużył na coś lepszego. Wiem, że w jakiś sposób był w to zamieszany, był w tym umoczony, ale nie zasłużył na śmierć od kuli, Noah.

Otarła oczy i przełknęła łzy.

– Masz rację.

– No więc dorwijmy tego gnoja. – Zaciśnęła zęby, wzięła się w garść i wyswobodziła z jego objęć.

– To jest plan.

– Świetnie. – Wypiła łyk kawy i wtedy z laptopa dobiegł krótki dźwięk, więc Noah zerknął na monitor.

– Bingo – rzucił, patrząc jej w oczy. – Udało nam się tam dostać.

Pochyliła się, żeby zobaczyć wewnątrz niewielkiego salonu ciotki Very.

– I co teraz? – wyszeptała.

Zmrużył oczy.

– A teraz czekamy.

Tuż za Las Vegas Settler rozglądała się po placu budowy, gdzie właśnie wyjmowano z wykopu ogromne auto. Gdy cadillac powoli wynurzał się z ziemi, opadał z niego piasek i pył.

Aby skrócić biurokrację, Settler zaangażowała przyjaciela z prywatnym samolotem i licencją pilota. Stinson zawsze chciał brać udział w dochodzeniu, więc zabrał ją i Martinezę do Las Vegas, zgodził się też odwiedzić ich z powrotem za cenę paliwa i obiadu.

Jedyną przeszkodą było przesłuchanie Jennifer Reliant, które musiało zostać przełożone na następny dzień, gdy Settler wróci z wydobycia auta, które prawdopodobnie należało do Didi Storm.

Przybyli z Martinezem po południu, wynajęli samochód i spotkali się z detektywem Davis na placu budowy, w chwili gdy caddy był wyciągany na wóz holowniczy, który miał zawieźć go do policyjnego garażu, by tam został przebadany przez techników i rozebrany na części.

– To na pewno Didi Storm – oznajmiła Davis. – Wskazuje na to nie tylko tablica rejestracyjna na jej nazwisko, ale także część bagażowa, którą opisała jej córka. Tak, rzeczywiście jest tutaj takie ustrojstwo.

– Czy ciało już zabrano do kostnicy?

– Owszem. Było w ubraniach, które opisała córka, gdy zgłaszała jej zaginięcie. W tym ostatnio widziała swoją matkę. Nisko wycięta, nie najnowsza sukienka, do tego rękawiczki w tym samym kolorze i peruka w typie Marilyn Monroe. Platynowy blond, przynajmniej wtedy. W środku podpisana przez Didi. Sprawdzamy karty dentystryczne, żeby móc ją oficjalnie zidentyfikować. Ale to już tylko formalność, według mnie. Przyczyna śmierci jest dość oczywista. W czaszce widnieje duża dziura.

– Mamy coś jeszcze?

– Nic nadzwyczajnego. Jej torebkę, dowód i kosmetyki z tamtej epoki. Oraz mały pistolet. Wygląda, że się przygotowała, ale nic jej to nie dało.

– Żadnego innego ciała?

– Nie, nic nie ma. W aucie był pusty fotelik, ale bez dziecka.

Settler poczuła odrobinę ulgi.

– Laboratorium już się do tego zabrało. Sprawdzą odciski palców i DNA, jeżeli jakies uda się zebrać. Czas pokaże – zapewniła Davis.

– Chcę zobaczyć ciało Didi.

Jedna ciemna brew uniosła się ponad lustrzanymi okularami Davis.

– Nie ma wiele do oglądania, ale okej, oczywiście. – Wysunęła brodę w stronę wynajętej toyoty Settler. – Macie w tym GPS?

– Nie – odpowiedział Martinez. – Ale skorzystamy z mojego telefonu.

– Dobrze. Gdybyśmy się zgubili, nawigacja powinna was tam doprowadzić. – Davis podała im adres kostnicy i powiedziała, żeby jechali za nią, co uczynili, chociaż okazało się, że Davis ma cięższą nogę niż Settler, więc Martinez kurczowo trzymał się rączki nad szybą.

– Miasto Grzechu – zauważył, patrząc zazdrosnym okiem na błyskające światła kasyn i tłumy ludzi na ulicach. Opuścił szybę i zaciągnął się powietrzem. – Aaaach... Zapach pieniędzy. Wiesz, mógłbym tu osiąść na emeryturze, kupić sobie uroczy apartamencik na Strip i grać w pokera za pieniądze na bieżące wydatki.

– A co się stało z domkiem w Cabo?

– On też się mieści w budżecie. – Poglaskał się po brodzie, gdy oddalali się od Las Vegas Strip z wielopiętrowymi hotelami i kasynami i wjechali na ulice, przy których stały niższe budynki. – Margarity w Cabo i shoty w Vegas.

– Uwzględniasz w tych planach żonę i dzieci?

– O taaaaak.

– Pamiętasz, że poznałam kiedyś Marię? – Maria Martinez była nauczycielką z aspiracjami, by zostać administratorką w dzielnicy, gdzie jej dzieci uczęszczały do szkoły. – Jakoś nie widzę jej w tym scenariuszu. Nie sądzę, żeby chciała wykoźnieniać wasze dzieci.

– Jest uwzględniona – upierał się Martinez, gdy Settler brnęła przez zatłoczone ulice, nie spuszczać Davis z oka.

– Trzeba jednak przyznać, że pogoda jest lepsza niż to, co my mamy.

– Dzisiaj – ostudziła go, patrząc na błękitne niebo, które rozciągało się bez końca. Widać było tylko kilka chmur oraz smugi kondensacyjne. Ale świeciło słońce, w przeciwieństwie do szarego dnia, którzy zostawili za sobą w okolicach zatoki.

– Przez całą cholerną zimę.

– Okej. Ale zostało ci jeszcze kilka lat do emerytury.

– Taką masz nadzieję – rzucił. – Kto inny będzie ci partnerował i zawsze ratował twój nieszczęsny tyłek?

Skręcili wreszcie w Pinto Lane i zauważyli, że auto Davis wjeżdża na parking. Światło słoneczne odbijało się od okien jej samochodu.

– Można sobie pomarzyć, co nie? – zapytał.

– Nie ma w tym nic złego. – Wjechała na duży parking, szeroki pas asfaltu, wokół którego rozpościerał się skalisty i piaszczysty krajobraz z kilkoma starannie posadzonymi roślinami typowymi dla pustyni, kaktusami i innymi sukulentami.

Settler znalazła miejsce koło pojazdu Davis. Detektyw z Las Vegas wyszła już z samochodu i zapaliła papierosa.

– Gotowy na spotkanie z Didi? – zapytała Settler Martineza, gdy zaparkowała i włożyła kluczyki do kieszeni.

– Nie mogę się doczekać. – On też już wyszedł z samochodu.

Davis wypuściła obłok dymu z ust.

– Zesłałam już do dwóch dziennie – oświadczyła, jakby musiała się przed nimi wytłumaczyć. Wsadziła zapalniczkę do kieszeni kurtki i ruszyła w stronę długiego, niskiego budynku, w którym mieściło się Biuro Koronera Hrabstwa Clark. – Dzieciaki nagabują mnie, żebym całkiem rzuciła. A nawet chcą, żebym zaczęła używać jakichś plastrów lub papierosów elektronicznych, ponieważ podobno są dużo zdrowsze. No ale wiecie, kiedy pracuję...

– Wszystko jasne. – Martinez kiwnął głową. – Rzuciłem piętnaście lat temu, kiedy moja żona była w pierwszej ciąży. Oskarżała mnie, że zatruwam powietrze jej i dzieciom, więc w końcu rzuciłem.

– I wciąż cię ciągnie? – Davis westchnęła.

– Nie tak bardzo – odparł.

Zatrzymali się koło wejścia, żeby Davis mogła wziąć ostatniego macha i zgasić niedopałek w popielniczce stojącej niedaleko głównych drzwi. Zaprowadziła ich do chłodnego wnętrza, gdzie działała klimatyzacja.

Davis wiedziała, którądy iść. Znalazła oficera, który pracował nad sprawą, a on zaprowadził ich do jeszcze chłodniejszego pomieszczenia, gdzie na wózkach leżały trzy okryte prześcieradłami ciała, z karteczkami zawieszonymi na palcach stóp.

– Tędy – powiedział oficer i wkroczyli do mniejszego pokoju, gdzie stał tylko jeden wózek. On też był przykryty plastikową płachtą.

– Do dzieła – powiedziała Davis.

– W porządku. – Oficer zdjął płachtę z ciała leżącego twarzą do góry.

Settler nie była zbyt wrażliwa, ale zawsze się przygotowywała na ten moment.

– Jezus – westchnął Martinez i zrobił znak krzyża, jak zawsze, kiedy widział martwą osobę.

Ciało na stole było zaledwie szkieletem. Kości zwisały z fragmentów wysuszonego mięsa. Po oczach zostały tylko ciemne dziury. Pod żebrami nie było już organów wewnętrznych. Do czaszki przylegało kilka kępek włosów. Ale dwadzieścia lat pod pustynią nie zdołało zachować ciała w takim stanie, w jakim spodziewała się zastać je Settler. Wyglądało na zupełnie rozłożone.

– To Didi Storm? – zapytała.

– Nie mamy jeszcze stuprocentowej identyfikacji. Istnieje szansa, że ktoś inny ubrał się w jej rzeczy, miał jej torebkę i samochód, ale to mało prawdopodobne. – Spojrzała Settler w oczy. – Tu jest ta dziura po kuli. Widzicie?

– Aha. – Przez pusty oczodół, puste miejsce po mózgu i dziurę w tyle czaszki widać było blat stołu, na którym leżała. – Chyba już się dość napatrzyliśmy – stwierdziła Settler. – Ale będę potrzebowała zdjęć ciała, samochodu i wszystkich jej rzeczy osobistych, torebki i tego, co w niej było, oraz fotelika dla dziecka. Choć nie jestem pewna, czy córkę Didi usatysfakcjonują zdjęcia. Być może sama będzie chciała zobaczyć ciało. Owszem, nie będzie w stanie zidentyfikować tych kości, ale trudno powiedzieć.

– Mamy kartotekę dentystyczną Didi Storm. Zamówiliśmy ją, kiedy zaginęła, więc można dokonać porównania. Ale w zasadzie sprawa jest już jasna – stwierdziła Davis, a gdy Settler potaknęła, zaproponowała: – Pokażę wam, co mamy.

Drugi oficer przyniósł wszystkie rzeczy osobiste, które odkryto przy ciele zakopanym w cadillacu. Przedmioty zostały już opisane i zamknięte w woreczkach. Dani obejrzała je przez plastik i była przekonana, że tak, że znaleźli Storm. Peruka, zakurzona i wyblakła, była zrobiona z krótkich jasnych włosów i w środku była podpisana, grubym czarnym pisakiem. Podpis już zdążył wypłowić, ale widać było charakterystyczne pismo Didi.

Pojechali na komisariat i znaleźli tam wolny pokój. Popijając czarną kawę, Davis powiedziała:

– Odkąd odkryto samochód, dokonaliśmy już wstępnych ustaleń. Auto znaleziono zupełnie przez przypadek. Firma budowlana Wellsley Construction jest całkowicie legalną, dobrą marką. Budują osiedle na tej nieruchomości dla R&D Homes. Tej firmie też nic nie można zarzucić. R&D to skrót od Richarda i Diany Duvall. Rozwiedli się, ale wciąż prowadzą wspólnie interes. To silna marka, nie

mają żadnych problemów finansowych. Wykonali w mieście kilka dużych projektów. R&D kupili tę ziemię mniej więcej przed trzema laty i zaczęli przygotowania pod budowę, ale ze względu na inne projekty, konieczność wykonania planów architektonicznych, uregulowanie dokumentacji określającej wpływ inwestycji na środowisko, pozwolenia i umowy, nie zaczęli wówczas żadnych poważnych prac. Budowa rozpoczęła się dopiero trzy miesiące temu.

– Od kogo odkupili tę ziemię?

– Od firmy, która nazywa się Morgan Investment i znajduje się pod parasolem większej firmy, OH Industries z siedzibą w Kalifornii, w pobliżu Los Angeles. OH wykonywała wtedy jakieś prace w tamtym miejscu. Lata temu planowali większe inwestycje, ale jedyne, co zrobili po otrzymaniu zezwoleń, to zakopanie wąwozu.

– Wąwozu, w którym znaleziono samochód? – zapytała Settler.

– Bingo.

– Dlaczego Morgan Investments i OH Industries porzucili swój projekt?

– Wciąż szukam na to odpowiedzi. Niedługo powinniśmy coś wiedzieć. Lepiej, żeby tak się stało – powiedziała, zerkając na okno z widokiem na parking. – Media już się na to rzuciły. Najpierw zainteresowanie wywołane książką, następnie samobójstwo, a teraz morderstwo autorki *Nie jestem sobą*. Dziennikarze wydzwaniają do mnie dniem i nocą.

– Do nas też – zauważył Martinez. – Rzecznik prasowy jest zawałony robotą. A gdy ostatnio sprawdzałem, książka trafiła na listy bestsellerów.

Davis pokiwała głową.

– Wydawca przyznał, że już zlecieli dodruk.

– Czekać tylko, aż media się dowiedzą, że znaleziono Didi. – Settler myślała na głos.

– Będą chcieli poznać wszystkie makabryczne szczegóły – zachnęła się Davis.

– Nie obejrzymy się, a będzie film albo serial telewizyjny.

Settler wybiegła myślami w przyszłość. Jeśli scenariusz, o którym dyskutowali, się ziści, osoba, która posiada prawa do książki, dorobi się małej fortuny. Pomyślała o Karen Upgarde i zainteresowaniu, które zaczęło się po jej samobójczym skoku w przebraniu Didi Storm.

Zakończyli spotkanie, obiecując sobie wzajemnie, że będą się informować. Następnie Settler i Martinez pojechali na lotnisko na spotkanie ze Stinsonem i lot powrotny do San Francisco.

W drodze na lotnisko Martinez włączył swojego iPada i sprawdzał informacje na temat OH Industries, podczas gdy Settler obracała w głowie to, czego się do-

wiedzieli. Po pierwsze, myślała o kilkumiesięcznych bliźniętach Didi Storm. Fotelik odkryty w cadillacu przekonał ją, że Remmi Storm mówiła prawdę o tym, że Didi urodziła co najmniej jedno dziecko i próbowała je wymienić z ojcem. A przy okazji go oszukać.

I przez to Didi zapłaciła najwyższą cenę – oddała życie.

Zakładając, że Remmi jest wiarygodna i że było dwoje dzieci, to gdzie się pozdziały? Czy żyją? Czy są razem, czy zostały rozdzielone, być może wychowane przez różne rodziny? Czy któreś nich, zakładając, że żyją, ma jakiegokolwiek pojęcie na temat biologicznej matki i swojej własnej historii? To mało prawdopodobne, jako że żadne z nich się nie ujawniło, zwłaszcza teraz, gdy stało się o niej głośno za sprawą książki.

Pytania mnożyły się w jej głowie. W końcu westchnęła z frustracji.

– Co? – zapytał Martinez, podnosząc głowę, w chwili gdy zobaczyła znak drogowy kierujący ich na lotnisko.

– Nic, tylko myślę. – Włączyła kierunkowskaz i zmieniała pas.

Podczas śledztwa rozmawiali o pieniądzach i ponownie do nich wróciła. Kto najbardziej skorzysta ze śmierci Karen Upgarde? Oczywiście odpowiedzią było, że Trudie Crenshaw, która już nie żyła. Kto następny? Jej mąż Ned, ale on znajdował się o krok od śmierci i mógł nigdy nie wyzdrowieć. Kto skorzysta na jego zgonie? Była tylko jedna odpowiedź. Vera Hutchinson Gibbs, siostra nieżyjącej Edwiny, Edie, czyli Didi Storm. Wiedzieli, że Vera skorzysta na książce. Settler nie wiedziała jeszcze, jak to się potoczy zgodnie z zapisami, kto odziedziczy prawo do książki oraz pieniędzy, ale wyczuwała, że jest na dobrym tropie, stawiając na Verę.

Pomyślała o fotografiach okna hotelowego i windy. O mężczyźnie z jasnymi włosami w czapce Marinersów. Czy „on” mógł być „nią”? Raczej nie, według tego, co twierdzili dozorca Al Benson i Robb Quade, przestraszony boy hotelowy. A może Vera kogoś wynajęła? Jakiegoś zabójcę, który następnie zamordował Trudie Crenshaw i próbował zabić Neda, jedynych ludzi, którzy według Settler stali pomiędzy Verą Hutchinson Gibbs a fortuną. A może Vera namówiła do tego swojego męża, brata lub jedno ze swoich dzieci? Kto był w pokoju z Karen Upgarde w jej ostatnich chwilach? Czy Vera wiedziała, co się stało z jej siostrą i dziećmi?

A może w odwodzie był jeszcze ktoś?

Wieża lotniska zbliżała się coraz bardziej. Settler wjechała na parking przed wypożyczalnią, gdzie mieli spotkać się ze Stinsonem. Jego obiecany obiad będzie musiał poczekać, ponieważ musiała wracać do miasta.

Najpierw osobiście przekáže złe wiadomości Remmi Storm. Następnie zamierza pojechać do Walnut Creek na spotkanie z panią Verą Gibbs.

Gdy wjechała na parking firmy wynajmującej samochody, zadzwoniła jej komórka. Martinez spojrzął na wyświetlacz.

– Policja z Sacramento.

– Przełącz na głośniki.

Wcisnął odpowiedni przycisk.

– Tu detektyw Settler – przedstawiła się na tyle głośno, żeby telefon zebrał jej głos. Po czym zaparkowała i wzięła komórkę z ręki Martineza.

– Mówi Ladlow. – Były sportowiec, detektyw z Sacramento. – Słuchaj, nie będę owijał w bawełnę.

Settler poczuła, że nie będzie miał dobrej wiadomości. Wiedziała, co zaraz usłyszy, i wymieniła spojrzenia z Martinezem, który przestał gapić się w tablet i przysłuchiwał się rozmowie.

– Okej.

– Chodzi o Neda Crenshawa – powiedział Ladlow. – Umarł około godziny temu. W ogóle się nie wybudził, przegrał tę walkę. To wkurzające, ale nie miał wielkich szans. Został postrzelony z bliskiej odległości. Prześlemy wam raport z autopsji, gdy go dostaniemy.

Settler wyjrzała przez szybę i popatrzyła na rząd zwracanych samochodów. Ludzie wyjmowali z nich walizki, torby, wózki, laptopy, wymieniali różne dokumenty z pracownikami wypożyczalni. Przez chwilę ta scena wydawała jej się trochę surrealistyczna. Jak zawsze, gdy ktoś umarł, rzeczywistość przesunęła swoje granice. Trudno było rozpoznać, co jest ważne, a co trywialne.

Lelekko pokręciła głową. I świat wrócił na właściwe tory, jak zawsze. Musiała za dbać o to, żeby zabójca Crenshawa stanął przed obliczem sprawiedliwości.

Na zapadniętym łóżku w swoim pokoju w Bayside snajper patrzył w ekran komputera i przeklinał pod nosem. Podążał trasą zapisaną w lokalizatorze GPS, który umieścił pod zderzakiem subaru należącego do Remmi Storm. Z mapy na ekranie jasno wynikało, że Remmi pojechała aż do Walnut Creek, na tę samą ulicę, przy której niegdyś mieszkała.

Znał ten adres. Bez wątpienia Remmi złożyła wizytę swojej starej, drogiej ciotce. To było nieuniknione, jak podejrzewał, i żałował, że wcześniej nie zdjął córki Didi. Martwiło go to, że rozmawiała z Verą. Ta kobieta nie umiała trzymać

gęby na kłódkę. Co gorsza, po wizycie u Very Storm nie wyjechała z Walnut Creek.

Poirytowany, kręcił się na łóżku, czując ból w udzie, gdzie wbiły się ostrza sekatora. W ogóle nie powinien był na to pozwolić. Ból był przeszkodą. Kolejną, którą będzie musiał pokonać. Przynajmniej mentalnie.

Odłożył laptopa na szafkę nocną, wstał z łóżka i odkrył, że bez większej trudności może chodzić. Problemem jednak był ból. Nie mógł sobie pozwolić na utykanie. Nie mógł zwracać na siebie uwagi.

Był już nagi, więc pokuśtykał do łazienki, przekręcił kurki pod prysznicem, następnie znalazł kawałek gazy w swojej apteczce i użył tandetnego, małego czepka pod prysznic, żeby zakryć ranę na nodze. Przymocował go gazą i plastrem, a następnie wszedł pod niezbyt ciepły natrysk.

Chociaż woda płynęła słabo, pomogła mu rozluźnić mięśnie. A gdy wyszedł spod prysznica i się wytarł, okazało się, że może chodzić prawie normalnie. Chociaż jego kroki były troszkę krótsze.

Ręcznikiem starł parę, która zebrała się na lustrze. Następnie spojrzął na swoje odbicie. Zęby wideł dobrze się spisały, nie było co do tego żadnych wątpliwości. Twarz miał czarno-granatową. Wyraźnie odznaczały się na niej głębokie zadrapania. Ale przy tak zimnej pogodzie mógł okryć większość twarzy szalem i czapką. A nawet wykorzystać perukę.

Spojrzał na swoją klatkę piersiową i paskudnie zaklął. Zastanawiał się, czy jej nie ogolić i nie posmarować ponownie wszystkich ran na brzuchu i piersiach maścią antyseptyczną. Rany były głębokie, ale na razie będą musiały poczekać. Wyczyści je później.

Czuł się tak, jakby zrzucano go z wysokiego budynku, a potem przejechano buldożerem. Był przyzwyczajony do pewnej ilości bólu. Nauczył się być twardy psychicznie w ciągu całego swojego życia. Musi wykonać robotę. Chwilowo nie mógł ryzykować wizyty w szpitalu i wiedział, że jak tylko skończy swoją część planu, będzie mógł zatrudnić pielęgniarkę, która zajmie się jego obrażeniami. Prywatną pielęgniarkę.

Włączył telewizor i znalazł kablową stację informacyjną, mając nadzieję, że dowie się z niej, że Ned Crenshaw nie przeżył. Nie mógł jednak znaleźć żadnych informacji potwierdzających śmierć ranczera. Następnie zajrzał do Internetu i wygoogłował nazwisko Crenshawa.

Tam ją znalazł.

Dar z niebios.

Kilka godzin temu Ned Crenshaw kopnął w kalendarz.

Alleluja.

Snajper się uśmiechnął. Wyglądało na to, że Ned nie wybudził się ze śpiączki i nie zaczął kłapać jadaczką.

Chwalmy Pana.

Nawet twardziel Crenshaw nie był w stanie przeżyć bezpośredniego ataku.

Teraz mógł się skupić na Remmi. Sprawdził GPS i zobaczył, że w końcu zbliżała się do tego ogromnego domu, będącego w posiadaniu starszej pani. Domu na wzgórzu krytego gontem.

Przynajmniej wróciła do miasta.

Dobrze. Sprawdził już ten stary dom, w którym mieszkała, i wymyślił plan, jak się jej pozbyć.

Cholernie dobry plan.

Ponownie rozciągnął nogę. Przeszedł z sypialni do łóżka i z powrotem. Tak, noga go utrzyma.

Dziś wieczorem córka Didi Storm umrze.

ROZDZIAŁ 30

Chociaż Remmi czuła się trochę jak podglądaczka, siedząc w łoży w restauracji Bellwether, była oczarowana. Kamera ukryta nad kominkiem Vera działała trochę na zasadzie monitora w pokoju dla niemowląt, dawała jedynie wyraźniejszy obraz i szerszy kąt widzenia. Razem z Noahem nie odrywali od niej wzroku przez kilka godzin, zamawiając to kawę, to jakiś zimny napój i wodę. Zastąpili babeczki małą pizzą, którą razem wybrali.

Vera wchodziła i wychodziła z pokoju, wykonując prawdopodobnie codzienne obowiązki. Nic ważnego się nie działo, dopóki Jensen nie wyszedł z domu. Wtedy Vera sprawdziła okna wychodzące na przód domu, jakby się chciała upewnić, że już odjechał. Potem posadziła dziecko na podłodze z zabawkami i sięgnęła po telefon. Remmi i Noah nie odrywali wzroku od ekranu.

Słyszeli tylko jedną stronę rozmowy, ale i tak zmroziła im krew z żyłach.

– Cholera jasna, była tutaj – powiedziała Vera, kiedy ktoś odebrał. – Kto? A jak myślisz, kto? Remmi. Była tu z tym chłopakiem, którego znała, gdy chodziła do liceum. Noahem Scottem. Pamiętasz Ike’a Baxtera, tego mechanika? To jego przybrany syn... Tak, to on. I wiesz co? Teraz jest prywatnym detektywem... Nie, nie, dobrze mnie słyszałeś, tak, prywatnym detektywem. Wiedzą, że pomagałam Trudie z książką... Co?... Już ci mówiłam, że nie powinniśmy byli mieszać w to Karen! To był twój pomysł i zobacz, co z niego wyszło... Tak, tak, wiem... Ale lepiej to napraw. Nikt nas nie może z nią połączyć... Dlaczego?... Chyba żartujesz? Wyskoczyła z okna i teraz cała uwaga skierowana jest na nas! – Vera zerwała się na nogi. I krążyła po pokoju. Od jadalni do wejścia do kuchni, a następnie do okna, żeby wyjrzeć na zewnątrz, i z powrotem.

Noah i Remmi wymienili spojrzenia. A więc Vera znała Karen Upgarde, ale nie do końca ogarniała, dlaczego kobieta skoczyła.

– Za chwilę będę miała policję pod drzwiami! Jeśli Remmi to wymyśliła, to ile czasu potrzebują gliny? – Spojrzała na swojego wnuka. – Wiem, wiem. Ta dziewczyna zawsze była niewdzięczna. Po tym, co dla niej zrobiłam! Nie było mi z nią łatwo, skoro została wychowana przez tę zdzirę.

Remmi się najeżyła. Wiedziała, że ciotka nigdy jej nie lubiła, że wypełniała tylko chrześcijański obowiązek, a potem zrobiła z siebie męczennicę.

– I pytali o wszystkich. Nawet o Harleya. To się dobrze nie skończy, po prostu to wiem... – Drugą ręką przeczesła włosy. Była wyraźnie zdenerwowana. – To wszystko przez Didi – rzuciła żarliwie. Potem zamilkła i stanęła przy oknie. Wyglądała na podwórko i ulicę, i słuchała. Jej usta zdradzały napięcie. – Wiem... – Potakiwała. – W końcu dostanę coś w zamian. Ale nieważne, ile zarobię za książkę, zawsze będzie za mało. Nie była tego warta. Nic mi nie wynagrodzi tej udreki, której mi przysporzyła. I innym ludziom też. Aha. Dzwonię do ciebie, ponieważ zabito Trudie. Remmi sądzi, że miałam coś z tym wspólnego... No przecież mówię... Słucham? – Pauza i gwałtowne wciągnięcie powietrza. – Umarł? Nie, nie, nie słyszałam. Niech Bóg ma go w opiece. – Kolejna długa pauza. – Hm... Co? Pieniądze za książkę? Naprawdę? Zaraz sprawdzę umowę... – Z telefonem przy uchu zniknęła z ekranu. Pobiegła gdzieś korytarzem. Wróciła w niecałą minutę później, niosąc jakieś papiery. Usiadła przy jadalnianym stole i zaczęła je przerzucać. – Zaraz. Takie to skomplikowane... O, jest. – Czytała przez kilka sekund w milczeniu, a następnie wciągnęła powietrze. – Masz rację. Tu jest napisane... – Na jej twarzy pojawił się szeroki uśmiech i z radością skoczyła na nogi. Zupełnie odmieniona. – Nie wierzę! To taka dobra wiadomość. Najlepsza! – Była przeszczęśliwa, aż zrobiła kilka tanecznych kroków. – Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło, nieprawdaż? Bóg robi niesamowite rzeczy... Tak, wiem. Dzwoniła Jennifer i powiedziała, że książka sprzedaje się niesamowicie dobrze. Użyła dokładnie tego słowa: niesamowicie. I mówiła, że dostaje zapytania o możliwość jej sfilmowania dla telewizji. Przynajmniej tak twierdziła. A teraz jeszcze to... Wow! – Promieniała radością, ale nagle jej uśmiech nieco przygasł. – Mimo wszystko szkoda. Ned i Trudie to byli dobrzy ludzie. Kiedy się w to zaangażowałam, nie sądziłam, że ktokolwiek umrze. Ponadto zostali zabici i być może z powodu książki.

Znowu krążyła po pokoju i słuchała osoby po drugiej stronie linii. Zatrzymała się koło dziecka siedzącego na podłodze z rozrzuconymi zabawkami. Słysząc było jego głos. Vera znalazła w koszu ciężarówkę i położyła ją na dywanie w jego zasięgu.

– Tak, tak. Wiem. – Prostując się, Vera dodała: – Oczywiście, co się stało, to się nie odstanie. I tak, pieniądze są nie do pogardzenia.

Zwróciła wzrok prosto na półkę nad kominkiem, Remmi ze smutkiem pomyślała, że zostali odkryci. Ale Vera była skupiona na rozmowie.

– Tak – powiedziała. – Zapalę świecę i zmówię modlitwę. Okej, po prostu się martwię i tyle. Do usłyszenia. Pa.

Rozłączyła się i obiema rękami przytuliła telefon do piersi. Następnie widząc, że dziecko bawi się zabawkami, podeszła prosto do kominka i podniosła wzrok. Jej oczy, które znajdowały się prawie na poziomie kamery, wypełniły się łzami.

– Dziękuję – wyszeptwała. – Dziękuję, Jezu. – Ruszyła w przeciwnym kierunku. A potem odwróciła się i spojrzała prosto na kamerę. Cichutko, prawie niesłyszalnie, dodała: – I proszę, proszę, wybacz mi.

Remmi poczuła, że jej krew zmieniła się w lód.

– Jest w tym umoczona – zwróciła się do Noaha.

– Po same uszy.

– Ale dopiero co dowiedziała się o Nedzie. Była zaskoczona.

– Wiem, to mi nie do końca pasuje. – Noah myślał na głos, gdy kelnerka przyniosła dwie sałatki trzem kobietom, które z żywieniem rozmawiały przy stoliku stojącym w pobliżu drzwi.

Noah i Remmi siedzieli w łoży od kilku godzin.

Remmi wstała i się przeciągnęła. Zauważyła, jakie długie zrobiły się cienie na parkingu. Jaka była rola Very w tym wszystkim? Czy wiedziała, co stało się z Didi? Czy kłamała również na ten temat? Sądząc z jej strony rozmowy, wydało się, że nie miała nic wspólnego z atakiem na Neda i Trudie.

– Z kim rozmawiała? – zapytała. – Z wujkiem Milem?

– Tak bym obstawiał – potwierdził Noah. – Ale jest jeszcze Billy. On też może być w to zamieszany.

Zgodziła się. Wuj nigdy nie było w pobliżu, zawsze był gdzieś daleko.

– Lub Harley. Nie wiemy tak naprawdę, czy jest na Alasce. A nawet Jensen.

– Ale on dopiero wyszedł. Nie musiała rozmawiać z nim przez telefon. I chociaż jako nastolatek był okropny, nie sądzę, że teraz ściemnia. – Przypomniała sobie jego dumę z dziecka. – Próbuje sobie ułożyć życie. Harleya i Jensena nie było w pobliżu, kiedy zaginęła Didi.

– Nie znaczy to, że nie mogą być zamieszani w książkę i Karen Upgarde.

Przytaknęła. Każdy z nich – Harley, Milo, Jensen, a nawet Billy – mógł się jakoś przebrać i brać w tym udział. Widziała ziarniste zdjęcie „osoby związanej ze sprawą”, które policja udostępniła w mediach. Obraz był niewyraźny i mógł się na nim znajdować dosłownie każdy.

Z łoży dobiegł ją głos Noaha.

– Aha – powiedział.

Ponownie usiadła obok niego i zerknęła na ekran, na którym pojawiło się zbliżenie twarzy Very. Kamera zakołysała się i obraz pociemniał. Po czym nagle wró-

ciła ostrość i ukazał się czubek nosa Very.

– Ki diabeł? – rzuciła. – Czyje to jest? – Musiała odsunąć okulary od twarzy, ponieważ zobaczyli jej oblicze. Kobieta ze zdziwienia wygięła usta i zmarszczyła czoło.

Remmi ścisnęło w żołądku, przygryzła usta, gdy ciotka oglądała okulary z matką kamerą.

W końcu Vera westchnęła.

– Chyba Billa – stwierdziła, po czym zaniósła okulary na stół w jadalni. – Zgubiłby głowę, gdyby nie miał jej przykręconej.

Wyszła z pokoju, a Remmi wypuściła powietrze z płuc.

– Uważa, że należą do jej brata.

– Dopóki nie wróci do domu.

– To co teraz robimy?

– Wracamy do ciebie. Wiemy, na czym stoimy. Możemy tam ponownie się połączyć. Poza tym kamera nadal będzie nagrywała, więc przewiniemy sobie i obejrzymy, co się działo, kiedy dotrzemy na miejsce.

Remmi ponownie spojrzała na monitor i zobaczyła, że ciotka podchodzi do Monty'ego. Podniosła wnuka z podłogi i zakręciła się w koło. Monty zachichotał i przywarł do babci.

– Och, kochanie słyszałeś? – zagruchała do wnuka. – Babcia będzie bogata! Bogatsza, niż sądziła. – Dziecko się roześmiało, a Vera do niego dołączyła.

Remmi natomiast poczuła niesmak, patrząc na ciotkę. Zasapana Vera zakręciła się, trzymając dziecko w ramionach. W końcu się zatrzymała. Wszelki smutek i żal, który poczuła na wieść o śmierci Neda Crenshawa, został już zapomniany.

– Okej. – Remmi znalazła kluczyki w torebce. – Jedziemy. Chyba już się napatrzyłam.

– Z przyczyn niezależnych muszę przełożyć nasz obiad – oświadczyła Dani Stinsonowi, kiedy wysiedli z jego cесsny prosto na deszcz. Zapadła już ciemność, wieczór zmieniał się w noc.

– Zawsze przekładasz z przyczyn niezależnych. – Stinson stał na płycie pod nosem swojego samolotu. Silny wiatr targał jego kurtkę i włosami. Światła terminalu rozświetlały ciemność.

– Jestem zajęta kobietą.

– Zajętą kobietą, która zawsze prosi o przysługę.

– Tak, to prawda. – Wiedziała, że nie może zaprzeczyć. Znała Marka Stinsona od college'u, kiedy poślubił Celię, jedną z jej najlepszych koleżanek. W ciągu ostatnich kilku lat Stinson ze swoim samolotem zabierał ją na szybkie, krótkie loty, kiedy tylko tego potrzebowała. Chociaż zawsze płacił mu wydział, musiał dostosować swój plan zajęć do jej potrzeb.

Jak dotąd nigdy nie zawiódł.

Założyła kaptur kurtki. Usłyszała głośny ryk odrzutowca, który rozpędzał się po pasie startowym głównego terminala.

– Wpadnij na drinka – krzyknął, gdy zaczęła się oddalać.

– Załatwione. Przynajmniej na jednego. – Jej słowa porwał wiatr i kolejny samolot, który z rykiem wystartował w czarne, zachmurzone niebo.

Gdy znaleźli się znowu w samochodzie, powiedziała do Martineza:

– Pierwszy przystanek: dom Remmi Storm.

Jak tylko wylądowali, zadzwoniła do nich detektyw Davis z Las Vegas z informacją, że dopasowali kartę dentystyczną Didi Storm do ciała, które leży w kostnicy. Żadnych pytań, żadnych wątpliwości. Należy powiadomić najbliższych krewnych.

Nienawidziła tej części swojej pracy, która polegała na informowaniu członków rodziny, że ich bliski zmarł. Najgorsze były gwałtowne śmierci. Nawet w przypadku matki, która zaginęła dwadzieścia lat wcześniej, taka wiadomość mogła być bardzo bolesna.

Uruchomiła wycieraczki, bo mocno się rozpadało. Włączyła się do ruchu i skierowała na stojedynkę w kierunku północnym.

– Mam nadzieję, że dotrzemy do Remmi Storm, zanim dowie się, że znaleziono ciało jej matki.

Chociaż Davis obiecała, że utrzyma w tajemnicy tożsamość Didi, dopóki Remmi nie zostanie powiadomiona, zadanie nie należało do łatwych. Media były obecne na placu budowy, więc policjanci z Las Vegas byli teraz bombardowani telefonami.

Jakby czytając w jej myślach, Martinez powiedział:

– Media będą miały używanie.

– I to jakie. Wszyscy wiedzą, kim jest najbliższa krewna Didi Storm. – Zastanawiała się, czy nie zadzwonić z tą informacją na komisariat i poprosić kogoś z wydziału, żeby skontaktował się z Remmi, ale uznała, że odpowiedzialność spoczywa na niej, jako że Remmi przyszła do niej, szukając swojej matki.

– Dodaj gazu – zaproponował Martinez, patrząc na GPS i szukając w kieszeni nieistniejącej paczki papierosów. Uświadomił sobie, co robi, i przestał. – Dyskoteka i syrena. Ale nie wjeżdżaj na dwieścieosiemdziesiątkę. Chyba jest zakorkowana. Przynajmniej tak podaje moja aplikacja.

Uznała, że nie będzie włączała świateł, tylko dodała gaz. Zadzwoiła jej komórka i oświetliła wnętrze auta.

– Odbieram – oznajmił Martinez i włączył przycisk. W głośnikach rozbrzmiał głos jakiejś kobiety.

– Tu Jennifer Reliant – przedstawiła się. – Mam chore dziecko, ale słyszałam, że chciała pani informacji na temat umowy zawartej pomiędzy moją klientką Trudie Crenshaw i Stumpton Press. Oczywiście wie pani, że nie jestem w stanie podać tych szczegółów. – To nie miało znaczenia. Mieli dostać tę umowę od prawnika wydawnictwa z Portland. Mimo to Settler nie chciała się jeszcze rozłączać z agentką. Całe to jej biuro polegające na zainstalowaniu skrytki pocztowej i automatycznej sekretarki wydawało jej się trochę szemrane.

– Jeśli nie może pani przyjechać na komisariat, zjawi się u pani oficer i spisz zeznania.

– Jeśli nie boi się grypy – rzuciła Reliant z obrazą w głosie.

– Pani Reliant, oficerowie policji San Francisco boją się niewielu rzeczy.

– Dobrze. Proszę mnie tylko wcześniej poinformować – oświadczyła i zakończyła rozmowę.

– Według mnie nie jest zbyt szczęśliwa – zauważył Martinez.

– Jeśli się nie mylę, nigdy nie jest.

Kierowali się na południe. Burza nadchodziła znad Pacyfiku i przez półwysep. Widać było czarne wody zatoki, pieniające się i formujące w wysokie fale zwieńczone białymi czapami.

W końcu Settler wydostała się pomiędzy innych pojazdów i skręciła na stromo wznoszące się wzgórze, gdzie stał dom Remmi Storm. Zaparkowała trochę zbyt blisko skrzynki pocztowej, ryzykując gniew właściciela oraz dostawcy przesyłek, chociaż normalne godziny doręczeń minęły. Niektóre z domów stojących przy tej ulicy zostały już udekorowane świątecznymi wieńcami wiszącymi na drzwiach. Na kilku świeciły bożonarodzeniowe światełka.

– Jeszcze nawet nie było Święta Dziękczynienia – pożalił się Martinez, patrząc na furgonetkę z logo firmy Kris Kringle – Montaż Oświetlenia Świątecznego, która parkowała w pobliżu domu Emersonów, dużej posiadłości dominującej nad wzgórzem.

– Za bardzo się z tym wyrywają – powiedziała automatycznie, bo myślami była przy sprawie. Nic jej nie obchodziło, jaką mają teraz porę roku.

Wspólnie weszli po szerokich frontowych schodach prowadzących do domu. Wokół barierki już owinięto światełka.

Martinez zadzwonił.

Przez chwilę nikt nie odpowiadał, a potem usłyszeli dźwięki w środku i drzwi się otworzyły. Stała w nich drobna Azjatka ze związanymi czarnymi włosami, w tunice i spodniach do jogi. Uchyliła drzwi tylko odrobinę. Settler podała jej swoje nazwisko i przedstawiła Martineza. Następnie pokazali jej swoje odznaki, które kobieta dokładnie przeczytała, zanim je zwróciła.

– Chcielibyśmy porozmawiać z Remmi Storm – wyjaśniła Settler.

– Nie ma jej tutaj. – Przez cały czas podejrzliwie na nich patrzyła.

– Ale mieszka tutaj? – upewniła się Settler, a uzyskawszy potwierdzenie, spytała: – Kiedy spodziewacie się jej powrotu?

– Niedługo.

– Jade, kto to? – zapytał żeński głos, przekrzykując jakiś hałas.

– Policja! – odpowiedziała Jade, odwracając się przez ramię.

Po chwili zjawiała się starsza kobieta na elektrycznym wózku inwalidzkim.

– Policja tutaj? O rany. – Miała na sobie dziergany sweterek i szare spodnie, pod krótkimi ufryzowanymi włosami lśniły kolczyki. Patrzyła na detektywów pytająco, ale bez podejrzliwości, ewidentnej u Jade. Czarno-pomarańczowy kot siedział wygodnie na jej kolanach.

Przedstawili się i ponownie pokazali swoje odznaki i legitymacje. Kobieta wpatrywała się w ich portfele, jakby były dawno zaginionymi, antycznymi zwojami zawierającymi tajemnice czasów. W końcu je oddała, usatysfakcjonowana tym, że odznaki są prawdziwe.

– Rozumiem, że przyjechaliście tu w sprawie służbowej?

Martinez potwierdził.

– Tego się obawiałam – powiedziała, wzdychając. – Cóż, wchodźcie, wchodźcie i zamknijcie za sobą drzwi, bo wpuszczacie zimno. – Zaprosiła ich do środka gestem dłoni, sama zwinnie zawracając na wózku.

– Czekał. – Settler poczuła dłoń na swoim ramieniu. – Wróciła – zauważył Martinez.

I rzeczywiście, jakiś samochód wjeżdżał na wolne miejsce na ulicy. Za kierownicą siedziała Remmi Storm, a na miejscu pasażera Noah Scott.

Odczekała, aż ci dwoje przebiegną przez deszcz i wbiegną na schody prowadzące na zadaszony ganek. Remmi już zadarła głowę i rozpoznała oficerów. Zauważyła też ich ponure miny.

– Macie złe wiadomości? – domyśliła się, gdy dotarła na ganek. – Już wiemy o Nedzie.

– Nie chodzi o niego – wyjaśniła Settler ze ściśniętym żołądkiem. Boże, nienawidziła tego. – Chodzi o pani matkę. Jej ciało zostało znalezione w Las Vegas na placu budowy.

– Słucham? – Remmi w jednej chwili zbladła. – Jesteście pewni? O Karen Uppgarde też wszyscy mówili, że to ona, a potem...

– Porównaliśmy jej uzębienie z kartami dentystycznymi – wtrącił Martinez.

– Przykro mi z powodu tej straty – powiedziała Settler i zauważyła, że pod kobietą niemal uginają się kolana. Prawdopodobnie by upadła, gdyby Noah Scott szybko nie objął jej ramieniem.

– Boże, Remmi – wyszeptał. – Tak mi przykro.

W jej oczach pojawiły się łzy, ale zamrugła, żeby się ich pozbyć.

– Mnie też. – A potem, jakby sądząc, że detektywi odejdą, nie mówiąc jej wszystkiego, co wiedzą, pociągnęła nosem i zaprosiła ich do siebie. – Wejdźcie do środka i powiedzcie mi, skąd o tym wiecie i co się wydarzyło.

Zszokowana Remmi na miękkich nogach weszła na korytarz, a za nią Noah. Po chwili opadła na kanapę Grety. Świat wirował i się rozpadał. Zawsze sądziła, że Didi żyje. Nieważne, co mówili wszyscy.

Była świadoma tego, że do pokoju wchodzi inni ludzie, ale głosy docierały do niej z oddali. Jedynym, na czym naprawdę mogła się skoncentrować, był fakt, że jej mama, kobieta, o której przez dwadzieścia lat nieustannie myślała, teraz nie żyje.

Jakaś mała część jej wciąż trzymała się wątłej nadziei, że kiedyś ponownie ujrzy Didi Storm, że jeszcze się spotkają. I to właśnie dobiegło końca, chyba że detektywi nie mieli racji. Uważała jednak, że Danielle Settler nie przyniosłaby jej tej przynębiającej informacji, gdyby nie była w stu procentach pewna.

Zamrugła. Ktoś, chyba Jade, wkładał chusteczki do jej rąk. Uświadomiła sobie wtedy, że po policzkach płyną jej łzy. Za nią siedział Noah i obejmował ją ramieniem. Wciąż miała na sobie mokrą od deszczu kurtkę, bo trochę zmokła, gdy wyszli samochodu i biegli do domu, gdzie dowiedzieli się, że jej mama nie żyje.

W jej głowie pojawiło się tysiąc wspomnień z dzieciństwa. Ale nie chciała teraz o nich myśleć. Nie w chwili gdy musiała wysłuchać prawdy i dowiedzieć się, co się wydarzyło.

– Wszystko w porządku? – wyszeptał Noah do jej ucha. Poczwała jego ciepły oddech na skórze.

Pokiwała głową. Wiedziała, że jest w stanie szoku, ale miała świadomość, że zaraz z tego wyjdzie. Dzisiaj nie różniło się tak bardzo od wczorajszego dnia, prawda? Już nigdy więcej nie zobaczy Didi. Ale nie widziała jej od bardzo, bardzo dawna, a teraz przynajmniej uzyska odpowiedzi na niektóre z pytań.

– Co się stało? – zapytała detektywów, a Greta poprosiła, żeby usiedli, i poleciła Jade, żeby przygotowała dla wszystkich kawę, herbatę lub „coś mocniejszego”. – Skąd wiecie, że to moja matka?

Detektywi opowiedzieli, że byli w Las Vegas, widzieli samochód, tablice rejestracyjne i ciało. Ponadto kobieta siedząca za kierownicą była w ubraniach Didi i miała jej dowód. Co najważniejsze, zgadzały się dane stomatologiczne.

– Naprawdę nie ma żadnych wątpliwości – oznajmiła Settler, siedząc na jednym z foteli.

– Mówiliście, że był tam fotelik dla dziecka? – Przygotowała się na najgorsze.

– Tak, taki, który można zamontować w samochodzie. Ale nie znaleźliśmy żadnego śladu dziecka ani żadnej innej osoby w aucie. Technicy dosłownie przeczesali je szczoteczką do zębów. Przeszukali też część bagażową i bagażnik. Zbadali całe wnętrze i nie znaleźli ani śladu dziecka, ani krwi innej niż ta, która znajdowała się w pobliżu kierowcy.

Przynajmniej to było pewną ulgą. Wyglądało na to, że Adam nie umarł w tym samochodzie. Ale nie oznaczało to, że przeżył, jedynie że nie został zabity razem z matką.

Była jednak szansa, że on i jego siostra żyją.

Nie rób sobie nadziei.

Czy po tylu latach w ogóle była w stanie w to uwierzyć?

– Gdzie została znaleziona? Gdzie jest ten plac budowy?

– Tuż za Las Vegas – wyjaśniła Settler. – Powstaje tam nowe osiedle mieszkaniowe. Ziemię kupiono kilka lat temu, ale firma, która była w jej posiadaniu wtedy, gdy zniknęła pani matka, nazywa się OH Industries. Jej właścicielem był Oliver Hedges. W tamtym okresie miasto jeszcze się tak bardzo nie rozrosło, więc ta ziemia znajdowała się dalej od zabudowań. Słyszała pani kiedykolwiek o OH Industries albo Oliverze Hedgesie?

– Nie. – Tego była pewna, ale i tak kręciło jej się w głowie na myśl o tym, że jej mama przez cały ten czas była martwa w samochodzie. Trudno w to uwierzyć. Czy była jakaś szansa, że się mylili? Miny detektywów oraz dowód w postaci karty dentystycznej sugerowały, że nie, ale Remmi nie do końca była przekonana.

– Chcę ją zobaczyć – rzuciła.

– O rany – westchnęła Greta i podjechała wózkiem bliżej baru.

– Ciało jest w stanie daleko posuniętego rozkładu – wyjaśniła Settler.

– Mimo to chcę ją zobaczyć.

Stojący koło okna Martinez, dodał:

– Zostały tylko kości. Sam szkielet. Może lepiej by było, gdyby pamiętała pani matkę taką, jaką była za życia?

– Muszę zobaczyć – upierała się Remmi. – Przynajmniej zdjęcie.

Martinez pokręcił głowę, ale Settler zaczynała się przekonywać do tego pomysłu.

– Dobrze. – Wyjęła telefon, znalazła zdjęcia i usiadła obok Remmi na kanapie. – Ale ostrzegam panią, to nie będzie ładny widok.

I miała rację. Fotografie przedstawiały samochód oraz przedmioty, które znaleziono w środku, w tym torebkę Didi, dawniej lśniącą, różową papierośnicę, oraz fotelik dziecięcy. Wszystkie te rzeczy wywoływały wspomnienia. Przerazały ją czerwono-brązowe plamy na siedzeniu kierowcy.

Mamo, co się stało?

Chyba musiała zrobić się blada, bo Settler, która pokazywała jej zdjęcia, zapytała:

– Chce pani oglądać dalej?

Nie.

– Tak. – Usłyszała swój głos. A potem aż się skuliła, widząc pierwsze ujęcie ciała. Przerazający szkielet z obscenicznym uśmiechem i czarnymi dziurami w miejscu nosa i oczu.

Ścisnęło ją w żołądku. Czy to potworne, makabryczne, rozłożone ciało naprawdę mogło należeć do niegdyś żywiołowej, pełnej życia kobiety? Kobiety, która tańczyła ze swoimi dziećmi, śmiała się, odrzucała głowę do tyłu z rozkoszy, a jednocześnie coś knuła, a nawet próbowała sprzedać swoje własne niemowlęta? Z trudem patrzyła na zdjęcie i wchłaniała makabryczny obraz. Skąd można mieć pewność, że... A potem to zauważyła. Dostrzegła małą niedoskonałość na jednym

z górnych kłów. Remmi pamiętała, że Didi, patrząc w lustro, przekrzywiła głowę i oglądała ten ząb.

– Będę musiała niedługo go naprawić – zarzekła się, widząc, że dziewięcioletnia Remmi patrzy na nią w lustrze. Ale oczywiście Didi nigdy nie poszła z nim do dentysty.

Przełknęła ślinę.

– To Didi – oznajmiła, biorąc się w garść i oddając telefon Settler. Ręka Noaha mocniej ją objęła. – Została zamordowana, prawda?

– Tak.

– Wobec tego trzeba znaleźć tego, kto to zrobił. Być może zechcecie zacząć od rozmowy z jej siostrą. – Musiała ugryźć się w język, żeby nie wygadać tego, co zobaczyli i usłyszeli za pomocą małej kamery szpiegowskiej.

– Verę Gibbs. Zamierzaliśmy pojechać do niej w następnej kolejności – zdradziła Settler.

– To dobrze – powiedziała z naciskiem Remmi.

ROZDZIAŁ 31

Oddalała się od domu Emersonów, nawigując po stromych uliczkach Mount Suro. Odniosła wrażenie, że zaczynają się zbliżać do rozwiązania. Że kawałki układanki trafiają na swoje miejsce. Ale koniec znajdował się jeszcze poza ich zasięgiem. Czuli się tak, jakby próbowała wetknąć puzzla w złą lukę. Musiała zmienić sposób myślenia i dowiedzieć się, o co chodzi.

Odnalezienie ciała Didi Storm było szczęśliwym trafem. Kto mógłby się spodziewać, że kiedy dwadzieścia lat po jej zniknięciu ukaże się książka na jej temat, odkryją również jej ciało?

A może ktoś to też zaplanował? W jaki sposób?

– Gotowy na nadgodziny? – zapytała Martinez, który znowu siedział na fotelu pasażera. Znowu padało, wręcz lało. Wycieraczki miały problem z usuwaniem wody z szyby. Światła miasta wydawały się rozmazane.

– Jasne, płacą mi za faktyczny czas pracy.

– A co z Marią i dziećmi?

Wzruszył ramionami.

– Są do tego przyzwyczajeni. – Zerknął na nią. – Poza tym zbliżają się święta, więc Maria ucieszy się z dodatkowej kasy.

– Wobec tego pojedźmy z wizytą do Gibbsów.

– Do Walnut Creek? Trochę nam to zajmie. – Zajrzał do swojej aplikacji drogowej. – No, jakieś czterdzieści pięć minut, może trochę mniej. Na osiemdziesiątce nie ma wielkiego ruchu. Ale jest raczej późno.

– Tym lepiej – rzuciła, ujmując mocniej kierownicę, gdy zbliżali się do mostu nad zatoką, którego przeszła i kable oświetlały tysiące LED-owych światełek. – Może zastaniemy tam całą rodzinę i uda nam się porozmawiać z Milem, Billym i Jensenem. Cztery w cenie jednego.

– Fantastycznie – prychnął.

– No pewnie. Wpisz w moją nawigację namiary na dom Gibbsów, a potem zainicjuj szukanie informacji o Morgan Investments i OH Industries.

– Oj, partnerko... Już to dawno zrobiłem. Poprosiłem Camp, żeby w tym po-grzebała.

Minę Camp, komputerową magiczkę ich wydziału.

– Ona znajdzie te informacje znacznie szybciej – dodał i wprowadził adres do GPS-u Dani. – Zanim skończymy z Gibbsami, dostarczy nam wszystko, co ma o OH Industries i Morgan Investments. Dodatkowo informacje będą posegrego-wane, przewiązane czerwoną wstążeczką i dołączone do maila. Sama zobaczysz.

– Wierzę ci. – Minęła dużą ciężarówkę wiozącą drzewka choinkowe. Dotarła do zjazdu na Walnut Creek i opuściła autostradę. Piętnaście minut później znaj-dowali się na ulicy, gdzie stał dom należący do Milla i Very Gibbsów. Gdy wje-chała na puste miejsce przed domem, z iPada Martineza dobiegł sygnał. Poli-cjant spojrzął na ekran.

– A nie mówiłem? Mamy już informacje od Miny Wspaniałej. – Otworzył za-łącznik i go przeskanował, a Settler zgasiła silnik. – Ja piernicę – zaklął pod no-sem.

– Co?

– OH Industries.

– Tak?

– Jest w posiadaniu Olivera Hodgesa, o czym wiemy, ale ten człowiek ma cie-kawą historię.

– Mów.

– Ma, nie, czekaj, miał dwóch synów. Olivera Hodgesa juniora, lub drugiego, który mówił o sobie OH dwa, oraz młodszego syna Brettta, który teraz ma pięć-dziesiąt pięć lat. Ten drugi syn, Oliver Hedges, który nazywa się OH dwa, przejął firmę, kiedy ojciec uległ jakiemuś wypadkowi. Nie jest napisane jakiemu. Staru-szek przeżył, ale OH dwa zmarł w wieku trzydziestu siedmiu lat.

– Na co?

– Już patrzę. – Przeglądał informacje. – Nie jest tu napisane. Finał jest taki, że starszek Hedges senior doszedł do siebie i powrócił za stery firmy. I jest jeszcze coś ciekawego. Obaj, ojciec i syn, mieli tę samą kobietę za żonę.

– Słucham? Ale chyba nie w tym samym czasie?

– No nie. OH dwa poślubił swoją o wiele młodszą od tatusia macochę Marilee McIver wkrótce po tym, gdy starszy Hedges został umieszczony w domu opieki i... – Zamilkł na chwilę, po czym zagwizdał. – Nie, nie. Mój błąd. To dopiero jest niespodzianka. Wiesz, kiedy zmarł młodszy Hedges? – Podrapał się po bródce,

nie odrywając wzroku od ekranu. – Niecały tydzień po tym, kiedy zgłoszono zaginięcie Didi Storm.

– Myślisz, że to zbieg okoliczności?

Parsknął śmiechem.

– To mało prawdopodobne.

– Musimy się dowiedzieć, na co zmarł młodszy Oliver Hedges. Czy z przyczyn naturalnych, czy też niezbyt naturalnych.

– Mina jeszcze sprawdza. – Postukał w ekran. – Ten raport to dopiero początek. Twierdzi, że później prześle ciąg dalszy.

– Dobrze. – Złapała za klamkę. – Przekonajmy się, co rodzina Gibbsów wie o Karen Upgarde, Nedzie i Trudie Crenshawach, Didi Storm, Oliverze Hedgesie seniorze i juniorze.

Greta nie dała się zbyć, dopóki nie dowiedziała się wszystkiego. Chciała znać szczegóły.

Remmi przekazała jej najnowsze informacje, najlepiej jak potrafiła, ale prawda była taka, że poza tym, że zyskała przekonanie o współdziale Very i zaakceptowała wiadomość o śmierci matki, nie miała zbyt wiele do powiedzenia. Nie wiedziała, kto zamordował Didi, Neda i Trudie. Czy była to ta sama osoba, a może za drugą zbrodnią stał ktoś inny? Wierzyła jednak, że ciotka Vera była w pewnym sensie zamieszana w sprawę, ale nie wiedziała, w jaki sposób. Podejrzewała, że jeden z jej wujów, a może obaj, mieli z tym coś wspólnego. Ale czy byli zabójcami, którzy mordowali z zimną krwią? Czy któryś z nich był odpowiedzialny za śmierć Didi i za ostatnie zabójstwa?

I co z Karen Upgarde? Co pchnęło ją do zrobienia ostatniego kroku, poprzedzającego upadek z dziewiętnastego piętra?

Tego wieczoru Remmi była zbyt wykończona, żeby omawiać teorie i spekulacje z Gretą. Starsza pani będzie musiała poczekać, chociaż przyszpiliła Remmi, kiedy Noah rozmawiał przez telefon, i zawołała ją do kuchni. Gdy tylko wyszły z salonu, Greta wyłączyła silnik swojego wózka i wyszeptała:

– Zakładam, że on wciąż tu jest.

– Wszystko stało się tak szybko. Zjawił się zeszłego wieczoru. Myślałam, że to jakiś intruz, ale... przekonał mnie, że nie.

Greta pytając uniosła brwi, ale Remmi nie rozwijała tego tematu ani nie próbowała wyjaśniać, że Noah spał na kanapie, że nie przespali się ze sobą. Bo to nie była sprawa starszej pani.

– Jest bardzo przystojny – zauważyła Greta.

– To prawda.

– Gdybym była dwadzieścia lat młodsza...

Remmi posłała jej pytające spojrzenie, ale ugryzła się w język.

– No cóż, może raczej trzydzieści lub czterdzieści... – ciągnęła staruszka. Po czym zauważyła uśmiech młodszej kobiety. – Na miłość Mike’a, Remmi, nie powiem przecież, że pięćdziesiąt! To pół wieku.

– Nic nie mówiłam.

– A ja mówię, że jesteś młoda i nikogo nie masz. On prawdopodobnie też, więc...

– Więc? – zapytała beznamiętnie.

Greta prychnęła.

– Celowo zachowujesz się, jakbyś była ograniczona.

– A ty celowo jesteś wścibska.

– Jest dość przystojny i wygląda, jakby... się w tobie zakochał.

– Spotkaliśmy się ponownie zaledwie dwadzieścia cztery godziny temu.

– No cóż, mnie zakochanie się w Duncanie na pewno nie zajęło aż dwudziestu czterech godzin. Jedno spojrzenie i pomyślałam: „To ten, z którym chcę się budzić każdego dnia”. I nigdy tego nie pożałowałam. On poczuł to samo. Po trzech miesiącach się zaręczyliśmy, a po sześciu byliśmy już małżeństwem. – Wysunęła brodę do przodu. – A więc nie truj mi tu na temat miłości.

– Ja trułam? – zapytała Remmi i roześmiała się, chyba po raz pierwszy tego dnia.

– Miałam takie wrażenie – odparła Greta z uśmiechem, po czym ujęła dłoń Remmi. – Przykro mi z powodu twojej mamy. Naprawdę mi przykro. Wiem, że miałaś nadzieję, że wciąż żyje. Widziałam to w tobie i nie obwiniam cię o to. To dla ciebie trudny dzień.

Remmi potaknęła. Nie wiedziała, jak ma odpowiedzieć, żeby się nie rozkleić.

– Ale chcę tylko ci przypomnieć, że jesteś młoda, masz przed sobą całe życie, a ten mężczyzna – wskazała palcem drzwi prowadzące do jadalni – się tobą interesuje. A więc daj mu szansę, to wszystko. – Ścisnęła dłoń Remmi, po czym odwróciła wózek w stronę jadalni i z warkotem silnika przejechała obok stołu.

Chociaż opowieść Grety była słodka, Remmi nie zamierzała się zakochiwać w ciągu jednego dnia. Nawet jeśli chodziło o chłopaka, za którym tęskniła od dwudziestu lat. Wtedy była dzieckiem, a teraz była dorosłą kobietą i miała nadzieję, że w międzyczasie przybyło jej trochę rozumu. Poza tym obecnie jej życie

było w stanie chaosu, wywróciło się do góry nogami. Właśnie dowiedziała się, że Didi nie żyje. Ludzie, których znała, umierali... Nie, to nie była dobra pora na zakochywanie się. Była zbuntowaną nastolatką, kiedy wyobrażała sobie, że zakochała się w Noahu Scotcie, niegrzecznym chłopcu, ale teraz stała się dorosłą kobietą.

A on jest mężczyzną, który naprostował swoje życie... i któremu chyba na tobie zależy?

– Zapomnij o tym – powiedziała sobie. Musiała zachować jasny umysł. Tak, śmierć Didi była niepodważalnym faktem. Ale jej siostra i brat, już prawie dorosli, wciąż mogli jeszcze żyć. Gdzieś. Musiała ich odnaleźć, jeśli to było możliwe.

Ruszyła w stronę schodów, kiedy usłyszała, że Noah kończy rozmowę telefoniczną. Greta pojechała w jego stronę, wobec czego Remmi zmieniła zdanie i weszła do salonu. Greta zatrzymała się koło regału, pochyliła się, żeby pogłaskać Ghosta, który ukrywał się na najniższej półce. To oczywiście się nie powiodło, bo Ghost, zgodnie ze swoją naturą, cicho syknął i uciekł z pokoju. Zniknął gdzieś w cieniu.

– Co za niegrzeczny kot – powiedziała Greta, a gdy podniosła wzrok, zobaczyła, że Noah się jej przygląda.

Zbliżyła się do niego.

– Słucham?

– Wózek – powiedział. A kiedy spojrzał na Remmi, dodał: – Ta kobieta, która była na zdjęciu. Tym, które wcześniej oglądaliśmy. Seneca Williams. – Zmrużył oczy, spojrzał w stronę korytarza, ale Remmi domyśliła się, że myśлами jest gdzieś indziej. Na chwilę zagubił się w jakimś wspomnieniu.

– Co z nią? – zapytała.

Pstryknął palcami.

– To dlatego rozmawiała z Ikiem.

– Kto to jest Ike? – zaciekała się Greta.

– Mój ojczym – odparł, po czym zwrócił się do Remmi. – Nie mogłem sobie przypomnieć, dlaczego Seneca przyjechała do warsztatu wuja.

– Mówiłeś, że rozmawiali o motorynce.

– Ale nie chodziło o nią. Był mechanikiem i naprawiał małe silniki i motocykle, potrafił zreperować różne rzeczy. A ona przyszła i zapytała, czy naprawi wózek inwalidzki, podobny do tego. – Wskazał wózek Grety. – Powiedziała, że pracuje w jakimś domu opieki i że muszą oddać do naprawy jakiś wózek elektryczny czy skuter. Ike ją odesłał, bo sam nie zajmował się takimi rzeczami, ale to była Seneca. Jestem tego pewien. Tylko że powiedziała, że ma na imię... Shelly... Nie,

Shawna! – Zamilkł i podrapał się po karku. – Shawna... Whitman! Właśnie tak, ponieważ pamiętam, że pomyślałem wtedy o masakrze Whitmanów. Poza tym byłem dzieckiem i jej imię brzmiało egzotycznie, jakby pochodziło od rodzimych Amerykanów. Skojarzyła mi się z szamanką.

Puls Remmi przyspieszył.

– Przypomniałeś sobie.

– Shawna Whitman jest Senecą Williams. – Zerwał się na nogi. – Teraz tylko musimy ją odnaleźć.

Światelko male mam,

Niech świeci dzisiaj nam...

W mózgu snajpera odezwała się znana melodia. Właśnie mocno zaciskał cienki sznur świątecznych lampek, który owinał wokół szyi robotnika. Mężczyzna szarpał się i walczył jak wściekłe zwierzę, ale był drobniejszy i starszy niż snajper, więc jego walka była skazana na porażkę. Zamachnął się jedną ręką do tyłu, próbując złapać snajpera za pokiereszowaną twarz. Bezskutecznie. Już wkrótce próbował wetknąć swoje krótkie grube palce między drucik a swoją tchawicę.

Na darmo.

Drucik wbijał się w skórę mężczyzny coraz głębiej i odcinał mu dopływ powietrza. Facet szarpał się, próbował zaczerpnąć tchu. Snajper z doświadczenia wiedział, że oczy tego człowieka już zaczynają wychodzić z orbit.

Zacisnął zęby i jeszcze bardziej zacisnął drut, aż stopy robotnika oderwały się od ziemi. Jego ofiara, nieszczęsny majster z firmy Krisa Kringle Montaż Oświetlenia Świątecznego, który został wynajęty do udekorowania domu Greta Emerson, przegrywał teraz bitwę. Jego szaleńcze próby wyswobodzenia się zaczynały słabnąć.

Chować się pod korcem? Nie!

Ponownie przekreślił drucik, aż przerwał skórę. Jego ofiara przestała się ruszać. Wreszcie. Noga snajpera pulsowała bólem wywołanym obciążeniem, które wziął na swoje uda, podnosząc mężczyznę.

Chyba już umarł. Ale nie należało ryzykować. Wciąż trzymał napięty drut, chociaż jego ofiara pozostawała bez ruchu.

Chować się pod korcem? Nie!

Niech świeci...

Po raz ostatni przekreślił drucik.

Zero walki. Zero odpowiedzi. Po prostu bezwładne ciało.

Mimo to snajper czekał. Jeśli nauczył się czegoś o zabijaniu na przykładzie Neda Crenshawa, musiał pamiętać, żeby nigdy nie zakładać, że ofiara nie żyje. Musiał sobie przypominać, że nie jest niepokonany. I że jego ofiara może się na niego rzucić z niemal nadludzką siłą.

Zatem trzymał mężczyznę nad ziemią. Jego własne udo pulsowało wściekłym bólem. Z ciemnego nieba lał deszcz, wiatr chłostał go bezlitośnie i szarpał gałęziami drzew i krzewów rosnących wokół domu Emersonów. Światelka świąteczne mrugały jasno na okapie i na dachu, ale snajper nie luzował chwytu, dopóki nie zyskał pewności, że mężczyzna, któremu chciał zabrać ubranie i klucze, na pewno, bez wątpienia, jest martwy.

Zyskawszy pewność, opuścił ofiarę na mokrą ziemię. Zamierzał przebrać się w kombinezon pracownika Kris Kringle, wziąć sznur światel i dzięki kluczom zyskać dostęp do podziemnego garażu i panelu elektrycznego. Zakradnie się do domu po wewnętrznych schodach, którymi dojdzie do mieszkania na drugim piętrze.

Najpierw jednak chciał wrzucić ciało na pakę firmowej furgonetki, a następnie, używając drabiny, zajrzeć przez okno do domu, żeby zorientować się w rozkładzie pomieszczeń. Powinno mu się to udać, nawet jeśli zostanie zauważony, bo było ciemno i ponuro. Nawet, gdy ktoś go zobaczy, nie będzie podejrzewał, że nie jest robotnikiem z firmy.

Ostrożnie przesunął martwą ofiarę na plandekę, którą trzymał w swoim SUV-ie.

Tak naprawdę nie miał nic przeciwko Remmi, oprócz tego, że była wścibska i wtrącała się w nie swoje sprawy. Zatem musiała zginąć. Nie mógł ryzykować, że podważy autentyczność książki lub zacznie upominać się o tantiemy lub wpływy z filmu.

A więc żegnaj, Remmi Storm.

Zarzucił sobie ciało na ramię niczym strażak, a potem ostrożnie, po cichu, schowawszy się za zasłoną deszczu, wyszedł na pustą ulicę i wsadził mężczyznę na pakę furgonetki firmy Kris Kringle. Było dość miejsca, żeby wejść do środka. Wobec tego również wskoczył pod dach. Uważając na zwoje światel, małe drabiny, staplery i tym podobne, zdjął z robotnika kombinezon. Rozebrał się i w ciasnocie, mimo okrutnie bolącej nogi, zasunął na sobie suwak źle dopasowanego kombinezonu. Nie leżał na nim zbyt dobrze, ale musiał wystarczyć. Gdy wyszedł na zewnątrz, ostrożnie zamknął tylne drzwi furgonetki, po czym wrócił do budynku, gdzie przestawił drabinę i wszedł po niej na górę, po drodze sprawdzając

wszystkie okna, żeby zorientować się, jak wygląda wnętrze domu Grety Emerson.

Nie sądził, że noga będzie go tak bardzo bolała. Ból promieniował od rany w udzie. Ale będzie musiał sobie jakoś dać radę.

Kiedy obejrzy dom, odjedzie na parę godzin furgonetką, a potem wróci. Gdyby ktoś wyjrzał na ulicę, zobaczyłby ten sam pojazd majstra, który od kilku dni w różnych porach parkował na ulicy. Zyskawszy pewność, że wszyscy w okolicy śpią, zakradnie się do domu i dokończy robotę.

Plan nie był stuprocentowo pewny, ale powinien się powieść.

Przyszła pora na to, żeby Remmi Storm dołączyła do swojej matki w wieczności.

ROZDZIAŁ 32

– Didi nie żyje? Na pewno? – wyszeptała Vera Gibbs, kładąc dłoń na ustach. Stała w drzwiach, od tyłu oblewało ją światło dochodzące z domu. Od detektywów oddzielały ją siatkowe drzwi. Otworzyła, gdy Settler zadzwoniła. Detektywi się przedstawili i pokazali legitymacje.

– Przykro nam z powodu pani straty – powiedziała Settler.

– Nie żyje? Znaleźliście ją? Po takim czasie. Nie wierzę. – Odwróciła głowę i zawołała przez ramię: – Policja. Znaleźli twoją ciotkę. – Za nią pojawił się wysoki, dwudziestokilkuletni mężczyzna. – Mówią, że Didi nie żyje – wyszeptała Vera. I chociaż wyglądała na nieco wstrząśniętą, nie rozkleiła się.

– Lepiej wejdźcie. – Jensen otworzył siatkowe drzwi, a oni wkroczyli do środka. – Jestem Jensen, syn Very – przedstawił się. – Proszę, siadajcie. – Wskazał drogę do salonu. Vera od razu zajęła fotel bujany. Jensen stanął pomiędzy salonem a otwartą jadalnią, krzyżując ręce na piersi. – Co się stało? – zapytał.

Martinez na zmianę z Settler opowiedzieli o znalezieniu ciała w samochodzie na pustyni, zapewnili, że to na pewno Didi i że nie żyła od dwudziestu lat, po tym jak została zamordowana.

– Zamordowana – powtórzyła Vera. – Raczej mnie to nie dziwi, ale kto by... – Nie dokończyła tego pytania.

Settler zauważyła, że chociaż była zaskoczona i najwyraźniej przetwarzała tę informację, na pewno nie było jej smutno z powodu nagłej śmierci siostry. Jensen przecesał dłońią krótko obcięte, jasne włosy. Odwrócił krzesło i usiadł na nim okrakiem, podczas gdy Settler i Martinez, zachęceni przez niego, zajęli miejsca na przeciwnych krańcach kanapy, pamiętającej lepsze czasy. Fotel stojący przodem do telewizora z płaskim ekranem pozostał pusty. Fotel Miła, pomyślała Settler.

– Czy pani mąż jest w domu? – zapytał Martinez.

Vera pokręciła głową.

– Pracuje.

Jensen wyjaśnił:

– Jest tylko mama, ja i mój syn, który śpi. – Rozpromienił się nieco na wspomnienie syna, ale potem dodał: – Tata jest w drodze. Pracuje jako sprzedawca. Handluje sprzętem rolniczym. A wujek Bill, który zajmuje mieszkanie przerebione z garażu, też wyjechał. Nie ma go już od kilku dni. Zrobił sobie wakacje. – Zamilkł, potem spojrzął na matkę. – Wiecie, rozmawialiśmy z mamą o tym, żeby się do was odezwać. Nie jesteście pierwszymi osobami, które się dzisiaj zjawily. – Opowiedział o niespodziewanym najściu Remmi Storm i Noaha Scotta. Gdy mówił, Vera zdawała się coraz bardziej kurczyć.

Chociaż Settler poczuła irytację, dowiadując się o tym, że Remmi i Noah Scott już tu byli i nie raczyli o tym wspomnieć, zdołała jakoś utrzymać neutralny wyraz twarzy. Dlaczego ludzie nie mogli zostawić dochodzeń śledczych policji?

– Wyjechali kilka godzin temu – skończył Jensen, patrząc na matkę, która dosłownie zlewała się ze zniszczonymi poduchami wyściełającymi bujany fotel. – Mamo? – zachęcił ją do zabrania głosu.

– Och, nie... to nie jest dobra pora. – Pokręciła głową.

– Nigdy nie będzie właściwej pory, mamo, i dobrze o tym wiesz. Zatem, jeśli ty im nie powiesz, to ja to zrobię. A przynajmniej powiem im to, co wiem. – Skupił swoją uwagę na detektywach. – Słuchajcie, jako dzieciak robiłem dużo złych rzeczy, z których teraz nie jestem dumny.

Jego matka pogardliwie prychnęła.

– Nawet okradłem swoją kuzynkę.

– Dlaczego jej o tym nie powiedziałeś? – wtrąciła Vera. – Miałeś dzisiaj szansę.

– Powiem. I oddam jej te pieniądze – obiecał Jensen. – Teraz jestem ojcem i muszę dawać dobry przykład mojemu dziecku. Ale to nie ma nic wspólnego z mną. – Ponownie spojrzął na matkę. – Mamo?

Posłała synowi wściekłe spojrzenie, ale mężczyzna nie odpuszczał.

– Rozmawialiśmy o tym. Powiedziałaś, że musisz zachować się właściwie. Tak jak dobra chrześcijanka.

Zapadła między nimi cisza. Po kilku sekundach Settler uznała, że Vera się nie unie, ale w końcu kobieta głośno i przeciągle westchnęła.

– Dobrze. – Biorąc się w garść, spojrziała na oficerów. Jej szpiczasta broda nieco wysunęła się do przodu. – Wydaje mi się, tak sędzę, że mój mąż może być zamieszany w coś złego.

– Co ma pani na myśli? – zapytała Settler.

– Nie wiem do końca – wyznała Vera, kołysząc się powoli i dotykając krzyża na szyi. Pokój był ponury, światła przygaszone.

– Mamo – ponaglał ją Jensen. – Wiesz, że kłamstwo jest grzechem, a co gorsza...

– Przestań mnie pouczać! – Uniosła rękę. Jej usta poruszały się bezgłośnie, jakby coś sobie tłumaczyła lub się modliła. Biorąc pod uwagę wszystkie wizerunki Jezusa w pokoju oraz wielką Biblię otwartą na stole jadalnianym, to drugie wydawało się bardziej prawdopodobne. – Milo to dobry człowiek – wyszeptała.

– Co zrobił? – zapytał Martinez.

– Nie wiem, czy zrobił cokolwiek. Nie jestem pewna, wydaje mi się, ale nie wiem na pewno... Podejrzewam, że miał jakiś związek ze śmiercią tej biednej kobiety. – Zamrugła i spuściła wzrok.

– Czyją śmiercią? – dopytywała Settler.

– Karen Upgarde. Tej kobiety, którą wynajęliśmy, żeby przebrała się za Didi.

– Wynajęliście ją? – zapytała Dani. – Po co?

Vera wykręcała palce, mówiła roztrzęsionym głosem.

– Dla reklamy. Żeby lepiej sprzedać książkę.

– *Nie jestem sobą?* Historię Didi? – wtrącił Martinez, zanim zareagowała Settler. Potaknęła.

– To był mój pomysł. Myślałam, że dzięki temu wzrośnie zainteresowanie książką. Chodziło to, żeby Didi zaczęła się pojawiać w różnych miejscach, podobnie jak Elvis. Wydawało mi się, że to dobry pomysł. – Zerknęła na Settler. – Nie miała umrzeć!

– To co tam się stało? – zapytał Martinez dosłownie w tej samej chwili, gdy Dani zadała swoje pytanie:

– Czy zorganizowaliście to za wiedzą Trudie Crenshaw?

– Trudie wiedziała. Miała nawet kilka rzeczy należących do Edie, czyli do Didi. Była z nią blisko, kiedy obie mieszkały w Las Vegas. I czasami Didi spędzała noce u Trudie, jeśli była zbyt pijana lub najarana, żeby jechać do domu, lub gdy pokłóciła się z ówczesnym chłopakiem. – Vera z niesmakiem wykrzywiła usta.

– Ned Crenshaw też o tym wiedział? – zapytała Dani.

– Tak, on też był częścią tego projektu. Był pierwszym mężem Edie.

– A Trudie, jego druga żona, była autorką – uściślił Martinez.

– Czyim pomysłem była ta książka? – zapytała Dani, ale podejrzewała, że już zna odpowiedź.

– Moim – odparła Vera z odrobiną dumy, ale po chwili oklapła. – Trudie była lepszą pisarką, a ja nie chciałam, żeby ktokolwiek wiedział, że jestem związana

z tą książką. Jestem szanowaną członkinią mojego Kościoła... – Pokręciła głową i pociągnęła nosem. – Gdyby ktokolwiek się dowiedział, kim jest Maryanne Osgoode, lepiej, żebym to nie była ja. Próbowałam sprzedać ten pomysł wiele lat temu, ale nic się wtedy nie wydarzyło. A Trudie знаła tę agentkę z dojsciem do wydawcy w Stumpton, który kupił od nas książkę. Zaliczka była niewielka. Wydawca sądził, że poza kilkoma czytelnikami ześwirowanymi na punkcie kryminałów nikt jej nie kupi. Wobec tego postanowiliśmy wzbudzić większe zainteresowanie. Jako że nikt nie wiedział, czy Didi żyje, uznaliśmy, że warto oprzeć na tym reklamę. – Spojrzała na Settler, jakby spodziewała się, że detektyw zrozumie. – Jedynym sposobem na zarobienie na książce było podbicie jej sprzedaży.

– Jak znaleźliście Karen Upgarde? – zapytała Dani.

– Milo widział ją w jakimś barze w okolicy Seattle. Poszedł tam na piwo, a ona występowała na scenie. Pomyślał, że przypomina Edie. Miał rację, z odpowiednim makijażem, peruką i w sukience mogła się za nią podawać. Ponadto okazało się też, że potrzebuje pieniędzy. No cóż, kto ich nie potrzebuje? Wobec tego dobili targu. – Zaczęły jej drżeć usta i głośno przelknęła ślinę. – Miała tylko przejść przez tłum. Żywiliśmy nadzieję, że ktoś ją zobaczy, komuś wpadnie oko. Didi Storm nie była aż tak rozpoznawalna, ale Marilyn Monroe już tak.

– Jak zamierzaliście sprawić, aby ludzie sądzili, że tak naprawdę naśladuje Didi, a nie Marilyn? – zapytał Martinez.

– Dopiero co wyszła książka. Sądziliśmy, że jeśli wezwiemy dziennikarzy, no wiecie, skierujemy na to ich uwagę, ktoś zainteresuje się tym, co stało się z Didi. Ale Karen nie miała popełnić samobójstwa. Nie, nie, nie! Chodziło o taką zgadywanekę. Miała się pokazać w centrum handlowym albo w barze, a może przejść przez hotel. Jest okres przedświąteczny, wszędzie są kamery telewizyjne i filmują różne wydarzenia. Karen miała się tylko pokazać. A jedno z nas anonimowo miało zawiadomić stacje telewizyjne i powiedzieć, że według nas widzieliśmy Didi Storm, sądzimy, że to ona, ze względu na jej dłonie. Chodziło o paznokcie, które Edie zawsze malowała tak, że jeden odróżniał się od wszystkich pozostałych. – Vera położyła palec na swoich drżących ustach. – Liczyliśmy na to, że uda nam się dzięki temu zarobić więcej pieniędzy.

– Chcieliście się dorobić na zniknięciu pani siostry?

– Nie wiedziałam, że naprawdę nie żyje. Spodziewałam się tego, oczywiście, ale cóż, uznałam, że Edwina jest mi to winna. – Spojrzała na Dani, nie kryjąc się już z głęboko zakorzenioną zazdrością, wściekłością i wyższością moralną.

Oto i jest, pomyślała Dani, prawdziwy motyw.

Vera ciągnęła:

– Zналиśmy moją siostrę jako Edie, co było skrótem od Edwiny. Nigdy się ze sobą nie dogadywałyśmy. Zawsze zwracała na siebie uwagę. Edie sądziła, że świat kręci się wokół niej. Nawet gdy była dzieckiem. Była piękna – dodała z przekąsem. – I oczywiście przyciągała spojrzenia każdego chłopca w szkole. Ale robiła okropne rzeczy, paliła, piła, jestem przekonana, że brała narkotyki. Tylko po to, żeby się dobrze zabawić. Była najbardziej rozwiazłą dziewczyną, jaką znałam. Zostałyśmy wychowane przez rodziców w wartościach chrześcijańskich, ale Edie jakby to nie dotyczyło. – Zerknęła na swojego syna, który w ciszy przysłuchiwał się temu, co matka mówi o swojej siostrze. – Wiesz, że nawet chodziła z twoim ojcem? Milo i ja byliśmy wtedy już prawie zaręczeni, a ona i on... – Wzdrygnęła się. – No cóż. Trwało to krótko, a on mnie ublażał, żebym do niego wróciła, dosłownie mnie błagał. Wobec tego mu przebaczyłam i niedługo potem wzięliśmy ślub i wyprowadzaliśmy się z Anderstown.

Dani w duchu wątpiła w to, że uganiający się za spódniczkami Milo kiedykolwiek uzyskał pełne przebaczenie, ale zatrzymała tę myśl dla siebie.

– Uważa pani, że pani mąż mógł zrobić coś złego – przypomniał jej Martinez.

– Cóż, tak... ale... Nie wiem na pewno. Jednak... – Znowu zerknęła na swojego syna, szukając w nim wsparcia, a Jensen poważnie pokiwał głową. Vera ściągnęła razem brwi, zmarszczki na jej czole się pogłębiły, usta wygięły w dół. – Moja przyjaciółka była w San Francisco tego dnia, kiedy skoczyła Karen, a... Milo miał wtedy być we wschodnim Oregonie, żeby sprzedawać tam snopowiazalki, traktory i inne rzeczy. Chciałam się upewnić, że był w miejscu, w którym powinien być, wobec czego sprawdziłam to u kilku sprzedawców sprzętu w Bend, Prineville i Baker City znajdujących się na trasie Mila. – Nieświadoma, że to robi, zaczęła wykręcać dłonie. – I nikt go tam nie widział. Wobec tego sprawdziłam nieco dalej na wschód od Idaho, ale nie, w Waszyngtonie też go nie było. Wszędzie, gdzie dzwoniłam, mówili, że ma być dopiero w kolejnym miesiącu albo za dwa tygodnie. Przekonałam się, że mnie okłamał, a potem... – Szybko zamrugła i zrobiła jeszcze bardziej zbolaną minę. – Sprawdziłam jego komórkę. Z całą pewnością był wtedy w San Francisco.

– Sądzi pani, że był z Karen Upgarde? – zapytała Settler.

– Nie wiem. Ale raz rzeczywiście powiedział mi, że ta kobieta jest niestabilna, że próbowała popełnić samobójstwo czy coś w tym stylu. No i wiecie... przy odpowiedniej zachęcie. O słodki Jezu! – Założyła kosmyk włosów za ucho i dodała: – Sądziłam, że żartuje. Że tylko się tak wygłupia.

– A teraz? – Dalej ciągnęła ją za język.

– Nie wiem. Znaleźliśmy się w kiepskiej sytuacji. Mamy dużo rachunków do opłacenia i zapłaciliśmy dużo pieniędzy Karen, żeby wcieliła się w Didi, więc... Nie wiem, co mam myśleć. Ponadto... – Zacięła powieki. – Po prostu wiem, że ponownie mnie okłamał. Podobnie jak wtedy, gdy byłam w college’u, a on mnie zdradził.

– Wie pani, gdzie był, kiedy zabito Neda i Trudie Crenshawów? – zapytał Martinez.

– Nie – odpowiedziała słabym głosem. – Ale kiedy zadzwoniłam i rozmawialiśmy o tym, stwierdził, że po ich śmierci wszystkie tantiemy za książkę przypadną mnie.

– Czy posiada własny karabin? – ciągnął przesłuchanie Martinez.

Nie odpowiedziała od razu. Wydawało się, że jest gdzieś daleko, więc Martinez powtórzył pytanie.

Potaknęła i powiedziała:

– O tak, tak. Nawet kilka – przyznała. – Jeździ... na polowania.

Settler znowu poczuła to delikatne mrowienie. To było to.

– Czy broń jest tutaj?

Vera pokręciła głową.

– Zawsze wozi ją ze sobą.

– Ojciec ma sokoli wzrok – wtrącił Jensen. – Na dowód tego trzyma różne myśliwskiego trofea. Czasami nawet mówi o sobie, że jest snajperem.

– Idź spać. – Noah znajdował się w pozycji półleżącej na kanapie. Jego komputer stał na ławie. Kiedy poszli na górę, włączyli kamerę szpiegowską i sprawdzili jej pamięć, ale oglądanie nagrania nic nie wniosło. Gdy Vera podniosła dziecko i wykonała z nim taniec, posprzątała ze stołu w jadalni, co oznaczało, że wsadziła okulary do szuflady. Na ekranie wyświetlała się jedynie ciemność.

Podłączywszy swojego laptopa do Internetu, Noah bezprzewodowo połączył się z iPada Remmi z Emmą, swoją asystentką, która, jak się okazało, chyba nigdy nie spała.

Remmi siedziała obok Noaha, rzuciwszy na niego nogi.

– Nie idę jeszcze spać. Jestem zbyt nakręcona. – Byli zbyt blisko znalezienia odpowiedzi na pytania, które prześladowały ją przez całe życie. Chociaż była

zmęczona i emocjonalnie wyżęta, nie mogła tak po prostu iść do łóżka i się wyłączyć, ponieważ jej umysł nie zwalniał obrotów.

Noah rozmawiał z Emmą na FaceTime. Jego współpracownica była ładną i żywiołą dwudziestokilkulatką, miała rozpuszczone, sięgające ramion, brązowe włosy. Emma Yardley przygryzała dolną wargę w chwilach koncentracji. Miała też orzechowe oczy, ostre rysy i piegi, których nie przykrywała żadnym makijażem. Patrzyła na nich z ekranu, kiedy nie zajmowała się pozostałymi komputerami. Według Noaha otaczała się elektroniką.

Kątem oka Remmi zobaczyła, że do pokoju wchodzi Romeo, przeciąga się, po czym wskakuje na podłokietnik kanapy. Zawołała kota, klepiąc puste miejsce na kanapie obok siebie. On jednak wskoczył na oparcie kanapy poza zasięgiem jej rąk.

– Tu mamy coś ciekawego – powiedziała Emma, a Remmi wychyliła się, żeby lepiej widzieć ekran. – Oliver Hedges senior miał poważny wypadek na nartach, który odbił się na jego zdrowiu. Stracił część śledziony, połamał żebra i nogi, miał przebite płuco i poobijany kręgosłup. Z tego, co widzę, na jakiś czas jakby się poddał i trafił do domu opieki o nazwie Fair Heaven Retirement Center. To taka instytucja, która ma stopniowaną skalę opieki w zależności od potrzeb danej osoby. Zapewniają możliwość samodzielnego życia aż po całodobową opiekę pielęgniarstwa. Wiecie, co mam na myśli?

– Tak. – Noah kiwnął głową.

– A więc Hedges był na najwyższej skali w kwestii opieki. Nie mógł chodzić i prawie nie mówił. Nie był wtedy jeszcze taki stary, miał tylko sześćdziesiąt jeden lat. Po wypadku najpierw trafił do szpitala, a potem do domu opieki. Wszystko zdołano wyleczyć oprócz kręgosłupa. Długoterminowa diagnoza mówiła, że prawdopodobnie nigdy już nie będzie chodził. Wobec tego jego młoda druga żona umieściła go w domu opieki. I widocznie nie podobała jej się rola żony inwalidy, bo w ciągu sześciu miesięcy doprowadziła do rozwodu, a potem wyszła za jego syna, Hedgesa drugiego.

– OH dwa – zauważył Noah.

– Tak, rzeczywiście. Ale mam tutaj jeszcze coś na ten temat. Wygląda na to, że Marilee na studiach była dziewczyną OH dwa, dzięki czemu poznała jego ojca, OH jeden, który był wówczas singlem, bo już rozwiódł się z matką swoich synów. Między Marilee i OH jeden klika i laska rzuca chłopaka dla jego bogatego tatusia. Jednak po wypadku i niepozostawiającej złudzeń diagnozie żona rzuca się w ramiona byłego chłopaka. I to by było tyle, jeśli chodzi o „dopóki śmierć nas nie

rozłączy”. – Emma uniosła palec. – Ta historia tak się nie kończy, ponieważ starszuszki w domu opieki, Oliver Hedges pierwszy, ponownie odnajduje miłość.

– Słucham? – zdziwił się Noah.

– W domu opieki? W jego stanie? Jakie miał na to szanse? Ale to prawda, doszedł do siebie na tyle, żeby ponownie stanąć na czele firmy i się ożenić.

Remmi tylko gapiała się w ekran.

– Z kim?

– A więc tutaj zjawia się wasza Shawna Whitman.

– Seneca – wyszeptała Remmi, czując, że rośnie jej puls. – Jak?

– Shawna Whitman, czyli Seneca Williams, była jedną z pielęgniarek w domu opieki i zajmowała się tylko Hedgesem seniorem. Chyba możemy powiedzieć, że przywróciła mu wolę do życia i jego stan zaczął się poprawiać.

Remmi nie mogła w to uwierzyć. Po całym tym czasie?

– Dlaczego chowała się za zmienionym nazwiskiem?

– Okazuje się, że Shawna nie miała licencji położnej. Nigdy nie złożyła dokumentów w urzędzie. Robiła to na boku. Tak naprawdę była pomocnicą pielęgniarki.

Gdy Emma opowiadała, Noah pisał coś na laptopie. Wyglądało na to, że sprawdza informacje na temat OH Industries. Wszedł na stronę prezentującą zarząd firmy i powiększył zdjęcia przedstawiające najważniejsze osoby. Na ich czele stał Oliver Hedges. Emma mówiła dalej:

– Pamiętajcie, że wspominałam, że miał dwóch synów. OH dwa, który umarł w wieku trzydziestu siedmiu lat, i jego młodszego brata Bretta? Cóż, OH jeden ma także dwudziestojednoletnią córkę. Ma na imię Kayla.

– Ariel – powiedziała Remmi. Oderwała wzrok od ekranu i spojrzała na Noaha. – To Ariel. Nie jest jego córką, chociaż on tak twierdzi. Ariel jest jego wnuczką!

Noah szybko wyszukał w Google Kaylę Hedges. Pojawiły się jej zdjęcia od czasu dzieciństwa, gdy pozowała z ojcem, przez okres nastoletni, gdy miała patykowate ciało, które potem zmieniło się w młodą kobietę, szczuplejszą i młodszą wersję Didi. Miała nawet jej tajemniczy uśmiech.

Remmi cicho krzyknęła. W jej oczach pojawiły się łzy.

– Ona żyje – wyszeptała. Tego samego dnia, gdy dowiedziała się, że jej matka na pewno została zamordowana, dowiedziała się też, że jej siostra przeżyła. – Czy wspomina gdzieś o synu w tym samym wieku? – zapytała, ocierając łzy.

– Sprawdźmy. – Palce Noaha śmigały po klawiaturze.

– Tak. Kyle. Wygooglujcie go sobie – dodała Emma.

Noah zaraz to zrobił. Pojawiło się kilka zdjęć chłopaka. Patrząc na szczupłego, wysokiego nastolatka z jasnymi jak słoma włosami i gburowatym wyrazem twarzy, Remmi aż się zatchnęła.

– On wygląda jak Jensen, kiedy był w jego wieku.

– Przecież są kuzynami – zauważył Noah.

– Wygląda na to, że Kayla i Kyle uczęszczają na uniwersytet w Las Vegas – dodała Emma. – Rodzinny dom Hedgesów też wciąż znajduje się w Vegas.

– Skąd masz te informacje? – zapytała Remmi.

Noah ani Emma nie odpowiedzieli, ale odpowiedź była oczywista – dzięki umiejętnościom hakerskim.

– Chcę się z nimi spotkać – powiedziała Remmi, przypominając sobie ostatni raz, kiedy widziała swoje rodzeństwo. Byli wtedy niemowlakami, jechali na pustynię nieświadomi dziwnego losu, który przypadnie im w udziale.

– Spotkamy się – obiecał Noah.

Remmi pokręciła głową.

– Chcę się z nimi spotkać najszybciej, jak to możliwe, nawet dzisiaj. Są albo na uniwersytecie, albo w domu. Las Vegas nie jest aż tak daleko.

– Jutro – uspokoił ją, zerkając na okno, gdzie deszcz moczył szyby. – Wstaniemy wcześniej rano.

Nie satysfakcjonowała jej ta odpowiedź. Odezwał się w niej przymus działania powstrzymany przez dwadzieścia lat życia w niewiedzy. Teraz znalazła się tak blisko nie tylko odpowiedzi na pytania, które zatruwały jej życie, ale także ponownego spotkania z rodzeństwem.

– Mogą nie chcieć się z tobą spotkać. Albo nie będą chcieli ci uwierzyć. Chcesz wyrzucić ich życie do góry nogami, zmienić wszystko, co o sobie wiedzą. Prawda o Didi wcale nie jest przyjemna.

– Wiem, ale muszę ich poznać – powiedziała. – Są kluczem do tego, co stało się z moją i ich matką.

Pomyślał o tym przez chwilę, następnie pokiwał głową i z powrotem spojrzął na monitor komputera.

– Okej, będziemy kończyć, Em. Dziękuję, że wychodziłaś te informacje.

– Raczej je wystukałam – poprawiła, machając palcami przed kamerą. – Nie ma za co i dobrej nocy, a raczej poranka. – Gdy się rozłączyła, Noah sięgnął ręką do lampki stojącej na bocznym stoliku i wyłączył światło, a wtedy w salonie zapadł półmrok, rozświetlany tylko blaskiem ekranu komputera.

– Musisz iść spać – powiedział, odgarniając jej włosy z czoła. – Za nami długi dzień.

Przyciągnął ją bliżej. Leżeli teraz obok siebie na kanapie, podparci o poduszki.

– Nie chcę – zaproponowała, ale ziewnęła i położyła głowę na jego piersi.

– Jest późno. – Objął ją mocniej, jego ciało było ciepłe, słyszała bicie jego serca. Było jej tak dobrze, tak bezpiecznie, gdy przy nim leżała.

– Dobrze, pójdę – odparła, zamykając oczy i czując, że jej umysł zaczyna spowalniać. – Za chwilę.

– Nie musisz się spieszyć – wyszeptał i pocałował ją w czubek głowy.

– Dobrze – odpowiedziała, ale już zaczął ogarniać ją sen.

ROZDZIAŁ 33

Dom był ciemny i cichy.

W oknach nie było już nawet widać poblasku telewizora i monitora komputera. Tylko światełka świąteczne mrugające do wczesnych godzin porannych, ich żarówki lśniły za kurtyną nieustającego deszczu.

Snajper, jak myślał o sobie Milo Gibbs, obserwował duży dom jeszcze przez pięć minut. W środku nikt się nie poruszał.

Czas przystąpić do akcji.

Przeklinając pod nosem, że zostawił noktowizor w samochodzie, włożył świeżą parę rękawiczek chirurgicznych, na tyle opinających dłoń, żeby bez problemu czuć spust broni.

Zadowolony w tej kwestii, wszedł do środka przez okno w podziemnym garażu, które uchylił, kiedy majster pracował przy panelu elektrycznym umieszczonym na tylnej ścianie. Przez drzwi łączące garaż z domem wszedł do piwnicy, minął stojące tam pralkę i suszarkę, po czym dotarł do schodów. Tam się zatrzymał i nasłuchiwał dźwięków dochodzących z trzypiętrowego budynku wznoszącego się nad nim.

Nic.

W domu było cicho, słychać było tylko szum pieca, a gdy dotarł na parter, buczenie lodówki, tykanie zegara i rytmiczne pochrapywanie starszej pani, która, jak już wiedział, zajmowała sypialnię na parterze. Azjatycka opiekunka wciąż znajdowała się w mniejszym pokoju tuż obok, gdzie jak przypuszczał, spędzała noce, na wypadek gdyby starsza pani jej potrzebowała.

To był pewien problem. Spokojnie, da sobie z nim radę.

Większym problemem był mężczyzna, Noah Scott.

Noah spędził tu poprzednią noc. I teraz też tu przebywał, co snajper uznał za pecha. Ale przecież już kończył mu się czas. Oboje pojechali do jego domu. Węszyli tam i próbowali wzbudzić w Verze poczucie winy i zmusić ją do mówienia.

Dotarł do tylnych schodów, mijając puste pierwsze piętro. Obserwował dom i uznał, że nikt nie przebywa na piętrze przeznaczonym dla gości, co według

niego było dobrym znakiem. Więcej przestrzeni i izolacja pomiędzy parterem a drugim piętrzem.

Jego plan był prosty. Z tłumikiem na pistolecie zakradnie się do sypialni Remmi Storm. Najpierw zastrzelili mężczyznę, ponieważ prawdopodobnie jest silniejszy i mógłby go obezwładnić. Następnie wymierzy w Remmi i strzeli. Na myśl o jej zabiciu odczuwał lekkie wahanie, które jednak szybko minęło. Zrobi to, co trzeba. Remmi stanowiła problem.

Pif-paf i do widzenia. Gładko jak po maśle. Wyjdzie zewnętrznymi schodami i odjedzie furgonetką Krisa Kringle, którą potem porzuci gdzieś na wybrzeżu. Stopem podjedzie na najbliższą stację kolejową, wsiądzie do pierwszego pociągu i dotrze na miejsce, gdzie zaparkował swojego SUV-a.

Jedyną realną przeszkodą był Noah Scott. Był niewiadomą i oczywiście problem stanowiła jego własna cholerna noga, która bolała jak skurwysyn. Miał nadzieję, że rana się wygoi. Chociaż zajął się nią, jak trzeba, wciąż istniało ryzyko infekcji, zwłaszcza że zatrzymał się w norze w Bayside, której nie pomogłoby już żadne sprzątanie. Jedynym sposobem na pozbycie się stamtąd brudu było puszczenie całości z ogniem.

Gdy o tym fantazjował, poczuł, że robi mu się cieplej.

Z przyjemnością rozlałby benzynę i podłożył ogień, który zmieniłby ten zapchlony motel w kulę ognia sięgającą nieba.

Ale jeszcze nie teraz.

Tej nocy miał inne zadanie do wykonania.

Musiał się skoncentrować i nie zwracać uwagi na pulsowanie w mięśniach uda, gdy cicho skradał się po schodach.

Niedługo pokona wszelkie przeciwności.

No chyba że Vera się wygadała.

To go niepokoiło. Jej wartości chrześcijańskie zawsze stały w sprzeczności z jej praktycznością. Ale w końcu wszystko zrozumie.

Musi.

Jeśli oboje mieli przeżyć.

Jeśli nie, nią też się będzie musiał zająć. Owszem, była jego żoną, matką jego synów. To prawda, że w pewnym momencie sądził, że ją kocha. Ale to było wiele lat temu. Zanim zaczęła go dręczyć, wytykać palcem i przypominać mu wszystkie błędy młodości. Nie znał sposobu na odpokutowanie swoich grzechów. Nie pomoże nawet to, co teraz planował. Nawet to nie powstrzyma ciągłych oskarżeń i wyrzutów, że nigdy nie spełnił jej niemożliwych do spełnienia oczekiwań.

Jego największym i niewybaczalnym grzechem było uwiedzenie jej siostry, Edie. Kto by pomyślał, że kilka tygodni namiętności zmieni się w przekleństwo całego ich wspólnego życia?

Teraz jednak nie miał czasu na takie rozmyślenia.

Musiał się skoncentrować, bo zależało mu na precyzji.

Zatrzymał się i nasłuchiwał na półpiętrze pomiędzy pierwszym a drugim piętrem.

Czyżby usłyszał jakiś dźwięk dochodzący z dołu?

Jakiś ruch? Jakies zakłócenie spokoju? A może tylko mu się wydawało?

Czekał.

Nie słyszał niczego oprócz własnego oddechu i szumu krwi w uszach wzmagającego się od adrenaliny uwalniającej się do jego żył. Nikt inny nie chodził po domu.

Bezdzwięcznie wysunął pistolet z kieszeni kurtki. Następnie z drugiej kieszeni wyjął tłumik i zamontował go na lufie. Rozległo się ciche kliknięcie, ale dźwięk był ledwie słyszalny. Upewnił się, że ma pełny magazynek, i zaczął pokonywać ostatni odcinek schodów prowadzących na pogrążone w ciemności najwyższe piętro.

Pochylił się, bo nie chciał, aby jego głowa wystawała ponad barierkę. Ale, tak jak się spodziewał, nikt go nie zaskoczył.

Dobrze.

Z większą pewnością siebie wszedł na najwyższe piętro, prowadzony rzucającym nikły blask nocnym oświetleniem i mapą, którą stworzył w swojej głowie. Po zabiciu robotnika wspiał się na drabinę i zajrzał w okna, chcąc zorientować się w układzie domu, a przede wszystkim najwyższego piętra. Wcześniej w ciągu dnia udało mu się podsłuchać rozmowę pomiędzy właścicielką domu i robotnikiem, podczas której kobieta opierniczała go za niewłaściwe wykonanie pracy i żądała, aby ją poprawił.

– Proszę nie zapominać, że sanie i nos Rudolfa mają być czerwone. Pamięta pan? Musi je być widać z ulicy. Nie interesuje mnie, jak długo musi pan pracować i jak jest późno, nawet jeśli wybije cholerna północ!

– Marudna stara kłępa – powiedział robotnik pod nosem.

Snajper usłyszał to ze swojej kryjówki w treliżu porośniętym bluszczem, stanowiącym ogrodzenie posiadłości.

Spinając mięśnie, trzymając broń przed sobą i wsłuchując się w słowa piosenki z dzieciństwa krążące mu po głowie, poruszał się na czubkach palców.

Wszedł za róg i ruszył prosto do sypialni Remmi.

Drzwi do pokoju były uchylone. I bardzo dobrze. Będzie mógł strzelić z wejścia, bez konieczności przekręcania klamki. Opróżni magazynek, celując w łóżko, po czym zbiegnie po schodach, dotrze do kuchni, skąd ucieknie tylnymi drzwiami. Zanim obudzi się starsza pani i jej pielęgniarka i wezwą policję lub same wejdą na górę, żeby sprawdzić, co się stało, on już dawno zniknie i będą mogli szukać wiatru w polu.

Podszedł bliżej, poruszając się wzdłuż balustrady. Nagle się zatrzymał. Czyżby usłyszał coś dziwnego? Coś, czego nie było tu jeszcze chwilę wcześniej? Jakieś... wirowanie? Chyba włączył się wiatrak w piecu. Tylko że piwnica znajdowała się trzy piętra niżej. Czy to możliwe, że hałas przenosił się przez stare otwory wentylacyjne?

Nie myśl o tym, to nic takiego. Po prostu jesteś zbyt nakręcony.

Wirowanie nie ustawało, gdy ruszył w stronę sypialni.

Światelko małe mam...

Serca waliło mu jak młotem, zaczął się pocić. W jego krwi krążyła radość związana z perspektywą zabijania.

Czy da radę to zrobić?

Zamordować osobę własnej krwi?

Oczywiście.

Jeszcze trzy kroki.

Dwa.

Jeden.

Drzwi były uchylone, niezupełnie otwarte, więc bezdźwięcznie je pchnął końcem tłumika.

Żadnych świateł. Zbeształ się znowu za to, że nie wziął noktowizora. Z palcem na spuście zdołał ujrzeć zarys łóżka. Wycelował i strzelił.

Pif! Pif! Pif!

Cofając się, potracił coś stopą.

MMMMIIIAAAAUUUU!

Wrzask jakiegoś nieboskiego stworzenia odbił się echem po starym domu. Przez ułamek sekundy sądził, że to któraś z jego niedoszłych ofiar. Dźwięk dochodził jednak z podłogi. Dopiero po chwili uświadomił sobie, że z ciemności wyskoczyła jakaś ogromna, kudłata bestia i wczepiła się w jego nogę.

– Auuuuu! – krzyknął zaskoczony, czując nagły ból. Kot – bo to był on – wczepił się w jego ranną nogę. Kopnął, ale zwierzę zawinęło się tylko dokoła, wystawiło pazury i go ugryzło, niczym dziki tygrys. Znowu krzyknął.

Cholera! Nie tak miało być!

Wrrrrrr. Potrząsnął nogą i próbował strącić zwierzę. Bał się w nie strzelić, żeby nie przestrzelić własnej stopy.

Cholera! Cholera! Cholera!

Musiał jak najszybciej skończyć strzelanie! Cofnął się z kotem na nodze i strzelił do sypialni, opróżniając magazynek.

Pif, pif, pif!

Zbiegł po schodach w stronę kuchni, próbując pozbyć się kota.

Pif, pif, pif!

– Hej – zawołał ktoś z salonu. Jakiś męski głos. – Co się, do cholery, dzieje?

Och, na miłość świętego Judy! Noah Scott nie śpi z Remmi w jednym łóżku! Jest w cholernym salonie i prawdopodobnie ma broń.

– Noah? – Rozległ się zaniepokojony głos Remmi Storm.

A więc żyła?

– Kładź się! – zawołał Noah. – Na głębę!

Sam natomiast ruszył w jego stronę. W ciemności Milo zobaczył ciemny kształt podnoszący się z kanapy, która stała tyłem do okna.

A on już nie miał amunicji.

Kurwa mać! Odwracając się na pięcie, Milo ruszył w stronę kuchni, gdzie były drzwi wychodzące na tył domu. Rzucił się do biegu, targając ze sobą głupiego kota i odczuwając okropny ból w nodze.

Powinien był zastrzelić tę cholerną bestię.

Trzaaask! W jego uszach rozległ się dźwięk łamanego drewna.

Ściana w kuchni eksplodowała.

Potknął się i prawie upadł.

Z czegoś, co według niego było kredensem, coś, a raczej ktoś wyskoczył!

Co, do cholery?

Szybko odwrócił się na pięcie, aż kot spadł z jego nogi. Udo paliło go jak skurwysyn. Zanim zdążył zareagować, drobny człowieczek podskoczył, odwrócił się w powietrzu z krzykiem i wykopał mu broń z ręki.

Jezu Chryste!

W tej samej sekundzie włączyło się światło. Zamrugał, gdyż został oślepiiony i zobaczył szjatycką opiekunkę, która przebiła się do pokoju z szybu windy. Znowu zamierzała się do skoku, gdy usłyszał:

– Stój! – Kątem oka zobaczył Noaha Scotta, stojącego za stołem na rozstawionych nogach, z ponurą miną i pistoletem wycelowanym w głowę Mila. – Nie ruszaj się – rozkazał.

Przez chwilę Milo sądził, że wykorzysta szansę i rzuci się na niego, ale zauważył Azjatkę czekającą w przykucu w pełnej gotowości do ataku. Kot, który go wcześniej zaatakował, patrzył na niego, siedząc na oparciu kanapy i obnażając kły.

Remmi z potarganymi włosami wstała z kanapy i patrzyła na niego, nie kryjąc szoku.

– Milo, to ty? Chciałeś mnie... zabić?

Tylne drzwi znajdowały się zaledwie trzy metry dalej. Gdyby tylko mógł...

– Nawet o tym nie myśl – rozkazał ponownie Noah, jakby czytał w jego myślach.

Twarz karateczki była nieprzeniknioną maską, na której lśniły oczy. Wyglądała tak, jakby największą przyjemność mogło jej sprawić wykopanie go w kosmos i z powrotem.

Do licha z nogą. To była wina Neda Crenshawa.

– Wezwij policję – powiedział Noah do Remmi, ale ona już szukała swojej komórki.

To się nie dzieje. Jak to możliwe, że został usidlony przez dwoje amatorów, adeptkę sztuk walki i cholernego kota? To było wprost nierealne. Właśnie takie – nierealne. Ale nie mógł mieć złudzeń co do tego, co się działo.

Pomyślał o tym, że zostanie skazany za morderstwo Crenshawów.

Pomyślał o martwym robotniku na pace furgonetki.

Pomyślał o latach w więzieniu, które na niego czekały.

Nie ma mowy.

Kurwa, nie ma mowy.

– Nie ruszaj się – warknął Noah lodowatym tonem. – Jeden krok i zastrzelę cię tu na miejscu.

– Nie możesz – odpowiedział, desperacko próbując wykorzystać każdą szansę.

Scott miał go na oku. Patrzył ze śmiertelnie poważną miną. Ale już zaczęło mu świtać, skąd go zna.

– To ty mnie postrzeliłeś. Wtedy na pustyni widziałem twoją twarz, Gibbs. Nie uświadamiałem sobie, kim jesteś, ale teraz już wiem i jestem cholernie pewny, że próbowałeś mnie wykończyć, podobnie jak Neda Crenshawa. Podobnie jak Trudie. – Zmrużył oczy. – Wróciłeś do szpitala, żeby skończyć robotę, ale ja uciekłem. Więc nie mów mi, że nie jestem w stanie pociągnąć za spust, bo jestem i to zrobię.

Sukinkot z przyjemnością by go zabił.

Po raz pierwszy od dawna Milo Gibbs poczuł, że w jego krwi załagał się strach. Wiedział, że jeśli szybko czegoś nie zrobi, jego los zostanie przypieczętowany. Czas zagrać asem z rękawa i zignorować ból promieniujący od nogi.

– Jestem twoim ojcem – powiedział, patrząc prosto na Remmi.

Opadła jej szczęka. Gapiała się na niego, mrugając i kręcąc głową. Miał wrażenie, że zaraz ugną się pod nią kolana, a jeśli tak się stanie, Scott będzie musiał ją podtrzymać. Milo wiedział, że jeśli Noah rozproszy się na chwilę, jemu uda się przejąć broń i uratować tę popieprzoną operację, odwracając sytuację na własną korzyść.

– Kłamiesz – wyszeptała Remmi.

– Chciałbym, ale ja i Edie, to jest Didi, byliśmy ze sobą, zanim uciekła do Kalifornii, a ja wróciłem do Very. Długo o tobie nie wiedziałem.

– O Boże, nie. Nie, nie.

Wiedział, jak przyswaja prawdę, ale niech to szlag, Scott wciąż trzymał broń pewną ręką.

– To prawda, Remmi – powiedział najbardziej pochlebczym tonem, na jaki było go stać. – Gdybym tylko wiedział...

– A więc twierdzisz, że jestem twoją córką, i przyszedłeś do tego domu, żeby mnie zamordować?

– Nie o to mi cho....

– Po tym, jak zabiłeś tak wiele innych osób? – Najwyraźniej nie mogła w to uwierzyć. Wtem przyszła złość, więc zamiast zwiesić głowę i próbować oddzielić fakty od fikcji, wysunęła szczęka do przodu i spojrzała na niego pogardliwie oczami, które lśniły od wstrzymywanych łez.

– Nie jesteś moim ojcem. Nie jesteś niczym ojcem. Nie interesuje mnie to, co zrobiłeś lub czego nie zrobiłeś z moją matką. Mam gdzieś to, jaką masz grupę krwi lub co może wskazać badanie DNA.

Spróbował ponownie. Boże, te drzwi były tak cholernie blisko.

– Ale kochanie...

– Idź do diabła, Milo. Idź prosto do diabła.

Cholera. Musiał się stąd wydostać. Miał wrażenie, że słyszy dźwięk zbliżających się syren. Gliny były już w drodze. Ale wciąż jeszcze miał czas, wciąż mógł uciec, chociaż Noah celował prosto w jego pierś.

Schody znajdowały się kilka kroków dalej.

Ponownie zerknął na barierkę na szczycie schodów. Tylko trzy kroki...

I wtedy jego wzrok spoczął na Azjatce. Przyjęła pozycję do ataku, jakby przewidywała jego następny ruch. Zanim zdążył zareagować, obróciła się na pięcie, wysunęła nogę i z twarzą wykrzywioną w demonicznym grymasie, krzyknęła i rzuciła się na niego, z całej siły kopiąc w jego pulsujące bólem kolano.

Lup, lup, lup! Drobna, twarda stopa uderzała raz za razem. Ból rozszedł się po całym jego ciele. Upadł na podłogę praktycznie pozbawiony zmysłów. Prawie stracił przytomność.

– Przestań! – rozkazał Noah.

Mimo bólu zobaczył lufę pistoletu Noaha wycelowaną prosto w jego twarz. Remmi stała obok niego.

– Przestań – wychrypiał Milo.

– Jade? – Gdzieś z oddali, dobiegł zaniepokojony damski głos. – Jade, jesteś na górze? Remmi? Czy nic nikomu nie jest?

Starsza pani, pomyślał, skupiając spojrzenie na szczupłej sylwetce drobnej Azjatki.

Wtedy znowu zamierzyła się na jego udo, wydając z siebie dziki ryk.

Zerknął na nią i ich spojrzenia się spotkały.

W jej oczach ujrzał czystą nienawiść.

– Jade, nie! – Usłyszał krzyk Remmi, w chwili gdy drobna kobieta spadła na niego całym swoim ciężarem. Ból w nodze był niewyobrażalny, wrzasnął, próbował się odsunąć, ale było już za późno. Usłyszał, jak pękają jego kości.

– Przestań! – Remmi krzyknęła jeszcze raz, ale na próżno.

Zawzięta kobieta uderzyła ponownie.

Tym razem stracił przytomność.

ROZDZIAŁ 34

Settler nie była usatysfakcjonowana.

Siedziała przy swoim biurku w wydziale zabójstw, z oczami piekącymi od braku snu i nie poczuła jeszcze tej specjalnej gratyfikacji, której doświadczała, ilekroć zamknęła sprawę. Chociaż znalazła nowy dowód.

Możliwe, że działo się to dlatego, że każdy w wydziale był, zdaje się, w lepszym nastroju niż ona. Szum rozmów i dzwonienie telefonów były dzisiaj głośniejsze niż zwykle. Oczywiście przyczyną tego mogło być zainteresowanie mediów, które nie przestawały do nich dzwonić. Może chodziło o to, że Vance zmierzył ją spojrzeniem i nie ukrywał swojej dezaprobaty na widok jej niechlujnego wyglądu, chociaż godziny poranne spędziła na doprowadzaniu zabójcy przed oblicze sprawiedliwości.

A niech to szlag.

Wiedziała, że czepia się dlatego, że jest zmęczona. Odgrodziła się od myśli o Vance'u i sączyła podwójne espresso, które kupiła w drodze do pracy. Jej noc zakończyła się gdzieś około czwartej trzydzieści, wobec czego spała niecałe cztery godziny, zanim wyprowadziła Earla na spacer, zostawiła go z sąsiadkami i jak zombie weszła pod prysznic. Następnie odgarnęła tylko włosy z twarzy, związała je w kucyk, włożyła czarne spodnie, czarną bluzkę i marynarkę i była gotowa.

Powinna jednak odczuwać większą satysfakcję.

Tak, umieścili Mila Gibbsa w szpitalu z pilnującym go policjantem, zebrali zeznania od jego żony, syna i wszystkich ludzi w domu Emersonów. Gibbs przeszedł już zabieg na nogę i niedługo powinien odzyskiwać przytomność. Zamierzali przesłuchać go z Martinezem, gdy tylko ustąpi działanie środków usypiających.

Rzeczywiście wyglądało na to, że Gibbs był tą osobą, która zabiła Karen Upgarde, zachęcając ją do skoku zarówno w sensie psychologicznym, jak i fizycznym. Lub też doprawiając psychotropami to, co piła. Autopsja i badanie toksykologiczne wyjaśnią, co było w jej krwiobiegu. I oczywiście zastrzelił Trudie i Neda Crenshawów. Podejrzała, że DNA z krwi znalezionej na drodze prowadzącej

do miejsca zbrodni będzie pasowało do tego pobranego z jego ciała. Nie wspominając już nawet o tym, że zabił robotnika, którego odkryli na pace furgonetki Krisa Kringle. Ponadto mieli na niego także usiłowanie morderstwa Noaha Scotta i / lub Remmi Storm, a także wszystkich świadków tego szczęśliwie udarmionego przestępstwa. Kto wie ilu jeszcze innych?

Ale wciąż jeszcze brakowało wielu kawałków układanki.

Ze stosu leżącego w rogu biurka podniosła egzemplarz *Nie jestem sobą* i spojrzała na zniekształcone zdjęcie Didi Storm na okładce, zastanawiając się, czy Milo Gibbs zabił także ją. Z pewnością próbował albo był w to jakoś zamieszany. Noah Scott zidentyfikował go jako człowieka, który postrzelił go w gardło na pustyni tamtej nocy dwadzieścia lat wcześniej. Poza tym ktoś zmarł w tym spalonym mustangu. To też wyglądało na robotę Gibbsa. Kule to potwierdzały, chociaż ofiara płci męskiej wciąż była niezidentyfikowana. Settler ponownie upiła łyk z kubka. Tamtej nocy Didi jakoś udało się uciec białym cadillakiem, ale zniknęła następnego dnia. Wyglądało na to, że Milo też był zabójcą, ale dlaczego?

Miał coś do niej?

Był cynglem?

Martinez zjawiał się przy jej biurku cały w uśmiechach, w wyprasowanej koszuli, spodniach i marynarce.

Spojrzała na niego i powiedziała:

– Chyba potrzebuję żony.

– Każdy potrzebuje żony – zgodził się. – Nawet żony potrzebują żon.

Przyszły jej na myśl rzeczy, które powinna zreperować w domu.

– Chyba potrzebuję także męża. I nie mów, że mężowie potrzebują mężów.

Martinez oparł się biodrem o jej biurko.

– Właśnie rozmawiałem przez telefon z prawnikiem Mila Gibbsa.

– Więc już wynajął prawnika?

– Wydaje mi się, że to Vera go znalazła. W swoim kościele, a jakże. Zasugerował mi, że Gibbs prawdopodobnie będzie mówił, że pójdzie z nami na współpracę i będzie dążył do ugody, żeby uniknąć długiego wyroku.

– Nie potrzebujemy współpracy z jego strony. Są spore szanse, że sami to wszystko rozwiążemy.

– Oczywiście, że tak, ale to nam oszczędzi sporo czasu.

– Spójrz na to. – Pokazała mu zdjęcie na monitorze komputera. – To fałszywe prawo jazdy wystawione na Brandona Halla. – Martinez spojrział ponad jej ramieniem.

– Aha.

– A tutaj... – Kliknęła myszką i pojawiło się kolejne zdjęcie. – Drugi syn Olivera Hedgesa, ten, który żyje. Ma teraz brodę, ale... – Wcisnęła kilka klawiszy i obraz się zmienił. – Trochę pokopałam i znalazłam jego zdjęcie sprzed dwudziestu lat bez zarostu.

– Brandon Hall jak w mordę strzelił.

– Też tak sędzę. Te same inicjały, BH. Niezbyt to sprytnie, ale on nie był tym inteligentnym. OH dwa, starszy brat poszedł na Stanford, a ten facet... – Postukała palcem zdjęcie na monitorze – został wywalony ze studiów przygotowawczych.

– Ale przeżył.

– Z tego, co zrozumiałam, problem polegał na tym, że OH dwa, starszy syn, sądził, że jest najmądrzejszy ze wszystkich, lecz...

– To on właśnie umarł.

– Stwierdzono atak serca. Ale rodzina nie poddała jego ciała autopsji. Nikt w policji wówczas nie był zainteresowany jego osobą, więc ciało zostało wydane rodzinie i skremowane.

– Według ciebie został zabity?

Wzruszyła ramionami. Wtedy w sąsiednim biurze zadzwonił telefon.

– Strasznie dużo ludzi związanych z Oliverem Hedgesem zostało zamordowanych, więc mamy tutaj duży znak zapytania. Zadzwoniłam do żony OH dwa. Pamiętasz, tej Marilee, kobiety, która poślubiła zarówno ojca, jak i syna? Czekam, aż do mnie oddzwoni.

– To powinno być ciekawe.

– Bardzo. – Uśmiechnęła się blade, po czym dopiła resztkę kawy. – Idealnie dla nas mieszka w Las Vegas. Podobnie jak reszta klanu. OH Industries w większości mieści się w południowej Kalifornii, ale tutaj na miejscu mają kierowników i prowadzą firmę z Vegas. W biurze pojawiają się jedynie kilka razy w miesiącu.

– Okej.

– Wydaje mi się, że możemy ich przesłuchać. I dokopać się do sedna sprawy, nie czekając na wyznanie Gibbsa.

– Ono może wszystko ułatwić.

– Czy naprawdę chcemy dać temu lajdakowi szansę na krótszy wyrok? Z pewnością zamordował dwoje ludzi, próbował zabić dwie kolejne osoby, być może trzy, jeśli dodamy Jade Kim do Remmi Storm i Noaha Scotta. Jak w ogóle może sądzić, że ma szansę na to, żeby się z tego wymigać?

– Ugoda sprawi, że unikniemy kosztów procesu.

Oczywiście, że o tym wiedziała, ale to jej wisiało. Nie chciała w ogóle dopuścić do siebie myśli, że Gibbs dostanie mniej niż najgorszy możliwy wyrok. Z trudem zmusiła się do praktycznego podejścia i z przekąsem zapytała:

– Ma w ogóle coś, co może nam dać?

– Tak uważa. Twierdzi, że był zabójcą do wynajęcia. I zdradzi nam nazwiska, jeśli pójdziemy na ugodę. Naciskaliśmy i wyznał tylko tyle, że dwadzieścia lat temu pracował dla dwóch stron przeciw środkowi.

– Co to znaczy?

– Że z początku został wynajęty przez Didi. Wygląda na to, że po sprzedaży pierwszego dziecka, dziewczynki, Gibbs miał odebrać dziecko Hedgesom. Dziecko było ubrane na niebiesko, żeby wyglądało jak chłopiec, ale Didi wiedziała, że bardziej pragnę syna, więc zamierzała rozegrać to jeszcze inaczej. Ale staruszek dostał cynk, że coś się kroi, może od Shawny Whitman, więc przelicytował Didi i wynajął Gibbsa, żeby upozorował śmierć Bretta. Jak? Zabijając faceta mniej więcej o takiej samej posturze, jak Brett Hedges. W tym przypadku był to jakiś bezdomny.

– Więc ten pożar był na pokaz dla Didi? Ponieważ Brett Hedges żyje, ma się dobrze i mieszka w Las Vegas,

– Tak właśnie twierdzi Gibbs. Chcieli, aby uwierzyła, że Brett nie żyje. Ale plan wziął w łeb, kiedy na pustyni zjawił się Noah Scott, a Didi oszukała Hedgesa.

– A więc następnego dnia próbuje jeszcze raz. I co? Gibbs ją jakoś zabija i zakopuje razem z cadillakiem na pustyni?

– Tego nam jeszcze nie powiedział. Najpierw chce ugodę. Ale tak mi się wydaje. Chyba że zabił ją sam Brett. To też jest możliwe.

– Ale dlaczego?

– Przez dzieci. Cały klan Hedgesów ześwirował na punkcie tych bliźniaków.

Settler się nad tym zastanowiła. Sporo czasu spędziła, czytając na temat klanu.

– OH dwa umarł bezpotomnie.

– Właśnie. A staruszek może nie być w stanie spłodzić więcej dzieci po tym wypadku, nawet jeśli ma o wiele młodszą żonę w osobie Shawny Whitman.

Powoli pokręciła głową, myśląc o Hedgesach.

– Zaczynam się zastanawiać, czy wypadek staruszka był naprawdę wypadkiem.

– Kto wie, nikt tego nigdy nie zakwestionował. OH jeden nic takiego nie zasugerował.

– Zaraz potem jego syn żeni się z jego żoną, która się z nim rozwiodła, kiedy został inwalidą. Może to sprawiło, że zaczął uważniej się przyglądać swojemu pierworodnemu. Może przejrzał jego motywy i ujrzał w nim gnidę, jaką był?

Odchyliła się na krześle. Trybiki w jej głowie pracowały.

– Sądzisz, że starszy syn, który ukradł mu żonę, próbował też zabić staruszka? Może chciał dostać cały tort.

– Jeśli chodzi o ten klan, to niczego nie jestem w stanie wykluczyć.

– A potem w odwecie staruszek w jakiś sposób zabija syna. Może kogoś do tego wynajmuje, na przykład Gibbsa? – zapytała. – Czy ojciec zabiłby własne dziecko?

– Gibbs próbował zabić Remmi Storm – zauważył.

– *Touché.*

– Tak jak mówiłem, ta cała rodzina jest nieprzewidywalna. Jeśli możemy wierzyć Gibbsowi...

– Nie możemy. Serio, Martinez, nie możemy uwierzyć w ani jedno słowo.

– Wiem, ale gdybyśmy... Posłuchaj mnie tylko. Gibbs twierdzi, a ja go cytuję, a przynajmniej jego prawnika, że jest zbyt stary na to gówno i że chce zacząć od nowa. Pragnie mówić.

Roześmiałyby się na głos, gdyby cokolwiek mogła ją rozśmieszyć tego ranka.

– Pozostawiwszy za sobą tyle ciał? Weź przestań. Zabójca do wynajęcia, który próbował zamordować własne dziecko zeszłej nocy, nagle odnajduje Jezusa i od-rasta mu sumienie.

– Nieznane są ścieżki Pana.

– Też prawda. Ale ja nie zatrzymam śledztwa tylko dlatego, że Milo Gibbs chce rozmawiać. Zapomnij o tym.

Martinez się uśmiechnął. Chyba śmieszył go jej zły nastrój.

– Niech zgadnę. Chcesz jechać do Vegas i porozmawiać z Hedgesami?

– Tak. I nie zapomnijmy o żonach. Chcę usłyszeć, co mają do powiedzenia M-rilee Hedges i Seneca Williams, czyli Shawna Whitman, obecnie Hedges. Więc tak, chcę ich wszystkich przesłuchać. Pragnę tego bardziej niż snu w tej chwili, a pragnę go z całych sił.

– Ja prowadzę, ty śpisz.

– Najpierw chcę porozmawiać osobiście z Milem Gibbsem.

Martinez już odrywał się od biurka. Settler też wstała.

– Zatrzymajmy się przy szpitalu i sprawdźmy, czy Milo mówi poważnie. A potem, gdy omówimy szczegóły z prawnikiem i podejrzanym, polecimy do Vegas.

Spróbuję ustawić się ze Stinsonem i namówić go, żeby nas zabrał. – Sięgnęła po kaburę naramienną i broń.

– Zadzwońię do Davis do Vegas. Powinniśmy ją powiadomić.

– Okej – zgodziła się Settler, ruszając w stronę schodów.

– Hej, obudź się. Już prawie jesteśmy na miejscu – powiedział Noah.

Remmi zamrugwała, nie wierząc, że zapadła w sen. Byli w jej subaru. Noah prowadził, ona siedziała na miejscu pasażera, z głową opartą o boczną szybę. Ziewając, spojrzała na zegar na desce rozdzielczej i stwierdziła, że jest już prawie siedemnasta. Nad pustynią rozciągał się półmrok. Na lawendowym niebie migotały gwiazdy. Daleko w oddali, niczym gwieżdzisty feniks powstający z piasku pustyni, majaczyły światła Las Vegas.

Jechali przez prawie dziewięć godzin. Kiedy policja pozwoliła im się oddalić, wzięli torby – Remmi zapakowała zmianę ubrań, a Noah wyjął plecak ze swojego auta.

Remmi upierała się, że chce zobaczyć swoje rodzeństwo, a Noah uległ jej naleganiom. Wsiadli do subaru i unikając tłumu składającego się ze wścibskich sąsiadów i dziennikarzy z mikrofonami i pytaniami zadawanymi w tempie karabinu maszynowego, przejechali przez bariery policyjne. Właśnie kończyła się burza, więc na mokrym asfalcie ulic odbijały się światła ich samochodu.

Noah zatankował na pierwszej otwartej stacji, którą znaleźli, po czym wyjechał na autostradę. Przez pierwsze sto kilometrów rozmawiali o aresztowaniu, o tym, jak Settler i Martinez zjawili się ze wsparciem i ratownikami medycznymi. Milo został odwieziony do szpitala jednym ambulansem, podczas gdy martwy mężczyzna znaleziony na pace furgonetki należącej do firmy montującej oświetlenie świąteczne, kolejna z ofiar Mila, został zapakowany do drugiego.

Remmi starała się nie myśleć o Milu Gibbsie. Wciąż była odrętwiała w środku na myśl o tym, że on, wujek Milo, jest jej ojcem. Ten okropny fakt wyjaśniał tak wiele. Dlaczego Didi uciekła z Missouri, dlaczego nigdy nie wyjawiała jego imienia, dlaczego pomiędzy Didi a jej rodziną ziała głęboka przepaść, dlaczego Remmi czuła tak wielką niechęć ze strony ciotki Very, kiedy z nimi mieszkała i dlaczego Milo był zawsze tak odległy. Ale jej żołądek wywracał się na myśl, że morderca i prawdopodobnie również zabójca do wynajęcia, był człowiekiem, który ją spłodził. Jeszcze bardziej przygnębiająca była myśl o tym, że Milo, wiedząc doskonale, że jest jego córką, chciał ją zamordować bez mrugnienia okiem.

Zabójca bez sumienia.

Teraz resztę życia spędzi w więzieniu. Policja miała dowody. Jego karabin. Zeznania Very i Jensena, które powtórzą podczas procesu.

Vera prawdopodobnie także spędzi trochę czasu za kratkami. Musiała wiedzieć, co robi Milo, a jeśli nie wiedziała, to przynajmniej podejrzewała, a mimo to pozostała żoną tego złamasza. Trudno sobie to wyobrazić.

Didi miała rację: lepiej, żeby Remmi nie знаła tożsamości swojego ojca.

Jednakże, skoro teraz ją poznała, nie pozwoli na to, by fakt, że ją splodził, zatruł jej życie jeszcze bardziej. Chciała spotkać się z rodzeństwem i w końcu, gdy łańcuchy przykuwające ją do przeszłości zostaną przerwane, ruszyć do przodu ze swoim życiem.

To, co nas nie zabije, tylko nas wzmocni. Miała nadzieję, że Nietzsche się nie mylił.

Gdy zbliżyli się do Las Vegas, za naleganiem Noaha, zadzwoniła do Settler, ale zgłosiła się poczta głosowa detektyw, więc Remmi zostawiła jej wiadomość. Postanowili z Noahem, że zatrzymają się poza centrum miasta, znajdując sobie jakieś spokojniejsze miejsce na uboczu.

– Może być? – zapytał, wskazując na piętrowy motel stojący przy bocznej uliczce co najmniej trzy kilometry za miastem. W okolicy trwały jakieś prace budowlane. Większość okolicznych budynków była pusta lub w trakcie przebudowy. – Według reklamy w hotelu znajduje się basen i restauracja otwarta przez całą dobę.

– Czego więcej nam potrzeba?

Wjechał na zakurzony parking Western Oasis z podświetlonym logo przedstawiającym kowboja w kapeluszu jadącego na wielbłądzie.

W ciągu dwudziestu minut zameldowali się, zostawili torby zamknięte w pokoju i zasiedli w obitej sztuczną skórą łożu przy oknie w motelowej restauracji. Widok mieli na drogę dojazdową, ale to nie miało znaczenia. Niewiele się liczyło.

Gdy niesamowicie szczupła kelnerka z włosami utapirowanymi tak wysoko, że dodawały jej jeszcze z dziesięć centymetrów, odebrała od ich zamówienie, zawiązał telefon Remmi. Dzwoniła Dani Settler.

– Nie próbujcie spotykać się z Hedgesami – rozkazała. – Z nikim z klanu. Wciąż jeszcze próbujemy dojść do prawdy i dopóki nie rozwiążemy tej sprawy, nie jest to bezpieczne.

– To dlatego dzwoniłam. Chcę się zobaczyć z siostrą i bratem.

– Proszę poczekać. Martinez i ja już tu lecimy. Łądujemy za jakąś godzinę. Mówię serio. Czy to jasne? Rozumiem, dlaczego chce się pani zobaczyć z dziećmi,

ale proszę się nie spieszyć. Zamknięcie sprawy zajmie nam dzień, może nawet mniej.

Zrobiło jej się przykro.

Jakby spodziewając się, że Remmi będzie oponować, Settler tłumaczyła:

– Proszę pamiętać, co stało się zeszłej nocy. Niech pani pójdzie na miasto, zagra w kasynie, zobaczy jakieś przedstawienie, cokolwiek, ale nie próbuje konfrontować się z Hedgesami.

Remmi się zawahała.

– Słyszysz mnie pani, pani Storm? Nie chcemy, żeby się pani coś stało. I nie chcemy też, żeby zaszkodziła pani naszemu dochodzeniu.

– Rozumiem, poczekam. – Remmi była sfrustrowana do granic możliwości.

– Dobrze. Gdzie się zatrzymaliście?

– W Western Oasis – powiedziała i zrezygnowana, opadła na siedzenie, po czym się rozłączyła.

– Mamy czekać? – zapytał Noah.

– Tak – potwierdziła, zniechęcona. Napiła się wody ze szklanki i dodała: – Settler zaproponowała, abyśmy obejrzeliby jakieś przedstawienie. – Prychnęła. – Czy wiesz, ile przedstawień obejrzałam zza kulis, kiedy dorastałam? Dziękuję, nie skorzystam.

Powróciła kelnerka z dużymi półmiskami. Noah rzucił się na gruby stek z frytkami, który popijał piwem, Remmi natomiast skubała zapiekankę i sączyła powoli chardonnay. Praktycznie straciła apetyt.

Myślała o swoim rodzeństwie. Co, jeśli Adam i Ariel, teraz Kyle i Kayla, jej nie uwierzą? A jeśli nie będą chcieli jej znać? A jeśli uznają, że próbuje się do nich zbliżyć ze względu na majątek ich rodziny? A jeśli uznają, że myśli o tym, że ich matką była Didi Storm, jest odrażająca? Nie miała pojęcia, co im wmówiono i jak zareagują.

Skończyła wino i znowu napiła się wody.

Bez pośpiechu.

Najpierw trzeba się z nimi spotkać.

Jeżeli uznają, że nie chcą być częścią twojego życia, jeżeli uznają, że kłamiesz lub jesteś jakąś naciągaczką, będziesz musiała wykazać się cierpliwością.

Zauważyła, że miesza słomką w wodzie, kostki lodu wirują, woda w szklance podskakuje, a jej myśli znajdują się miliony kilometrów dalej.

Noah poprosił o rachunek. Dopiero teraz zorientowała się, że już prawie skończył posiłek.

– Chodźmy – powiedział, widząc, że tylko napoczęła danie. – Jesteś wykończona.

– A ty?

– Czuję się jak milion dolców. – Posłał jej krzywy uśmiech, który zmiękczył jej serce.

Ostrożnie, ostrzegła samą siebie, możesz ponownie zakochać się w tym facecie...

Ta myśl ją zaskoczyła, a jednocześnie za jej sprawą przejaśniło jej się w głowie. *Jesteś zmęczona, ledwie go znasz. Ale pozwoliła mu zapłacić i patrzyła, jak rozmawiał z kelnerką, jak swobodnie czuł się we własnej skórce. Chłopak, który dorastał w trudnej, jeśli nie beznadziejnej rodzinie, który prawie został zabity tamtej nocy na pustyni i autostopem opuścił niebezpieczną strefę, odnalazł się na nowo.*

Mogło być gorzej, powiedziała sobie, a potem, gdy Noah wyjął kartę kredytową, ponownie poczuła, że ktoś się jej przygląda. Obejrzała się przez ramię, ale zobaczyła tylko kilka samochodów na parkingu. I żadnego człowieka. Nikt nie zerkał na nią z ciemności.

To tylko nerwy. Noah ma rację, jesteś przemęczona. Wciąż jednak rozglądała się po parkingu i zobaczyła jedynie swoje własne, blade odbicie wgapiające się w noc.

– Idziemy położyć cię spać – zaproponował Noah, gdy się rozliczył z kelnerką.

– Nie jestem śpiąca – zaproponowała, myśląc o nadchodzącej nocy. W pokoju były dwa łóżka. Gdy do niego weszli, położyli torby na oddzielnych posłaniach. Ale...

Rozpraszały ją te kolejne godziny, które miała spędzić sam na sam z Noahem.

Gdy dotarli do drzwi, Noah zaczął je otwierać kluczem wyjętym z kieszeni, a Remmi poczuła za sobą ruch, jakieś zakłócenie. Uniosły się włoski na jej karku i próbowała się odwrócić.

Za późno!

Silne palce złapały ją od tyłu za ramię. Zimna lufa pistoletu dotknęła jej potylicy.

– Och! – krzyknęła.

Noah zareagował od razu i sięgnął do kieszeni po broń.

– Nawet o tym nie myśl – wyszeptał silny męski głos tuż koło jej ucha. – Bo będziesz zbierał z siebie jej mózg. A ty – dodał, mocniej ściskając ją za ramię – zamknij się. – Do Noaha warknął: – Ręce do góry, bo strzelę jej w łeb. Nie myśl, że tego nie zrobię.

Remmi zamarła bez ruchu. Oddech uwiązał jej w gardle.

Noah powoli podniósł ręce po obu stronach głowy. Napastnik wyciągnął rękę i wyjął pistolet z kieszeni Noaha, po czym przełożył go do swojej. Następnie zrobił to samo z telefonem Scotta.

Wpatrywała się w Noaha. Była przerażona. Bała się ruszyć, czując zimny metal przy skórze głowy. Nie widziała napastnika, ale czuła, jak na nią napiera, i do jej nozdrzy dolatywał zapach jego wody kolońskiej. Przyszło jej na myśl, żeby się wyrwać. Usłyszała jednak kliknięcie zamka broni i zastygła w bezruchu. Noah ledwie zauważalnie pokręcił głową.

– Hedges – powiedział – co, do cholery, tu robisz?

Hedges? Brett Hedges? Skąd się tu wziął? Czego od nich chciał?

– Zamknij się – rozkazał Hedges. – Po prostu się zamknij, bo ją zastrzelę.

Noah umilkł.

– Zakuj się – polecił mu Hedges i rzucił Noahowi kajdanki, a ten złapał je w locie.

Proszę, walnij go nimi. Nie rób tego, co ci każe.

Ale Noah posłuchał, metal kliknął.

Nikt się nie zjawił.

Nieliczni ludzie z restauracji nie mogli ich zobaczyć.

Drogą przejechał jakiś samochód, ale nie wjechał na parking.

Nikt nie wyszedł z cholernego motelu.

– Pokaż kajdanki – rozkazał napastnik szeptem. Lufa broni wciąż tkwiła w tym samym miejscu. – Spróbuj rozłożyć ręce, Scott. Zrób to.

Noah posłuchał. Kajdanki były zapięte. Łańcuch pomiędzy nimi się napiął.

– Do samochodu – rzucił Hedges. – Natychmiast. Na tylne siedzenie.

– Do którego?

– Do jej samochodu, do cholery – zirytował się, a Remmi uświadomiła sobie, że znajdują się zaledwie kilka kroków od jej subaru.

O Boże, nie. To nie może się dziać.

– Nie rób tego – powiedziała.

Noah nie spuszczał wzroku z Hedgesa, gdy otwierał tylne drzwi subaru.

– Wsiadaj – rozkazał Brett.

Proszę, niech ktoś przyjdzie.

Ale nikt się nie zjawił.

Z bijącym sercem i rosnącą paniką Remmi patrzyła, jak Noah wsiada do auta. Zanim usiadł, Hedges zwinnie się zamachnął i uderzył go kolbą w głowę. Noah

padł bezwładnie na siedzenie i cicho jęknął.

W ułamku sekundy Remmi podjęła decyzję o ucieczce, krzyknęła.

– Zamknij ryj, do kurwy nędzy! Chcesz, żebym go zastrzelił? – zapytał Hedges, celując do Noaha. – Masz robić, co ci mówię, bo go zastrzelę i będziesz patrzeć, jak się wykrwawia. Tego właśnie chcesz?

– Dlaczego...

– Zamknij się! Wsiadaj i jedź!

– Nie mogę to on... On ma kluczyki.

– To twój samochód?

– Ale on prowadził – wyjaśniła spanikowana. – Są w jego kieszeni.

Chciała je wyjąć, ale potknęła się na krawężniku, odbiła od Hedgesa i upadła na kolana.

– Jezu, co się z tobą dzieje? – Szarpnięciem postawił ją na nogi, a potem, ku jej przerażeniu, wyjął telefon z jej tylnej kieszeni. – Za kierownicę. – Sięgnął do kieszeni Noaha i wyjął kluczyki, które następnie jej przekazał. – Nie próbuj żadnych sztuczek, bo go zastrzelę. Mówię poważnie. Ruszaj już.

Wyzywając się od idiotek, zrobiła, co jej kazał. Zanim otworzył drzwi, próbowała odpalić, żeby jak najszybciej ruszyć i go potrącić, a może nawet przejechać, po czym wcisnąć klakson, ale on nie spuszczał z niej oka, celując do Noaha. Wobec tego czekała tylko, aż wejdzie do środka.

– Kieruj się na południe – rozkazał.

– Nie wiem, dlaczego to robisz.

W krótkiej chwili, kiedy zapaliły się wewnętrzne światła, zdołała ujrzeć jego twarz. Broda zaczęła mu siwieć, a włosy trochę się przerzedziły, ale wyglądał jak normalny facet, nie żaden psychol.

– To nie ma znaczenia. Jedź na południe.

Wyjechała z parkingu. Jej mózg wreszcie zaczął działać. Myślała coraz szybciej, próbując wymyślić sposób ucieczki. Zaskoczył ją i wystraszył, ale teraz musiała myśleć. Musiała powstrzymać to szaleństwo, które zaplanował.

Skręciła na drogę dojazdową.

– Nie, cholera, nie na północ. Powiedziałem, że na południe, w drugą stronę, do cholery!

– Przepraszam – szepnęła i szybko zawróciła. Widziała w tylnym lusterku, jak miasto robi się coraz mniejsze. – Nie jestem przyzwyczajona do jeżdżenia z wycelowaną we mnie bronią.

– Nie poruszyłem lufą.

– Jeśli zabiłeś Noaha...

– Żyje. Jeszcze.

– Ale zamierzasz go zabić? I mnie też? – zapytała. – O to ci chodzi? – Jeśli tak się sprawy miały, powinna jechać jak wariatka, rozwalić samochód i zginąć razem z nim. Ale odrzuciła tę myśl. Dopóki żyli, mieli nadzieję. Istniała szansa, że znajdą sposób na wyplątanie się z tej sytuacji.

Na razie robiła więc to, czego chciał.

ROZDZIAŁ 35

– Rany, ale to było popieprzone – stwierdził Martinez, gdy wsiedli do wynajętego samochodu na lotnisku w Las Vegas. Stinson ponownie zabrał ich swoją cesseną, więc teraz Settler wisiała mu nie jeden, lecz dwa obiady. Sugerował jej także, że powinna mu zafundować jakieś przedstawienie w Vegas.

Co najmniej.

– Masz na myśli tę piosenkę? – zapytała. Przesłuchali Mila Gibbsa po operacji i albo stracił część rozumu, albo środki znieczulające jeszcze nie przestały działać, ponieważ bez przerwy śpiewał jakąś starą piosenkę, którą słyszała dawno temu.

– Tak, tę piosenkę o światełku, którą ciągle śpiewał.

– Tak, słyszałam. Jeśli nikt jeszcze mu nie obiecał udziału w The Voice, to raczej się tam nie dostanie.

– Jesteś niemiła, Settler.

Wydobyli od Gibbsa więcej niż tylko piosenkę. Jego prawnik był obecny przy rozmowie w sali szpitalnej i Gibbs przyznał się do morderstwa Crenshawów, Boba Rice'a, robotnika pracującego w firmie Krisa Kringle, a nawet do podania Karen Upgarde substancji, które dosłownie sprawiły, że skoczyła z okna. Przyznał się także do zabicia wciąż niezidentyfikowanego mężczyzny w samochodzie na pustyni dwadzieścia lat wcześniej oraz do próby zamordowania Remmi Storm i Noaha Scotta poprzedniego dnia. Przysiągł, że nie zabił Didi, co oznaczało, że jeśli mówił prawdę – a to było niepewnym założeniem, wzięwszy pod uwagę jego perfidię – że jej zabójca wciąż jest na wolności. Settler nie wiedziała, w co wierzyć. Gibbs był wytrawnym kłamcą, istniała możliwość, że mordercą Didi jest ktoś inny, ponieważ miała tylu wrogów, ile pies pcheł.

Wobec tego nie było wykluczone, że ten sam zabójca, który pomógł OH2 przebieść się na tamten świat, odebrał życie Didi.

– Dokądś jedzie – zauważył Martinez, patrząc na komórkę, którą dostali od Mila Gibbsa. Mężczyzna przyznał się, że zamontował nadajnik GPS w jej samochodzie, i chociaż był on dowodem w sprawie, postanowili z niego skorzystać, żeby mieć na oku córkę Didi.

- Remmi?
- Tak, kieruje się na południe.
- Do cholery, powiedziałam jej, że ma siedzieć na tyłku.
- Widocznie ma problem ze słuchaniem poleceń.
- Widocznie – powtórzyła ponuro Settler, w chwili gdy znaleźli się przy wjeździe na autostradę. – Sprawdźmy, dokąd jedzie.

Miasto zostało daleko za nimi, ledwie je było widać w lusterku. Remmi jechała przed siebie, zbliżając się do gór. Opuścili autostradę i wjechali na wiejską drogę, a stamtąd na węższą, prywatną drogę dojazdową, która ciągnęła się między kaktusami, pustynnymi drzewami i skałami. Nie było żadnych latarni. Żadnych samochodów. Żadnych ludzi. Totalna izolacja.

Nie jest dobrze.

Z głośno bijącym sercem i nerwami napiętymi jak struny próbowała wymyślić sposób, by pobić go w jego własnej grze. Ale im bardziej oddalali się od miasta, tym mniej stawało się to prawdopodobne.

W świetle samochodowych reflektorów zauważyła jakieś błyszczące oczy.

– Co, do... – Wcisnęła hamulec. Przed maską przebiegł kojot. Mignęło tylko jego srebrnoszare futro.

– Do cholery! – Ale on też już zauważył uciekające zwierzę, znikające w ciemności. – Masz jechać.

– Dokąd się kierujemy?

– Już prawie jesteśmy na miejscu.

Musiała znaleźć jakiś sposób. Musi być jakiś sposób, żeby się uratować. Miał ich telefony i broń. A gdyby wcisnęła alarm samochodowy, i tak nikt by ich tutaj nie usłyszał, a on by ją zastrzelił. Co gorsza, zastrzeliliby także Noaha.

Przód samochodu wjechał na szczyt przełęczy, a potem szutrowa droga stromo schodziła w dół. Koleiny sprawiały, że auto podskakiwało, opony buksowały, kamienie wystrzeliwały spod opon. Kierownica ślizgała jej się w palcach. Wreszcie pojawiło się przed nimi dno doliny. Podłoże zrobiło się stabilniejsze, chociaż wciąż opadało i było otoczone z obu stron górami piasku.

– Co to za miejsce? – zapytała. Poczwała dreszcz równie zimny jak pustynna noc.

– Stąd OH Industries bierze piasek. I tutaj dowiesz się, jak wtedy czuła się twoja matka w swoim cadillacu...

W tej chwili światła auta padły na kilka ogromnych maszyn. Wywrotkę, koparkę z wielką łyżką. Obok zakurzonego sprzętu parkował czarny pick-up z tak lśniąca karoserią, że wyglądała, jakby była mokra.

Pojazd Hedgesa.

– Zatrzymaj się.

– Tutaj? – zapytała.

– Tak, tu jest dobrze.

– Nie rozumiem. – Samochód wciąż znajdował się jakieś pięćdziesiąt metrów od ciężarówki i sprzętu. Stał pośrodku wykopu.

– To jest zemsta – powiedział spokojnie Hedges. – Za twoją matkę. Ta suka próbowała mnie zrujnować. Sprzedała mi moje własne dziecko za ćwierć miliona dolarów. Powiedziała mi, że mam syna, zapłaciłem jej, a jeszcze tej samej nocy okazało się, że urodziła bliźniaki i je podmieniła. Planowała, że sprzeda mi je po jednym na raz.

– Ale ty też ją oszukałeś. – Remmi trzymała stopę na hamulcu, żeby auto nie stoczyło się w dół.

– Sprzedawała mi moje dzieci. Oczywiście, że ją oszukałem. Jaka matka by to zrobiła? – Patrzył na Remmi jak na wariatkę. – Z mojej strony było to dość skomplikowane, ponieważ nie tylko ja byłem zainteresowany tymi dziećmi. Mój starszy brat Oliver, lub jak lubił o sobie myśleć OH dwa, też je chciał. Uważał je za swoich spadkobierców, chociaż były moje. Sam nie mógł mieć dzieci, więc wymyślił sobie, że ukradnie moje. To ja użerałem się z Didi, a on sądził, że może mi je odebrać. A jak chciał to zrobić? Zabić mnie, oczywiście. – Jego irytacja wzrosła do tego stopnia, że zaczął wymachiwać bronią.

Remmi nie odrywała wzroku od lufy. Nie wierzyła w to, co słyszała, ale chciała, żeby mówił dalej. Nie tyle interesowała ją jego historia, ile chciała kupić sobie czas. Gdyby był jakiś sposób, żeby wysiadł z samochodu, mogłaby odjechać... Albo gdyby mogła odzyskać pistolet lub telefony. Z tylnego siedzenia dobiegł kolejny jęk. Przynajmniej Noah żył.

Na razie.

– Ale on nie... Twój brat nie dostał Adama i Ariel. Przecież umarł – zauważyła.

– Kyle’a i Kayli. – Hedges parsknął śmiechem. Ponownie w nią celował. – Do bry stary OH dwa. Taka inteligencja. Takie wykształcenie. Taki plan. I co? Skończył jako trup. – Znowu się roześmiał. – Wygląda na to, że wszyscy mamy skłonność do zabijania.

– Co masz na myśli?

Niech gada. Patrzyła na Hedgesa, ale kątem oka próbowała wypatrzeć jakiś sposób ucieczki. Wtedy zauważyła ruch z tyłu samochodu. Noah odzyskiwał przytomność.

Niech gada. Nie może się dowiedzieć, że Noah się budzi.

– Mój brat został otruty – wyjaśnił Hedges.

– Ty go zabiłeś?

– O nie, nie. – Pokręcił głową. – Zadbał o to mój ojciec. Obwiniął brata za swój wypadek na nartach. Chodziło o to, że ktoś grzebał przy więzaniach, przez co starszek mocno ucierpiał. Przeżył, ale było blisko. Tata był pewien, że jego imiennik zamierzał nie tylko odbić mu kobietę, tę sukę Marilee, ale także przejąć firmę oraz moje dzieci. Zanim jednak mu się to udało, tata dokonał zemsty.

– Sądziłam, że twój ojciec przebywa w domu opieki i porusza się na wózku inwalidzkim...

Gdyby tylko mogła przejąć broń!

Przez oparcie fotela poczuła ruch za sobą.

– Miał kogoś do pomocy – przyznał Hedges, zatracając się w swojej opowieści, najwyraźniej nieświadomy tego, że Noah się budzi. O, Boże drogi, gdyby tylko dało się jakoś z tego wyplątać!

– Ciebie? – zapytała, nie spuszczać wzroku z Hedgesa i pistoletu.

Prychnął.

– Sądziłem, że jesteś mądrzejsza. – Czekała, wytężyła słuch, próbując wylapać jakiegokolwiek oznaki tego, że Noah jest przytomny. W międzyczasie usiłowała złożyć do kupy wszystko to, o czym mówił Hedges.

– Twojemu ojcu pomogła... – Poczuła nacisk na oparciu siedzenia. Czy Noah dawał jej jakieś znaki? Trudno powiedzieć.

Hedges czekał, aż skończy zdanie. Podpuszczał ją, jak sobie uświadomiła, i wtedy coś przyszło jej do głowy.

– Seneca – wyszeptwała i serce podeszło jej do gardła.

– No właśnie! – Zamachał bronią. – Należy ci się nagroda!

– Ukradła mi Adama i zawiozła go do... ciebie? – powiedziała Remmi bez przekonania, w duchu modląc się o cud.

Przez chwilę wydawało jej się, że słyszy warkot silnika samochodu... Nieco mocniej wcisnęła hamulec. Subaru wciąż stało na luzie.

– Nie do mnie – poprawił ją Hedges. – Zabrała Kyle'a do mojego brata, ale tylko na pewien czas, dopóki go nie zabiła.

– Co zrobiła? – Nie! Chyba się przesłyszała. – Seneca zabiła OH dwa?

Prychnął z niesmakiem.

– Shawna – skorygował. – Zabiła go Shawna. Mogłabyś nie mylić imion?

– Nie wierzę, że mogła...

– Jak się okazało, to kobieta wielu talentów, doskonała pielęgniarka i opie-kunka. Pomagała wychowywać dzieci i dała mojemu ojcu szansę na ponowne ży-cie. Staruszek wciąż porusza się na wózku inwalidzkim, ale dobrze mu idzie. Wiesz, co mówią o miłości dobrej kobiety? I cholernie dobrej morderczyni, jeśli zachodzi taka konieczność.

– Nie wierzę, że...

– To uwierz. – Był teraz znacznie spokojniejszy, bo miał kontrolę nad sytuacją. Noah i Remmi nie mogli pokrzyżować mu planów. Dosłownie popłynął ze swoją opowieścią.

Wyczuła, że chciałby przeciągnąć tę część jak najdłużej, rozkoszować się swoją przewagą, terroryzowaniem i przechwalaniem się przed przymusowo słuchającą go publicznością.

– Shawnie jednak nie spodoba się to, że musiałem się ciebie pozbyć. Na-prawdę cię lubiła, więc to będzie musiało pozostać moją małą tajemnicą.

– Dlaczego to robisz? – zapytała i kątem oka zauważyła, że coś przesuwają się na tylnym siedzeniu.

Hedges powrócił do swojej opowieści.

– Gdyby to wszystko się nie rozpadło, gdyby ta cholerna książka nie została opublikowana, gdybyś nie zaczęła się wtrącać... Ale ty nie mogłaś odpuścić, po prostu musiałaś wściubiać nos w nie swoje sprawy i próbować odnaleźć moje dzieci... To nie może się wydarzyć.

– Policja już wie – oznajmiła. – Możesz mnie zabić, a policja i tak je znajdzie i im powie. Pomyślałeś o dziennikarzach? Oni też się zjawią.

– Żadne z nich nie zna wszystkich moich tajemnic, co nie? Tylko ty je znasz.

Pomiędzy przednimi siedzeniami zauważyła, że Noah zajął pozycję za Hedge-sem. Deska rozdzielcza rzucała tyle światła, by Remmi mogła ujrzeć, jak Noah odchyła głowę w tył i unosi skute dłonie.

– Zabiłeś Didi – powiedziała beznamiętnie.

– Oczywiście, że to ja. – Był zadowolony z siebie. – I zrobiłbym to ponownie, bo ta suka mnie wykiwała. Z przyjemnością bym...

Kątem oka ujrzała, że Noah się przygotowuje.

– Teraz! – krzyknął. – Teraz!

Zdjęła stopę z hamulca i dodała gazu. Otworzyła drzwi. Samochód potoczył się do tyłu. Wyskoczyła, odbiła się od ziemi, szorując skórą po kamieniach, żeby nie wpaść pod tylne koła. Wstała i patrzyła, co się dzieje.

Noah przywarł do oparcia siedzenia pasażera. Wzniósł się nad zagłówek i zarzucił ręce ponad głową niczego niespodziewającego się Hedgesa. Samochód jednak wciąż się toczył, nabierając prędkości... Zmierzał ku wykopowi...

– Nie – wyszeptała i ruszyła za nim. Auto się toczyło, podskakując, kołysząc się i skręcając, jakby ktoś chwycił za kierownicę. Spod kół leciały kamienie, piasek i pył. – Boże, nie!

Krzusząc się gęstym pyłem, biegła przed siebie.

Nie! Nie! Nie!

Gdzieś mignęło jej inne światło, coś rozświetliło dno kanionu. Ponad przełęczą pojawił się kolejny pojazd.

Czy Hedges z kimś się tu umówił? Z innym zabójcą?

Potknęła się, w chwili gdy pędzące subaru podskoczyło na jakimś wyboju i uderzyło w bok ciężarówki. Metal zatrzeszczał i zajęczał, wygiął się i rozdarł. Przez ułamek sekundy poczuła ulgę, że auto nie wjechało do wykopu. Ale usłyszała mrozący krew w żyłach wrzask.

Noah! O, Boże, Noah!

Pif!

Strzał z pistoletu!

Przednia szyba rozpadła się na kawałki, wszędzie latało szkło. Ten sukinsyn postrzelił Noaha!

– Przestań! Przestań! – krzyczała, kaszląc, biegnąc, potykając się, zmierzając w kierunku pojazdu, który przyjechał za nimi do kanionu i właśnie się zatrzymał.

Drzwi auta się otworzyły.

– Policja! Stać! – W piaszczystym kanionie rozległ się głos Danielle Settler.

– Pomocy! Proszę! – krzyczała Remmi, szarpiąc drzwi subaru i widząc rozgrywający się w środku horror.

Brett Hedges siedział na miejscu pasażera, wokół niego wszędzie było szkło i poskręcany metal. Łańcuch kajdanek wbił mu się głęboko w szyję. Miał pochyloną głowę i szkliste oczy.

Był martwy. Musiał być martwy.

Ręce Noaha znajdowały się po obu stronach zagłówka.

– Noah – wyszeptała. – O, Boże, Noah. – Sięgnęła do kieszeni i znalazła klucz do kajdanek, który ukradła Hedgesowi, kiedy na parkingu udała, że się potknęła. Otworzyła je, a gdy odskoczyły, Noah zabrał ręce. Ze strony Bretta dobiegł obrzydliwy dźwięk uchodzącego powietrza. Mężczyzna osunął się na bok.

– Miałś go? – zapytał Noah. – Dlaczego, do cholery, nie użyłaś go wcześniej? – I wtedy opadł w tył, a ona zobaczyła czerwoną, powiększającą się plamę na jego ramieniu.

– Z drogi! – rozkazała Settler. – Boże, mogłam cię postrzelić! – wrzasnęła na Remmi. Martinez przejął dowodzenie. Remmi usłyszała syreny. Były gdzieś daleko na pustyni, ale już się zbliżały. – Wsparcie i ambulans są w drodze – dodała Settler.

– Za późno dla Hedgesa – stwierdził Martinez. – Nie żyje.

– A Scott?

– Nie wiem, nie wygląda dobrze.

– Musi być dobrze – powiedziała Remmi. Była oszołomiona, nie mogła go stracić. Nie teraz. Nie po tym, jak odnalazła go po latach. – Musi wydobrzeć.

– Zrobimy, co w naszej mocy – zapewniła ją Settler, w chwili gdy w górze pojawiły się kolejne światła, a Remmi rozpoznała sygnał zbliżającej się karetki. Była bardzo daleko.

– Kocham go – wyszeptała, gdy chmura pyłu zaczęła osiadać na ziemi.

– Proszę go sobie kochać, a jeśli przeżyje – powiedziała Settler – to mu o tym powiedzieć.

– Tak zrobię – przyrzekła. Miała nadzieję, że dostanie taką szansę.

* * *

Kilka godzin później, gdy przeszedł operację mającą na celu naprawę rozerwanych mięśni ramienia i po założeniu szwów na rany cięte, których doznał, kiedy rozpadła się szyba, Scott został zabrany do prywatnego pokoju.

Remmi złożyła zeznania na policji i czekała, aż Noah się wybudzi, a potem spełniła swoją obietnicę.

– Szczęśliwego Święta Dziękczynienia – powiedziała, gdy się ocknął.

– Słucham? – Wciąż źle wyglądał, miał posiniaczoną twarz i rozcięcie nad okiem. Ale w ogóle nie był zaskoczony tym, co mu powiedziała.

– Już dwadzieścia minut po północy, więc mamy Święto Dziękczynienia.

– Ach, tak. W ogóle o tym nie myślałem.

– Ja też. Chyba mieliśmy coś innego na głowie. – Ujęła jego dłoń i splotła z nim palce. – Muszę ci coś powiedzieć. – Zebrała się na odwagę i wyznała: – Kocham cię, Noahu Scott.

Patrzył na nią przez dłuższą chwilę, aż jej odwaga zdążyła wyparować. Pospieszyła się! Nie powinna było tego mówić.

– Czyżby? – zapytał przeciągając głoski.

Prawie krzyknęła z ulgi.

– Tak. – Jedna strona jego ust się uniosła pod zarostem, który zdążył już się pojawić na jego szczęcie.

Jak się powiedziało A, trzeba powiedzieć B...

– No wiesz, zwykle jak ktoś mówi „kocham cię”, oczekuje podobnej odpowiedzi, lepszej niż „czyżby?”.

– Chyba masz rację. – Jak na osobę leżącą w szpitalnym łóżku wykazał się niesamowitą siłą. Zacisnął palce na jej dłoni i przyciągnął ją bliżej siebie, tak że jej twarz znalazła się tuż nad nim. – Zróbmy to.

– Co? Jak?

– Wejdiesz na łóżko i pokażesz mi, jak bardzo mnie kochasz.

W tej samej chwili za drzwiami pojawiła się pielęgniarka z wózkiem.

– Oszalałeś – zaśmiała się Remmi.

– Może. No chodź...

Wciąż znajdując się tak blisko, że czuła jego oddech na swojej twarzy, zmrużyła oczy i powiedziała:

– Myślałam, że jesteś teraz kimś innym niż ten chłopak, którego kiedyś znałam, ale się myliłam. Wciąż jesteś niepoprawny.

– Niepoprawny. Uwielbiam to słowo.

Roześmiała się.

Znowu ją pociągnął za rękę, przyciągając jeszcze bliżej, by musnąć ją ustami.

– A przy okazji, ja też cię kocham. Jak tylko stąd wyjdę, zamierzam ci to udowodnić.

– Obiecanki cacanki.

– Możemy się założyć. – Spoważniał. – Będę ci to udowadniał do końca życia.

– Do końca? Chyba przemawia przez ciebie narkoza. – Ale w jego oczach zobaczyła, że to było na serio.

– Przekonamy się. – Jego oczy zalśniły. Brodą wskazał okno. – Jesteśmy w Vegas. Łatwo tutaj o ślub.

– Teraz już wiem, że wciąż jeszcze działa narkoza.

– Zastanów się nad tym. Nie robimy się młodszy i tak długo czekaliśmy.

Mówił poważnie? Chyba nie. Czy może...?

– Zastanowię się nad tym – powiedziała ostrożnie.

– Dobrze się zastanów – zaproponował, a ona wyswobodziła się z jego uścisku i ruszyła w stronę drzwi. – Przemyśl to dobrze.

Tak zrobiła. Myślała nad tym przez kolejne trzy dni, czekając, aż wypiszą go ze szpitala. Myślała intensywnie. To był szalony pomysł, ale na co ma czekać? Jej życie tak bardzo się ostatnio zmieniło, że jeszcze jedna zmiana nie zaszkodzi.

Wynajęła samochód, ponieważ to, co zostało z rozbitego subaru, pozostało na policyjnym parkingu. Chociaż wielokrotnie powtarzała zaproszenie, jej brat i siostra nie chcieli się z nią spotkać. Okazało się, że winili ją za śmierć ich biologicznego ojca Brett. Kiedyś, kiedy minie więcej czasu, może zrozumieją i zechcą ją poznać. Oby. Zostawiła wiadomość u ich prawnika. Wiedzieli, że istnieje. Mogli ją odnaleźć. Nie traciła nadziei.

Shawna, czyli Seneca, także nie chciała z nią rozmawiać.

Nic dziwnego, skoro Remmi zeznała policji to, co usłyszała od Brett Hedgese, i Shawna mogła trafić do więzienia razem ze swoim mężem za zabicie OH2.

A może nie.

Stać ich było na drogich prawników. A ciała OH2 nie można było ekshumować, bo zostało skremowane. Jediną osobą, która знаła prawdę, był Brett Hedges, który także nie żył. Myślała o tym, a także o tym, że ocalał Ariel na pustyni, kiedy mustang stanął w płomieniach. Wtedy uratował swoją córkę od pewnej śmierci. Oczywiście pożar był częścią jego planu, ale spodziewał się, że ratuje syna. To był niebezpieczny plan, a Ariel tylko cudem go przeżyła. Może Brett nie był zupełnie zły.

Mimo wszystko...

Dużo rozmyślała o tamtej nocy, żeby zostawić ją za sobą. Przez trzy dni rozważała także oświadczenia Noaha, a kiedy doszedł do siebie, został zwolniony ze szpitala i zasiadł na miejscu pasażera w wynajętym fordzie escape, powiedziała:

– Okej. Namysliłam się.

Nie udawał, że jej nie rozumie.

– I co?

– W Las Vegas jest taka mała kapliczka, w której nie trzeba się wcześniej anonować. Wręcz doskonała opcja.

Uśmiechnął się.

– Zabierasz mnie tam teraz, prosto ze szpitala?

– Oczywiście, że nie. – Zakładając okulary przeciwsłoneczne, dodała: – Greta by mnie zabiła, gdyby nie została zaproszona. I musisz wiedzieć, że jeśli przeniesiesz swój biznes do San Francisco, wynajmiemy dwa piętra od Greta i będziesz pracował z Emmą online. Albo ona też przeprowadzi się do miasta. Najpierw ułożymy swoje sprawy, a potem wrócimy do tej kaplicy. Może na walentynki.

Ruszyła, oświetlało ich zimowe słońce nad Nevadą. Zerknęła na niego.

– Co ty na to?

– Wchodzę w to. – Ujął ją za kolano. – Ale nie czekajmy tak długo. Może jednak na Boże Narodzenie? To za ponad miesiąc, a ludzie już świętują. Świętują od kilku tygodni. To dobry termin, co sądzisz?

Wjeżdżając na autostradę, która miała zaprowadzić ich do domu, uznała, że nie ma nic do stracenia i wszystko do zdobycia.

Z uśmiechem odpowiedziała:

– Wygląda na to, że czekają nas niezapomniane święta.

– Czy to oznacza „tak”?

– Tak.

Wybuchnęli śmiechem, a ona dodała gazu.